

**DEAN
KOONTZ**

**PRZY BLASKU
KSIĘŻYCA**

(Mozolnie skanowane i poprawiane przez Kali)

*Książkę tę dedykuję
Lindzie Borland i Elaine Peterson
za ich ciężką pracę,
ich dobroć
i ich niezawodność.
I oczywiście za to,
że jak zwykle raz do roku przyłapały mnie na błędzie,
który,
gdyby nie zwróciły na niego mojej uwagi,
zepsułby moją nieposzlakowaną opinię.
A także za to, że dyskretnie ukrywały przede mną
prawdziwy powód swoich wizyt:
chciały sprawić przyjemność mojej Trixie,
drapiąc ją po brzuchu.*

*Pilot na przodzie piastował w swym ręku cenne brzemie
żywotów ludzkich, wpatrując się pilnie przed siebie, jak
pasterz stada, oczami pełnymi księżycowego blasku.*

„Nocny lot”, Antoine de Saint-Exupery
(przełożyli z francuskiego Maria Czapska i Stanisław Stempowski)

Życie nie ma sensu, poza sensem odpowiedzialności.

„Wiara i historia”, Reinhold Niebuhr

*Weź moją dłoń i porzuć trwogę.
Dziś twej nadziei nie zawiodę,
Bo zawiódłbym swą własną duszę,
na wieczne skazał ją katusze
i w piekle zmorzył światła głodem.
Dziś twej nadziei nie zawiodę.*

„Księga policzonych smutków”

1 Zanim Dylana O'Connera pozbawiono przytomności, przywiązano do krzesła

i wstrzyknięto nieznaną substancję, zanim odkrył, że świat bywa o wiele bardziej niepojęty, niż mu się dotąd wydawało - wyszedł z pokoju motelowego i przeciął autostradę, zmierzając do jasno oświetlonego baru fast food, żeby kupić cheeseburgery, frytki, ciastka z nadzieniem jabłkowym i koktajl waniliowy.

Zgasły dzień leżał zagrzebany w asfalcie. Jego duch wciąż jednak trwał w powietrzu arizońskiego wieczoru, leniwie unosząc się gorącym oparem z każdego skrawka ziemi, jaki przemierzał Dylan.

Na końcu miasta, które służyło przede wszystkim podróżnym z pobliskiej drogi międzystanowej, baterie kolorowych neonów walczyły o klienta. Mimo toczącej się świetlnej bitwy, w czystym i suchym powietrzu aż po horyzont rozciągało się lśniące i spokojne morze gwiazd. Po gwiazdzistym oceanie sunął okrągły jak koło sterowe księżyc, zmierzając wolno na zachód.

Bezkresna przestrzeń wydawała się czysta i pełna obietnic, lecz świat w dole był zmęczony i przykurzony. Choć właściwie nie wiało, z głębi wieczoru dolatywały pojedyncze podmuchy, z których każdy szeptał w swoim języku i przynosił własną niepowtarzalną woń. W miarę jak Dylan zbliżał się do restauracji, zapachy pustynnego piasku, pyłku kaktusów, spalin z diesli i rozgrzanego asfaltu zaczynały się mieszać z gęstym aromatem długo używanego oleju, hamburgerów dymiących na blasze i smażonej cebuli - ciężkim i zawiesistym jak chmura duszącego powietrza w kopalni.

Gdyby Dylan nie był w nieznanym mieście zmęczony po całym dniu drogi i gdyby jego młodszy brat, Shepherd, nie popadł w zagadkowy nastrój, poszukałby restauracji ze zdrowym jedzeniem. W tym momencie jednak Shep nie potrafił stawić czoła ludziom, a gdy był w takim stanie, tolerował tylko jedzenie, które lubił, z dużą zawartością tłuszczu.

W środku restauracji było jaśniej niż na zewnątrz. Dominowały tu białe powierzchnie i mimo przesyconego zapachem tłuszczu powietrza lokal sprawiał wrażenie antyseptycznego.

Dylan O'Conner czuł się we współczesnej kulturze jak w niewygodnym ubraniu; tu także okazała się przyciasna. Uważał, że knajpa, gdzie podaje się hamburgery, powinna wyglądać jak knajpa, nie jak sala operacyjna ani przedszkole z obrazkami klaunów i śmiesznych zwierzątek, ani jak bambusowa chata na tropikalnej wyspie, ani jak plastikowa imitacja nieistniejącego baru z lat pięćdziesiątych. Jeśli ktoś zamierza jeść zwęglone kawałki krowy oblane warstwą sera oraz paski ziemniaków, które zanurzono we wrzącym oleju, aż stały się kruche jak starożytny papirus, a potem popije wszystko stosowną ilością lodowatego piwa albo koktajlem mlecznym o kaloryczności pieczonego prosiaka, to uczta powinna odbywać się w scenerii wzbudzającej w biesiadniku poczucie winy czy wręcz grzechu. Powinno jej towarzyszyć przyćmione i ciepłe światło. W wystroju powinny dominować ciemne kolory - najlepiej stary mahoń, matowy mosiądz, ciemnoczerwona tapicerka. Mięsożerca powinien słuchać uspokajającej muzyki, a nie powodujących mdłości produkcji muzyków nafaszerowanych Prozakiem, ale melodii równie smakowitych jak jedzenie - może wczesnego rock and rolla albo swingu, albo dobrych piosenek country o pokusie i wyrzutach sumienia czy ukochanych pieskach.

Tak czy inaczej przeszedł po wykafelkowanej podłodze do stalowej lady i zamówił posiłek na wynos u pulchnej, siwowłosej kobiety, która w nieskazitelnym prądkowanym

stroju wyglądała jak żona Świętego Mikołaja. Dylan spodziewał się ujrzeć elfa zerkającego z kieszeni jej bluzy.

W dawnych czasach w punktach sprzedaży fast foodów za ladą krzątały się głównie nastolatki. Ostatnio jednak spora liczba młodych ludzi uznała, że nie przystoi im zajęcie tego rodzaju, tak więc szansę dorobienia zyskali emeryci.

Żona Świętego Mikołaja zwracała się do Dylana „kochany”, a podając mu dwie białe torebki z zamówionym jedzeniem, sięgnęła ponad ladą, aby przypiąć mu do koszuli promocyjną plakietkę. Na znaczku widniał napis „Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach” oraz uśmiechnięty zielony pyszczek narysowanej żaby występującej w najnowszej kampanii reklamowej firmy, w której przyszczaty płaz zupełnie zmienia gust, przerzucając się z typowej dla swego gatunku diety na tak wyszukane dania jak półfuntowy cheeseburger.

Dylan kolejny raz poczuł ciasne ubranko: nie rozumiał, dlaczego decydując, co ma jeść na kolację, miałby się kierować przychylną opinią narysowanej żaby, gwiazdy sportu czy choćby laureata Nagrody Nobla. Co więcej, nie rozumiał, dlaczego miałaby go zachwycić reklama przekonująca, że frytki podawane w tej restauracji są smaczniejsze niż owady. I dobrze by było, gdyby frytki rzeczywiście smakowały lepiej niż torebka smażonych muszek.

Powstrzymał się przed wyrażeniem swojej opinii na temat żaby także dlatego, że zaczął sobie zdawać sprawę, iż ostatnio irytowało go coraz więcej zupełnie nieistotnych drobiazgów. Jeżeli się nie wyluzuje, stanie się koszmarnym zgorzkniałym zrzędem, zanim skończy trzydzieści pięć lat. Uśmiechnął się do żony Świętego Mikołaja i podziękował jej, żeby nie popsuć sobie Bożego Narodzenia.

Maszerując w świetle pyzatego księżyca w poprzek dzielącej go od motelu trzypasmowej autostrady i niosąc papierowe torebki pełne wonnego cholesterolu w przeróżnych postaciach, Dylan wyliczał w myślach wiele rzeczy, za które powinien być losowi wdzięczny. Dobre zdrowie. Ładne zęby, Wspaniałe włosy. Młodość. Miał dwadzieścia dziewięć lat, trochę talentu artystycznego i pracę, w której odnalazł sens i radość. Mimo że bogactwo mu nie groziło, sprzedawał swoje obrazy na tyle często, by co miesiąc zapłacić rachunki i złożyć nieco pieniędzy w banku. Nie miał szpecących blizn na twarzy ani kłopotów z powracającą grzybicą, ani nieznośnego brata bliźniaka; nie miał ataków amnezji, po których budził się z zakrwawionymi rękami, ani stanów zapalnych zadartych przy paznokciach skórek.

I miał Shepherd. Swoje błogosławieństwo i przekleństwo. Bywały takie chwile, gdy Dylan cieszył się, że żyje i Shep jest jego bratem.

Pod czerwonym neonem „Motel”, gdzie przesuwający się cień Dylana malował zupełnie czarną plamę na różowawym od blasku neonu asfalcie, ktoś go śledził a także potem, gdy mijał niskie sagowce, kolczaste kaktusy i inną roślinność pustynną i dalej, kiedy szedł betonowymi chodnikami między budynkami motelu, i z całą pewnością, kiedy mijał szumiące i pobrzękujące automaty z napojami, rozmyślając o delikatnych więzach rodzinnych - wciąż ktoś go śledził Obserwator zbliżył się niepostrzeżenie, jak gdyby zrównał swój krok z jego krokiem, swój oddech z jego oddechem. Dylan stał już przed drzwiami pokoju i szukał w kieszeniach klucza, ściskając przy tym kurczowo torebki z jedzeniem, kiedy usłyszał zdradzieckie skrzypnięcie buta, niestety za późno. Odwrócił głowę, dojrzał nad sobą bladą w blasku księżyca twarz i wyczuł ruch jakiegoś ciemnego kształtu, który opadł mu prosto na czaszkę.

Dziwne, ale nie poczuł ciosu i nie zorientował się, że osuwa się na ziemię. Usłyszał trzask pękających torebek, owionął go zapach cebuli, ciepłego sera i marynowanych warzyw, a potem uświadomił sobie, że leży twarzą na betonie. Miał nadzieję, że nie rozlał koktajlu mlecznego dla Shepa. Później przyśniły mu się tańczące frytki.

2 Jillian Jackson miała ukochany kwiat - grubosza jajowatego - którym

zawsze zajmowała się niezwykle troskliwie. Podawała mu starannie wyliczone i odmierzone porcje mieszanki odżywek, rozsądnie podlewała i regularnie spryskiwała jego mięsiste, owalne liście wielkości kciuka, aby zmyć kurz i zachować ich lśniąca zieleń.

Tego piątkowego wieczoru, kiedy jechali z Fredem z Albuquerque w Nowym Meksyku do Phoenix w Arizonie, gdzie w przyszłym tygodniu Jilly miała trzy występy, to ona całą drogę siedziała za kółkiem, ponieważ Fred nie miał ani prawa jazdy, ani niezbędnych do prowadzenia pojazdu kończyn. Fred był gruboszem jajowatym.

Granatowy cadillac coupe deville rocznik 1956 był miłością życia Jilly. Fred rozumiał to i łaskawie akceptował, lecz mały *Crassula argentea* (nazwisko Freda) na liście obiektów jej uczuć lokował się tuż za samochodem. Jilly kupiła grubosza, gdy był zaledwie pędem o czterech krótkich gałązkach i szesnastu grubych, gumowatych liściach. Choć trzymano go w tandetnej donicy średnicy trzech cali z czarnego plastiku i mógł sprawiać wrażenie drobnej, żalostnej roślinki, jej od pierwszej chwili wydał się odważny i z charakterem. Pod czułą opieką wyrósł na piękny okaz wysokości jednej stopy i średnicy osiemnastu cali. Teraz mieszkał sobie wygodnie w dwunastocalowej donicy z terakoty; razem z ziemią i pojemnikiem ważył dwanaście funtów.

Jilly zrobiła mu twardą poduszkę z pianki z wystającym brzegiem - coś w rodzaju okrągłego siedziska dla pacjentów po operacji hemoroidów - dzięki której dno doniczki nie mogło uszkodzić tapicerki siedzenia, a Fred mógł podróżować, zachowując równowagę. W 1956 roku nie wyposażano cadillaców coupe deville w pasy bezpieczeństwa; Jilly także nie została w nie wyposażona w chwili narodzin, czyli w roku 1977; zamontowała za to w samochodzie zwykle pasy biodrowe dla siebie i Freda. Na swojej specjalnie zrobionej poduszce, z doniczką przypiętą do siedzenia, miał najlepsze zabezpieczenia, o jakich mógłby marzyć grubosz jajowaty, mknąc po wertepach Nowego Meksyku z prędkością przekraczającą osiemdziesiąt mil na godzinę.

Siedząc przy oknie, Fred nie mógł widzieć ani docenić pustynnego krajobrazu, lecz Jilly od czasu do czasu barwnie słowami odmalowywała mu szczególnie piękny widok. Lubiała ćwiczyć swoje zdolności opisywania. Gdyby nie udało się jej zostać gwiazdą wśród komików po tych kilku kontraktach na występy w kiepskich barach i drugorzędnych klubach, przewidziała plan awaryjny - chciałaby zostać powieściopisarką, autorką bestsellerów.

Ludzie nie porzucają nadziei nawet w niebezpiecznych czasach, ale Jillian trzymała się jej kurczowo, żywiąc się nią tak jak jedzeniem. Trzy lata temu, gdy była kelnerką i mieszkała z trzema dziewczynami, żeby taniej wyszło, jadła tylko dwa posiłki dziennie, które dostawała gratis w restauracji, gdzie pracowała, jeszcze przed swoim pierwszym występem miała we krwi tyle nadziei, ile czerwonych i białych krwinek oraz trombocytów. Niektórzy lękaliby się równie śmiałych marzeń, ale Jilly wierzyła, że dzięki nadziei i ciężkiej pracy zdobędzie wszystko, czego zechce.

Wszystko, prócz właściwego mężczyzny.

Jadąc przez dogasające popołudnie, z Los Lunas do Socorro, potem do Las Cruces, czekając w amerykańskim punkcie odpraw celnych na wschód od Akela, gdzie od niedawna kontrole przeprowadzano znacznie sumiennie niż w spokojniejszych czasach - Jilly całą drogę rozmyślała o mężczyznach w swoim życiu. Było ich tylko trzech, ale o trzech za dużo. Zmierzając do Lordsburga na północ od gór Pyramid, do miasta Road Forks w Nowym Meksyku i wreszcie przekraczając granicę stanu, rozpamiętywała przeszłość, starając się zrozumieć, gdzie popełniła błąd w każdym z nieudanych związków.

Mimo że była gotowa wziąć na siebie winę za burzliwy koniec wszystkich romansów, ponieważ analizując wszystko z uwagą pirotechnika stojącego przed decyzją, który z drucików ma przeciąć, żeby zapobiec katastrofie, doszła w końcu do wniosku (nie po raz pierwszy zresztą); że bardziej niż ona zawinili nieodpowiedzialni mężczyźni, którym zaufała. Zdradzili ją. Oszukali. Gdyby nawet spojrzeć na nich bez uprzedzeń, przez najbardziej różowe z różowych okularów, okazywali się łajdakami, trzema świnkami, które przejawiały wyłącznie świńskie cechy charakteru i ani jednej dobrej. Gdyby u ich drzwi stanął wilk i zdmuchnął słomianą chatkę, sąsiedzi zgotowaliby mu owację i poczęstowaliby winem, żeby miał czym popić kolację złożoną z kotletów wieprzowych.

- Jestem zgorzkniałą, mściwą suką - oświadczyła Jilly. Kochany Fred milcząco zaprotestował.

- Czy kiedykolwiek spotkam porządnego faceta? -zastanawiała się głośno.

Chociaż Fred wykazywał liczne zalety - był cierpliwy i spokojny, nigdy się na nic nie skarżył, wyjątkowo umiał słuchać i milcząco współczuć oraz miał zdrowy korzeń - nigdy nie twierdził, że został obdarzony zdolnością jasnowidzenia. Nie mógł wiedzieć, czy pewnego dnia Jilly spotka porządnego faceta. Na ogół ufał przeznaczeniu. Podobnie jak inne bezwolne gatunki pozbawione umiejętności poruszania się, mógł tylko polegać na losie i mieć nadzieję na pomyślny obrót spraw.

- Oczywiście, że spotkam porządnego faceta - oznajmiła zdecydowanie Jilly, gdy jak zwykle wstąpiła w nią otucha. - Spotkam kilkunastu porządnym facetów, kilkudziesięciu, setki. - Z melancholijnym westchnieniem wcisnęła hamulec, widząc tuż przed sobą sznur samochodów tłoczących się na wschodniej nitce autostrady międzystanowej numer 10. - Nie chodzi o to, czy spotkam porządnego faceta, ale czy go poznam, jeżeli nie będzie miał wokół siebie chóru aniołów, a nad głową migającej aureoli z napisem „Świetny facet, świetny facet, świetny facet”.

Jillian nie widziała uśmiechu Freda, ale wyraźnie go wyczuła. - Och, spójrzmy prawdzie w oczy - wyjęczała. - W sprawach facetów jestem naiwna i łatwo daję się wprowadzić w błąd. Fred potrafił odróżnić prawdę od kłamstwa. Mądry Fred. Cisza, jaką skwitował deklarację Jilly, miała zupełnie inną wymowę niż cichy protest, gdy nazwała się zgorzkniałą, mściwą suką.

Sznur samochodów utknął na amen.

Karmazynowy zachód słońca i zmierzch spędzili na kolejnym oczekiwaniu, tym razem przed posterunkiem Inspekcji Rolnej Arizony na wschód od San Simon, który służył obecnie i stanowym, i federalnym agencjom stróżów prawa. Poza urzędnikami Departamentu Rolnictwa w kontroli uczestniczyli także ubrani po cywilnemu agenci o kamiennych spojrzeniach, służący zapewne w jakiejś organizacji, która miała niewiele wspólnego z warzywami; najwyraźniej szukali szkodników znacznie niebezpieczniejszych od muszek

owocowych hodowanych w przemyconych pomarańczach. Maglowali Jilly z takim uporem, jakby sądzili, że ukrywa pod siedzeniem karabin półautomatyczny i czador, a Fredowi przyglądali się z uwagą i nieufnością, jak gdyby w przekonaniu, że pochodzi z Bliskiego Wschodu, jest fanatykiem religijnym i ma złe intencje.

Jednak nawet ci groźnie wyglądający mężczyźni, którzy mieli swoje powody, by patrzeć podejrzliwie na każdego podróżnego, nie mogli zbyt długo uważać Freda za złoczyńcę. Cofnęli się i przepuścili cadillaca przez punkt kontroli.

Zamykając elektrycznie opuszczaną szybę i wciskając pedał gazu, Jilly powiedziała:

- Dobrze, że nie wsadzili cię do pudła, Freddy. Przy naszym budżecie nie moglibyśmy sobie pozwolić na kaucję.

Przez milę jechali w milczeniu.

Jeszcze przed zachodem słońca pokazał się widmowy księżyc jak blade oko ektoplazmy; wraz z zapadnięciem zmroku jego cyklopowe spojrzenie stało się jaśniejsze.

- Być może rozmowa z rośliną to nie tylko dziwactwo - rozmyślała na głos Jilly. - Być może mam trochę nierówno pod sufitem.

Na północ i południe od autostrady panowała nieprzenikniona ciemność. Chłodny blask księżycowy nie mógł rozjaśnić mroku, jaki po zmierzchu zapadł na pustyni.

- Przepraszam, Fred. Nie powinnam tego mówić. Grubosz był dumny, ale umiał też przebaczać. Spośród trzech mężczyzn, z którymi Jilly zgłębiała tajniki dysfunkcji związku, żaden nie zawahałby się wykorzystać przeciwko niej najbardziej niewinnej oznaki niezadowolenia z jej strony; każdy postarałby się wzbudzić w niej poczucie winy i wszedł w rolę zgnębianej ofiary jej wygórowanych oczekiwań. Fred, dzięki Bogu, nigdy nie bawił się w podobne gierki.

Przez jakiś czas jechali w przyjaznej ciszy, oszczędzając mnóstwo paliwa, gdy znaleźli się w silnym strumieniu powietrza za pędzącym peterbiltem, który, jak wynikało z napisu na tylnych drzwiach, wiozł przysmaki lodowe wyglodniałym miłośnikom przekąsek na zachód od Nowego Meksyku.

Kiedy zbliżyli się do miasta rozjarzonego neonami moteli i stacji obsługi, Jilly zjechała z drogi międzystanowej. Zatankowała na samoobsługowej stacji przy Union 76.

Przy tej samej ulicy był bar z hamburgerami, gdzie kupiła kolację. Za ladą stała starsza pani, czerstwa i tryskająca radością jak ideał babci z filmów Disneya z lat sześćdziesiątych, która upierała się, by przypiąć do bluzki Jilly znaczek z uśmiechniętą zębą.

Restauracja sprawiała wrażenie tak czystej, że można by tu przeprowadzić operację wszczepienia poczwórnych bypassów, w razie gdyby któryś z klientów doznał blokady tętnic, konsumując kolejnego podwójnego cheeseburgera. Sama czystość jednak nie wystarczyła, by skłonić Jilly do spożycia posiłku przy jednym z pokrytych laminatem stolików, w intensywnym świetle, które mogłoby spowodować mutacje genetyczne.

Siedząc w zaparkowanym cadillacu coupe deville i jedząc kanapkę z kurczakiem i frytki, Jilly słuchała wraz z Fredem swojego ulubionego radiowego talk-show, który poruszał takie tematy jak kontakty z UFO, wizyty niebezpiecznych istot pozaziemskich dyszących pragnieniem płodzenia dzieci z Ziemiakami, pojawienie się leśnego stwora znanego jako Wielka Stopa (a także jego niedawno widzianego potomka, Małej Wielkiej Stopy) oraz przyszłości z odległej przyszłości, którzy zbudowali piramidy w bliżej nieznanych wrogich celach. Tego wieczoru prowadzący program Parish Lantern, obdarzony charakterystycznym

zachrypniętym głosem, dyskutował z gośćmi o poważnym zagrożeniu, jakie stanowiły pijawki mózgowe, które rzekomo przybyły do naszego świata z rzeczywistości alternatywnej. Na szczęście żaden z dzwoniących do programu słuchaczy ani słowem nie wspominał o radykalnych faszystowskich fundamentalistach muzułmańskich zdecydowanych zniszczyć cywilizację, by przejąć władzę nad światem. Podobno po zagnieżdzeniu się w płacie potylicznym pijawka mózgowa przejmowała kontrolę nad człowiekiem, biorąc w niewolę jego umysł i ciało; stworzenia te były zapewne oślisłe i obrzydliwe, lecz Jilly słuchała programu Parisha z ulgą. Gdyby nawet pijawki mózgowe naprawdę istniały, w co ani przez chwilę nie wierzyła, potrafiła je zrozumieć: rozumiała ich pasożytniczą naturę i genetyczny imperatyw, który kazał im opanowywać inne gatunki. Natomiast zło ludzkie rzadko, jeśli w ogóle, miało podstawy racjonalne.

Fred nie miał mózgu, który mógłby służyć pijawce za terytorium ekspansji, więc mógł słuchać programu, nie obawiając się o własne bezpieczeństwo.

Jilly spodziewała się, że kolacja ją pokrzepi, ale gdy skończyła jeść, czuła się tak samo zmęczona jak po zjeździe z drogi międzystanowej. Miała nadzieję, że łatwo znieś następane cztery godziny jazdy przez pustynię do Phoenix, słuchając przez część drogi kojących fantazji Parisha Lanterna. Jednak w takim stanie mogła stanowić zagrożenie na autostradzie.

Przez szybę ujrzała motel po przeciwnej stronie drogi.

- Jeżeli nie pozwalają tam brać ze sobą zwierząt domowych - powiedziała do Freda - jakoś cię przemycę.

3 Dla osoby dotkniętej nieznacznym uszkodzeniem mózgu, w wyniku

którego cierpi na krótkotrwałe i niekontrolowane napady obsesji, najlepszą rozrywką jest szybkie układanie łamigłówek.

Fatalny stan umysłu Shepherda zwykle dawał mu zdumiewający atut, ilekroć skupiał całą uwagę na układance obrazkowej. W tej chwili rekonstruował skomplikowany obrazek bogatej w ornamenty świątyni sinto otoczonej drzewami wiśniowymi.

Mimo że zaraz po przyjeździe do motelu zaczął układać zestaw składający się z dwóch i pół tysiąca elementów, zdążył już ułożyć mniej więcej jedną trzecią. Po wyznaczeniu czterech brzegów obrazka Shep metodycznie kierował się ku środkowi.

Chłopiec - Dylan wciąż uważał swojego brata za chłopca, chociaż Shep miał już dwadzieścia lat-siedział przy biurku oświetlonym cylindryczną mosiężną lampą. Lewą rękę trzymał na wprost uniesioną i bez przerwy machał dłonią, jak gdyby pozdrawiał swoje odbicie w lustrze wiszącym nad biurkiem; w istocie jednak patrzył tylko na układany obrazek i pozostałe kawałki w otwartym pudełku. Najprawdopodobniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że macha ręką, i na pewno nie mógł nad tym panować.

Tiki, napadowe kołysanie i inne dziwaczne, monotonne ruchy stanowiły objawy choroby Shepa. Czasami potrafił trwać bez ruchu jak statua z brązu albo marmuru, zapominając nawet mrugać oczami, ale najczęściej całymi godzinami przebierał palcami albo kręcił nimi młynka, albo podrygiwał nogami czy przytupywał.

Natomiast Dylan był przywiązany do krzesła i nie mógł niczym machać ani kołysać, ani kręcić młynka. Kostki nóg krępowały mu grube zwoje calowej taśmy izolacyjnej, którą

okręcono wokół nóg krzesła; nadgarstki i przedramiona przywiązano mu taśmą do oparcia. Prawą rękę miał zwróconą wewnętrzną stroną dłoni do dołu, a lewą odwrotnie – ku górze. W usta wepchnięto mu jakąś szmatę, kiedy był nieprzytomny. Wargi też miał zaklejone taśmą.

Dylan był przytomny od dwóch czy trzech minut, ale nie udało mu się połączyć żadnego z elementów strasznej układanki, przed którą go postawiono. Nie miał pojęcia, kto go napadł ani dlaczego.

Dwukrotnie próbował odwrócić się na krzesło, by spojrzeć w stronę łóżek i łazienki, które miał za sobą, lecz nieznanemu wrogowi wymierzył mu dwa ciosy w głowę, powstrzymując jego ciekawość. Uderzenia nie były silne, ale wymierzone we wrażliwe miejsce, gdzie wcześniej został trafiony o wiele mocniej, toteż znowu omal nie zemdlął.

Gdyby Dylan zaczął wołać na pomoc, jego zduszony krzyk nie wydostałby się poza pokój, ale usłyszałby go Shep siedzący w odległości mniejszej niż dziesięć stóp. Niestety, brat nie zareagowałby ani na przeraźliwy krzyk, ani na szept. Nawet w swoje najlepsze dni rzadko reagował na Dylana czy kogokolwiek innego, a gdy jego uwagę pochłaniała układanka, świat wydawał mu się mniej rzeczywisty niż dwuwymiarowa scena na pokawałkowanym obrazku.

Prawą ręką – tą spokojną – Shep wybrał tekturowy element o kształcie ameby, spojrzął na niego i odłożył na bok. Po chwili chwycił ze stosu inny fragment i momentalnie umieścił we właściwym miejscu, potem drugi i trzeci – wszystko w ciągu pół minuty. Wydawało się, jakby sądził, że poza nim w pokoju nie ma nikogo.

Dylan czuł, jak serce tłucze mu o zębra, jak gdyby testując wytrzymałość konstrukcji klatki piersiowej. Przy każdym uderzeniu w obolałej czaszce pulsował ból w okropnym synkopowanym rytmie, a knebel w ustach drgał jak żywe stworzenie, co chwila wzbudzając odruch wymiotny.

Dylan bał się, choć tacy duzi chłopcy nie powinni się aż tak bać, nie wstydził się strachu i czuł się dobrze w roli dużego przerażonego chłopca; był pewien jednego: dwadzieścia dziewięć lat to za wcześnie na śmierć. Gdyby miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat, twierdziłby zapewne, że wiek średni zaczyna się dopiero po setce.

Śmierć nigdy go specjalnie nie kusila. Nie rozumiał fanatyków subkultury gotyckiej i ich niezmiennego sentymentu do ożywionych zmarłych; wampiry jakoś go nie pociągały. Nie porywał go też do tańca gangsta-rap ze swą gloryfikacją morderstwa i celebrowaniem okrucieństwa wobec kobiet. Nie lubił filmów, których głównym tematem były wypruwanie flaków i odcinanie głów; w najlepszym razie nie dało się przy nich jeść popcornu. Dylan przypuszczał, że zawsze pozostanie w tyle za modą. Było mu przeznaczone pozostać staroświeckim jak *biedermeier*. Jednak perspektywa wiecznej staroświecczyny wydawała mu się o wiele bardziej zachęcająca niż perspektywa rychłej śmierci.

Mimo przerażenia, w sercu wciąż tliła mu się nadzieja. Przede wszystkim, gdyby nieznanemu napastnikowi zamierzał go zabić, ciało Dylana z pewnością osiągnęłoby już temperaturę pokojową. Siedział skrepowany i zakneblowany, ponieważ przestępca miał wobec niego inne plany.

Na myśl przychodziły tortury. Dylan nigdy nie słyszał, by kogoś zamęczono na śmierć w którymś z moteli należącym do krajowej sieci, przynajmniej nie zdarzało się to regularnie. Psychopatyczni zabójcy raczej czuli by się niezręcznie, uprawiając swój proceder w miejscu, w którym w tym samym czasie mogło odbywać się zebranie klubu Rotarian. W ciągu lat spędzonych w podróży Dylan narzekał tylko na kiepsko utrzymane pokoje, pomyłkowe

poranne telefony z niezamówionym budzeniem i marne jedzenie w restauracji. Ale gdy już pomyślał o torturach, nie umiał znaleźć sposobu, jak o nich zapomnieć.

Pocieszał się również myślą, że panujący nad sytuacją napastnik oszczędził Shepherda, którego nie uderzył ani nie skrępował. Świadczyło to, że złoczyńca, kimkolwiek był, dostrzegł obojętność Shepa wobec świata i zorientował się, że upośledzony chłopiec nie stanowi zagrożenia.

Prawdziwy socjopata pozbyłby się jednak Shepherda, albo dla zabawy, albo żeby poprawić swój wizerunek zabójcy. Obląkani mordercy prawdopodobnie żywili przekonanie, jak większość współczesnych Amerykanów, że potwierdzanie poczucia własnej wartości jest niezbędnym warunkiem zdrowia psychicznego.

Kładąc kolejny bezkształtny kawałek tektury na swoim miejscu, przyciskając go kciukiem prawej dłoni i kwitując rytualnym skinieniem głowy, Shepherd pracował nad układanką w zawrotnym tempie, z prędkością sześciu, siedmiu elementów na minutę.

Dylan zaczął widzieć wyraźniej, a odruchy wymiotne ustały. Zazwyczaj takie objawy przyjmowało się z radością, ale Dylan nie odczuje żadnej radości, dopóki się nie dowie, kto go zaatakował i w jakim celu.

Łomot serca jak huk kotłów i szum krwi w uszach przypominający nieco dźwięk delikatnie muskanych czyneli skutecz-

nie zagłuszały wszelkie odgłosy, jakie mógł wydawać intruz. Być może jadł ich kolację kupioną w barze - albo przygotowywał do odpalenia piłę łańcuchową.

Dylan siedział pod pewnym kątem w stosunku do lustra wiszącego nad biurkiem, widział więc tylko odbicie niewielkiego fragmentu pokoju za sobą. Obserwując brata oddanego bez reszty układance, dostrzegł z brzegu lustra jakiś ruch, lecz zanim zdążył skupić na nim wzrok, widmo zniknęło z pola widzenia.

Kiedy napastnik w końcu ukazał się Dylanowi, wyglądał nie groźniej niż pięćdziesięciokilkuletni dyrektor chóru, któremu największą radość sprawia słuchanie świetnie zestrojonych głosów wyśpiewujących radosne hymny. Opadające ramiona. Wydatny brzuch. Przerzedzone siwe włosy. Małe, delikatnie wyrzeźbione uszy. Dobroduszna, różowa twarz o nieco obwisłych policzkach przypominała bochen chleba. Jasnoniebieskie oczy były załzawione, jak gdyby ze współczucia, i zdawała się w nich odbijać dusza zbyt poczciwa, by mogła zrodzić jakąkolwiek wrogą myśl.

Wyglądał jak antyteza łotrostwa, ale mimo że łagodnie się uśmiechał, trzymał w rękach dość długą gumową rurkę. Przypominającą węża. Długości dwóch, może trzech stóp. Żadnego nieożywionego przedmiotu - łyżki czy naostrzonego jak brzytwa sprężynowca - nie można nazwać złym; lecz o ile nożem sprężynowym można po prostu obrać jabłko, o tyle trudno było w tej chwili grozy wyobrazić sobie równie niewinne przeznaczenie gumowej rurki o przekroju pół cala.

Bujna wyobraźnia artysty podsuwała Dylanowi absurdalne, ale bardzo plastyczne obrazy przymusowego karmienia przez nos oraz badania okrężnicy przez zupełnie inny otwór ciała.

Lęk nie opuścił Dylana, który zorientował się, że rurka jest opaską uciskową. Zrozumiał za to, dlaczego ma lewą dłoń zwróconą wewnętrzną stroną ku górze.

Gdy zaprotestował przez przesiąknięty śliną knebel i taśmę izolacyjną, zdołał wydobyć z siebie głos, jaki mógłby wydać człowiek pogrzebany żywcem, wzywający pomocy przez wieko trumny i sześć stóp ubitej ziemi.

- Spokojnie, synu, spokojnie. - Intruz nie mówił twardym głosem opryszka, ale cichym i współczującym, jak wiejski lekarz, który ze wszystkich sił pragnie ulżyć pacjentowi w cierpieniu. - Nic ci nie będzie.

Ubrany też był jak wiejski lekarz, prawdziwy relikwiarz ubiegłego wieku wzięty prosto z ilustracji Normana Rockwella na

pierwszej stronie „Saturday Evening Post”. Wypolerowane do połysku skórzane buty Iśniły jak lustro, beżowe spodnie w kant podtrzymywały szelki. Był bez płaszcza, miał podwiniete rękawy koszuli, rozpięty kołnierzyk oraz poluzowany krawat i brakowało mu tylko stetoskopu, by wyglądać zupełnie jak lekarz z wioski, odrobinę wymięty po wielu domowych wizytach, o którym wszyscy mieszkańcy mówią życzliwie „pan doktor”.

Dylan miał na sobie koszulę z krótkim rękawem, mężczyzna więc bez problemu założył mu opaskę uciskową. Szybko zawiązał gumową rurkę na bicepsie i na przedramieniu Dylana ukazała się mocno nabrzmiąca żyła.

Lekko opukując uwydatnione naczynie, „Pan Doktor” mruknął:

- Ślicznie, ślicznie.

Mając w ustach knebel i będąc zmuszonym do oddychania przez nos, Dylan wyraźnie słyszał dowód swego narastającego strachu - coraz szybszy rytm rządzających wdechów i wydechów. Lekarz przemył skórę wacikiem nasączonym alkoholem.

Wszystkie elementy składające się na tę chwilę - Shep machający do nikogo i błyskawicznie rozprawiający się z układanką, uśmiechnięty intruz przygotowujący pacjenta do zastrzyku, paskudny smak knebla, ostra woń alkoholu i bolesny ucisk taśmy izolacyjnej - całkowicie absorbowwały pięć zmysłów, nie sposób więc było brać pod uwagę możliwości, że to tylko sen. Mimo to kilka razy Dylan zamykał oczy i szczypał się w duchu... po czym spoglądał na pokój i dysząc z jeszcze większym przerażeniem, stwierdzał, że ten koszmar dzieje się naprawdę.

Strzykawka do iniekcji podskórnych na pewno nie mogła być tak ogromna jak ta. Instrument, jaki trzymał Doktor, nadawał się bardziej dla słoni czy nosorożców niż dla ludzi. Dylan przypuszczał, że rozmiary strzykawki wyolbrzymił jeszcze strach.

Trzymając kciuk prawej dłoni na tłoku, zaciskając zgięte palce na kołnierzu, Doktor wyciskał ze strzykawki powietrze, dopóki z igły nie trysnęła łukiem odrobina złocistego płynu i mieniąc się w blasku lampy, opadła na dywan.

Wydając zduszony krzyk protestu, Dylan szarpnął więzy, aż krzesło zakołysało się na boki.

- Tak czy inaczej - rzekł przyjaźnie lekarz - jestem zdecydowany ci to zaaplikować.

Dylan niezłomnie potrząsnął głową.

- Synu, od tej szprycy nie umrzesz, ale jak się będziesz szamotać, coś ci się może stać.

Szprycy. Buntował się przeciw perspektywie wstrzyknięcia leku, narkotyku-albo toksycznej substancji chemicznej, trucizny czy osocza krwi zakażonego paskudną chorobą - a teraz jeszcze energiczniej protestował przeciw temu, by do jego żyły trafiła jakaś nieokreślona szprycyca. Tak nonszalanckie słowo sugerowało niestaranność, łajdactwo naznaczone niedbalstwem, jak gdyby ten okaz banalności zła o obwisłych policzkach, okrągłych ramionach i wystającym brzuchu, mimo że zadał sobie tyle trudu, nie miał nawet ochoty zapamiętać nazwy substancji, którą zamierzał podać ofierze. Szprycyca! Słowo mogło też oznaczać, że złota ciecz w strzykawce to coś bardziej egzotycznego niż zwykły lek, trucizna czy zainfekowane osocze, coś tajemniczego i jedyne w swoim rodzaju, co trudno nazwać. Jeżeli wiesz tylko tyle, że uśmiechnięty, stuknięty lekarz o różowej twarzy uraczył cię sporą

szprycą, to żaden z troskliwych i zupełnie normalnych lekarzy w szpitalnej izbie przyjęć nie będzie miał pojęcia, jakie podać antidotum ani jaki przepisać antybiotyk, ponieważ ich apteka nie będzie dysponowała żadnym specyfikiem na ciężki przypadek „szprycy”.

Obserwując Dylana szarpiącego się bezskutecznie w pętach, stuknięty dealer szpryc pokręcił z dezaprobatą głową.

- Jak się będziesz szamotał, mogę uszkodzić żyłę... albo przypadkowo wstrzyknąć ci bańkę powietrza i zrobi się zator. A zator cię zabije albo w najlepszym razie zrobi z ciebie roślinę. - Wskazał siedzącego przy biurku Shepa. - Gorszą od niego.

Bywały tak złe dni, że pod ich koniec Dylan czuł takie znużenie i rozczarowanie, iż niekiedy zazdrościł bratu niewiedzy na temat trosk tego świata; Shep nie miał jednak żadnych obowiązków, a Dylan mnóstwo - sam Shep był jednym z ważniejszych - więc stan nieświadomości, z wyboru czy w wyniku zatoru, absolutnie nie wchodził w grę.

Dylan przestał się opierać, skupiając spojrzenie na błyszczącej igle. Na twarz wystąpił mu kwaśny pot. Ciężko wypuszczając i gwałtownie wciągając powietrze, parsknął jak zdyszany koń. Znow zaczął pulsować ból w czaszce, zwłaszcza w miejscu uderzenia, a także przez całą szerokość czoła. Opór był męczący, bezcelowy i po prostu głupi. Skoro nie mógł uniknąć zastrzyku, lepiej będzie zaufać złemu szamanowi, który twierdził, że substancja w strzykawce nie jest śmiertelna, znieść to, co musiało nastąpić, zachować czujność, by w odpowiedniej chwili wykorzystać nadarzącą się okazję (o ile rzeczywiście zachowa przytomność), i dopiero później szukać pomocy.

- Tak lepiej, synu. Najrozsądniej mieć to jak najszybciej za sobą. Zaboli mniej niż przy szczepieniu przeciw grypie. Możesz mi zaufać.

Możesz mi zaufać.

Zabrnęli tak daleko w surrealizm, że Dylan niemal spodziewał się zobaczyć, jak meble w pokoju miękają, przybierając kształty niczym z obrazów Salvadora Dalego.

Nieznajomy, z tym samym sennym uśmiechem, fachowym ruchem wbił igłę w żyłę, rozluźniając równocześnie węzeł na gumowej rurce i dotrzymując obietnicy, że zastrzyk będzie bezbolesny.

Naciskający tłok czubek kciuka poczerwieniał. Formułując najbardziej nieprawdopodobne zdanie, jakie Dylan słyszał, Doktor powiedział:

- Wstrzyknę ci dzieło mojego życia.

Ciemna końcówka tłoka w przezroczystym cylindrze strzykawki drgnęła i wolno zaczęła się przesuwając, wtlaczając złocisty płyn do igły.

- Pewnie się zastanawiasz, co ta szprycyca z tobą zrobi. Przestań nazywać to SZPRYCĄ! - zażądałby Dylan, gdyby jego ust nie zapychał kawał szmaty niewiadomego pochodzenia. - Właściwie nie sposób dokładnie określić skutków. Chociaż igła być może była normalnej wielkości, to spoglądając na rozmiary strzykawki, Dylan zorientował się, że wyobraźnia wcale nie splatała mu figla. Strzykawka była ogromna. Przerażająco olbrzymia. Czarne cyferki skali na plastikowej rurce wskazywały pojemność osiemnastu centymetrów sześciennych, co było dawką przepisywaną zapewne przez weterynarza pacjentom z zoo, którzy wazyli co najmniej sześćset funtów. - Ma działanie psychotropowe.

Słowo zabrzmiało groźnie i egzotycznie, lecz Dylan podejrzewał, że jeśli zdoła zebrać myśli, zrozumie, co to znaczy. Bolały go jednak rozciągnięte szczęki, spod mokrej szmaty w ustach wyciekł kwaśny strumień śliny, grożąc mu zakrzepieniem, piekły go zaklejone taśmą wargi, a gdy obserwował tajemniczą ciecz sączącą się do jego ręki, ogarnął go jeszcze większy

strach. Denerwowało go uporczywe machanie Shepa, mimo że dostrzegał brata tylko kątem oka. W takich warunkach trudno było zebrać myśli. Słowo „psychotropowy” tłukło mu się w głowie jak gładka i lśniąca stalowa kula, odbijająca się od zderzaków i metalowych szyn w błyskającym światłami bilardzie elektrycznym.

- Na każdego działa inaczej. - W głosie Doktora dały się słyszeć nutki niesfornej ciekawości naukowca, nieprzyjemne jak okruchy szkła w szklance miodu. Choć nieznamy wyglądem przypominał trochę troskliwego lekarza wiejskiego, wobec pacjenta zachowywał się jak Victor von Frankenstein. - Efekt jest zawsze interesujący, często zaskakujący, czasem nawet pozytywny.

Interesujący, zaskakujący, czasem nawet pozytywny: chyba nie było to dzieło życia porównywalne z dokonaniem Jonasa Salka. Doktorowi bliżej było raczej do tradycji obłąkanych, megalomańskich nazistowskich naukowców.

Ostatni centymetr sześcienny płynu zniknął ze zbiornika strzykawki i przez igłę trafił do ciała Dylana.

Spodziewał się, że poczuje pieczenie w żyłę, okropne chemiczne ciepło rozprzestrzeniające się błyskawicznie po układzie krążenia, ale nic takiego się nie stało. Nie wstrząsnął też nim żaden lodowaty dreszcz. Spodziewał się, że dozna sugestywnych halucynacji, że oszaleje, czując, jak na miękkiej powierzchni mózgu roją się pająki, że usłyszy w głowie głosy duchów, dostanie napadu drgawek albo gwałtownych skurczów mięśni, albo nie wytrzyma mu zwieracz, opanują go mdłości czy zawroty głowy, zaczną mu rosnąć włosy na dłoniach, póki zawiruje mu przed oczami - ale zastrzyk nie dał żadnych widocznych efektów, poza być może skokiem temperatury jego rozgorączkowanej wyobraźni.

Doktor wyjął igłę.

W miejscu ukłucia wykwitła jedna maleńka drobinka krwi. - Jeden z dwóch powinien wystarczyć, żeby spłacić dług - mruknął Doktor, nie do Dylana, ale do siebie, wygłaszając uwagę, która zdawała się nie mieć sensu. Potem cofnął się, znikając Dylanowi z oczu.

Karmazynowa kropelka drżała w zgięciu łokcia Dylana, jak gdyby pulsując współczująco wraz z rytmem łomoczącego serca, które kiedyś tłoczyło ją do najdalszego naczynia włosowatego i od którego została na zawsze oddzielona. Dylan żałował, że nie może wchłonąć jej z powrotem, wciągnąć przez nakłucie w skórze, ponieważ obawiał się, że w mającej nastąpić ciężkiej walce o życie będzie potrzebował każdej kropli zdrowej krwi, jeśli w ogóle ma szansę pokonać zagrożenie, które zostało mu wstrzyknięte.

- Ale spłata długu to nie perfumy - rzekł Doktor, pojawiając się znowu i trzymając plaster, z którego zdzierał opakowanie. - Nie zlikwiduje smrodu zdrady, prawda? Zresztą czy coś go może zlikwidować?

Choć znów zwracał się do Dylana, wydawało się, że mówi zagadkami. Poważne słowa wymagały powagi, a w jego głosie wciąż pobrzmiwał lekki ton i na twarzy igrał żartobliwy, lunatyczny uśmiech, to pojawiając się, to blednąc, jak blask skaczącego płomyka świecy w kapryśnym wietrzyku.

- Wyrzuty sumienia gryzą mnie od tak dawna, że wyżarły mi serce. Czuję się pusty.

Funkcjonując nadzwyczaj dobrze jak na osobnika bez serca, pusty człowiek oderwał paski ochronne plastra i nakleił opatrunek na miejsce ukłucia.

- Chcę czuć skruchę za to, co zrobiłem. Bez skruchy nie ma mowy o prawdziwym spokoju. Rozumiesz?

Choć Dylan nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił szaleniec, skinął głową, obawiając się, że brak zgody może wywołać napad szału, w którym zamiast igłą może zostać zaatakowany toporem.

Doktor wciąż mówił cicho, ale wszystkie żartobliwe nutki zniknęły, ustępując miejsca cierpieniu, mimo że osobliwy uśmiech pozostał.

- Chcę czuć skruchę, odrzucić tę straszną rzecz, którą zrobiłem, i chcę móc szczerze powiedzieć, że nie zrobiłbym tego drugi raz, gdybym miał przeżyć od nowa całe życie. Ale wyrzuty sumienia to wszystko, na co mnie stać. Gdybym dostał drugą szansę, zrobiłbym to jeszcze raz i przeżył następne piętnaście lat przygnieciony brzemieniem winy.

Kropelka krwi przesiąkła przez gazę, robiąc ciemną plamę widoczną przez perforowaną warstwę plastra. Był to opatrunek dla dzieci ozdobiony rysunkiem psa, który brykał i szczyrzył zęby w uśmiechu, ale widok obrazka nie pocieszył Dylana ani nie odwrócił jego uwagi od kuku.

- Duma nie pozwala mi na skruchę. W tym cały kłopot. Och, dobrze znam swoje wady, ale to nie znaczy, że mogę się ich pozbyć. Na to już za późno. Za późno.

Wrzucił opakowanie po plastrze do małego kosza stojącego obok biurka, po czym sięgnął do kieszeni i wydobyl nóż. Choć w innej sytuacji Dylan nie użyłby słowa „broń” w stosunku do zwykłego scyzoryka, w tym momencie żadne mniej groźne słowo nie byłoby na miejscu. Żeby poderznąć gardło i przeciąć tętnicę szyjną, nie trzeba mieć wcale sztyletu ani maczety. Wystarczy scyzoryk.

Doktor zmienił temat, porzucając wynurzenia o dawnych grzechach i skupiając się na pilniejszych sprawach.

- Chcą mnie zabić i zniszczyć moje dzieło.

Paznokciem kciuka wyciągnął krótkie ostrze scyzoryka.

W końcu uśmiech utonął w jego przepastnej ziemistej twarzy, a na powierzchnię wychynał wyraz troski.

- Już teraz otaczają mnie coraz ciaśniejszym pierścieniem. Dylan miał nadzieję, że ciasnemu pierścieniowi będzie towarzyszyć porządna dawka torazyny, kaftan bezpieczeństwa i doświadczeni ludzie w białych fartuchach.

Światło lampy odbijało się od stalowego ostrza scyzoryka. - Dla mnie już nie ma ratunku, ale za nic nie pozwolę, żeby zniszczyli dzieło mojego życia. Kradzież to inna sprawa. Z tym mógłbym się pogodzić. Przecież sam to zrobiłem. Ale oni chcą wymazać wszystko, co osiągnąłem. Jak gdybym nigdy nie istniał.

Krzywiąc się, Doktor zacisnął palce na rękojeści scyzoryka i wbił ostrze w oparcie krzesła, kilka milimetrów od lewej ręki swojego jeńca.

Ten ruch nie wywarł korzystnego wpływu na Dylana, który podskoczył ze strachu tak gwałtownie, że poderwały się trzy nogi krzesła, a przez ułamek sekundy być może nawet lewitował.

- Zjawia się tu za pół godziny, może wcześniej - ostrzegł Doktor. - Będę próbował ucieczki, ale nie ma sensu się oszukiwać. Dranie pewnie mnie dopadną. I kiedy znajdą choć jedną pustą strzykawkę, zablokują całe miasto i zbadają wszystkich, jednego po drugim, dopóki się nie dowiedzą, kto dostał szprycę. Czyli dopóki nie znajdą ciebie. Bo szprycę masz ty.

Pochylił się, zbliżając twarz do twarzy Dylana. Jego oddech pachniał piwem i fistaszkami.

- Lepiej weź sobie do serca to, co mówię, synu. Jeśli zostaniesz w strefie kwarantanny, znajdą cię na pewno, a kiedy już cię znajdą- zabiją. Taki sprytny gość jak ty powinien

wykombinować, jak użyć tego scyzoryka i uwolnić się w dziesięć minut, dzięki czemu będziesz miał szansę się uratować, a ja zdołam uciec, zanim mnie dogonisz.

Doktor miał między zębami czerwone skórki i resztki białego mięszu orzeszków, ale o wiele trudniej niż ślady po ostatniej przekąsce można było znaleźć oznaki jego szaleństwa. Jego oczy barwy spranego dżinsu wyrażały wyłącznie bezbrzeżny smutek.

Wyprostował się, spojrzął na scyzoryk wbity w oparcie krzesła i westchnął.

- To naprawdę nie są źli ludzie. Na ich miejscu też bym cię zabił. W całej tej sprawie jest tylko jeden zły człowiek, i to ja nim jestem. Nie mam złudzeń co do siebie.

Odsunął się od krzesła, znikając z pola widzenia Dylana. Sądząc po odgłosach, Doktor pakował swój sprzęt szalonego naukowca, wkładał marynarkę i szykował się, by dać nogę.

A więc jedziesz do Santa Fe w Nowym Meksyku na festiwal sztuki, gdzie w minionych latach sprzedałeś tyle obrazów, by pokryć koszty podróży i wpłacić pewną sumkę do banku, i zatrzymałeś się na nocleg w czystym motelu o dobrej opinii, a potem kupiłeś kolację na wynos z zawartością kalorii, po której można zasnąć równie mocno jak po zbyt dużej dawce nembutalu, ponieważ chciałeś tylko spędzić spokojny wieczór, oglądając z narażeniem własnych komórek nerwowych idiotyczne programy telewizyjne w towarzystwie pracującego nad układanką brata, a w nocy jak najmniej cierpieć z powodu wzdęcia wywołanego cheeseburgerem, ale współczesny świat rozpadł się do tego stopnia, że siedzisz teraz przywiązany do krzesła, zakneblowany, z wstrzykniętą Bóg wie jak paskudną chorobą i ściągany przez nieznaną zabójców... A przyjaciele zastanawiają się, dlaczego robi się z ciebie taki zrzęda.

Zza pleców Dylana odezwał się głos Doktora, który widocznie był nie tylko szaleńcem, ale także telepatą:

- Nie jesteś niczym zarażony. Nie w takim sensie, jak to rozumiesz. To nie są bakterie ani żaden wirus. To, co ci dałem... nie przenosi się na innych. Synu, zapewniam cię, gdybym nie był takim tchórzem, sam bym to sobie wstrzyknął.

Zapewnienie z ust eksperta nie poprawiło Dylanowi nastroju. - Wstyd przyznać, że tchórzostwo to jeszcze jedna z moich wad. Naturalnie, jestem geniuszem, ale nie mogę być wzorem do naśladowania.

Jego usprawiedliwienie metodą autokrytyki straciło już jakąkolwiek siłę, której ślad wcześniej mogło nosić.

- Jak wyjaśniłem, szpryca na każdego działa inaczej. Jeżeli nie wymaże ci osobowości ani nie pozbawi cię zdolności linearnego myślenia, ani nie zredukuje ilorazu inteligencji o sześćdziesiąt punktów, to istnieje możliwość, że znacznie poprawi ci życie.

Po namyśle Dylan doszedł do wniosku, że gość nie traktuje pacjenta jak doktor Frankenstein. Traktuje pacjenta jak doktor Szatan.

- Jeżeli poprawi ci życie, spłacę w ten sposób część grzechów, jakie popełniłem. Jasne, w piekle czeka na mnie madejowe łożo, ale sukces w tej sprawie mógłby przynajmniej zrekomensować moje najgorsze zbrodnie.

Zagrzechotał łańcuch na drzwiach i metalicznie szczęknęła zasuwka, gdy Doktor otworzył zamek.

- Dzieło mojego życia zależy od ciebie. Teraz jest toba. Postaraj się więc przeżyć.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Wyjściu szaleńca towarzyszyło mniej przemocy niż jego przybyciu.

Siedzący przy biurku Shep nie machał już ręką, oburącz pracował nad układanką. Jak ślepiec czytający książkę napisaną alfabetem Braille'a zdawał się rozpoznawać elementy czułymi opuszkami, spoglądając na każdy nie dłużej niż dwie sekundy, od czasu do czasu nawet nie trudząc się, by popatrzeć, z niesamowitą szybkością albo dokładał do błyskawicznie powiększającego się obrazka kolejny fragment, albo odrzucał na bok, żeby poczekał na swoją kolej.

Łudząc się głupią nadzieją, że dzięki jakiejś cudownej więzi psychicznej łączącej braci Shepherd rozpozna śmiertelne niebezpieczeństwo, Dylan próbował krzyknąć jego imię. Przemokły knebel zadziałał jak filtr, w dużym stopniu pochłaniając jego głos, który wydobył się jako zduszony bełkot w niczym nieprzypominający imienia brata. Mimo to krzyknął jeszcze raz, potem trzeci, czwarty, piąty, licząc na to, że powtarzanie przyciągnie uwagę chłopaka.

Kiedy Shep był w nastroju do komunikowania się z otoczeniem - co zdarzało się rzadziej niż wschód słońca, ale nie tak rzadko jak odwiedziny komety Halleya- potrafił tyle mówić, że zalewał brata potokiem słów i samo słuchanie go było męczące. Znacznie prawdopodobniejsza była sytuacja, że Shep całymi dniami zdawał się nie zauważać obecności Dylana. Tak jak dziś. Tak jak tu i teraz. Pracował z pasją nad układanką, prawie nieświadomy tego, co się dzieje w pokoju motelowym, mieszkał w cieniu świątyni sinto na wpół widocznej na blacie biurka, oddychał świeżą wonią kwitnących drzewek wiśniowych pod chabrowym niebem Japonii, a siedział tylko dziesięć stóp od krzesła Dylana, mimo to odległy o pół świata, za daleko, by słyszeć brata, widzieć jego poczerwieniałą z bezsilności twarz, napięte mięśnie karku, pulsujące skronie i błagalne spojrzenie.

Byli razem, lecz jednak osobno.

Scyzoryk czekał z ostrzem wbitym w drewno oparcia, stanowiąc równie trudne wyzwanie jak magiczny Excalibur zaklinowany w kamiennej pochwie. Niestety, nie można się było spodziewać, że król Artur zmartwychwstanie i przybędzie do Arizony, by pomóc Dylanowi wyciągnąć broń.

W ciele Dylana krążyła nieznana szpryca, jego iloraz inteligencji w każdej chwili mógł stracić sześćdziesiąt punktów, zbliżali się mordercy bez twarzy.

Zegar, który zabierał ze sobą w podróż, był elektroniczny, a więc cichy, mimo to Dylan słyszał tykanie. Zdradziecki milczący zegar: jak gdyby odliczał cenne sekundy dwa razy szybciej.

Przyspieszając w miarę zbliżania się do finału, Shep kończył układankę oburącz, cały czas trzymając po dwa kawałki. Lewa i prawa ręka przemykały jedna nad drugą, trzepotały nad elementami w pudełku, mknęły jak wróble do błękitnego nieba, drzew wiśniowych albo niedokończonych rogów dachu świątyni, a potem z powrotem do pudełka jak gdyby w szale budowania gniazda.

- Ciach dylu-dylu - powiedział Shep. Dylan jęknął.

- Ciach dylu-dylu.

Jak podpowiadało mu doświadczenie, Shep będzie zapewne powtarzał tę bzdurę setki czy nawet tysiące razy co najmniej przez pół godziny i dłużej, dopóki nie zaśnie - bliżej świtu niż północy.

- Ciach dylu-dylu.

W mniej niebezpiecznych sytuacjach - czyli w ciągu ich dotychczasowego życia, przed spotkaniem z szaleńcem uzbrojonym w strzykawkę - Dylan czasami znosił te napady, bawiąc

się w wierszyki i wynajdując rymy do wszystkich mniej lub bardziej nonsensownych sylab, jakie obsesyjnie powtarzał brat.

- Ciach dylu-dylu.

Siedzi motyl na badylu - pomyślał Dylan. - Ciach dylu-dylu.

Pije drinka z chlorofilu... - Ciach dylu-dylu. Nagle trach i po motylu.

Przywiązany do krzesła, wypełniony szprycą, ścigany przez zabójców: to nie była pora na rymowanki, tylko na logiczne myślenie. Pora na sprytny plan i skuteczne działanie. Nadeszła chwila, by jakimś cudem osiągnąć scyzoryka i dokonać nim zdumiewających, fenomenalnie pomysłowych rzeczy, takich, że szczeka opada.

- Ciach dylu-dylu.

Zróbmy bal w motylim stylu.

4 W swój niepowtarzalny zielony i milczący sposób Fred podziękował Jillian za roślinne pożywienie, jakie mu podała, i starannie odmierzoną miarkę napoju, którym schłodziła mu liście, gasząc jego pragnienie.

Rozłożył gałęzie w przytłumionym świetle lampki na biurku, wygodnie usadowiony w swojej pięknej donicy. Jego obecność wprowadzała element elegancji do pokoju motelowego urządzonego w jaskrawych, kontrastowych kolorach, które można zinterpretować jako głośny protest wściekłego projektanta wnętrz przeciw harmonii barw natury. Rano Jilly zamierzała wstawić Freda do łazienki, gdy będzie brała prysznic; ubóstwiał parę.

- Zamierzam bardziej cię wykorzystać w programie-poinformowała go. - Wykombinowałam parę nowych kawałków, które możemy zagrać razem.

Podczas występu zwykle wносиła Freda na scenę na ostatnie osiem minut, stawiała na wysokim stołku i przedstawiała publiczności jako swoją ostatnią sympatię, jedyne go chłopaka, który ani nie przynosił jej wstydu wśród ludzi, ani nie próbował dawać jej do zrozumienia, że jakiś szczegół jej anatomii pozostawia wiele do życzenia. Siedząc na stołku obok niego, mówiła o współczesnej miłości, a Fred odgrywał ideał uczciwego mężczyzny. Nadał terminowi „pokerowa twarz” nowe znaczenie i publiczność go uwielbiała.

- Nie przejmuj się - powiedziała Jilly. - Nie wstawię cię do żadnych kretyńskich doniczek i w żaden sposób nie naruszę twojej godności.

Żaden sukulent, kaktus czy rozchodnik nie potrafił równie przekonująco jak Fred promieniować zaufaniem.

Ponieważ nakarmiła i napoiła swego partnera scenicznego i zrobiła wszystko, żeby czuł się zadbany, zarzuciła na ramię torebkę, chwyciła puste plastikowe wiaderko i wyszła z pokoju, by przynieść lód i wrzucić parę ćwierćdolarówek do najbliższego automatu z napojami. Ostatnio była uzależniona od piwa korzennego. Chociaż wołała napoje dietetyczne, to kiedy nie mogła ich nigdzie znaleźć, piła zwykle: dwie, czasem trzy butelki co wieczór. Jeśli nie miała innego wyboru i była skazana na gatunek z pełną zawartością cukru, następnego dnia jadła na śniadanie tylko suchą grzanekę, by zrekompensować wieczorną rozpustę.

Utrapieniem kobiet w rodziny Jilly był gruby tyłek, co nie dotyczyło mężczyzn, za których wychodziły. Jej matka, siostry matki i wszystkie kuzynki w wieku kilkunastu, a nawet dwudziestu kilku lat, miały szczupłe i pondejne tyłeczki, lecz nie upłynęło wiele czasu, a każda z

nich wyglądała, jakby wepchnęła sobie do spodni dwie dynie. Rzadko nabierały ciała w udach albo na brzuchu, ale zawsze w okolicach trzech mięśni pośladkowych: gluteus maximus, medius i minimus, które przekształcały się w część anatomii zwaną żartobliwie przez jej matkę gluteus muchomega. Klątwa rodzinna przechodziła z pokolenia na pokolenie, ale nie w linii Jacksonów, tylko Armstrongów - rodzinie matki - w której mężczyźni dziedziczyli łysinę i podobne poczucie humoru.

Wielkiego tyłka Armstrongów po trzydziestce nie miała tylko czterdziestoosmioletnia dziś ciotka Gloria, która czasem przypisywała swą wiecznie szczupłą sylwetkę temu, że trzy razy w roku odprawiała nowennę do Najświętszej Panienki. Modliła się, odkąd w wieku dziewięciu lat zdała sobie sprawę, że w przyszłości może jej grozić nagły rozrost tyłka; kiedy indziej natomiast sądziła, że to być może dzięki okresowym flirtom z bulimią może siedzieć na rowerze i zsiadać z siodełka bez pomocy proktologa.

Jilly też była wierząca, ale nigdy nie odprawiała nowenny w nadziei, że wymodli litościwe zwolnienie z gluteus muchomega. Nie poruszała tej kwestii nie dlatego, że wątpiła, czy taka modlitwa odniesie skutek, po prostu nie potrafiła mówić o swoim tyłku w duchowej rozmowie z Matką Boską.

Gdy miała trzynaście lat, przez dwa dni praktykowała bulimie, uznała jednak, że codzienne dobrowolne wymioty są znacznie gorsze od perspektywy obaw o zbyt wąskie drzwi i noszenia przez dwie trzecie życia elastycznych spodni narciarskich. Teraz całą nadzieję pokładała w suchej grzance na śniadanie i magicznych postępach chirurgii plastycznej.

Automaty z lodem i napojami stały we wnęce osłoniętego przejścia, przy którym znajdował się jej pokój, nie dalej niż pięćdziesiąt stóp od jej drzwi. Od strony pustyni wiał lekki wietrzyk, nie przynosząc ani odrobiny chłodu w ten gorący wieczór - tak suchy, że Jilly miała wrażenie, jakby za moment jej spieczone wargi miały pęknąć z głośnym trzaskiem; podmuch zdawał się

wirować w korytarzyku, sycząc cicho, jak gdyby też szukał czegoś, czym mógłby zwilżyć spragnione usta.

Po drodze Jilly natknęła się na odrobinę wymiętego mężczyznę o sympatycznym wyglądzie, który najprawdopodobniej wracał z oazy automatów, zaopatrzony tam w puszkę coli i trzy torebki fistaszków. Oczy miał bładoniebieskie jak niebo nad Sonorą albo pustynią Mojave w sierpniu, gdy w intensywnie białym blasku nawet niebiosy nie zachowują swej barwy, ale nie pochodził z tych stron, ponieważ jego okrągła twarz nie była chorobliwie opalona, lecz różowa, a widocznych w niej bruzd nie wyrzyło słońce Południowego Zachodu, tylko nadwaga i brzemię lat.

Mimo że nie spojrzął wprost na Jilly i uśmiechał się z roztargnieniem kogoś zagubionego w dżungli zawitych, choć przyjemnych myśli, zbliżając się do niej, powiedział:

- Gdybym umarł za godzinę, na pewno żałowałbym, że na koniec nie najadłem się fistaszków. Uwielbiam fistaszki.

Była to deklaracja co najmniej osobliwa, ale Jilly mimo młodego wieku miała dość doświadczenia, by wiedzieć, że we współczesnej Ameryce nie należy odpowiadać obcym, którzy nieproszeni informują o swoich lękach przed umieraniem i ulubionych przekąskach na łożu śmierci. Możesz mieć do czynienia ze znękaną duszą, która zbłądziła na manowce pod wpływem stresów nowoczesności. Prawdopodobniejsze było jednak spotkanie z psychopatą,

który miał ochotę zrobić sobie rurkę do koki z twojej kości udowej, a z twojej skóry ozdobny pokrowiec na swoją ulubioną siekierę do odcinania głów. Pewnie dlatego, że facet wyglądał nieszkodliwie, albo dlatego, że sama Jilly czuła się odrobinę stuknięta po długich rozmowach tylko z gruboszem jajowatym, odparła:

- Ja wolę piwo korzenne. Kiedy przyjdzie moja pora, chcę przepłynąć Styks czystego piwa korzennego.

Nie reagując na jej słowa, minął ją spokojnie, zdumiewająco lekkim krokiem, zważywszy na jego gabaryty, ślizgał się niemal jak łyżwiarz ruchem, który harmonizował z jego na wpół obłąkanym uśmiechem.

Patrzyła, jak się oddala, dopóki nie zyskała pewności, że to po prostu kolejna znużona istota zbyt długo przemierzająca wyludnione przestrzenie pustyń Południowego Zachodu - być może zmęczony komiwojażer, któremu przydzielono ogromny obszar, wystawiając na próbę jego wytrzymałość - oszołomiony i zniechęcony odległością między kolejnymi miastami i tonącymi w słońcu autostradami, które zdawały się nie mieć końca.

Wiedziała, jak mógł się czuć. Jeden z jej popisowych numerów, znak rozpoznawczy jako komika, polegał na graniu prawdziwej dziewczyny z Południowego Zachodu, z krainy piasku i kaktusów, która codziennie je na śniadanie miskę papryczek jalapeno, włóczy się z facetami o imionach Tex i Dusty po barach, gdzie grają country, jest dojrzałą w słońcu kobietą, ale nie da sobie w kaszę dmuchać i potrafi złapać grzechotnika, który by śmiał na nią syknąć, i strzelić z niego jak z bicza, aż mózg wyjdzie mu oczami. Rezerwowała sobie terminy w klubach w całym kraju, ale sporo czasu spędziła w Teksasie, Nowym Meksyku, Arizonie i Nevadzie, nie tracąc kontaktu z kulturą, która ją ukształtowała, doskonaląc swój numer przed tupiącą publicznością, która okrzykami aprobaty reagowała na każdą trafną obserwację, ale umiała też wyciem wygonić ją ze sceny, jeśli próbowała oszukiwać, że ketchup to salsa, albo uciekała się do estradowej sztuczności. Część życia autentycznej dziewczyny z krainy piasku stanowiły podróże z występu na występ i choć Jilly uwielbiała te skaliste pustkowia i widoki rozległych połaci srebrnych bylic, rozumiała, jak bezkres pustyni może wpływać na człowieka, który potem z uśmiechem szmacianej lalki opowiada wyimaginowanemu przyjacielowi o śmierci i fistaszkach.

W automatach we wnęce korytarza można było kupić trzy gatunki dietetycznej coli, dwa dietetycznego napoju cytrynowego i pomarańczowego, lecz jeśli chodzi o piwo korzenne, miała następujący wybór: abstynencja lub nafaszerowany cukrem pełnowartościowy preparat do powiększania tyłka. Wrzuciła ćwierćdolarówki do maszyny z rezygnacją starej hazardzistki wpychającej ostatnie monety do jednorękiego bandyty, a gdy trzy puszki jedna po drugiej lądowały z brzękiem na tacy, zmówiła półgłosem „Zdrowaś Mario”, nie dołączając do modlitwy prośby związanej z własną fizjologią, ale składając w Niebie maleńki dowód dobrej woli.

Taszcząc trzy puszki napoju i plastikowe wiaderko pełne po brzegi kostek lodu, pokonała niewielką odległość dzielącą ją od pokoju. Wychodząc, zostawiła uchylone drzwi, aby gdy będzie wracać z zajęтыми rękami, miała je jak otworzyć.

Przy pierwszym piwie będzie musiała zadzwonić do mamy w Los Angeles i pogadać z nią od serca o rodzinnym przekleństwie grubego tyłka, o nowym materiale na program, o tym, kto ostatnio został zastrzelony w dzielnicy, czy sadzonka Freda dobrze się rozwija pod troskliwą opieką mamy i czy Fred Klon będzie równie śliczny jak Fred Pierwszy...

Kiedy pchała ramieniem drzwi, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, był oczywiście Fred, niczym oaza spokoju zen w chaosie kolorów przypominającym wystrój garderoby kłowna. Ale zaraz potem spostrzegła stojącą na biurku w cieniu Freda puszkę coli pokrytą kroplami wilgoci oraz trzy torebki fistaszków.

Ułamek sekundy później ujrzała otwarty czarny neseser, który leżał na łóżku. Wcześniej widziała go u uśmiechniętego komiwożera. Pewnie torba z próbkami.

Nieustraszone Amazonki z Południowego Zachodu poskramiające węże muszą z psychiczną i fizyczną czujnością reagować na amory knajpianych kowbojów, i tych nabuzowanych lone starem, i tych niewytłumaczalnie trzeźwych. Jilly potrafiła obronić się przed najbardziej natrętnym casanową z taką samą energią, z jaką tańczyła swinga, a jej kolekcja nagród z konkursów swinga zajmowała całą gablotę.

Mimo to, chociaż zrozumiała niebezpieczeństwo w ciągu niecałych dwóch sekund po przekroczeniu progu pokoju, nie udało się jej zapobiec atakowi komiwożera. Zaszedł ją od tyłu, zacisnął ramię na szyi i przyłożył do twarzy jakąś szmatę. Miękka tkanina śmierdziała chloroformem albo eterem, albo może podtlenkiem azotu. Jilly nie była koneserem środków znieczulających, nie rozpoznała więc gatunku ani rocznika.

Nie oddychaj - rozkazała sobie w myśli i wiedziała, że powinna nadepnąć mu na stopę, wbić łokieć w brzuch, ale zgubił ją moment zaskoczenia, kiedy nabrała powietrza w chwili, gdy szmata zakryła jej usta i nos. Próbowała poruszyć prawą stopą, lecz ta zadygotała, jak gdyby oblużowała się w kostce. Jilly nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie ma łokcie i jak działają. Zamiast wstrzymać oddech, jeszcze raz wciągnęła powietrze, by odzyskać jasność umysłu i tym razem jej płuca wypełniły się najczarniejszą ciemnością, jakby była tonącym pływakiem pogrążającym się coraz głębiej i głębiej...

5-Ciach dylu-dylu.

Płynął dziad na krokodylu.

- Ciach dylu-dylu.

Spadł i wnet utonął w Nilu.

Zabawa w rymowanie zawsze pomagała Dylanowi O'Connerowi nie wpaść w szal podczas napadów monotonnych mantr brata. Tym razem jednak doszedł do wniosku, że jeśli nie przestanie słuchać głosu Shepa, nie skupi się na pilnym zadaniu, czyli wyswobodzeniu z więzów. Wciąż będzie siedział przyklejony taśmą do krzesła, przeżuwając bawełniany knebel i czekając na bezimiennych zabójców, którzy zbadają mu krew na obecność szprycy, a potem pokroją na cienkie plasterki i rzucą padlinę pustynnym sępom.

Ręce Shepa trzepotały, układając w błyskawicznym tempie dwuwymiarową świątynię.

- Ciach dylu-dylu.

Dylan skoncentrował się na swoim położeniu.

Rozmiary szmaty w ustach - wypełniającego mu usta mokrego gałgana, od którego trzymania bolała go cała twarz - uniemożliwiały mu poruszanie szczękami tak energicznie, jakby chciał. Jednak napinając uparcie mięśnie twarzy, zdołał poluzować paski taśmy, która powoli zaczęła się odrywać na końcach i odchodzić jak bandaże z mumii.

Wysunął język spod knebla, zwinął za szmacianą kulą i usiłował wypchnąć z ust obcy materiał. Szmata naciskała od wewnątrz na odklejoną w połowie taśmę i Dylan czuł lekkie ukłucia bólu, gdy lepkie paski odrywały się od jego warg wraz z fragmentami skóry.

Niczym gigantyczna hybryda ćmy i człowieka - z niskobudżetowego horroru - zwracająca niesmaczną kolację, powolutku wysunęła mu się na brodę obrzydliwa szmata i spoczęła na piersi. Patrząc na przesiąknięty śliną knebel, poznał go: była to jego długa skarpeta, którą Doktor najprawdopodobniej znalazł w walizce. Przynajmniej była czysta.

Połowa taśmy odkleiła się, ale zostały dwa pasy dyndające w kącikach ust jak wąsy suma. Wykrzywił usta w różnych grymasach, potrząsał głową, ale kawałki taśmy mocno się trzymały.

Wreszcie mógł wołać pomocy, lecz milczał. Ktokolwiek pospieszy mu na ratunek, będzie chciał wiedzieć, co się stało, a jakiś zatroskany obywatel zadzwoniłby na policję, która zjawiłaby się, zanim Dylan zdążyłby wrzucić swoje rzeczy - i Shepa - do samochodu i uciec. Jeżeli mordercy byli na jego tropie, każda chwila zwłoki mogła kosztować go życie.

Musiał użyć scyzoryka, który lśnił, wbity w sosnowe drewno. Dylan przechylił się w przód, pochylając głowę, i zacisnął zęby na pokrytej gumą rękojeści noża. Chwytał ją mocno. Ostrożnie poruszał scyzorykiem w przód i w tył, poszerzając dziurę w drewnie, dopóki nie wyciągnął ostrza.

- Ciach dylu-dylu.

Wyprostował się na krześle, trzymając w zębach scyzoryk i zezując, spoglądał na czubek ostrza połyskujący w świetle. Był już uzbrojony, ale nie czuł się szczególnie niebezpieczny.

Za nic nie mógł upuścić noża. Gdyby broń upadła na podłogę, Shepherd na pewno by jej nie podniósł. Dylan, aby odzyskać scyzoryk, musiałby rozkołysać krzesło i przewrócić na bok, ryzykując obrażenia. Ryzykowanie obrażeń ciała zawsze zajmowało wysokie miejsce na jego liście Rzeczy, których Nie Robią Ludzie Inteligentni. Nawet gdyby przewrócił krzesło i wyszedł z tego bez szwanku, w nowej i zapewne niewygodnej pozycji trudno byłoby mu sięgnąć ustami do rękojeści, zwłaszcza gdyby nóż wylądował pod łóżkiem.

Zamknął oczy i przed następnym ruchem przez moment rozważał różne możliwości.

- Ciach dylu-dylu.

Dylan był artystą, zatem rozważania powinny przychodzić mu z łatwością; nie był jednak artystą tego rodzaju - nie dręczył się ponurymi myślami i sytuacją ludzkości ani nie rozpaczał nad nieludzkim postępowaniem człowieka wobec drugiego człowieka. W wymiarze jednostkowym sytuacja ludzkości zmieniała się co dzień, nawet co godzinę, a gdy ktoś rozczuła się nad nieszczęściem, może przegapić okazję odniesienia triumfu. Każdy swój nieludzki czyn gatunek rekompensował setką dobrych uczynków; jeśli więc ktoś lubi spędzać czas na rozważaniach, rozsądniej jest rozmyślać o dobrej woli, z jaką większość ludzi traktuje innych, nawet w społeczeństwie, gdzie elity kulturalne szydzą z cnoty, stawiając na piedestale brutalność.

W tym wypadku miał bardzo ograniczone możliwości i choć nie był zbyt dobry w ich rozważaniu, potrafił szybko opracować plan działania. Znowu pochylił się w przód i zbliżył ostrze scyzoryka do jednego z błyszczących zwojów taśmy przywiązujących jego lewy nadgarstek do oparcia krzesła. Jak rzucająca głową gęś, jak Shep godzinami udający rzucającą głową gęś, Dylan zaczął piłować scyzorykiem pęta, które zaczęły puszczać. Kiedy uwolnił lewą rękę, przełożył do niej nóż.

Kiedy pospiesznie rozcinał resztę taśmy, nałogowiec układanek - dodający elementy obrazka w gorączkowym tempie, jakiego nie potrafiłaby wywołać nawet metamfetamina - odrobinę zmienił swój tekst:

- Dylu ciach-ciach.

- Siku chce mi się aż strach. - Dylu ciach-ciach.

- Rozpłynąłem się we łzach.

6 Jilly otworzyła oczy i jak przez mgłę ujrzała komiwojażera i jego identycznego brata bliźniaka pochylonych nad łóżkiem, na którym leżała.

Chociaż wiedziała, że powinna się bać, nie czuła żadnego lęku. Była zupełnie rozluźniona. Ziewnęła.

Jeżeli pierwszy brat był zły - a bez wątpienia był - to ten drugi musiał być dobry, miała więc obrońcę. W filmach i często w książkach moralność była rozdzielona między identyczne rodzeństwo dokładnie w takiej proporcji: jeden zły, drugi dobry.

Nie знаła żadnych bliźniaków. Gdyby kiedykolwiek poznała taką parę, nie potrafiłaby zaufać żadnemu z nich. Zaufasz i możesz być pewien, że zostaniesz zatłuczony na śmierć - albo stanie ci się coś jeszcze gorszego - w drugim akcie czy rozdziale dwunastym, a już na pewno pod koniec opowieści.

Ci dwaj wyglądali równie dobrodusznie, ale jeden rozluźnił opaskę uciskową z gumowej rurki, która była zaciśnięta na ramieniu Jilly, a drugi chyba robił zastrzyk. Żadnego z tych interesujących działań nie można raczej nazwać złym, ale na pewno było w nich coś niepokojącego.

- Który z was zdzieli mnie pałką? - zapytała zdziwiona swoim bełkotliwym głosem, jakby była pijana.

Z podobnym zdumieniem komiwojażerowie bliźniacy spojrzeli na nią równocześnie.

- Powinnam was ostrzec - powiedziała. - Znam karaoke. Każdy z bliźniaków trzymał prawą dłoń na tłoku strzykawki, ale obaj jednocześnie złapali lewą ręką białą bawełnianą chustkę. Mieli znakomitą choreografię.

- Nie karaoke - poprawiła się. - Karate. - Kłamała, ale sądziła, że zabrzmie to przekonująco, mimo dziwnie niewyraźnego głosu. - Znam karate.

Bracia, których twarze widziała nieco zamazane, przemówili w doskonałej harmonii, sylaba w sylabę.

- Chcę, żebyś jeszcze trochę pospała, młoda damo. Śpij, śpij.

Cudownie zsynchronizowani bliźniacy równocześnie machnęli w powietrzu chusteczkami, które rzucili jej na twarz z taką gracją, że Jilly spodziewała się czarodziejskiej przemiany dwóch kawałków białej tkaniny w gołębie, zanim jeszcze dotknęły jej skóry. Jednak wilgotna bawełna zalatująca ostrą chemiczną wonią zapomnienia spadła na nią jak stado czarnych wron czy kruków, które poniosły ją na skrzydłach wprost w otchłań nocy.

Jilly zdawało się, że otworzyła oczy natychmiast, jednak od chwili, gdy je zamknęła, upłynęło kilka minut. Wyciągnięto igłę z jej ramienia. Bliźniacy już nad nią nie stali.

W istocie był tu tylko jeden z nich i Jilly zorientowała się, że ten drugi w ogóle nie istniał, był skutkiem złudzenia optycznego. Mężczyzna stał w nogach łóżka, pakując strzykawkę do skórzanego neseseru, który wcześniej wzięła za torbę z próbkami towarów. Doszła do wniosku, że to torba lekarska.

Mówił coś o dziele swojego życia, ale w jego gadaniu Jilly nie mogła dostrzec żadnego sensu, może dlatego, że był majaczącym psychopata, a może dlatego, że przestała go rozumieć od oparów eliksiru zapomnienia, które wciąż parzyły jej nos i zatoki.

Gdy próbowała podnieść się z łóżka, dostała takich zawrotów głowy, że z powrotem opadła na poduszki. Chwyliła oburącz materac jak rozbitek kurczowo trzymający się szczątków statku unoszonych na powierzchni wzburzonego morza.

Uczucie wirowania i kołysania w końcu wzbudziło w niej strach. Wiedziała, że powinna się bać, lecz aż do tej chwili lęk drzemał gdzieś w zakamarkach jej umysłu. Oddech Jilly stał się płytki i przyspieszony, a serce łomotało w coraz bardziej szalonym rytmie, pompując z krwią fale przerażenia, które lada chwila mogło przerodzić się w panikę.

Nigdy nie interesowała jej władza nad innymi, ale za nic nie pozwoliłaby, aby ktoś zabronił jej być panią własnego losu. Może popełniała błędy, fakt, popełniała - mnóstwo błędów - ale jeżeli miała mieć spieprzone życie, to wolała spieprzyć je sama. Siłą odebrano jej władzę nad własnym losem, posłużono się chemią, narkotykami - z przyczyn, których nie rozumiała, choć bardzo starała się skupić na słowach swojego prześladowcy, mamroczonego coś na swoje usprawiedliwienie.

Wraz ze strachem załapała ją fala gniewu. Pomimo gróźb o karaoke i karate, mimo pozowania na Amazonkę z Południowego Zachodu, Jilly nie miała natury wojowniczkowej rozdzielającej rąk na prawo i lewo. Jej bronią z wyboru był humor i wdzięk. Teraz jednak, widząc przed sobą obfity tyłek napastnika, miała ochotę wymierzyć mu potężnego kopniaka. Gdy komiwojażer-lekarz, czy kim on tam był, podszedł do biurka po colę i trzy torebki fistaszków, Jilly jeszcze raz usiłowała wstać z łóżka, przejęta świętym oburzeniem.

I znów jej tratwa zachybotała się na jaskrawym morzu fatalnego wystroju motelu. Drugi atak zawrotów głowy, jeszcze gorszy od poprzedniego, wywołał wir mdłości, który ścisnął jej żołądek, więc zamiast kopnąć gruby tyłek, jak sobie wyobraziła, jęknęła tylko:

- Będę rzygać.

Zgarniając puszkę coli i fistaszki i zabierając swoją torbę lekarską, nieznajomy rzekł:

- Lepiej się opanuj. Skutki znieczulenia mogą utrzymywać się dość długo. Mogłabyś znów stracić przytomność, a jeżeli zemdlejesz podczas torsji, skończysz jak Janis Joplin i Jimi Hendrix, dusząc się własnymi wymiocinami.

Och, cudownie. Po prostu wyszła kupić piwo korzenne. Zupełnie niewinnie. Nie wiązało się z tym żadne szczególne ryzyko. Rozumiała, że będzie musiała okupić przyjemność picia suchą grzanką na śniadanie, lecz przez myśl jej nie przeszło, że narazi się na niebezpieczeństwo uduszenia własnymi wymiocinami. Gdyby wiedziała, w ogóle nie ruszałaby się z pokoju i piła wodę z kranu; w końcu to, co było dobre dla Freda, było też dobre dla niej.

- Leż spokojnie - polecił jej dziwak bez cienia rozkazującego tonu, ale z czymś w rodzaju troski. - Leż spokojnie, to mdłości i zawroty głowy miną po dwóch, trzech minutach. Nie chcę, żebyś się udusiła, to byłoby głupie, ale nie mogę ryzykować i zostać, żeby cię niańczyć. Pamiętaj, jeśli mnie dopadną i dowiedzą się, co zrobiłem, zaczną szukać każdego, komu zrobiłem zastrzyk i zabiją cię.

Pamiętaj'? Zabijają? Oni?

W ogóle nie przypominała sobie, żeby ją przed czymś podobnym ostrzegął, doszła więc do wniosku, że musiał o tym mówić, gdy jej umysł, nad którym zaczęła już odzyskiwać panowanie, tkwił pogrążony w oparach mgły gęstej jak londyńska. Stojąc przy drzwiach, obejrzał się.

- Policja nie ochroni cię przed tymi ludźmi. Nikt ci nie pomoże.

Leżąc na kołyszącym się łóżku w rozchwybotanym pokoju, nie mogła powstrzymać myśli o kanapce z kurczakiem grubo posmarowanej majonezem i tłustych frytkach, które jadła wieczorem. Starła się skupić na napastniku, pragnąc zaatakować go słowami, skoro nie mogła dać mu kopniaka w tyłek, ale kolacja wciąż podchodziła jej do gardła.

- Jedyna twoja szansa - powiedział mężczyzna - to wydostać się z obszaru poszukiwań, zanim cię zatrzymają i zmuszą do badania krwi.

Kanapka z kurczakiem szamotała się w niej, jak gdyby zachowała resztki kurzej świadomości, jak gdyby ptak próbował podjąć pierwszą niezdarną próbę powrotu do życia.

Jednak Jilly zdołała się odezwać, wstydząc się w tej samej chwili, że poczęstowała go obelgą, która i tak byłaby kiepska, nawet gdyby wypowiedziała ją bezbłędnie:

- Docałuj mnie w pupę.

W klubach często musiała sobie radzić z wesołkami, którzy zachowywali się jak bydło na widowni, waliła ich po tępych łbach, wykręcała grube karki i kasała złośliwe serca, dopóki nie zaczęli wołać mamy - w przenośni, oczywiście - bombardując ich słowami, które odnosiły skutek jak ciosy Mohammeda Alego z jego najlepszego okresu. Jednak w oszołomieniu po zaaplikowanym specyfiku wydawała się równie zabawna jak majonez, który w tym momencie był najmniej śmieszną substancją we wszechświecie.

- Jesteś tak atrakcyjna - powiedział mężczyzna - że na pewno ktoś się tobą zajmie.

- Kłupi gutas - odrzekła, jeszcze bardziej zażenowana zupełnym upadkiem swej, kiedyś potężnej, słownej maszyny wojennej.

- W przyszłości, dobrze ci radzę, lepiej nie puszczaj pary z ust o tym, co się tu wydarzyło...

- Tłupi gukas - poprawiła się, zdając sobie tylko sprawę, że odkryła nowy sposób przekręcania tej samej obelgi.

- ...nie wychylaj się...

- Głupi kutas - powiedziała, tym razem wyraźnie, choć epitet zabrzmiał mniej dobitnie niż wymówiony z błędem.

- ...i nigdy nie mów nikomu, co ci się przydarzyło, bo gdy tylko wyjdzie to na jaw, wezmą cię na cel.

- Skruwiel! - niemal wyrzuciła z siebie, choć takimi wulgaryzmami, wypowiedzanymi poprawnie czy nie, raczej się nie posługiwała.

- Powodzenia - rzekł i wyszedł, zabierając ze sobą colę, fistaszki i diaboliczny, roztargniony uśmiech.

7 Dylan odciął się od krzesła i odwiedził łazienkę - siku chciało mu się aż strach, dylu ciach-ciach - a po powrocie stwierdził, że Shep wstał od biurka i odwrócił się plecami do

niedokończonej świątyni sinto. Zwykle gdy był pochłonięty układanką, nie można go było od niej odciągnąć obietnicami ani nagrodami, ani siłą, dopóki nie wstawił we właściwe miejsce ostatniego kawałka. Teraz jednak stał w nogach łóżka, wpatrując się z uwagą w przestrzeń, jak gdyby dostrzegł tam jakiś fizyczny kształt, i szepnął, nie do Dylana i prawdopodobnie nie do siebie, ale do zjawy, którą widział tylko on:

- Przy blasku księżyca.

W okresach przytomności Shepherd zazwyczaj emanował osobliwością jak świeca blaskiem. Dylan przyzwyczaił się do życia w aurze dziwactw brata. Był prawnym opiekunem Shepa od ponad dekady, od przedwczesnej śmierci matki, która nastąpiła, gdy Shep miał dziesięć lat, dwa dni przed dziewiętnastymi urodzinami Dylana. Po tak długim czasie żadne słowa ani działania Shepa raczej nie mogły go już zaskoczyć. Dawniej czasem uważał, że osobliwe zachowanie Shepa bywa straszne, lecz przez wiele lat młodszy brat nie zrobił niczego, co mogłoby wzbudzić w Dylanie dreszcz przerażenia - aż do tej chwili.

- Przy blasku księżyca.

Shep wyglądał tak samo sztywno i pokracznie jak zawsze, ale jego postawa zdradzała niezwykle wzburzenie. Czoło, zwykle gładkie i spokojne jak u Buddy, zmarszczyło się. Na twarzy malował się wyraz surowości, jakiej Dylan nigdy u niego nie widział. Shep przyglądał się widmu, którego nikt poza nim nie mógł zobaczyć, zagryzając wargę z gniewem i zaniepokojeniem. Dłonie zacisnął w pięści, jak gdyby miał ochotę wymierzyć komuś cios, choć nigdy przedtem Shepherd O'Conner w złości nie podniósł na nikogo ręki.

- Shep, co się dzieje?

Jeśli wierzyć szalonemu lekarzowi ze strzykawką, musieli stąd szybko wiać. Ucieczka wymagała jednak współdziałania Shepa, który sprawiał wrażenie, jakby znalazł się na krawędzi wybuchu i jeśli się nie uspokoi, trudno sobie będzie z nim poradzić. Brat był niższy od Dylana, ale miał pięć stóp dziesięć cali wzrostu i ważył sto sześćdziesiąt funtów, nie można więc było go prostu złapać za pasek i wynieść z pokoju motelowego jak walizki. Gdyby postanowił, że nie ma ochoty iść, złapałby się mocno słupka łóżka albo zaklinował w drzwiach, zapierając się rękami i nogami w futrynie.

- Shep? Hej, Shep, słyszysz mnie?

Chłopak zupełnie nie zwracał uwagi na Dylana, tak samo jak podczas pracy nad układanką. Interakcja z innymi istotami ludzkimi nie przychodziła mu tak łatwo jak przeciętnej osobie, a nawet nie tak łatwo jak mieszkającemu w jaskini pustelnikowi. Czasem nawiązywał kontakt, najczęściej tak intensywny, że człowiek czuł się nieswojo; większą część życia spędzał jednak we własnym, zupełnie nieznanym Dylanowi świecie, który równie dobrze mógłby się obracać wokół jakiejś nienazwanej gwiazdy w innej części Drogi Mlecznej, daleko od swojskiej Ziemi.

Shep opuścił głowę, oderwał wzrok od niewidzialnej twarzy niewidzialnej postaci i choć mógł widzieć tylko skrawek pustego dywanu, otworzył oczy szerzej, a usta zaczęły mu drgać, jakby miał się zaraz rozplakać. Przez twarz przemknęła mu cała seria emocji, jak gwałtownie zrywane kolejne zasłony, od grymasu gniewu, przez żalną bezradność po czarną rozpacz. Rozluźnił palce, wściekle zacisnięte w pięści, i stanął z opuszczonymi bezwładnie rękami.

Gdy Dylan ujrzał łzy brata, podszedł do niego, delikatnie kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Popatrz na mnie, braciszku. Powiedz mi, co się dzieje. Popatrz na mnie, zobacz mnie, skup się, Shep. Skup się. Czasami, nawet bez ponagleń, Shep umiał prawie normalnie, choć

niezdarnie, komunikować się z Dylanem i innymi. Najczęściej jednak trzeba go było naprowadzać, wytrwale i cierpliwie zachęcając, by nawiązał i utrzymał kontakt.

Rozmowa z Shepem często zależała od kontaktu wzrokowego, ale chłopak rzadko pozwalał na taki stopień bliskości. Unikał otwartości być może nie tylko z powodu poważnego zaburzenia psychicznego i nie dlatego, że był patologicznie nieśmiały. Popuszczając wodze fantazji, Dylan był kiedyś skłonny uwierzyć, że Shep zaczął uciekać od świata już we wczesnym dzieciństwie, bo odkrył, że potrafi wyczytać sekrety duszy z oczu człowieka... i nie umie znieść tego, co widzi.

- Przy blasku księżyca - powtórzył Shep, tym razem wbijając wzrok w podłogę. Szept przeszedł w ciche mruczenie, a jego głos rwał się jakby zduszony smutkiem.

Shep rzadko mówił, a kiedy już to się zdarzało, nigdy nie wyrzucał z siebie steku bzdur, nawet jeśli czasem zdawało się, że to kompletne bzdury. W każdej wypowiedzi krył się motyw i znaczenie, które należało odkryć, lecz chłopak bywał bardzo enigmatyczny i komunikat nie zawsze można było zrozumieć, między innymi dlatego, że Dylanowi brakowało cierpliwości i mądrości, by rozwiązać zagadkę jego słów. Teraz jednak jego rozgorączkowanie zdradzało, że chce przekazać coś wyjątkowo ważnego, przynajmniej dla siebie.

- Popatrz na mnie, Shep. Musimy porozmawiać. Shepherd, możemy porozmawiać?

Shep pokręcił głową, wyrażając być może niedowierzanie na widok tego, co zobaczył na podłodze pokoju i co doprowadziło go do łez, a być może w odpowiedzi na pytanie brata.

Dylan ujął Shepa za podbródek i delikatnie uniósł mu głowę. - Co się dzieje?

Być może Shep zrozumiał, o co chodzi bratu, ale nawet patrząc mu prosto w oczy, Dylan ujrzał tylko nieprzenikloną tajemnicę trudniejszą do rozszyfrowania niż hieroglify egipskie.

Gdy jego ciemne oczy trochę obeschły, chłopak powiedział: - Księżyc, oko nocy, lampa lunarna, zielony krąg, niebiańska latarnia, galeon widmo, świetlisty wędrowiec...

To znajome zachowanie, wynikające zapewne z prawdziwej obsesji na punkcie synonimów, a może będące kolejną techniką unikania normalnej rozmowy, mimo upływu lat wciąż jeszcze czasami drażniło Dylana. Teraz, gdy w jego żyłach krążyło niezidentyfikowane złociste serum, a z wiatrem pustyni gnali do nich okrutni mordercy, rozdrażnienie szybko przerodziło się w irytację i złość.

- ...srebrzysty glob, lampa jesiennej pełni, najwyższy władca prawdziwej melancholii.

Trzymając dłoń pod brodą brata i łagodnie starając się skupić na sobie jego uwagę, Dylan rzekł:

- A to ostatnie - to Szekspir? Nie cytuj mi Szekspira, Shep. Lepiej zareaguj. Co się dzieje? Pospiesz się i pomóż mi. O co chodzi z tym księżycem? Dlaczego się denerwujesz? Co mogę zrobić, żebyś się lepiej poczuł?

Wyczerpawszy zasób synonimów i metafor księżyca, Shep skupił się na słowie „światło”, klepiąc z uporem, który świadczył, że w jego słowach kryje się więcej znaczenia, niż się wydaje:

- Światło, iluminacja, blask, promień, jasność, świetlistość, błysk, lśnienie, najstarsza córka Boga...

- Shep, przestań - powiedział: stanowczo Dylan, unikając jednak surowego tonu. - Nie przemawiaj do mnie, ale ze mną rozmawiaj.

Shep wcale nie próbował odwrócić się od brata. Zamknął tylko oczy, grzebiąc resztki nadziei, że kontakt wzrokowy doprowadzi w końcu do sensownej rozmowy.

- ...promienność, ogień, pożar, łuna, płomień... - Pomóż mi - błagał Dylan. - Spakuj układankę. - ...połysk, odbłysek, poblask...

Dylan spojrział na stopy Shepa w samych skarpetkach. - Włóż buty, dziecko.

- ...jarzenie się, żarzenie się, poświęca...

- Spakuj układankę, włóż buty. - Cierpliwe powtarzanie czasem skłaniało Shepa do działania.

- Układanka, buty. Układanka, buty.

- ...przebłysk, odbłask, migot, migotanie - ciągnął Shep, poruszając gałkami ocznymi pod powiekami, jakby głęboko spał i śnił.

Jedna walizka stała obok łóżka, druga leżała otwarta na komodzie. Dylan zamknął otwartą torbę, podniósł obie i podszedł do drzwi.

- Shep. Układanka, buty. Układanka, buty. Stojąc tam, gdzie zostawił go brat, Shep recytował: - Iskra, iskrzenie, płomyk...

Aby rozdrażnienie nie przerodziło się w wybuch wściekłości, Dylan otworzył drzwi i wystawił na zewnątrz walizki. Powietrze wieczoru wciąż przypominało buchający z pieca żar, wysuszony jak spalona skórka grzanki.

Na niemal pustym parkingu padał żółty blask latarni, jak suchy deszcz, wsiąkając natychmiast w czarny asfalt niczym promienie światła wsysane przez czarną dziurę. Szerokie cienie o ostro zarysowanych krawędziach przywodziły na myśl gilotynę, wzmagając nastrój oczekiwania na egzekucję, ale Dylan nie zauważył, by teren motelu roił się od oddziałów zabójców zbrojnych w pistolety.

Jego biały ford expedition stał zaparkowany niedaleko. W przymocowanym do dachu wodoszczelnym bagażniku Dylan trzymał swoje malarskie akcesoria, a także gotowe obrazy, które wystawił na sprzedaż na niedawnym festiwalu sztuki w Tucson (gdzie sprzedał pięć) i zamierzał wystawić także w Santa Fe na podobnych imprezach.

Otwierając tylną klapę i szybko ładując walizki do samochodu, rozejrzał się w prawo i w lewo, obejrzał się też za siebie w obawie przed ponownym atakiem, jak gdyby się spodziewał, że stuknięci lekarze z ogromnymi strzykawkami wypełnionymi szprycą poruszają się w stadach jak kojoty w pustynnych kanionach, wilki w dziewiczych lasach i adwokaci wietrzący okazję, by wystąpić o odszkodowanie dla ofiary.

Kiedy wrócił do pokoju, zastał Shepa dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go zostawił: chłopak wciąż był w skarpetkach, miał zamknięte oczy i demonstrował imponujące słownictwo:

- ...fluorescencja, fosforescencja, bioluminescencja... Dylan przypadł do biurka, rozsypał ułożoną część obrazka i powrzucał kawałki świątyni sinto i drzew wiśniowych do pudełka. Wolałby zostawić układankę, żeby było szybciej, ale przypuszczał, że Shep nie zgodziłby się bez niej wyjechać. Shepherd na pewno usłyszał i rozpoznał charakterystyczny odgłos wsypywania do kartonu elementów obrazka. Zazwyczaj ruszyłyby od razu, by bronić swej niedokończonej pracy, lecz nie tym razem. Z zamkniętymi oczami kontynuował monotonne wyliczanie wielu nazw i form światła:

- ...błyskawica, wyładowanie, skacząca iskra, grom, piorun rozłupujący drzewa...

Nakładając wieczko na pudełko, Dylan odwrócił się od biurka i obrzucił przelotnym spojrzeniem buty brata. Rockporty, takie same jak Dylana, ale mniejsze o kilka numerów. Za dużo zachodu, żeby posadzić chłopca na skraju łóżka, wsunąć mu stopy w buty i zawiązać sznurowadła. Dylan porwał je z podłogi i postawił na pudełku z układanką.

- ...płomień świecy, blask lampy, ogień pochodni... Dylana zaczęło piec i swędzieć miejsce po zastrzyku. Powstrzymał się, by zderzyć plaster z rysunkiem psa i podrapać ranę po ułkuciu, ponieważ obawiał się, że kolorowy opatrunek kryje okropny dowód, iż substancja w strzykawce była gorsza niż narkotyk, gorsza niż zwykły środek toksyczny, gorsza niż wszystkie znane choroby. Pod małym trójkątem gazy mógł się czuć coraz większy drgający pomarańczowy grzyb albo czarna wysypka, albo pierwszy znak, że jego skóra zaczyna się przekształcać w zielone łuski, a on z człowieka zmienia się w gada. Udręczony obrazami prosto z „Archiwum X” nie miał odwagi sprawdzić przyczyny swędzenia.

- ...blask ognia, światło gazowe, fosforyzowanie, fatamorgana...

Dźwigając układanę i obuwie brata, Dylan wbiegł do łazienki, mijając Shepa. Nie zdążył rozpakować szczoteczek do zębów ani przyborów do golenia, ale na półce obok umywalki postawił plastikową fiolkę z przepisaniem lekiem przeciwhistaminowym. W tym momencie najmniej przejmował się alergią; mimo to, nawet gdyby miał zostać pożarty żywcem przez złośliwy pomarańczowy grzyb, zmieniając się równocześnie w gada ściganego przez okrutnych morderców, wołał uniknąć komplikacji w postaci kataru i bólu zatok.

- ...chemoluminescencja, krystaloluminescencja, przeciwbłask...

Wracając z łazienki, Dylan powiedział z nadzieją w głosie: - Shep, chodźmy. Ruszaj się, idziemy.

- ...promieniowanie fioletowe, promieniowanie ultrafioletowe...

- Mówię poważnie, Shep.

- ...promieniowanie podczerwone... - Shep, wpakujemy się w kłopoty. - ...promieniowanie aktywnicze...

- Nie zmuszaj mnie, żebym był niemiły - błagał Dylan. - ...dzień, świt...

- Proszę cię, nie zmuszaj mnie, żebym był niemiły. - ...światło słoneczne, promień słońca...

8-Skruwiel - powtórzyła Jilly, zwracając się do zamkniętych drzwi, a potem chyba miała chwilę przerwy, bo stwierdziła, że nie leży już w kołyszącym się łóżku, ale twarzą na podłodze. Przez moment nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie jest, lecz smród brudnego dywanu nie pozostawiał żadnych złudzeń, że nie zamieszkała w apartamencie prezydenckim w Ritzu-Carltonie.

Bohatersko wygramoliła się na kolana i na czworakach odsunęła się od zdradzieckiego łóżka. Kiedy się zorientowała, że telefon stoi na nocnym stoliku, wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wróciła tam, skąd przyszła.

Sięgnęła w górę, potrafiła zegar, wreszcie zdjęła ze stolika telefon. Łatwo poszło, bo na końcu aparatu dyndał zerwany kabel. Widocznie miłośnik fistaszków odciął go, żeby uniemożliwić jej wezwanie glin.

Jilly zastanawiała się przez chwilę, czy nie zacząć wołać o pomoc, niepokoiła się jednak, że napastnik, jeśli nadal był blisko, może zareagować pierwszy. Nie miała ochoty na następny zastrzyk, nie chciała zostać ogłuszona kopniakiem w głowę i nie zamierzała znów wysłuchiwać brzęczącego monologu.

Koncentrując się i wyęzając wszystkie swoje siły Amazonki, zdołała dźwignąć się z podłogi i sięść na skraju łóżka. Świetnie. Uśmiechnęła się w nagłym przypływie dumy. Nasza mafia potrafi sama usiąść.

Podbudowana sukcesem, Jilly spróbowała wstać. Zachwiała się, przytrzymując się ręką nocnego stolika, by utrzymać równowagę, jednak mimo że kolana się pod nią ugięły, nie upadła. Znowu poszło, świetnie. Nasza mała umie sama prosto stać, jak gatunek z rzędu naczelnych i na pewno prościej niż niektórzy jego przedstawiciele.

Jednak najbardziej zadowolona była z tego, że nie zwymiotowała, choć wcześniej była pewna, że to nieuniknione. Już nie czuła mdłości, ale czuła się... dziwnie.

Przekonana, że umie stać, nie opierając się o meble, i że przypomni sobie, jak się chodzi, kiedy tylko spróbuje, Jilly ruszyła w stronę drzwi lukiem, aby zrównoważyć lekkie huśtanie podłogi przypominające kołysanie pokładu statku na spokojnym morzu.

Musiała się zmierzyć z technicznym wyzwaniem, jakie stanowiła klamka, lecz gdy po krótkich manipulacjach otworzyła drzwi i pokonała próg, ciepły wieczór ożywił ją o wiele lepiej niż chłód pokoju motelowego. Suche, wywołujące pragnienie powietrze pustyni wysssało z niej wilgoć, a razem z wilgocią resztki zamroczenia.

Skreśliła w prawo, w kierunku biura motelu znajdującego się na końcu przygnębiająco długiego i skomplikowanego ciągu zadaszonych korytarzyków, który wzorowano zapewne na labiryncie przeznaczonym dla szczurów laboratoryjnych.

Po kilku krokach zorientowała się, że jej cadillac coupe deville zniknął. Zaparkowała samochód dwadzieścia stóp od drzwi pokoju; jednak wcale nie stał tam, gdzie go zostawiła, o ile dobrze pamiętała. Pozostał pusty asfalt.

Ruszyła zygzakiem w stronę opuszczonego miejsca parkingowego, wpatrując się w nawierzchnię, jak gdyby spodziewała się tam znaleźć wyjaśnienie zniknięcia auta: być może zwięzłą, lecz miłą notkę: „Wyrazy wdzięczności, ukochana, twój granatowy załadowany po brzegi cadillac coupe deville”.

Znalazła tylko pełną paczkę fistaszków, upuszczoną zapewne przez uśmiechniętego komiwojażera-który-nie-był-komiwojazerem, i martwego, lecz mimo to imponującego żuka kształtu i wielkości połówki awokado. Owad leżał na lśniącym pancerzu, z wyciągniętymi sztywno sześciorami odnóżami, ale jego widok wzbudził w Jilly o wiele mniej uczuć, niż gdyby to było kociątko lub szczenię.

Nie przejawiając zainteresowania entomologią, zostawiła żuka z wyprężonymi nogami, ale pochyliła się, żeby wziąć z jezdni torebkę orzeszków. Po lekturze Agaty Christie, gdy tylko zobaczyła fistaszki, była przekonana, że znalazła cenny ślad, za który policja będzie jej wdzięczna.

Prostując się, stwierdziła, że ciepłe i suche powietrze wcale nie usunęło skutków działania narkozy tak dokładnie, jak sądziła. Kiedy zawroty głowy minęły, zastanawiała się, czy dobrze zapamiętała miejsce zaparkowania cadillaca. Być może stał dwadzieścia stóp w lewo od pokoju, a nie w prawo.

Patrząc w tamtą stronę, ujrzała białego forda expedition w odległości kilkunastu stóp. Jej samochód mógł stać po drugiej stronie terenowego auta.

Przestąpiwszy żuka, wróciła do zadashzonego korytarzyka. Zbliżyła się do forda, zdając sobie sprawę, że zmierza w kierunku wnęki z automatami, gdzie może sobie kupić następne piwo korzenne, przez które wpakowała się w tę kabałę.

Gdy minęła furgonetkę i nie znalazła cadillaca, zauważyła dwóch ludzi biegnących w jej stronę. Zanim zdążyła się przyjrzeć uważniej dziwacznej parze, powiedziała:

- Ten uśmiechnięty gnojek ukradł mi samochód.

Pierwszy z mężczyzn - wysoki i zbudowany jak zawodnik ligi futbolowej - niósł pudło wielkości opakowania pizzy, na którym chwiała się para butów. Mimo zwalistej postury nie wyglądał ani trochę groźnie, być może dlatego, że przypominał niedźwiedzia. Nie krwiożerczego grizzly gotowego wypruć każdemu flaki, ale dobrotliwego misia fajtlapę z filmu Disneya. Był ubrany w wymięte spodnie khaki i żółto-niebieską koszulę hawajską, a na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zatroskania, jak gdyby właśnie ogołocił ul z miodu i spodziewał się ataku roju rozgniewanych pszczół.

Towarzyszył mu niższy i młodszy mężczyzna - miał może pięć stóp i dziewięć, dziesięć cali wzrostu i ważył jakieś sto sześćdziesiąt funtów - ubrany w niebieskie dżinsy i białą koszulkę z rysunkiem kojota, nieszczęsnego prześladowcy Strusia Pędziwiatra. Był bez butów i szedł za wyższym mężczyzną z ociąganiem; na prawej nodze miał porządnie nałożoną skarpetkę, ale lewa była luźna i powłóczył nią przy każdym kroku.

Mimo że fan kojota trzymał bezwładnie opuszczone ręce i nie stawiał oporu, Jilly doszła do wniosku, że wcale nie ma ochoty iść z niedźwiedziowatym, ponieważ był ciągnięty za ucho. Z początku zdawało się jej, że niższy protestuje przeciw takiemu upokorzeniu. Gdy zbliżyli się do niej, usłyszała wyraźniej słowa młodszego i raczej nie mogła ich zinterpretować jako sprzeciwu.

- ...elektroluminescencja, luminescencja katodowa... Niedźwiedziowaty przystanął przed Jilly, zatrzymując też niższego. Głosem znacznie niższym - lecz nie mniej łagodnym - od głosu Kubusia Puchatka, powiedział:

- Przepraszam, ale nie słyszałem, co pani mówiła. Przechylając głowę z powodu dłoni trzymającej go za lewe ucho, młodszy cały czas gadał, ale chyba nie zwracając się ani do zwalistego, ani do Jilly:

- ...nimb, aureola, halo, korona, halo przysłoneczne...

Nie była pewna, czy to spotkanie rzeczywiście jest tak osobliwe, jak się wydawało, czy może jej percepcję zaburzają długotrwałe skutki narkozy. Głos rozsądku nakazywał jej milczeć i czym prędzej biec do biura motelu, byle dalej od pary nieznajomych, ale głos rozsądku był ledwie szeptem, powtórzyła więc: - Ten uśmiechnięty gnojek ukradł mi samochód.

- ...zorza polarna południowa, zorza polarna północna, światło gwiazd...

Zauważając wzrok Jilly, wielkolud rzekł: - To mój brat, Shep.

- ...światłość, stopoświeca, strumień świetlny...

- Miło mi cię poznać, Shep - powiedziała, nie dlatego, że rzeczywiście było jej miło, ale nie wiedziała, co innego można powiedzieć, bo nigdy wcześniej nie znalazła się w takiej sytuacji.

- ...kwant światła, foton, bougie decimale - rzekł Shep, nie patrząc jej w oczy i dalej wyrzucając z siebie potok bezsensownych słów, gdy Jilly rozmawiała z jego starszym bratem.

- Jestem Dylan.

Wcale nie wyglądał na Dylana. Wyglądał jak Bruno albo Samson, albo Łagodny Ben.

- Shep jest trochę chory - wyjaśnił Dylan. - Ale nieszkodliwy. Nie bój się. Jest tylko... niezupełnie normalny.

- A kto dziś jest? - odparła Jilly. - Normalność skończyła się może w 1953 roku. - Czując nawrót zamroczenia, oparła się o jeden ze słupków podtrzymujących zadaszenie korytarzyka.

- Muszę wezwać gliny.

- Powiedziała pani „uśmiechnięty gnojek”.

- Dwa razy.

- Jaki uśmiechnięty gnojek? - spytał z takim zaniepokojeniem, jak gdyby chodziło o jego samochód, nie jej.

- Uśmiechnięty gnojek, który je orzeszki, wbija igły i kradnie samochody, taki gnojek.

- Ma pani coś na ręce.

Zerknęła ciekawie, spodziewając się ujrzeć zmartwychwstałego żuka.

- Ach, to plaster.

- Króliczek - powiedział, marszcząc z niepokojem szeroką twarz.

- Nie, plaster.

- Króliczek - upierał się. - Sukinsyn dał pani królika. Ja mam tańczącego psa.

W zadaszonym przejściu było dość światła, by Jilly zauważyła, że oboje paradują z opatrunkami dla dzieci: ona ma kolorowego figlarnego królika, on rozradowanego szczeniaka.

Usłyszała głos Shepa, który mówił nieprzerwanie: - ...lumen, kandelogodzina, lumenogodzina... Przestała go słuchać, przypominając sobie:

- Muszę wezwać gliny.

Dylan, który do tej pory mówił bardzo serio, przemówił jeszcze poważniej:

- Nie, nie. Lepiej nie mieszajmy w to glin. Nie mówił pani, co się ma stać?

- On, czyli kto?

- Stuknięty lekarz.

- Jaki lekarz?

- Ten gnojek wbijający igły

- To był lekarz? Mnie się wydawało, że to komiwojażer. - Dlaczego sądzi pani, że to komiwojażer?

Jilly zmarszczyła brwi. - Nie jestem pewna.

- Oczywiście, że to był jakiś stuknięty lekarz.

- To dlaczego rozbija się po motelu, atakuje ludzi i kradnie cadillaki? Czemu nie zabija pacjentów w swoim prywatnym gabinecie, tak jak powinien?

- Nic pani nie jest? - zapytał Dylan, przyglądając się jej uważniej. - Nie wygląda pani za dobrze.

- Prawie się porzygałam, potem udało mi się powstrzymać, potem znowu chciałam wymiotować i znowu nic. To przez narkozę.

- Jaką narkozę?

- Chyba chloroform. Stuknięty komiwojażer. - Pokręciła głową. - Nie, ma pan rację, to musiał być lekarz. Komiwojażerowie nie podają narkozy.

- Mnie po prostu walnął w głowę.

- To bardziej podobne do komiwojażera. Muszę zadzwonić po gliny.

- Nie ma mowy. Nie mówił pani, że zaraz zjawią się tu zawodowi mordercy?

- Cieszę się, że nie amatorzy. Jeśli już trzeba zginać, lepiej z ręki profesjonalisty. A w ogóle wierzy mu pan? To bandyta i złodziej samochodów.

- Wydaje mi się, że mówił prawdę.

- To zakłamanym worek łajna - upierała się.

- Przezroczyście, promienistość, pochodnia słoneczna - powiedział, Shep, tak to w każdym razie brzmiało, choć Jilly nie była pewna, czy któreś z tych sylab faktycznie są słowami.

Dylan spojrzął na coś ponad ramieniem Jilly i kiedy dal się słyszeć ryk silników, obejrzała się, szukając źródła tego dźwięku. Obok parkingu biegła ulica. Jej przeciwległą stronę

osłaniał nasyp, nad którym ze wschodu na zachód, równoległe do szlaku księżycy, przebiegała autostrada międzystanowa. Po łuku zjazdu mknęły z zawrotną szybkością trzy wozy terenowe.

- ...światło, iluminacja, blask, promień...

- Shep, chyba się powtarzasz - powiedział, Dylan, nie odrywając wzroku od trzech wozów.

Były to trzy identyczne chevrolety suburbany. Szyby ciemne jak przyłbica Dartha Vadera skutecznie ukrywały pasażerów. - ...jasność, świetlistość, błysk, lśnienie...

Nawet nie próbując hamować, pierwszy chevrolet przejechał znak stopu na dole zjazdu i przeciął cichą dotąd ulicę. Była to północna strona motelu, a wjazd na parking znajdował się od frontu kompleksu budynków, od strony zachodniej. Nie zatrzymując się pod znakiem stopu, kierowca okazał brak respektu wobec kodeksu drogowego; teraz z fantazją zademonstrował brak poszanowania dla tradycyjnej konstrukcji drogi. Chevrolet przeskoczył krawężnik, przerył szeroki na dziesięć stóp pas zieleni, wyrzucając spod kół grudki ziemi i zmiażdżone kawałki kwitnącej lantany, uniknął zderzenia z drugim krawężnikiem, wylądował czterema kołami na parkingu mniej więcej sześćdziesiąt stóp od Jilly, ostro skręcił, nie żałując gum, i pomknął na zachód, na tyły motelu.

- ...promienność, ogień, pożar...

Drugi chevrolet suburban podążył za pierwszym, a trzeci za nim, siekając następne porcje sałatki z lantany. Jednak kiedy dwa pozostałe samochody znalazły się na parkingu, drugi, zamiast jechać za pierwszym, skręcił na wschód w kierunku frontu motelu. Trzeci ruszył prosto na Jilly, Dylana i Shepa.

- ...łuna, płomień...

Gdy Jilly pomyślała, że furgonetka zaraz ich rozjedzie i rozważała, czy uskoczyć w lewo, czy w prawo, zastanawiając się równocześnie, czy jednak nie zwymiotować, trzeci kierowca okazał się nie gorszym showmanem niż jego dwaj koledzy. Chevrolet zahamował tak ostro, że niemal zarył przednim zderzakiem w ziemię. Na dachu nagle rozbłysły cztery ruchome reflektory, wzięły ich na cel i zalały ostrym światłem o mocy zdolnej upiec szpik w kościach.

- ...połysk, odbłysk, poblask...

Jilly miała wrażenie, jak gdyby zamiast przed zwykłym ziemskim pojazdem stanęła przed wehikułem kosmitów, którzy prześwietlą jej ciało, wysną umysł i przeszukają duszę promieniami rejestrującymi dane, w ciągu sześciu sekund policzą atomy w jej ciele, przejrzą wspomnienia z całego życia, poczynając od chwili, gdy niechętnie opuściła łono matki, i wydrukują surową naganę za żalсны stan postrzępionej bielizny.

Po chwili reflektory zgasły, a przed jej oczami mignęły cienie światła jak fosforyzujące meduzy. Gdyby nawet nie została oślepią, nie potrafiłaby dojrzeć twarzy kierowcy ani nikogo innego siedzącego w furgonetce. Szyby nie były po prostu przyciemniane, ale zrobione chyba z jakiegoś egzotycznego materiału, przezroczystego od wewnątrz, a z zewnątrz nieprzeniknionego jak płyta czarnego granitu.

Ponieważ Jilly, Dylan i Shep nie stanowili - na razie - celu poszukiwań, chevrolet skręcił, wymijając ich. Kierowca wdusił pedał gazu i wóz pomknął na wschód, w kierunku frontu motelu, dołączając do drugiego samochodu, który z piskiem opon skręcił już za róg budynku i zniknął im z oczu.

Shep zamilkł.

Mając na myśli stukniętego lekarza, który ostrzegał, że będą go ścigać bezwzględni ludzie, Dylan rzekł:

- Może jednak wcale nie był z niego taki zakłamanym worek łajna.

9 Nastąpiły wyjątkowe czasy, pełne szaleńców wygłaszających płomienne mowy na cześć przemocy, zakochanych w bogu przemocy, czasy inwazji apologetów zła, którzy obwiniali ofiary za własne cierpienia i wybaczaali mordercom w imię sprawiedliwości. Nastąpiły czasy wciąż wstrząsane intrygami utopistów, które w ubiegłym wieku omal nie doprowadziły do katastrofy cywilizacji, bombardowane niszczycielskimi kulami ideologii, które w pierwszych latach nowego milenium atakowały z coraz mniejszą siłą, ale pozostało im jeszcze tyle mocy, by pogrzać nadzieje rzesz, jeśli zdrowi na umyśle ludzie nie zachowają czujności. Dylan O'Conner rozumiał ten burzliwy wiek, mimo to zachował głęboki optymizm, bo w każdej chwili każdego dnia, w najlepszych dziełach ludzkości oraz we wszystkich barokowych detalach natury widział piękno, które pokrzepiało go na duchu, i wszędzie odnajdywał potężną architekturę i subtelność szczegółów, które przekonywały go, że świat ma równie przemyślaną konstrukcję jak jego obrazy. Połączenie realistycznej oceny, wiary, zdrowego rozsądku i niezachwianej nadziei sprawiało, że wydarzenia tych czasów rzadko wprawiały go w zdumienie i przejmowały grozą, i nigdy nie pogrążyły w rozpacz.

Dlatego też, kiedy Dylan dowiedział się, że przyjaciel i towarzysz podróży Jillian Jackson, Fred, jest sukulentem i pochodzi z południowej Afryki, zdziwił się tylko trochę, w ogóle się nie przeraził i zamiast przygnębienia poczuł ulgę. Gdyby chodziło o innego Freda, nie roślinę, miałoby znacznie więcej kłopotów i komplikacji niż z niewielką zieloną istotą w glazurowanej donicy z terakoty.

Mając na uwadze trzy czarne chevrolety krążące wokół motelu jak trójka głodnych rekinów grasujących po asfaltowym morzu, Jilly pospieszenie spakowała swoje przybory toaletowe. Dylan załadował jej neseser i walizkę do forda przez tylną klapę.

Zamieszanie zawsze wytrącało biednego Shepa z równowagi, a gdy odczuwał niepokój, bywał najbardziej nieprzewidywalny. Teraz jednak, gdy najmniej można się było spodziewać po nim posłuszeństwa, potulnie wdrapał się do forda. Usiadł obok płóciennej torby z różnymi przedmiotami, które Dylan woził, by zająć nimi brata podczas długich godzin podróży, gdy Shepa nudziło obserwowanie pustki czy oglądanie własnych palców. Jilly upierała się, że będzie trzymać Freda na kolanach,

Shep miał więc tylne siedzenie tylko dla siebie, co powinno złagodzić jego niepokój.

Podchodząc do forda z doniczką w rękach i czując, że skutki narkozy wreszcie ustąpiły na dobre, Jilly zaczęła mieć nagle wątpliwości, czy powinna wsiadać do samochodu z dwoma mężczyznami, których zna dopiero od kilku minut.

- Równie dobrze mógłbyś być seryjnym mordercą - powiedziała do Dylana, który otworzył drzwi jej i Fredowi.

- Nie jestem seryjnym mordercą-zapewnił ją. - Tak właśnie powiedziałby seryjny morderca. - Tak samo powiedziałby człowiek niewinny.

- Zgadza się, ale tak właśnie powiedziałby seryjny morderca. - No już, wsiadaj - rzekł niecierpliwie.

Ostro reagując na jego ton, odparła: - Nie będziesz mi rozkazywał.

- Przecież nie rozkazuję.
- Nikt w ostatnich stuleciach nie rozkazywał nikomu z mojej rodziny.
- Wobec tego naprawdę musisz się nazywać Rockefeller. Czy byłabyś uprzejma wsiąść do samochodu?
- Nie jestem pewna, czy powinnam.
- Pamiętasz te trzy chevrolety, które wyglądały jak pojazdy Terminatora?
- W końcu jednak nie zainteresowały się nami.
- Ale niedługo się zainteresują - ostrzegł. - Wsiadaj do samochodu. "
- „Wsiadaj do samochodu, wsiadaj do samochodu”. Mówisz to zupełnie jak seryjny morderca.

Sfrustrowany Dylan wykrzyknął:

- Czy seryjni mordercy podróżują zwykle z upośledzonymi braćmi? Nie sądzisz, że przeszkadzałoby im to w dokonywaniu różnych makabrycznych rzeczy przy użyciu pil łańcuchowych i innych narzędzi?

- Może on też jest seryjnym mordercą.

Shep przyglądał się im zdezorientowany z tylnego siedzenia: z przekrzywioną głową, mrugając szeroko otwartymi oczami, nie wyglądał jak psychopata, ale raczej jak duży szczeniak, który czeka, żeby go zawieźć do parku na zabawę w łapanie frisbee.

- Seryjni mordercy nie zawsze wyglądają na krwiożerczych szaleńców - odrzekła Jilly. - Są przebiegli. W każdym razie, jeśli nawet nie jesteś mordercą, możesz być gwałcicielem.

- Nadzwyczaj uprzejma z ciebie kobieta - zauważył cierpko Dylan.

- Mógłbyś być gwałcicielem. Skąd mogę wiedzieć? - Nie jestem gwałcicielem.

- Tak właśnie powiedziałby gwałciciel.

- Na litość boską, nie jestem gwałcicielem. Jestem malarzem.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

- Słuchaj no, moja pani, to ty zwróciłaś się do mnie o pomoc, a nie odwrotnie. A skąd ja mam wiedzieć, kim ty jesteś? - Na pewno nie jestem gwałcicielem. Mężczyźni nie muszą się tego obawiać, prawda?

Rozglądając się nerwowo w obawie, że lada moment pojawią się z rykiem silników trzy czarne chevrolety, Dylan powiedział:

- Nie jestem seryjnym mordercą, gwałcicielem, kidnapierem, bandytą ulicznym, kieszonkowcem, włamywaczem, malwersantem, fałszerzem, złodziejem sklepowym, nie napadam na banki i nie przechodzę przez jezdnię w niedozwolonych miejscach! Dostałem dwa mandaty za przekroczenie prędkości, w zeszłym roku zapłaciłem karę za przetrzymanie książki z biblioteki, zatrzymałem sobie ćwierćdolarówkę i dwie dziesięciocentówki, które znalazłem w automacie, zamiast oddać je firmie telefonicznej, przez pewien czas nosiłem szerokie krawaty, kiedy w modzie były wąskie, a raz w parku oskarżono mnie, że nie sprzątnąłem kupy swojego psa, chociaż to wcale nie był mój pies, bo ja w ogóle nie mam psa! Wsiadaj do samochodu i wiejemy stąd albo stój i dalej się zastanawiaj, czy wyglądam, czy nie wyglądam jak Charles Manson z trochę gorszą fryzurą, ale z tobą czy bez ciebie spadam z Dodge City, zanim wrócą ci kaskaderzy za kółkiem i zaczną do mnie strzelać.

- Strasznie dużo mówisz jak na malarza. Wybałuszył na nią oczy.

- Co to niby ma znaczyć?

- Zawsze sądziłam, że domeną malarzy jest raczej ekspresja plastyczna, a nie werbalna.

- Rzeczywiście, jestem bardzo ekspresywny werbalnie. - To podejrzane jak na malarza.

- Co, wciąż myślisz, że jestem Kubą Rozpruwaczem? - A jak udowodnisz, że nie jesteś?

- I gwałcicielem.

- To całkiem możliwe - zauważyła.

- A więc jestem gwałcącym i mordującym wędrownym malarzem.

- To znaczy, że się przyznajesz?

- Co ty właściwie robisz - załatwiasz robotę psychiatrom? Robisz z ludzi idiotów, żeby lekarze od czubków nie narzekali na brak pacjentów?

- Jestem komikiem - oświadczyła.

- Jesteś bardzo mało zabawna jak na komika. Zjeżyła się.

- Nie widziałeś mnie na scenie.

- Wolałbym raczej zjeść garść gwoździ.

- Sądząc po twoich zębach, zjadłeś już tyle, żeby zbudować dom.

Wzdrygnął się, słysząc tę zniewagę. - To nie fair. Mam ładne zęby.

- Nie zachowuj się jak bydlę. Z takimi, co tak się zachowują, wszystko jest fair. Na widowni tacy są gorsi od robactwa. - Wysiadał z swojego samochodu - zażądał.

- Wcale nie siedzę w twoim samochodzie. - No to wsiądź, żebym cię mógł wyrzucić.

W jej głosie zabrzmiała zupełnie nowa nuta - głębokiej i zimnej jak lód pogardy.

- Masz coś do ludzi takich jak ja?

- Takich jak ty? Czyli stukniętych? Niezabawnych komików? Kobiet, które wchodzą w nienormalne związki z roślinami? Jej pogarda przybrała barwę i temperaturę burzy śnieżnej. - Oddaj moje torby.

- Z rozkoszą - zapewnił ją, natychmiast ruszając do tyłu forda. - Świetnie się składa - torby za głupią torbę.

Idąc za nim z Fredem w rękach, powiedziała:

- Za długo przebywałam w towarzystwie dorosłych mężczyzn. Zapomniałam, jak uroczy bywa dowcip dwunastolatków. Trafiła. Unosząc tylną klapę, zmierzył ją wściekłym spojrzeniem.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo boleję o to, że nie jestem seryjnym mordercą.

- Nad tym - powiedziała.

- Co?

- Bolejesz nad tym, że nie jesteś seryjnym mordercą. Według zasad gramatyki czasownik „boleć” łączy się w zdaniu z narzędnikiem, nie z biernikiem. Boleć można nad kimś lub czymś, nie o kogoś lub coś.

Mnąc w ustach sarkastyczną uwagę, Dylan wyrzucił z siebie: - Gówno prawda.

- Ależ tak - zapewniła go.

- Dobra, więc jestem półekspresywnym werbalnie, ukierunkowanym na ekspresję plastyczną malarzem - przypomniał jej, wyciągając walizkę z forda i stawiając ją zamasyście na jezdni.

- W rozwoju pół szczebla nad barbarzyńcą, jeden szczebel nad małpą.

- Jeszcze jedno.

- Wiedziałem, że to nie koniec.

- Jeśli się trochę wysilisz, na pewno wymyślisz mnóstwo synonimów słowa „ekskrement”.

Byłabym wdzięczna, gdybyś nie używał przy mnie wulgaryzmów.

Wyciągając z bagażnika jej neseser, Dylan rzekł:

- Nie zamierzam już przy tobie używać żadnych słów, moja pani. Za pół minuty będziesz tylko drobnym ziarenkiem w moim lusterku wstecznym i gdy tylko stracę cię z oczu, zapomnę, że w ogóle istniałaś.

- Mało prawdopodobne. Mężczyznom trudno o mnie zapomnieć.

Rzucił nesesor, nie celując w jej stopę, ale w nadziei, że trafi.

- Wiesz co, faktycznie, pomyliłem się. Masz absolutną rację. Nie można cię zapomnieć, jak kuli w brzuchu.

Wieczorną ciszą wstrząsnęła eksplozja. Zadzwoniły okna motelu, a aluminiowy daszek osłaniający korytarzyk zadźwięczał od fali uderzeniowej jak trącone struny gitary.

Dylan poczuł drżenie asfaltu pod stopami, jak gdyby poruszył się śpiący w głębokich warstwach skał tyranozaur, i zobaczył ognisty oddech smoka na południowym wschodzie, od frontu motelu.

- Kurtyna w górę - powiedziała Jillian Jackson.

10 Kiedy jeszcze smok przewracał się na drugi bok głęboko w ziemi, a echo jego ryku budziło gości motelu, Dylan wrzucił bagaż Jillian Jackson z powrotem do forda. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, zamknął klapę.

Kiedy usiadł za kierownicą, jego kłótliva pasażerka zdążyła już zająć miejsce obok niego, trzymając Freda na kolanach. Oboje równocześnie zatrzasnęli drzwi.

Uruchomił silnik, oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy brat zapiął pas. Shep siedział, trzymając ręce na głowie, jak gdyby kask z dziesięciu palców mógł go ochronić przed następną eksplozją i opadającym gruzem. Przez chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się, ale dla chłopca kontakt wzrokowy okazał się zbyt intensywny. Shep zamknął oczy, znajdując w dobrowolnej ślepotcie upragnioną samotność, i odwrócił się w stronę okna, twarzą do ciemności, wciąż mając zaciśnięte powieki.

- Jedź, jedź- popędzała go Jilly, nabierając nagle ochoty na przejażdżkę z mężczyzną, który mógł być socjopata-kanibalem. Dylan był zbyt praworządny, żeby przeskakiwać krawężniki i niszczyć zieleń, pojechał więc w stronę frontu rozległego motelu, zmierzając do wyjazdu. Niedaleko portyku nad wejściem do recepcji odkrył źródło ognia. Wybuchł samochód.

Nie był to typowy, estetyczny wybuch, jaki zwykle widać na filmach: nie ustawił go scenograf, nie rozplanował wrażliwy artystycznie reżyser, kształtu, rozmiaru i koloru płomieni nie obliczył specjalista pirotechnik w porozumieniu z koordynatorem scen kaskaderskich, aby uzyskać maksymalnie piękny widok. Daleki od kinowego ogień miał paskudną ciemnopomarańczową barwę, a z płomieni jak zakrwawione języki bluzgały wymiociny gęstego, czarnego dymu. Kłapa bagażnika odpadła i skrzyła się w bezkształtną obrzydliwą masę przypominającą współczesną rzeźbę, lądując na dachu jednego z trzech czarnych chevroletów, które stały w odległości dwudziestu stóp od płonącego wraku. Martwy kierowca siłą wybuchu został częściowo wyrzucony przez przednią szybę i połowę ciała leżał na masce. Jego ubranie musiało spłonąć na popiół w ciągu kilku sekund od chwili eksplozji. Teraz ogień trawił jego samego, a płomienie żywiące się jego ciałem, tłuszczem i szpikiem miały zupełnie inny kolor od tych, które pożerały samochód: żółty z żyłkami purpurowymi jak kwaśny cabernet i zielonkawymi przypominającymi gnijące resztki.

Nie potrafiąc oderwać wzroku od tej potworności, Dylan wstydził się swojej okrutnej ciekawości. Prawda mieszkała nie tylko w pięknie, ale i w okropności, złożył więc makabryczną fascynację na karb przekleństwa spojrzenia artysty, choć zdawał sobie sprawę, że to subiektywne i wygodne usprawiedliwienie. Gdyby przestał oszukiwać samego siebie, mógłby spojrzeć w oczy strasznej prawdzie - śmierć jest w perwersyjny sposób atrakcyjna przez trwałą skazę, jaką pozostawia w ludzkiej duszy.

- To mój cadillac coupe deville - powiedziała Jilly, bardziej wstrząśnięta niż zła, jak gdyby nie mogła wyjść ze zdumienia, że jej życie tak nieoczekiwanie zmieniło się na gorsze w sennym miasteczku Arizony, które nie było niczym więcej niż tylko przystankiem dla podróżujących autostradą międzystanową.

Z czarnych chevroletów, które stały z otwartymi drzwiami, wysiadło kilkunastu mężczyzn. Zamiast w czarne garnitury albo stroje paramilitarne, byli ubrani jak zwykli turyści: w białe i beżowe buty, białe i kremowe spodnie, zwykłe koszule i koszulki polo w różnych pastelowych kolorach. Wyglądali, jakby spędzili dzień na polu golfowym, a wieczór w klubowym barku, w dzień prażąc się w słońcu, pod wieczór racząc się ginem, ale na twarzy żadnego z nich nie malowała się groza ani nawet zaskoczenie, jakiego można oczekiwać od przechodniów, którzy właśnie byli świadkami katastrofy.

Mimo że Dylan nie musiał mijać płonącego cadillaca, kierując się w stronę wyjazdu z motelu, kilku ze sportowców amatorów oderwało wzrok od ognia i spojrzało na forda. Nie wyglądali na księgowych ani biznesmenów, lekarzy ani inwestorów budowlanych: wyglądali na ludzi bardziej bezwzględnych i niebezpiecznych niż adwokaci. Mieli twarze zupełnie bez wyrazu, nieruchome maski pozbawione życia, jakby wyciosane z kamienia, ożywiane tylko refleksami płomieni. Ich oczy błyskały złowrogo, lecz chociaż odprowadzali wzrokiem forda, żaden nie próbował go zatrzymać; żaden nie rzucił się w pościg.

Dopadli już ściganą ofiarę. Wszystko wskazywało na to, że stuknięty lekarz zginął w cadillacu, zanim zdolali go pojmać i przesłuchać. Wraz z nim ogień musiał też strawić to, co nazywał dziełem swojego życia, a także wszelkie dowody na to, że brakuje filołek z tajemniczą szprycą. Grupa pościgowa, oddział - czy kimkolwiek ci ludzie byli - sądziła, że pogoń zakończyła się sukcesem. Jeśli szczęście będzie sprzyjać Dylanowi, nigdy nie dowiedzą się, że było inaczej, a on nie dostanie kuli w łeb.

Zwolnił, a potem zatrzymał samochód, gapiąc się z niezdrową ciekawością na płonące auto. Gdyby przejechał, nie przystając, mogłoby to wyglądać podejrzanie.

Siedząca obok Jilly zrozumiała powód jego ociągania się z odjazdem.

- Trudno grać hienę, jeżeli zna się ofiarę.

- Wcale go nie znaliśmy, a jeszcze kilka minut temu nazwałaś go zakłamanym workiem łajna.

- Nie o nim mówię. Cieszę się, że uśmiechnięty gnojek nie żyje. Mówię o miłości mojego życia, moim pięknym granatowym cadillacu.

Przez moment kilku rzekomych golfistów przyglądało się Dylanowi i Jilly gapiącym się na płonący wrak. Bóg jeden wie, co pomyśleli sobie o Shepherdzie, który siedział z tyłu, wciąż osłaniając głowę rękami, i zupełnie nie interesował się pożarem, jak i wszystkim innym, poza własną skórą. Gdy mężczyźni odwrócili się od forda, uznając jego kierowcę i pasażerów za nieszkodliwych gapiów, Dylan zwolnił hamulec i ruszył dalej.

Na końcu wyjazdu znajdowała się ulica, przy której niecałą godzinę temu odważył się kupić cheeseburgery i frytki - kolejną ratę przybliżającą go o krok do choroby serca. Jednak nie miał okazji zjeść kolacji.

Skręcił w prawo, kierując się w stronę autostrady i słysząc dobiegające z oddali wycie syren. Nie przyspieszał.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała Jillian Jackson. - Odjechać daleko stąd.

- A potem?

- Odjechać jeszcze dalej stąd.

- Nie możemy wiecznie uciekać. Zwłaszcza że nie wiemy, przed kim albo czym uciekamy - ani dlaczego.

W jej uwadze brzmiało tyle prawdy i rozsądku, że trudno z nią było polemizować i gdy Dylan szukał w myślach odpowiedzi, zorientował się, że osiągnął poziom ekspresji werbalnej, jaki w jej przekonaniu cechował wszystkich malarzy.

Gdy zbliżali się do wjazdu na autostradę, siedzący za Dylanem brat wyszeptał:

- Przy blasku księżyca.

Shepherd wymówił to tylko raz, na szczęście - zważywszy na jego skłonność do powtarzania - ale potem rozplakał się. Shep nie był beksą. Rzadko płakał w ciągu minionych siedemnastu lat, odkąd skończył trzy lata i uciekł od cierpień i rozczarowań tego świata, odkąd zaczął spędzać większą część życia w bezpieczniejszym świecie, jaki sam sobie stworzył. A teraz: dwa razy łzy w ciągu jednego wieczoru.

Nie szlochał i nie zawodził, płakał cicho: prawie bezgłośnie łapał powietrze i cichutko kwilił, połykając wszystkie odgłosy skargi, zanim zdołały wydostać się na zewnątrz. Mimo że Shep bardzo starał się zdusić emocje, nie potrafił ukryć ich gwałtowności. Dręczył go jakiś tajemniczy smutek. We wstecznym lusterku widać było, że jego spokojne zazwyczaj oblicze - ciasno obramowane ramionami - krzywi się w niewyobrażalnym cierpieniu, zupełnie jak twarz z „Krzyku” Edwarda Muncha.

- Co mu się stało? - spytała Jilly, gdy dojechali do końca wjazdu.

- Nie wiem. - Dylan z niepokojem spoglądał to na drogę, to we wsteczne lusterko. - Nie wiem.

Shep wolno zsunął dłonie z czubka głowy wzdłuż skroni, jak gdyby stracił nad nimi władzę, ale zaraz zacisnął je w pięści. Wcisnął kostki palców w policzki, jakby próbował powstrzymać straszne ciśnienie wewnętrzne, które groziło pęknięciem kości czaszki, rozciągnięciem ciała i rozcięciem twarzy w maskę z pokazu dziwów natury.

- Boże drogi, nie wiem - powtórzył Dylan, zdając sobie sprawę z drżenia własnego głosu. Opuścił wjazd i włączył się do ruchu na wschodnim pasie autostrady międzystanowej.

Samochody mknęły przez noc Arizony w kierunku Nowego Meksyku o wiele szybciej niż ford expedition. Dylan, wytracony z równowagi kwileniem i jękami brata, nie potrafił dostosować się do tempa narzuconego przez innych kierowców.

Potem pocziwy Shep - posłuszny i spokojny Shep - zrobił coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie robił: zaczął się bić pięściami po twarzy.

Niezręcznie balansując donicą utrzymaną na kolanach, Jilly odwróciła się do tyłu i krzyknęła z przerażeniem:

- Nie, Shep, skarbie, nie rób tego!

Chociaż Dylan wiedział, że bezwarunkowo muszą teraz uciekać od mężczyzn w czarnych chevroletach, włączył prawy kierunkowskaz i zatrzymał się na szerokim poboczu.

Robiąc krótką przerwę w wymierzaniu sobie kary, Shep wyszeptał:

- Robisz swoje.

I znów zaczął się okładać.

11 Jilly wysiadła z forda, żeby zostawić Dylana O'Connera sam na sam z bratem, i usadowiła swój jeszcze niezbyt rozrośnięty tyłek na barierze przy drodze. Siedziała zwrócona plecami do bezmiaru pustyni, gdzie w gorącym powietrzu nocy pełzały jadowite węże, polowały tarantule kosmate jak obląkani mułlowie talibów i grasowały najstraszniejsze gatunki tego okrutnego świata piasku, kamieni i splątanych krzewów, jeszcze bardziej przerażające od węży i pajaków. Stworzenia, które mogły czaić się za plecami Jilly, interesowały ją o wiele mniej niż te, które mogły nadjechać wschodnim pasem w trzech identycznych chevroletach suburbanach. Jeśli mogli wysadzić w powietrze cadillaca coupe deville rocznik 1956 w idealnym stanie, są zdolni do każdej niegodziwości.

Nie miała już mdłości ani zawrotów głowy, jednak nie czuła się całkiem normalnie. Serce przestało jej skakać jak oszalała żaba - tak jak podczas ucieczki z motelu - ale nie bilo też spokojnie jak u dziewczynki z chóru.

Spokojna jak dziewczynka z chóru. To powiedzonko Jilly przejęła od matki. Mówiąc „spokojna”, mama miała na myśli nie jedynie „cicha i opanowana”, ale także „cnotliwa i pobożna”, i nie tylko. Kiedy mała Jilly stroiła fochy albo się obrażała, matka zawsze stawiała jej za przykład dziewczynkę z chóru, a gdy jako nastolatka ulegała czarowi jakiegoś obsypanego trądzikiem casanowy, matka proponowała jej z powagą, by dorosła do ideału często cytowanej i w gruncie rzeczy mitycznej dziewczynki z chóru.

Ostatecznie Jilly wstąpiła do kościelnego chóru, częściowo po to, by przekonać matkę, że jej serce pozostało czyste, a częściowo dlatego, że marzyła się jej światowa kariera piosenkarki pop. Zdumiewająco wiele bogiń muzyki pop w młodości śpiewało w chórach kościelnych. Oddany swej pracy dyrygent chóru - który był również nauczycielem śpiewu - przekonał ją wkrótce, że wrodzone zdolności predysponują ją raczej do śpiewania w tle niż solo, ale zupełnie odmienił jej, życie, gdy pewnego razu zapytał:

- Dlaczego w ogóle chcesz śpiewać, Jillian, skoro masz wspaniały talent rozśmieszania innych? Ludzie szukają pociechy w muzyce, kiedy nie potrafią się śmiać, ale lepszym lekarstwem jest zawsze śmiech.

Teraz, na autostradzie międzystanowej, daleko od kościoła i matki, ale tęskniąc za jednym i drugim, siedząc na stalowej barierze wyprostowana jak w ławce chóru, Jilly przyłożyła sobie dłoń do gardła i wyczuła pulsowanie skurczowe w prawej tętnicy szyjnej. Puls był szybszy niż u bogobojnej dziewczynki z chóru ukojonej psalmami na cześć bożej miłości i pięknie zaintonowanym „Kyrie elejson”, ale nie walił jak oszalały. Ten rytm Jilly знаła z kilku pierwszych występów na scenach klubów, kiedy materiał nie trafił do publiki. Przyspieszone bicie serca przyjętego chłodno artysty, przeżywającego długie upokarzające minuty w blasku reflektorów. Rzeczywiście, czuła charakterystyczną lepka wilgoć na czole, mokry chłód na karku, na krzyżu i dłoniach - lodowatą wilgoć, która od wysokich prosceniów na Broadwayu do podłych scenek na głębokiej prowincji nosiła tylko jedną nazwę: dygot po kompletnej klapie.

Różnica tym razem polegała na tym, że powodem nerwów i zimnego potu nie była katastrofa jej numeru komediowego, ale straszne podejrzenie, że być może rozlatuje się jej całe życie. Dlatego był to dygot maksymalny.

Oczywiście, możliwe, że wpadała w melodramatyczny ton. Nieraz oskarżano ją o takie skłonności. Nie można jednak było zaprzeczyć, że siedziała pośrodku bezludnej pustyni z dala od wszystkich, którzy ją kochali, w towarzystwie zdecydowanie dziwnej pary nieznajomych, niemal przekonana, że jeśli zwróci się o pomoc do władz, okaże się, że są w zмовie z ludźmi, którzy wysadzili w powietrze jej ukochanego cadillaca. Na domiar złego z każdym uderzeniem serca krew niosła w głąb jej tkanek jakąś nieznaną słabość.

Po namyśle uznała, że w tym wypadku rzeczywistość przerasta wszystkie inscenizowane melodramaty - pod względem szybkości akcji, wywoływania nadmiernych emocji i mniejszego szacunku dla związków przyczynowo-skutkowych.

- Melodramat, niech to szlag - mruknęła.

Przez otwarte tylne drzwi fordą Jilly dobrze widziała Dylana O'Connera, który siedział obok brata i mówił - z przejęciem i bez ustanku. Ryk i gwizd przejeżdżających samochodów skutecznie zagłuszał jego słowa, ale sądząc po nieobecnym spojrzeniu Shepa, równie dobrze Dylan mógł siedzieć w aucie samotnie i mówić sam do siebie.

Z początku trzymał brata za ręce, powstrzymując go przed wymierzaniem sobie ciosów, od których z jednego nozdrza pociekła mu strużka krwi. Po jakimś czasie puścił Shepa i po prostu siedział blisko, pochylając się do niego, oparty łokciami o kolana, ze złączonymi dłońmi, ale ciągle mówił

Nie słysząc Dylana przez jazgot aut, Jilly odniosła wrażenie, że mówi do brata przyciszonym głosem. Mdle światło we wnętrzu samochodu i sylwetki obu mężczyzn - siedzących blisko siebie, a jednak osobno - przywodziły na myśl konfesjonał. Im dłużej przyglądała się braciom, tym silniejszemu złudzeniu ulegała, dopóki nie poczuła zapachu pasty do drewna, którą w jej dzieciństwie czyszczono konfesjonały, oraz dymu

kadzidła palonego od dziesiątków lat, którym przesiąknął cały kościół.

Ogarnęło ją poczucie niesamowitości, jak gdyby scena przed jej oczyma miała sens nieuchwytny dla pięciu zmysłów, jakby kryła mnóstwo tajemnic, u których źródeł tkwiło coś... transcendentnego. Jilly zbyt mocno stąpała po ziemi, żeby być jakimś medium czy mistyczką; nigdy przedtem nie popadała w takie nastroje.

Choć wieczorne powietrze nie mogło pachnieć niczym bardziej egzotycznym niż alkaliczny powiew pustyni Sonora i spaliny przejeżdżających samochodów, przestrzeń między Jilly a O'Connerami zdawała się gęstnieć od dymu kadzidła. Otaczający ją ostry aromat - goździków, mirry i żywicy olibanowej - nie był już po prostu wspomnieniem zapachu; stał się prawdziwy jak rozgwieżdżone niebo nad jej głową i żwir pobocza autostrady pod jej stopami. Drobinę wonnego dymu w zamkniętym wnętrzu fordą załamywały i odbijały blask oświetlenia pod sufitem, malując wokół O'Connerów błękitne i złote aureole, a Jilly mogłaby przysiąc, że to nie mała lampka, ale bracia promieniują światłem.

Spodziewała się, że w tej scenie rolę księdza będzie grał Dylan, ponieważ z nich dwóch to Shep był chyba zagubioną duszą. Ale miną i postawą Dylan bardziej przypominał pokutnika, a nieobecne spojrzenie Shepa zamiast pustki zdawało się wyrażać kontemplację. I kiedy młodszy z braci zaczął wolno i rytmicznie kiwać głową, przybrał wygląd czcigodnego kapłana w sutannie, którego władza duchowa uprawnia do udzielania rozgrzeszenia. Jilly wyczuwała, że w tej nieoczekiwanej zamianie ról kryje się prawda o głębokim znaczeniu,

lecz nie potrafiła jej pojąć, nie potrafiła też zrozumieć, dlaczego subtelne relacje między tymi dwoma mężczyznami tak ją interesują ani dlaczego miałyby stanowić klucz do wybawienia z sytuacji, w jakiej się znalazła.

Niesamowitość goniła niesamowitość: Jilly usłyszała srebrzysty śmiech dzieci, choć nie było tu żadnych dzieci, a zaraz po perlistym wybuchu radości rozległ się łopot skrzydeł. Rozglądając się uważnie po gwieździstym sklepieniu, na tle konstelacji nie zauważyła sylwetek żadnych ptaków, a jednak trzepot skrzydeł i śmiech narastały. Jilly wstała i powoli zaczęła się odwracać, skonsternowana i zdumiona.

Nie przychodziło jej do głowy żadne słowo na określenie nadzwyczajnego zjawiska, jakiego właśnie doświadczała, ale nie mogła tego nazwać halucynacją. Dźwięki i zapachy nie były ani sennie ulotne, ani hiperrealistycznie intensywne, jak mogłaby się spodziewać po halucynacjach, lecz precyzyjnie pasowały do rzeczywistych odgłosów i woni wieczoru: nie były cichsze ani głośniejsze od pomruku i świstu przejeżdżających aut, ani bardziej czy mniej wyraziste niż odór spalin.

Ciągle odwracając się w stronę otaczającego ją poszumu skrzydeł, ujrzała rzędy świec na pustyni, na południe od miejsca, w którym stała, może dwadzieścia stóp za barierą. W ciemności płonęło co najmniej czterdzieści świec wotywnych osadzonych w małych miseczkach z rubinowego szkła.

Jeśli to było przywidzenie, szanowało rządzące rzeczywistością prawa fizyki. Metalowy świecznik stał u stóp niewielkiej wydmy między kępami splątanych bylin, rzucając dokładnie taki cień, jaki powstałby od blasku świec, którym służył za podstawę. Chimery refleksów ognia potrzęsały lwimi grzywami i wiły się jak węże na piasku, a srebrno-zielone liście roślin lizały ciemnoczerwony blask, błyszcząc jak języki kosztujące karmazynowe wino Zinfindel. Światło nie padało na pustynię w sposób irracjonalny, jak w przypadku nadprzyrodzonego blasku, ostentacyjnie gardzącego prawami natury, ale wchodziło w logiczną zależność z każdym elementem scenarii.

Na południu, ale kilka jardów na wschód od świec i jeszcze bliżej bariery, stała pojedyncza ławka kościelna, być może zwrócona w stronę prezbiterium i głównego ołtarza, których jednak nie było widać. Jeden koniec drewnianej ławki tkwił wbity w zbocze wydmy; na drugim siedziała kobieta w czarnej sukni.

Po tej połaci ziemi, na której nie było ławki i świec, pędziły w dawnych czasach dzikie konie; serce Jilly galopowało teraz z hukiem, który przypominał tętent ciężkich kopyt na ubitym piasku. Spływał po niej lodowaty pot, jakiego jeszcze nie zaznała podczas niepowodzenia na scenie, a zamiast zwykłego lęku upokorzenia ogarnął ją strach, że odchodzi od zmysłów.

Kobieta na ławce, ubrana w granatową lub czarną suknię, miała kruczoczarne włosy spływające na plecy. Na znak szacunku dla Boga nakryła głowę białą koronkową mantylą, która przypadkiem odrobinę się zsunęła, ukrywając jej twarz. Pograżona w modlitwie, zdawała się nieświadoma obecności Jilly i tego, że wokół niej zniknęły ściany świątyni.

Powietrze wciąż drgało od łopotu skrzydeł, coraz głośniejszego i bliższego, tak że Jilly potrafiła rozróżnić trzepot poszczególnych lotek, miała więc pewność, że słyszy ptaki, a nie nietoperze o skórzastych skrzydłach. Mknęły w jej stronę, tnąc ze świstem powietrze, z upiornym odgłosem rozkładając i składając, rozkładając i składając chorągiewki piór jak pręciki japońskiego wachlarza, pozostając jednak niewidzialne dla Jilly.

Obracała się i obracała w poszukiwaniu ptaków, dopóki nie ujrzała przed sobą otwartych drzwi forda expedition, za którymi nadal siedzieli Dylan i Shep, udając grzesznika i

spowiednika w konfesjonale, świetliści jak zjawy. Dylan nie zdawał sobie sprawy, że Jilly zetknęła się z czymś nadprzyrodzonym, zupełnie pochłonięty bratem, który był równie nieobecny i z którym być może na zawsze stracił kontakt; nie mogła zwrócić jego uwagi na świecę ani rozmodloną kobietę, ponieważ strach odebrał jej głos, omal nie pozbawiając oddechu. Szkwał skrzydeł przerodził się w huragan potężniejący z każdą sekundą, jak narastający głos werbla, który przeniknął ją na wskroś, do szpiku kości. Głośny niczym zgrzyt przekładni odgłos i trąba powietrzna wywołana łopotem niewidzialnych skrzydeł obróciły nią, wzbudzając jej włosy i uderzając silnym podmuchem w twarz, aż znów ujrzała przed sobą świecę wotywną i siedzącą w ławce pokutnicę.

Zobaczyła jasność, gdy nagle coś rozbłysło jej przed oczyma, a potem nastąpił jeszcze jaśniejszy błysk i migotanie świetlistych piór, jak drgający płomień. W mgnieniu oka opadła ją roziskrzona chmara gołębi. Widząc wściekły trzepot skrzydeł Jilly spodziewała się ataku dziobów i zaczęła się bać o oczy. Zanim zdążyła zasłonić się rękami, rozległ się trzask donośny niczym bicz boży, budząc popłoch stada, które zaczęło kotłować się jeszcze gwałtowniej. Gdy na jej twarzy rozbiła się fala skrzydeł Jilly krzyknęła, ale bezgłośnie, bo przerażenie wciąż zatykało jej gardło jak szczelny korek butelkę. Pod kanonadą skrzydeł zmrużyła oczy przekonana, że oślepnie, lecz w tym momencie wszystkie ptaki zniknęły, tak samo raptownie, jak się zjawily. Nie tylko przestała je widzieć, ale nie słyszała też wściekłego trzepotu.

Zniknęły świece na wydmach. I kobieta w mantyli, odchodząc do nieznanego kościoła razem z kawką, na której przybyła. Z odblokowanego gardła Jilly wyrwał się krótki zdławiony dźwięk przypominający szczeknięcie. Już po pierwszym rozdygotanym wdechu poczuła zapach, który mógł być ostatnim na liście tysiąca pożądanых woni. Krew. Subtelny, lecz wyraźny, którego nie sposób pomylić z żadnym innym - zapach rzezi i ofiary, tragedii i chwały: lekko metaliczny z nutką miedzi i śladem żelaza. Na jej twarzy rozbryznięta się więc nie tylko biała fala skrzydeł Drżącymi dłońmi ostrożnie dotknęła gardła podbródka i policzków i spoglądając z odrazą na gęstą ciecz oblepiającą jej palce, rozpoznała tę samą wilgoć na wargach i wyczula smak tej samej substancji, którą miała na czubkach palców. Wrzasnęła, tym razem już nie bezgłośnie,

1 2 Autostrada, czarniejsza niż oświetlony mdłym blaskiem księżycy mrok pustyni, momentami zdawała się rozwijać przed fordem, prowadząc Jilly i braci O'Connerów w głąb chaosu i zapomnienia. Czasem jednak wyglądała, jak gdyby wysnuwała się z chaosu i formowała w regularny kłębek, nieubłaganie wiodąc ich w stronę precyzyjnie ustalonego i nieuniknionego przeznaczenia.

Jilly nie wiedziała, która z tych możliwości napawa ją większym strachem: pakowanie się w jeszcze większy gąszcz kłopotów, w ciernistą gęstwinę, gdzie każdy ruch oznaczał kolejne bolesne zetknięcie z nieznanym, które mogło ją doprowadzić na skraj obłąkania - czy odkrycie prawdy o uśmiechniętym człowieku z igłą i zgłębienie tajemnicy złościgo płynu w strzykawce.

W ciągu swego dwudziestopięcioletniego życia nauczyła się, że zrozumienie nie zawsze - a nawet rzadko - przynosi spokój. Teraz, od chwili powrotu do pokoju motelowego z piwem

korzennym, tkwiła w czyścicu niewiedzy i dezorientacji, gdzie życie przypominało koszmar na jawie albo zły i bardzo wyrazisty sen. Gdyby jednak znalazła odpowiedzi na wszystko, mogłaby dojść do wniosku, że została za życia uwięziona w piekle i zatekniłaby jeszcze za względną ciszą i spokojem czyścica, choć nerwy miała tu napięte do ostateczności.

Dylan, tak jak przedtem, nie skupiał całej uwagi na drodze, lecz co chwila zerkał we wsteczne lusterko i oglądał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Shep nie robi sobie krzywdy; teraz miał dwa zmartwienia, które przeszkadzały mu w prowadzeniu samochodu. Od dramatycznego występu Jilly na drodze - bełkotała coś o ptakach i krwi - Dylan zaczął się do niej odnosić z taką samą braterską troską, z jaką traktował Shepherdę.

- Naprawdę czułaś smak... smak krwi? - zapytał. - I zapach? -- Tak. Wiem, że to nie była prawdziwa krew. Ty jej nie widziałeś. Ale mnie wydawała się bardzo realna.

- Słyszałaś ptaki i czułaś dotyk skrzydeł

- Tak.

- Czy halucynacje zwykle angażują wszystkie zmysły - albo angażują tak całkowicie?

- To nie była żadna halucynacja - oświadczyła z uporem. - No, ale rzeczywistość też nie.

Posłała mu wściekle spojrzenie, a on zrozumiał, jakim niebezpieczeństwem grozi mu wygłaszania sugestii, że Jilly - Amazonka Południowego Zachodu, dzielna mieszkanka krainy kaktusów - może ulegać halucynacjom. Jej zdaniem halucynacje stanowiły dolegliwość bardzo zbliżoną do staromodnych damskich przypadłości, takich jak wapory, omdlenia i uporczywa melancholia.

- Nie jestem histeryczką - powiedziała. - Ani alkoholijką na odwyku, nie biorę grzybków halucynogennych, więc słowo „halucynacja” w ogóle nie wchodzi w grę.

- Powiedzmy, że to była wizja.

- Nie jestem też Joanną d'Arc. Bóg nie wysłał mi żadnych wiadomości. Wystarczy. Nie mam już ochoty o tym mówić, w każdym razie nie teraz i jeszcze nie przez jakiś czas.

- Musimy...

- Powiedziałam, nie teraz. - Ale...

- Boję się, rozumiesz? Boję się i jak będziemy o tym bez przerwy gadać, nie zacznę się mniej bać. Przerwa, proszę o przerwę, w porządku?

Rozumiała, dlaczego przygląda się jej ze zmartwioną miną, a nawet z pewną dozą nieufności, ale nie odpowiadała jej rola obiektu jego troski. Trudno jej było nawet znosić słowa otuchy ze strony przyjaciół; a współczucie obcej osoby mogło łatwo przerodzić się w litość. Nie tolerowała niczyjej litości. Jeżyła się na samą myśl, że ktoś może ją uważać za słabą i nieszczęsną istotę i nie cierpiała protekcyjnego traktowania.

Istotnie, ukradkowe spojrzenia Dylana, aż ociekające współczuciem, rozdrażniły Jilly, która postanowiła od nich uciec. Odpięła pas, podwinęła nogi, zostawiając donicę Freda na podłodze pod siedzeniem, i odwróciła się bokiem, sprawdzając, czy u Shepa wszystko w porządku, i umożliwiając jego bratu skupienie się na prowadzeniu samochodu.

Dylan zostawił Shepowi apteczkę. Ku zdziwieniu Jilly młody człowiek otworzył ją, położył na siedzeniu obok siebie i we właściwy sposób skorzystał z jej zawartości, choć w tak intensywnym skupieniu i z tak nieobecny wyrazem twarzy, że wyglądał jak automat. Tamponami nasączonymi wodą utlenioną cierpliwie zmywał zakrzepłą krew z nosa, którym wydawał świst przy każdym wdechu. Postępował z tak niezwykłą delikatnością, że ciemnoczerwony strumyczek przestał płynąć. Brat powiedział mu, że to tylko zwykłe krwawienie i nie złamał nosa, a Shep zdawał się potwierdzać diagnozę, opatrując swój uraz

bez żadnego skrzywienia czy syku bólu. Za pomocą wacików zmoczonych alkoholem zmył zaschłą krew z górnej wargi, kącika ust i podbródka. Kiedy bił się po twarzy, zdarł skórę z kostek dłoni, zahaczając o zęby; te zadrapania też przemył alkoholem, a potem nałożył odrobinę neosporyny. Kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki zaczął sprawdzać po kolei wszystkie zęby, najpierw górne, potem dolne; za każdym razem, gdy upewnił się, że ząb mocno tkwi na swoim miejscu, przerywał zabiegi i mówił:

- Jest, jak ma być, panie.

Shep unikał kontaktu wzrokowego, jego mina wskazywała, że znajduje się w zupełnie innym świecie, w fordzie nie było żadnego szlachcica - lorda ani księcia, ani królewicza - wynikało więc z tego, że nie mówi do nikogo z obecnych.

- Jest, jak ma być, panie.

Działał metodycznie niemal jak robot, ale chwilami w jego ruchach dało się zauważyć pewną nieporadność, jak gdyby podczas konstrukcji i programowania mechanizmu popełniono błędy, których jeszcze nie wyeliminowano.

Jilly kilka razy próbowała zagadać do Shepa, lecz jej wysiłki spełzły na niczym. Mówił tylko do Pana Zębów, posłusznie składając mu meldunki o stanie swojego zdrowia.

- Shep umie rozmawiać - rzekł Dylan. - Chociaż nawet gdy jest w najlepszej formie, nie można się raczej po nim spodziewać błyskotliwych ripost, które zrobiłyby z niego duszę towarzystwa. Mówi po shepowemu, jak ja to nazywam, ale całkiem ciekawie.

Sprawdziwszy kolejny ząb, Shep oświadczył z tylnego siedzenia:

- Jest, jak ma być, panie.

- Ale na razie nie uda ci się z nim nawiązać dialogu - ciągnął Dylan. - Jest wytrącony z równowagi. Nie radzi sobie za dobrze z żadnym zamieszaniem ani zaburzeniem codziennego rozkładu dnia. Najlepiej jest, kiedy dzień przebiega dokładnie tak, jak się spodziewa. Kiedy śniadanie, obiad i kolacja są o właściwej porze, a każdy posiłek składa się z dań, które akceptuje, a jest ich bardzo niewiele, kiedy nie spotyka zbyt wielu nieznanym, którzy próbują z nim rozmawiać... wtedy udaje się z nim nawiązać kontakt i nagadać do woli.

- Jest, jak ma być, panie - oznajmił Shep, na pozór nie potwierdzając słów brata.

- Co mu dolega? - spytała Jilly.

- Według diagnozy jest autystą, chociaż o wysokim stopniu sprawności. Nie wykazuje skłonności do przemocy, a bywa bardzo rozmowny, więc kiedyś postawiono nawet diagnozę, że to syndrom Aspergera.

- Syn Dromaspergera?

- Zespół Aspergera, zaburzenia rozwojowe. Czasem wydaje się, że Shep funkcjonuje bardzo sprawnie, ale czasem nie tak sprawnie, jak by się chciało. W każdym razie chyba nie można mu przyczepić jednoznacznej etykiety. To po prostu Shep, jedyny w swoim rodzaju.

- Jest, jak ma być, panie.

- Powiedział to już czternaście razy - zauważył Dylan. - Ile człowiek ma zębów?

- Chyba... trzydzieści dwa, razem z zębami mądrości. Dylan westchnął.

- Dzięki Bogu usunięto mu zęby mądrości.

- Mówiłeś, że Shep potrzebuje stabilności. To na pewno dobrze, że tłuczecie się po kraju jak Cyganie?

- Jest, jak ma być, panie.

- Wcale się nie tłuczemy - odparł Dylan wyraźnie urażony pytaniem, choć Jilly wcale nie miała zamiaru go drażnić. - Mamy swój plan, stały porządek, cele, jakie chcemy osiągnąć. Mamy do czego dążyć. Podróżujemy z fasonem. To nie jest wóz konny z wymalowanymi na bokach magicznymi znakami.

- Chciałam przez to powiedzieć, że może lepiej by mu było w jakimś zakładzie.

- Nigdy tam nie trafi.

- Jest, jak ma być, panie.

- Nie wszystkie są takie straszne, jak się powszechnie uważa - powiedziała Jilly.

- Shep ma tylko mnie. Gdybym go wsadził do zakładu, nie miałby już nic.

- Może jednak byłoby mu lepiej. - Nie. Umarłby tam.

- Przede wszystkim chyba nie pozwoliliby, żeby robił sobie krzywdę.

- Shep nie robi sobie krzywdy.

- Właśnie robił - zauważyła. - Jest, jak ma być, panie.

- To był pierwszy raz, przypadek - rzekł Dylan, lecz w jego głosie zamiast głębokiego przekonania zabrzmiała nuta niepewności. - Na pewno tego nie powtórzy.

- Wcześniej też ci się tak wydawało.

Mimo że przekroczyli już dopuszczalną prędkość, a ruch na autostradzie nie sprzyjał szybkiej jeździe, Dylan cały czas przyspieszał.

Jilly wyczuła, że próbuje uciec nie tylko od mężczyzn w czarnych chevroletach.

- Możesz jechać nie wiem jak szybko, ale Shep ciągle siedzi z tyłu.

- Jest, jak ma być, panie.

- Stuknięty lekarz daje ci zastrzyk - rzekł Dylan - a jakąś godzinę później doświadczasz odmiennego stanu świadomości... - Przecież prosiłam o przerwę w tej rozmowie.

- A ja nie chcę rozmawiać właśnie o tym - oświadczył stanowczo. - O zakładach, sanatoriach, domach opieki, miejscach, gdzie ludzi traktuje się jak puszek z mięsem, odstawia na półkę i od czasu do czasu odkurza.

- Jest, jak ma być, panie.

- W porządku - ustąpiła Jilly. - Przepraszam. Rozumiem. Zresztą to i tak nie moja sprawa.

- Zgadza się - przytaknął Dylan. - Shep to nie nasza sprawa. Tylko moja.

- W porządku. - No.

- Jest, jak ma być, panie.

- Dwadzieścia - policzyła Jilly.

- Ale twój odmienny stan świadomości dotyczy nas obojga, nie tylko ciebie, ale ciebie i mnie, bo ma związek z zastrzykiem...

- Tego nie możemy być pewni.

Na jego szerokiej i gumowatej twarzy niektóre miny przybierały karykaturalną formę, jak gdyby rzeczywiście był rysunkowym misiem, który przybył do prawdziwego świata prosto z animowanej krainy, zgolił futro na pysku i zapragnął udawać człowieka. W tej chwili niedowierzanie odmalowało się na jego obliczu tak plastycznie, że wyglądał jak kot Sylwester, który mimo swojej przebiegłości dał się zwabić ptaszкови Tweetie na skraj urwistej skały.

- Och, możemy być pewni. - Wcale nie - upierała się. - Jest, jak ma być, panie.

- Poza tym - ciągnęła Jilly - określenie „odmienny stan” wcale nie podoba mi się bardziej niż „halucynacja”. Brzmi, jakbym była jakimś ćpunem.

- Chyba nie będziemy się kłócić o słownictwo.

- Ja się nie kłóczę. Mówię tylko, co mi się nie podoba.
 - Jeżeli mamy rozmawiać na ten temat, musimy to jakoś nazwać.
 - Wobec tego w ogóle o tym nie rozmawiajmy - zaproponowała.
 - Musimy. Co twoim zdaniem mamy robić - przez resztę życia jeździć w kółko po całym kraju, nigdzie się nie zatrzymywać i w ogóle o tym nie mówić?
 - Jest, jak ma być, panie.
 - A propos jazdy - powiedziała Jilly - jedziesz o wiele za szybko.
 - Wcale nie.
 - Ponad dziewięćdziesiąt.
 - Tak się wydaje, kiedy patrzysz ze swojego miejsca. - Doprawdy? A jak się wydaje z twojego?
 - Osiemdziesiąt osiem - przyznał, zdejmując nogę z gazu. - Nazwijmy to... mirażem. W tym słowie nie kryją się żadne sugestie zaburzeń umysłowych, zażywania narkotyków ani manii religijnej.
 - Jest, jak ma być, panie.
 - Mnie się wydaje, że lepsza byłaby „zjawa” - powiedziała Jilly.
 - Może być zjawa.
 - Chociaż bardziej podoba mi się „miraż”.
 - Świetnie! Wyśmienicie! Jesteśmy na pustyni, więc nawet pasuje.
 - Ale tak naprawdę to nie był miraż.
 - Wiem - zapewnił ją pospiesznie. - To była rzecz wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju, którą trudno nazwać. Ale jeżeli widziałas ten miraż z powodu cholernej szprycy... - Urwał, wyczuwając zbliżający się sprzeciw z jej strony. - Och, zjedź na ziemię! Zdrowy rozsądek podpowiada, że te dwie rzeczy muszą mieć ze sobą związek.
 - Zdrowy rozsądek jest przereklamowany.
 - Nie w rodzinie O'Connerów.
 - Nie należę do rodziny O'Connerów.
 - Dzięki czemu nie musimy zmieniać nazwiska. - Jest, jak ma być, panie.
- Nie chciała się z nim kłócić, bo wiedziała, że sprawa dotyczy ich obojga, nie potrafiła się jednak powstrzymać.
- A więc w rodzinie O'Connerów nie ma miejsca dla ludzi takich jak ja?
 - Znowu zaczynasz z tym „ludzie tacy jak ja”!
 - Cóż, widocznie na tym polega problem z tobą.
 - To nie problem ze mną, tylko z tobą. Jesteś nadwrażliwa i ciągle się w tobie gotuje, jakbyś miała za chwilę wybuchnąć. - Cudownie. A więc teraz jestem garnkiem gotowym wybuchnąć. Masz nadwyzwyczajny talent działania ludziom na nerwy. - Ja? Jestem najmniej konfliktowym człowiekiem pod słońcem. Nigdy nikomu nie działałem na nerwy, dopóki nie spotkałem ciebie.
 - Jest, jak ma być, panie.
 - Znowu jedziesz ponad dziewięćdziesiąt - ostrzegła go.
 - Osiemdziesiąt dziewięć - zaprotestował i tym razem nie zdjął nogi z gazu. - Jeżeli widziałas miraż z powodu szprycy, też pewnie mnie to czeka.
 - I to następny powód, dla którego nie powinieneś jechać ponad dziewięćdziesiąt.
 - Osiemdziesiąt dziewięć - poprawił, po czym niechętnie zwolnił.

- Ty pierwszy dostałeś szprycę od tego szurniętego sukinsyna komiwojażera - powiedziała Jilly. - Jeśli to cholera zawsze wywołuje miraż, najpierw ty powinieneś je widzieć.

- Po raz setny powtarzam - to nie był komiwojazer, tylko jakiś stuknięty lekarz, naukowiec maniak albo ktoś w tym rodzaju. Poza tym przypominam sobie, jak mówił, że szprycę na każdego działa inaczej.

- Jest, jak ma być, panie.

- Inaczej? Jak na przykład?

- Nie powiedział. Po prostu inaczej. Mówił też... że efekt jest zawsze interesujący, często zaskakujący, niekiedy nawet pozytywny.

Wzdrygnęła się na wspomnienie kotłujących się ptaków i migoczących świateł wotywnych.

- Ten miraż nie miał w sobie nic pozytywnego. Co jeszcze mówił doktor Frankenstein?

- Frankenstein?

- Nie możemy ciągle nazywać go stukniętym lekarzem, naukowcem maniakiem czy szurniętym sukinsynem komiwojazerem. Trzeba nadać mu jakieś imię, dopóki nie poznamy jego prawdziwego nazwiska.

- Ale Frankenstein... - Co takiego?

Dylan się skrzywił. Oderwał jedną dłoń od kierownicy, by wykonać nieokreślony dwuznaczny gest.

- Brzmi tak...

- Jest, jak ma być, panie. - Jak brzmi?

- Melodramatycznie - uznał w końcu.

- Wszyscy tylko krytykują - odrzekła zniecierpliwiona. - I czemu od każdego ciągle słyszę słowo „melodramatyczny”? - Ode mnie nigdy go nie słyszałaś - zaprotestował. - Poza tym nie mówiłem o tobie.

- Ty nie. Nie powiedziałam, że to ty. Ale równie dobrze mógłbyś to być ty. Jesteś mężczyzną.

- Tego już w ogóle nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie rozumiesz. Jesteś mężczyzną. Przy swoim zdrowym rozsądku nie potrafisz zrozumieć niczego, co nie jest liniowe jak rządka kostek domina.

- Masz problemy z mężczyznami? - spytał zachwycony, że mu się udało, a na widok jego zadowolonej miny Jilly zapragnęła uderzyć go w twarz.

- Jest, jak ma być, panie.

Jilly i Dylan powiedzieli równocześnie, z identyczną ulgą: - Dwadzieścia osiem!

Sprawdziwszy stan wszystkich zębów, Shep nałożył buty, zawiązał i umilkł

Wskazówka szybkościomierza opadała, podobnie jak wzburzenie Jilly, choć dziewczyna miała wrażenie, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat raczej nie zazna spokoju.

Zmniejszając prędkość do siedemdziesięciu mil na godzinę, choć jego zdaniem było to pewnie tylko sześćdziesiąt osiem, Dylan rzekł:

- Przepraszam.

Słyszając to, Jilly się zdumiała. - Za co?

- Za mój ton. Za moje nastawienie. Za to, co mówiłem Wiesz, normalnie nikomu nie udaje się wciągnąć mnie w kłótnię.

- W nic cię nie wciągałam.

- Nie, nie - poprawił się szybko. - Nie to mam na myśli. Nie wciągnęłaś mnie w kłótnię. Po prostu zwykle się nie złościę. Powstrzymuję się. Panuję nad sobą. Przekształcam to w energię twórczą. Na tym między innymi polega moja filozofia artystyczna.

Jilly nie potrafiła zapanować nad cynizmem tak skutecznie, jak podobno on panował nad gniewem; sarkazm było słychać w jej głosie i widać na twarzy, która przeobraziła się w gipsową maskę zatytułowaną „Pogarda”.

- Artyści się nie złością, tak?

- Nie starcza nam negatywnej energii po tych wszystkich gwałtach i morderstwach.

Musiała się uśmiechnąć na ten przytyk.

- Przepraszam. Zawsze mnie ponosi, kiedy ludzie zaczynają mówić o swojej filozofii.

- Właściwie masz rację. Filozofia to zdecydowanie za duże słowo. Powinienem powiedzieć, że na tym polega moja metoda działania. Nie jestem jednym z tych młodych gniewnych, którzy dają wyraz wściekłości, rozpaczy i gorzkiemu nihilizmowi.

- Co więc malujesz? - Świat taki, jaki jest. - Tak? A jak twoim zdaniem wygląda dzisiaj świat?

- Cudownie. Przepięknie. Tajemniczo. Jest głęboki, wielowarstwowy. - Z każdym słowem Dylan mówił coraz ciszej i spokojniej, jak gdyby była to często powtarzana modlitwa, w której dzięki szczerzej wierze odnajdywał pociechę. Jego twarz rozjaśnił wewnętrzny blask i Jilly przestała w nim widzieć rysunkowego misia, jakiego dotąd przypominał. - Pełen znaczeń, których nie da się do końca uchwycić. Pełen prawdy, która, jeśli obejmie się ją uczuciem i rozumem, uspokoi najbardziej wzburzone morze i przyniesie nadzieję. Ma tyle piękna, że nie starczy mi talentu ani czasu, żeby je przenieść na płótno.

Jego elokwencja zupełnie nie pasowała do człowieka, jakim się wydawał i Jilly nie wiedziała, co powiedzieć, gdyż zdała sobie sprawę, że nie może wygłaszać zgryźliwych uwag podszytych zjadliwym sarkazmem, chociaż język ją świerzbiał, czekając na odpowiednią chwilę jak u węża szykującego się do ataku. Łatwe docinki, płaski humor były zupełnie nie na miejscu wobec jego szczerości. Czuli, jak opuszcza ją pewność siebie i przemądrzałość, ponieważ głębia i skromność jego odpowiedzi wytrąciły ją z równowagi. Nigdy przedtem nie miała wrażenia, że wszystko, co powie, będzie niestosowne i ku swemu zdumieniu stwierdziła, że ogarnęło ją poczucie... pustki. Jej cięty dowcip, który zawsze przypominał okręt pod pełnymi żaglami, przeistoczył się w małą łódeczkę i utknął na mieliźnie.

Nie podobało się jej to uczucie. Dylan nie zamierzał jej upokorzyć, jednak miała wrażenie, że została wykpiona. Będąc dziewczynką z chóru i spędziwszy w kościele większą część życia, Jilly dobrze rozumiała teorię, według której upokorzenie jest cnotą i błogosławieństwem, zapewniającym szczęśliwsze życie tym, którzy go nie doświadczyli. Jednak gdy ksiądz poruszał tę sprawę w homilii, Jilly starała się go nie słuchać. Młodej Jilly wydawało się, że żyć w upokorzeniu większym od absolutnego minimum, które zadowoliliby Boga, oznaczało dać za wygraną na samym początku. Dorosła Jilly nie zmieniła tego przekonania. Na świecie roi się od ludzi, którzy za wszelką cenę chcą cię zawstydić, wykpić, postawić w kącie i trzymać w ryzach. Jeżeli przyjmiesz upokorzenie bez zastrzeżeń, oddasz im tylko przysługę.

Wpatrując się w rozwijającą się czy zwijającą przed sobą autostradę, Dylan O'Conner wydawał się zupełnie spokojny. Jilly jeszcze go takiego nie widziała i nie spodziewała się zobaczyć w tak tragicznych okolicznościach. Widocznie wystarczyła mu myśl o swojej sztuce i kontemplacja właściwego oddania piękna świata na dwuwymiarowym płótnie, by nie dopuścić do siebie strachu, przynajmniej na pewien czas.

Podziwiała pewność siebie, z jaką podchodził do swej profesji, i bez pytania wiedziała, że nigdy nie brał pod uwagę żadnego planu awaryjnego, gdyby nie powiodło mu się w malarstwie, tak jak ona myślała o ewentualnej karierze autorki bestsellerów. Zazdrościła mu

tej pewności, ale zamiast wykrzesać z siebie zdrowy gniew, który mógłby przegonić dojmujące poczucie niestosowności, jeszcze głębiej pograżyła się w lodowatym upokorzeniu. W ciszy, jaka zapadła z jej winy, Jilly znów usłyszała echo srebrzystego śmiechu dzieci, a może było to tylko wspomnienie; nie wiedziała. Na ramionach, szyi i twarzy poczuła lekkie jak powiew chłodnego wiatru dotknięcie trzepoczących pierzastych skrzydeł.

Zamknęła oczy, zdecydowana nie ulec następnemu mirażowi, jeżeli się zbliżał, i udało się jej uciszyć śmiech dzieci. Skrzydła też zniknęły, lecz doznała czegoś jeszcze bardziej niepokojącego i zdumiewającego: stała się nagle świadoma każdego nerwu w swoim ciele, poczuła - w postaci gorąca i mrowienia impulsów - dokładne umiejscowienie i skomplikowany układ wszystkich dwunastu par nerwów czaszkowych, wszystkich trzydziestu jeden par nerwów lędźwiowych. Gdyby była malarzem, potrafiłaby narysować szczegółową mapę tysięcy aksonów w swoim ciele i precyzyjnie określić liczbę neuronów, z których składał się każdy z niciowatych neurytów. Czuła miliony impulsów elektrycznych przenoszących informacje przez włókna czuciowe z odległych punktów ciała do rdzenia kręgowego i mózgu i równie gęsty ruch impulsów przekazujących instrukcje z mózgu do mięśni, narządów i gruczołów. W myślach ujrzała trójwymiarowy model centralnego układu nerwowego: miliardy połączonych ze sobą komórek nerwowych w mózgu i rdzeniu kręgowym były na nim różnokolorowymi punkcikami światła, migoczącymi w gorączkowej pracy.

Uświadomiła sobie ogrom wszechświata w swoim wnętrzu, bezmiar galaktyk błyskających neuronów i nagle poczuła, jak gdyby leciała w zimną otchłań gwiazd, jakby była kosmonautą, który wyszedł w przestrzeń i zerwał uwięź łączącą go ze statkiem. Otworzyła się przed nią wieczność jak gigantyczna paszcza, żeby ją połknąć, a ona leciała coraz szybciej i szybciej, wprost do czeluści, w głąb zapomnienia.

Otworzyła oczy. Nienaturalna świadomość neuronów, aksonów i połączeń nerwowych zniknęła równie gwałtownie, jak się pojawiła.

Teraz poczuła wyraźnie tylko jeden fragment swojego ciała. Punkcik po ukłuciu igły. Swędzenie. Pulsowanie. Pod opatrunkiem z królikiem.

Sparaliżowana ze strachu, nie mogła oderwać plastra. Wstrząsana dreszczami wpatrywała się bezradnie w plamkę krwi ciemniejącą na spodzie gazy.

Gdy paraliż zaczął ustępować, Jilly uniosła wzrok i ujrzała chmurę białych gołębi, które leciały ławą prosto w kierunku forda. Bezszelestnie wyłoniły się z mroku, zmierzały na zachód, pod prądu ruchu, trzepocząc setkami, tysiącami skrzydeł. Rozdzieliły się na dwa strumienie, które śmignęły wzdłuż boków samochodu, i trzeci, który przemknął nad maską i przednią szybą, łącząc się w ciemności z rwącą białą rzeką - zupełnie bezgłośnie, jakby we śnie pozbawionym dźwięków.

Mimo że niezliczone legiony gołębi gnały na forda jak gęsta śnieżycy, przez którą nic nie było widać, Dylan nie zareagował na to ani słowem, nie zmniejszył też prędkości. Patrzył na białą ławicę, zdając się nie zauważać ani jednego skrzydła, ani jednego świdrującego oka.

Jilly przypuszczała, że zapewne nikt poza nią nie widzi fali gołębi, która w rzeczywistości nie istnieje. Zacisnęła spoczywające na kolanach dłonie, przygryzając wargę. Serce jej łomotało - taki hałas mogłyby wydawać setki ptasich skrzydeł - a ona modliła się, aby te pierzaste widma zniknęły, choć bała się, że po nich może się zjawić coś znacznie gorszego.

13

Zjawy wkrótce ustąpiły miejsca rzeczywistości, a z autostrady zniknęły

ostatnie gołębie, odlatując na gałęzie drzew i wysokie dzwonnice.

Serce Jilly stopniowo wróciło do normalnego rytmu, lecz każde uderzenie zdawało się równie głośnie jak wtedy, gdy konała ze strachu.

Mając za plecami księżyc, a nad głową rozgwieżdżone niebo, przejechali milę czy dwie, słysząc tylko świst mijających ich aut i huk monstrualnych ciężarówek, gdy Dylan odezwał się, jak gdyby dodając melodię do rytmu bicia serca Jilly:

- A jaką ty masz metodę działania? Pytam o twoją pracę komika.

Wyszło jej w ustach, a język miała jak kołek, jednak kiedy przemówiła, jej głos zabrzmiał zupełnie normalnie.

- Masz na myśli mój materiał? Ludzka głupota. Wyśmiewam ją, jak najlepiej potrafię. Głupotę, zazdrość, zdradę, niewierność, zachłanność, zarozumiałość, żądzę, próżność, nienawiść, bezmyślną przemoc... Komik nigdy nie narzeka na brak tematów. - Słuchając sama siebie, zawstydziała się, porównując jego i swoje inspiracje twórcze. - Ale tak pracują wszyscy komicy-ciagnęła. Nie zamierzała się usprawiedliwiać, lecz jakiś impuls kazał jej się tłumaczyć i nie mogła go opanować. - Mamy ciężką robotę, ale ktoś to musi robić.

- Ludzie potrzebują śmiechu - zauważył idiotycznie, starając się ją pocieszyć, jak gdyby czytał jej w myślach.

- Chcę ich rozśmieszać do tego stopnia, żeby płakali - powiedziała Jilly, zastanawiając się, skąd się wzięły te słowa. - Chcę, żeby czuli...

- Czuli co?

Słowo, które miała na końcu języka, było tak niewłaściwe i sprzeczne z motywacją, jakiej każdy oczekiwałby od komika, że poczuła się nieswojo, słysząc je w głowie. „Ból”. Omal nie powiedziała: „Chcę, żeby czuli ból”. Przelknęła jednak to słowo, krzywiąc się, jakby miało gorzki smak.

- Jilly?

Z ulgą porzuciła grzebanie we własnym mrocznym wnętrzu i wróciła do grozy czającej się w ciemnościach nocy, od której oboje na moment uciekli. Spoglądając na autostradę, zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Jedziemy na wschód. - Tak.

- Dlaczego?

- Przez czarne ford, wybuchy, bandytów w strojach golfowych - przypomniał jej.

- Ale ja jechałam na zachód, zanim... zanim doszło do tego łajna. W przyszłym tygodniu mam trzy występy w Phoenix. Siedzący z tyłu Shep przerwał milczenie:

- Kał. Fekalia. Defekacja.

- Nie możesz teraz jechać do Phoenix - sprzeciwił się Dylan. - Po tym, co się stało, po twoim mirażu...

- Gdyby nawet miało dojść do końca świata, potrzebuję pieniędzy. Poza tym nie można ustalić terminu, a potem wycofać się w ostatniej chwili. W każdym razie jeśli chce się jeszcze pracować.

- Wypróżnienie. Stolec. Odchody - powiedział Shep. - Zapomniałaś o swoim cadillacu? - spytał Dylan.

- Jak mogłabym zapomnieć? Przecież ci dranie wysadzili go w powietrze. Mojego pięknego coupe deville. - Westchnęła. - Czyż nie był piękny?
- Prawdziwe cacko - przytaknął.
- Uwielbiałam te gustownie stonowane stateczniki na tylnych błotnikach.
- Rzeczywiście eleganckie.
- Przedni zderzak wyglądał, jakby wmontowali tam pociski haubiczy.
- Tak, był bardzo haubiczny.
- Napis „Coupe DeVille” na bokach był złoty. Uroczy szczegół. Teraz wszystko wyleciało w powietrze, spaliło się i śmierdzi pieczonym Frankensteinem. Kto mógłby o czymś takim zapomnieć?
- Nawóz. Obornik - powiedział Shep. - Co on robi? - spytała Jilly.
- Jakiś czas temu powiedziałaś mi, że jestem wulgarny -przypomniał jej Dylan. - Sugerowałaś, żebym poszukał synonimu słowa, które cię uraziło. Shep postanowił mnie wyręczyć. - Gnój. Koproliit.
- Ale to było jeszcze przed naszym wyjazdem z motelu - zauważyła.
- Jego poczucie czasu jest inne niż nasze. Trudniej mu rozróżnić przeszłość, terażniejszość i przyszłość, a czasem zachowuje się tak, jakby były dla niego tym samym i działały się równocześnie.
- Kupka - rzekł Shep. - Kaka.
- Jeśli chodzi o twojego cadillaca-ciągnął Dylan-to przypuszczam, że jeśli te zbiry w koszulkach polo dowiedzą się, że nie należał do Frankensteina, ale jest zarejestrowany na Jillian Jackson, zaczną cię szukać. Będą chcieli wiedzieć, jak zdobył twój samochód albo czy dałaś mu go dobrowolnie.
- Wiedziałam, że powinnam wezwać gliny. Powinnam zgłosić kradzież samochodu jak porządny obywatel. Teraz sama jestem podejrzana.
- E-e. Kakunianie.
- Jeżeli Frankenstein miał rację - ostrzegł Dylan - być może gliny nie potrafią cię ochronić. Może ci ludzie mają wpływy w policji.
- To chyba powinnam się zwrócić do kogoś innego - FBI? - Może nie da się przed nimi uciec. Mogą mieć też wpływy w FBI.
- Kto to, na Boga, jest - Secret Service, CIA, gestapo elfów Świętego Mikołaja, które robi listę niegrzecznych dzieci?
- Krowi placek. Nieczystości.
- Frankenstein nie zdradził, kim są - odparł Dylan. - Powiedział tylko, że jeżeli odkryją szprycę w naszej krwi, możemy się pożegnać z życiem, a naszych kości nigdy nikt nie znajdzie.
- Tak, może rzeczywiście tak powiedział, ale dlaczego w ogóle mamy mu wierzyć? To był szalony naukowiec.
- Opróżnienie jelit. Oddawanie stolca. Seans toaletowy. - Nie był szalony - oznajmił z przekonaniem Dylan.
- Sam mówiłeś, że jest stuknięty.
- A ty nazywałaś go komiwojazerem. W tamtej nerwowej chwili różnie go nazywaliśmy...
- Paczka sedesowa. Wkład do wychodka. Wydzieliny.
- ...ale pomyśl o tym, jaki miał wybór - ciągnął Dylan. - Skoro wiedział, że ścigają go ci faceci i zamierzają zabić, podjął najbardziej logiczne i racjonalne działanie, jakie było w tym

momencie możliwe. Jilly otworzyła szeroko usta, jak gdyby przygotowywała się do leczenia kanałowego.

- Logiczne? Racjonalne? - Przypomniała sobie, że tak naprawdę w ogóle nie zna pana Dylana O'Connera. Mógł się okazać jeszcze dziwniejszym osobnikiem niż jego brat. - Dobra, najpierw ustalmy fakty. Uśmiechnięty gnojek częstuje mnie chloroformem, wstrzykuje mi do żył jakiś eliksir doktora Jekylla, kradnie mój cudny samochód, daje się wysadzić w powietrze - i w twojej światłej opinii to zachowanie daje mu kwalifikacje szefa uniwersyteckiego zespołu dyskusyjnego?

- Przyskrzynili go, czas uciekał, więc zrobił jedyną rzecz, jaką mógł, żeby ocalić dzieło swojego życia. Jestem pewien, że nie zamierzał dać się wysadzić w powietrze.

- Jesteś tak samo pomyłony jak on - uznała Jilly. - Ekskrementy. Łajno.

- Nie twierdzę, że postąpił słusznie-tłumaczył Dylan.

-Ale zgodnie z logiką. Jeżeli przyjmiemy założenie, że miał nierówno pod sufitem, popełnimy błąd, przez który możemy zginąć. Pomyśl: przegra, jeśli umrzemy. Dlatego chce, żebyśmy przeżyli, bo jesteśmy jego... nie wiem... bo jesteśmy jego żywym eksperymentem. W związku z tym muszę przyjąć, że wszystko, co mi mówił, ma nam pomóc przeżyć.

- Brudy. Biegunka. Wypłata z Jelitbanku.

Tuż po bokach autostrady międzystanowej, na północ i południe, rozciągały się równiny ciemne jak kamienie ze starożytnego paleniska poczerniałe od dziesiątków tysięcy ognisk, upstrzone szarymi jak popiół cętkami w miejscach, gdzie blask księżyca i gwiazd odbijał się od roślinności pustynnej albo błyszczących fragmentów kamieni. Na wschodzie majaczył posepny zarys łańcucha gór Peloncillo, które z północnego i południowego wschodu niczym imadło napierały na autostradę: twardy, czarny masyw poszarpanych skał, ciemniejszy od nieba, w które się wrzynał.

Pustynny krajobraz nie napawał otuchą i nadzieją, a poza autostradą nie było widać żadnego znaku, że to cześć zamieszkanego planety. Przypominał niesamowitą scenerię z filmu fantastycznonaukowego opowiadającego o świecie, w którym wszystkie gatunki wyginęły setki lat temu, pozostawiając po sobie martwą ziemię, nieruchomą jak diorama pod szkłem, gdzie poruszały się jedynie maszyny wykonujące zaprogramowane wieki temu zadania, które nie miały już żadnego znaczenia.

Ponury pejzaż skojarzył się Jilly z widokiem piekła, w którym wygaszono ogień.

- Nie ujdziemy z tego z życiem, prawda? - zapytała retorycznie, jakby nie spodziewała się przeczącej odpowiedzi.

- Co? Oczywiście, że przeżyjemy.

- Oczywiście? - powiedziała z niedowierzaniem. - Nie masz żadnych wątpliwości?

- Oczywiście - potwierdził. - Najgorsze już za nami. - Wcale nie.

- Ależ tak.

- Nie bądź śmieszny.

- Najgorsze już za nami - powtórzył z uporem.

- Jak możesz mówić, że najgorsze za nami, skoro nie mamy pojęcia, co nas jeszcze czeka?

- Tworzenie to akt woli - rzekł. - Co to niby ma znaczyć?

- Zanim stworzę obraz, układam go sobie w myślach. I w tym momencie już istnieje. Potem, żeby zmienić koncepcję w namacalne dzieło sztuki, potrzeba tylko czasu i pracy, farby i płótna.

- Czy my rozmawiamy o tym samym? - zastanawiała się na głos Jilly.

Shepherd znów zamilkł, lecz gadanina jego brata zaniepokoiła ją bardziej niż paplanie Shepa.

- Pozytywne myślenie. Przewaga umysłu nad materią. Bóg stworzył niebo i ziemię, powołując je do istnienia tylko myślą. Najpotężniejszą siłą wszechświata jest siła woli.
- Na pewno nie, bo inaczej miałabym własny sitcom i w tym momencie urządzałabym przyjęcie w swojej posiadłości w Malibu. - Nasza zdolność tworzenia stanowi odbicie boskiej zdolności tworzenia, bo codziennie wymyślamy nowe rzeczy i powołujemy je do istnienia- wynalazki, projekty architektoniczne, związki chemiczne, procesy produkcyjne, dzieła sztuki, przepisy na chleb, ciasto i pieczeń.
- Nie zamierzam ryzykować wiecznego potępienia, utrzymując, że robię tak dobrą pieczeń jak Bóg. Jego na pewno smakowałaby lepiej.

Puszczając mimo uszu jej uwagę, Dylan kontynuował:

- Nie mamy boskiej mocy, więc nie potraimy zamieniać energii naszych myśli bezpośrednio w materię...
- Bóg robi też pewnie lepsze sałatki niż ja i jestem pewna, że jest mistrzem nakrywania do stołu.
- ...ale kierując się myślą i logiką-ciągnął cierpliwie Dylan - umiemy wykorzystać inne rodzaje energii, żeby zmienić istniejącą materię w prawie wszystko, co zechcemy. Przędziemy nici, żeby szyć z nich ubrania. Ścinamy drzewa i z drewna budujemy sobie schronienie. Nasz proces tworzenia jest o wiele wolniejszy i nieporadny, ale w gruncie rzeczy bardzo zbliżony do boskiego. Rozumiesz, o czym mówię?
- Jeżeli kiedykolwiek zrozumiem, to będzie znaczyło, że można odwieźć mnie do czubków.

Znowu stopniowo zwiększając prędkość, powiedział:

- Wykaż odrobinę dobrej woli, dobra? Możesz się trochę wysilić?

Jilly zirytowała jego dziecięca gorliwość i huraoptymizm w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Mimo to, przypominając sobie upokorzenie, jakiego doznała po jego poprzednim popisie elokwencji, poczuła zalewającą jej twarz falę gorąca, ale zdołała opanować wzbierający strumień sarkazmu.

- W porządku. Mów dalej.
- Załóżmy, że zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga. - Dobra. I co z tego?
- Logiczny jest zatem wniosek, że chociaż nie potrafimy tworzyć materii z niczego i nie umiemy zmieniać istniejącej materii za pomocą samych myśli, to jednak nasza siła woli, o wiele mniej potężna od boskiej, może mieć wpływ na kształt rzeczy, które mają nadejść.
- Kształt rzeczy, które mają nadejść-powtórzyła. - Zgadza się.
- Kształt rzeczy, które mają nadejść.
- Otóż to -potwierdził, kiwając z zadowoleniem głową i odrywając na chwilę wzrok od drogi, aby się do niej uśmiechnąć. - Kształt rzeczy, które mają nadejść - powtórzyła jeszcze raz, zdając sobie nagle sprawę, że w konsternacji zaczęła mówić jak Shepherd. - Jakich rzeczy?
- Przyszłych wydarzeń - wyjaśnił. - Jeżeli jesteśmy stworzeni na obraz Boga, być może posiadamy trochę boskiej mocy kształtowania rzeczy - odrobinę, ale tyle, że da się ją wykorzystać. Nie tworzymy materii, ale przyszłość. Może dzięki naszej sile woli potrafimy kształtować swoje przeznaczenie, przynajmniej częściowo.
- Co? Jeżeli sobie wyobrazę, że w przyszłości będę milionerką, to naprawdę się nią stanę?
- Musisz podejmować odpowiednie decyzje i ciężko pracować, ale... tak, wierzę, że każdy z nas może kształtować własną przyszłość, jeśli ma dość siły woli.

Wciąż panując nad rozdrażnieniem i starając się zachować spokojny ton, spytała:

- Dlaczego więc nie jesteś sławnym malarzem miliarderem? - Nie chcę być sławny ani bogaty.

- Każdy chce być sławny i bogaty.

- Ja nie. Życie i tak jest skomplikowane. - Ale pieniądze znacznie ułatwiają życie.

- Pieniądze znacznie komplikują życie - zaprotestował. - Sława też. Chcę tylko dobrze malować, co dzień coraz lepiej. - Zatem - powiedziała, tracąc kontrolę nad strumieniem sarkazmu - w wyobraźni zobaczysz siebie w przyszłości jako drugiego Vincenta Van Gogha, pomyślisz sobie życzenie i pewnego dnia twoje obrazy znajdą się w muzeach.

- Zamierzam w każdym razie spróbować. Vincent Van Gogh - może, chociaż wyobrażam sobie przyszłość, w której mam oboje uszu.

Niczym niezmałowany dobry humor Dylana w obliczu nieszczęścia podziałał na Jilly tak, jakby ktoś przejechał jej po języku papierem ściernym.

- A ja, żeby sprowadzić cię na ziemię, wyobrażam sobie przyszłość, w której będę musiała wepchnąć ci jaja w przetyk. - Tyle w tobie złości?

- Boję się.

- W tej chwili się boisz, jasne, ale zawsze kipisz złością.

- Wcale nie zawsze. Spędzaliśmy z Fredem uroczy i spokojny wieczór, zanim to wszystko się zaczęło.

- Muszą cię dręczyć jakieś trudne nierozwiązane problemy z dzieciństwa.

- Kurczę, robisz na mnie coraz większe wrażenie. Zaraz się okaże, że kiedy nie próbujesz naśladować Van Gogha, w wolnych chwilach zajmujesz się psychoanalizą.

- Jeśli jeszcze trochę podskoczy ci ciśnienie - ostrzegł ją Dylan - pęknie ci tętnica szyjna.

Przez zaciśnięte zęby Jilly wydała wściekły pisk, bo gdyby zdusiła go w sobie, mogłaby wybuchnąć.

- Chcę ci tylko powiedzieć - ciągnął Dylan drażniąco rzeczowym i spokojnym tonem - że jeśli pomyślimy pozytywnie, może rzeczywiście najgorsze mamy już za sobą. A negatywne myślenie na pewno nic nam nie da.

W odruchu gniewu chciała spuścić nogi na podłogę i mocno tupnąć, ale zreflektowała się, przypominając sobie o biednym

bezbronnym Fredzie wciśniętym pod siedzenie. Nabrała więc głęboko powietrza i zaatakowała Dylana:

- Skoro to takie proste, dlaczego przez tyle lat patrzysz spokojnie na ciężką dolę Shepherd'a? Dlaczego nigdy nie wyobraziłeś sobie, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wychodzi z autyzmu i zaczyna normalnie żyć?

- Nieraz to sobie wyobrażałem - odparł cicho i z goryczą, która zdradzała bezbrzeżny smutek z powodu choroby brata. - Myślę o tym codziennie, żywo i intensywnie, z całej duszy, od kiedy tylko sięgam pamięcią.

Bezkrzesne niebo. Bezdroże pustyni. Przepaść, która powstała we wnętrzu samochodu, równie rozległa jak bezmiar mroku i pustki za oknami, przepaść, która była dziełem Jilly. Dając się ponieść złości, bezmyślnie przekroczyła granicę dzielącą słuszne argumenty i nieuzasadnioną złośliwość, trafiając Dylana O'Connera w najczulszy punkt, choć wiedziała, że tam zaboli go

najbardziej. Wprawdzie siedzieli obok siebie, ale dystans ich dzielący wydawał się nie do przebycia.

W ostrym świetle reflektorów nadjeżdżających z przeciwka aut i perłowym blasku wskaźników tablicy rozdzielczej widać było, że oczy Dylana lśnią, jakby przez tyle czasu wstrzymywał prawdziwy ocean łez. Przyglądając mu się z większym współ-czuciem niż dotąd, nawet w mdłym oświetleniu Jilly dostrzegła, że to, co wyglądało na smutek, może być w istocie głębokim cierpieniem, długotrwałym, niesłabnącym bólem, jak gdyby brat nie chorował na autyzm, ale umarł i odszedł na zawsze.

Nie wiedziała, co powiedzieć, aby naprawić swoją podłość. Bez względu na to, czy będzie mówić szeptem, czy krzyknie, słowa przeprosin nie pokonają otchłani, jaka powstała przez Jilly między nią a Dylanem O'Connerem.

Czuła się jak wkład do wychodka.

Bezkresne niebo. Bezdroże pustyni. Szmer opon i monotonne brzęczenie silnika zlały się w biały szum, na który Jilly szybko przestała zwracać uwagę i po pewnym czasie zaczęła odnosić wrażenie, że równie dobrze mogłaby siedzieć w martwej ciszy na powierzchni księżycy. Nie słyszała ani własnego oddechu, ani głuchego bicia serca, ani echa śpiewu jej dawnego chóru kościelnego, który od czasu do czasu brzmiał w jej głowie, gdy czuła się samotna i zagubiona. Nie dysponowała tak dobrym głosem, żeby śpiewać solo, lecz miała talent do harmonii i gdy stała wśród swoich siostr i braci ubranych tak samo, trzymających

identyczne zbiory hymnów, ogarniało ją głębokie i pogrzipiające poczucie wspólnoty, jakiego przedtem i potem nigdy nie doświadczyła. Czasem Jilly uważała, że strasznie trudne zadanie nawiązania porozumienia ze składającą się z samych nieznajomych publicznością i nakłonienie ich do śmiechu z głupoty i złośliwości rodzaju ludzkiego jest o wiele łatwiejsze niż pokonanie dystansu i utrzymanie na pewien czas choćby najsłabszej więzi między dwójgim ludzi. Bezkrzesne niebo, bezdroże pustyni i samotność każdego pancernego serca łączyła jedna cecha - ta sama dał, niemal nie do przebycia.

Liżąc pobocze autostrady, jęzor światła wyławiał z ciemnego żwiru tu i tam coś błyszczącego i przez moment Jilly obawiała się, że znów zobaczy świece wotywnie i przybyłe znikąd kościelne ławki, stado białych jak śmierć ptaków i strugi krwawej ektoplazmy, ale w porę zorientowała się, że te szybko znikające płomyki to tylko odbicie światła reflektorów od kawałków potłuczonych butelek.

Ciszy nie przerwała ani ona, ani Dylan, lecz głos Sheperda monotonicznie powtarzającego mantrę znaną z reklam telewizyjnych:

- Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach. Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach. Od dziś... Jilly zachodziła w głowę, dlaczego Shep zaczął recytować hasło reklamowe restauracji, w której niecałe dwie godziny temu kupiła kolację, ale zaraz doszła do wniosku, że musiał widzieć znaczek promocyjny, jaki kobieta za ladą przypięła jej do bluzki. - Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach. Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach.

- Kiedy wracałem do motelu z jedzeniem na wynos, dostałem pałką w głowę - powiedział Dylan. - Nie zjedliśmy kolacji. Chyba jest głodny.

- Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach - rzekł Shep, kołysząc się z boku na bok.

Gdy Dylan oderwał jedną rękę od kierownicy i sięgnął do kieszeni swojej koszuli hawajskiej, Jilly zobaczyła, że ma taki sam jak ona znaczek z żabą. Na tle kwiecistego wzoru kolorowej tkaniny trudno było zauważyć uśmiechniętego płaza.

- Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach... Gdy Dylan odpinał gadżet reklamowy, stało się coś dziwnego i nastąpił kolejny w ciągu tego wieczoru zwrot akcji. Trzymając znaczek między kciukiem a palcem wskazującym i sięgając w stronę konsoli dzielącej przednie siedzenia, jak gdyby

zamierzał wrzucić plaketkę do pojemnika na śmieci, Dylan zadygotał, niezbyt gwałtownie, jednak na tyle mocno, że nie sposób było uznać tego za zwykły dreszcz; zadygotał, jakby przez ciało przebiegł mu prąd elektryczny. Jego język zatrzepotał o podniebienie, wydając charakterystyczny dźwięk podobny do odgłosu uruchamiania silnika samochodu:

- Hannn-na-na-na-na-na-na!

Udało mu się utrzymać kierownicę lewą ręką, ale jego stopa zmniejszyła nacisk na pedał gazu albo całkiem się z niego ześliznęła. Prędkość forda zaczęła spadać z groźnych dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę do po prostu niebezpiecznych osiemdziesięciu pięciu i na koniec do mimo wszystko ryzykownych siedemdziesięciu pięciu.

- Hannn-na-na-na-na-na-na! - wyjąkał i równocześnie z wymówieniem ostatniej sylaby pstryknął znaczkiem, jakby grał w kulki. Przestał dygotać równie nagle, jak zaczął.

Metalowy krążek odbił się z brzękiem od okna w drzwiach po stronie pasażera, kilka cali od twarzy Jilly, rykoszetem trafił w deskę rozdzielczą i wylądował w labiryncie gałęzi i liści Freda.

Mimo że stopniowo tracili prędkość, Jilly wyczuła, że nie mając zapiętych pasów, znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, zrozumiała też, że nie zdąży już nałożyć i zapiąć szelek. Okręciła się więc twarzą do przodu, lewą ręką chwyciła się kurczowo siedzenia, omal nie dziurawiąc skórzanej tapicerki, a prawą złapała się uchwytu tuż nad drzwiami. W momencie, gdy Dylan potwierdził jej przeczucia, wciskając hamulec do oporu, wparła się stopami w deskę rozdzielczą. Zgięła kolana, przygotowując się do zamortyzowania wstrząsu, i zaczęła odmawiać w myślach „Zdrowaś Mario”, nie prosząc w modlitwie o uchronienie przed klątwą grubego tyłka, ale błagając o ocalenie swojego tyłka, wszystko jedno, jak groteskowe rozmiary miałby przybrać w przyszłości.

W ciągu dwóch sekund prędkość forda spadła do sześćdziesięciu, może nawet do pięćdziesięciu mil na godzinę, ale wciąż jechali tak szybko, że nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby w takim pędzie wykonać ostrego skrętu. Najwidoczniej jednak Dylanem O'Connerem owładnęło szaleństwo: puścił hamulec, skręcił kierownicę do oporu w lewo, znów wdusił hamulec, poderwał samochód z jezdni i z przeraźliwym piskiem opon wykonał ostry zwrot.

Wzbijając obłok kurzu, ford obrócił się na szerokim poboczu autostrady. U podwozie zagrzechotał żwir: trach-trach, przeraźliwe jak seria z karabinu maszynowego. Okręcając się w oślepiającym świetle zbliżających się reflektorów, Jilly wciągnęła głęboko powietrze w rozpaczliwym pragnieniu życia, jak skazana na śmierć, gdy słyszy świst spadającej gilotyny. Gdy samochód znalazł się w pozycji wyjściowej, pisnęła, a potem paskudnie zaklęła, zapominając o swojej awersji do wulgaryzmów, kiedy znowu obrócili się o sto dwadzieścia stopni, zatrzymując się w końcu zwróceniem przodem w kierunku północno-wschodnim.

Wschodnie i zachodnie pasy autostrady rozdzielała wysepka szerokości sześćdziesięciu stóp, nieosłonięta barierą, a jedyną przeszkodą, która miała uniemożliwić wjechanie na przeciwny pas, był obniżony obszar zieleni. W momencie gdy ford stanął i Jilly wciągnęła kolejną porcję powietrza, która wystarczyłaby na przepłynięcie pod wodą kanału La Manche, Dylan puścił pedał hamulca, wciskając gaz i ruszając po przekątnej w dół obniżenia.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła.

Był wyjątkowo skoncentrowany, jak nigdy dotąd, skupiał się na zjeździe w dół zbocza bardziej niż wtedy, gdy przyglądał się jej płonącemu cadillacowi, bardziej niż gdy zajmował się Shepem w konfesjonale na tylnym siedzeniu.

Wielki jak niedźwiedź, całkowicie wypełniał swoją połowę przedniego siedzenia. Nawet w normalnych okolicznościach - przynajmniej w najbardziej normalnych z tych, w których Jilly go widziała - ciężko wisiał na kierownicy, lecz w tej chwili zawisł jeszcze bardziej, z twarzą przysuniętą blisko szyby, wykrzywioną w niedźwiedzim grymasie, wlepiając wzrok w smugi światła reflektorów rozcinających mrok w dole, gdzie zjeżdżał.

Nie odpowiedział na jej pytanie. Rozchylił usta jakby w zdumieniu, jak gdyby sam nie wierzył, że wprowadził forda w kontrolowany poślizg i pędzi przez wysepkę zieleni w stronę przeciwnego pasa ruchu.

Może jeszcze nie pędził, ale kiedy samochód znalazł się na dnie obniżenia, zaczął nabierać prędkości. Gdyby uderzyli we wzniesienie pod niewłaściwym kątem lub przy zbyt dużej szybkości, auto zaczęłoby dachować, co świetnie wychodzi pojazdom z napędem na cztery koła, kiedy źle się je prowadzi na terenie takim jak ten, pokrytym piaskiem i luźnym tłuczniem.

- Nie! - krzyknęła, ale nie poskutkowało. Gdy ford wałnął w kruszące się zbocze, Jilly mocniej wbiła stopy w deskę rozdzielczą, zastanawiając się, gdzie może być ukryta poduszka powietrzna. Bala się, że zamontowano ją w desce rozdzielczej i jeśli wybuchnie pod jej stopami, może jej wbić kolana w twarz albo rozerwać się pod podszewkami butów, parząc całe ciało gorącym sprężonym gazem. Właśnie takie i jeszcze gorsze obrazy przesuwają się jej w myślach zamiast standardowego zapisu całego życia (z muzyką z „Królika Bugsa” w tle, która byłaby najodpowiedniejszą ilustracją), ale nie mogła pohamować ich napływu, trzymała się więc mocno siedzenia i uchwytu nad drzwiami, krzycząc ciągle „Nie!” - wciąż na próżno. Dziurawiąc ciemność za sobą wyrzucanymi spod kół bliźniaczymi strumieniami żwiru i piasku, ford piął się ukośnie po północnym zboczu nasypu, jak gdyby przechodził ostry test odporności na dachowanie. Sądząc po sile ciężenia, jaka pchała Jilly w stronę kierowcy, gdyby wóz przechylił się jeszcze o jeden stopień, potoczyłby się z powrotem w dół.

Kilka razy podczas wspinaczki wydawało się, że z czterech napędzanych kół co najmniej dwa traciły przyczepność. Samochodem rzucało i kołysało, ale w końcu osiągnął szczyt wzniesienia i stanął na poboczu pasa prowadzącego na zachód.

Dylan spojrział w lusterko wsteczne, zerknął w boczne, po czym wstrzelił się w lukę między samochodami, które mknęły tam, skąd przyjechali. W stronę miasta. W stronę motelu, gdzie na pewno tlił się jeszcze jej cadillac. Prosto do miejsca, gdzie czekały na nich kłopoty, od których usiłowali uciec.

Jilly przemknęła niedorzeczna myśl, że powodem szaleńczego przejazdu przez dół było powtarzane przez Shepa „Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach” - informacja, że nie jadł kolacji. Oddanie starszego brata mogło być do pewnego stopnia godne podziwu,

jednak powrót do baru z hamburgerami w tej sytuacji nie miał nic wspólnego z odpowiedzialną troskliwością opiekuna, ale stanowił lekkomyślny akt ślepego poświęcenia.

- Co ty wyprawiasz? - powtórzyła Jilly.

Tym razem zareagował, choć odpowiedź ani nie dodała jej otuchy, ani nie zaspokoila ciekawości.

- Nie wiem.

W jego zachowaniu wyczula tę samą rozpaczliwą bezradność, która ogarniała ją za każdym razem, gdy znalazła się we władzy mirażu. Przestraszona perspektywą szybkiej jazdy z kierowcą, który ma halucynacje lub coś jeszcze gorszego, powiedziała:

- Zwolnij, na litość boską. Dokąd jedziesz? Wciskając pedał gazu, odrzekł:

- Na zachód. Gdzieś na zachód. Do jakiegoś miejsca.

- Po co?

- Czuję, jak mnie ciągnie. - Co cię ciągnie?

- Ciągnie mnie na zachód. Nie wiem co ani dokąd. - Wobec tego dlaczego w ogóle jedziesz?

Jak gdyby był prostodusznym człowiekiem, który doszedł do wniosku, że rozmowa zeszła na tematy filozoficzne nie bardziej zrozumiałe niż osiągnięcia biologii molekularnej, Dylan spojrział na nią, ukazując białka oczu jak pies, który nie pojmuje powodu kary.

- Po prostu czuję, że... tak trzeba.

- Co trzeba?

- Trzeba jechać w tym kierunku, na zachód. - Nie pakujemy się z powrotem w kłopoty? - Tak, pewnie tak.

- To zjedź na bok, stań.

- Nie mogę. - Na jego twarzy zalśnił pot. - Nie mogę. - Dlaczego?

- Przez Frankensteina. Zastrzyk. Szpryca. Zaczęła działać. Coś się ze mną dzieje.

- Co?

- Jakieś straszne gównno.

- Nawóz - powiedział z tylnego siedzenia Shep.

14 Faktycznie, straszny nawóz.

Dylan O'Conner wpadł w popłoch, jak gdyby uciekał przed szybko rozprzestrzeniającym się pożarem albo lawiną kamieni, lodu i śniegu. Serce waliło mu jak zającowi ściganemu przez wilka. Nigdy nie cierpiał na manię prześladowczą, nie brał metamfetaminy, ale przypuszczał, że tak właśnie czuje się człowiek dręczony paranoidalnymi urojeniami, kiedy włąduje sobie w żyłę śmiertelną dawkę amfy w płynie.

- Ponoś mnie - rzekł do Jilly, wciskając pedał gazu. - Nie wiem dlaczego i nie umiem się uspokoić.

Bóg jeden wiedział, co o tym pomyślała. Dylan sam nie był pewien, co chciał jej przez to powiedzieć.

Właściwie nie miał wrażenia, jakby uciekał przed niebezpieczeństwem, ale czuł, jakby jakiś największy na świecie elektromagnes, oddziałując na żelazo w jego krwi, ciągnął go nieuchronnie

w jakimś kierunku. Szalonemu niepokojowi towarzyszył nieodparty impuls, który kazał mu jechać.

Szalony niepokój nie miał żadnej logicznej przyczyny, a impuls nie wiązał się z żadnym konkretnym obiektem. Dylan po prostu musiał jechać na zachód i jak najszybciej gonić zachodzący księżyc.

Powiedział Jilly, że to instynkt. Coś we krwi mówiło mu „jedź”, coś w kościach mówiło „pędź”, słyszał głos pamięci swego gatunku, który odezwał się w jego genach, głos, którego nie mógł zignorować, bo gdyby nie usłuchał wezwania, stałoby się coś strasznego.

- Strasznego? - spytała Jilly. - Co takiego?

Nie wiedział, tylko czuł, tak jak zaszczuta antylopa z odległości stu jardów wyczuwa geparda czającego się w wysokiej trawie albo jak spragniony gepard wyczuwa sadzawkę ukrytą w głębi sawanny i oddaloną o wiele mil.

Próbując wytłumaczyć, co się z nim dzieje, zwolnił nieco. Strzałka szybkościomierza drżała, wskazując osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Wdusił gaz, dopóki nie pokazała dziewięćdziesiątki.

Na autostradzie przy gęstym ruchu jazda takim dużym samochodem z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę była nie tylko niedozwolona i nierozsądna, ale głupia, a nawet gorzej niż głupia-kretyńska.

Dylan nie potrafił zmusić się do odpowiedzialnej reakcji, ani apelując do rozsądku, ani do poczucia wstydu. Jego maniakalna determinacja, by gnać na zachód, byle dalej na zachód, stanowiła zagrożenie dla życia Shepa, Jilly i jego samego. Innym razem lub nawet parę godzin wcześniej zwolniłby na samą myśl o odpowiedzialności za ich bezpieczeństwo, ale teraz palący przymus zagłuszył wszelkie względy moralne, a także instynkt przetrwania.

Na zachód gnały wielkie macki i peterbilty, sedany, coupe, auta terenowe, pikapy, furgonetki, lawety, wozy kempingowe i cysterny, zmieniając w pędzie pasy ruchu, a Dylan, nie zwalniając ani na moment, wciskał forda w luki między nimi z biegiem bystrookiego krawca, który nawleka mnóstwo igieł po kolei.

Szybkościomierz wskazywał dziewięćdziesiąt dwie mile, ale lęk przed zderzeniem z innym pojazdem był o wiele słabszy od zwierzęcego odruchu, by gnać przed siebie. Przekraczając dziewięćdziesiąt trzy, Dylan poczuł wibracje, które wstrząsały podwoziem, lecz zaniepokojenie wcale nie skłoniło go do zmniejszenia prędkości.

Nieodparta potrzeba pędu, poczucie, że musi jechać jak szatan, bo inaczej zginie, była czymś więcej niż przymus; opanowała go zupełnie jak obsesja, a z każdym oddechem słyszał w głowie złowieszcze napomnienie „Masz coraz mniej czasu”, z każdym uderzeniem serca natarczywe wołanie „Prędej!”.

Przejeżdżając przez dziury, pęknięcia i łaty na jezdni, koła waliły jak młoty i Dylan bał się skutków ewentualnego rozerwania opony przy tak zawrotnej szybkości, mimo to gnał dziewięćdziesiąt sześć na godzinę, wystawiając na ciężką próbę amortyzatory i torturując resory, potem dziewięćdziesiąt siedem, przy akompaniamencie ryku silnika i świstu wiatru w oknach, dziewięćdziesiąt osiem, wciskając się między dwie ogromne ciężarówki, wyprzedzając z raketowym wizgiem lśniącego jaguara, który zatrafił z dezaprobatą, wreszcie dziewięćdziesiąt dziewięć.

Dylan wiedział, że obok siedzi Jilly, wciąż przygotowana na katastrofę, wpierniacząc adidasy w deskę rozdzielczą, szamocząc się z pasami bezpieczeństwa, które usiłowała zapiąć. Kątem oka dostrzegał, że zawładnął nią paniczny strach, a gdy zerknął na nią przelotnie, utwierdził się w tym przekonaniu. Przypuszczał, że coś do niego mówiła, protestując głośno przeciw karkołomnej, wariackiej gonitwie na zachód. Słyszał nawet jej głos, ale głuchy i

zniekształcony, jak gdyby ktoś odtwarzał taśmę z niewłaściwą prędkością; nie rozumiał ani słowa.

Zanim szybkościomierz pokazał setkę, a zwłaszcza gdy ją przekroczył, każda nieregularność nawierzchni przenosiła się ze zwielokrotnionym skutkiem na kierownicę, która próbowała wymknąć się Dylanowi z rąk. Na szczęście pot, jaki wcześniej wystąpił mu nagle na czoło i zwilżył dłonie, zdążył obeschnąć w podmuchu włączonej klimatyzacji. Panował nad samochodem przy prędkości stu dwóch i stu trzech mil na godzinę, ale choć trzymał kierownicę, nie mógł oderwać stopy od pedału gazu.

Ogromna prędkość ani trochę nie zmniejszyła jego potrzeby pędu; im szybciej jechał, tym większy popłoch go ogarniał, zmuszając do wciskania gazu do oporu. Miał wrażenie, jakby wciągała go grawitacja czarnej dziury, każąc mu gnać wprost na linię horyzontu, za którym ani materia, ani promieniowanie nie miały dokąd uciec przed straszliwą siłą wiru. „Jechać, jechać, JECHAĆ” - to była jego mantra, jazda w nieodgadnionym celu, jazda dla samej jazdy, na zachód, śladem słońca, które dawno zaszło, i jeszcze widocznego, ale też już powoli gasnącego księżycyca.

Być może szaleńcza gonitwa w stronę nieznanego, a jednak pożądanego obiektu była reakcją typową dla najbardziej

pechowych pacjentów Frankensteina, których iloraz inteligencji zaraz potem gwałtownie spadał, wtrącając ich w otchłań tępoty.

Jeżeli nie wymaże ci osobowości ani nie pozbawi cię zdolności linearnego myślenia, ani nie zredukuje ilorazu inteligencji o sześćdziesiąt punktów...

Przed nimi majaczyło miasto, które tak niedawno opuścili w pośpiechu, bojąc się widoku czarnych chevroletów we wstecznym lusterku, połyskujących jak gondole śmierci na kółkach.

Dylan spodziewał się, że tajemnicza siła każe mu zjechać z autostrady niedaleko motelu, gdzie cadillac Jilly zmienił się w płonąca trumnę ich prześladowcy. Zerkając na szybkościomierz - sto cztery mile na godzinę - poczuł, jak przyspieszony rytm serca przechodzi w galop. Z taką prędkością nie uda mu się pokonać łukowatego zjazdu. Modlił się, by przed opuszczeniem autostrady zdążył opanować manię szybkości, by nie wpaść na barierę i nie stoczyć się po nasypie w przymusowym teście na wytrzymałość produktu Ford Motor Company.

Kiedy zbliżali się do feralnego zjazdu, Dylan czekał w napięciu, lecz na szczęście nie ciągnął go tam żaden impuls. Przemknęli obok niczym grupa kaskaderów szykująca się do skoku przez rząd szesnastu autobusów.

Na południe od autostrady, wśród świateł sklepów i punktów usługowych dla podróżnych złowrogo jaśniał szyld motelu. Czerwony neon kojarzył się z krwią i ogniem; przywodził na myśl masę obrazów piekła z makabrycznych wizji wszystkich artystów, od malarzy sprzed epoki renesansu po współczesnych ilustratorów komiksów.

Na ścianach dalekiego motelu migwały plamy świateł błyskających rytmicznie na dachach samochodów policji i wozów strażackich. Ze zwęglonego wraka cadillaca wciąż unosiły się smużki szarego dymu.

Zanim upłynęło pół minuty, spalone resztki samochodu zostały milę za nimi. Szybko zbliżali się do drugiego zjazdu, który również prowadził do miasta i znajdował się trzy mile na zachód od pierwszego.

Kiedy wreszcie zaczęli zwalniać i Dylan włączył prawy kierunkowskaz, Jilly pewnie pomyślała, że odzyskał panowanie nad sobą. Jednak Dylan miał nie większy wpływ na

własny los niż wtedy, gdy zjechał ze wschodniego pasma autostrady i przeciął pas zieleni. Coś go przyzywało, jak głos syreny woła żeglarza, a on nadal nie potrafił się oprzeć nieznanemu sile.

Wszedł w zakręt za szybko, ale już nie z taką prędkością, by ford wpadł w poślizg albo wylądował na dachu. Na końcu zjazdu, nie widząc żadnych samochodów na cichej ulicy, Dylan bez wahania zignorował znak stopu i skręcił w lewo do dzielnicy mieszkaniowej, zupełnie lekceważąc prawa fizyki i te stworzone przez człowieka.

- Euka-euka-eukaliptus - usłyszał słowo, które mimowolnie wypowiedział. Przeraził się tylko dlatego, że znów działo się z nim coś dziwnego, ale zdał sobie sprawę, że zaczął mówić jak Shep. - Eukaliptus, eukaliptusowa pięć, nie, nie pięć, eukaliptusowa sześć, nie, eukaliptusowa sześćdziesiąt.

Choć jego domeną była ekspresja plastyczna, Dylan był też odczytany; znał kilka powieści o ludziach, których umysłami zawładnęli Obcy, w jednej czytał o dziewczynie opętanej przez demona, w innej o facecie, którego prześladował duch jego zmarłego brata bliźniaka. Przypuszczał, że czuje się teraz zapewne tak jak oni, jeżeli faktycznie jakaś wroga istota pozaziemska albo duch zamieszkał w jego ciele i przejął władzę nad jego wolą. Nie czuł jednak obecności żadnego obcego stwora ani pod skórą, ani na powierzchni mózgu. Zachował tyle rozsądku, by wiedzieć, że w jego krwi płynie jedynie tajemnicza zawartość strzykawki pojemności osiemnastu centymetrów sześciennych.

Nie odnalazł jednak pociechy w tej konstatacji.

Bez powodu, po prostu dlatego, że tak było trzeba, na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w lewo i minął trzy przecznice. Z każdą chwilą mówił z coraz większym zniecierpliwieniem i coraz głośniejszym, zagłuszając Jilly, która usiłowała coś wtrącić:

- Eukaliptusowa sześć, eukaliptusowa zero, eukaliptusowa pięć, sześćdziesiąt pięć, nie, może pięćset sześćdziesiąt albo pięćdziesiąt sześć...

Zwolnił do czterdziestu mil na godzinę, lecz i tak ledwie mignęła mu tablica z nazwą ulicy, na której widniało powtarzane przez niego słowo: ALEJA EUKALIPTUSOWA.

Wcisnął hamulec, obrócił kierownicę w lewo i wpadł w Aleję Eukaliptusową, najeżdżając na krawężnik na skrzyżowaniu. Ulica była zbyt wąska, by można ją nazwać aleją, odrobinę szersza od uliczki osiedlowej. Dylan nie zauważył, aby rósł tu choć jeden eukaliptus, ale z obu stron okalały ją drzewa laurowe i oliwne o fantastycznie węzlastych i wykrzywionych pniach i gałęziach, które w bursztynowym świetle latarni rzucały splątany jak gęsta wiklina cień. Eukaliptusy albo dawno powymierały, albo usunięto je wiele lat temu, a może nazwę ulicy nadał jakiś dendrologiczny ignorant.

Za drzewami stały skromne domy, stare, ale w większości dobrze utrzymane: ozdobione sztukaterią i przykryte półokrągłą dachówką pudełka, podmiejskie domki stylizowane na wiejskie, o prostych liniach, lecz bez charakteru, gdzieś tam dwupiętrowy budynek, który wyglądał, jakby przeniesiono go tu prosto z Ohio albo Indiany.

Dylan zaczął przyspieszać, lecz nagle z impetem zahamował, zatrzymując forda przed numerem 506. Na końcu ceglanego chodnika wznosił się piętrowy oszalowany dom z głęboką werandą od frontu.

Wyłączając silnik i odpinając klamrę pasa, Dylan nakazał: - Zostań z Shepem.

Jilly coś mu odpowiedziała, ale nie zrozumiał. Od tej chwili miał poruszać się pieszo, jednak pulsował w nim nie mniejszy niepokój i poczucie misji niż w trakcie szaleńczego zjazdu ze

wschodniego pasa autostrady i odysei na zachód. Echo ciężko walącego serca niemal go ogłuszało. Nie miał głowy ani czasu prosić Jilly, aby powtórzyła.

Gdy otworzył drzwi, chwyciła go za połą koszuli hawajskiej. Trzymała mocno niczym gryf; jej palce zacisnęły się na tkaninie jak szpony.

Jej ładna twarz pociemniała od niepokoju, a czarnobrazowe oczy, przedtem jasne i bystre jak u czujnego orła, zamglił lęk. - Dokąd jechałeś? - zapytała ostro.

- Tutaj - odrzekł, wskazując oszalonego dom.

- Pytam o to, co było po drodze. Wyglądałeś na zupełnie nieprzytomnego. Zapomniałeś nawet, że siedzę obok.

- Nie zapomniałem - zaprzeczył. - Nie mam czasu. Zostań z Shepem.

Jej szponiasta dłoń próbowała go zatrzymać. - Co się dzieje?

- Niech mnie szlag, jeżeli wiem.

Być może nie oderwał palców Jilly od swojej koszuli z niezwykłą dla siebie brutalnością i być może jej nie odepchnął. Nie był pewien, w jaki sposób uwolnił się od uścisku, w każdym razie wysiadł z forda. Zostawiając otwarte drzwi, wyminął przód samochodu i ruszył w kierunku domu.

Na parterze panowała ciemność, ale zza firanek połowy okien na piętrze sączyło się światło. Ktoś był w domu. Dylan zastanawiał się, czy wiedzą o nim, czy na niego czekają - czy może jego pojawienie się na progu zupełnie ich zaskoczy. Może wyczuli instynktownie, że coś się zbliża, podobnie jak on czuł, że niewytłumaczalna siła przyciąga go do nieznanego miejsca.

Usłyszał jakiś odgłos, który zdawał się dobiegać z prawej, z boku domu.

W połowie drogi do werandy skręcił z chodnika z ułożonych w jodełkę cegieł. Przeciął trawnik i znalazł się na podjeździe. Przy ścianie domu dobudowano wiatę, która leciwego buicka kryła teraz przed gasnącym blaskiem księżyca, a w dzień przed żarem pustynnego słońca.

Rozgrzany metal stygł, tykając miarowo. Samochód przyjechał tu całkiem niedawno.

Zza wiaty, z tyłu domu, dobiegł metaliczny dźwięk, jak brzęk kluczy na kółku.

Mimo że nagła potrzeba ruchu nie zmniejszyła się ani trochę, Dylan stał nieruchomo obok auta. Czekał, nasłuchując. Niepewny, co ma dalej robić.

To miejsce było mu zupełnie obce. Czuł się jak złodziej, choć, o ile wiedział, nie przyjechał tu, aby cokolwiek kraść.

Z drugiej strony jednak kluczowe było wyrażenie „o ile wiem”. Pod wpływem zaaplikowanej szprycy mógł się okazać zdolny do najokropniejszych czynów, o jakie nigdy by się nie podejrzewał. Kradzież mogłaby stanowić najmniej znaczącą ze zbrodni, przed którymi nie umiałby się cofnąć.

Na myśl przyszedł mu „Doktor Jekyll i pan Hyde” - drzemiąca w człowieku bestia, która wrywa się na wolność.

Bał się od chwili, gdy uległ impulsowi pchającemu go na zachód, ale strach mieszał się z poczuciem przymusu i dezorientacją, tracąc na sile. Dylan zastanawiał się, czy krążąca w jego żyłach substancja może być chemicznym odpowiednikiem demona, który dosiadł jego duszy i dźga ostrogami serce. Wzdrygnął się i lodowaty dotyk strachu zmroził mu nerwy, a na rękach i karku poczuł gęsią skórę przerażenia.

Znów usłyszał niedaleki brzęk kluczy. Skrzypaneły zawiasy, pewnie u drzwi.

Z tyłu domu w oknach na parterze widać było światło za firankami w kwiatki.

Po chwili wahania już wiedział, co robić: dotknął klamki buicka w drzwiach od strony kierowcy. Ujrzał wirujące kaskady iskier, jak gdyby tuż za jego oczami zaczął latać rój nierealnych światełek.

Usłyszał w głowie elektryczny trzask, taki sam jak wcześniej w samochodzie, gdy dotknął znaczka z uśmiechniętą narysowaną zębą. Dostał ataku, który go przestraszył, ale na szczęście nie były to gwałtowne konwulsje. Język zaczął uderzać o podniebienie i Dylan znów usłyszał tamten osobliwy, półmechaniczny dźwięk.

- Hannn-na-na-na-na-na-na!

Tym razem trwał w tym dziwnym stanie krócej i gdy tylko spróbował stłumić nieartykułowany bełkot, od razu umilkł, inaczej niż poprzednim razem.

Gdy wybrzmiało ostatnie „na”, znowu ruszył. Jak najciszej przemknął pod wiatą i skręcił za róg domu.

Ganek z tyłu był płytszy niż weranda od frontu i miał prostsze słupki. Prowadziły do niego betonowe schodki.

W momencie gdy jego dłoń spoczęła na klamce, w głowie znów rozszalały się światełki, lecz było ich mniej niż przedtem. Towarzyszące im elektryczne trzaski również brzmiały mniej wybuchowo. Zaciskając zęby i przyciskając mocno język do podniebienia, zdołał nie wydać tym razem żadnego dźwięku.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Klamka ustąpiła pod naciskiem dłoni i drzwi uchyliły się, kiedy je popchnął.

Dylan O'Conner przestąpił próg, którego nie powinien przestępować, wszedł nieproszony, wystraszony własną zuchwałością, ale niezdolny opanować przemożnego impulsu.

W kuchni była pulchna, siwowłosa kobieta w prążkowanym uniformie. Wyglądała na znużoną i przygnębioną, zupełnie nie przypominała wesołej i tryskającej energią żony Świętego Mikołaja, którą była zaledwie kilka godzin temu, przyjmując jego zamówienie i przypinając mu do koszuli znaczek z zębą.

Na blacie obok kuchenki stała duża biała torba z kolacją na wynos, którą kupiła za niższą cenę w swoim barze. Wonna mieszanka tłuszczu, cebuli, sera i pieczonego na węglu mięsa zdążyła wypełnić pomieszczenie smakowitym melanżem zapachów.

Stała obok stołu, a jej poszarzała twarz, która przedtem miała zdrowy, różowy kolor, wyrażała coś między strapieniem a rozpaczą. Wpatrywała się w przedmioty ułożone na blacie stołu, w martwą naturę niepodobną do żadnej z tych, które malowali dawni mistrzowie: dwie puste puszki po budweiserze, z których jedna stała, a druga leżała, obie częściowo zgniecione; rozsypaną garść tabletek i kapsułek, białych, różowych i kilku wielkich zielonych; popielniczkę, w której spoczywały dwa pety - niedopałki skrętów z marihuany.

Kobieta nie słyszała, jak Dylan wchodzi, nie dostrzegła kątem oka ruchu drzwi i przez chwilę nie miała pojęcia o jego obecności. Kiedy się zorientowała, że ma gościa, przeniosła spojrzenie ze stołu na jego twarz, lecz była zbyt sparaliżowana malowniczym widokiem na stole, by mogła się zdumieć lub przestraszyć.

Zobaczył ją żywą, martwą, żywą, martwą, a pulsujący w jego żyłach strach zgęstniał w obłądne przerażenie.

1 5 Dylan przeszedł przed fordem, migając w świetle reflektorów żółto-niebieską koszulą jasną jak popołudnie na Maui, a Jilly niespecjalnie by się zdziwiła, gdyby zniknął

jej przed oczu, przechodząc do jakiejś rzeczywistości alternatywnej. Ryzykowny powrót do miasta był karkołomną jazdą prosto w nieznaną strefę między dwoma światami i po swojej wizji na pustyni i spotkaniu z widmowym stadem gołębi może już nigdy w życiu nic jej nie zaskoczy.

Gdy Dylan nie zniknął w światłach, gdy znalazł się na ceglany chodniku i zaczął iść w stronę domu, Jilly odwróciła się do siedzącego z tyłu Shepa.

Ujrzała, że chłopak na nią patrzy. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Zielone oczy Shepa rozszerzyły się w szoku, a potem znów zamknęły.

- Zostań tu, Shep. Nie odpowiedział.

- Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz wrócimy.

Jego oczy zaczęły drgać pod bladymi powiekami.

Gdy Jilly zerknęła w stronę domu, zobaczyła, że Dylan skręcił z chodnika w kierunku podjazdu.

Nachylając się nad kierownicą, zgasiła światła i wyłączyła silnik. Potem wyjęła kluczyki ze stacyjki.

- Słyszałeś mnie, Shep?

Jego zamknięte oczy poruszały się jak we śnie, jakby dręczyły go koszmary.

- Nie ruszaj się, zostań tu, nie ruszaj się, zaraz wrócimy - poleciła mu, otwierając drzwi i ostrożnie przenosząc nogi nad podłogą, aby nie uszkodzić Freda.

Na chodniku walały się oliwki, skrzypiały pod nogami, jak gdyby sąsiedzi urządzili sobie niedawno na ulicy raut, na którym podano martini, ale wszyscy, zamiast zjeść dekorację drinka, rzucili owoce na ziemię.

Dylan doszedł na koniec podjazdu, gdzie w cieniu wiaty stał jakiś samochód, ale nie zniknął pod daszkiem, tylko pozostał na widoku.

Liście drzew oliwnych zaszeleściły w lekkim podmuchu suchego wiatru, cierpkiego jak gin z kropelką wermutu. Przez szum Jilly usłyszała: „Hannn-na-na-na-na-na-na!”.

Jego nieartykułowany okrzyk wbił się przez wszystkie kosteczki w głęb jej uszu, a stamtąd przeniósł się na kręgosłup, zdając się wibrować w każdym kręgu i przejmując ją dreszczem. Wypowiadając ostatnią sylabę, Dylan zniknął za wiatą.

Miażdżąc butami oliwki na chodniku, a potem szurając o trawę podszwami, by je oczyścić, Jilly pobiegła tam, gdzie stał Dylan, zanim pochłonęła go ciemność.

Jej dobroduszną, okrągłą twarz, nadającą się na widokówki bożonarodzeniowe, w jednej chwili stała się trupioblada i kojarzyła się bardziej z Halloween. W drżącym cieniu czegoś niewidzialnego jej lśniące siwe włosy spletały się i zlepily krwią, ale w migotaniu światła pochodzącego z niewiadomego źródła czerwone sploty znów wygładziły się i oczyściły, odzyskując na powrót połysk i biel. Bładoróżowa twarz zwieńczona srebrzystymi lokami przybierała matowy szary kolor, gdy włosy zmieniały się w krwawe strąki. Oczy kobiety spoglądały na Dylana w oszołomieniu, a potem rozszerzały się w szoku, śmiertelnie zimne - jednak w chwilę później znów widział w nich czujność i lęk.

Dylan widział ją żywą, martwą, żywą i znów martwą; jeden obraz wyłaniał się płynnie z drugiego, stając się na moment rzeczywistością, a potem rozpluwając się w swoim przeciwieństwie. Nie miał pojęcia, co może oznaczać to ohydne widziadło, jeżeli w ogóle coś znaczyło, mimo to zerknął na swoje ręce, spodziewając się, że będą na przemian czyste i powalane krwią kobiety. Kiedy okazało się, że jego dłonie nie biorą udziału w wizji mordy, przerażenie ściskające mu trzewia wcale nie ustąpiło, a Dylan jeszcze raz popatrzył na twarz

kobiety, prawie pewien, że siła, jaka przywiodła go do tego miejsca, w końcu posłuży się nim, żeby zadać jej śmierć.

- Cheeseburgery, frytki, ciastka jabłkowe i koktajle waniliowe- powiedziała kobieta, dając dowód, że albo dobrze zapamiętała jego krótką wizytę w barze, albo ma fenomenalną pamięć.

Zamiast jej odpowiedzieć, Dylan podszedł do stołu i wziął jedną z opróżnionych puszek budweisera. Pod czaszką znów zawirowały świetliki, lecz usłyszał znacznie cichsze wyładowania elektryczne niż poprzednio, a spoczywającym za zaciśniętymi zębami językiem nie wstrząsnął żaden spazm.

- Proszę uciekać z domu - poradził kobiecie. - Nie jest tu pani bezpieczna. Szybko, niech pani idzie.

Nie wiedział, czy poszła, czy została, ponieważ mówiąc, upuścił puszkę na blat i odwrócił się. Nie obejrzał się przez ramię. Nie mógł.

Dziwaczna podróż, którą rozpoczął w fordzie i kontynuował pieszo, jeszcze się nie zakończyła. Otwarte drzwi za kuchnią prowadziły na korytarz, którego podłogę z desek przykry

wał wytarty chodnik w róże. Dylan poczuł, jak tajemnicza siła znów pcha go w mrok, do niewiadomego przeznaczenia.

załamała ręce, jak gdyby chciała w ten sposób stłumić ich nerwowe drżenie. Spoglądając z zaskoczeniem na Jilly, poznała ją i powiedziała:

- To pani. Kanapka z kurczakiem, frytki, piwo korzenne. - Był tu wysoki człowiek w koszuli hawajskiej? - zapytała bez wstępów Jilly.

Kobieta skinęła głową.

- Powiedział, że nie jestem tu bezpieczna. - Dlaczego nie?

- Mówił, żebym szybko uciekała z domu. - Dokąd poszedł?

Mimo wysiłków ręka trzęsła się jej bezwładnie, gdy pokazała otwarte drzwi prowadzące na korytarz - tunel cienia, na którego końcu majaczyło słabe różowe światło.

Stając przy wiacie, Jilly spojrzała wstecz na forda. Prześwitujące przez gałęzie oliwek światło latarń padało na sylwetkę Shepa, który siedział nieporuszony z tyłu, tam gdzie mu kazano.

Mijając buicką, pobiegła na tyły domu, wzbijając po drodze chmurę białych ciem, które wyfrunęły z trąconego przez nią krzewu kamelii o kwiatach pełnych i czerwonych jak panieńskie serca.

Drzwi były otwarte. W trójkącie padającego z kuchni światła widać było podłogę ganku pomalowaną na perłowoszary kolor i wyjątkowo czystą jak na ganek domu na pustyni.

Mimo zupełnie wyjątkowej sytuacji Jilly mogła przystanąć przed progiem i grzecznie zapukać we framugę otwartych drzwi. Jednak widok znajomej siwowłosej kobiety, która podnosiła słuchawkę telefonu zamontowanego na ścianie w kuchni, zaniepokoił ją i ośmielił, toteż prosto z ganku weszła na świeżo umyte linoleum w żółto-zieloną kratę.

Tuż przed wejściem Jilly kobieta wcisnęła na klawiaturze telefonu dziesiątkę, a potem jeden. Jilly wyjęła jej słuchawkę z dłoni i odłożyła, zanim zdążyła wybrać drugą jedynekę.

Gdyby kobieta wezwała policję, wkrótce zjawiliby się tu także mężczyźni w czarnych chevroletach.

Na twarzy dobrodusznej babci z kreskówki Disneya nie gościł już radosny uśmiech pogodnej sprzedawczyni hamburgerów. Znużona całym dniem pracy, zatroskana i zdezorientowana wydarzeniami, jakie rozegrały się w ciągu ostatniej minuty,

Idąc po różach, zielonych liściach i kolcach, Dylan mijał łukowate, przypominające wejścia do altany drzwi, kryjące ciemności, w których mogło rosnąć wszystko. Niepokoił go jeden pokój po prawej i dwa po lewej, mimo że nic go do nich nie pchało, a skoro impuls kazał mu iść dalej, mógł przypuszczać, że niebezpieczeństwo czai się gdzieś przed nim, nie z boku.

Nie miał wątpliwości, że będzie musiał się zmierzyć z czymś niebezpiecznym. Tajemnicza siła, która kazała mu gnać przez ciemną Arizonę, na pewno nie przywlokła go tu, aby mógł znaleźć garniec złota, trudno było też sądzić, że ten dom jest jego ziemią obiecaną.

Od znaczka z żabą, przez klamkę samochodu, do puszki po piwie - Dylan szedł tropem dziwnej energii, jaką pozostawił dotyk siwowłosej kobiety.

Marjorie. Wiedział już, że miała na imię Marjorie, choć na swoim uniformie nie miała plakietki z imieniem.

Wpierw znaczek z żabą, później kuchnia - idąc tymi tropami, szukał Marjorie, bo w niewidzialnych śladach, jakie jej dotyk pozostawił na nieożywionych przedmiotach, odczytał przeznaczenie kobiety. Wyczuł zerwane nici w splotach jej losu i skądś wiedział, że zostaną zerwane tu, dzisiejszego wieczoru.

Od dotknięcia częściowo zgniecionej puszki po piwie szedł już za nowym celem. Marjorie, nic o tym nie wiedząc, była ofiarą, gdy tylko weszła do domu; Dylan szukał jej niedosłego mordercy.

Gdy mniej więcej zrozumiał, jak może wyglądać zbliżająca się konfrontacja, zdał sobie sprawę, że dalsze posuwanie się naprzód jest aktem brawury, jeśli nie szaleństwa, mimo to nie potrafił się cofnąć ani o krok. Ta sama siła, która kazała mu zawrócić z drogi do Nowego Meksyku i pędzić na zachód z prędkością przekraczającą sto mil na godzinę, zmuszała go do kontynuowania poszukiwań.

Korytarz prowadził do skromnie urządzonego przedpokoju, gdzie na niskim stoliku z ozdobną ażurową listwą stała szklana lampa nakryta abażurem z różowego jedwabiu. Stanowiła jedyne źródło światła, nie licząc lampy w kuchni, w którym było widać prowadzące na górę schody, jednak tylko do podestu. Kładąc dłoń na słupku poręczy u dołu schodów, Dylan znów poczuł trop drapieżnika, ten sam, który znalazł na puszcze po piwie, z nieomylnością psa gończego, który zwietrzył uciekiniera. Ślady były zupełnie inne od tych, które Marjorie pozostawiła na znaczku z żabą i klamce samochodu - wyczuwał w nich zło, jak gdyby zostawił je przechodzący tędy duch samych mocy piekielnych.

Oderwał dłoń od słupka i przez chwilę patrzył na wypolerowaną krzywiznę drewna topolowego upstrzonego ciemnymi plamami, szukając fizycznych lub nadprzyrodzonych dowodów czyjejś obecności, ale bezskutecznie. Jego odciski palców i dłoni przykryły ślady linii papilarnych amatora piwa i choć gołym okiem nie można było zobaczyć żadnego owalu, łuku czy zwoju, technicy z laboratorium policyjnego za pomocą chemicznych utrwalczy, proszku i odpowiedniego światła mogliby później znaleźć i uwidocznić niepodważalny dowód jego obecności.

Dylan był pewny istnienia odcisków palców - niemal niewidzialnych, a jednak pozwalających skazać człowieka za każdą zbrodnię, od kradzieży po morderstwo - tym łatwiej mógł więc uwierzyć, że dotykając czegoś, ludzie mogą pozostawić coś znacznie

bardziej specyficznego, lecz równie rzeczywistego jak tłusty odcisk będący odwzorowaniem linii na skórze.

Chodnik w róże położony na środku schodów wyglądał na równie wytarty jak podobny w korytarzu. Wzór wydawał się bardziej wyrazisty, mniej było tu kwiatów, a więcej kolców, jak gdyby chciał zasygnalizować Dylanowi, że jego droga z każdym krokiem staje się coraz bardziej ciernista.

Wspinając się po schodach, choć rozsądek zdecydowanie odradzał mu wchodzenie na górę, Dylan przesuwiał rękę po balustradzie. Pozostawione przez wrogą istotę ślady parzyły go w dłoń, iskrzyły po dotyku jego palców, lecz przestały mu krążyć w głowie świetliki. Elektryczny syk również zupełnie

ucichł, tak jak w kuchni, gdy tylko dotknął puszkę po piwie, ustąpiły konwulsyjne drgawki języka. Przystosował się do tego osobliwego stanu, a jego umysł i ciało przestały się opierać nadprzyrodzonym doznaniom.

Nawet nieznani intruzi i świadomość zbliżającej się przemocy nie mogły zbyt długo tłumić naturalnej uprzejmości siwowłosej kobiety, bez wątpienia wzmocnionej motywacją wpajaną podczas szkolenia prowadzonego przez bar fast food, w którym pracowała. Wyraz niepokoju na jej twarzy ustąpił miejsca słabemu uśmiewowi, a ona wyciągnęła wciąż dygoczącą rękę.

- Jestem Marjorie, skarbie. A tobie jak na imię?

Gdyby powierzono jej pieczy tylko Shepherda, Jilly pobiegłaby na korytarz poszukać Dylana, ale ten zostawił jej pod opieką drugą osobę - tę kobietę. Nie chciała, by Shep siedział dłużej sam w samochodzie, a gdyby zostawiła Marjorie w pobliżu telefonu, na ulicy zjawiłoby się więcej gliniarzy niż na miasteczkowym zebraniu.

Poza tym Dylan kazał Marjorie uciekać z domu, bo nie była tu bezpieczna, lecz starsza pani mimo blisko siedemdziesięciu lat pozostała widocznie naiwną dziewczynką, która nie potrafi rozpoznać zagrożenia, nawet gdy czuje na karku chłodny dotyk ostrza. Jeśli Jilly jej stąd nie wyciągnie, Marjorie pewnie zostanie w kuchni, trochę zdezorientowana, ale niezbyt przejęta, nawet gdyby ze spiżarni wysypało się stado wygłodzonej szarańczy albo z odpływu zlewu trysnął strumień gorącej lawy.

- Jestem Marjorie - powtórzyła z tym samym uśmiewem, drżącym i niepewnym jak zmarszczka na powierzchni wody, która za moment zniknie w fali troski, jaka zaleje jej oblicze. Wciąż trzymając wyciągniętą rękę, spodziewała się usłyszeć imię Jilly, które z pewnością poda glinom, gdy w końcu uda jej się wezwać policję.

Otoczając Marjorie ramieniem i delikatnie kierując ją w stronę drzwi wyjściowych, Jilly powiedziała:

- Kochana, możesz mi po prostu mówić „Kanapka z kurczakiem, frytki, piwo korzenne”. Albo w skrócie „Kanapka”.

Każdy dotyk śladów na poręczy przekonywał Dylana, że osoba, która je pozostawiła, jest znacznie groźniejsza, niż mu się wcześniej zdawało. Zanim dotarł do podestu i pokonał drugie półpiętro, zanurzając się w panującym na górze mroku, zrozumiał, że w pokojach na piętrze czeka na niego przeciwnik, którego nie da rady pokonać zwykły malarz zupełnie niezaprawiony w walce, ale co najmniej pogromca smoków.

Niecałą minutę temu na dole, kiedy widział starszą kobietę żywą, a potem tak, jak mogłaby wyglądać po morderstwie, po raz pierwszy poczuł, jak oplatają go zimne macki przerażenia. Teraz jeszcze mocniej zacisnęły się wokół jego kręgosłupa.

- Proszę - szepnął Dylan, jak gdyby wciąż wierzył, że stoi tu zdany na łaskę i niełaskę nieubłaganej nieznannej siły zewnętrznej. - Proszę - powtórzył, jak gdyby jeszcze nie pojął oczywistej prawdy, że otrzymał dar - albo przekleństwo - szóstego zmysłu dzięki eliksirowi ze strzykawki i jak gdyby nie stało się jasne, że kontynuuje tę niebezpieczną wyprawę bez żadnego przymusu. Równie dobrze mógł szeptać do siebie. Kierowały nim motywy, których nie rozumiał, ale mimo wszystko były to jego motywy.

Mógł odwrócić się i wyjść. Wiedział, że wybór należy tylko do niego. Domyślał się także, że opuszczenie domu będzie o wiele łatwiejsze niż dalsza droga na górę.

Gdy zdał sobie sprawę, że całkowicie nad sobą panuje, spłynął na niego niewypowiedziany spokój, tak jak śnieg w bezwietrzny dzień przykrywa idealnie gładką warstwą nierówności krajobrazu. Przestał dygotać. Kiedy rozluźnił zaciśnięte zęby, mięśnie szczęk przestały drgać. Opuściła go przemożna potrzeba, by sunąć przed siebie, a serce zwolniło rytm i siłę uderzeń, pomyślał więc, że może jednak mięsień sercowy wytrzyma. Zimne macki przerażenia ześliznęły się z jego kręgosłupa, wycofały i zniknęły w mroku.

Stał u szczytu schodów, na skraju ciemnego korytarza, wiedział, że może zawrócić, wiedział, że jednak pójdzie dalej, ale zupełnie nie zdawał sobie sprawy dlaczego, choć w tej chwili wcale to nie było najważniejsze. Nie uważał się za odważnego człowieka, nie urodził się po to, by przemierzać pola bitew ani patrolować ulice w nędznych dzielnicach. Podziwiał bohaterstwo, lecz po sobie nie spodziewał się heroiczych czynów. Mimo że motywy własnego działania pozostawały dla niego zagadką, znalazł się wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że bezinteresowność nie wchodzi w grę; pójdzie dalej, bo intuicja podpowiadała mu, że odwrót nie leży w jego interesie. Nie potrafił jeszcze z pełni świadomie ogarnąć dziwnych informacji, jakich dostarczały mu powiększone w tajemniczy sposób możliwości percepcji, logika kazała mu zatem bardziej polegać na instynkcie, niż pozwalałby na to rozsądek.

Różowe światło sięgało schodów zaledwie do niższego podestu. Jedyne światło, którego blask sączył się przez uchylone minimalnie drzwi po prawej, oświetlała ciemną przestrzeń przykrytego chodnikiem w kwiaty korytarza.

O ile się zorientował, na górze były trzy pokoje: ten, w którym świeciło się światło na końcu po prawej, jeszcze jeden bliżej Dylana po tej samej stronie i jeden po lewej.

Kiedy Dylan pokonał trzy kroki dzielące go od pierwszych drzwi z prawej, znów ogarnął go lęk: ale taki, z jakim można sobie poradzić, obawa, jaką może czuć przed akcją rozważny strażak czy policjant, zupełnie niepodobna do panicznego strachu, który towarzyszył mu w drodze z kuchni przez korytarz na dole i po schodach.

Klamkę znaczyły psychiczne ślady tropionej przez niego osoby. Omal nie cofnął ręki, ale intuicja-jego nowy przyjaciel - kazała mu iść dalej.

Cichy trzask zamka, szum suchych zawiasów. Przez okno z matowego szkła wpadało pomarańczowożółte światło latarni ulicznej, kładąc na szybie cień gałęzi oliwki i ukazując wewnątrz pustej łazienki.

Dylan podszedł do drugiego pokoju po prawej, skąd przez szczelinę między drzwiami a framugą padała wąska smużka światła, rozcinając ciemność jak nożem. Słuchając głosu in-

stynktu i rozsądku, nie przyłożył do szpary oka, aby nie oślepiło go ostrze prawdziwego noża, wymierzając mu karę za szpiegowanie.

Kładąc rękę na klamce, Dylan wiedział, że znalazł norę opętanej istoty, której tropem podążał, ponieważ znak był sto razy wyraźniejszy niż te, na które dotąd trafiał. Bezcielesny ślad oplótł mu dłoń jak wij, skręcając się i wirując. Dylan był już pewien, że za tymi drzwiami znajduje się kolonia piekła.

1 6 Przekraczając próg drzwi z tyłu domu, Marjorie przypomniała sobie o pozostawionej kolacji i chciała wrócić do kuchni po torbę, „póki cheeseburger nie wystygnie”. Z cierpliwością Wielkiego Ptaka lub innego nauczyciela z „Ulicy Sezamkowej”, wpajającemu nowe słowo dziecku, którego zdolność koncentracji zaburzyła zbyt duża dawka ritalinu,

Jilly prowadziła ją, tłumacząc, że ciepły cheeseburger na nic się jej nie przyda, jeśli będzie martwa.

Najwyraźniej Dylan dał Marjorie tylko niejasne ostrzeżenie, nie precyzując, czy grozi jej wybuch czteropalnikowej kuchenki gazowej, czy zbliża się trzęsienie ziemi, które zmieni jej dom w malowniczą kupkę dymiących gruzów, tak entuzjastycznie pokazywanych przez żadne krwi media. Jednak w świetle ostatnich wydarzeń Jilly potraktowała tę przestrożę poważnie, bez względu na jej ogólnikowość.

Przemawiając słodko i stosując przebiegłe chwytów psychologiczne, które na pewno spotkałyby się z gorącą aprobatą Wielkiego Ptaka, Jilly łagodnie wyprowadziła Marjorie na ganek, do schodków prowadzących na trawnik z tyłu domu.

Tam starsza pani wykorzystała swą imponującą masę, stosując manewr blokujący, który polegał na przyssaniu się bieżnikiem gumowych podeszew butów do podłogi ganku pomalowanej lśniącą farbą. Dzięki tej sprytniej sztuczce stanęła nieruchomo niczym Herkules, którego skazano na rozerwanie końmi, ale okazało się, że dorównuje siłą dwóm zaprzęgom.

- Kanapeczko - zwróciła się do Jilly, wybierając zdrobniałą wersję jej imienia. - Czy on wie o nożach?

- Kto?

- Twój chłopak.

- To nie jest mój chłopak, Marj. Nawet nie snuj takich domysłów. Nie jest w moim typie. O jakich nożach mówiłaś?

- Kenny bardzo lubi noże.

- Kto to jest Kenny?

- Kenny junior, nie mówię o jego ojcu.

- Ach, te dzieci - powiedziała tonem współczucia Jilly, wciąż ponaglając kobietę, aby się w końcu ruszyła.

- Kenny senior jest w więzieniu w Peru.

- Do bani - oznajmiła Jilly, mając na myśli uwięzienie Kenny'ego seniora w Peru i własne bezowocne wysiłki, by zrzucić Marjorie ze schodów ganku.

- Kenny junior to mój najstarszy wnuk. Ma dziewiętnaście lat.

- I lubi noże, co?

- Zbiera je. Niektóre nawet bardzo ładne.

- Bombowa sprawa, Marj.
- Boję się, że znowu zaczął z narkotykami.
- Noże i narkotyki, co?-powiedziała Jilly, próbując ją rozkołysać i w ten sposób oderwać jej stopy od podłogi.
- Nie wiem, co robić. Naprawdę nie wiem. Czasem od narkotyków wariuje.
- Wariuje, narkotyki, noże - rzekła Jilly, układając głośno elementy układanki składające się na obraz Kenny'ego. Co chwilę zerknęła nerwowo na otwarte drzwi kuchenne.
- Prędzej czy później dostanie ataku - martwiła się Marjorie. - Pewnego dnia posunie się o krok za daleko.
- Kochana - powiedziała Jilly - wydaje mi się, że właśnie dziś jest ten dzień.

Już nie jeden wij, ale całe ich gniazdo zdawało się podrygiwać i skręcać na dłoni Dylana.

Nie puścił z odrazą klamki, ponieważ wśród odcisków opętanej istoty wyczuł inne ślady należące do znacznie lepszej osoby. Odczytał z nich dobrą, ale załknioną duszę, która, co ciekawe, przebywała w tej samej smocznej norze.

Ostrożnie pchnął drzwi.

Duża sypialnia została przedzielona dokładnie na pół, jak gdyby wymalowano linię na podłodze, ścianie po lewej, suficie i ścianie po prawej. Nie przebiegała tu jednak żadna fizyczna granica, ale rzucało się w oczy, że lokatorzy dzielący pokój mają skrajnie odmienne zainteresowania i charaktery.

W części pokoju bliżej drzwi stało łóżko, nocny stolik i półki pełne książek w tanich wydaniach. Na ścianie zawieszono eklektyczną kolekcję trzech plakatów. Pierwszy przedstawiał kabriolet AC Shelby Cobra rocznik 1966, który pędził autostradą w stronę oślepiającego zachodu słońca; zmysłowo opływowa sylwetka niskiego sportowego auta i srebrne detale, w których odbijało się niebo koloru filmowego błękitu, sprawiały, że samochód był ucieleśnieniem szybkości, radości i wolności. Obok cobry wisiał portret nadąsanego C. S. Lewisa. Na trzecim plakacie było słynne zdjęcie marines zatykających amerykańską flagę na szczycie porośniętego po bitwie wzgórza na wyspie Iwojima.

W drugiej połowie sypialni również stało łóżko i stolik, ale na ścianie nie było półek z książkami ani plakatów. Zamiast nich na stelażach jeżyła się kolekcja białej broni. Wąskie kordziki i szerokie sztylety, szkockie dirki, kordelasy, jedna szabla, bułat, indyjskie khatary i kukri, szkocki skean dhu, halabarda na krótkim drzewcu, bagnety, kindżały, noże myśliwskie, jatagany... Na wielu ostrzach wygrawerowano kunsztowne wzory, rękojeści były rzeźbione i malowane, główce i jelce niektóre gładkie, lecz częściej kunsztownie zdobione.

W pierwszej części pokoju stało niewielkie biurko. Na blacie równiutko ułożono suszkę, zestaw piór, puszkę z ołówkami, gruby słownik i pomniejszony model cobry rocznik 1966.

W drugiej połowie na stole leżała plastikowa replika ludzkiej czaszki oraz sterta rzuconych byle jak kaset z filmami porno. Bliższa drzwi domena była starannie zamieciona i odkurzona i choć wyposażono ją nieco lepiej niż klasztorną celę, utrzymywano tu nienaganny porządek jak w mieszkaniu zakonnika. W drugim królestwie panował bałagan. Pościel na łóżku była zmięta. Na podłodze, stoliku nocnym i półce nad wezgłowiem łóżka wały się buty, brudne skarpetki, puste puszki po napojach i piwie oraz papierki po cukierkach. Z troską-albo czułym wyrachowaniem-ułożono tylko noże i resztę białej broni, a sądząc po lustrzanym blasku wszystkich ostrzy, wiele czasu poświęcano na ich utrzymanie.

Pośrodku sypialni, na granicy dwóch wrogich obozowisk, stały dwie walizki, na których leżał czarny kapelusz kowbojski z zielonym piórkiem zatkniętym za wstążkę.

Dylan zdążył dostrzec to wszystko w ciągu zaledwie trzech, może czterech sekund, potrafił bowiem ogarnąć jednym spojrzeniem cały krajobraz ze szczegółami, aby na pierwszy rzut oka, zanim głos serca ustąpi miejsca chłodnemu umysłowi, móc ocenić, czy temat będzie wart czasu i energii, które musiałby poświęcić, by go dobrze oddać na płótnie. Fotograficzna rejestracja szczegółów należała do jego wrodzonych zdolności, ale w ciągu lat pracy wyćwiczył ją jeszcze bardziej, podobnie jak zdolny policjant trenuje swój zmysł obserwacyjny, nim zyska status detektywa.

I jak dobry policjant Dylan zaczął i skończył oględziny na szczególe, który od razu rzucał się w oczy, wyznaczając temat całej scenerii: mniej więcej trzynastoletnim chłopcu, który siedział na łóżku bliżej drzwi, ubrany w dżinsy i koszulkę z nadrukiem „Straż Pożarna Nowego Jorku”, ze skrępowanymi nogami, brutalnie zakneblowany, z rękami przykutymi do mosiężnej ramy łóżka.

Marj doskonale odgrywała swój numer „Skamieniała postać”, i Jilly nie potrafiła oderwać jej od podłogi. Wciąż stojąc jak posąg na ganku u szczytu schodów, powiedziała z troską w głosie:

- Musimy go stamtąd zabrać.

Mimo że Dylan nie był jej chłopakiem, Jilly nie wiedziała, jak inaczej mogłaby o nim mówić, ponieważ nie chciała używać jego prawdziwego imienia w obecności kobiety, a nie miała pojęcia, co zamówił dzisiaj w barze.

- Nie martw się, Marj. Mój chłopak go złapie.

- Nie mówię o Kennym - odrzekła Marj z większym niepokojem niż przedtem.

- A więc o kim?

- O Travisie. Mówię o Travisie. Chłopak ma tylko książki. Kenny ma swoje noże, a Travis jedynie książki.

- Kto to jest Travis?

- Młodszy brat Kenny'ego. Ma trzynaście lat. Jak Kenny dostanie ataku, to Travis oberwie.

- A Travis... jest tam z Kennym?

- Pewnie tak. Musimy go stamtąd wyciągnąć.

Drzwi kuchenne po drugiej stronie ganku były nadal otwarte. Jilly nie miała ochoty wracać do domu.

Nie wiedziała, po co Dylan tu przyjechał, ryzykując życie i zdrowie, i wyższą składkę ubezpieczeniową, ale miała poważne wątpliwości, czy przygnała go tu potrzeba spóźnionego wyrażenia wdzięczności Marjorie za uprzejmą obsługę w barze lub chęć zwrócenia jej znaczka z żabą, aby mogła go przypiąć innemu klientowi, który bardziej by go docenił. Zważywszy na skąpe informacje, jakimi dysponowała Jilly, i grozę tego wieczoru rodem prosto z „Archiwum X”, mogłaby się założyć o spore pieniądze, że pan Dylan Coś Się Ze Mną Dzieje O'Conner przygnał do domu Marjorie, aby powstrzymać Kenny'ego przed uczynieniem złego użytku ze swojej kolekcji.

Jeżeli wybuch ponadzmysłowej percepcji zaprowadził Dylana do Kenny'ego Nożownika, którego prawdopodobnie nigdy wcześniej nie spotkał, nasuwał się logiczny wniosek, że będzie też wiedział o obecności Trávisa. Kiedy napotka trzynastolatka uzbrojonego w

książkę, nie powinien go wziąć przez pomyłkę za naćpanego dziewiętnastoletniego wielbiciela noży.

Potok jej myśli zatrzymał się na słowie „logiczny”. Wydarzenia minionych kilku godzin przeczyły jakiegokolwiek logice. Nic, co stało się tego wieczoru, nie mogło się dziać w świecie racjonalnym, gdzie Jilly kiedyś była dziewczynką z chóru, a dziś komikiem. To był nowy świat, albo rządzący się zupełnie nową logiką, której Jilly jeszcze nie rozszyfrowała, albo w ogóle pozbawiony logiki. W takim świecie, w ciemnym i obcym domu Dylanowi mogło się wszystko przytrafić.

Jilly nie lubiła noży. Została komikiem, nie występowała w numerach z rzucaniem noży. Nie miała najmniejszej ochoty wracać do domu, gdzie był Kenny i jego kolekcja.

Dwie minuty temu, gdy Jilly weszła do kuchni i odłożyła słuchawkę telefonu jedną cyferkę przed katastrofą, biedna Marj wyglądała na oszołomioną i bezradną. Teraz ta półzombi szybko przeobrażała się w oszalałą z rozpaczycie gotową do najbardziej lekkomyślnych czynów.

- Musimy wyciągnąć stamtąd Trávisa!

Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłyby sobie Jilly, był nóż wbity w jej pierś, ale przedostatnią - rozhisteryzowana babcia, która pakuje się z powrotem do domu, utrudniając zadanie Dylanowi, i prawdopodobnie ponownie dopada telefonu, gdy tylko go spostrzeże i przypomni sobie, że policja jest zawsze do usług.

- Zostań tu, Marj. Nie ruszaj się. Ja się tym zajmę. Znajdę Trávisa. I wyciągnę go stamtąd.

Zobowiązawszy się do aktu odwagi, jakiego wołałaby się nie podejmować, Jilly odwróciła się, a wtedy Marj chwyciła ją za rękę. - Ludzie, kim wy właściwie jesteście`?

Ludzie. Jilly zjeżyła się na dźwięk tego słowa bardziej niż w reakcji na samo pytanie. Miała na końcu języka: „Co to znaczy-ludzie? Masz coś do ludzi takich jak ja?”.

Jednak w ciągu kilku ostatnich lat, gdy jej praca spotkała się z pewnym uznaniem i Jilly osiągnęła pewnego rodzaju skromny sukces, nerwowe reakcje na to, co uważała za obelgi, wydawały się coraz głębsze. Nawet z Dylanem - który z jakiegoś powodu miał wyjątkowy talent do trafiania w jej czułe punkty - nawet wobec niego nerwowe reakcje były głupie. A w obecnej sytuacji mogły również ściągnąć dodatkowe niebezpieczeństwo.

- Policja - skłamała ze zdumiewającą łatwością jak na byłą dziewczynkę z chóru. - Jesteśmy z policji.

- Bez mundurów? - zdziwiła się Marj.

- Jesteśmy tajniakami. - Nie zamierzała jej pokazywać odznaki. - Zostań tu, kochana. Tu jesteś bezpieczna. Zostaw to zawodowcom.

Chłopiec w strażackiej koszulce został obezwładniony, pobity i prawdopodobnie pozbawiony przytomności, choć zdążył się ocknąć, zanim Dylan wszedł do pokoju. Jedno oko miał zsińnięte i napuchnięte. Otartą skórę na brodzie. Lewe ucho sklejała zakrzepła krew, pewnie po uderzeniu w bok głowy.

Odrywając paski taśmy klejącej z twarzy chłopca i wyciągając mu z poblądłych ust czerwoną gumową kulkę, Dylan przypomniał sobie własną bezradność w motelu, gdy siedział przywiązany do krzesła, zakneblowany skarpetką, i poczuł nagromadzony w sobie gniew jak stos węgla gotowy rozżarzyć się do białości pod wpływem podmuchu świętego oburzenia. Ten gniew drzemiący w nim jak wulkan wydawał się zupełnie nie przystawać do łagodnego charakteru człowieka, który wierzył, że nawet najdzikszą istotę można wydobyć z ciemności,

pokazując jej naturalne piękno, z jakim został urządzony świat i życie. Przez wiele lat tyle razy nadstawiał drugi policzek, że czasem musiał przypominać kibica śledzącego nieustający mecz tenisowy.

Gniewu nie wzbudziły w nim jednak własne cierpienia, jakie przeżył i jakie być może w przyszłości zgotuje mu los, nad którym zapanowała szpryca - ale współczucie dla chłopca i litość nad wszystkimi ofiarami tego wieku przemocy. Może po Sądzie Ostatecznym władza na Ziemi trafi w ręce ludzi łagodnych, tak jak zostało przyrzeczone; tymczasem jednak dni upływały pod krwawymi rządami nikczemników.

Dylan zawsze miał świadomość istnienia niesprawiedliwości na świecie, ale nigdy nie dotknęła go bardziej niż w tej chwili, nigdy przedtem nie poczuł boleśniej jej ostrza. Zaskoczyła go dojmująca intensywność gniewu, ponieważ wydawał się niewspółmierny do przyczyny. Jeden pobity chłopiec to nie to samo co Oświęcim, co masowe groby w Kambodży w epoce Czerwonych Khmerów, co World Trade Center.

Odbływały się w nim poważne przemiany, lecz metamorfoza nie polegała tylko na tym, że zyskał szósty zmysł. Zmiany sięgały głębiej, jak gdyby u podstaw jego umysłu zaczęły się potężne ruchy tektoniczne.

Pozbawiony knebla chłopak wykazał opanowanie i świadomość powagi sytuacji. Nie odrywając wzroku od otwartych drzwi, jakby to była brama, przez którą lada chwila mogły wmaszerować legiony piekielne, wyszeptał:

- Kenny jest na totalnym haju. To kompletny psychol. Jest w pokoju babci z dziewczyną, chyba ją zabije. Potem babcię. Potem mnie. Mnie zabije na końcu, bo najbardziej mnie nienawidzi. - Co to za dziewczyna? - zapytał Dylan.

- Becky. Mieszka na naszej ulicy.

- Mała?

- Nie, ma siedemnaście lat.

Łańcuch krepujący nogi chłopca w kostkach był zamknięty kłódką. Ogniwa kajdanek, którymi miał skute ręce, zostały przewleczone przez jeden z mosiężnych szczebli wezglowia, unieruchamiając go przy łóżku.

- Gdzie kluczyki?

- Kenny je ma. - Chłopak wreszcie oderwał spojrzenie od otwartych drzwi i popatrzył Dylanowi w oczy. - Nie mogę się stąd ruszyć.

W grę wchodziło ludzkie życie. Mimo że za policją prawie na pewno zjawią się tu ludzie w czarnych chevroletach, którzy dla Dylana, Shepa i Jilly stanowili śmiertelne zagrożenie, Dylan czuł moralny obowiązek zatelefonowania pod 911.

- Gdzie telefon? - spytał szeptem.

- W kuchni - odrzekł równie cicho chłopiec. - I w pokoju babci.

Intuicja podpowiadała Dylanowi, że nie ma czasu schodzić do kuchni. Poza tym nie chciał zostawiać chłopca samego na górze. O ile wiedział, przecucie nie należało do jego nowych zdolności nadmysłowych, lecz w zgęstniałym powietrzu wisiała zapowiedź przemocy; mógłby się założyć o własną duszę, że jeśli jeszcze nie doszło do mordu, to na pewno ktoś zginie, zanim on zdąży zejść po ukwieconych schodach.

Telefon znajdował się jeszcze w pokoju babci, ale wszystko wskazywało na to, że jest tam również Kenny. Gdyby Dylan tam wszedł, nie wystarczyłaby mu tylko pewna dłoń, by wykręcić numer.

Jego wzrok znów powędrował do lśniących na ścianie ostrzy, lecz perspektywa rozplątania kogoś mieczem lub maczetą napelniała go wstrętem. Miał za słaby żołądek do aż tak mokrej roboty.

Widząc zainteresowanie Dylana nożami i najwyraźniej wyczuwając jego opory, chłopiec powiedział:

- Zajrzyj tam, za półkę z książkami.

Kij baseballowy. Staromodny, z twardego drewna. Dylan nieraz machał takim w dzieciństwie, choć nigdy nie zamierzył się na człowieka.

Żaden żołnierz, gliniarz czy inny człowiek doświadczony w boju pewnie by się z nim nie zgodził, ale Dylan zamiast bagnetu wołał kij baseballowy. Dobrze leżał mu w dłoniach.

- Kompletny psychol - przypomniał mu chłopak, jak gdyby chciał powiedzieć, że kij baseballowy zadziała o wiele skuteczniej niż odwoływanie się do rozsądku czy próby perswazji.

Dylan wyszedł za próg. Korytarz. Po drugiej stronie ostatni z pokoi na piętrze, którego jeszcze nie sprawdził.

Przez zamknięte na głucho drzwi nie prześwitywał najmniejszy promień światła.

W domu zaległa cisza. Przyłożywszy ucho do framugi, Dylan zaczął nasłuchiwać, czy z pokoju dobiegnie dźwięk zdradzający obecność Kenny'ego, który był na totalnym hajju.

Niektórzy artyści zaczynają czasem mylić świat fikcji z prawdą i do pewnego stopnia identyfikują się z odgrywanymi przez siebie postaciami, poruszając się po rzeczywistym świecie, jak gdyby zawsze byli na scenie. W ciągu paru ostatnich lat Jilly niemal uległa przekonaniu, że naprawdę jest nieustraszoną Amazonką Południowego Zachodu, którą udawała przed publicznością.

Wracając do kuchni, stwierdziła jednak ku swemu przerażeniu, że kiedy przyjdzie co do czego, rola i rzeczywistość nie są w jej przypadku tym samym. Gdy gorączkowo szukała broni, otwierając wszystkie szuflady i zaglądając do każdej szafki, czuła, jak miękną jej kolana, a serce zmienia się w wielki młot tłukący o zębra.

Według prawa i zasad walki nóż rzeźniczy można było uważać za broń. Jednak artretyczna niezgrabność, z jaką jej zeszytniała dłoń zacisnęła się na rękojeści, przekonała Jilly, że nie mogłaby go użyć przeciw nikomu i niczemu, co jest wrażliwsze od pieczenia wołowej.

Poza tym, żeby użyć noża, należy podejść blisko przeciwnika. Zakładając, że udałoby się jej walnąć Kenny'ego na tyle mocno, by go zatrzymać albo nawet sprzątnąć, Jilly wołała go walnąć z jak największej odległości, najlepiej ze strzelby o dużym zasięgu z dachu sąsiedniego domu.

Spizarnia okazała się tylko spizarnią, nie arsenałem. Najcięższą bronią, jaką znalazła na półkach, były puszki z brzoskwiniami w syropie.

Nagle Jilly zauważyła, że Marj ma prawdopodobnie kłopoty z wytępieniem mrówek i w przyptywie natchnienia powiedziała: - Aha.

Nawet mimo kija baseballowego w garści i słusznego gniewu Dylan nie był aż tak odważny ani nierozważny, by wpadać do ciemnego pokoju, gdzie czekał nastolatek ogłupiały od prochów i hormonów, uzbrojony w Bóg wie ile rodzajów białej broni. Uchyliwszy drzwi - znów poczuł drażniący dotyk psychicznych śladów - czekał oparty o ścianę w korytarzu i nasłuchiwał.

Słyszał tylko dzwoniącą w uszach ciszę, jak gdyby dryfował w przestrzeni kosmicznej, i zastanawiał się, czy przypadkiem nie ogłuchł. Uznał w końcu, że Kenny jest nie tylko kompletnym, ale wyjątkowo cierpliwym psycholem.

Z równą skwapliwością, z jaką przystąpiłby do zapasów z krokodylem, Dylan wsunął się w otwarte drzwi, sięgnął do środka i namacał na ścianie włącznik. Sądził, że Kenny stoi przygotowany na taki manewr i był niemal pewien, że ostrze noża przygwoździ mu dłoń do ściany, więc ogromnie się zdumiał, kiedy zapalił światło i nadal miał wszystkie palce.

W pokoju babci nie było górnego oświetlenia, zapaliła się tylko jedna z dwóch nocnych lampek: ruda i pękata, malowana w tulipany i zwieńczona żółtym abażurem z plisowanego materiału w kształcie szerokiego kapelusza słomkowego. Przestrzeń sypialni tonęła w półmroku rozjaśnionym słabym blaskiem lampy.

Dylan dostrzegł dwoje zamkniętych drzwi. Za pierwszymi najprawdopodobniej była szafa. Drugie zapewne prowadziły do łazienki.

Zasłony w trzech oknach były za krótkie i za wąskie, aby mógł się za nimi ktoś ukryć.

Jeden kąt pokoju zajmowało wolno stojące wysokie owalne lustro. Nikt się za nim nie czał. W zwierciadle Dylan ujrzał własne odbicie-wyglądał na o wiele mniej przerażonego i znacznie wyższego, niż mu się wydawało.

Królewskie łóżce było ustawione w taki sposób, że Kenny mógłby się za nim schować, kładąc się na podłodze, ale żaden inny mebel nie zapewniał bezpiecznej kryjówki.

Uwagę przykuwała jednak przede wszystkim postać, która leżała w łóżku. Cienka i delikatna pościel, pled i prześcieradło były rozrzucone w nieładzie, ale ktoś pod nimi leżał przykryty od stóp do głów.

Jak w niezliczonych filmach o ucieczkach z więzienia, być może były to poduszki udające kształtem człowieka, tyle że pościel lekko drżała.

Otwierając drzwi i zapalając światło, Dylan ujawnił już swoją obecność. Podchodząc ostrożnie do łóżka, powiedział:

- Kenny?

Niezidentyfikowana postać przestała się trząść. Na moment znieruchomiała i leżała zastygła jak zwłoki pod prześcieradłem w kostnicy.

Dylan chwycił oburącz kij baseballowy, gotów do mistrzowskiego strzału.

- Kenny?

Przykryta sylwetka znów zaczęła drgać, jak gdyby w niepohamowanym nerwowym podnieceniu.

Drzwi, za którymi prawdopodobnie znajdowała się szafa: wciąż zamknięte. Drzwi, za którymi prawdopodobnie znajdowała się łazienka: wciąż zamknięte.

Dylan obejrzał się przez ramię w stronę drzwi prowadzących na korytarz.

Nikogo.

Przypomniał sobie imię dziewczynki, o której wspomniał chłopiec w kajdankach, dziewczynki z tej samej ulicy.

- Becky?

Tajemnicza postać dawała znaki życia, cały czas drząc pod pościelą, ale nie odpowiadała. Choć Dylan nie miał odwagi dzielić kijem tego, czego nie widział, nie miał też ochoty ściągnąć pościeli z ukrytego kształtu z tych samych powodów, dla których nie zerwałby brezentu ze sterty drewna, gdyby podejrzewał, że między sznurami chowa się grzechotnik.

Nie chciał także unieść pościeli końcem kija baseballowego. Zaplątana w tkaninę pałka przestałaby być skuteczną bronią, i chociaż w wyniku tego manewru Dylan pozostawałby bezbronny jedynie przez moment, tyle mogłoby wystarczyć Kenny'emu, aby wyskoczyć z ukrycia i zrobić użytek ze specjalnego noża do patroszenia.

Półmrok i półcień. Cichy dom.

I ten drgający kształt.

17 Jilly szła przez korytarz na parterze, od jednego łukowatego przejścia do drugiego, minęła trzy ciemne pokoje, nasłuchując na progu każdego z nich. Gdy nie usłyszała żadnego dźwięku, ruszyła przez przedpokój, mijając lampę na stoliku i doszła do podestu schodów.

Kiedy zaczęła wchodzić na górę, usłyszała za sobą metaliczne ping i stanęła jak wryta na drugim stopniu. Zaraz po ping rozległo się stuk-stuk, potem szybkie i dźwięczące brzrzrdęękk, a potem zaległa kompletna cisza.

Hałas dobiegł prawdopodobnie zza drzwi dokładnie naprzeciw przedpokojowi. Zapewne znajdował się za nimi salon. Kiedy próbuje się uniknąć starcia z młodym człowiekiem, o którym opinia jego własnej babci sprowadza się do słów „wariuje-narkotyki-noże”, wcale nie ma się ochoty słyszeć charakterystycznych metalicznych odgłosów, które dobiegają z ciemnego pokoju za plecami. Cisza, jaka potem zapanowała, nie brzmiała już - nie mogła brzmieć - tak niewinnie jak ta poprzedzająca ping.

Mając nieznaną przed sobą, ale także za sobą, Jilly wcale nie odkryła w sobie walecznej Amazonki, lecz nie zamarła też ani nie skuliła się ze strachu. Jej matka, zawsze zachowująca stoicki spokój, i kilka pechowych wydarzeń sprzed lat nauczyły ją, że należy otwarcie stawiać czoło przeciwnościom losu, nie stosując żadnych uników; mama radziła, aby mówiła sobie, że każde nieszczęście jest jak ciastko, które trzeba zjeść całe, do ostatniego okruszka. Jeżeli w mrocznym salonie czaił się Kenny, ostrząc nóż o nóż tak głośno, żeby Jilly go słyszała, czekał ją istny piknik kłopotów.

Zeszła ze schodów i wycofała się do przedpokojowi. Ping, ping. Tyk, tyk, tyk. Brzdęk... brzrzrdęękk!

Poza powtórzeniem wyczynu wilka z bajki i zdmuchnięciem pościeli z łóżka Dylan miał do wyboru dwie możliwości: albo będzie czekał na pierwszy ruch postaci pod całunem, co na pewno skończy się katastrofą prędzej, niż gdyby sam zaczął działać, albo odsłoni drżącą postać, aby poznać jej imię i zamiary.

Trzymając w prawej ręce uniesiony kij baseballowy, drugą ręką chwycił pościel i jednym ruchem odrzucił na bok. Ujrzał czarnowłosą, niebieskooką, bosą nastolatkę w dżinsach z obcięciami nogawkami i bluzce bez rękawów w niebieską kratkę.

- Becky?

W jej twarzy i otwartych szeroko oczach malowało się bezdenne przerażenie. Całym jej ciałem wstrząsały dreszcze strachu, płynące jak wezbrany strumień, którego prąd co chwila cofał się, wprawiając jej głowę w silne drgania. To właśnie ten ruch Dylan dostrzegł wcześniej pod kołdrą.

Nie odrywała udreżonego wzroku od sufitu, jak gdyby nie zauważyła, że przybyła pomoc. Jej stan nieświadomości przypominał trans.

Powtarzając jej imię, Dylan zastanawiał się, czy dziewczynie nie zaaplikowano narkotyków. Wyglądała jak na wpół sparaliżowana i zdawała się nie zwracać uwagi na otoczenie.

Po chwili, nie patrząc na niego, powiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Uciekaj.

Nadal trzymając uniesiony kij, czujnie oglądał się na otwarte drzwi prowadzące na korytarz, gotów zareagować na każdy dźwięk, ruch i najlżejszy cień. Z żadnej strony nie widać było oznak zbliżającego się niebezpieczeństwa, nigdzie nie wyrosła brutalna postać, wyraźnie kontrastująca z tapetą w stokrotki, żółtymi zasłonami i kolekcją perfum w lśniących szklanych buteleczkach, które stały na toalecie.

- Wyciągnę cię stąd - obiecał.

Wysunął do niej rękę, ale nie odwzajemniła gestu. Leżała zeszywniała i drżąca, ciągle skupiając przerażone spojrzenie na suficie, jak gdyby coraz bardziej się zniżał i za moment miał ją przygnieść - jak w starych filmach, gdzie czarny charakter konstruował skomplikowane maszyny do zabijania, choć o wiele prościej byłoby użyć rewolweru.

- Uciekaj - wyszeptała Becky z rozpaczą. - Na litość boską, uciekaj.

Drżenie, paraliż i gorączkowe przestrogi dziewczyny działały mu na nerwy, choć i tak miał je już napięte jak struny.

W tych starych filmach ofiarę można było obezwładnić i doprowadzić do takiego stanu, jak tę dziewczynę, za pomocą wyliczonej dawki kurary - ale nie w prawdziwym świecie. Jej paraliż miał prawdopodobnie podłoże psychologiczne, choć równie skutecznie poraził jej mięśnie. Aby podnieść ją z łóżka i wynieść z pokoju, Dylan musiałby odłożyć kij.

- Gdzie jest Kenny? - spytał szeptem.

W końcu oderwała wzrok od sufitu i spojrzała w kąt pokoju, gdzie znajdowały się jedne z zamkniętych drzwi.

- Tam? - naciskał.

Oczy Becky po raz pierwszy zatrzymały się na nim... po czym szybko zwróciły się z powrotem w stronę drzwi.

Dylan ostrożnie okrążył łóżko, wchodząc w głąb sypialni. Kenny mógł go zaatakować z każdego miejsca.

Jęknięty sprężyny i dziewczyna uniosła się, stękając z wysiłku.

Odwracając się, Dylan zobaczył, że Becky nie leży już na wznak, ale klęczy, a potem staje na łóżku, trzymając w prawej dłoni nóż.

Pong. Trach. Ping.

Zabierając się do kłopotów jak do ciastek, które niezbyt jej smakowały, przy pong Jilly doszła do łukowatych drzwi, na dźwięk trach odnalazła włącznik lampy. Przy ping skąpała zagrożenie w świetle.

Słyszając gwałtowny łopot skrzydeł, instynktownie chciała się odwrócić do drzwi plecami. Spodziewała się ujrzeć chmurę gołębi, która wirowała wokół niej na poboczu autostrady albo masę ptactwa, które zobaczyła tylko ona z całej trójki pasażerów forda. Stado jednak się nie pokazało, a trzepot skrzydeł po chwili ucichł.

Kenny nie ostrzył tu noży. Jeśli nie przycupnął za fotelem czy kanapą, w ogóle nie było go w pokoju.

Na dźwięk następnej serii metalicznych odgłosów Jilly skierowała spojrzenie na klatkę, która wisiała pięć czy sześć stóp nad podłogą na podobnej podstawie jak lampa podłogowa.

Za kratami z grubego drutu siedziała papużka uczipiona szponiastymi nóżkami jednego z prętów; pierzasty więzień stukał dziobem w ścianę swojej celi. Przeginając szyję, papuga szorowała dziobem w poprzek prętów niczym bezręka harfistka grająca glissando: brzzzzdęęęk, brzzzzdęęęk.

Okazało się, że śmiertelne zagrożenie ma postać papużki. Jilly uznała, że jej nadszarpnięta reputacja jako nieustraszonej wojowniczkii doznała kolejnego uszczerbku, wycofała się więc, uciekając od upokorzenia. W drodze powrotnej na schody znów usłyszała, jak ptak bije skrzydłami powietrze, jak gdyby domagał się wolności latania.

Ptasi hałas żywo przypominał jej niedawne niezwykle przeżycia i z trudem powstrzymała się przed pokusą, by uciec jak najdalej z domu, postanowiła jednak ruszyć na poszukiwanie Dylana. Zanim dotarła do środkowego podestu, ptak przestał tuc się po klatce, ale mając wciąż przed oczyma mrowie skrzydeł, czym prędzej pobiegła na górę, zapominając o ostrożności.

Z niebieskich oczu Becky zniknął udawany strach, ustępując miejsca dzikiej radości.

Zeskoczyła z łóżka, wściekle wymachując nożem. Kiedy Dylan okręcił się, unikając ciosu, okazało się, że Becky ma więcej entuzjazmu niż praktyki. Potknęła się i omal nie upadła, nadziewając się na własny nóż.

- Kenny! - krzyknęła.

Otworzyły się drugie drzwi, te, których Becky nie wskazała, i stanął w nich Kenny. Przypominał trochę węgorza: miał giętką i węzowatą sylwetkę, był szczupły, ale muskularny, a jego szalone oczy były ściągnięte jak u stworzenia skazanego na życie w zimnych głębinach cuchnących wód. Dylan przypuszczał nawet, że zęby Kenny'ego są ostre i zakrzywione jak u węża.

Młodzieniec był ubrany z klasą, w czarne dżinsy, czarne buty kowbojskie, czarną koszulkę i czarną dżinsową kurtkę wyszywaną w zielone indiańskie wzory, których kolor pasował do piórka na kowbojskim kapeluszu leżącym na dwóch walizkach w pokoju po drugiej stronie korytarza.

- Kim jesteś? - zapytał Dylana Kenny i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Becky. - Gdzie ta stara suka?

Starą suką, na którą czekało tych dwoje, była bez wątpienia siwowłosa kobieta w prążkowanym uniformie, która właśnie wróciła do domu po ciężkim dniu pracy.

- Co za różnica, kim on jest - odrzekła Becky. - Zabij go, potem znajdziemy stare pudło i wyprujemy mu flaki.

Chłopiec w kajdankach źle zrozumiał charakter związku łączącego jego brata i dziewczynę. Dwójka bezwzględnych konspiratorów zamierzała zamordować babcię i młodszego brata, być może ukraść jakieś śmieszne pieniądze ukryte przez starszą panią w materacu, a potem wrzucić walizki Kenny'ego do samochodu i wyruszyć w drogę.

Potem mogli zatrzymać się przy domu Becky i zabrać jej bagaże. Być może chcieli też zabić jej rodzinę.

Bez względu na to, czy ich późniejsze plany miały się powieść, czy nie, na razie wzięli Dylana w dwa ognie. Zajęli dobre pozycje, żeby go szybko załatwić.

Kenny trzymał w garści dwunastocalowy obosieczny nóż, wyjątkowo ostry. Pokryta gumą rękojeść z otworem miała ergonomiczny kształt, przyjazny dla użytkownika, który utrudniał wytrącenie broni z ręki zdecydowanemu na wszystko napastnikowi.

Nóż Becky, raczej kuchenny niż bojowy, mógł jednak rozciąć człowieka równie skutecznie jak kurczaka przeznaczonego na potrawkę.

Kij baseballowy był znacznie dłuższy od obu noży i dawał Dylanowi przewagę zasięgu. Z doświadczenia Dylan wiedział, że jego wzrost i postura odstraszały pijaczków i ulicznych bandytów, którzy w innej sytuacji mieliby ochotę się z nim zmierzyć; nawet najbardziej agresywni z nich dochodzili do wniosku, że w ciele brutala musi mieszkać brutal, gdy w istocie Dylan miał gołębie serce.

Być może Kenny wahał się także dlatego, że nie znał swojego położenia i bał się mordować nieznanego, nie wiedząc, ilu obcych jest jeszcze w domu. W błyszczących żądzą mordu oczach węgorza pojawiła się przebiegłość przywodząca na myśl węża z rajskiego ogrodu.

Dylan pomyślał, że mógłby udać policjanta i powiedzieć im o posiłkach, które zmierzają już do domu. Jednak nawet gdyby udało mu się wyjaśnić brak munduru, zdradziłaby go broń - trudno uwierzyć, że gliniarz posługiwałby się kijem baseballowym zamiast pistoletem.

O ile na zatruty prochami umysł Kenny'ego skapnęła kropelka rozsądku, o tyle Becky nadal przypominała zwierzę ogarnięte szałem zabijania, którego nie mogła powstrzymać ani niebezpieczna długość kija, ani wzrost przeciwnika.

Dylan zamarkował krok w stronę Kenny'ego, lecz zaraz odwrócił się do dziewczyny, celując kijem w dłoń, w której trzymała nóż.

Może Becky ćwiczyła gimnastykę w szkole średniej albo należała do armii niedoszłych balerin, na które rzesze kochających Amerykanów trwonią miliony dolarów w przekonaniu, że wychowują przyszłą Margot Fonteyn. Choć nie miała takiego talentu, by występować na olimpiadzie czy w zawodowym teatrze, wykazała się refleksem, zwinnością i znacznie lepszą koordynacją ruchów, niż mogło się wydawać po tym, jak zeskoczyła z łóżka. Rzuciła się do tyłu, unikając ciosu, z przedwcześnie triumfalnym „Ha!” i natychmiast odskoczyła w prawo, schodząc z drogi cofającemu się kijowi i uginając kolana, żeby mieć lepszą pozycję do manewru, jeśli już się na jakiś zdecyduje.

Nie łudząc się, że rozsądek będzie dłużej powstrzymywać Kenny'ego przed atakiem, jeżeli nadarzy się sposobność, Dylan odwrócił się, naśladując ruchy Becky, choć prawdopodobnie nie przypominał niespełnionej baleriny, ale raczej tańczącego niedźwiedzia. Zaatakował kowboja w haftowanej kurtce dokładnie w chwili, gdy ten ruszył na niego.

W węgorzowatych oczach dzieciaka nie było tej nieokiełznanej wściekłości co u Becky, lecz wyrachowanie i obawa podstępnego tchórze, który wykazuje się największą odwagą, gdy ma do czynienia ze słabszym przeciwnikiem. Był potworem, ale nie tak dzikim jak jego niebieskooka przyjaciółka i popełnił błąd, podkradając się do nieprzyjaciela, zamiast rzucić się na niego z impetem. Zanim Dylan zwrócił się w jego stronę z wysoko uniesionym kijem, Kenny powinien zanurkować pod jego ramieniem i wbić nóż. Spóźnił się jednak, drgnął, zrobił zwód i padł ofiarą własnego tchórzostwa.

Z siłą, jakiej nie powstydziliby się słynny „Babe” Ruth, kij z głośnym trzaskiem złamał przedramię Kenny'ego. Mimo ergonomicznej rękojęści z otworem na palec nóż wyleciał mu z ręki. Zdawało się, że Kenny uniósł się na moment w powietrze, jakby po dalekim strzale zrywał się do obiegnięcia baz.

Gdy dzieciak zamiast pobiec z wrzaskiem, padł na podłogę jak źle uderzona piłka, Dylan wyczuł zbliżającą się do niego z tyłu Becky i pomyślał, że tańczący niedźwiedź nie zdoła przechytrzyć obłąkanej baleriny.

Stając na przedostatnim stopniu, Jilly usłyszała, jak ktoś wrzasnął: „Kenny!”. Zatrzymała się tuż przed korytarzem na piętrze, zaniepokojona krzykiem, który nie wydobył się z ust Dylana ani trzynastoletniego chłopca. Wysoki i przenikliwy głos należał do kobiety.

Usłyszała jeszcze jakieś hałasy, potem męski głos, ale też nie Dylana ani nie chłopca, ale nie zrozumiała wypowiedzianych słów.

Przyszła tu nie tylko po to, żeby ostrzec Dylana, że na górze oprócz Kenny'ego jest jeszcze mały Travis, ale także po to, aby mu pomóc w razie potrzeby, nie mogła więc stać jak wryta na schodach, jeśli miała zachować szacunek dla samej siebie. Jillian Jackson zyskała bowiem szacunek dla samej siebie dzięki znacznym wysiłkom, choć w dzieciństwie zwykle trzymała się skromnie na uboczu, wątpiąc we własne możliwości. Nie chciała zrezygnować z tego, o co długo i zawzięcie walczyła.

Wpadając na korytarz, Jilly ujrzała smużkę słabego światła padającego zza otwartych drzwi po lewej, jaśniejszy blask z pokoju położonego trochę dalej po prawej stronie - i gołębie, których stado wpadło przez zamknięte okno na końcu przedpokoju, widmo gołębi, które zostawiły za sobą nietknięte szyby.

Ptaki nie wydawały żadnych dźwięków - nie gruchały ani nie krzyczały, ich skrzydła poruszały się zupełnie bezgłośnie. Gdy otoczyły ją ze wszystkich stron powodzią białych piór, tysiącem przeszywających oczu, tysiącem otwartych dziobów, nie spodziewała się, że poczuje ich obecność, ale stało się inaczej. Wiatr, jaki wywołał łopot ich skrzydeł, niósł ostrą woń kadzidła. Pióra muskały jej ciało, ręce i twarz.

Stojąc blisko ściany po lewej, ruszyła szybko wprost w burzę białych skrzydeł gęstą jak pierzasta śnieżycą, która na autostradzie przemknęła nad fordem. Obawiała się o stan swoich zmysłów, ale nie bała się ptaków, które najwyraźniej nie miały złych zamiarów. Gdyby nawet były prawdziwe, nie wydziobałyby jej oczu. Jilly zdawało się, że widok ptaków jest dowodem spotęgowania jej widzenia: wprawdzie taka myśl przemknęła jej przez głowę, nie wiedziała jednak, co to może być spotęgowane widzenie; na razie pojmowała to bardziej instynktownie i emocjonalnie niż intelektualnie.

Zjawy nie mogły jej wprawdzie wyrządzić krzywdy, ale pojawiły się w zupełnie nieodpowiednim momencie. Jilly musiała odnaleźć Dylana, a ptaki, prawdziwe czy nie, znacznie utrudniały jej poszukiwania.

- Ha! - wykrzyknął ktoś tuż obok, a chwilę później Jilly wymacała z lewej otwarte drzwi, które zasłaniało przed jej wzrokiem stado gołębi.

Gdy przekroczyła próg, ptaki zniknęły. Zobaczyła sypialnię oświetloną jedną lampą. Tu był Dylan, uzbrojony w kij baseballowy i otoczony przez młodego człowieka - Kenny'ego? - i nastolatkę, wymachujących nożami.

Kij ze świstem przeciął powietrze, młody człowiek krzyknął, a wypuszczony przez niego ostry nóż wylądował z brzękiem na wysokiej komodzie z drewna orzechowego.

Kiedy Dylan machnął kijem, stojąca za nim nastolatka sprężyła się, uginając jeszcze bardziej kolana. Gdy Kenny wrzasnął z bólu, dziewczyna zamachnęła się, gotowa skoczyć naprzód i wbić Dylanowi nóż w plecy, zanim ten zdąży się odwrócić.

Już w chwili wyskoku dziewczyny Jilly krzyknęła: - Policja!

Nastolatka z małpią zręcznością okręciła się, robiąc jednocześnie unik, aby nie odwrócić się plecami do Dylana i mieć go na oku.

Jej oczy były błękitne jak niebo z wymalowanymi cherubinkami na suficie kaplicy, ale lśniło w nich szaleństwo wywołane zapewne narkotykami.

Jilly, wreszcie prawdziwa Amazonka Południowego Zachodu, choć zbyt wrażliwa, by ryzykować pozbawienie dziewczyny wzroku, wycelowała preparat przeciw mrówkom trochę poniżej oczu. Dysza puszki, którą znalazła w spiżarni, miała dwa ustawienia: STRUMIENŃ i ROZPYLACZ. Już wcześniej ustawiła STRUMIENŃ, który według napisu na etykiecie miał zasięg do dziesięciu stóp.

Być może pod wpływem podniecenia w morderczym szale dziewczyna oddychała przez usta. Struga środka owadobójczego trafiła prosto między rozchylone wargi jak strumień wody z fontanny, zalewając jej usta po gardło.

Preparat przeciw mrówkom na nastoletnią dziewczynę działał ze znacznie mniejszym skutkiem niż na mrówkę, ale na pewno nie był najsmaczniejszym napojem i mniej orzeźwiający niż szklanka chłodnej wody. W jednej chwili odjął dziewczynie ochotę do walki. Rzuciła nóż. Krztusząc się, rżąc i plując, zatoczyła się w stronę drzwi, otworzyła je i kilka razy walnęła we włącznik, zanim zapaliło się światło, ukazując wnętrze łazienki. Potem odkręciła zimną wodę nad umywalką, stuliła dłonie i zaczęła sobie płukać usta, prychając i kaszląc.

Na podłodze leżał zwinięty jak krewetka Kenny, użalając się nad sobą z irytującym jękiem i szlochem.

Jilly spojrzała na Dylana i potrząsnęła puszką ze środkiem owadobójczym.

- Od dziś będę tego używać na tych, co na widowni zachowują się jak bydło.

- Co zrobiłaś z Shepem?

- Babcia powiedziała mi o Kennym i nożach. Nie masz czasem ochoty powiedzieć: „Dzięki, że uratowałaś mi tyłek, Jilly?”

- Mówiłem ci, żebyś nie zostawiała Shepa samego.

- Nic mu nie będzie.

- Będzie, jeżeli został tam sam - powiedział, podnosząc głos, jakby miał nad nią jakąś władzę.

- Nie krzycz na mnie. Boże drogi, przyjechałeś tu jak wariat, nie mówiąc dlaczego ani po co, wyskoczyłeś z samochodu, nie mówiąc dlaczego. A ja co - mam siedzieć jak przykładna kobieta, w stanie otępiełej bezmyślności czekać jak głupi indyk w deszczu, gapiąc się w niebo z otwartą gębą, aż się utopię? Popatrzył na nią spode łba.

- Co ty wygadujesz, jakie indyki? - Dobrze wiesz, o czym mówię. - Wcale nie pada.

- Nie bądź tępy.

- Nie masz za grosz poczucia odpowiedzialności - oświadczył.

- Mam ogromne poczucie odpowiedzialności. - Zostawiłaś Shepa samego.

- Nigdzie nie pójdzie. Dałam mu zajęcie. Powiedziałam: Shepherd, przez twojego niegrzecznego i apodyktycznego brata będę potrzebowała przynajmniej stu łagodnych synonimów słowa „dupek”.

- Nie mam czasu na te głupie sprzeczki.

- A kto zaczął? - odcięła się. Odwróciła się od niego i wyszłaby z pokoju, gdyby nie zatrzymał jej widok gołębi.

Przez korytarz wciąż płynął potok białych gołębi, mijając otwarte drzwi sypialni i kierując się w stronę schodów. Gdyby zjawy były rzeczywiste, dom powinien być już tak napchany ptakami, że ich napór wysadziłby okna jak eksplodujący gaz.

Jilly modliła się w myślach, żeby gołębie zniknęły, ale leciały i leciały, więc odwróciła się do nich plecami. Znów zaczęła się obawiać o stan swoich zmysłów.

- Musimy stąd wiać. Prędzej czy później Marj wezwie gliny. - Marj?

- Kobieta, która dała ci znaczek z żabą i od której wszystko to się jakoś zaczęło. Jest babcią Kenny'ego i Trávisa. Co mam zrobić?

Kłęcząc nad toaletą, Becky zaczęła analizować swoją kolację, a może nawet całe swoje życie. Dylan wskazał krzesło z wysokim oparciem, a Jilly zrozumiała, co miał na myśli.

Drzwi łazienki otwierały się do środka. Gdyby krzesłem podeprzeć i zaklinować klamkę, Becky zostałaby uwięziona i uwolniłaby ją dopiero policja.

Dylan nie sądził, by dziewczyna na tyle doszła do siebie, aby go pociąć na plasterki, ale nie miał też ochoty zostać upaprany wymiocinami.

Leżący na podłodze Kenny na totalnym haju zupełnie się rozkleił. Zaśliniony, z rozmazanymi na twarzy łzami i smarkami, choć nadal niebezpieczny, wyrzucał z siebie stek przekleństw i wyzwisk, żądał, żeby natychmiast sprowadzono mu lekarza, przysięgał zemstę i gdyby nadarzyła się okazja, pewnie zapragnąłby sprawdzić, czy rzeczywiście ma zęby ostre jak wąż.

Dylan zagroził, że rozłupie mu czaszkę, chociaż sądził, że zabrzmiało to mało wiarygodnie, jednak dzieciak przyjął groźbę serio, być może dlatego, że sam nie zawahałby się ani chwili i roztrzaskał Dylanowi głowę, gdyby tylko ich role się odwróciły. Wystarczyło słowo, aby z kieszeni swojej wyhaftowanej koszuli zapinanej na zatrzaski z macicy perłowej wyciągnął kluczyki do kajdanek i kłódki.

Jilly ociągała się z wyjściem z sypialni, jak gdyby bała się spotkania z innymi szubrawcami, na których mógłby nie wystarczyć środek owadobójczy. Dylan zapewnił ją, że poza Kennym i Becky w domu nie ma już żadnych innych dusz z piekła rodem. Mimo to, idąc do pokoju, gdzie siedział przykuty do łóżka chłopiec, krzywiła się i wahała, jakby strach na wpół ją oślepił. Co chwila spoglądała w stronę okna na końcu korytarza, jak gdyby zobaczyła twarz ducha przyciśniętą do szyby.

Uwalniając Trávisa, Dylan wyjaśnił mu, że Becky nie ma odpowiednich kwalifikacji moralnych, by brać udział w konkursie Miss Ameryki Nastolatek, a potem wszyscy zeszli do kuchni.

Marj wbiegła z ganku do domu, aby przytulić wnuka i zapłakać nad jego zsiniałym okiem, a Travis niemal utonął w jej pasiastych objęciach.

Dylan zaczekał, aż chłopak wyswobodzi się z czułego uścisku i rzekł:

- Kenny i Becky będą potrzebowali lekarza...

- I celi więziennej, dopóki nie zajmie się nimi opieka społeczna - dodała Jilly.

- ...ale proszę nam dać ze trzy minuty, zanim zadzwoni pani pod dziewięćset jedenaście - dokończył Dylan.

Słyszając to, Marj się zdumiała.

- Jak to, przecież wy jesteście z dziewięć jeden jeden. Jilly wyjaśniła tę zawiłą kwestię:

- Jesteśmy jedną z tych jedynek, Marj, ale nie drugą ani tym bardziej dziewiątką.

Starsza pani zdumiała się jeszcze bardziej, lecz Travis wyglądał na rozbawionego.

- Damy wam czas, żebyście mogli się ulotnić. Ale to wszystko jest strasznie dziwne, jak jakieś pokręcone czary. Kim wy, do diabła, jesteście?

Dylanowi nie przychodziła na myśl żadna sensowna odpowiedź, ale wyręczyła go Jilly.

- Sami nie wiemy. Jeszcze dziś po południu mogłabym wam powiedzieć, kim jesteśmy, ale teraz nie mam zielonego pojęcia. Mimo że w jej wyjaśnieniu kryta się ponura prawda, Marj osłupiała jeszcze bardziej, a chłopiec jeszcze szerzej się uśmiechnął.

Na górze Kenny głośno wzywał pomocy. - Lepiej już idźcie - poradził Travis.

- Nie wiesz, czym jeździmy, nie widziałeś naszego wozu. Fakt - przytaknął Travis.

- Będziemy ci wdzięczni, jeżeli nie będziesz patrzył, jak odjeżdżamy.

- Gdyby ktoś pytał- rzekł chłopak- to mogliście po prostu wziąć rozpęd i odfrunąć.

Dylan prosił tylko o trzy minuty, bo Marj i Travisowi trudno byłoby wytłumaczyć glinom dłuższą zwłokę; jeśli jednak Shep oddalił się od samochodu, byli zgubieni. Trzy minuty nie wystarczą, żeby go odnaleźć.

Na ulicy panowała cisza, tylko wiatr szumiał w drzewach oliwnych. Sąsiedzi nie powinni słyszeć dobiegających z domu stłumionych krzyków Kenny'ego.

Przy krawężniku stał ford z otwartymi drzwiami po stronie kierowcy. Zanim Jilly wysiadła z samochodu, wyłączyła silnik i zgasiła światła.

Jeszcze gdy byli na trawniku przed domem, Dylan zobaczył Shepherda na tylnym siedzeniu z twarzą oświetloną lampką do czytania, której blask odbijał się od strony otwartej książki.

- Mówiłam przecież - powiedziała Jilly.

Dylanowi kamień spadł z serca, więc zbyt jej uwagę milczeniem.

Przez zakurzoną szybę od strony Shepherda widać było tytuł książki, którą czytał: „Wielkie nadzieje” Charlesa Dickensa. Shep był fanatykiem Dickensa.

Dylan usadowił się za kierownicą i zatrzasnął drzwi, przypuszczając, że na kuchennym zegarze, przed którym zostawili Trávisa, musiało już upłynąć ponad pół minuty.

Podkulając nogi, by nie nadepnąć Freda stojącego pod siedzeniem, Jilly podała Dylanowi kluczyki, ale natychmiast cofnęła wyciągniętą rękę.

A jak znowu stracisz rozum? - Wcale nie straciłem rozumu.

- Wszystko jedno, w każdym razie jeśli znowu to zrobisz? - Prawdopodobnie zrobię - uświadomił sobie.

- Lepiej ja poprowadzę. Pokręcił głową.

- A co zobaczyłaś na górze, gdy szliśmy do pokoju Trávisa? Co zobaczyłaś w oknie na końcu korytarza?

Zawahała się. Potem oddała mu kluczyki. - Poprowadź.

Gdy Travis odliczył w kuchni pierwszą minutę, Dylan zawrócił. Wracali tą samą drogą, którą przyjechali na Aleję Eukaliptusową, gdzie nie było ani jednego eukaliptusa. Zanim Travis zadzwonił pod 911, zdążyli minąć ulice miasta i wyjechać na autostradę międzystanową numer 10.

Dylan ruszył na wschód w stronę końca miasta, gdzie pewnie przestał już dymić cadillac Jilly, ale powiedział:

- Nie chcę się trzymać tej drogi. Mam przecucie, że nie będzie tu bezpiecznie.

- Dzisiaj nie należy lekceważyć przecuć - zgodziła się.

W końcu Dylan zjechał z międzystanowej na autostradę numer 191, asfaltową dwupasmówkę bez pasa zieleni oddzielającego przeciwne kierunki ruchu, która prowadziła na północ przez tonące w mroku pustkowie. O tej godzinie panował na niej niewielki ruch. Na razie nie miało znaczenia, gdzie są, dopóki oddalali się coraz bardziej od wraka cadillaca coupe deville oraz domu w Alei Eukaliptusowej.

Przez pierwsze dwie mile autostrady 191 żadne z nich się nie odzywało, a gdy na liczniku stuknęła trzecia, Dylan zaczął się trząść. Poziom adrenaliny wracał do normy, prymitywna istota walcząca o przetrwanie wycofała się do swojej genetycznej kryjówki i dopiero teraz odczuł ogrom tego, co się wydarzyło. Dylan starał się ukryć rozdygotanie przed Jilly, lecz gdy usłyszał szczęk własnych zębów, wiedział, że mu się nie udało, a potem uświadomił sobie, że ona także drży, obejmując się ramionami i kołysząc na siedzeniu.

- Nnniech t-t-to szlag - powiedziała.

- No.

- Nie jestem żadną W-wonder Woman.

- Nie jesteś.

- Przede wszystkim mam za małe cycki.

- Ja też - odrzekł.

- Jezu, te noże.

- Fakt, wielkie jak cholera -- przytaknął.

- A ty z kijem baseballowym. Czy ty... odbito ci, O'Conner?

- Pewnie mi odbiło. A ty ze sprayem na mrówki - też nie wyglądałaś na uosobienie rozsądku, Jackson.

- Ale podziałało, nie? - Ładny strzał.

- Dzięki. Kiedy byłam mała, w domu często ćwiczyłam na karaluchach. Poruszały się o wiele szybciej niż panna Becky. A ty musiałeś być dobry w baseball.

- Niezły jak na sflaczałego malarza. Słuchaj, Jackson, trzeba odwagi, żeby wejść na górę po tym, jak Marj powiedziała ci o nożach.

- Raczej głupoty. Oboje mogliśmy zginąć.

- Mogliśmy - przyznał. - Ale nie zginęliśmy.

- Ale mogliśmy. Koniec z tymi nocnymi pościgami i bijatykami. Koniec, O'Conner.

- Tego się raczej nie spodziewam - odrzekł.

- Mówię poważnie. Zupełnie serio. Powtarzam, koniec.

- Nie sędzę, żeby to od nas zależało.

- Ja w każdym razie nie mam na to ochoty.

- Chciałem powiedzieć, że chyba nad tym nie panujemy.

- Ja zawsze panuję nad sytuacją - upierała się.

- Nie nad tą.

- Zaczynam się ciebie bać.

- Sam zaczynam się siebie bać - powiedział.

Po tych wyznaniach zapadła cisza nakłaniająca do refleksji. Księżyc, który srebrzyście jaśniał, kiedy stał wysoko na niebie, teraz zaczął chylić się ku zachodowi, bladł i matowieć, a rozjaśniony jego romantycznym blaskiem płaski blat pustyni zmienił się w ponury stół, na którym mogłaby się odbyć ostatnia wieczerza.

Na poboczu drogi drżały brązowe i kolczaste kłęby niesionych przez wiatr roślin, martwych, ale wciąż gotowych do włóczęgi, choć słaby wiatr nie mógł pchnąć ich w drogę.

Wędrowały za to ćmy, mniejsze białe jak duchy i większe szare, przypominające strzępki brudnego całunu. Wirowały wokół samochodu w trupim świetle reflektorów, lecz rzadko lądowały na przedniej szybie.

W malarstwie klasycznym motyle były symbolem życia, radości i nadziei. Ćmy-z tej rodziny co motyle, Lepidoptera-zawsze symbolizowały rozpacz, upadek, zniszczenie i śmierć. We-

dług ocen entomologów na świecie istnieje trzydzieści tysięcy gatunków motyli i cztery razy więcej gatunków ciem.

Dylanowi częściowo udzielił się ćmi nastrój. Wciąż był podenerwowany i rozdygotany, jak gdyby coś wyjadło mu izolację wszystkich nerwów jak włókna wełnianego swetra zaatakowanego przez mole. Przeżywając w myślach to, co zdarzyło się przy Alei Eukaliptusowej, i zastanawiając się, co może się jeszcze stać, czuł widmowe ćmy trzepoczące wzdłuż całego kręgosłupa.

Nie pograżył się jednak bez reszty w obawach. Rozmyślania nad ich niepewną przyszłością przejmowały go dławiącym niepokojem, ale ilekroć niepokój opadał, ogarniała go dziwna radość i miał ochotę roześmiać się na całe gardło. Czuł, jakby równocześnie otrzeźwiała go obawa, która mogła przerodzić się w prawdziwy lęk, i odurzala myśl o wspanialej mocy i swoich nowych możliwościach, których do końca nie rozumiał.

Nigdy wcześniej nie doświadczył tak szczególnego stanu umysłu, nie potrafił więc dobrać słów ani tym bardziej obrazów, żeby to dobrze wyjaśnić Jilly. Gdy na moment odwrócił wzrok od pustej drogi, drżących kłębów roślin i śmigających ciem, natychmiast wyczytał z jej miny, że Jilly przeżywa dokładnie to samo.

Mogli powiedzieć za Dorotką z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”: „Nie jesteśmy już w Kansas, Toto”. Nie byli też w Krainie Oz, gdzie wszystko łatwo przewidzieć, ale płynęli przez świat, gdzie na pewno czekały na nich większe cuda niż drogi z żółtej cegły albo szmaragdowe miasta i straszniejsze rzeczy niż złe wiedźmy i latające małpy.

O przednią szybę pacnęła ćma, zostawiając na szkle brudnoszarą plamę, jak pocałunek śmierci.

1 8 Magnetyczny biegun Ziemi może w jednej chwili zmienić położenie, jak według teorii niektórych naukowców działo się nieraz w przeszłości, i glob zacznie się obracać w zupełnie innej płaszczyźnie, co spowoduje katastrofalne zmiany na powierzchni planety. Strefy podzwrotnikowe w mgnieniu oka ogarnie arktyczny mróz, a w Miami zaskoczeni emeryci o delikatnych ciałach będą musieli walczyć o przetrwanie w temperaturze sięgającej stu stopni poniżej zera, w burzach śnieżnych sypiących ostrymi jak igły kryształkami lodu, twardymi jak szkło. Od ogromnych napięć tektonicznych kontynenty zaczną się wyginać, pękać i składać jak papier. Oceany zmieniają się w gigantyczne fale, wystąpią z brzegów i zwałą się na Góry Skaliste, Andy i Alpy. Powstaną nowe oceany śródlądowe i nowe łańcuchy górskie.

Z wulkanów bluzną wielkie płonące morza ziemskiej esencji. Cywilizacja zniknie, zginą miliardy ludzi, a przed nielicznymi garstkami ocalałych stanie niewdzięczne zadanie sformowania plemion myśliwych i zbieraczy.

Przez ostatnią godzinę programu Parish Lantern rozmawiał ze słuchaczami z całego kraju o prawdopodobieństwie zmiany położenia bieguna w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat. Dylan

i Jilly milczeli, zbyt zaabsorbowani rozmyślaniami o swoich niedawnych przeżyciach, słuchali więc Lanterna, jadąc na północ pustynną autostradą. Na widok bezludnego pustkowia można było dojść do wniosku, że kataklizm planetarny pochłonął już całą cywilizację, ale równocześnie odnosiło się wrażenie, że Ziemia nie zmieniła się od wieków.

- Zawsze słuchasz tego faceta? - spytał Jilly Dylan. - Nie codziennie, ale dość często.

Cud, że nie masz nastrojów samobójczych.

Jego programy zwykle nie są o zagładzie. Przede wszystkim mówią o podróżach w czasie, rzeczywistości alternatywnej, życiu po śmierci, o tym, czy mamy dusze...

Shep wciąż czytał Dickensa, darując pisarzowi pewną formę życia po śmierci. W radiu planeta nadal pękała, płonęła, tonęła, unicestwiała ludzką cywilizację i większość fauny, tępiąc życie jak zarazę.

Kiedy czterdzieści minut po zjeździe z autostrady międzystanowej dotarli do Safford, Shepherd powiedział:

Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach... Być może przyszła pora zatrzymać się i opracować plan działania, a może nie przemyśleli jeszcze do końca swojej sytuacji, aby snuć jakiegokolwiek plany, w każdym razie Dylan i Shep powinni wstąpić gdzieś na kolację, której nie jedli. A Jilly miała ochotę na drinka.

- Najpierw musimy zmienić tablice rejestracyjne-rzekł Dylan. -- Kiedy ustalą, że cadillac był twój, zaczną cię szukać, sprawdza pokój za pokojem. I kiedy się dowiedzą, że dałaś nogę, a Shep i ja nie zostaliśmy na noc, chociaż zapłaciliśmy, mogą skojarzyć, że jesteśmy razem.

- Nie ma żadnego „mogą”. Skojarzą na pewno.

- W książce meldunkowej motelu jest marka, model i numer rejestracyjny samochodu. Możemy przynajmniej zmienić tablice i chociaż trochę utrudnić im pościg.

Dylan zaparkował forda na cichej ulicy w dzielnicy mieszkaniowej, ze skrzynki z narzędziami wziął śrubokręty i szczypce,

po czym wyruszył na poszukiwania tablic z Arizony. Na podjeździe przy wiejskim cedrowym domu o wyblakłych, podniszczonych ścianach, przed którym rosła zwiędła trawa, znalazł pikapa. Tablice odkręcił bez problemów.

Podczas kradzieży serce waliło mu jak szalone. Poczucie winy wydawało się niewspółmierne do czynu, ale twarz paliła go ze wstydu na myśl, że ktoś mógłby go przyłapać.

Z przywłaszczonymi tablicami Dylan okrążył miasto i zatrzymał się na pustym o tej porze parkingu przed szkołą. Kryjąc się w cieniu, zamienił swoje kalifornijskie numery na tablice z Arizony.

- Przy odrobinie szczęścia - powiedział: siadając za kierownicą-właściciel pikapa zauważył brak tablic dopiero jutro.

- Nie cierpię polegać na szczęściu - odrzekła Jilly. - Nie miałam go w życiu za dużo.

- Od dziś tylko frytki jadam - przypomniał im Shep.

Kilka minut później, parkując forda przed przylegającą do motelu restauracją, Dylan powiedział:

- Pokaż mi swój znaczek. Plakietkę z żabą.

Jilly odpięła od bluzki uśmiechniętego płaza, ale zawahała się przez chwilę.

- Po co`?

- Nie bój się. Na pewno nie zareaguję tak jak na tamten. To się już nie powtórzy.

- No dobrze, a jeżeli nie?- niepokoila się. W odpowiedzi podał jej kluczyki.

Jilly niechętnie wymieniła znaczek za kluczyki.

Trzymając kciuk na obrazku z żabą i palec wskazujący z tyłu znaczka, Dylan poczuł mrowienie śladu psychicznego więcej niż jednej osoby, może odciski babci Marjorie przykryte odciskami Jillian Jackson, ale żaden z nich nie wywoływał w nim impulsu, który kazał mu gnać do domu przy Alei Eukaliptusowej. Wrzucając znaczek do pojemnika na śmieci, rzekł:

- Nic. Albo prawie nic. Nie zareagowałem wtedy na sam znaczek. Wyczułem tylko... zbliżającą się śmierć Marjorie. Czy to w ogóle ma sens`?

-- Tylko w Mieście Świrów, w którym chyba zamieszkaliśmy. - Chodźmy na tego twojego drinka - powiedział:

- Na dwa.

Kiedy szli przez parking do drzwi restauracji, Shep kroczył między nimi. Trzymał przed sobą „Wielkie nadzieje” i czytał w świetle lampki na baterie.

Dylan zastanawiał się wcześniej, czy nie zabrać mu książki, ale Shepherd miał tego wieczoru mnóstwo przeżyć. Jego porządek dnia został zakłócony, co zwykle budziło w nim głęboki niepokój. Na domiar złego w ciągu kilku godzin przeżył więcej niż przez ostatnie dziesięć lat, a Shepherd O'Conner zwykle nie potrafił sobie radzić z nadmiarem wrażeń.

Jego odporność na bodźce konwersacyjne przechodziła ciężką próbę na wystawach sztuki, gdy zbyt wielu nieznanym zwracało się bezpośrednio do niego, choć nigdy żadnemu z nich nie odpowiadał. Błyskawice i grzmoty, a nawet zbyt głośny szum ulewy podczas burzy przekraczały granice jego tolerancji na hałas, co często groziło atakiem paniki.

Zważywszy na jego zwykle zachowanie wobec codziennych wrażeń, to rzeczywiście prawdziwy cud, że Shep nie wpadł w panikę w motelu, nie zwinął się ze strachu jak stonoga na widok płonącego cadillaca, a podczas brawurowej jazdy do domu Marjorie nie pisał z przerażenia ani nie rwał sobie włosów z głowy.

Na wzburzonym morzu dzisiejszych doznań jego tratwą ratunkową stały się „Wielkie nadzieje” Dickensa. Ściskając kurczowo książkę, potrafił się przekonać, że jest bezpieczny, i mógł zapomnieć o brutalnym naruszeniu spokoju codzienności, pozostając głuchym i ślepym na nacierające na niego groźne fale bodźców zewnętrznych.

Jednymi z oznak upośledzenia Shepa były niezręczne ruchy i słaba koordynacja fizyczna, ale mimo że szedł, nie przerywając czytania, wcale nie zaczął stawiać sztywnych kroków ani powłóczyć nogami. Dylan miał wrażenie, że gdyby jego brat napotkał po drodze schody, pokonałby wszystkie stopnie, ani na chwilę nie odkładając dzieła Dickensa.

Przed wejściem do restauracji nie czekały na nich żadne schodki, lecz kiedy Dylan dotknął drzwi, poczuł na dłoni i opuszkach palców przepływ energii psychicznej i omal nie puścił klamki.

Co? - spytała czujnie Jilly.

Coś, do czego będę się musiał przyzwyczaić. - W nadnaturalnych śladach na klamce niewyraźnie wyczuwał wiele różnych osobowości, jak nałożone na siebie warstwy wyschłego potu mnóstwa dłoni.

Restauracja zdawała się cierpieć na rozdwojenie jaźni, jak gdyby wbrew prawom fizyki jedno wnętrze zajmowały równocześnie ekskluzywny lokal i tani bar, szczęśliwie nie powodując katastrofalnej eksplozji. Boksy obite czerwonym skóropodobnym materiałem i krzesła z takiego samego tworzywa z chromowanymi nogami nieszczęśliwie zestawiono ze stołami z prawdziwego mahoniu. Kosztowne żyrandole z ciętego szkła rzucały pryzmatyczne światło nie na puszysty dywan, ale na łatwo zmywalną podłogę z drewnopodobnego winylu. Kelnerzy i kelnerki byli ubrani w czarne garnitury, nakrochmalone białe koszule i eleganckie wąskie krawatki wiązane na kokardę; ich pomocnicy pałętali się między stolikami w zwykłych ubraniach, odróżniając się od innych tylko idiotycznymi spiczastymi czapczkami z papieru i skwaszonymi minami.

Pora kolacji dawno już minęła, toteż w restauracji zajęta była tylko jedna trzecia stolików. Klienci siedzieli przyjemnie rozleniwieni przy deserach, trunkach i kawie, pogrążeni w przyciszonych, swobodnych rozmowach. Niewielu z nich zwróciło uwagę na Shepa, który

idąc między Jilly a Dylanem, pozwolił kelnerce zaprowadzić się do boks i ani na chwilę nie oderwał oczu od otwartej książki.

W restauracji Shep rzadko siadał przy oknie, ponieważ nie lubił, kiedy „patrzyli na niego ludzie w środku i ludzie z zewnątrz”. Dylan poprosił o boks oddalony od okien i usiadł po jednej stronie stołu obok swojego brata, naprzeciw Jilly.

Jilly wyglądała na niezwykle wypoczętą, wzięwszy pod uwagę, co przeszła - i wyjątkowo spokojną jak na kobietę, której życie zostało postawione do góry nogami, a przyszłość stanowiła zagadkę, jaką można by jedynie oglądać, wróżąc z fusów w ciemnym pokoju. Jilly nie miała pospolitej urody, ale taką, która dobrze znosi wpływ czasu i przetrzyma wiele prób, zachowując blask i kolor jak dobra tkanina po wielokrotnym praniu.

Gdy Dylan wziął menu, które położyła przed nim kelnerka, wzdrygnął się, jakby dotknął lodu, i natychmiast odłożył kartę na stół. Poprzedni klienci pozostawili na plastikowej okładce żywą warstewkę emocji, pragnień, żądz i tęsknot, która ukłuła go jak wyładowanie elektryczne o wiele silniejsze niż tamto na kłamce.

Kiedy skręcili z międzystanowej na północ, powiedział Jilly o śladach psychicznych. Teraz dziewczyna pojęła w lot, dlaczego odłożył menu.

- Przeczytam ci -- powiedziała.

Dylan stwierdził, że przygląda się Jilly z tak wielką przyjemnością, że kilka razy musiał się napomnieć w duchu, by uważnie słuchać recytowanej przez nią listy sałatek, zup, kanapek i przystawek. Widok jej twarzy przynosił mu ukojenie być może takie, jakie w „Wielkich nadziejach” znalazł Shep.

Przyglądając się czytającej głośno Jilly, Dylan położył dłonie na okładce menu. Po doświadczeniu przy drzwiach wejściowych, tak jak się spodziewał - początkowo gwałtowna lawina wrażeń szybko zmieniła się w płynący spokojnie strumyk. Zauważył też, że świadomie potrafi stłumić do końca te osobliwe doznania.

Informując go o ostatniej pozycji w karcie dań, Jilly uniosła głowę, zobaczyła dłonie Dylana na plastikowej okładce i zorientowała się, że pozwolił jej czytać tylko po to, aby móc otwarcie się na nią gapić, bez obawy, że napotka jej spojrzenie. Sądząc po jej minie, miała mieszane odczucia co do wyniku obserwacji, lecz przynajmniej częściowo odpowiedziała uroczym, choć trochę niepewnym uśmiechem.

Zanim któreś z nich zdążyło się odezwać, do stolika wróciła kelnerka. Jilly poprosiła o butelkę sierra nevady. Dylan zamówił kolację dla Shepa i siebie z prośbą, aby danie dla Shepa przyniosła pięć minut przed jego talerzem.

Shepherd nadal czytał: „Wielkie nadzieje” leżały na stole, lampka była wyłączona. Zgarbiony nad książką, pochylał twarz dziesięć cali nad kartką, choć nie miał kłopotów ze wzrokiem. Gdy obok niego stała kelnerka, Shep śledził tekst i poruszał ustami, dając w ten sposób subtelnie do zrozumienia, że jest zajęty i niegrzecznością z jej strony byłoby zwrócenie się do niego.

Ponieważ obok nich nie siedzieli żadni goście, Dylan mógł swobodnie mówić o sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Jilly, słowa to twoja specjalność, prawda? - Chyba można tak powiedzieć.

- Co to znaczy „psychotropowy”? - Dlaczego o to pytasz?

Frankenstein użył tego słowa. Mówił, że szpryca w strzykawce ma działanie psychotropowe.

Nie podnosząc oczu znad książki, Shep powiedział:

- Psychotropowy. Wpływający na procesy psychiczne, zachowanie lub percepcję. Psychotropowy.

- Dziękuję, Shep.

- Leki psychotropowe. Środki uspokajające, psycholeptyczne, przeciwdepresyjne. Leki psychotropowe.

Jilly pokręciła głową.

Nie sądzę, żeby ten dziwny eliksir był którymś z nich.

- Środki psychotropowe - objaśniał dalej Shep. - Opium, morfina, heroina, metadon. Barbiturany, meprobromat. Amfetamina, kokaina. Meskalina, marihuana, LSD, piwo Sierra Nevada. Środki psychotropowe.

- Piwo to nie narkotyk - poprawiła go Jilly. - Prawda? Wciąż śledząc wzrokiem linijki tekstu Dickensa, Shep zdawał się czytać na głos:

- Psychotropowe środki odurzające i pobudzające. Piwo, wino, whisky. Kofeina. Nikotyna. Psychotropowe środki odurzające i pobudzające.

Jilly wpatrywała się w niego, nie wiedząc, jak ma rozumieć tę wyliczankę.

- Przeoczone - rzekł Shep z goryczą. - Psychotropowe środki odurzające wziewne. Klej, rozpuszczalniki, olej przekładniowy. Psychotropowe środki odurzające wziewne. Przeoczone. Przepraszam.

- Gdyby to był narkotyk w tradycyjnym rozumieniu - odezwał się Dylan -- sądzę, że Frankenstein użyłby tego słowa. Nie nazywałby go z uporem „szprycą”, jak gdyby nie istniało inne określenie. Poza tym narkotyki z czasem przestają działać. A on wyraźnie dał mi do zrozumienia, że to gównu daje trwałe efekty.

Zjawiała się kelnerka z piwem Sierra Nevada dla Jilly i Dylana oraz szklanką coca-coli bez lodu. Dylan rozpakował słomkę i włożył do napoju brata.

Shepherd pił tylko przez słomkę, ale nie obchodziło go, czy papierową, czy z plastiku. Lubił zimną colę, ale nie tolerował pływającego w niej lodu. Z jakiegoś powodu, znanego tylko samemu Shepherdowi, cola, słomka i lód w jednej szklance uraziły go.

Unosząc oszronioną szklankę piwa, Dylan rzekł: - Za psychotropowe środki odurzające.

- Z wyjątkiem środków wziewnych -- uściśliła Jilly.

Na zimnym szkłe wyczuł lekko drżące ślady energii: pozostawione zapewne przez obsługę w kuchni i na pewno kelnerkę. Kiedy zmusił się, by nie reagować na psychiczne odciski, mrowienie zniknęło. Odzyskiwał panowanie nad sobą.

Jilly stuknęła butelką o jego szklankę i łączywie pociągnęła łyk.

- Nie ma dokąd jechać, zgadza się? - Oczywiście, że jest dokąd jechać. - Tak? A dokąd?

- No, na pewno nie do Phoenix. To nie byłoby rozsądne. Masz występ w Phoenix, więc na pewno będą cię tam szukać, żeby się dowiedzieć, dlaczego Frankenstein miał twój samochód, będą chcieli zbadać ci krew.

- Faceci w chevroletach.

Może inni faceci w innych samochodach, ale na pewno będą mieli związek z tamtymi.

- Kim w ogóle mogli być ci kretyni? Szpiegami tajnych służb? Agentami niejawnego oddziału policji? Agresywnymi domokrażnymi sprzedawcami czasopism`?

-- Chyba żadna z tych możliwości nie wchodzi w grę. Ale niekoniecznie musieli być źli.

- Wyszadzi w powietrze mój samochód.

- Jak mógłbym zapomnieć. Ale wysadzili go tylko dlatego, że w środku siedział Frankenstein. A on na pewno był zły.

- To, że wysadzili w powietrze złego gościa, wcale nie znaczy, że sami są dobrzy - zauważyła Jilly. - Czasem źli goście wysadzają w powietrze innych złych gości.

- Bardzo często -- zgodził się. - Ale żeby uniknąć wysadzania, musimy ominąć Phoenix.

-- Ominąć i dokąd pojechać?

- Może powinniśmy się trzymać mniejszych autostrad, ruszyć na północ do jakiegoś pustego i dużego miejsca, od którego nie zaczęliby poszukiwać, może do Skamieniałego Lasu. Moglibyśmy tam być w ciągu kilku godzin.

- Mówisz, jakby to były wakacje. A ja mam na myśli całe swoje życie. Dokąd mam iść?

- Skupiasz się na zbyt dalekiej perspektywie obrazu. Nie rób tego - poradził. - Dopóki nie będziemy wiedzieć więcej o swojej sytuacji, bez sensu jest skupiać się na dalekiej perspektywie - poza tym to przygnębiające.

- To na czym mam się skupiać? Na bliskiej perspektywie? -- Właśnie tak.

Znów pociągnęła łyk piwa.

- A co jest w bliskiej perspektywie? - Przeżycie najbliższej nocy.

- Zdaje się, że bliska perspektywa jest tak samo przygnębiająca jak daleka.

- Ależ nie. Musimy się tylko zaszyć w jakimś bezpiecznym miejscu i pomyśleć.

Kelnerka przyniosła kolację Shepherd'a.

Dylan złożył zamówienie, kierując się gustem brata i łatwością, z jaką mógł dostosować danie do kulinarnych upodobań Shepa.

- Z punktu widzenia Shepa -- powiedział - kształt jest ważniejszy od smaku. Lubi kwadraty i prostokąty, nie lubi kół i krągłości.

Na środku talerza leżały dwa owalne plastry klopsa w sosie. Nożem i widelcem Shepa Dylan odkroił brzegi obu plastrów, nadając im prostokątny kształt. Następnie, odkładając skrawki na talerz z pieczywem, każdy kawałek pokroił na małe kwadraty swobodnie mieszczące się w ustach.

Gdy wziął sztucce, poczuł na metalu wibrowanie śladów psychicznych, ale znów zdołał je wyciszyć i potrafił nie zwracać na nie uwagi.

Frytki nie miały tępych końcówek, ale ukośne. Dylan szybko podcinał końce, nadając każdej frytce kształt prostokąta. - Shep zje te kawałki - wyjaśnił, układając złociste okrawki obok odmienionych frytek - ale tylko oddzielnie.

Marchewka została już pokrojona w kostkę, nie stanowiła więc problemu. Dylan musiał jednak oddzielić od niej groszek, pognieść i uformować z masy kwadratowe kawałki mieszczące się na widelcu.

Zamiast bulki zamówił chleb. Trzy krawędzie każdej kromki były proste; czwarta półokrągła. Dylan odkroił półksiężycy skórek i odłożył na ścinki klopsa.

- Na szczęście z masła nie ulepili kulek. - Zdjął folię z trzech kawałków masła i postawił je na sztorc obok chleba. - Gotowe.

Gdy Dylan podsunął mu talerz, Shepherd odłożył książkę. Wziął podane sztucce i zaczął jeść swe geometryczne danie z taką samą uwagą, z jaką czytał Dickensa.

- Tak jest przy każdym posiłku? - spytała Jilly.

- Prawie przy każdym. Do każdego jedzenia stosuje się inne reguły.

- Co by się stało, gdybyś nie robił takich korowodów?

- To nie są korowody. Po prostu... porządkowanie chaosu. Shep lubi porządek.

- A gdybyś postawił przed nim jedzenie tak, jak je podali, i powiedział „Jedz”?

- Nie tknąłby go - zapewnił ją Dylan.

- W końcu by zgłodniał.

- Nie. Przy każdym posiłku, dzień po dniu, odwracałby się od jedzenia, dopóki nie zemdlełby z powodu obniżonego poziomu cukru we krwi.

Przyglądając mu się z miną, z której Dylan wolał wyczytać współczucie zamiast litości, Jilly powiedziała:

- Chyba nieczęsto umawiasz się z dziewczynami, co? Odpowiedział jej wzruszeniem ramion.

- Chcę jeszcze jedno piwo - oświadczyła Jilly, gdy kelnerka przyniosła Dylanowi kolację.

- Prowadzę - rzekł, odmawiając drugiej kolejki.

- Zgadza się, ale jeśli masz prowadzić tak jak dzisiaj, jeszcze jedno piwo może tylko pomóc.

Może miała rację, może nie, w każdym razie Dylan postanowił ulec pokusie, choć było to zupełnie nie w jego stylu.

- Dwa - powiedział do kelnerki.

Kiedy zabrał się do kurczaka z goframi, anarchicznie lekceważąc kształt i rozmiar każdego kęsa, Jilly rzekła:

- Powiedzmy, że pojedziemy sto mil na północ, zaszyjemy się w jakimś bezpiecznym miejscu i pomyślimy. O czym właściwie mamy myśleć - poza tym, że pieprzyliśmy się na dobre?

- Nie bądź wciąż tak negatywnie nastawiona. Zjeżyła się bardziej niż drucziana szczotka.

- Wcale nie jestem negatywnie nastawiona. - Ale nie jesteś też pogodna jak dalajlama.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, to kiedyś byłam kompletnym zerem, zakompleksionym i zamkniętym w sobie dzieciakiem. Byłam roztrzęsiona i nieśmiała, czułam się sponiewierana przez życie jak nikomu niepotrzebny śmieć. Mogłam uczyć płochliwości mysz pod miotłą.

- To chyba było bardzo dawno temu.

- Nie postawiłbyś dolara przeciw milionowi na to, że kiedyś wyjdę na scenę, a wcześniej wstąpię do chóru. Ale miałam nadzieję, wielką nadzieję i marzyłam, że kiedyś zostanę kimś, że będę występować, i w końcu sama zniszczyłam w sobie to roztrzęsione dziecko i zaczęłam realizować marzenia.

Wysączając resztkę piwa, posłała Dylanowi piorunujące spojrzenie znad przechylonej butelki.

- Nie przeczę, że masz poczucie własnej wartości. Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej. Nie chodzi mi o twój negatywny stosunek do siebie, ale do reszty świata.

Popatrzyła na niego tak, jakby zamierzała uderzyć go pustą butelką, lecz potem odstawiła ją na stół i odsunęła na bok.

- Zgoda. Świat jest okrutny. I większość ludzi jest okrutna. Jeżeli uważasz to za negatywne nastawienie, dla mnie to tylko realizm.

- Wielu ludzi jest okrutnych, ale nie większość. Większość jest po prostu przerażona, samotna albo zagubiona. Nie wiedzą, po co się tu znaleźli, nie znają celu ani przyczyny, więc żyją na wpół martwi.

- A ty pewnie znasz cel i przyczynę.

- Mówisz, jakbyś uważała, że jestem zadowolony z siebie. -- Wcale nie. Jestem po prostu ciekawa, po co twoim zdaniem żyjemy.

- Każdy sam musi znaleźć odpowiedź na własny użytek - odparł i naprawdę tak myślał. - A ty ją znajdziesz, bo chcesz. - Teraz mówisz jak ktoś bardzo zadowolony z siebie. - Wyglądała, jak gdyby jednak zamierzała walnąć go butelką. Shepherd wziął jeden z trzech kawałków masła i wpakował sobie do ust.

Jilly skrzywiła się, a Dylan wyjaśnił:

- Shep lubi chleb z masłem, ale nie razem. Ciesz się, że nie widzisz, jak je kanapkę z kielbasą i majonezem.

- Nie ma dla nas ratunku - powiedziała.

Dylan westchnął, pokręcił głową i nie odezwał się.

- Zejdź na ziemię, dobrze? Jeżeli zaczną do nas strzelać, według jakich reguł Shepa będziemy uchylać się od kul? Zawsze uchylać się w lewo, nigdy w prawo. Można kluczyć, ale nie można robić uników - chyba że jest dzień tygodnia, który ma w nazwie „t”, wtedy można robić uniki, ale nie można kluczyć. Jak szybko Shep może biec, czytając, i co się stanie, kiedy spróbujesz mu zabrać książkę?

- Na pewno tak nie będzie - rzekł, Dylan, ale wiedział, że Jilly ma rację.

Nachyliła się nad stołem, ściszyła głos, ale wymawiała dobitnie każde słowo.

- Dlaczego nie? Słuchaj, musisz przyznać, że nawet gdybyśmy wdepnęli w to tylko my dwoje, mielibyśmy szanse jak ktoś zjeżdżający w szklanych butach po wysmarowanym tłuszczem zboczcu. A ze stusześdziesięciofuntowym żującym masło kamieniem młyńskim u szyi - jakie mamy szanse?

- Shep nie jest kamieniem młyńskim-powiedział z uporem Dylan.

Jilly zwróciła się do Shepherd'a:

- Skarbie, nie obraż się, ale jeśli chcemy mieć jakąś nadzieję na wyjście z tego cało wszyscy troje, musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Jeżeli będziemy się okłamywać, koniec z nami. Może nie potrafisz nic na to poradzić, że jesteś młyńskim kamieniem, ale może potrafisz, a jeśli potrafisz, musisz z nami współpracować.

- Shep i ja zawsze tworzyliśmy zgrany zespół - oznajmił Dylan.

- Zespół? Też mi zespół. Gdybyście startowali w wyścigu w workach, prędzej czy później worek znalazłby się na czyjejś głowie.

- Nie jest dla mnie ciężarem...

- Nawet tak nie mów - przerwała mu. - Nie waż się tak mówić, O'Conner, nie waż się, ty stuknięty, nabuzowany nadzieją i pozytywnym myśleniem durniu.

Nie jest dla mnie ciężarem, jest...

- ...twoim bratem, genialnym idiotą-dokończyła za niego. Cierpliwie i spokojnie Dylan wyjaśnił:

- Nie. Genialny idiota jest psychicznie upośledzony i mimo niskiego ilorazu inteligencji ma wyjątkowy talent w jednej dziedzinie, na przykład umie błyskawicznie rozwiązywać skomplikowane zadania matematyczne albo grać na każdym instrumencie muzycznym, kiedy go tylko weźmie do ręki. Shep ma wysoki iloraz inteligencji i jest wyjątkowy pod niejednym względem. Cierpi tylko na... rodzaj autyzmu.

- Nie ma dla nas ratunku - powtórzyła.

Shepherd przeżuwał z entuzjazmem następną porcję masła, cały czas spoglądając w swój talerz z odległości dziesięciu cali, jak gdyby znalazł cel życia, a celem tym był klops.

19 Ilekroć otwierały się drzwi i wchodził kolejny gość, Dylan teżał.

Niemożliwe, żeby tamci tak szybko ich namierzyli. A jednak...

Kelnerka przyniosła piwo, a Jilly, pokrzepiwszy się sporym łykiem zimnej sierra nevady, powiedziała:

- No więc, zaszyjemy się gdzieś w Skamieniałym Lesie i... jak mówiłeś? Ze pomyślimy?
- Pomyślimy - potwierdził Dylan.
- Niby o czym, z wyjątkiem rozwiązania zagadki, jak przeżyć?
- Może wykombinujemy, jak namierzyć Frankensteina. - Zapomniałeś, że nie żyje?
- Chodzi mi o to, kim byt, zanim go zabili.
- Nie znamy nawet nazwiska z wyjątkiem tego, które sami mu nadaliśmy.
- Ale wszystko wskazuje na to, że był naukowcem. Prowadził badania medyczne. Opracowywał środki psychotropowe, szpryce czy jak to nazwiemy, mamy więc słowo kluczowe. Naukowcy piszą referaty, artykuły do czasopism, prowadzą wykłady. Zostawiają trop.
- Sypią za sobą ziarenka intelektualne.
- Właśnie. Jeśli się postaram, może sobie przypomnę, co jeszcze mówił ten łajdak w pokoju motelowym, znajdę jeszcze jakieś słowa kluczowe. Znając słowa kluczowe, będziemy mogli zajrzeć do Internetu i wyszukać badaczy pracujących nad usprawnianiem funkcjonowania mózgu i podobnymi sprawami. - Nie jestem specem od techniki - rzekła Jilly. - A ty?
- Też nie. Ale takie poszukiwania nie wymagają wiedzy technicznej, tylko cierpliwości. Nawet w tych nudnych czasopismach naukowych drukują czasem zdjęcia swoich współpracowników i jeżeli Frankenstein był jednym z najlepszych w swojej dziedzinie, a wszystko wskazuje na to, że tak, to na pewno poświęcili mu trochę miejsca w gazetach. Gdy znajdziemy zdjęcie, będziemy znali nazwisko. Poczytamy o nim i dowiemy się, czym się zajmował.
- Chyba że jego badania były ściśle tajne jak Projekt Manhattan albo receptura karmelowo-czekoladowych ciastek Oreo.
- Znowu zaczynasz.
- Jeśli nawet znajdziemy o nim szczegółowe informacje - powiedziała - co z nimi zrobimy?
- Może istnieje jakiś sposób, żeby cofnąć to, co nam zrobił. Jakieś antidotum.
- Antidotum. Co - mamy wrzucić do wielkiego kotła zabie języki, skrzydła nietoperzy i oczy jaszczurek, i ugotować z brokułami?
- Oto i nasza Negatywnie Nastawiona Jackson, krynica pesymizmu. Wiesz, ci goście z DC Comics powinni stworzyć nowego bohatera, wzorując się na tobie. Dzisiaj są w modzie ponurzy i skłonni do depresji bohaterowie.
- Ty za to jesteś cały z komiksu Disneya. Szczebioczesz słodziutko jak Chip i Dale. Zgarbiony nad jedzeniem Shep, ubrany w koszulkę z wizerunkiem kojota, parsknął zduszonym śmiechem albo dlatego, że spodobał mu się żart o Disneyu, albo dlatego, że rozbawił go pozostały na talerzu klops.
- Shepherd nie zawsze był tak nieobecny, jakby się mogło wydawać.
- Chodzi mi o to - ciągnął Dylan -- że jego praca mogła wywołać kontrowersje. Możliwe, że inni naukowcy byli przeciwni jego badaniom. Któryś z nich zrozumie, co nam zrobił-i może zechce nam pomóc.
- Tak - odrzekła Jilly. - I kiedy trzeba będzie zdobyć pieniądze na sfinansowanie badań, zawsze możemy dostać parę miliardów od twojego wujka Sknerusa McKwacza.
- Masz lepszy pomysł?
- Przyglądała mu się, popijając piwo. Jeden łyk, drugi. - Tak myślałem - powiedział.

Później, gdy kelnerka przyniosła rachunek, Jilly nalegała, że zapłaci za dwa piwa, które zamówiła.

Z jej zachowania Dylan wysnuł wniosek, że płacenie za siebie to dla niej kwestia honoru. Co więcej, podejrzewał, że Jilly odmówiłaby przyjęcia nawet pięciu centów do parkometru równie kategorycznie jak dziesięciu dolarów plus napiwek.

Położywszy banknot dziesięciodolarowy na stole, przeliczyła zawartość portfela. Liczenie nie wymagało ani czasu, ani znajomości wyższej matematyki.

- Będę musiała znaleźć bankomat i wyciągnąć trochę pieniędzy.

- Nie ma mowy - odrzekł. - Ci, którzy wysadzili twój samochód - jeżeli mają jakiegokolwiek powiązania z organami ścigania, a pewnie mają, bez trudu wytropią kartę. I to szybko.

- To znaczy, że nie mogę też korzystać z kart kredytowych? W każdym razie przez jakiś czas. To mam duży kłopot - mruknęła, wpatrując się ponuro w otwarty portfel.

- Wcale nie taki duży w porównaniu z resztą naszych kłopotów.

- Kłopoty z pieniędzmi - oświadczyła z powagą - nigdy nie są małe.

Z tego zdania Dylan odczytał całe rozdziały jej autobiografii - te dotyczące dzieciństwa.

Chociaż nie sądził, że ścigający ich ludzie mogą skojarzyć jego i Shepa z Jilly, postanowił nie korzystać też ze swoich plastikowych pieniędzy. Gdyby restauracja wprowadziła jego kartę do czytnika swojego terminalu, transakcję zarejestrowałoby centrum rozliczeniowe. Każdy legalny organ ochrony prawa lub utalentowany, pracujący za brudne pieniądze haker, monitorujący system z polecenia sądu bądź potajemnie - mógłby za pomocą specjalnego programu namierzyć wybraną osobę natychmiast po dokonaniu zakupu za pomocą karty kredytowej.

Płacąc gotówką, Dylan zdziwił się, że nie wyczuwa żadnej tajemniczej energii na pieniądzach, które musiały przejść przez mnóstwo rąk, zanim kilka dni temu trafiły do niego w banku.

Oznaczało to zapewne, że w przeciwieństwie do odcisków palców ślady psychiczne z czasem znikają.

Powiedział kelnerce, żeby zatrzymała resztę i zabrał Shepa do ubikacji, tymczasem Jilly skierowała kroki do damskiej toalety.

- Siku - powiedział Shep, gdy tylko znaleźli się w łazience i zobaczył, gdzie jest. Położył książkę na półce nad umywalkami. - Siku.

- Wybierz sobie kabinę - rzekł Dylan. - Chyba wszystkie są wolne.

- Siku - powiedział Shep, gdy z opuszczoną głową, patrząc spod ściągniętych brwi i powłóczęg nogami, wszedł do pierwszej kabiny. Zamykając drzwi na zasuwkę, powtórzył: - Siku.

Przy jednej z umywalek mył ręce zażywny siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna z siwym wąsem i bokobrodami. W powietrzu unosił się pomarańczowy zapach mydła.

Dylan zbliżył się do pisuaru. Shep nie mógł skorzystać z pisuaru, ponieważ bał się, że ktoś się do niego odezwie, gdy będzie niedysponowany.

- Siku - wołał Shep zza drzwi kabiny. - Siku.

W każdej publicznej toalecie Shepherd czuł się nieswojo i musiał utrzymywać stały kontakt głosowy z bratem, by mieć pewność, że nie został porzucony.

- Siku - odezwał się znowu z coraz większym zdenerwowaniem. - Dylan, siku. Dylan, Dylan. Siku!

- Siku - odrzekł Dylan.

„Siku” działało podobnie jak dźwięk wysyłany przez sonar okrętu podwodnego, a odpowiedź Dylana przypominała sygnał echolokacyjny odbity od dobrze znanego i przyjaznego statku w groźnych głębinach męskiej ubikacji.

- Siku - powiedział Shep.

- Siku - odrzekł Dylan.

W lustrzanej ścianie nad pisuarami Dylan obserwował reakcję emeryta na ich słowny sonar.

- Siku, Dylan.

- Siku, Shepherd.

Zdziwiony Pan z Bokobrodami spoglądał w konsternacji to na zamkniętą kabinę, to na Dylana, jak gdyby działa się tu coś nie tylko zagadkowego, ale i perwersyjnego.

- Siku.

- Siku.

Gdy Pan z Bokobrodami zorientował się, że Dylan na niego patrzy, kiedy ich spojrzenia spotkały się w lustrze, emeryt szybko odwrócił wzrok. Zakręcił kran, nie splukując z dłoni pachnącej pomarańczami piany.

- Siku, Dylan.

- Siku, Shepherd.

Z palcami ociekającymi mydłem i rozbryzgując opalizujące tęczowo bańki, które opadały wolno na podłogę, emeryt podszedł do automatu na ścianie i wyciągnął z niego kilka papierowych ręczników.

W końcu w kabinie rozległ się odgłos silnego strumienia.

- Dobre siku - powiedział Shep.

- Dobre siku.

Nie zawracając sobie głowy wycieraniem namydlonych rąk, mężczyzna wypadł z toalety z naręczem papierowych ręczników. Dylan podszedł do innej umywalki, z której nie korzystał emeryt - gdy nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zmienił zamiar i sięgnął do automatu z ręcznikami.

- Siku, siku, siku - powtarzał zadowolony Shep z ulgą w głosie.

- Siku, siku, siku - powtórzył jak echo Dylan, wracając z ręcznikiem do umywalki emeryta.

Przykrywając papierowym ręcznikiem dłoń, dotknął kranu, który przed chwilą zakręcił Pan z Bokobrodami. Nic. Żadnego wibrowania. Żadnego elektrycznego trzasku.

Dotknął baterii gołą ręką. Poczul silne wibracje i prąd. Jeszcze raz przez papier. Znow nic.

A więc koniecznym warunkiem był bezpośredni kontakt skóry. Może niekoniecznie dłoni. Może wystarczyłoby posłużyć się łokciem. Albo stopami. Przyszło mu do głowy wiele niedorzecznych i komicznych możliwości.

- Siku. Siku.

Dylan energicznie wytarł kran ręcznikiem, usuwając mydliny i wodę pozostawione na uchwycie przez emeryta.

Potem znow dotknął kranu gołą ręką. Psychiczny ślad starszego pana nie stracił ani trochę swojej siły.

- Siku. -- Siku.

Wszystko wskazywało na to, że niewidzialnej energii nie dało się zetrzeć tak łatwo jak odcisków palców, ale sama stopniowo ulatniała się jak parujący rozpuszczalnik.

Dylan umył ręce przy innej umywalce. Osuszał dłonie przy automacie z ręcznikami, gdy z czwartej kabiny wyszedł Shepherd i podszedł do umywalki, przy której przed momentem stał jego brat.

- Siku - powiedział Shepherd. - Przecież już mnie widzisz.

- Siku - powtórzył z uporem Shep, odkręcając wodę.

- Stoję tu.

- Siku.

Nie dając się wciągnąć w zabawę w sonar, gdy widzieli się nawzajem, Dylan wrzucił zmięte ręczniki do kubła i czekał. W głowie zaczął mu wirować różnobarwny kłęb dziwaczych myśli jak gigantyczny ładunek kolorowego prania w automatycznej suszarce. Wśród nich była taka, że Shep wszedł do pierwszej kabiny, a wyszedł z czwartej.

- Siku.

Dylan podszedł do czwartej kabiny. Drzwi były uchylone, więc pchnął je ramieniem.

Kabiny były oddzielone od siebie przepierzeniami, które kończyły się dwanaście albo czternaście cali nad podłogą. Shepherd mógł się przeczołgać z pierwszej do czwartej kabiny pod przepierzeniami. Możliwe, choć wysoce nieprawdopodobne.

- Siku - powtórzył Shep, lecz z mniejszym entuzjazmem, niechętnie dochodząc do wniosku, że brat nie będzie już uczestniczył w wymianie sygnałów.

Do czystości Shep podchodził z taką samą skrupulatnością, jak do geometrycznego porządku swoich posiłków i miał ustaloną procedurę działań po wyjściu z toalety, od której nigdy nie odstępował: energicznie szorował ręce mydłem, dokładnie splukiwał, a potem jeszcze raz szorował i splukiwał. Istotnie, kiedy Dylan spojrzał na niego, Shep przystępował właśnie do drugiego szorowania.

Chłopaka szczególnie niepokoiły warunki higieniczne w toaletach publicznych. Nawet najlepiej utrzymanym sanitariatom przyglądał się z paranoidalną podejrzliwością, pewien, że na powierzchniach kłębią się wszystkie znane choroby i takie, których jeszcze nie odkryto. Po lekturze Encyklopedii Medycyny Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego Shep potrafił wyrecytować listę niemal wszystkich znanych chorób i infekcji, jeśli tylko ktoś był na tyle lekkomyślny, aby go o to poprosić.. Mógłby spełnić prośbę, gdyby akurat był skłonny kontaktować się ze światem zewnętrznym, a ten, kto go poprosił, miałby kilka godzin do dyspozycji, bo gdyby Shep zaczął nie dałoby się już mu przerwać.

Po drugim splukaniu dłonie Shepa były czerwone od mocnego szorowania i gorącej wody, od której strumienia wcześniej aż syknął. Ale wytrzymał. Pamiętając o przebiegłych i śmiertelnie niebezpiecznych mikroorganizmach przyczajonych na chromowanym uchwycie, Shepherd zamknął kran łokciem.

Dylan nie wyobrażał sobie sytuacji, w której Shep położył-by się na brzuchu na podłodze toalety i jak wąż przepętlby pod rzędem przepierzeń dzielących kabiny. Właściwie było to tak samo prawdopodobne jak wizyta szatana w sklepie sportowym, gdzie diabeł wybrałby się po łyżwy.

Poza tym czarna koszulka Shepa wyglądała nieskazitelnie. Na pewno nie wycierał nią podłogi.

Trzymając ręce uniesione wysoko jak chirurg czekający, aż pielęgniarka nałoży mu lateksowe rękawiczki, Shep podszedł do automatu z ręcznikami. Czekał, aby brat przekreślił gałkę dozownika, której sam za nic nie dotknąłby czystymi rękami.

- Nie wszedłeś czasem do pierwszej kabiny?-zapytał Dylan. Z głową jak zwykle nieśmiało opuszczoną, ale także odrobinę przechyloną na bok, żeby widzieć automat z ręcznikami, Shepherd spojrział ze zmarszczonymi brwiami na uchwyt i powiedział:

- Zarazki.

- Shep, kiedy tu weszliśmy, nie poszedłeś prosto do pierwszej kabiny?

- Zarazki.

- Shep?

- Zarazki.

- Przestań, bracie. Posłuchaj mnie.

- Zarazki.

- Daj spokój, Shep. Możesz mnie posłuchać?

- Zarazki.

Dylan wyciągnął kilka ręczników, oderwał od perforowanej rolki i podał bratu.

- A potem wyszedłeś z czwartej kabiny, zgadza się? Patrząc spode łba na swoje ręce i wycierając je zawzięcie, zamiast je po prostu osuszyć, Shep powiedział:

- Tu.

- Co powiedziałeś?

- Tu.

- Jesteśmy tu, o co chodzi, braciszku?

- Tu - powtórzył z wysiłkiem Shep, jak gdyby wkładał w to słowo sporo emocji.

- Czego chcesz, braciszku? Shep zadrzał.

- Tu.

- Co tu? - spytał Dylan, domagając się wyjaśnienia, choć wiedział: że raczej go nie uzyska.

- Tam - powiedział: Shep.

- Tam?

- Tam - przytaknął Shep, kiwając głową cały czas jednak wpatrując się we własne ręce i ciągle drżąc.

- Gdzie - tam?

- Tu. - W jego głosie dał się słyszeć ton zniecierpliwienia. - O czym w ogóle mówimy, bracie?

- Tu.

- Tu - powtórzył Dylan.

- Tam - rzekł Shep, a to, co z początku brzmiało jak zniecierpliwienie, zmieniło się w nutę niepokoju.

Próbując go zrozumieć, Dylan powiedział: - Tu, tam.

- Tu, t-t-tam -- powtórzył Shep, wzdrygając się. - Shep, co się dzieje? Shep, boisz się?

- Boisz - potwierdził Shep. - Tak. Boi się. Tak. - Czego się boisz, bracie?

- Shep się boi. - Czego?

- Shep się boi - powiedział: dygocząc jeszcze mocniej. - Shep się boi.

Dylan położył ręce na ramionach brata.

- Spokojnie, tylko spokojnie. Wszystko w porządku, Shep. Nie ma się czego bać. Jestem przy tobie, braciszku.

- Shep się boi. - Odwrócona twarz chłopca zbladła, przybierając barwę duchów, które mógł zobaczyć.

- Masz czyste ręce, bez żadnych zarazków, jesteśmy tu tylko my dwaj i nie ma się czego bać. Słyszysz?

Shep nie odpowiedział, tylko dalej dygotał.

Uciekając się do śpiewnego tonu, którym najczęściej udawało mu się uspokoić brata, gdy ten bywał bardzo wzburzony, Dylan powiedział:

- Masz bardzo czyste ręce, bez paskudnych zarazków, bardzo czyste ręce. Teraz musimy iść, musimy ruszać w drogę. Dobrze? Pojeździmy. Dobrze? Lubisz jeździć, znowu będziemy jeździć do miejsc, w których nigdy nie byłeś, dobrze? Znowu będziemy razem jechać jak Willie Nelson, ty i ja. Będziemy jechać

Po drugim splukaniu dłonie Shepa były czerwone od mocnego szorowania i gorącej wody, od której strumienia wcześniej aż syknął. Ale wytrzymał. Pamiętając o przebiegłych i śmiertelnie niebezpiecznych mikroorganizmach przyczajonych na chromowanym uchwycie, Shepherd zamknął kran łokciem.

Dylan nie wyobrażał sobie sytuacji, w której Shep położyłby się na brzuchu na podłodze toalety i jak wąż przepelzłby pod rzędem przepierzeń dzielących kabiny. Właściwie było to tak samo prawdopodobne jak wizyta szatana w sklepie sportowym, gdzie diabeł wybrałby się po łyżwy.

Poza tym czarna koszulka Shepa wyglądała nieskazitelnie, Na pewno nie wycierał nią podłogi.

Trzymając ręce uniesione wysoko jak chirurg czekający, aż pielęgniarka nałoży mu lateksowe rękawiczki, Shep podszedł do automatu z ręcznikami. Czekał, aby brat przekręcił gałkę dozownika, której sam za nic nie dotknąłby czystymi rękami.

- Nie wszedłeś czasem do pierwszej kabiny? - zapytał Dylan. Z głową jak zwykle nieśmiało opuszczoną, ale także odrobinę przechyloną na bok, żeby widzieć automat z ręcznikami, Shepherd spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na uchwyt i powiedział:

- Zarazki.

- Shep, kiedy tu weszliśmy, nie poszedłeś prosto do pierwszej kabiny?

- Zarazki. - Shep? - Zarazki.

- Przestań, bracie. Posłuchaj mnie. - Zarazki.

- Daj spokój, Shep. Możesz mnie posłuchać? - Zarazki.

Dylan wyciągnął kilka ręczników, oderwał od perforowanej rolki i podał bratu.

- A potem wyszedłeś z czwartej kabiny, zgadza się? Patrząc spode łba na swoje ręce i wycierając je zawzięcie, zamiast je po prostu osuszyć, Shep powiedział:

- Tu.

- Co powiedziałeś? - Tu.

- Jesteśmy tu, o co chodzi, braciszku?

- Tu - powtórzył z wysiłkiem Shep, jak gdyby wkładał w to słowo sporo emocji.

- Czego chcesz, braciszku? Shep zadrzał.

- Tu.

- Co tu? - spytał Dylan, domagając się wyjaśnienia, choć wiedział, że raczej go nie uzyska.

- Tam - powiedział Shep. - Tam?

- Tam - przytaknął Shep, kiwając głową, cały czas jednak wpatrując się we własne ręce i ciągle drżąc.

- Gdzie - tam?

- Tu. - W jego głosie dał się słyszeć ton zniecierpliwienia. - O czym w ogóle mówimy, bracie?

- Tu.

- Tu - powtórzył Dylan.

- Tam - rzekł Shep, a to, co z początku brzmiało jak zniecierpliwienie, zmieniło się w nutę niepokoju.

Próbując go zrozumieć, Dylan powiedział: - Tu, tam.

- Tu, t-t-tam - powtórzył Shep, wzdrygając się. - Shep, co się dzieje? Shep, boisz się?

- Boisz - potwierdził Shep. - Tak. Boi się. Tak. - Czego się boisz, bracie?

- Shep się boi. - Czego?

- Shep się boi - powiedział, dygocząc jeszcze mocniej. - Shep się boi.

Dylan położył ręce na ramionach brata.

- Spokojnie, tylko spokojnie. Wszystko w porządku, Shep. Nie ma się czego bać. Jestem przy tobie, braciszku.

- Shep się boi. - Odwrócona twarz chłopca zbladła, przybierając barwę duchów, które mógł zobaczyć.

- Masz czyste ręce, bez żadnych zarazków, jesteśmy tu tylko my dwaj i nie ma się czego bać. Słyszysz?

Shep nie odpowiedział, tylko dalej dygotał.

Uciekając się do śpiewnego tonu, którym najczęściej udawało mu się uspokoić brata, gdy ten bywał bardzo wzburzony, Dylan powiedział:

- Masz bardzo czyste ręce, bez paskudnych zarazków, bardzo czyste ręce. Teraz musimy iść, musimy ruszać w drogę. Dobrze? Pojeździmy. Dobrze? Lubisz jeździć, znowu będziemy jeździć do miejsc, w których nigdy nie byłeś, dobrze? Znowu będziemy razem jechać jak Willie Nelson, ty i ja. Będziemy jechać

jak zawsze, przypomnisz sobie ten sam dawny rytm, rytm drogi. Będiesz mógł czytać książkę, czytać i jechać, czytać i jechać. W porządku?

- W porządku - rzekł Shep. - Czytać i jechać.

- Czytać i jechać - powtórzył jak echo Shep. Z jego głosu zniknęło napięcie i niepokój, choć nadal drżał. - Czytać i jechać. Gdy Dylan zdołał w końcu uspokoić brata, Shep wciąż wycierał ręce z taką energią, że podarł ręczniki na strzępy. Na podłodze pod jego stopami walały się poszarpane i zmięte kawałki wilgotnego papieru.

Dylan ścisnął ręce Shepa, dopóki nie przestały się trząść. Potem delikatnie otworzył jego zaciśnięte palce i wyjął z nich żalosne resztki ręczników. Zwinął strzępki w kulę i wrzucił do kubła na śmieci.

Ujmując Shepa za podbródek, lekko uniósł jego głowę.

W chwili gdy ich spojrzenia skrzyżowały się, Shep zamknął oczy.

- Już dobrze? - spytał Dylan. - Czytać i jechać.

- Kocham cię, Shep. - Czytać i jechać.

Na blade jak śnieg policzki chłopca powoli wracały kolory. Ściągnięta z niepokoju twarz rozluźniała się jak połączony śniegu zdeptana przez wrony wygładza się pod wpływem wiatru.

Mimo że na zewnątrz Shep wydawał się już zupełnie spokojny, w środku wciąż był roztrzęsiony. Zaciśnięte oczy drgały pod bladymi powiekami, oglądając świat, który widział tylko on.

- Czytać i jechać - powtórzył Shep, jakby te trzy słowa stały się mantrą przynoszącą mu spokój.

Dylan przyjrzał się rzędom kabin. Drzwi czwartej były otwarte, tak jak je zostawił po sprawdzeniu przepierzeń. Drzwi dwóch środkowych były uchylone, a pierwszej pozostały zamknięte na głucho.

- Czytać i jechać-rzekł Shep.

- Czytać i jechać - zapewnił go Dylan. - Wezmę twoją książkę.

Zostawiając brata pod automatem z ręcznikami, Dylan poszedł zabrać „Wielkie nadzieje” z półki nad umywalkami. Shep stał w tym samym miejscu i ciągle zadzierał głowę, choć Dylan nie unosił mu już podbródka. Oczy miał zamknięte, ale wciąż się poruszały.

Z książką w dłoni Dylan zbliżył się do pierwszej kabiny. Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte.

- Tu, tam - wyszeptał Shep. Stojąc z zamkniętymi oczami, opuszczonymi rękami i dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną do przodu, Shepherd wydawał się zupełnie nieobecny, jak gdyby był medium w transie, którego ciało w połowie należało do tego świata, a w połowie do innego. Wyglądał, jakby miał zacząć lewitować i gdyby rzeczywiście uniósł się w powietrze, nie byłoby w tym nic dziwnego. Choć nadal mówił własnym głosem, wydawało się, że przemawia w imieniu wezwanej z zaświatów istoty.

- Tu, tam.

Dylan wiedział, że w pierwszej kabinie nie ma nikogo. Mimo to przyklęknął i zajrzał pod drzwi, potwierdzając swoje przypuszczenie.

- Tu, tam.

Wstał i jeszcze raz spróbował otworzyć kabinę. Drzwi nie zacięły się, ale były zamknięte. Oczywiście, od wewnątrz. Może zepsuta zasuwka. Obluzowała się i opadła, gdy w kabinie nikogo nie było.

A może Shepherd tylko podszedł do pierwszych drzwi i nie mogąc ich otworzyć, od razu skierował się do czwartej kabiny, a Dylan tego nie zauważył.

- Tu, tam.

Nie poczuł chłodu na skórze, ale w szpiku kości, skąd lodowaty strach zaczął promieniować na całe jego ciało. Nie był to tylko lęk; towarzyszyło mu nie do końca nieprzyjemne uczucie napięcia i oczekiwania na tajemnicze zdarzenie, którego nadejście odgadywał podobnie jak krążący pod czarnymi chmurami nawałnik spodziewa się ogromnej burzy, zanim niebo przetnie pierwsza błyskawica i rozlegnie się pierwszy grzmot.

Dylan zerknął w lustro nad umywalkami, przygotowany, że ujrzy zupełnie inne pomieszczenie. Jednak okazało się, że poniosła go wyobraźnia, ponieważ zobaczył tylko odbicie kabin i pisuarów w zwykłej toalecie. Jedynymi postaciami w tym wnętrzu byli on i Shep, choć Dylan sam nie wiedział, kogo jeszcze mógłby tu zobaczyć.

Rzucając ostatnie spojrzenie na zamkniętą kabinę, Dylan wrócił do brata i położył mu dłoń na ramieniu.

Czując jego dotyk, Shepherd otworzył oczy, opuścił głowę i zwiesił ramiona, przyjmując z powrotem swą normalną postawę, w jakiej szedł przez życie.

- Czytać i jechać - powiedział. - Jedziemy - odrzekł Dylan.

20 Jilly czekała w zamyśleniu przy kasie niedaleko drzwi wejściowych, wpatrywała

się w ciemność za szybą, świetlista jak księżniczka, być może wywodząca się z rodu przystojnego rzymskiego cezara, który odważył się podbić południowe wybrzeża Wielkiej Syrty.

Dylan omal nie przystanął na środku restauracji, aby zapisać sobie w pamięci każdy szczegół jej sylwetki w przytłumionym blasku rzucanym ukośnie przez żyrandole z ciętego szkła, ponieważ chciał ją kiedyś taką namalować.

Jak w każdym miejscu publicznym, Shep wolał pozostawać w ruchu, żeby żaden nieznajomy nie wykorzystał chwili wahania i nie zaczepił go, nie pozwalał więc na żaden przystanek, a Dylan szedł za nim jak przykuty niewidzialnym łańcuchem.

Unosząc dłoń do ronda stetsona, wychodzący klient uchylił uprzejmie kapelusza, dziękując Jilly za przepuszczenie go w drzwiach.

Gdy zobaczyła Dylana i Shepa, wyraz zamyślenia na jej twarzy ustąpił miejsca widocznej uldze. Podczas ich nieobecności coś musiało się jej przydarzyć.

- Co jest? - spytał Dylan, gdy stanęli obok Jilly. - Powiem ci w samochodzie. Chodźmy już stąd. Otwierając drzwi, Dylan dotknął świeżego śladu na klamce. Poczł przenikliwe ukłucie przytłaczającej samotności, beznadziei i przygnębienia, przeraźliwej pustki przypominającej wypalony i przysypany popiołem krajobraz po przejściu niszczycielskiego pożaru.

Natychmiast spróbował odizolować się od siły niewidzialnego odcisku psychicznego na klamce, tak jak zrobił wcześniej z menu w restauracji. Tym razem jednak nie umiał się obronić przed napływem energii.

Nie pamiętając, jak przekroczył próg, Dylan znalazł się nagle na zewnątrz i parł przed siebie. Od zachodu słońca minęło już wiele godzin, mimo to w wieczornym powietrzu z asfaltu unosił się żar zgromadzony tam za dnia i wśród kuchennych zapachów dobywających się z otworów wentylacyjnych w dachu restauracji czuć było woń smoły.

Oglądając się przez ramię, zobaczył stojących w otwartych drzwiach Jilly i Shepa, których zostawił już dziesięć stóp za sobą. Po drodze upuścił książkę Shepa. Chciał wrócić, podnieść ją z jezdni i zanieść bratu, ale nie mógł.

- Zaczekajcie tu na mnie.

Od auta do auta, jakaś siła wciągała go coraz dalej w głąb parkingu, nie każąc mu wprawdzie pędzić jak na autostradzie, gdzie niemal w miejscu zawrócił forda, ale uświadamiając mu, że jeśli nie będzie działać, zaprzepaści okazję zrobienia czegoś bardzo ważnego. Wiedział, że nie stracił panowania nad sobą i podświadomie rozumie, co i dlaczego robi, tak jak podświadomie znał swój cel, gdy z determinacją gnał na złamanie karku do domu przy alei Eukaliptusowej - ale mimo to czuł, jakby przestawał nad sobą panować.

Tym razem magnesem nie okazała się starsza kobieta w prążkowanym uniformie, ale podstarzały kowboj w beżowych dżinsach i batystowej koszuli. Siedział już za kierownicą forda mercury mountaineer, ale Dylan zdążył go powstrzymać przed zamknięciem drzwi.

W odcisku na klamce odnalazł tę samą bezdenną samotność co wcześniej w śladach w restauracji, przygnębienie graniczące z rozpaczą.

Od długich lat pracy na powietrzu twarz kowboja wyglądała jak obciążona wyprawioną skórą, ale słońce, które wyżłobiło i pomarszczyło mu skórę, nie zostawiło w nim ani jednego promienia światła, a wiatr nie zdołał napęłnić ciała życiem. Wypalony i wychudzony

przypominał mizerną roślinę wczepioną w ziemię słabym korzeniem i czekającą na silniejszy podmuch wiatru, który porwie ją ze sobą, pozbawiając życia.

Gdy Dylan przytrzymał drzwi, staruszek nie uchylił przed nim kapelusza, jak uczynił przed Jilly, wychodząc z restauracji, nie zareagował też jednak rozdrażnieniem ani lękiem. Wyglądał na faceta, który zawsze umie sobie poradzić bez względu na naturę zagrożenia i kłopotów

- ale otaczała go także aura człowieka, który nie bardzo przejmuje się tym, co może nastąpić.

- Szuka pan czegoś - powiedział Dylan, choć nie miał pojęcia, co mówi, dopóki nie usłyszał własnych słów; dopiero potem mógł zacząć zastanawiać się nad ich znaczeniem.

- Nie potrzebuję Jezusa, chłopcze - odparł kowboj. - Znalazłem Go już dwa razy. - Lazurowe oczy pochłaniały więcej światła, niż mogły go odbić. - I nie potrzebuję kłopotów, ty zresztą też nie.

- Nie czegoś - poprawił się Dylan. - Szuka pan kogoś.

- W taki czy inny sposób można tak powiedzieć o każdym, prawda?

- Szuka pan od bardzo dawna - ciągnął Dylan, choć nadal nie miał pojęcia, do czego to wszystko prowadzi.

Staruszek spojrzał na niego spod zmrużonych powiek badawczym wzrokiem mądrego człowieka, który umie odróżnić prawdę od iluzji.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - Dylan O'Conner.

- Nigdy o tobie nie słyszałem. Skąd więc możesz mnie znać? - Nie znam pana. Nie wiem, kim pan jest. Po prostu... - Mimo że wcześniej mówił wbrew własnej woli, teraz nie potrafił znaleźć właściwych słów. Po chwili wahania uświadomił sobie, że jeśli mają kontynuować rozmowę, będzie musiał uchylić rąbka prawdy, zdradzić część swojej tajemnicy. - Widzi pan, czasem mam przebłyski... intuicji.

- Nie licz na nią przy stole pokerowym.

- To nie tylko intuicja. Wiem rzeczy... których nie mogę wiedzieć. Czuję, wiem i... kojarzę.

- Czyli jesteś kimś w rodzaju spirytysty? - Słucham?

- Jesteś wróżbitą, jasnowidzem, medium - kimś takim?

- Być może - odrzekł Dylan. - Wszystko zaczęło się bardzo niedawno. Ale nie zarabiam na tym.

Choć zdawało się, że ta surowa twarz nigdy się nie rozjaśnia, przez jego rysy przemknął lekki zarys uśmiechu, jak gdyby ktoś próbował nakreślić jego kształt piórkiem na powierzchni zniszczonego piaskowca, ale trwało to tak krótko, że mogło być po prostu tikiem.

- Jeżeli zawsze tak zagajasz, dziwię się, że nie musisz ludziom płacić, żeby cię słuchali.

- Sądzi pan, że dotarł na koniec drogi, którą pan szedł. - Dylan znów nie wiedział, co mówi, dopóki nie usłyszał własnych słów. - Że pan przegrał. Ale może wcale tak nie jest.

- Mów dalej.

- Może ona jest bardzo niedaleko.

- Ona?

- Nie wiem. Po prostu to poczułem. Ale kimkolwiek ona jest, wie pan, o kim mówię.

Kowboj znowu utkwiał badawcze spojrzenie w twarzy Dylana, tym razem z bezlitosną przenikliwością detektywa.

- Odsuń się kawałek. Zrób mi miejsce.

Gdy staruszek wysiadał z wielkiego forda, Dylan poszukał spojrzeniem Jilly i Shepa. Od chwili gdy widział ich ostatni raz, oddalili się trochę od drzwi restauracji, ale tylko do miejsca, gdzie Dylan upuścił „Wielkie nadzieje”, które Jilly przed chwilą podniosła. Stała

obok Shepherd, rozglądając się czujnie, a jej postawa zdradzała wielkie napięcie, jakby zastanawiała się, czy i tym razem będą mieli do czynienia z nożami.

Popatrzył też w stronę ulicy. Ani śladu czarnych chevroletów. Mimo to miał wrażenie, że przystanek w Safford zbyt długo się przedłużył.

- Nazywam się Ben Tanner.

Odwracając się od Jilly i Shepa, Dylan ujrzał przed sobą wyciągniętą rękę kowboja, zniszczoną i pokrytą odciskami. Zawahał się w obawie, że uścisk dłoni narazi go na kontakt z ogromnym ładunkiem przygniatającej samotności i przygnębienia, który wyczuł w odcisku psychicznym Tannera, ładunkiem tysiąc razy intensywniejszym w bezpośrednim zetknięciu z jego ręką, po którym mógł osunąć się na kolana.

Nie pamiętał, czy dotykał Marjorie, gdy zastał ją przy kuchennym stole zaśmieconym tabletkami, lecz sądził, że nie. A Kenny'ego? Wymierzywszy mu sprawiedliwość kijem baseballowym, Dylan zażądał od leżącego w spodnie wielbiciela kluczyków od kajdanek i kłódki; wtedy Kenny wyciągnął klucze z kieszeni koszuli i podał Jilly. O ile Dylan sobie przypominał, nie dotknął podłego tchórza.

Każdy ruch w celu uniknięcia ręki Tannera groził zniszczeniem ich kruchej porozumienia, więc Dylan uściśnął mu dłoń - i stwierdził, że prawie w ogóle nie poczuł emocji, których doznał, dotykając niewidocznych odcisków psychicznych kowboja. Mechanizm szóstego zmysłu okazał się nie mniejszą tajemnicą niż jego źródło.

- Jakiś miesiąc temu przyjechałem tu z Wyoming - powiedział Tanner. - Miałem kilka tropów, ale okazały się niewarte funta kłaków.

Dylan wyciągnął rękę, aby dotknąć klamki samochodu Tannera.

- Tłukłem się z jednego końca Arizony na drugi, a teraz wracam do domu i lepiej by było, gdybym się w ogóle stamtąd nie ruszał.

Ze śladu jego psychiki Dylan znów odczytał mapę wypalonej duszy przypominającej kontynent popiołu, ten sam mroczny świat głuchej samotności, z którym zetknął się, wychodząc z restauracji.

Dylan usłyszał własne pytanie, nie formułując go przedtem w myślach:

- Kiedy twoja żona zmarła?

Badawcze spojrzenie Tannera mogło sugerować, że staruszek nadal podejrzewa kant, ale trafność pytania podziałała na korzyść Dylana, dając mu większą wiarygodność.

- Emily odeszła osiem lat temu - powiedział Tanner rzeczowym tonem, jakim mężczyźni z jego pokolenia powinni w swoim mniemaniu maskować najgłębsze uczucia, ale mimo zmrużonych powiek lazurowe oczy zdradzały jego bezbrzeżny smutek.

Wiedząc dzięki tajemniczemu darowi jasnowidzenia, że żona nieznajomego nie żyje-wiedząc o tym, a nie tylko podejrzewając - dokładnie znając spustoszenie, jakiego jej śmierć dokonała w duszy Tannera, Dylan czuł się jak bezczelny intruz myszujący po najbardziej prywatnych zakamarkach domu ofiary, jak włamywacz, który otworzył pamiętniki i przeczytał o największych tajemnicach ich autorów. Ten odrażający aspekt jego daru znacznie przeważał radość, którą odczuwał po zwycięskim pojedynku w domu Marjorie, mimo to nie potrafił opanować fali objawień zalewających jego świadomość.

- Ty i Emily zaczęliście szukać dziewczyny dwanaście lat temu - powiedział Dylan, nie wiedząc, o jakiej dziewczynie mówi ani jaki był cel ich poszukiwań.

Smutek ustąpił miejsca zdumieniu. - Skąd o tym wiesz?

- Powiedziałem „dziewczyny”, ale wtedy miała już trzydzieści osiem lat.

- A dzisiaj pięćdziesiąt - potwierdził Tanner. Przez chwilę wydawało się, że bardziej oszołomiła go liczba minionych lat niż fakt, że Dylan tajemniczym sposobem dowiedział się o tym. - Mój Boże, życie płynie.

Dylan puścił klamkę drzwi i znów zaczął iść, przyciągany przez nieznaną, ale znacznie potężniejszą siłę niż poprzednio. Dopiero po chwili, jak gdyby po namyśle, zawołał do Tannera: - Tędy - choć nie miał pojęcia, dokąd go prowadzi.

Bez wątpienia rozsądek podpowiadał starszemu, żeby z powrotem wsiadł do forda i zamknął drzwi, lecz do głosu doszło jego serce, głuche na głos rozsądku. Podbiegając do Dylana, Tanner rzekł:

- Myśleliśmy, że prędzej czy później odnajdziemy ją. Potem przekonaliśmy się, że wszystko sprzysięgło się przeciw nam. Nad ich głowami przemknął jakiś cień i rozległ się szum. Unosząc głowę, Dylan zobaczył na tle blasku wysokiej latarni sylwetkę nietoperza, który chwycił w locie ćmę. Ten widok zapewne nie przejąłby go lękiem w innej sytuacji, ale teraz zmroził mu krew w żyłach.

Ujrzał jakiś samochód terenowy na ulicy. Nie był to chevrolet suburban, ale jechał bardzo powoli. Dylan patrzył na samochód, dopóki nie zniknął mu z oczu.

Intuicja jak pies gończy zawiodła go przez parking do dziesięcioletniego pontiaca. Gdy dotknął drzwi po stronie kierowcy, poczuł ślad psychiczny każdym nerwem dłoni.

- Kiedy mała się urodziła, miałeś dwadzieścia lat - powiedział Dylan. - A Emily zaledwie siedemnaście.

- Nie mieliśmy pieniędzy i żadnych perspektyw.

- Rodzice Emily umarli młodo, a twoi okazali się... beznadziejni.

- Wiesz rzeczy, o których nie możesz wiedzieć - dziwił się Tanner. - Właśnie tak było. Nie mieliśmy żadnego wsparcia ze strony rodziny.

Ślad na drzwiach od strony kierowcy miał za mały ładunek, by go zelektryzować, więc Dylan przeszedł na drugą stronę pontiaca, do drzwi pasażera.

Drepcząc przy jego boku, starszek rzekł:

- Mimo to zatrzymalibyśmy ją, bez względu na trudności. Ale potem, kiedy Emily była w ósmym miesiącu...

- Nocna śnieżycyca-powiedział Dylan. -Jechaliście pikapem.

- Nie miał szans przy zderzeniu z ciężarówką z naczepą.

- Złamałeś obie nogi.

- I uszkodziłem kręgosłup, poza tym miałem obrażenia wewnętrzne.

- Nie mieliście ubezpieczenia.

- Ani grosza. Dochodziłem do siebie przez rok.

Na przednich drzwiach od strony pasażera Dylan znalazł odcisk inny niż na drzwiach kierowcy.

- Z ciężkim sercem musieliśmy oddać dziecko, ale modliliśmy się, żeby okazało się to dla niej najlepszym rozwiązaniem. Dylan wyczuł przychylny rezonans między śladem nieznaney osoby i odciskami Bena Tannera.

- Boże drogi, ty naprawdę jesteś jasnowidzem - rzekł starszek, porzucając sceptycyzm znacznie szybciej, niż Dylan

mógł przypuszczać. Tak długo milcząca nadzieja - przycupnięta jak ptak w głębi duszy Bena Tannera -- znów się rozspiewała. - Prawdziwy jasnowidz.

Bez względu na to, co się mogło stać, Dylan nadal czuł, że musi doprowadzić tę sprawę do nieuniknionego końca. Nie miał odwrotu, podobnie jak ulewa, która nie może zacinąć w przeciwną stronę, unosząc się z rozmokłej ziemi w stronę skłębionych cumulonimbusów, z których spadła. Nie miał jednak ochoty rozbudzać nadziei kowboja, ponieważ nie potrafił przewidzieć zakończenia. Nie mógł zagwarantować, że istotnie dziś dojdzie do spotkania po latach ojca i córki, które zdawało się zbliżać z każdą chwilą.

- Prawdziwy jasnowidz - powtórzył Tanner z niepokojącym respektem.

Dylan zacisnął dłoń na klamce pontiaca, a w jego głowie nagle dokonano się połączenie z głośnym łoskotem szepianych ze sobą wagonów.

- Szlak Nieboszczyka - mruknął, nie wiedząc, co to ma znaczyć, ale czując dreszcz na dźwięk tych dwóch słów. Odwrócił się w stronę restauracji. - Jeśli chcesz znać odpowiedź, znajdziesz ją tam.

Łapiąc Dylana za ramię i zatrzymując go, Tanner spytał: - Dziewczyna? Jest tam, gdzie byłem przed chwilą?

- Nie wiem, Ben. To działa inaczej. Nie potrafię wyraźnie zobaczyć. I nie znam odpowiedzi, dopóki nie ujrzę końca. Jakbym ciągnął łańcuch, ogniwo po ogniwie, nie wiedząc, jakie jest ostatnie, dopóki nie będę go miał w ręku.

Ignorując ukryte w słowach Dylana ostrzeżenie, starszek powiedział uszczęśliwiony:

- Właściwie wcale jej tu nie szukałem. W tym mieście, w tym miejscu. Po prostu zjechałem z drogi i wstąpiłem na kolację. - Posłuchaj, Ben, powiedziałem, że znajdziesz tam odpowiedź, ale nie wiem, czy to będzie sama dziewczyna. Bądź na to przygotowany.

Starszek poczuł smak nadziei niecałą minutę temu, a już zdążył się nią upić.

- Jeżeli to nie będzie, jak mówiłeś, ostatnie ogniwo, znajdziesz następne i jeszcze jedno.

- Aż do ostatniego - przytaknął Dylan, przypominając sobie niepohamowany impuls, który kazał mu jechać w Aleję Eukaliptusową. - Ale...

- Znajdziesz moją córkę, wiem o tym. - Tanner nie wyglądał na człowieka, który w jednej chwili potrafi przejść z czarnej

rozpaczy do radości, lecz może perspektywa końca trwających pół wieku żalu i wyrzutów sumienia potrafiła wywołać natychmiastową przemianę emocjonalną nawet w sercu stoika. - Jesteś odpowiedzią na moje modlitwy.

Może przez moment Dylan cieszył się, że jednego wieczoru odegra bohatera dwa razy, ale gdy zdał sobie sprawę, jak zdruzgotany będzie Ben Tanner, jeśli ta historia nie zakończy się bajkowym happy endem, jego entuzjazm opadł.

Delikatnie uwolnił się z uścisku dłoni kowboja i ruszył w kierunku restauracji. Skoro nie miał odwrotu, chciał to zakończyć jak najszybciej i rozwiązać niepewność.

Nad nimi śmigały już trzy nietoperze, uwijając się przy uczcie, a kruche jak papier szkielety zewnętrzne ciem wydawały ciche, lecz słyszalne chrupnięcie, wpadając między ostre zęby drapieżników: zwężłe komunikaty o śmierci opatrzone wykrzyknikami.

Gdyby Dylan wierzył w znaki, powinien przystanąć na widok nietoperzy krążących w świetle latarni. A gdyby zwierzęta rzeczywiście były omenem, z pewnością nie zwiastowałyby Benowi Tannerowi powodzenia w poszukiwaniach córki.

Szlak Nieboszczyka.

Znow usłyszał w głowie te słowa, lecz nadal nie wiedział, jaki wniosek powinien z nich wysnuć.

Może istniała szansa, że w restauracji znajdą dawno zaginioną córkę staruszka, ale zapewne równie dobrze mogła już nie żyć, a na końcu łańcucha zamiast niej czekał na nich lekarz, który towarzyszył jej w ostatnich chwilach, albo ksiądz, który udzielił jej ostatnich sakramentów. Możliwe też, że została zamordowana, a w restauracji je kolację policjant, który znalazł jej ciało. Albo człowiek, który ją zamordował.

Ben dziarsko maszerował u boku Dylana, który zatrzymał się na chwilę obok Jilly i Shepa, ale nie przedstawił ich sobie ani niczego nie tłumaczył. Podał Jilly kluczyki, nachylił się i powiedział:

- Wsadź Shepa do auta i zapnij mu pas. Wyjedź z parkingu. Czekaj na mnie przecnicę dalej z tamtej strony. - Pokazał. - Zostaw włączony silnik.

To, co miało się wydarzyć w restauracji, dobre czy złe, mogło wywołać pewne zamieszanie, a pracownicy i klienci zainteresowaliby się Dylaniem i obserwowaliby go przez duże okna od frontu, gdy wyjdzie. Nie należało zostawiać forda blisko restauracji, aby nikt nie mógł odczytać numerów ani zwrócić uwagi na markę i model samochodu.

Na szczęście Jilly nie zadawała pytań. Zrozumiała, że w stanie wywołanym działaniem szprycy Dylan musi być posłuszny impulsom i robić, co mu każą. Wzięła kluczyki i powiedziała do Shepa:

- Chodź, skarbie, idziemy.

- Słuchaj jej - polecił bratu Dylan. - Rób, co mówi.

Potem wprowadził Bena Tannera do restauracji.

- Przykro mi, ale nie podajemy już kolacji - powiedziała kelnerka, lecz po chwili poznała go.

- Ach, zapomniał pan czegoś?

- Zobaczyłem starego znajomego - skłamał Dylan, po czym skierował się do sali jadalnej przekonany, że choć nie wiedział, dokąd idzie, na pewno dojdzie tam, gdzie powinien.

Tych dwoje siedziało przy narożnym stoliku. Mieli po dwadzieścia kilka lat.

Gdy Dylan bez wahania podszedł do nich, kobieta, za młoda na córkę Tannera, uniosła głowę. Ładna i opalona brunetka o świeżej cerze, miała oczy barwy czystego błękitu.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekł Dylan - ale czy coś państwu mówią słowa „Szlak Nieboszczyka”?

Kobieta spojrzała na swego towarzysza z niepewnym uśmiechem, jak gdyby spodziewała się miłego zaskoczenia.

- O co chodzi, Tom? Tom wzruszył ramionami.

- Pewnie jakiś dowcip. Ale przysięgam, że nie ja go wymyśliłem.

Spoglądając ponownie na Dylana, kobieta powiedziała

- Szlak Nieboszczyka to kiepska droga pustynna między San Simon a tym miasteczkiem. Sam piach i rozjechane grzechotniki. Tam poznałam Toma.

- Kiedy zobaczyłem Lynette, zmieniała kolo - rzekł Tom. - Pomogłem jej dociągnąć śruby, a potem, o ile pamiętam, użyła jakichś czarów, żebym się jej oświadczył.

Uśmiechając się czule do Toma, Lynette powiedziała

- Owszem, rzuciłam na ciebie czar, ale chciałam zamienić cię w żabę, żebyś zniknął w podskokach na zawsze. A ty zostałeś. To mnie nauczyło, żeby nie odpuszczać sobie ćwiczeń w rzucaniu czaru.

Leżące na stoliku dwa niewielkie prezenty, jeszcze nierozpakowane, i butelka wina świadczyły, że to niecodzienny wieczór. Choć prosta sukienka Lynette wyglądała na niedrogą, staranny makijaż i fryzura wskazywały, że to bardzo uroczystry strój. Sta

ry pontiac na parkingu również dowodził, że to dla nich obojga szczególna okazja.

- Rocznicą? - zapytał Dylan, opierając się na dedukcji zamiast na swoim darze jasnowidzenia.

- Jakby pan nie wiedział, - odparła Lynette. - Trzecia. A w ogóle kto pana przysłał i o co chodzi?

Uśmiech zamarł jej na twarzy ze zdumienia, gdy Dylan dotknął przelotnie nóżki jej kieliszka, aby odświeżyć sobie w pamięci odcisk jej psychiki.

Znów poczuł ten sam wyjątkowy ślad, który znalazł na drzwiach pontiaca, a w głowie znów rozległ się łoskot szepianych wagonów.

- Sądzę, że matka powiedziała ci, że została adoptowana. Powiedziała tyle, ile wiedziała.

Gdy wspomniał jej matkę, z ust Lynette zniknął uśmiech. - Tak.

- Czyli tyle, ile wiedzieli jej przybrani rodzice - że oddali ją jakimś ludziom z Wyoming.

- Zgadza się, z Wyoming.

- Próbowała odnaleźć swoich prawdziwych rodziców - kontynuował Dylan - ale zabrakło jej czasu i pieniędzy, żeby doprowadzić poszukiwania do końca.

- Znał pan moją matkę?

Jeżeli rozpuści się spora ilość cukru w misce wody i na noc zanurzy w tej mieszaninie nitkę, rankiem znajdzie się na nitce kryształki cukru. Dylan miał wrażenie, jakby zanurzył długą nitkę w jakiejś sadzawce energii psychicznej i - znacznie szybciej niż cukier wytrącający się z wody - zaczęły się na niej krystalizować fakty z życia Lynette.

- Zmarła dwa lata temu w sierpniu - ciągnął.

- Przegrała z rakiem - potwierdził Tom.

- Czterdzieści osiem lat to za mało, żeby odchodzić z tego świata - powiedziała Lynette.

Choć dalsze wdzieranie się w głąb serca młodej kobiety przepelniało go odrazą do samego siebie, Dylan nie umiał się pohamować. Czując, że dziewczyna nadal bardzo cierpi po stracie ukochanej matki, czytał jej tajemnice krystalizujące się na swej psychicznej nici.

- Tej nocy, kiedy zmarła twoja matka, przedostatnie zdanie, jakie wypowiedziała, brzmiało: „Lynnie, pewnego dnia powinnaś poszukać swoich korzeni. Dokończ to, co zaczęłam. Będziemy lepiej wiedzieć, dokąd zmierzamy, jeśli się dowiemy, skąd przyszliśmy”.

Zdumiona faktem, że zna dokładnie słowa jej matki, Lynette zaczęła wstawać, lecz zaraz usiadła z powrotem, sięgnęła po wino, ale chyba przypomniała sobie, że Dylan dotknął palcami kieliszka, więc cofnęła dłoń.

- Kim... kim pan jest?

- Wtedy w szpitalu na sam koniec powiedziała do ciebie: „Lynnie, mam nadzieję, że nie policzą tego na moją niekorzyść tam, dokąd zmierzam, ale chociaż Kocham Boga, Ciebie Kocham bardziej”.

Te słowa okazały się dla niej zbyt mocnym doznaniem. Widząc łzy Lynette, Dylan poczuł się okropnie, że zepsuł jej rocznicę, przywołując wspomnienia, które zupełnie nie pasowały do tej uroczystości.

Wiedział jednak, po co dotknął najboleśniejszej struny jej duszy. Musiał okazać się wiarygodny, zanim przedstawi jej Bena Tannera, aby zyskać pewność, że Lynette i staruszek szybko znajdą wspólny język, a on po zakończeniu swego dzieła będzie mógł jak najszybciej się stąd wymknąć.

Mimo że Tanner do tej chwili pozostawał z tyłu, stał na tyle blisko, by usłyszeć, że jego marzenie o spotkaniu z córką nie ziści się w tym życiu, ale za to doczekał innego niespodziewanego cudu. Zdjął stetsona i obracając go nerwowo w rękach, postąpił naprzód. Gdy Dylan spostrzegł, że staruszek trzyma się na drżących nogach bardzo niepewnie, podsunął mu jedno z dwóch wolnych krzeseł. Tanner odłożył na bok kapelusz i usiadł, a Dylan powiedział:

- Lynette, twoja mama miała nadzieję, że pewnego dnia znajdzie swoich najbliższych, tymczasem oni też jej szukali. Chciałbym, żebyś poznała swojego dziadka - ojca twojej matki, Bena Tannera.

Staruszek i dziewczyna patrzyli na siebie z niedowierzaniem identycznymi lazurowymi oczyma.

Gdy Lynette nie mogła wykrztusić słowa ze zdumienia, Ben Tanner położył na stole fotografię, którą musiał wyciągnąć z portfela, gdy stał za plecami Dylana. Podsunął zdjęcie wnuczce.

- To moja Emily, twoja babcia, gdy była prawie w twoim wieku. Żałuję, że nie dożyła dzisiejszego dnia, bo mogłaby zobaczyć, że jesteś do niej podobna jak dwie krople wody.

- Tom - powiedział Dylan do męża Lynette. - Zdaje się, że została wam tylko resztkę wina. Przydałaby się jeszcze odrobina, żeby uczcić to spotkanie i będę ci wdzięczny, jeśli przyjmiesz ode mnie butelkę.

Tom, zaskoczony i oszołomiony tym, co się stało, skinął głową, uśmiechając się niepewnie.

- Tak, hm, to bardzo miło z pana strony.

- Zaraz wracam - rzekł Dylan, nie mając zamiaru spełnić tej obietnicy.

Podszedł do kasy przy drzwiach wyjściowych, gdzie kelnerka właśnie wydała resztę wychodzącemu gościowi, rumianemu mężczyźnie o chwiejnym kroku biesiadnika, którego kolacja składała się w większej części z trunków niż z jedzenia.

- Wiem, że nie podajecie już kolacji - zwrócił się do kelnerki Dylan. - Ale czy mogę zamówić butelkę wina dla Toma i Lynette przy tamtym stoliku?

- Oczywiście. Kuchnia jest już nieczynna, ale bar jest otwarty jeszcze dwie godziny.

Kelnerka wiedziała, co wcześniej zamówili. Czerwone wino w umiarkowanej cenie. Dylan położył pieniądze na ladzie i dodał napiwek.

Zerknął na stolik w rogu, gdzie siedzieli Tom, Lynette i Ben pochłonięci rozmową. Bardzo dobrze. Nie zauważą jego wyjścia. Pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zauważył, że Jilly wyprowadziła fordę z parkingu, tak jak ją prosił. Samochód stał na ulicy przy krawężniku, przecnicę na północ od restauracji. Kierując się w tamtą stronę, Dylan spotkał rumianego mężczyznę, który tuż przed nim wyszedł z restauracji. Facet najwidoczniej miał trudności z przypomnieniem sobie, gdzie zaparkował samochód, a może nawet jakim autem tu przyjechał. Po chwili dostrzegł srebrną corvetę i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku wozu zgarbiony i z opuszczoną głową, jak byk na matadora potrząsającego muletą. Nie szarżował jednak jak byk, ale halsował to w lewo, to w prawo, niczym żeglarz wykonujący kolejne manewry zmiany kursu, śpiewając bełkotliwie ledwie zrozumiałą wersję „Yesterday” Beatlesów.

Grzebiąc w kieszeniach kurtki, pijany znalazł kluczyki, ale upuścił zwitek banknotów. Nie wiedząc, że jego pieniądze zostały na asfalcie, powłókł się dalej.

- Proszę pana, zgubił pan coś - powiedział Dylan. - Hej, człowieku, lepiej to zabierz.

Nucąc melancholijne „Yesterday”, roztkliwiając się nad swoimi kłopotami, pijany nie odpowiedział Dylanowi, zмирzając zakosami w stronę corvetty i trzymając kluczyk w wyciągniętej ręce, jak gdyby to była różdżka, bez której nie mógłby odnaleźć ostatnich dziesięciu stóp dzielących go od samochodu.

Podnosząc z jezdni zwitek banknotów, Dylan miał wrażenie, jakby chwycił wijącego się zimnego i oślizłego węża, poczuł okropny smród, a w głowie usłyszał brzęczenie wściekłych os. W jednej chwili zrozumiał, że pijany głupiec zataczający się w kierunku corvetty - Lucas jakiś tam, Lucas Croaker czy Crocker- jest o wiele podlejszy od zwykłego pijaczka i o wiele groźniejszy niż zwykły głupiec

2 1

Lucasa Crockera należało się bać, nawet jeśli był pijany i chwiał się na nogach. Odrzucając na bok pieniądze nasączone ohydną energią, Dylan bez żadnego ostrzeżenia zaatakował go z tyłu.

W luźnych spodniach i kurtce Crocker wydawał się słaby i sflaczały, ale w rzeczywistości był krzepki jak beczułka whisky, zresztą wydzielał podobny zapach. Mocno pchnięty wpadł na corvette, która zakołysała się od zetknięcia z jego ciałem. Nie przestał jednak śpiewać, mamrocząc ostatnie słowa piosenki Beatlesów z twarzą przyciśniętą do pękniętej od siły uderzenia szyby w oknie po stronie kierowcy.

Większość mężczyzn padłaby bez czucia, ale Crocker ryknął z wściekłości i gwałtownie się wyprostował, jak gdyby zderzenie ze sportowym samochodem, od którego komuś innemu pękłyby żebra, tylko dodało mu sił. Zaczął wymachiwać mięsistymi ramionami, dźgać powietrze łokciami, rzucać się i wierzcąc jak byk na rodeo, który zamierza zrzucić jeźdźca wagi muszej.

Choć Dylan nie zaliczał się do zawodników wagi muszej, został jednak odrzucony. Zatoczył się do tyłu, omal nie padając na ziemię, lecz utrzymał się na nogach. Żałował, że nie ma kija baseballowego.

Crocker ze złamanym nosem i zakrwawioną twarzą wykrzywioną w upiornym uśmiechu odwrócił się do napastnika z diaboliczną radością, jak gdyby pobudziła go perspektywa wybicia zębów, podniecony myślą o jeszcze większym bólu, który chyba uwielbiał zadawać. Zaszarżował.

Przed ciężkimi obrażeniami nie uchroniłyby Dylana ani wzrost, ani fakt, że w przeciwieństwie do Crockera był trzeźwy; ceną przewagę dały mu jednak razem wzrost, trzeźwość i dziki gniew. Gdy Crocker natarł na niego z entuzjazmem pijanego, Dylan zachęcił go gestem, a potem w ostatniej chwili odsunął się i kopnął go w kolano.

Crocker rozciągnął się jak długi i rąbnął czołem w jezdnię, która przyjęła go mniej życzliwie niż okno samochodu. Mimo to jego duch walki okazał się trwalszy niż twarz. Facet natychmiast się podniósł, stając na czworakach.

Dylan czerpał odwagę z kipiącego jak wulkan gniewu, który pierwszy raz poczuł, widząc pobitego chłopca przykutego do łóżka w pokoju przedzielonym na część z książkami i część z nożami. Świat był pełen ofiar, zbyt wielu ofiar, które miały niewielu obrońców. W myślach, jak niszczycielskie cząstki radioaktywne, wciąż wirowały mu okropne obrazy niespotykanego zdemoralizowania i okrucieństwa Crockera, które ujrzał, trzymając w dłoni

zwitek banknotów. Fala świętego oburzenia zagłuszyła w nim strach o własne bezpieczeństwo.

Jak na malarza idyllicznych pejzaży, artystę o łagodnym sercu, potrafił wymierzyć wyjątkowo bolesnego i precyzyjnego kopniaka, jak egzekutor z gangu, a potem poprawić następnym. Choć robił to ze szczerym obrzydzeniem, kopał wytrwale, nie czując żadnych wyrzutów sumienia.

Złamane żebra Crockera sprawdzały odporność jego płuc na perforację, zmiażdżone palce zmieniały się w sztywne kielbaski, a na opuchnięte wargi wypełził głupkowaty uśmiech szmacianej lalki; wtedy pijany najwyraźniej uznał, że wystarczy zabawy jak na jeden wieczór. Porzucił próby wstania, upadł na bok, następnie przewrócił się na wznak i leżał, łapiąc z trudem powietrze i pojękując.

Dysząc ciężko, ale zdrow i cały, Dylan rozejrzał się po parkingu. Poza nim i Crockerem nie było nikogo. Był też prawie pewien, że w trakcie potyczki ulicą nie przejeżdżał żaden samochód. Nikt niczego nie widział.

Szczęście nie mogło mu towarzyszyć wiecznie.

Na jezdni obok samochodu błyszczały kluczyki do corvetty. Dylan skonfiskował je.

Spojrzawszy z powrotem na zakrwawionego i rzeźącego faceta, dostrzegł przypięty do jego paska telefon.

Przebiegłe świńskie oczka błyszczące w różowej jak gotowana szynka twarzy Crockera wyglądały dogodnej okazji.

- Daj telefon - powiedział Dylan.

Crocker nie wykonał żadnego ruchu, by spełnić jego polecenie, więc Dylan nadepnął mu na złamaną dłoń, przyduszając spuchnięte palce do asfaltu.

Mnąc w ustach przekleństwo, Crocker odpiął drugą ręką telefon. Wyciągnął dłoń z aparatem, patrząc na niego zamglonymi z bólu oczami, w których nadal czaiła się jednak przebiegłość.

- Popchnij go po ziemi - rozkazał Dylan. - Tutaj.

Gdy Crocker spełnił polecenie, Dylan zdjął stopę z jego okaleczonej dłoni, nie wyrządzając mu więcej krzywdy.

Telefon, wirując, zatrzymał się w odległości stopy od zwitka banknotów. Dylan podszedł i podniósł go z asfaltu, nie dotykając jednak pieniędzy.

Wypluwając wybite zęby albo kawałki szyby z okna samochodu, Crocker wybełkotał przez zmasakrowane usta:

- Nie chcesz mnie okraść?

- Ukradnę ci tylko trochę połączeń zamiejscowych. Pieniądze możesz zatrzymać, dostaniesz za to cholernie wysoki rachunek telefoniczny.

Otrzeźwiony bólem Crocker przyglądał mu się bezgranicznie zdumiony zasnutym bólem wzrokiem.

- Kim jesteś?

- Wszyscy dzisiaj zadają mi to samo pytanie. Chyba będę musiał wymyślić sobie jakieś dźwięczne imię.

Obok czekającego przecznicę dalej forda stała Jilly i obserwowała ich. Może gdyby zobaczyła, że Dylan dostał w tyłek, pospieszyłaby mu z pomocą uzbrojona w preparat owadobójczy albo ser w aerozolu.

Spiesząc się do samochodu, Dylan spojrzął za siebie, ale Lucas Crocker nie próbował się podnosić. Może zemdłał. A może zauważył nietoperze pożerające ćmy w świetle latarni: ten spektakl mógł mu się spodobać. Być może Crocker znalazł w nim nawet inspirację.

Zanim Dylan dotarł do swojego forda, Jilly siedziała już na w środku. Wsiadł i zamknął za sobą drzwi.

Jej odciski na kierownicy sprawiły mu przyjemność, jak gdyby zanurzył obolałe ręce w ciepłej wodzie z solami leczniczymi. Po chwili poczuł jej niepokój. Jakby ktoś upuścił do wody prze-

wód elektryczny pod napięciem. Siłą woli wyciszył wszystkie wibracje, dobre i złe.

- Co tam się stało, do cholery? - zapytała Jilly. Podając jej telefon, rzekł:

- Dzwon na policję.

- Sądziłam, że nie chcemy kontaktów z policją.

- Teraz chcemy.

Na ulicy za nimi pojawiły się reflektory jakiegoś wolno toczącego się auta. Znów samochód terenowy. Może ten sam, który przejeżdżał wcześniej z prędkością grubo poniżej dopuszczalnej. A może nie. Dylan obserwował wóz. Kierowca nie zdradzał żadnego zaciekawienia. Oczywiście, prawdziwy zawodowiec dobrze ukryłby zainteresowanie.

Shepherd wrócił do lektury „Wielkich nadziei”. Wydawał się wyjątkowo spokojny.

Restauracja wychodziła na autostradę federalną numer 70, którą Dylan chciał wyruszyć w dalszą drogę. Skierował się na północny zachód.

Jilly wybrała numer, posłuchała chwilę i powiedziała:

- Miasteczko jest chyba za małe na centralę dziewięćset jedenaście. - Zadzwoiła do biura numerów, poprosiła o połączenie z policją i oddała telefon Dylanowi.

Opowiedział zwięźle dyżurnej o pijanym i pobitym Lucasie Crockerze, który czeka na karetkę na parkingu restauracji.

- Mogę prosić o pańskie nazwisko? - spytała dyżurna.

- To zupełnie nieistotne.

- Muszę zapytać o pańskie nazwisko.

- I już to pani zrobiła.

- Proszę pana, jeśli był pan świadkiem tego napadu...

- Nie, to ja dokonałem tego napadu - odparł Dylan. Policja w sercu pustyni rzadko miała do czynienia z dziwnymi mi sprawami odbiegającymi od sennej rutyny. Dyżurna niepewnie powtórzyła jego oświadczenie, nadając mu intonację pytania:

- Pan dokonał tego napadu?

- Owszem, proszę pani. Kiedy będzie pani wysyłać karetkę po Crockera, proszę też wysłać policjanta.

- Będzie pan czekał na naszą jednostkę?

- Nie, proszę pani. Ale jeszcze przed świtem aresztujecie Crockera.

- Czy to nie pan Crocker jest ofiarą?

- Zgadza się, jest moją ofiarą. Ale sam jest przestępcą. Wiem, że pani zdaniem będziecie chcieli aresztować mnie, ale proszę mi zaufać, aresztujecie Crockera. Trzeba będzie też wysłać radiowóz do...

- Proszę pana, fałszywe zgłoszenie na policję...

- Nie jestem dowcipnikiem. Owszem, jestem winien napadu, kradzieży telefonu i wybitcia okna samochodu głową człowieka - ale nie mam nastroju do kawałów.

- Głową człowieka?

- Nie miałem młotka. Proszę posłuchać, trzeba będzie wysłać radiowóz i ambulans do domu Crockera przy... Fallon Hill Road. Nie widzę numeru domu, ale to takie małe miasto, że zapewne zna pani adres.

- Tam pan będzie czekał?

- Nie. Tam jest matka Crockera, kobieta w podeszłym wieku. Na imię ma chyba Noreen. Jest skuta łańcuchem w piwnicy.

- Skuta w piwnicy?

- Siedzi tam już od kilku tygodni we własnych nieczystościach, a to bardzo nieprzyjemna sytuacja.

- Pan ją skuł łańcuchem w piwnicy?

- Nie, proszę pani. Crocker załatwił sobie pełnomocnictwo i głodzi ją na śmierć, czyszcząc tymczasem jej konta i wyprzedając dobytek.

- Gdzie więc pana znajdziemy?

- Proszę się mną nie przejmować. I tak będziecie dziś mieć ręce pełne roboty. Wcisnął przycisk KONIEC, wyłączył telefon i podał Jilly. - Wytrzymaj go i wyrzuć przez okno. Wyczyściła aparat chusteczką higieniczną, której pozbyła się razem z telefonem. Miłą dalej podał jej kluczyki do corvetty, które też cisnęła w ciemność.

- Śmiesznie by było, gdyby nas zatrzymali za śmiecenie - powiedziała.

- Gdzie Fred?

- Kiedy na ciebie czekałam, włożyłam go do bagażnika, żebyśmy miała miejsce na nogi.

- Sądysz, że nic mu się nie stanie?

- Wcisnęłam go między walizki. Jest solidny, wytrzyma.

- Mam na myśli zdrowie psychiczne.

- Fred jest bardzo odporny.

- Tobie też nie brakuje odporności - powiedział.

- Tylko gram. Kim był ten stary kowboj?

Już jej miał odpowiedzieć, gdy nastąpiła w nim spóźniona reakcja na spotkanie z Lucasem Crockerem i złem w czystej postaci, jakie poczuł, dotykając zwitka banknotów. Miał wrażenie, jakby zaczął się w nim kłębić oszalały rój ciem bezskutecznie szukających światła. Minęli już piaszczyste peryferie Safford i wjechali na względnie płaski teren, który przynajmniej w nocy wydawał się zupełnie nieskażony śladem człowieka, jak w mezozoiku dziesiątki milionów lat temu.

Dylan zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- Daj mi minutę. Muszę... muszę wyrzucić z głowy Crockera. Kiedy zamknął oczy, znalazł się w piwnicy, gdzie leżała stara kobieta oblepiona własnymi nieczystościami. Z typową dla artysty dbałością o szczegóły i ich znaczenie Dylan wypełnił scenę barokowymi detalami, równie znaczącymi jak obrzydliwymi.

W rzeczywistości nie zobaczył matki Lucasa Crockera, dotykając na parkingu pieniędzy upuszczonych przez jej syna. Piwnica i dręczona w nieludzki sposób kobieta były wytworem jego wyobraźni i najprawdopodobniej w ogóle nie przypominały ani prawdziwej piwnicy, ani prawdziwej Noreen Crocker.

Swoim szóstym zmysłem Dylan nie potrafił niczego zobaczyć, usłyszeć ani poczuć smaku czy zapachu. Po prostu od razu wiedział. Dotykał przedmiotu z pozostawionym na nim śladem psychicznym i w jednej chwili zyskiwał wiedzę, jak gdyby przywołał ją z pamięci, jak

gdyby przypominał sobie wydarzenia, o których kiedyś przeczytał w książce. Dotychczas na ogół wiedza ograniczała się do odpowiednika jednego lub dwóch zdań powiązanych ze sobą faktów; czasem przypominała akapity lub całe strony informacji.

Dylan otworzył oczy, pozostawiając wyimaginowaną Noreen Crocker w brudnej piwnicy, choć może w tym momencie staruszka słuchała syren zwiastujących przybycie ratunku.

- Dobrze się czujesz? - spytała Jilly.

- Chyba nie jestem tak odporny jak Fred. Uśmiechnęła się.

- Jego przewaga polega na tym, że nie ma mózgu.

- Lepiej już jedźmy. - Zwolnił hamulec ręczny. - Byle dalej od Safford. - Wjechał na dwupasmową drogę. - Goście w czarnych chevroletach mogli postawić w stan gotowości policję w całym stanie i kazać się informować o wszystkich niecodziennych zdarzeniach.

Na prośbę Dylana Jilly wyciągnęła ze schowka mapę Arizony i zaczęła ją studiować w świetle latarki.

Na północ i południe od nich w nocne niebo wrzynały się czarne zęby dwóch różnych łańcuchów gór i jadąc wzdłuż rozdzielającej je doliny rzeki Gila, mieli wrażenie, jakby przecinali rozdziawioną paszczę ziewającego lewiatana.

- Siedemdziesiąt osiem mil do miasteczka Globe-oznajmiła Jilly. - A potem, jeżeli naprawdę uważasz, że musimy ominąć Phoenix...

- Naprawdę uważam, że musimy - odrzekł. - Wolałbym nie zmienić się w zwęglone truchło w spalonym fordzie.

- W Globe trzeba będzie skręcić na północ w autostradę numer 60 i przejechać nią do końca, do Holbrook niedaleko Skamieniałego Lasu. Stamtąd międzystanową czterdziestką na zachód w stronę Flagstaff albo na wschód w stronę Gallup w Nowym Meksyku - jeżeli to w ogóle ma jakieś znaczenie, dokąd pojedziemy.

- Oto znów nasza Negatywnie Nastawiona Jackson, krynica pesymizmu. Oczywiście, że to ma znaczenie.

- Dlaczego?

- Bo zanim tam dojedziemy, stanie się coś, dzięki czemu to nabierze znaczenia.

- Może zanim dojedziemy do Holbrook, będziemy mieli taką wprawę w pozytywnym myśleniu, że siłą woli zmienimy się w miliardów. A potem pojedziemy na zachód i kupimy sobie ogromną posiadłość wychodzącą na Pacyfik.

- Niewykluczone - powiedział. - Na razie chcę kupić tylko jedną rzecz, i to od razu, gdy rano otworzą sklepy, wszystko jedno gdzie.

- Co takiego?

- Rękawiczki.

22 Po północy zatrzymali się niedaleko Globe w Arizonie na stacji, którą zamykał właśnie pracownik nocnej zmiany. Natura dała mu nieszczęśliwie wąską, lisią twarz, której nie zdołał powiększyć optycznie fryzurą na jeża. Miał dwadzieścia parę lat, lecz zachowywał się jak gburowaty czterdziestolatek z poważnymi zaburzeniami hormonalnymi. Z plakietki na jego koszuli wynikało, że ma na imię SKIPPER.

Być może Skipper włączyłby pompy i napełnił bak forda, gdyby Dylan pokazał mu kartę kredytową, ale żaden bukmacher w Las Vegas nie byłby aż tak naiwny, aby przyjmować za-

kłady o taki wynik. Kiedy jednak usłyszał o gotówce, oczy zaświeciły mu się na myśl o łatwym zarobku i zaraz zmienił zachowanie, z gburą stając się tylko ponurym zrzędą.

Skipper włączył pompy, lecz nie zapalił świateł na zewnątrz i napełniał bak po ciemku. Tymczasem Dylan i Jilly ścierali

z przedniej i tylnej szyby ślady po owadach i pył, nie spodziewali się, że Skipper zaoferuje im pomoc - z równym prawdopodobieństwem mógłby zacząć recytować sonety Szekspira z doskonałym akcentem z siedemnastowiecznej Anglii.

Dylan przyłapał go na tym, jak wlepia w Jilly jawnie pożądliwy wzrok i poczuł gniew, który oblał mu twarz falą gorąca. Po chwili zastanowił się zdziwiony, od kiedy jest o nią zazdrosny - i dlaczego właściwie miałby powody lub prawo do zazdrości.

Znali się zaledwie od pięciu godzin. Fakt, że przeżyli je w ogromnym napięciu, stawiając czoło wielkim niebezpieczeństwom, w wyniku czego lepiej poznali nawzajem swoje charaktery, niż mogliby w czasie długiej znajomości w normalnych okolicznościach. Mimo to wiedział o Jilly najważniejsze - że w potrzebie można na niej polegać i nie cofnie się przed zagrożeniem. Nieźle wiedzieć o kimś takie rzeczy, ale trudno złożyć z nich cały portret.

A może wcale nietrudno?

Skończywszy czyścić przednią szybę, zirytowany lubieżnymi spojrzeniami Skippera, Dylan zastanawiał się, czy wystarczy mu ta jedna cecha Jilly, którą znał: dziewczyna zasługiwała na jego zaufanie. Być może cała reszta, ważna w każdym związku, opierała się właśnie na zaufaniu - na wierze w odwagę, prawość i dobroć drugiej osoby.

Uznał, że chyba wariuje. Psychotropowa szpryca musiała wpłynąć na jego mózg w jeszcze inny sposób. Oto rozmyślał o ułożeniu sobie życia z kobietą, która uważała go za postać z komiksu Disneya, szczebioczącą słodziutko jak Chip i Dale.

Nie byli parą. Nie byli nawet przyjaciółmi. Nie sposób nawiązać przyjaźni w ciągu kilku godzin. Byli co najwyżej towarzyszami niedoli, rozbitkami z tego samego statku, którzy chcą się utrzymać na powierzchni i nie dać się pożreć rekinom.

W stosunku do Jillian Jackson nie mogło więc być mowy o zazdrości. Dylan był po prostu wobec niej opiekuńczy, tak jak wobec Shepa, tak jakby troszczył się o siostrę, gdyby ją miał. Tak, o siostrę.

Zanim Skipper zainkasował pieniądze za benzynę, jego gburowatość zdążyła przejść metamorfozę, zmieniając się w lekkie rozdrażnienie. Nawet nie udając, że zamierza dodać gotówkę do kasy stacji, wepchnął pieniądze do portfela, spoglądając na niego ze złośliwą satysfakcją.

Benzyna kosztowała trzydzieści jeden dolarów; Dylan zapłacił dwiema dwudziestodolarówkami, dziękując za resztę. Nie miał ochoty przyjmować drobnych, na których Skipper zostawiłby swój ślad.

Starał się też nie dotykać dystrybutora ani niczego innego, na czym pracownik stacji mógł zostawić odciski psychiczne. Nie chciał zgłębiać tajników duszy Skippera i poznawać nienawiści drobnego złodziejzka.

Dylan nadal był optymistą, gdy myślał o całej ludzkości. Wciąż lubił ludzi, ale miał ich dosyć jak na jeden dzień.

Gdy jechali z Globe na północ przez Góry Apaczów, mijając od wschodu Rezerwat Indian San Carlos, Jilly zaczęła sobie uświadamiać, że coś się zmieniło między nią a Dylaniem O'Connerem. Odnosił się do niej trochę inaczej niż przedtem. Częściej niż dotąd odwracał wzrok od drogi, przyglądając się jej w swoim mniemaniu ukradkiem, więc Jilly udawała, że

tego nie widzi. Zaczęła między nimi przepływać jakaś nowa energia, lecz Jilly nie potrafiła jej określić.

W końcu uznała, że jest zbyt zmęczona i zestresowana, aby wierzyć własnym zmysłom. Po tylu wydarzeniach, jakie rozegrały się w ciągu jednego wieczoru, nawet śmiertelnicy znacznie słabsi od Jillian Jackson, Amazonki Południowego Zachodu, mogliby popaść w zupełny obłęd, więc przypuszczała, że nie musi się przejmować oznakami lekkiej paranoi.

W drodze z Safford do Globe Dylan zrelacjonował jej przebieg spotkania z Lucasem Crockerem. Opowiedział także historię Bena Tannera i jego wnuczki, która dowodziła, że zamiast

wciągać go w głąb niemoralnego świata psychopatów w rodzaju Crockera albo Kenny'ego Nożownika, jego szósty zmysł może znaleźć znacznie wdzięczniejsze zastosowanie.

Kiedy zostawili za sobą światła Globe, a Shep wciąż tkwił po uszy w lekturze „Wielkich nadziei”, Jilly zdała Dylanowi relację o niepokojącym zdarzeniu, do którego doszło w damskiej toalecie w restauracji.

Myła ręce, a gdy spojrzała w lustro nad umywalką, zobaczyła odbicie łazienki wierne w każdym szczególe z wyjątkiem jednego. Tam gdzie powinny być kabiny, zobaczyła trzy konfesjonały z ciemnego drewna; wyrzeźbione na drzwiach krzyże zdobiły złote liście.

- Odwróciłam się, żeby przyjrzeć się dokładniej, ale okazało się, że to zwykle kabiny. Kiedy jednak znowu popatrzyłam w lustro... ciągle odbijały się w nim konfesjonały.

Oplukując dłonie, niezdolna oderwać oczu od lustra, zobaczyła, jak wolno otwierają się drzwi jednego z konfesjonałów. Wyłonił się z niego ksiądz, ale nie z uśmiechem i modlitewnikiem w ręku, tylko bezwładny, martwy i zalany krwią.

- Wskoczyłam z łazienki jak oparzona - powiedziała, drżąc na wspomnienie tego wydarzenia. - Ale nie potrafię nad tym zapanować, Dylan. Te wizje wracają cały czas i coś znaczą. - Wizje? - odrzekł. - Nie miraże?

- Oszukiwałam sama siebie - przyznała. Wsunęła palec pod gazę opatrunku zasłaniającego ślad po ukłuciu igły na ramieniu i delikatnie dotknęła lekko opuchniętej ranki. - Ale już się w to nie bawię. To na pewno są wizje. Przeczucia.

Do pierwszego miasta na trasie, Seneki, mieli trzydzieści mil. Dwadzieścia osiem mil za Senecą leżało Carrizo. Na mapie obydwa były tylko kropkami przy drodze. Dylan zapuszczał się coraz głębiej w obszary Południowego Zachodu znane razem i osobno jako Wielka Samotnia.

- U mnie z kolei jest tak - powiedział - że kojarzę ludzi i miejsca z rzeczami, które wydarzyły się w przeszłości albo właśnie się dzieją. Ale ty uważasz, że widzisz wydarzenia z przyszłości.

- Tak. Jakieś zdarzenie gdzieś w kościele. Które chyba wkrótce się rozegra. Morderstwo. Masowe morderstwo. I zdaje się... że będziemy tam, gdy do tego dojdzie.

- Widzisz nas tam? W swoich wizjach?

- Nie. Ale dlaczego ciągle zjawiałyby się te same obrazy - ptaki, kościół i tak dalej? Nie przeczuwam wypadków kolejowych w Japonii, katastrof lotniczych w Ameryce Południowej ani huraganu na Tahiti. Widzę coś ze swojej przyszłości, z naszej przyszłości,

- Wobec tego nie powinniśmy się zbliżać do żadnego kościoła - rzekł Dylan.

- Wydaje mi się... że kościół sam do nas przyjdzie. Nie sądzę, żeby udało nam się tego uniknąć.

Księżyc szybko zaszedł i noc rozświetlały już tylko gwiazdy, a Wielka Samotnia wydawała się coraz większa i coraz bardziej samotna.

Dylan nie prowadził już forda, jakby samochód był pozbawionym skrzydeł odrzutowcem, ale i tak jechali z dość dużą prędkością. Odległość, którą zwykle pokonywało się w ponad trzy godziny, przebyli w ciągu dwóch i pół.

Jak na pięciotysięczne miasto, Holbrook szczyliło się niezwykle dużą liczbą moteli. Tylko tu mogli znaleźć najdogodniejszy nocleg turyści odwiedzający Park Narodowy Skamieniałego Lasu czy zwabieni atrakcjami czekającymi na nich w pobliskich rezerwach Indian Hopi i Nawaho.

Żaden z moteli nie oferował pięciogwiazdkowych luksusów, lecz Dylan wcale nie szukał wygód. Chciał tylko odpocząć w spokojnym miejscu, gdzie karaluchy będą się zachowywać w miarę dyskretnie.

Wybrał motel położony najdalej od stacji benzynowych, sklepów i lokali, w których rano zwykle robi się głośno. Zaspanemu recepcjoniście od razu wyłożył gotówkę, nie pokazując karty kredytowej.

Recepcjonista zażądał prawa jazdy. Dylan nie miał ochoty dawać mu dokumentu, ale odmowa mogłaby wzbudzić podejrzenia. Podał już numer rejestracyjny z Arizony, ale nie ten widniejący na ukradzionych tablicach. Na szczęście zaspany recepcjonista nie wyglądał na zaintrygowanego widoczną sprzecznością między prawem jazdy z Kalifornii a numerami z Arizony.

Jilly nie chciała brać dwóch sąsiadujących ze sobą pokoi. Po wszystkim, co się stało, czułaby się osamotniona, nawet gdyby zostawili otwarte drzwi między pokojami.

Wzięli pojedynczy pokój z dwoma podwójnymi łóżkami. Dylan i Shep mieli zająć jedno, a Jilly drugie.

Na widok wystroju utrzymanego jak zwykle w jaskrawych kontrastowych wzorach i barwach, który miał ukryć plamy i ślady zniszczenia, Dylanowi zrobiło się odrobinę słabo, jakby dostał choroby lokomocyjnej. Ślaniał się ze zmęczenia, piekły go oczy i potwornie bolała głowa.

Dziesięć po trzeciej przenieśli do pokoju najpotrzebniejsze bagaże. Shep chciał wziąć też książkę Dickensa, a Dylan zauważył, że chociaż chłopak wydawał się zatopiony w lekturze przez całą drogę, powieść wciąż jest otwarta na tej samej stronie, którą czytał w restauracji w Safford.

Jilly pierwsza skorzystała z łazienki. Umyła zęby i wyszła, gotowa położyć się spać, choć wciąż była ubrana.

- Dziś nie będzie pizamy. Wolę być przygotowana na szybką ewakuację.

- Słusznie - uznał Dylan.

Shep wyjątkowo spokojnie zareagował na chaos dzisiejszego wieczoru i zaburzenie codziennej rutyny, więc Dylan nie chciał go więcej męczyć, zmuszając do rezygnacji ze zwykłej bielizny

nocnej. Wystarczyłoby posunąć się o krok za daleko i Shep mógłby przerwać stoickie milczenie, wpadając w wielogodzinny hipersłowotok, przez który żadne z nich nie zmrużyłoby oka.

Poza tym Shep do snu ubierał się mniej więcej w to samo, co nosił w dzień. Jego garderoba dzienna składała się z kolekcji identycznych czarnych koszulek z kojotem i kolekcji takich

samych niebieskich dżinsów. Na noc ubierał się w czystą koszulkę z kojotem i czarne spodnie od piżamy.

Siedem lat temu wpadł w histerię z powodu decyzji, jakie trzeba było podejmować codziennie rano podczas ubierania, i zbuntował się przeciw urozmaiconej garderobie. Odtąd nosił tylko dżinsy i koszulki z kojotem.

Jego fascynacja rysunkową postacią kojota była niezrozumiała. Gdy Shep był w nastroju do oglądania zwariowanych kreskówek, potrafił godzinami śledzić na wideo „Strusia Pędziwiatra”. Czasami śmiał się radośnie; kiedy indziej obserwował akcję z wyjątkową powagą, jakby oglądał najbardziej ponure z dzieł szwedzkiej kinematografii; innym razem wpatrywał się w ekran z bezbrzeżnym smutkiem, a po policzkach płynęły mu strugi łez.

Shepherd O'Conner stanowił zagadkę spowitą w tajemnicę, lecz Dylan nie zawsze był pewien, czy istnieje jakieś rozwiązanie zagadki i czy za tajemnicą coś się kryje. Wielkie kamienne głowy na Wyspie Wielkanocnej, jedna z największych zagadek naszej planety Ziemi, wpatrywały się w niewiadomym celu w morze, ale w środku i na zewnątrz były z kamienia.

Shep dwa razy umył zęby i dwa razy oczyścił je nitką, dwa razy umył ręce przed skorzystaniem z toalety i dwa razy po, a później wrócił do sypialni. Usiadł na skraju łóżka i zdjął pantofle.

- Ciągłe masz skarpetki - zauważył Dylan.

Shepherd zawsze spał boso. Kiedy jednak Dylan ukląkł, żeby zdjąć mu skarpety, szybko położył się i naciągnął kołdrę pod brodę.

Odstępstwa od codziennej rutyny zawsze miały zewnętrzne przyczyny i zawsze wytrącały Shepa z równowagi; jednak nigdy nie czynił ich z własnej woli.

Dylan zaniepokoił się.

- Dobrze się czujesz, dziecko?

Shepherd zamknął oczy. Znak, że nie będzie rozmowy na temat skarpet.

Może było mu zimno w stopy. Wbudowany w okno klimatyzator nie chłodził pokoju równomiernie, lecz kierował lodowate podmuchy nad podłogę.

Może bał się zarazków. Zarazków na dywanie, zarazków na pościeli, ale tylko zarazków, które mogą zagrażać jego stopom. Może gdyby wykopać jedną z kamiennych głów na Wyspie Wielkanocnej, ukazałaby się reszta gigantycznej statuy zakończona stopami w kamiennych skarpetach, których obecność byłoby równie trudno wyjaśnić jak nowe upodobanie Shepa do wzbogacenia nocnego stroju.

Dylanowi za bardzo dokuczał ból głowy i wyczerpanie, aby miał się przejmować tym, co psychotropowa szpryca wyczynia w jego mózgu, nie mówiąc już o skarpetach Shepherd'a.

Poszedł

do łazienki i wykrzywił się do poszarzałej ze zmęczenia twarzy, która spoglądała na niego z lustra. '

Jilly leżała w łóżku, wpatrując się w sufit.

Shep leżał w łóżku, wpatrując się w wewnętrzną stronę swoich powiek.

Szum i dudnienie klimatyzatora, z początku irytujące, przeszły w spokojny, usypiający pomruk, który rano skutecznie mógł zagłuszyć trzask zamykanych drzwi samochodów i głosy innych gości, wstających o świcie.

Przez klimatyzator na pewno nie usłyszeli by też charakterystycznego warkotu silnika podrasowanego chevroleta suburbana ani odgłosów podchodzących cicho morderców przygotowujących się do ataku.

Jilly przez chwilę próbowała wzbudzić w sobie strach na myśl o ich bezbronności, lecz tak naprawdę na razie czuła się tu bezpiecznie. W każdym razie fizycznie.

Nie martwiła się o własne bezpieczeństwo, nie zaprzętała sobie głowy bezpośrednim zagrożeniem, ale nie potrafiła się powstrzymać od zniechęcenia graniczącego z rozpaczą. Dylan wierzył, że mają szansę odkryć tożsamość Frankensteina i ustalić charakter tajemniczego zastrzyku, ale ona nie podzielała jego przekonania.

Po raz pierwszy od wielu lat utraciła kontrolę nad własnym życiem. Musiała nad nim panować, bo inaczej czuła się tak jak przez większą część swojego dzieciństwa: słaba, bezradna, zdana na łaskę bezlitosnych sił. Nie cierpiała tej bezbronności. Akceptacja roli ofiary była w jej oczach grzechem śmiertelnym, a jednak wszystko wskazywało na to, że nie ma innego wyboru.

W jej mózgu działał jakiś czarodziejski eliksir psychotropowy - działał na jej mózg, usiłując go zmienić, co przepelniało ją

grozą, kiedy to sobie uświadamiała. Nigdy nie brała narkotyków, nigdy się nie upijała, ponieważ ceniła swój umysł i nie chciała tracić szarych komórek. W ciągu tych lat, gdy nie miała niczego, zawsze pozostawała jej inteligencja, dowcip, bogata wyobraźnia. Umysł Jilly stanowił groźną broń przeciw światu i schronienie, w którym chowała się przed okrucieństwem i nieszczęściami. Gdyby kiedykolwiek miała się dorobić gluteus muchomega, który nękał kobiety w jej rodzinie, gdyby tyłek urósł jej do tego stopnia, że wszędzie musieliby ją wozić w ciężarówce z platformą, zawsze pozostanie jej umysł i satysfakcja z życia wewnętrznego. Teraz jednak jej mózg drażył robak, robak zmian, i Jilly nie wiedziała, ile z niej zostanie albo kim w ogóle będzie, gdy ów zakończy dzieło.

Mimo że przedtem cieszyła się, gdy razem z Dylanem poradzili sobie z parą morderców, Kennym i Becky, nie potrafiła przywołać tamtego poczucia siły, które ją przez chwilę uskrzydliło. Martwiła się wizjami, które przynosiły zapowiedź przemocy, i nie umiała się przekonać, że dar jasnowidzenia znów może jej pomóc ocalić innych - albo że z czasem pozwoli jej panować nad własnym przeznaczeniem o wiele lepiej niż dotychczas.

Negatywnie Nastawiona Jackson. Nigdy nie wierzyła za bardzo w innych ludzi, ale od dość dawna niezachwianie wierzyła w siebie. Dylan miał w tej sprawie rację. Ale wiara w siebie zaczęła ją właśnie opuszczać.

- Tu, tam - szepnął ze swojego łóżka Shepherd. - O co chodzi, skarbie?

- Tu, tam.

Jilly uniosła się na łokciu.

Shep leżał na wznak z zamkniętymi oczami. Czoło miał zmarszczone z zaniepokojenia.

- Shepherd, nic ci nie jest? - Shep się boi - wyszeptał. - Nie bój się.

- Shep się boi.

- Nic nam tu na razie nie grozi - uspokajała go. - Nikt nie może ci zrobić krzywdy.

Poruszył ustami, jak gdyby mówił, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Shepherd nie był tak wysoki jak brat, lecz wyższy od Jilly, jak dorosły mężczyzna, jednak gdy leżał w pościeli, wydawał się drobny. Z rozczochranymi włosami i ustami ściągniętymi w grymasie strachu wyglądał dziecinnie.

Jilly ogarnęło współczucie, gdy uświadomiła sobie, że Shepherd przeżył dwadzieścia lat, w zasadzie nie kontrolując własnego życia. Co gorsza, jego potrzeba rutyny, ograniczenia dotyczącego stroju, jakie sam sobie narzucił, skomplikowane zasady jedzenia - wszystko to świadczyło o rozpaczliwej potrzebie poczucia władzy, tam gdzie to możliwe.

Shep nadal milczał. Przestał poruszać ustami. Z jego twarzy nie zniknął wyraz lęku, lecz złagodniał, jak gdyby strach dojrzał, zmieniając się w chroniczną obawę.

Kładąc głowę z powrotem na poduszce, Jilly poczuła wdzięczność, że nie urodziła się w takiej pułapce bez wyjścia jak Shepherd, ale niepokoiła się, że kiedy robak dokona w niej zmian, być może będzie przypominać Shepa.

Po chwili z łazienki wyszedł Dylan. Wcześniej zdjął buty, które postawił obok dzielonego z bratem łóżka.

- Nic ci nie jest? - spytała Jilly.

- Nic. Jestem tylko... wykończony.

- Boże, też jestem wypluta.

Położył się w ubraniu, przygotowany na ewentualny alarm, i utkwiał wzrok w suficie, nie gasząc nocnej lampki. Po chwili milczenia powiedział:

- Przepraszam.

Jilly odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Za co?

- Może od początku, od naszego spotkania w motelu, wszystko zrobiłem źle.

- Na przykład?

- Może powinniśmy iść na policję, zaryzykować. Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że nie możemy wiecznie uciekać. Mam obowiązek myśleć za Shepa, ale nie mam prawa ciągnąć cię z nami.

- Godny zaufania O'Conner - rzekła - krynica odpowiedzialności. Melancholijny jak Batman. Szybko, dzwoń do DC Comics.

- Mówię poważnie. - Wiem. Urocze.

Nie odrywając oczu od sufitu, uśmiechnął się.

- Powiedziałem ci dzisiaj dużo rzeczy, których nie powinienem mówić.

- Zostałeś sprowokowany. Wkurzyłam cię. Poza tym ja mówiłam gorsze rzeczy. Posłuchaj... po prostu nie cierpię być od kogoś zależna. Zwłaszcza od mężczyzn. Rozumiesz więc, że taka sytuacja podziałała na mnie jak płachta na byka.

- Dlaczego „zwłaszcza od mężczyzn”? Odwróciła się od niego i popatrzyła w sufit.

- Powiedzmy, że odchodzi od ciebie ojciec, kiedy masz trzy lata.

Po krótkim milczeniu zachęcił ją: - Powiedzmy.

- Tak. Powiedzmy, że twoja cudowna matka jest aniołem, bohaterką, która zawsze ma dla ciebie czas i nigdy nie może się jej stać nic złego. Ale on tuż przed odejściem bije ją tak, że matka traci oko i do końca życia musi chodzić o dwóch laskach.

Mimo zmęczenia i senności Dylan nie ponaglał jej, pozwalając, by ciągnęła opowieść we własnym tempie.

- Zostawia cię w nędzy, na zasiłku, wystawionego na pogardę ludzi z opieki społecznej. To już źle. Ale potem kilka razy w roku przyjeżdża z wizytą na jeden albo dwa dni.

- A policja?

- Mama bała się dzwonić, kiedy się zjawiał. Drań powiedział, że jeśli wyda go policji, to wyjdzie za kaucją, wróci i wybije jej drugie oko. I jedno mnie. Byłby do tego zdolny.

- Skoro odszedł, to po co w ogóle wracał?

- Żebyśmy się ciągle bały. Żeby ciągle mieć nad nami władzę. Chciał dostawać część jej zasiłku. I zawsze dostawał, bo często jadłyśmy darmowe obiady w kuchni kościoła. Większość ubrań też miałyśmy za darmo z kościelnego sklepiku z używanymi rzeczami. Tak więc tatuś zawsze miał swoją część.

Przypomniała sobie ojca stojącego w drzwiach mieszkania i uśmiechającego się do niej groźnym uśmiechem. I jego głos: „Przyszedłem po ubezpieczenie za oko, maleńka. Macie dodatek do ubezpieczenia za oko?”.

- Wystarczy - powiedziała. - To nie ma być wieczór litości. Chciałam tylko, żebyś zrozumiał, że nie chodzi o ciebie. Po prostu... nie umiem być zależna od kogokolwiek.

- Wcale nie musiałaś mi tłumaczyć.

- Ale próbowałam. - W pamięci ciągle majaczyła twarz ojca i wiedziała, że mimo zmęczenia nie zaśnie, dopóki nie uwolni się od tej zjawy. - Ty musiałeś mieć wspaniałego tatę.

- Dlaczego tak sądzisz? - zdumiał się.

- Widzę, jak świetnie radzisz sobie z Shepem.

- Mój ojciec był inwestorem pomagającym przedsiębiorcom zakładać nowe spółki nowoczesnych technologii. Pracował po osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Być może był wspaniałym facetem, ale spędzałem z nim za mało czasu, żeby się o tym prze

konać. Wpadł w poważne kłopoty finansowe. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem, tuż przed zachodem słońca, pojechał na parking przy plaży ze wspaniałym widokiem na Pacyfik. Było zimno. Nikt nie pływał, nie surfował na desce. Nałożył wąż na rurę wydechową, drugi koniec wsunął przez okno do samochodu. Potem usiadł za kierownicą i wziął sporą dawkę nembutalu. Ojciec był bardzo skrupulatny. Zawsze miał plan awaryjny. Zgasł podczas jednego z najbardziej malowniczych zachodów słońca w roku. Shep i ja oglądaliśmy zachód ze wzgórza za naszym domem, wiele mil od tamtej plaży. Oczywiście nie widzieliśmy, że on też go ogląda, umierając.

- Kiedy to się stało?

- Miałem piętnaście lat, Shep pięć. Prawie piętnaście lat temu.

- Przykre - powiedziała.

- Tak. Ale nie zamieniłbym się z tobą. - Jak się więc nauczyłeś?

- Czego?

- Tak dobrze opiekować się Shepem. Zgasił lampę. W ciemności rzekł:

- Od mamy. Też umarła młodo. Była wspaniała, taka czuła dla Shepa. Ale czasem można się też nauczyć czegoś dobrego na złym przykładzie.

- Chyba tak.

- Nie żadne chyba. Spójrz na siebie.

- Na mnie? Jestem do kitu - powiedziała. - Pokaż mi kogoś, kto nie jest. Zastanawiając się nad taką osobą, w końcu zasnęła.

Gdy ocknęła się po raz pierwszy z pozbawionego majaków błogiego snu, usłyszała ciche chrapanie Dylana.

W pokoju było zimno. Klimatyzator już się wyłączył.

Nie obudziło jej jednak chrapanie Dylana, lecz chyba głos Shepa. Szepczący trzy słowa:

- Shep się boi.

Sądząc z kierunku, z jakiego dobiegał głos, Shep chyba ciągle leżał w łóżku.

- Shep się boi.

- Shep jest dzielny - odpowiedziała mu szeptem. - Shep się boi.

- Shep jest dzielny.

Shepherd zamilkł, a Jilly po jakimś czasie ponownie zapadła w sen.

Kiedy obudziła się drugi raz, znów usłyszała ciche chrapanie Dylana, ale przez zaciągnięte zasłony przebijały promienie słońca, lecz nie słabego blasku poranka, tylko ostrego światła przedpołudnia.

Jilly dostrzegła także inne światło padające zza niedomkniętych drzwi łazienki. Krwistoczerwoną poświatę.

W pierwszej chwili pomyślała, że to pożar. Jednak gdy wyskakiwała z łóżka i miała już to słowo na końcu języka, zorientowała się, że to nie jest blask skaczących płomieni, ale coś zupełnie innego.

2 3 Wyrwany ze snu Dylan usiadł, potem wstał i wsunął buty, ciągle nieprzytomny, jak dobrze wyćwiczony strażak, który na dźwięk alarmu potrafi przez sen nałożyć ryszunek, a budzi się dopiero, gdy zjeżdża po rurze.

Według zegara na nocnym stoliku było dwanaście po dziewiątej, a według Jilly mieli kłopoty - choć nic nie powiedziała, widać to było po jej minie i szeroko otwartych oczach, z których wзираł lęk.

Dylan pierwszy zauważył, że Shepa nie ma w łóżku ani w ogóle w pokoju.

Potem dostrzegł ognisty blask za na wpół przymkniętymi drzwiami łazienki. Ognisty, lecz nie był to blask pożaru. Piekielna czerwień jak z koszmaru, szkarłat i ochra nałożone na anilinową czerń. Pomarańczowoczerwona i brunatnoczerwona poświata kłująca w oczy jak światło w nocnej scenie filmowanej w podczerwieni. Złowieszczy czerwony blask oczu wygłodniałego węża wyruszającego na nocne polowanie. Światło miało wszystkie te cechy, a jednak żadna z nich nie mogła go w pełni opisać, bo było nie do opisania i przerosłoby talent Dylana, gdyby kiedykolwiek próbował oddać je na płótnie.

W łazience nie było okien. To nie mogło być po prostu słońce poranka przenikające przez kolorową zasłonę. Lampa jarzeniowa nad umywalką również nie mogła stanowić źródła tak niesamowitego lśnienia.

Dziwne, że na sam widok światła Dylan poczuł ucisk w żołądku i napięcie mięśni, a serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Miał przed oczami jasność, jakiej nie spotyka się w naturze, niepodobną też do niczego, co stworzył człowiek, więc zbudziły się wszystkie zabobony drzemiące w zakamarkach jego duszy.

Zbliżając się do łazienki, stwierdził, że czuje dotyk blasku, ale inaczej niż w lecie czuje żar słońca, kiedy wychodzi spod cienistego drzewa. Światło zdawało się pełznąć po jego skórze, jak gdyby uwijały się na niej setki mrówek, z początku na twarzy, gdy stanął w jasnej plamie, a potem na prawej ręce, gdy przyłożył ją do drzwi.

Jilly stała obok niego i choć pozostawała poza kręgiem światła, na jej twarzy odbijała się czerwona poświata. Zerknąwszy na nią przelotnie, Dylan od razu się zorientował, że ona także poczuła niezwykły dotyk. Drgnęła i z lekkim grymasem odrazy otarła twarz dłonią, jak gdyby przywarły do niej strzępy lepkiej pajęczyny.

Dylan nie był znawcą nauki, interesował się jedynie tymi aspektami biologii i botaniki, które pomagały mu precyzyjniej oddać naturę w swoich obrazach, nie można go też było nazwać nawet fizykiem kawiarnianym. Wiedział jednak, że śmiertelne promieniowanie, nawet to powstałe po wybuchu bomby jądrowej, nigdy nie pobudza zmysłu dotyku, tak jak mniej śmiertelne promienie rentgenowskie aplikowane podczas prześwietlenia w gabinecie dentystycznym nie wywołują najlżejszego mrowienia w szczęce; ci, którzy przeżyli wybuch

w Hiroszynie, a potem zmarli na chorobę popromienną, nigdy nie czuli miliardów cząstek subatomowych bombardujących ich ciało.

Chociaż nie przypuszczał, by wywołane przez światło klucie mogło stanowić niebezpieczeństwo, wciąż się wahał. Mógłby zamknąć drzwi i odwrócić się, nie zaspokajając ciekawości, gdyby po drugiej stronie nie było Shepa, który być może potrzebował pomocy.

Wymówił imię brata, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Nic dziwnego. Mimo że czasem Shep bywał bardziej rozmowny od kamienia, najczęściej reagował równie żywo jak granit. Dylan zawołał jeszcze raz i gdy odpowiedziało mu milczenie, otworzył drzwi.

Spodziewał się zobaczyć kabinę prysznicową. I toaletę. Umywalkę, lustro, wieszak na ręczniki.

Ale nadnercza wstrzyknęły do jego krwi kolejną dawkę adrenaliny, a żołądek skręcił się w bardzo nieprzyjemny supeł, gdy w ścianie obok umywalki ujrzął drzwi, których wcześniej tam nie było. Za tym wejściem znajdowało się źródło dziwnego czerwonego światła.

Z wahaniem przestąpił próg i wszedł do łazienki.

Słowo „drzwi” nie określało najlepiej owego tajemniczego otworu. Nie był prostokątny, lecz okrągły jak właz w przegrodzie między dwoma przedziałami okrętu podwodnego. „Właz” też nie był trafnym słowem, ponieważ dziura w ścianie nie miała ościeżnicy.

Otwór średnicy sześciu stóp wydawał się pozbawiony głębi, jak gdyby namalowano go na ścianie. Bez nadproża, bez ościeżnicy, bez progu. Jednak za nim rozciągała się zdecydowanie trójwymiarowa przestrzeń: lśniący czerwono tunel, który kończył się tarczą niebieskiego światła.

Dylan widział arcydzieła trompe l'oeil których twórcy, posługując się wyłącznie farbą i własnym talentem, stworzyli iluzję głębi i przestrzeni zupełnie mylącą ludzkie oko. To jednak nie było po prostu zręczne malowidło.

Przede wszystkim ciemnoczerwony blask bijący od ścian tunelu promieniował do wnętrza łazienki. Dziwne światło połyskiwało na winylowej podłodze, odbijało się od lustra - i pełzło po jego odsłoniętej skórze.

Poza tym ściany tunelu nieustannie się obracały, jak gdyby był to korytarz w wesołym miasteczku, beczka śmiechu, w której goście sprawdzali, czy potrafią utrzymać równowagę. Malowidło trompe l'oeil mogło stworzyć iluzję głębi, faktury i rzeczywistości - lecz nie mogło dać iluzji ruchu.

Jilly weszła do łazienki i stanęła obok Dylana.

Powstrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Razem przyglądali się w zdumieniu tunelowi, który miał co najmniej trzydzieści stóp długości.

Oczywiście, że to było niemożliwe. Do pokoju przylegał inny pokój motelowy; wspólna instalacja hydrauliczna zmniejszała koszty budowy. Gdyby w ścianie wykuto dziurę, zobaczyliby tylko identyczną łazienkę. Ale nie tunel, na pewno nie tunel. Tunelu nie było w czym wydrążyć; łazienki nie wybudowano na zboczu wielkiej góry.

Mimo to mieli przed oczyma tunel. Dylan zamknął oczy. I otworzył Tunel. Sześć stóp średnicy. Lśnił i wirował.

Witajcie w beczce śmiechu. Proszę kupić bilet i sprawdzić, czy umieją państwo utrzymać równowagę.

Zresztą ktoś już wszedł do beczki. Na tle lazurowej tarczy rysowała się sylwetka mężczyzny stojącego na końcu korytarza. Dylan nie miał wątpliwości, że to Shep. Shepherd stał na końcu tunelu odwrócony do nich plecami i wpatrywał się w błękit.

Jeśli więc Dylan poczuł, jak podłoga się pod nim porusza, i miał wrażenie, że może wpaść przez dziurę do szybu głębokiego jak wieczność, nie był to efekt działania tunelu, tylko psychologiczna reakcja na świadomość, że rzeczywistość, jaką znalazł, okazała się mniej stała, niż przypuszczał.

Oddychając z trudem i wyrzucając z siebie pospiesznie słowa, Jilly gorączkowo szukała wyjaśnienia:

- Do diabła z tym, do diabła z tym wszystkim, nie obudziłam się, na pewno jeszcze się nie obudziłam.

- Obudziłaś się.

- Pewnie też mi się śnisz.

- To nie jest sen - powiedział drżącym głosem.

- Ach, tak, to nie sen- właśnie to byś powiedział, gdybyś mi się śnił.

Położył jej dłoń na ramieniu nie dlatego, że się bał, że Jilly skoczy w głąb tunelu, po prostu obawiał się, że otwór wciągnie ją wbrew jej woli. Wirujące ściany przypominały wir, który połknie każdego, kto odważy się zanadto zbliżyć do jego rozwartej paszczy. Jednak z każdą sekundą coraz mniej lękał się siły cyklonu, z jaką tunel mógłby ich pochłonać.

- Co się dzieje? - zapytała Jilly. - Co to jest, do cholery, co to jest?

Z otchłani za ścianą nie dobiegał żaden dźwięk. Obracająca się powierzchnia tunelu wyglądała, jakby miała głośno zgrzytać lub dudnić, albo przynajmniej bulgotać jak kipiąca magma, a jednak wirowała w absolutnej ciszy.

Z otworu nie dolatywał najłżejszy powiew, ani gorąca, ani chłodu. Ani żaden zapach. Tylko światło.

Dylan zbliżył się do portalu.

- Nie - przestraszyła się Jilly.

Stojąc tuż przed otworem, najpierw spróbował zbadać granicę ściany łazienki i wejścia do tunelu, ale krawędź okazała się... nieostra... niewyraźna plama, w której nie potrafił dostrzec żadnego konkretnego szczegółu, choćby nie wiadomo jak wytężał wzrok. Denerwował się, że co chwilę odwraca wzrok od linii połączenia, jakby jakaś prymitywna strona jego duszy wierzyła, że jeśli spojrzy prosto, może zobaczyć tajne królestwo przerażających istot ukryte przed tym światem, istot, które sterują całym wszechświatem, i że ten widok z pewnością przyprawi go o natychmiastowe szaleństwo.

Gdy miał trzynaście, czternaście lat, z dreszczykiem grozy czytał makabryczne opowieści H. P. Lovecrafta. Teraz nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że u Lovecrafta było więcej prawdy niż fikcji.

Porzucając próby zbadania granicy między łazienką a tunelem, starał się skupić wzrok na jednym punkcie wirujących ścian, aby określić naturę i twardość materiału. Przy bliższych oględzinach okazało się, że korytarz jest uformowany ze świetlistej mgiełki, a może patrzył w tunel czystej energii; być może tak wygląda lej tornada z bożej perspektywy.

Niepewnie położył prawą dłoń na ścianie obok tajemniczej bramy. Malowana płyta gipsowa była ciepła i przyjemnie normalna.

Przesuwając rękę po ścianie w lewo, w kierunku otworu, miał nadzieję poczuć granicę między motelem a tunelem i zrozumieć, na czym polega to połączenie. Kiedy jednak dłoń

ześliznęła się z gipsu, wpadając w otwarte wejście, nie wyczuł żadnych szczegółów struktury, nic poza zimnem - a także czerwonym światłem, które jeszcze gwałtowniej zaczęło pełzać po skórze uniesionej dłoni.

- Nie, nie rób tego! - ostrzegła Jilly.

- Czego?

- Nie wchodź tam.

- Przecież nie wchodzę.

- Wyglądasz, jakbyś chciał wejść.

- Po co miałbym tam wchodzić?

- Za Shepem.

- Nie mam mowy, żebym tam wszedł.

- Za Shepem skoczyłbyś w przepaść.

- Nie skoczyłbym w przepaść - zapewnił ją zniecierpliwiony.

- Skoczyłbyś - upierała się. - Miałbyś nadzieję, że złapiesz go w locie i wylądujecie w stogu siana. Skoczyłbyś, na pewno. Chciał tylko sprawdzić rzeczywistość tego, co widział, potwierdzić, że to naprawdę trójwymiarowe zjawisko, brama, a nie okno, prawdziwe wejście do innego świata, a nie tylko jego widok. Potem chciał się cofnąć i przemyśleć sytuację, spróbować ułożyć logiczny plan działania do kompletnie nielogicznego rozwoju wypadków. Przyciskając mocno rękę do płaszczyzny, gdzie powinna znajdować się ściana, nie napotkał żadnego oporu, pod obrazem tunelu nie było gipsu. Sięgnął z łazienki w głąb tego innego złowrogiego świata, czując lodowaty chłód i dotyk światła, jakby wokół palców nie biegały mu już setki mrówek, lecz tysiące żuków o twardych skorupach gotowych oderwać mu mięso od kości.

Gdyby dopuścił do głosu instynkt, natychmiast cofnąłby rękę, uważał jednak, że musi dogłębniej zbadać tę niewiarygodną

sytuację. Sięgnął dalej, wsuwając w bramę dłoń aż po nadgarstek i choć skrzywił się od przenikliwego zimna i okropnego owadziego dotyku światła, sięgał jeszcze dalej, wsadzając rękę po łokieć, a potem stało się oczywiście to, przed czym ostrzegłby go instynkt, gdyby Dylan posłuchał jego głosu - tunel go wciągnął.

24 Dylan nie wpadł w otchłań, nie przeszedł, nie przebiegł ani nie przeleciał

przez tunel, w ogóle nie czuł, że przenosi się w przestrzeni, ale w mgnieniu oka opuścił motelową łazienkę i znalazł się obok Shepa. Poczul, jak buty odrywają się od winylowych płytek podłogi i w tej samej chwili lądują na miękkiej ziemi. Spojrzał w dół i stwierdził, że stoi w wysokiej do kolan trawie.

Jego nieoczekiwane przybycie spłoszyło chmarę muszek, które poderwały się ze złotobrazowej trawy, wysuszonej letnimi upałami. Kilka przestraszonych pasikoników odskoczyło na bok, szukając bezpiecznego schronienia.

Zaraz po wylądowaniu w trawie Dylan wrzasnął:

- Shep!

Ale Shepherd w ogóle nie zwrócił uwagi na jego przybycie. W momencie gdy Dylan zorientował się, że stoi na wzgórzu, nad głową ma błękitne niebo i czuje ciepły podmuch lekkiego wietrzyku, odwrócił się od widoku, który fascynował Shepa, i spojrział za siebie

tam, gdzie powinien być tunel. Ujrzał jednak Jillian Jackson stojącą w motelowej łazience - jej portret o średnicy sześciu stóp, lecz nie na końcu czerwonego korytarza, a tuż przed sobą, jak gdyby stała przy nim, a on przyglądał się jej przez okrągłe okno pozbawione ram.

Kiedy Dylan patrzył na niego z łazienki, Shepherd wydawał się bardzo daleką kruchą sylwetką na błękitnym tle. Widziana z końca korytarza postać Jilly była naturalnych rozmiarów. Dylan domyślał się jednak, że ona z łazienki widzi go jako małą figurkę obok Shepa, ponieważ pochyliła się w stronę wejścia do tunelu, gdzie sam stał jeszcze przed chwilą, i mrużąc oczy, wyteżęła wzrok, by zobaczyć jego twarz.

Otworzyła usta i poruszyła wargami. Może wymówiła jego imię, ale choć zdawało się, że stoi zaledwie kilka cali od niego, Dylan nie słyszał nawet przytłumionego dźwięku.

Widok łazienki polatującej nad wzgórzem jak gigantyczna bańka zdezorientował go. Zakręciło mu się w głowie. Poczuł,

jakby przypominająca powierzchnię morza ziemia usuwała mu się spod nóg, a on nie ma sił bronić się przed snem.

Chciał wyjść z suchej trawy i wrócić do motelu, bo wprawdzie przybył na szczyt wzgórza bez żadnego fizycznego uszczerbku, to jednak się obawiał, że musiał zostawić tam jakąś istotną część siebie, ważną nić umysłu czy ducha, bez której wkrótce cały się spruje.

Zamiast wrócić do łazienki, zaciekawiony obszedł bramę, chcąc sprawdzić, jak wygląda z boku. Odkrył, że portal nie przypomina ani okna, ani bańki, a raczej gigantyczną stojącą na krawędzi monetę. Z profilu wyglądał jak dziesięciocentówka, choć nie miał ząbkowania, jakie można znaleźć na rantach większości monet. Cienka srebrzysta linia biegnąca łukiem z brązowej trawy w górę i niemal niewidoczna na tle jasnoniebieskiego nieba mogła być nawet węższa niż krawędź dziesięciocentówki, odrobinę szersza od włókna, jak gdyby brama była tylko tarczą - półprzezroczystą i cienką niczym błona skrzydełka muchy.

Brnąc przez trawę, Dylan przeszedł na drugą stronę portalu i stracił z oczu brata.

Z miejsca położonego sto osiemdziesiąt stopni od punktu, w którym stał przed chwilą, brama wyglądała identycznie jak z przodu. Odrapana łazienka motelowa. I wychylona do przodu Jilly, która wpatrywała się z niepokojem w głąb tunelu.

Nie widząc Shepa, Dylan zaczął się denerwować. Szybko okrążył bramę i wrócił do miejsca, z którego rozpoczął oględziny. Shep stał tak, jak Dylan go zostawił: z rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż ciała, głową przechyloną na prawo, patrzył na zachód i w dół na znajomą panoramę. Jego smutny uśmiech wyrażał melancholię i zarazem szczęście.

Faliste wzgórza okryte złotą trawą ciągnęły się na północ i południe, gdzieś tam ozdobione rosnącymi z rzadka dębami kalifornijskimi, które rzucały długi poranny cień, a u stóp wzniesienia, na którym stali, leżała łąka. Na zachód od niej widać było wiktoriański dom z szeroką werandą z tyłu. Za domem także rozciągały się bujne łąki, a żwirowy podjazd prowadził do autostrady biegnącej wzdłuż brzegu. Ćwierć mili na zachód od asfaltowej jezdni rozpościerał się Ocean Spokojny niczym ogromne zwierciadło, w którym odbicie nieba przybierało głębszy, bardziej uroczyście odcień błękitu.

Było to miejsce położone daleko na północ od Santa Barbara w Kalifornii, na słabo zaludnionym skrawku wybrzeża,

pół mili od najbliższych sąsiadów - dom, w którym dorastał Dylan. To właśnie tutaj ponad dziesięć lat temu zmarła ich matka i tu Dylan i Shep ciągle wracali między długimi podrózkami na festiwale sztuki, które odbywały się na Zachodzie i Południowym Zachodzie.

- Wariactwo! - W tym jednym słowie wybuchła cała tłumiona do tej pory złość. Wyrzucił je z siebie tak gwałtownie, jakby warknął „Niech to szlag” lub coś bardziej dosadnego na wiadomość, że na loterii wyciągnął los różniący się jedną cyferką od numeru wygrywającego sto milionów dolarów, albo gdyby rąbnął się młotkiem w palec. Miał mętlik w głowie, bał się i czuł, że za chwilę eksploduje, jeśli będzie stał nieruchomo i milcząco jak Shep, więc dodał:
- Czyste wariactwo!

Jeszcze dalej na północ stąd, na pustym parkingu obok plaży, piętnaście lat temu popełnił samobójstwo ich ojciec. Z tego wzgórza, nieświadomi, że ich życie wkrótce się zmieni, Dylan i Shep oglądali malowniczy grudniowy zachód słońca, na który ich ojciec patrzył przez mgłę nembutalu i tlenku węgla, zapadając w wieczny sen.

Byli setki mil od Holbrook w Arizonie, gdzie położyli się spać.

- Wariactwo - ciągnął Dylan. - To wszystko jest pokręcone. Solidnie kopnięte. Zupełnie pokopane.

Ciepłe promienie słońca, woń morza wyczuwalna w powietrzu, cykanie świerszczy w suchej trawie: choć wszystko mogło wydawać się snem, było prawdziwe.

Zwykle Dylan nie pytał brata o wyjaśnienie żadnej tajemnicy. Shepherd O'Conner nie był źródłem odpowiedzi, wyjaśnień ani spostrzeżeń. Shep był krynicą chaosu, tryskającą fontanną zagadek i prawdziwym gejerem tajemnic.

Gdyby jednak me zwrócił się do Shepherd'a, równie dobrze mógłby szukać odpowiedzi u świerszczy w trawie albo u muszek polatujących sennie w rozgrzanym słońcem wietrzyku.

- Shep, słuchasz mnie?

Shep uśmiechnął się smutno do widocznego poniżej domu. - Shep, musisz mnie przez chwilę posłuchać. I odpowiedzieć. Musisz mi powiedzieć, jak się tu dostałeś.

- Pokopane - powiedział Shep. - Kopnąć, przyłożyć... - Shep, nie zaczynaj.

- ...ugodzić, zdzielić, przysunąć... - Shep, tak nie można.

- ...zasunąć, dołożyć, przylać...

Dylan stanął na wprost brata, mocno złapał go za ramiona i potrząsnął, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę.

- Shep, spójrz na mnie, zobacz mnie w końcu, skup się. Jak się tu dostałeś?

...zdzielić, wymierzyć cios...

Szarpiąc bratem jeszcze mocniej, jak gdyby chciał wytrząsnąć z chłopaka urywaną litanię synonimów, Dylan powiedział: - Dość, wystarczy, koniec z tym gównem, koniec!

- ...przysolić, przyłożyć...

Dylan puścił ramiona Shepa i chwycił dłońmi jego twarz, ściskając mu głowę w dziesięciopalczystym imadle.

- Nie chowaj się przede mną, nie wciskaj mi tego kitu co zawsze, nie teraz, Shep, nie teraz, kiedy dzieją się takie rzeczy. ...palnąć, kropnąć, wałnąć.

Mimo że Shep z całej siły starał się trzymać opuszczoną głowę, Dylan nieustępliwie unosił mu brodę.

- Posłuchaj mnie, mów do mnie, popatrz na mnie! Zmuszony do konfrontacji Shepherd zamknął oczy. - Szturchnąć, trzasnąć...

Dziesięć lat frustracji, dziesięć lat cierpliwości i poświęcenia, dziesięć lat czujności, by Shep niechcący nie zrobił sobie krzywdy, tysiące dni krojenia jedzenia na równe prostokątne i kwadratowe kęsy, niezliczone godziny spędzone na zamartwianiu się tym, co się stanie z Shepherdem, gdyby zrzędzeniem losu przeżył swojego brata: wszystko zważyło się na Dylana

jak lawina, jeden ciężki kamień za drugim, jeden za drugim, Boże drogi, aż poczuł się tak przygnieciony ogromnym brzemieniem, że nie mógł już szczerze powiedzieć: „Nie jest mi wcale ciężko, to przecież mój brat”. Życie z Shepherdem było bardzo ciężkie, cięższe niż gład, który Syzyf musiał przez wieczność wtaczać po długim czarnym zboczu w Hadesie, cięższym niż świat na barkach Atlasa.

...trącić, trzepnąć...

Twarz Shepherda ściśnięta między wielkimi dłońmi Dylana zmarszczyła się i wykrzywiła jak buzia dziecka, które zaraz wybuchnie płaczem. Mówił niewyraźnie.

- Kopnąć, przyłożyć, ugodzić...

- Powtarzasz się - powiedział ze złością Dylan. - Zawsze się powtarzasz. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, wciąż ten sam nieznośny ustalony porządek, rok po roku, zawsze to samo ubranie, zawsze ta sama uboga lista gówna, które możesz jeść, zawsze dwa razy mycie rąk, zawsze dziewięć minut pod prysznicem, nigdy osiem ani dziesięć, zawsze dokładnie dziewięć, i całe życie ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym we własne buty, ciągle te same głupie lęki, te same nieznośne tiki, ciach dylu-dylu, i wciąż się powtarzasz, bez końca głupio się powtarzasz! - ...zdzielić, przysunąć, zasunąć...

Palcem wskazującym prawej ręki Dylan spróbował unieść bratu powiekę, rozewrzeć ją siłą.

- Spójrz na mnie, Shep, popatrz na mnie, popatrz. - ...dołożyć, przylać...

Chociaż Shepherd stał z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż boków, w ogóle się nie broniąc, zaciskał mocno oczy, stawiając opór palcowi Dylana.

- ...zdzielić, wymierzyć cios... - Popatrz na mnie, gówniarzu! - ...przysolić, przyłożyć...

- POPATRZ NA MNIE!

Shep przestał się opierać i otworzył lewe oko, a palec Dylana przycisnął mu powiekę prawie do brwi. Chłopak popatrzył na brata jak nigdy dotąd, a jego jednookie spojrzenie wyglądało jak żywcem wzięte z plakatu reklamującego horror: było kwintesencją przerażenia, jak wzrok ofiary, której przybysz z innego świata za moment rozszarpie gardło albo zombi wyrwie serce, albo obłąkany psychiatra otworzy czaszkę i pożre mózg, popijając kieliszkiem doskonałego caberneta.

Popatrz na mnie... Popatrz na mnie... Popatrz na mnie... Dylan słyszał te trzy słowa odbijające się echem od otaczających ich wzgórz, coraz ciszej, a chociaż wiedział, że słucha własnego wściekłego wrzasku, głos brzmiał w jego uszach obco, ostro i brutalnie, i drgał w nim zimny gniew, o jaki Dylan nigdy by się nie podejrzewał, ale także strach, który bez trudu rozpoznał.

Z jednym okiem zamkniętym, a drugim szeroko otwartym, Shepherd powiedział:

- Shep się boi.

Spoglądali na siebie tak, jak chciał Dylan, oko w oko, otwarcie i nieugięte. Panika brata obezwładniła Dylana, który poczuł, że nie może złapać tchu, a serce ścisnęło mu się boleśnie jak przekłute igłą.

- Shep się b-boi.

Jasne, że chłopak się bał, bez wątplenia był dziko przerażony, niewykluczone, że bardziej niż w ciągu dwudziestu lat częstych napadów lęku. I choć jeszcze przed chwilą mógł się bać świetlistego tunelu, który w mgnieniu oka przeniósł go z pustej ni we wschodniej Arizonie na wybrzeże Kalifornii, teraz miał nowy powód do trwogi: własny brat w jednej chwili przeistoczył się w kogoś obcego, wrzeszczącego i agresywnego, jakby słońce podziałało niczym księżyc i zmieniło Dylana z człowieka w złego wilka.

- Shep-p się boi.

Wstrząśnięty strachem widocznym w spojrzeniu brata Dylan cofnął palec, którym przyciskał powiekę, puścił jego głowę i cofnął się, drżąc z odrazy do siebie i wstydu.

- Shep się boi - powtórzył chłopak, otwierając szeroko oczy. - Przepraszam, Shep.

- Shep się boi.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć, bracie. Nie chciałem powiedzieć tego, co powiedziałem, ani jednego słowa, zapomnij o tym.

Shep przymknął oczy do tej pory szeroko otwarte z przerażenia. Zgarbił się, spuścił głowę i przechylił ją na bok, przyjmując łagodną i niezgrabną postawę, którą ogłaszał światu, że jest nieszkodliwy; w tej skromnej pozie chciał przejść przez życie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, nie przyciągając spojrzeń niebezpiecznych ludzi.

Jednak chłopak nie zapomniał tak szybko o konfrontacji z bratem. Wciąż bardzo się bał. Nie potrafił też w jednej chwili uleczyć zranionych uczuć; być może nigdy tego nie dokona. W każdej sytuacji jedyną metodą Shepherda było udawanie żółwia: szybko wciągał wszystkie wrażliwe części pod skorupę, kulił się i chował pod tarczą obojętności.

- Przepraszam, braciszku. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie. Nie, to nieprawda. Bardzo dobrze wiem, co we mnie wstąpiło. Stara trzęsionka, stare licho, które nie daje mi spokoju. Zacząłem się bać, Shep. Do diabła, cały czas się boję, tak bardzo, że nie mogę jasno myśleć. Nie lubię się bać, bardzo nie lubię. Nie jestem do tego przyzwyczajony, więc wyładowałem złość na tobie, a nie powinienem tego robić.

Shepherd przestępował z lewej nogi na prawą, z prawej na lewą. Nietrudno było odczytać minę, z jaką wpatrywał się w swoje rockporty. Nie był już przerażony - owszem, zalekziony, ale strach już go nie porażał. Wydawał się tylko zaskoczony, jakby zdumiony faktem, że jego starszy brat może się czegokolwiek bać.

Dylan spojrział ponad ramieniem Shepa na czarodziejską bramę. Nie przypuszczał, że tak boleśnie będzie tęsknił za motelową łazienką, której wewnątrz widział przez okrągłe okienko.

Przysłaniając oczy dłonią, Jilly wpatrywała się w głąb czerwonego tunelu. Dylan widział ją na pewno wyraźniej niż ona jego i dostrzegł, że jest przerażona. Miał nadzieję, że Jilly bardziej będzie się bała wyciągnąć ręce w stronę tunelu, niż zostać sama po drugiej stronie, bo gdyby pojawiła się obok nich na wzgórzu, mogłaby wszystko skomplikować.

Dalej przeproszał Shepa, aż sobie uświadomił, że za dużo usprawiedliwień może wywołać gorszy skutek niż ich brak. Usiłował uspokoić własne sumienie kosztem zdenerwowania brata, w gruncie rzeczy drażniąc Shepa w jego skorupie. Chłopak z jeszcze większym niepokojem przestępował z nogi na nogę.

- W każdym razie - rzekł Dylan - głupio zrobiłem, krzycząc na ciebie dlatego, że chciałem wiedzieć, jak się tu dostałeś - ale wiedziałem, że sam musiałeś tego dokonać, że masz jakiś nowy nieprawdopodobny talent. Nie rozumiem, jak to zrobiłeś. Pewnie sam nawet nie bardzo to rozumiesz, tak jak ja nie bardzo wiem, jakim cudem czuję odciski psychiczne na klamce drzwi i odczytuję te ślady. Ale wiedziałem, co musiało się potem stać, zanim jeszcze zapytałem.

Dylan z trudem zmusił się do zamilknięcia. Najlepszy sposób uspokojenia Shepa to przestać gadać, przestać przeciągać jego zmysły i dać mu odrobinę spokoju.

W lekkim wietrze przesyconym wonią oceanu trawa falowała ospale jak wodorosty w wodnym ogrodzie. W powietrzu leniwie krążyły komary maleńkie jak drobiny kurzu.

Wysoko na niebie szybował jastrząb unoszony prądami wstępującymi, wypatrując myszy polnych trzysta stóp niżej.

Z daleka dobiegał cichy odgłos samochodów jadących autostradą, lecz tak nikły, że od czasu do czasu tłumiał go nawet słaby wietrzyk. Na tle pomruku dał się słyszeć głośniejszy warkot jednego silnika, na którego dźwięk Dylan oderwał wzrok od jastrzębia i spojrział na żwirowy podjazd. Do domu zbliżał się motocykl.

Harley należał do Vonetty Beesley, gosposi, która przyjeżdżała do nich raz na tydzień, nawet podczas nieobecności Dylana i Shepa w domu. W czasie niepogody jeździła fordem pikapem z doładowanym silnikiem na ogromnych pięćdziesięcioczerocalowych oponach, pomalowanym jak karmazynowy smok.

Vonetta miała czterdzieści kilka lat oraz ujmującą osobowość i spędzała wolny czas jak niejeden poczciwy mieszkaniec Południa. Była świetną gosposią i pierwszorzędną kucharką, a siła i odwaga pozwoliłyby jej w razie konieczności - i zapewne ku jej wielkiej radości - zostać ochroniarzem.

Vonetta nie mogłaby rozpoznać z daleka Dylana i Shepa, ponieważ szczyt wzgórza wznosił się wysoko nad domem. Gdyby ich jednak zauważyła i uznała, że wyglądają podejrzanie, zapewne podjechałaby harleyem nieco bliżej, aby lepiej im się przyjrzeć. Obawa o własne bezpieczeństwo nie wchodziła w grę, gdy do głosu dochodziło jej poczucie obowiązku i żądza przygód.

Dylan mógłby naprędce wykombinować jakąś głupią historyjkę, żeby jej wytłumaczyć, co tu robią z bratem, skoro powinni być w drodze do Nowego Meksyku, lecz nie miał talentu do oszukiwania ani czasu, by tłumaczyć sprawę z bramą, łazienką motelową na wzgórzu i Jilly wpatrującą się w nich tępo, jak gdyby była Alicją, która bezskutecznie usiłuje zgłębić naturę zaczarowanego świata po drugiej stronie lustra.

Odwrócił się do brata, gotów jeszcze raz podjąć ryzyko, że go zdenerwuje, ale chciał mu powiedzieć, że pora wrócić do Holbrook w Arizonie.

Zanim Dylan zdążył się odezwać, Shepherd rzekł: - Tu, tam.

Dylanowi przypomniała się toaleta w restauracji w Safford poprzedniego wieczoru. „Tu” odnosiło się do pierwszej kabiny. „Tam” - do kabiny czwartej. Pierwsza wyprawa Shepa była bardzo krótka, z toalety do toalety.

Dylan nie pamiętał, aby towarzyszył jej nieziemski czerwony blask. Być może dlatego, że Shep zamknął za sobą bramę, gdy tylko przez nią przeszedł.

- Tu, tam - powtórzył Shep.

Ze spuszczoną głową popatrywał spod oka nie na Dylana, lecz na dom za łąką u stóp wzgórza i na Vonettę na harleyu. - Co chcesz powiedzieć, Shep?

- Tu, tam.

- Gdzie jest „tam”?

- Tu - odrzekł Shep, szorując prawą stopą po trawie. - A gdzie jest „tu”?

- Tam - powiedział Shep, opuścił głowę jeszcze niżej i przechylił na prawo, spoglądając przez ramię w stronę Jilly.

- Wróćmy tam, skąd wyszliśmy - nalegał Dylan.

Vonetta Beesley okrążyła dom, kierując się w stronę wolno stojącego garażu.

- Tu, tam - powiedział Shep.

- Jak możemy się bezpiecznie dostać z powrotem do motelu? - zapytał Dylan. - Wystarczy wyciągnąć ręce, wejść z tej strony w bramę?

Obawiał się, że gdyby pierwszy wszedł do portalu i znalazł się z powrotem w motelu, Shep nie poszedłby za nim.

- Tu, tam. Tam, tu - powtarzał Shep.

Z drugiej strony, gdyby Shep ruszył w drogę powrotną pierwszy, brama mogłaby się zamknąć zaraz za nim, pozostawiając Dylana uwięzionego w Kalifornii, dopóki ten nie wróciłby do Holbrook tradycyjną drogą, a tymczasem Jilly musiałaby radzić sobie sama z chłopakiem.

Rozsądek podpowiadał, że wszystkie dziwne rzeczy, jakie im się przytrafiały, mają swe źródło w zastrzykach Frankensteina. Zatem Shepherd też musiał dostać zastrzyk i dzięki niemu posiadał umiejętność otwarcia bramy. Znalazł ją i jakoś uruchomił. Albo, co bardziej prawdopodobne, sam ją stworzył. W związku z tym brama w pewnym sensie działała według zasad Shepa, nieznanych i niepoznawalnych, co oznaczało, że przechodzenie przez bramę przypominało grę w pokera z diabłem niekonwencjonalną talią kart z trzema dodatkowymi kolorami i zupełnie nowym zestawem figur między waletem a damą.

Vonetta zatrzymała harleya przed garażem. Warkot urwał się jakby połknięty przez silnik.

Dylan nie miał ochoty brać Shepherdza za rękę i razem z nim skakać w bramę. Jeżeli dostali się do Kalifornii dzięki teleportacji - a jakie mogło być inne wytłumaczenie? - jeśli w chwili opuszczenia motelowej łazienki każdy z nich został natychmiast rozszczepiony na megatryliony cząstek elementarnych, a potem doskonale zrekonstruowany w momencie zjawienia się na szczycie wzgórza, musieli, a przynajmniej powinni odbyć tę podróż osobno, aby uniknąć... pomieszania elementów. Dylan widział stary film „Mucha”, w którym teleportujący się naukowiec odbywał krótką podróż z jednego końca laboratorium na drugi, niewiele dłuższą niż eksperyment Shepa przemieszczającego się z kabiny do kabiny, ale nie zauważył, że towarzyszyła mu zwykła mucha, co skończyło się wielką katastrofą, do jakiej mogą doprowadzić tylko politycy. Dylan nie chciał znaleźć się w motelu z nosem Shepa na czole albo kciukiem brata wystającym z oczodołu.

- Tu, tam. Tam, tu - powtórzył Shep.

Za domem Vonetta ustawiła motocykl na nóżkach i zsiadła z harleya.

- Nie tu. Nie tam. Tutam - powiedział Shep, tworząc z dwóch słów jedno.

Właściwie prowadzili rozmowę. Dylan bardzo mgliście rozumiał, co Shep próbował mu powiedzieć; tym razem jednak

był pewien, że brat go słucha i udziela odpowiedzi na stawiane pytania.

Mając to na uwadze, Dylan zadał najważniejsze z pytań, jakie musiały paść:

- Shep, pamiętasz film „Mucha”?

Shep skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- „Mucha”. Wyświetlana w kinach w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Czas projekcji - dziewięćdziesiąt cztery minuty.

- To nieważne, Shep. Drobiazgi mnie nie interesują. Chcę tylko wiedzieć, czy pamiętasz, co się stało z tym naukowcem? Daleko w dole, stojąc obok motocykla, Vonetta Beesley zdjęła kask.

- Wystąpili: David Hedison w roli naukowca, Patricia Owens, Vincent Price...

- Shep, przestań.

- ...i Herbert Marshall. Reżyseria - Kurt Neumann. Inne filmy tego reżysera to „Tarzan i kobieta lampart”...

Rozmowa odbywała się w języku „shepowym”, jak mawiał Dylan. Jeżeli chciało się uczestniczyć w rozmowie, należało się uzbroić w cierpliwość, a po półgodzinie można było ulec przeciążeniu danymi. Shep zapamiętywał mnóstwo informacji na interesujące go tematy i czasem chętnie się nimi dzielił.

- ...„Syn Ali Baby”, „Powrót wampira”...

Vonetta zawiesiła kask na kierownicy motoru, spojrzała na krążącego po niebie jastrzębia i zauważyła Shepa i Dylana stojących na wzgórzu.

- ...„Zdarzyło się w Nowym Orleanie”, „Mohawk”, „Statek kosmiczny X-M” i inne.

- Posłuchaj, Shep, wróćmy do tego naukowca. Pamiętasz, że naukowiec wszedł do komory teleportacyjnej...

- „Mucha” została nakręcona jeszcze raz pod tym samym tytułem w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym.

- ...i trafiła tam też mucha...

- Czas projekcji drugiej wersji...

- ...ale naukowiec nie wiedział...

- ...sto minut.

- ...że mucha tam jest.

- Reżyseria - David Cronenberg - powiedział Shepherd. - W rolach głównych: Jeff Goldblum...

Stojąc obok wielkiego motocykla, Vonetta pomachała do nich.

- ...Geena Davis i John Getz.

Dylan nie wiedział, czy powinien pomachać do Vonetty. Patrząc na nich z tej odległości, na pewno nie wiedziała, kim są, ale gdyby zdradził się jakimś charakterystycznym gestem, mogłaby ich poznać.

- Inne filmy Davida Cronenberga to „Strefa śmierci”, dobry, straszny, ale dobry film, Shepowi podobała się „Strefa śmierci”...

Vonetta mogłaby zauważyć cień trzeciej osoby na wzgórzu Jilly - ale nie dostrzegłaby bramy na tyle wyraźnie, by w pełni zrozumieć dziwność sytuacji.

- ...„Potomstwo” i „Dreszcze”. Shepowi nie podobały się te filmy, bo było w nich za dużo krwi. Pełno oślizłych rzeczy. Shep nie chce ich więcej oglądać. Nie chce oglądać krwi i oślizłych rzeczy.

Dylan uznał, że gdyby pomachał, mógłby zachęcić Vonettę do złożenia wizyty na wzgórzu, udał więc, że jej nie widzi.

- Nikt nie chce cię zmuszać do oglądania filmów Cronenberga - zapewnił brata. - Chcę tylko, żebyś pomyślał o tym, jak doszło do skrzyżowania naukowca i muchy.

- Teleportacja.

Nabrawszy jakichś podejrzeń, Vonetta nałożyła kask.

- Teleportacja! - przytaknął Dylan. - Tak, o to właśnie chodzi. Naukowiec i mucha teleportowali się razem i coś się między nimi pomieszało.

Wciąż mówiąc do ziemi pod swoimi stopami, Shepherd rzekł: - Wersja z osiemdziesiątego szóstego roku była zbyt obrzydliwa.

- Masz rację.

- Oślizłe rzeczy. Krwawe sceny. Shep nie lubi oślizłych i krwawych scen.

Gosposia dosiadła harleya.

- Pierwsza wersja nie była oślizła i krwawa - przypomniał bratu Dylan. - Ale ważne jest przede wszystkim...

- Dziewięć minut pod prysznicem to akurat - powiedział Shepherd, nieoczekiwanie wracając do tyrady Dylana.

- Pewnie masz rację. Tak, na pewno. Dziewięć minut. Masz absolutną rację. A teraz...

- Dziewięć minut. Po minucie na każdą rękę. Po minucie na każdą nogę. Minuta...

Vonetta spróbowała uruchomić motocykl, lecz silnik nie zaskoczył.

- ...na głowę - ciągnął Shep. - Dwie minuty na resztę. I dwie minuty na splukanie.

- Jeżeli razem skoczymy z powrotem do motelu - powiedział Dylan - obaj naraz, czy stanie się z nami to samo co z muchą i naukowcem?

W słowach, jakie potem padły z ust Shepa, wyraźnie dał się słyszeć ton wyrzutu świadczący o zranionych uczuciach chłopca: - Shep nie je gówna.

- Co? - zdumiał się Dylan.

Gdy Vonetta ponownie przekręciła kluczyk, harley zadudnił w odpowiedzi.

- Shep nie je ubogiej listy gówna, jak mówiłeś, ubogiej listy gówna. Shep je takie jedzenie jak ty.

- Oczywiście, dziecko. Chciałem tylko powiedzieć... - Gówno to kupa - przypomniał mu Shepherd.

- Przepraszam. Nie to miałem na myśli.

Siedząc na motorze i wciąż dotykając stopami ziemi, Vonetta kilka razy otworzyła przepustnicę i rozległ się ryk silnika.

- Kupka, kaka, e-e...

Dylan omal nie wrzasnął ze złości, ale powstrzymał się i z trudem zachował spokój.

- Shep, posłuchaj mnie, bracie, braciszku, posłuchaj...

- ...łajno, nieczystości, krwi placek i tak dalej, jak zostało poprzednio wymienione.

- Otóż to - rzekł z ulgą Dylan. - Jak zostało poprzednio wymienione. Poprzednio doskonale się spisałeś. Pamiętam całą listę. Czy stanie się z nami to samo co z muchą i naukowcem?

Pochylając głowę tak nisko, że niemal dotykał brodą piersi, Shep powiedział:

- Nienawidzisz mnie?

Pytanie wstrząsnęło Dylanem. Nie tylko pytanie, ale także to, że Shepherd użył wobec siebie pierwszej osoby zamiast jak zwykle trzeciej. Nie „Shepa”, ale „mnie”. Musiał się czuć bardzo głęboko zraniony.

Vonetta zjechała z podjazdu i przecięła podwórko, kierując się w stronę łąki.

Dylan przykleknął na jedno kolano przed Shepem.

- Wcale cię nie nienawidzę, Shep. Nie potrafiłbym, nawet gdybym chciał. Kocham cię i boję się o ciebie. Dlatego się wkurzyłem.

Shep nie patrzył na brata, ale przynajmniej nie zamknął oczu.

- Byłem dla ciebie niedobry - ciągnął Dylan - ale ty tego nie rozumiesz, bo nigdy nie jesteś niedobry. Nie wiesz, jak być złym. Ja nie jestem taki dobry jak ty. Nie jestem taki łagodny.

Shepherd patrzył w osłupieniu na trawę pod swoimi kapciami, jak gdyby dostrzegł tam jakieś pozaziemskie stworzenie pełzające między suchymi źdźbłami, ale zapewne reagował w ten sposób na zadziwiającą wiadomość, że mimo swoich dziwactw i ograniczeń pod pewnymi względami może być lepszy od brata.

Z przystrzyżonego trawnika podwórka Vonetta wjechała prosto w łąkę. Wysokie złote trawy rozstały się przed motocyklem jak powierzchnia jeziora przed dziobem łodzi.

Skupiając całą uwagę na Shepherdzie, Dylan powiedział: - Musimy się stąd wydostać, Shep, jak najszybciej. Musimy wracać do motelu, do Jilly, ale nie możemy, jeżeli ma się z nami stać to samo co z naukowcem i muchą.

- Oślizłe i krwawe - rzekł Shep.

- Otóż to. Lepiej żeby nie przytrafiło się nam nic krwawego i oślizłego.

- Oślizłe i krwawe sceny są złe. - Bardzo złe, masz rację. Marszcząc brwi, Shep oświadczył uroczyście: - To nie jest film Davida Cronenberga.

- Nie jest - zgodził się Dylan, pokrzepiony myślą, że Shep słucha i uczestniczy w rozmowie, jak umie najlepiej. - Ale co to znaczy, Shep? Że możemy bezpiecznie wrócić razem do motelu?

- Tutam - odparł Shep, tak jak poprzednio łącząc dwa słowa w jedno.

Vonetta Beesley była już w połowie łąki.

- Tutam -powtórzył Shep. - Tu jest tam, tam jest tu i wszędzie jest to samo miejsce, jeżeli wiesz, jak składać.

- Składać? Co składać?

- Składać tu z tam, jedno miejsce z drugim, tutaj. - Nie rozmawiamy o teleportacji, prawda?

- To nie jest film Davida Cronenberga - powiedział Shep, co Dylan zrozumiał jako potwierdzenie przypuszczenia, że teleportacja i związane z nią pomieszanie cząstek elementarnych nie wchodziły w grę.

Wstając z klęczek, Dylan położył ręce na ramionach Shepherdza. Zamierzał skoczyć razem z bratem w bramę.

Zanim zdążyli się ruszyć, to brama zaczęła się do nich zbliżać. Stojąc zwrócony twarzą do Shepa i magicznego portalu, Dylan zobaczył, jak obraz Jilly w motelowej łazience nagle składa się jak powstające dzieło sztuki origami, jak papierowa składanka „niebo-piekiło”, którą dzieci robią w szkole, aby dokuczać innym dzieciom: brama rozłożyła się wokół nich, wciągnęła ich w siebie i złożyła się, znikając z Kalifornii.

25 Szalejąc z niepokoju, Jilly omal nie straciła panowania nad sobą, gdy świetlisty tunel przed jej oczami zaczął pękać od środka, a potem złożył się wzdłuż linii pęknięć.

Choć miała wrażenie, że czerwony korytarz składa się do wewnątrz, wydawało się jej, że równocześnie wybucha jak kwiat prosto w jej twarz, cofnęła się odruchowo.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się wejście do tunelu, zobaczyła zmieniające się geometryczne czarne i czerwone wzory podobne do tych, które można ujrzyć w kalejdoskopie, tyle że wzory były oszłamiająco trójwymiarowe i bezustannie zmieniały kształt. Jilly bała się, że wpadnie w dwubarwny wir, ale niekoniecznie spadnie, mogła lewitować jak astronauta w stanie nieważkości w głąb rozkwitających wzorów, w głąb wieczności.

Właściwie nie ogarniała wzrokiem niesamowitej struktury wyłaniającej się ze ściany albo nie potrafiła pojąć rozumem tego, co widziały oczy. Zjawisko wydawało się o wiele bardziej rzeczywiste niż cokolwiek innego w łazience, rzeczywiste, lecz tak nieskończenie dziwne, że jej przerażone spojrzenie przemykało od jednego osobliwego szczegółu do drugiego, jak gdyby umysł uciekał przed analizą prawdziwej złożoności rozwijającej się przed nią konstrukcji. Co chwilę dostrzegała otchłań znacznie głębszą niż trzy wymiary, nie potrafiła jednak się na niej

skupić, mimo że cichy i niespokojny głos intuicji policzył do pięciu, potem do siedmiu i liczył dalej, choć nie chciała go już słuchać.

W czerń i czerwień niemal od razu wdarły się nowe kolory: błękit letniego nieba i złoty odcień piasku niektórych plaż i dojrzałej pszenicy. Pomiędzy niezliczonymi płytkami nieustannie przeobrażającej się mozaiki pojawiało się coraz mniej barw czerwono-czarnych i coraz więcej złoto-błękitnych. Jilly zdawało się, a potem była pewna - choć starała się nie patrzeć - że w kalejdoskopowych wzorach widzi migające fragmenty ludzkiego ciała: tu spoglądające uważnie oko, tam palec, gdzie indziej ucho, jak gdyby potężny cyklon rozbił portret na witrażu, a odłamki rozsypał w powietrzu. Zdawało się jej też, że dostrzegła kawałek pyska narysowanego kojota, który szczyrzył zęby w uśmiechu, potem skrawek znajomej żółto-niebieskiej koszuli hawajskiej i podobny skrawek w innym miejscu.

Po pięciu czy sześciu sekundach od chwili, gdy tunel zaczął się składać, z kalejdoskopowych wzorów wyłonili się Dylan i Shepherd i stanęli przed nią cali i zdrowi. Za nimi, gdzie jeszcze przed momentem ziała czerwona otchłań tunelu, znajdowała się tylko zwykła ściana.

Dylan z widoczną ulgą wypuścił wstrzymywane powietrze i powiedział coś w rodzaju:

- Obyło się bez oślizłych i krwawych scen. - Shep jest brudny - oświadczył Shep.

- Ty sukinsynu - powiedziała Jilly i grzmotnęła Dylana pięścią w pierś.

Uderzyła z całej siły. Rozległ się głuchy odgłos, ale Dylan był zbyt potężnie zbudowany, aby cios zwałił go z nóg, jak spodziewała się Jilly.

- Hej - zaprotestował Dylan.

- Pora iść pod prysznic - rzekł Shep, nie podnosząc głowy. - Sukinsynu - powtórzyła Jilly, znowu tłukąc Dylana.

- Co się z tobą dzieje?

- Powiedziałeś, że nie chcesz tam wchodzić - przypomniała mu ze złością, bijąc go jeszcze mocniej.

- Au! Wcale nie zamierzałem tam wchodzić.

- Ale wszedłeś - powiedziała oskarżycielskim tonem, biorąc kolejny zamach.

Wielką jak rękawica baseballowa dłonią chwycił jej zaciśniętą pięść i przytrzymał, skutecznie przerywając atak.

- Dobra, wszedłem, ale naprawdę nie miałem zamiaru. Shepherd cierpliwie, lecz uparcie przypomniiał:

- Shep jest brudny. Pora iść pod prysznic.

- Powiedziałeś, że nie wejdiesz - ciągnęła Jilly - ale wszedłeś i zostawiłeś mnie tu samą.

Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, że Dylan złapał ją za nadgarstki. Powstrzymując ją, powiedział:

- Wróciłem, obaj wróciliśmy, już wszystko w porządku.

- Tego nie mogłam wiedzieć. Spodziewałam się, że przepadniecie na zawsze albo wrócicie martwi.

- Musiałem wrócić żywy - zapewnił ją - żebyś miała okazję mnie zabić.

- Nie żartuj sobie. - Starła się wykręcić ręce z uścisku, ale nie mogła. - Puść mnie, draniu.

- Chcesz mnie znowu uderzyć?

- Jeżeli mnie nie puścisz, przysięgam, że rozedrę cię na kawałki.

- Pora iść pod prysznic.

Dylan uwolnił jej przeguby, ale nie opuścił rąk, jak gdyby oczekiwał, że będzie musiał odeprzeć kolejne ciosy.

- Tyle w tobie złości.

- Och, masz absolutną rację, mnóstwo we mnie złości. - Trzęsła się z wściekłości i drżała ze strachu. - Mówiłeś, że tam nie wejdiesz, a potem wszedłeś i zostałam sama. - Uświadomiła sobie, że powodem jej drżenia jest w większym stopniu ulga niż wściekłość czy lęk. - Gdzieście w ogóle byli, do cholery?

- W Kalifornii - odparł Dylan.

- Jak to w Kalifornii?

- W Kalifornii. Disneyland, Hollywood, Golden Gate. Chyba znasz Kalifornię?

- Kalifornia - powiedział Shep. - Sto sześćdziesiąt trzy tysiące siedemset siedem mil kwadratowych.

Z głębokim niedowierzaniem w głosie Jilly spytała: - Przez ścianę dostaliście się do Kalifornii?

- Tak. Czemu nie? A dokąd twoim zdaniem mogliśmy się dostać? Do Narni? Krainy Oz? Do wnętrza Ziemi? Zresztą Kalifornia jest jeszcze dziwniejsza od tych miejsc.

- Ludność, około trzydziestu pięciu milionów czterystu tysięcy. - Shep widocznie bardzo dużo wiedział o swoim stanie. - Ale nie wydaje mi się, żebyśmy dostali się tam przez ścianę - powiedział Dylan - ani przez cokolwiek innego. Shep złożył tu z tam.

- Najwyższy szczyt - Mount Whitney...

- Co z czym złożył? - zapytała Jilly.

- ...czternaście tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt cztery stopy nad poziomem morza.

W miarę jak gniew Jilly opadał, a wraz z ulgą odzyskiwała spokój i jasność myśli, zorientowała się, że Dylan sprawia wrażenie uradowanego. Owszem, był trochę zdenerwowany, może nawet przestraszony, ale przede wszystkim ucieszony jak mały chłopiec.

- Złożył rzeczywistość, czas i przestrzeń - powiedział - jedno albo jedno i drugie, nie wiem, ale złożył tu z tam. Co złożyłeś, Shep? Co właściwie złożyłeś?

- Najniżej położony punkt - ciągnął Shep - Dolina Śmierci...

- Pewnie przez jakiś czas będzie gadał o tej Kalifornii.

- ...dwieście osiemdziesiąt dwie stopy poniżej poziomu morza.

- Co złożyłeś, braciszku?

- Stolica stanu - Sacramento.

- Wczoraj wieczorem złożył kabinę numer jeden z kabiną numer cztery - powiedział Dylan - ale wtedy nie zdałem sobie z tego sprawy.

- Kabinę numer jeden z kabiną numer cztery? - Jilly zmarszczyła brwi, masując obolałą rękę, którą zadała mu cios. - Zdaje się, że Shep mówi rozsądniej.

- Ptak stanu - przepiórka kalifornijska.

- W toalecie. Złożył ubikację z ubikacją. Wszedł do pierwszej kabiny, a wyszedł z czwartej. Nie mówiłem ci o tym, bo nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się właściwie stało.

- Kwiat stanu - maczek kalifornijski. Jilly chciała wiedzieć dokładnie.

- Teleportował się z kabiny do kabiny?

- Nie, to nie polega na teleportacji. Widzisz - mam swoją głowę, Shep wrócił z własnym nosem. To nie jest teleportacja. - Drzewo stanu - sekwoja.

- Pokaż jej nos, Shep.

Shepherd trzymał spuszczoną głowę.

- Motto stanu - „Eureka”, czyli „znalazłem”.

- Uwierz mi - rzekł Dylan. - Ma swój nos. To nie jest film Davida Cronenberga.
Gdy zastanawiała się nad ostatnim usłyszanym zdaniem, Dylan uśmiechnął się i pokiwał głową, a Jilly powiedziała:

- Wiem, że nie jadłam jeszcze śniadania, ale muszę strzelić sobie piwo.
- Psychotropowy środek odurzający - zauważył z dezaprobatą Shep.
- Mówi do mnie - powiedziała Jilly. - Tak - zgodził się Dylan.
- Mam na myśli to, że ze mną rozmawia, a nie przemawia do mnie. W pewnym sensie.
- Tak, coś się w nim zmienia. - Dylan opuścił klapę sedesu. - Chodź, Shep, usiądź tu.
- Pora iść pod prysznic - przypomniał im Shep.
- Dobrze, za chwilę, ale najpierw tu usiądź. - Dylan przyprowadził brata do toalety i nakłonił go, żeby usiadł.
- Shep jest brudny. Pora iść pod prysznic.

Dylan ukląkł przed nim i szybko obejrzał jego rękę.

- Nic nie widzę.
 - Pora iść pod prysznic. Dziewięć minut.
- Dylan zdjął Shepherdowi kapcie i odłożył na bok. - Na jaką postać z kreskówki stawiasz?
Skonsternowana Jilly poczuła, że ma większą ochotę na piwo niż kiedykolwiek.

- Z kreskówki?

Shep spod oka obserwował ruchy brata. - Królik albo piesek - wyjaśnił Dylan.

Oglądając plaster na swoim ramieniu, Jilly zauważyła, że trochę się odkleja, ale wciąż zasłania ślad po ukłuciu igły. Dylan ściągnął skarpetkę z prawej stopy Shepherda.

- Po jednej minucie na każdą nogę... - powiedział Shep. Przysuwając się bliżej, Jilly patrzyła, jak Dylan ogląda bosą stopę brata.

- Jeżeli rzeczywiście dostał zastrzyk, to czemu nie w rękę? - spytała.

- ...i minuta na głowę...

- Wtedy pracował nad układanką - odrzekł Dylan. - Co z tego?

- ...i dwie minuty na resztę...

- Nigdy nie widziałas mojego brata zajętego układanką. Bardzo szybko porusza rękami: I jest wyjątkowo skupiony.

- ...dwie minuty na splukanie - dokończył Shep. - Kot - dodał.

- Jest tak skupiony - ciągnął Dylan - że nie sposób go nakłonić, żeby przestał, dopóki nie ułoży całego obrazka. Nie można go nawet zmusić siłą. Nie zwróciłby uwagi na to, co się dzieje z jego nogami, bo nie układa nogami. Nie dałoby się jednak unieruchomić żadnej ręki.

- Może dostał chloroform, tak jak ja.

Nie znalazłszy żadnego widocznego punktu po ukłuciu na prawej stopie, Dylan powiedział:

- Nie. Zaczął układać, kiedy poszedłem do knajpy naprzeciwko, a gdy się ocknąłem przyklejony taśmą do krzesła, Shep ciągle pracował nad obrazkiem.

- Kot - wtrącił z niewiadomego powodu Shepherd.

- Gdyby został uśpiony chloroformem, skutki nie ustąpiłyby tak szybko - powiedziała Jilly, przypominając sobie własną dezorientację po przebudzeniu.

- Kot.

- Poza tym, gdyby ktoś przycisnął mu do twarzy szmatę nasączoną chloroformem, byłoby to dla niego bardziej szokujące przeżycie niż dla ciebie. O wiele bardziej. Jest bardzo nieodporny. Po odzyskaniu przytomności mógłby zdradzać

wielkie wzburzenie albo zwinąłby się w pozycji embrionalnej i za nic nie chciał się ruszyć. Na pewno nie wróciłby do układanki jak gdyby nigdy nic.

Dylan zdjął skarpetkę z lewej stopy Shepherd. Na plastrze widniał rysunkowy kot.

- Kot - powiedział Shep. - Shep postawił na kota. Dylan ostrożnie oderwał opatrunek.

- Shep wygrał - rzekł Shep.

Od podania zastrzyku upłynęło ponad pół dnia i miejsce po ukłuciu wciąż było zaczerwienione i lekko opuchnięte.

Na widok znamienia Shepa Jilly poczuła, jak przebiega przez nią dreszcz, którego nie potrafiła wytłumaczyć. Odkleiła swój plaster z królikiem. Miejsce po zastrzyku wyglądało identycznie jak u Shepa.

Piesek na ramieniu Dylana zasłaniał ślad po ukłuciu, taki sam jak ranki na ciele brata i Jilly.

- Mówił mi, że szpryca na każdego działa inaczej. Spoglądając na ścianę, gdzie jeszcze niedawno otwierał się tunel, Jilly powiedziała:

- Na Shepa chyba bardzo inaczej.

- „Efekt jest zawsze interesujący - znów zacytował Frankensteina Dylan - często zaskakujący, czasem nawet pozytywny”. Jilly dostrzegła w jego twarzy zdumienie i błysk nadziei w oczach.

- Sądzisz, że to pozytywna rzecz dla Shepa?

- Nie wiem nic o zdolności... składania. Nie mam pojęcia, czy to dobrodziejstwo, czy przekleństwo. Czas pokaże. Ale zaczął też więcej mówić. I to mówić do mnie. Teraz wydaje mi się, że od tamtej chwili zaczął się zmieniać.

Wiedziała, o czym Dylan myśli i o czym nie śmie powiedzieć, żeby nie kusić losu: że dzięki zastrzykowi, pomocy tajemniczej psychotropowej szprycy Shep może odnaleźć drogę ucieczki z więzienia autyzmu.

Niewykluczone, że zasłużyła sobie, by nazywać ją Negatywnie Nastawioną Jackson. Może w skrajnych sytuacjach rzeczywiście była krynicą pesymizmu - nie wobec własnego życia i jego perspektyw, ale często sądziła, że większość ludzi i społeczeństwo jako całość zawsze znajdują najkrótszą drogę, aby stoczyć się na dno. Nie uważała się jednak za pesymistkę - ani nawet osobę o negatywnym nastawieniu - gdy spoglądała na zmiany w zachowaniu Shepa i przeczuwała w nich więcej niebezpieczeństw niż nadziei, mniej oznak oświecenia niż grozy. Patrząc na czerwony punkcik na swojej stopie, Shepherd szepnął:

- Przy blasku księżyca.

Spoglądając na jego niewinną dotąd twarz, Jilly nie ujrzała ani nieobecnego spojrzenia, ani łagodnej miny, ani rozdzierającego niepokoju, które zdawały się wyznaczać skalę jego emocji. W jego głosie zabrzmiała cierpka nuta, a rysy ściągnęły się w szyderczej minie wyrażającej coś więcej niż zwykłą gorycz. Być może gniew, zapiekły i długo skrywany gniew.

- Już to wcześniej mówił - odezwał się Dylan. - Kiedy wczoraj wieczorem próbowałem go wyciągnąć z motelu, tuż przed naszym spotkaniem.

- Robisz swoje - wyszeptał Shep. - To też - dodał Dylan.

Shepherd wciąż siedział zgarbiony, trzymając ręce na kolanach z dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną w górę, jak gdyby medytował, lecz jego zachmurzona twarz zdradzała szalejącą w nim burzę.

- O czym on mówi? - zapytała Jilly. - Nie wiem.

- Shep? Do kogo mówisz, skarbie? - Robisz swoje przy blasku księżyca. - Kto robi, jakie swoje, Shep?

Jeszcze przed minutą Shepherd był kontaktowy i obecny duchem jak nigdy przedtem. Teraz błądził gdzieś bardzo daleko, jak gdyby znów przedostał się przez ścianę do Kalifornii.

Jilly kucnęła obok Dylana i delikatnie ujęła w dłonie jedną z bezwładnych rąk Shepa. Nie zareagował na jej dotyk. Ręka wciąż była drętwa jak u nieboszczyka.

Żywe były jednak jego zielone oczy utkwione w lewej stopie i podłodze, choć prawdopodobnie nie zauważały ani jednego, ani drugiego, gdyż spoglądały na kogoś lub coś, co dręczyło go we wspomnieniach.

- Robisz swoje przy blasku księżyca - szepnął znowu. Tym razem gniewnej minie towarzyszył wyraźnie ostry ton głosu. Jilly nie miała żadnej proroczej wizji, nie przeczuwała przyszłej grozy, ale zwykły głos intuicji nakazywał jej czujność i mówił, że może się spodziewać strasznych i zaskakujących wydarzeń.

26 Shepherd wrócił z tylko sobie znanego miejsca rozświetlonego księżycowym

blaskiem i ponownie poinformował, że musi iść pod prysznic.

Jilly wycofała się do sypialni, lecz Dylan został z bratem w łazience. Po ostatnich komplikacjach z „tutam” nie zamierzał zostawiać Shepherd’a samego ani na chwilę.

Gdy Shep ściągał koszulkę z kojotem, Dylan powiedział: - Słuchaj, dziecko, chcę, żebyś mi coś obiecał.

Shep w milczeniu zdjął spodnie.

- Chcę, żebyś mi obiecał, że nie będziesz składał stąd tam, nie będziesz się nigdzie wybierał, jeśli nie uzgodnisz tego wcześniej ze mną.

Shep zsunął slipki. - Dziewięć minut.

- Możesz mi to obiecać, Shep'?

Odsuwając zasłonkę kabiny prysznicowej, Shep powiedział: - Dziewięć minut.

- To poważna sprawa, bracie. Koniec z tym składaniem, dopóki nie zrozumiemy lepiej, co się z nami dzieje. Z nami wszystkimi.

Shep odkręcił wodę, ostrożnie podstawił dłoń pod strumień, wyregulował kurki, po czym jeszcze raz sprawdził temperaturę. Ludzie często błędnie zakładali, że Shepherd jest poważnie upośledzony i wymaga pomocy we wszystkim, w istocie było jednak inaczej. Potrafił zadbać o własną higienę, potrafił się ubrać i z powodzeniem radził sobie z wieloma prostymi codziennymi sprawami z wyjątkiem przygotowywania posiłków. Nie należało prosić Shepa o przygotowanie płonącego deseru ani nawet zrobienie grzanki. Wręczenie mu kluczyków od porsche też nie byłoby najlepszym pomysłem. Był jednak inteligentny, może nawet bystrzejszy od Dylana.

Niestety, w jego przypadku inteligencja nie znajdowała praktycznego zastosowania. Po prostu przyszedł na świat z niesprawną instalacją. Przypominał sportowy model mercedesa wyposażony w mocny silnik, który nie został połączony z układem napędowym; choćby cały dzień wduszało się gaz do dechy, delektując się pięknym dźwiękiem silnika, nie można było nigdzie pojechać.

- Dziewięć minut - powiedział Shep.

Dylan podał mu minutnik: mechaniczny licznik używany w kuchni. Na białej okrągłej tarczy widniało sześćdziesiąt czarnych znaczków, co piąty był numerowany.

Shep przysunął sobie urządzenie pod nos i przypatrywał mu się uważnie, jakby nigdy wcześniej go nie widział, a potem ostrożnie ustawił pokrętło na dziewięć minut. Wziął kostkę mydła Neutrogena - jedyne, jakiego używał pod prysznicem - i wszedł do brodzika, trzymając minutnik za pokrętło, aby aparat nie zaczął za wcześnie odmierzać czasu.

Shep nigdy nie zaciągał zasłonki, żeby nie dostać ataku klaustrofobii.

Kiedy już stał pod prysznicem, postawił minutnik na krawędzi brodzika, puszczaając pokrętło. Rozległo się tykanie, dobrze słyszalne mimo szumu i plusku wody.

Minutnik zawsze robił się mokry. W ciągu kilku miesięcy rdza skutecznie unieruchomiłaby jego mechanizm. Dlatego Dylan kupował te urządzenia na tuziny.

Shep natychmiast zaczął się trzeć kostką neutrogeny, namydłając lewą rękę. Chociaż w ogóle nie patrzył na tarczę minutnika, poświęcał każdej części ciała precyzyjnie odmierzonego czasu. Dwie lub trzy sekundy przed sygnałem minutnika z satysfakcją w głosie oznajmiał głośno: Dzyń!

Może śledził upływający czas, licząc tyknięcia minutnika - jedno na sekundę. A może po wielokrotnym precyzyjnym odmierzeniu czasu kąpieli Shep wykształcił w sobie dokładny zegar wewnętrzny.

W ciągu minionych dziesięciu lat Dylan bez przerwy pamiętał o zegarze nieustająco odmierzającym jego życie, ale nie miał ochoty myśleć o czasie, o tym, gdzie się znajdzie za dziewięć minut, sześć miesięcy, rok czy dwa lata. Oczywiście, będzie malować świat, jeździć na festiwalach sztuki, objeżdżać galerie na całym Zachodzie. I opiekować się Shepem.

Teraz jego wewnętrzne zegary nie tykały szybciej, ale bar-dziej natarczywie, a on nie mógł przestać rozmyślać o przyszłości, która nagle stała się płynna. Już nie wiedział, gdzie może być jutro lub w jakiej sytuacji znajdzie się jeszcze tego samego dnia przed wieczorem, nie mówiąc w ogóle o prognozach dwunastomiesięcznych. Kogoś, kto przez dziesięć lat wiódł wyjątkowo przewidywalne życie, powinno przerażać to nowe położenie - i rzeczywiście Dylan bał się jak diabli, lecz jednocześnie nie mógł powstrzymać entuzjazmu graniczącego z radością.

Dziwił się, że tak bardzo spodobała mu się perspektywa odmiany. Przez długi czas uważał się za człowieka ceniącego stałość, szanującego tradycję, kochającego to, co odwieczne, i nie interesował się nowościami tylko dlatego, że są nowościami, w przeciwieństwie do reszty społeczeństwa, które ulegając fascynacji chwilową modą, traciło korzenie.

Poczuł palący rumieniec wstydu, kiedy przypominał sobie tyradę na wzgórzu, podczas której wyrzucał Shepherdowi „nieznośny ustalony porządek” i to, że wciąż „głupio się powtarzał”, jak gdyby biedak miał wybór i mógł zostać kimś innym.

Nie mając pojęcia, czy rewolucyjne zmiany w jego życiu przyniosą więcej złego czy dobrego, z początku uznał, że radość z ich nadejścia jest objawem lekkomyślności. Gdy zrozumiał, że zmiany najgroźniejsze mogą być dla Shepherda, doszedł do wniosku, że jego podekscytowanie to coś gorszego niż lekkomyślność: to dowód własnej płytkości i egoizmu.

Spoglądając we własną twarz w lustrze, przekonywał się milcząco, że entuzjazm wobec odmiany, każdej odmiany, jest niczym innym jak tylko odbiciem jego wiecznego optymizmu. Gdyby nawet wypowiedział to głośno, konstatacja taka zapewne nie zabrzmiałaby prawdziwie. Przestraszony człowiekiem, jakiego zobaczył, Dylan odwrócił się od lustra, lecz

mimo że doradzał sobie w duchu wyjątkową rozwagę, podekscytowanie niewiadomą, którą stała się jego przyszłość, wcale się nie zmniejszyło.

Nikt nigdy nie mógłby się uskarżać, że Holbrook w stanie Arizona jest hałaśliwym centrum handlowym. Z wyjątkiem takich okazji, jak Święto Zachodu w czerwcu, festiwal sztuki Indian podczas Zjazdu Orłów w lipcu i jarmark okręgu Nawaho we wrześniu, nawet pancernik mógłby spokojnie przejść przez ulicę czy autostradę w tej okolicy, nie ryzykując śmierci pod kołami samochodu.

Mimo to Jilly odkryła, że w dwugwiazdkowym motelu pokój jest wyposażony w oddzielne gniazdko modemowe niezależne od telefonu. Pod tym względem mieli kryjówkę nie gorszą niż Hotel Peninsula w Beverly Hills.

Sadowiąc się przy niewielkim biurku, otworzyła laptop, podłączyła i wyruszyła w rejs po Internecie. Zaczęła właśnie szukać stron poświęconych badaniom naukowym nad usprawnianiem funkcjonowania mózgu, gdy w łazience Shepherd wy

krzyknął „dżyń!”, a brzęczenie minutnika obwieściło koniec dziewięciominutowej kąpieli.

Na początku wykluczyła strony na temat poprawiania zdolności umysłowych za pomocą terapii witaminowych i diety. Frankenstein nie wyglądał na zwolennika naturalnego żywienia i homeopatii.

Nie była też zainteresowana stronami poświęconymi jodze i innym formom medytacji. Nawet najgenialniejszy naukowiec nie potrafiłby skroplić zasad dyscypliny medytacyjnej i wstrzyknąć im jak szczepionki przeciw grypie.

Shepherd wyszedł z łazienki umyty, z jeszcze wilgotnymi włosami, przebrany w czyste dżinsy i koszulkę z kojotem. Dylan szedł za nim, ale po kilku krokach przystanął i rzekł: - Jilly, mogłabyś przez chwilę mieć oko na Shepa? Uważaj, żeby... nigdzie nie poszedł.

- Jasne.

Po obu stronach małego stolika pod oknem stały dwa dodatkowe krzesła z wysokimi oparciami. Jilly przystawiła jedno do biurka, aby Shep usiadł obok niej.

Zignorował jednak zaproszenie i podszedł do rogu sypialni przy biurku, gdzie stanął zwrócony plecami do pokoju.

- Shep, nic ci nie jest?

Nie odpowiedział. Tapeta - w beżowe, żółte i jasnoniebieskie pasy - na styku ścian została przyklejona byle jak. Shepherd wolno podniósł głowę i opuścił, jak gdyby uważnie oglądał niedopasowany wzór.

- Skarbie, coś się stało?

Po dwukrotnych oględzinach niedbałej pracy tapeciarza, od podłogi po sufit, Shep utkwiał wzrok w miejscu łączenia ścian. Ręce miał jak zwykle opuszczone wzdłuż boków. Nagle podniósł prawe ramię, jak gdyby miał złożyć przysięgę: zgiął rękę w łokciu, trzymając otwartą dłoń na wysokości twarzy. Po chwili zaczął machać, jakby nie patrzył w kąt pokoju, ale zobaczył przez okno znajomego.

Dylan znów wyszedł z łazienki, aby wziąć z walizki czyste ubranie, więc Jilly spytała:

- Do kogo on macha?

- Właściwie nie macha - wyjaśnił Dylan. - To odruch, taki jak nerwowy tik mięśni twarzy. Czasem może tak całymi godzinami.

Przyjrzawszy się uważniej, Jilly dostrzegła, że nadgarstek Shepherd'a jest luźny, a dłoń zwisa niemal bezwładnie, w związku z czym machanie zupełnie nie przypominało świadomego gestu powitania czy pożegnania.

- Wydaje mu się, że zrobił coś złego? - spytała.

- Złego? Ach, dlatego że stoi w kącie? Nie. Po prostu czuje się przytłoczony. Za dużo wrażeń. Nie potrafi sobie z tym wszystkim poradzić.

- A kto potrafi?

- Odwracając się twarzą do kąta - tłumaczył Dylan - ogranicza liczbę wrażeń zmysłowych. Redukuje świat do tego wąskiego skrawka przestrzeni. To go uspokaja. Czuje się bezpieczniej.

- Może ja też potrzebuję swojego kąta - powiedziała Jilly. - Na razie miej go na oku. Shep wie, że nie powinien... nigdzie iść. To dobre dziecko. Najczęściej robi to, co trzeba. Ale boję się, że to całe składanie... może nie będzie umiał nad tym zapanować, tak jak nie umie zapanować nad swoją prawą ręką. Shep cały czas machał do ściany.

Poprawiając laptop na biurku i przesuwając odrobinę krzesło, aby widzieć Shepa, Jilly zapewniła Dylana:

- Możesz na mnie liczyć. - Wiem.

Czułość w jego głosie kazała jej podnieść głowę.

W jego szczyrych oczach ujrzała ten sam wyraz namysłu, jaki spostrzegła w tamtych ukradkowych spojrzeniach, które posyłał jej poprzedniego wieczoru, gdy zatankowali na stacji w Globe.

Kiedy Dylan uśmiechnął się do niej, Jilly zorientowała się, że sama uśmiechnęła się pierwsza, a on po prostu odpowiedział tym samym.

- Możesz na mnie liczyć - odezwał się Shep.

Oboje spojrzeli na chłopaka. Wciąż stał twarzą do ściany i machał.

- Wiemy, że możemy na ciebie liczyć, bracie - rzekł Dylan. - Nigdy się na tobie nie zawiodłem. Zostań tu, dobra? Tu, nie tam. Żadnego składania.

Na razie Shep powiedział wszystko, co zamierzał. - Lepiej pójde pod prysznic - powiedział Dylan. - Dziewięć minut - przypomniała mu Jilly.

Znow się uśmiechnął i wrócił do łazienki z czystym ubraniem.

Cały czas widząc Shepa kątem oka i od czasu do czasu zerkając prosto na niego, Jilly przemierzała Internet w poszukiwaniu informacji na temat usprawniania funkcjonowania mózgu,

zdolności umysłowych, pamięci... wszystkiego, co mogło ich zaprowadzić do Frankensteina.

Zanim z łazienki wrócił Dylan, umyty i ogolony, w spodniach khaki i wypuszczonej na pasek koszuli o hawajskim kroju, w czerwono-brązową kratę, Jilly ustaliła kierunek poszukiwań. Zainteresowało ją przede wszystkim kilka artykułów na temat możliwości poszerzenia ludzkiej pamięci za pomocą mikroukładów.

Gdy Dylan usiadł na krześle obok niej, rzekła:

- Twierdzą, że kiedyś będziemy mogli chirurgicznie instalować sobie w mózgach porty danych, a potem, kiedy tylko zechcemy, podłączymy do nich karty pamięci, żeby poszerzyć swoją wiedzę.

- Karty pamięci.

- Na przykład, gdybyś chciał zaprojektować sobie dom, możesz podłączyć kartę pamięci - czyli chip z gęsto upakowanymi danymi - i w jednej chwili będziesz znał wszystkie szczegóły architektoniczne i techniczne potrzebne do sporządzenia planów budowlanych. Mam na myśli dokładnie wszystko, od względów estetycznych po sposób obliczenia

wymagań nośnych fundamentów, nawet rozmieszczenie instalacji hydraulicznej i rozplanowanie systemu ogrzewania i chłodzenia.

Dylan wyglądał, jakby miał pewne wątpliwości. - Tak mówią?

- Tak. Jeżeli chciałbyś wiedzieć wszystko o historii i sztuce Francji przed wyjazdem do Paryża, podłączasz sobie odpowiednią kartę pamięci. Mówią, że to nieuchronne.

- Kto to są ci „oni”?

- Mnóstwo łebskich speców od techniki, badacze, czołówka Doliny Krzemowej.

- To ci sami goście, przez których mamy dziesięć tysięcy zbankrutowanych spółek internetowych?

- Tamci to w większości byli oszuści, maniacy władzy albo szesnastoletni przedsiębiorcy, a nie poważni naukowcy.

- Mimo to jakoś nie jestem pod wrażeniem. A co na ten temat mówią neurochirurdzy?

- Zdziwisz się, ale sporo z nich też uważa, że kiedyś rzeczywiście to będzie możliwe.

- Zakładając, że nie palili za dużo trawki, co mają na myśli, mówiąc „kiedyś”?

- Według niektórych za trzydzieści lat, według innych za pięćdziesiąt.

- Ale jaki to wszystko może mieć związek z nami? - zdumiał się Dylan. - Nikt mi jeszcze nie zainstalował w czaszce portu danych. Właśnie myłem włosy, coś bym zauważył.

- Nie wiem - przyznała. - Wydaje mi się jednak, że nawet gdyby to nie była właściwa droga, jeżeli pójdę nią trochę dalej, w końcu przetnie się z tą właściwą i dowiem się, co takiego badał Frankenstein.

Dylan skinął głową.

- Nie wiem dlaczego, ale też tak mi się wydaje. - Intuicja.

- Tylko ona nam została. Wstając zza biurka, zapytała:

- Chcesz przejąć pościg, dopóki nie wrócę? Przy was czuję się jak ostatni kocmołuch.

- Dziewięć minut - odrzekł.

- Wykluczone. Moja fryzura ma większe wymagania.

Narazając skórę głowy na oparzenie silnym strumieniem powietrza z suszarki, Jilly po czterdziestu pięciu minutach wróciła do sypialni, czysta i z puszystymi włosami. Przebrała się w bananowożółty, obcisły, lekki sweterek z krótkimi rękawami, białe dżinsy - których krój dowodził, że klątwa wielkiego tyłka dręcząca jej rodzinę jeszcze nie przeobraziła jej pośladek, zmieniając ich rozmiar z melonów w dwie dorodne dynie - oraz białe sportowe buty z żółtymi sznurowadłami pod kolor sweterka.

Czuła się ładna. Od wielu tygodni i miesięcy w ogóle jej nie obchodziło, czy ładnie wygląda i dziwiła się, że zaczęło jej zależeć teraz, w obliczu zbliżającej się katastrofy, gdy jej życie legło w gruzach, a przypuszczalnie nadciągały jeszcze gorsze kłopoty; mimo to spędziła kilka minut, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze łazienkowym i dokonując starannych zabiegów, by wyglądać jeszcze ładniej. Czuła się bezwstydna, płytka i głupia, ale przede wszystkim - ładna.

Stojący w swoim kącie Shepherd nie dostrzegł, że Jilly wróciła ładniejsza, niż wyszła. Już nie machał ręką. Ramiona miał opuszczone. Pochylił się do przodu, wcisnął głowę w róg i dotykał ciemieniem pasiastej tapety, jak gdyby uważał, że nawet najmniejsza odległość od schronienia między ścianami narazi go na kontakt z szerokim strumieniem doznań zmysłowych, których by nie zniósł.

Miała nadzieję, że Dylan zareaguje o wiele żywiej niż brat, ale gdy spojrzał na nią znad laptopa, nie powiedział jej żadnego komplementu, nawet się nie uśmiechnął.

- Znalazłem gnojka.

Jilly tak się starała poprawić swój wygląd, że spodziewała się komplementu, toteż w pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym Dylan mówi.

- Jakiego gnojka?

- Uśmiechniętego gnojka, który je orzeszki, wbija igły i kradnie samochody, tego gnojka.

Dylan wskazał na laptop. Zdjęcie na ekranie przedstawiało doktora Frankensteina, wyglądającego bardzo dostojnie i w niczym nieprzypominającego szaleńca, którym wydawał się wczoraj wieczorem.

27 Lincoln Merriweather Proctor - imię i nazwisko były pod każdym względem

mylące. „Lincoln” przywodził na myśl Abrahama, kojarzącego się z mądrością i prawością wielkich ludzi, którzy pochodzili z prostych rodzin. „Merriweather” dodawał mu lekkości, sugerując osobę wolną od trosk, może nawet skłonną do niepoważnych zachowań*. „Proctor” oznaczał osobę nadzorującą studentów, poważnego mentora pilnującego porządku i trwałości.

Ten Lincoln Merriweather Proctor był dzieckiem urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą, uczył się najpierw w Yale, potem na Harvardzie. Na podstawie szybkiej lektury fragmentów jego artykułów, które Dylan pokazał jej na ekranie laptopa, Jilly uznała, że Proctor wcale nie jest oazą spokoju, ale dręczą go megalomańskie wizje o absolutnym panowaniu nad naturą, zmierzającym do zupełnego wypaczenia jej praw. Dzieło jego życia - tajemnicza szpryca - w żaden sposób nie mogło się przyczynić do zachowania porządku i trwałości, raczej mogło wywołać niestabilność, strach, a nawet chaos.

Wyjątkowy talent Proctora znalazł potwierdzenie w dwóch doktoratach - z biologii molekularnej i fizyki - które uzyskał przed ukończeniem dwudziestego szóstego roku życia. Usilnie zabiegało o niego środowisko akademickie, ale i przemysł był zainteresowany, a Proctor skorzystał z obu propozycji, zajmując prestiżowe stanowiska; zanim skończył trzydzieści lat, założył własną firmę i błysnął największym geniuszem, gdyż zdobył dla swoich badań olbrzymi kapitał od biznesmenów, którzy mieli nadzieję, że jego odkrycia znajdą zastosowanie komercyjne i przyniosą krocie.

W swoich publikacjach i wystąpieniach Proctor nie zajmował się jednak tylko tworzeniem imperium przemysłowego, ale marzył o zreformowaniu społeczeństwa i w istocie miał nadzieję zmienić naturę całej ludzkości. W naukowych przełomach końca dwudziestego wieku i tych, które niewątpliwie miały nastąpić na początku dwudziestego pierwszego stulecia, upatrywał okazji do udoskonalenia człowieka i stworzenia utopijnego społeczeństwa.

Motywy, jakimi się rzekomo kierował - współczucie dla biednych i chorych, troska o równowagę ekologiczną planety, chęć krzewienia ogólnej równości i sprawiedliwości - były godne podziwu. Jednak czytając jego słowa, Jilly usłyszała w głowie łoskot maszerujących szeregów i brzęk łańcuchów w gułagach.

- Od Lenina do Hitlera, wszyscy utopiści są tacy sami - zgodził się Dylan. - Postanawiają za wszelką cenę udoskonalić społeczeństwo, a w rzeczywistości je niszczą.

- Ludzi nie da się udoskonalić. Przynajmniej tych, których znam.

- Uwielbiam naturę, dlatego ją maluję. W naturze wszędzie widać doskonałość. Doskonała sprawność pszczół w ulu. Doskonała organizacja mrowiska czy kolonii termitów. Ale piękno ludzkości bierze się z wolnej woli, naszej indywidualności, nieustannych zmagania z własną niedoskonałością.

- Piękno... i groza - dodała Jilly.

- W porządku, tragiczne piękno, ale właśnie to czyni nas tak odmiennymi od natury i jest cenne samo w sobie. W naturze nie ma tragedii, tylko procesy - dlatego brak też triumfów.

Ten niedźwiedziowaty mężczyzna o szerokiej twarzy, ubrany jak chłopak w spodnie khaki i wypuszczoną na wierzch koszulę, nie przestawał jej zadziwiać.

- W każdym razie - powiedział -- Proctor nie prowadził badań nad kartami pamięci podłączanymi do portów w mózgu, ale miałaś rację, że ten trop może nas na niego naprowadzić.

Sięgnął do klawiatury. Na ekranie laptopa wyświetliły się nowe materiały.

Wskazując jedno słowo w nagłówku, Dylan rzekł: - Oto droga, którą od dawna porusza się Proctor.

Czytając słowo nad jego palcem, Jilly powiedziała:

- Nanotechnologia. - Zerknęła na Shepa stojącego w kącie, spodziewała się, że poda definicję, ale wszystko wskazywało na to, że chłopak wciąż wciska głowę między ściany, jak gdyby chciał nadać czasce kształt klina idealnie dopasowanego do rogu.

- „Nano” w jednostce miary oznacza jedną miliardową - wyjaśnił Dylan. - Nanosekunda to jedna miliardowa sekundy. W tym wypadku oznacza jednak „bardzo mały, drobny”. Nanotechnologia - czyli maleńkie urządzenia, tak maleńkie, że nie widać ich gołym okiem.

Jilly zaczęła nad tym rozmyślać, ale koncepcja nanotechnologii nie była wdzięcznym tematem.

- Za małe, żeby je można zobaczyć? To z czego są zrobione takie maszyny?

Patrzył na nią wyczekująco.

- Na pewno z niczym ci się to nie kojarzy?

- A powinno?

- Niewykluczone - odparł tajemniczo. - W każdym razie takie nanomaszyny buduje się z paru atomów.

- Kto je buduje - elfy, duszki?

- Jakies dziesięć lat temu pokazywano w telewizyjnych wiadomościach logo IBM, które badacze firmy ułożyli zaledwie z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu atomów. Połączyli atomy ze sobą i unieruchomili, wyczarowując z nich trzy literki.

- Czeka, pamiętam. Byłam chyba w dziesiątej klasie. Nauczyciel pokazywał nam takie zdjęcie.

- Zrobiono fotografię aparatem podłączonym do silnego mikroskopu elektronowego.

- Ale to był przecież tylko maleńki napis, a nie maszyna - zaprotestowała Jilly. - Do niczego nie służył.

- Zgadza się, ale od tego czasu armia badaczy wsparta wielkimi funduszami pracuje nad projektami nanomaszyn, które będą działać. Maszyn, które już działają.

- Tycich maszyn dla duszków.

- Jeśli chcesz o nich myśleć w ten sposób, to w porządku. - Dlaczego?

- Kiedy udoskonali się te mikromaszyny, otworzą się niewiarygodnie wielkie, nieskończone możliwości ich wykorzystania, zwłaszcza w medycynie.

Jilly próbowała sobie wyobrazić przynajmniej jedną z możliwości wykorzystania tych maszyn wykonujących tycie zadania. Westchnęła.

- Spędziłam za dużo czasu na pisaniu dowcipów, opowiadaniu dowcipów i podkradaniu dowcipów innym. Teraz sama czuję się, jakby mi ktoś zrobił dowcip. Co to za możliwości?

Dylan wskazał ekran laptopa.

- Ściągnąłem wywiad, którego Proctor udzielił kilka lat temu. Słownictwo dość przystępne dla laika. Nawet ja zrozumiałem. - Możesz mi streścić?

- W porządku. Po pierwsze, parę możliwych zastosowań. Wyobraź sobie maszynę mniejszą niż komórka krwi, zbudowaną z paru atomów, ale taką, która umie rozpoznać płytkę miażdżycową na ścianach naczyń krwionośnych i potrafi ją bezpiecznie usunąć metodą mechaniczną. Wchodzi w interakcję biologiczną, ale składa się z obojętnych biologicznie atomów, więc jej obecność nie zaalarmuje twojego układu odpornościowego. A teraz wyobraź sobie, że dostajesz zastrzyk z setkami tysięcy takich nanomaszyn, a może nawet milionami. - Milionami?

Dylan wzruszył ramionami.

- W kilku centymetrach sześciennych na przykład glukozy zmieściłoby się parę milionów. Strzykawka byłaby mniejsza od tej, którą miał Proctor.

- Ciarki chodzą po plecach.

- Przypuszczam, że kiedy powstały pierwsze szczepionki, ludziom ciarki chodziły po plecach na myśl o tym, że będą im wstrzykiwać martwe zarazki, żeby stali się odporni na żywe.

- Mimo wszystko nadal mi się to nie podoba.

- W każdym razie miliony nanomaszyn będą bez końca krążyć po twoim ciele, szukając płytek miażdżycowych i delikatnie je zdrapując, tak że twój układ krwionośny będzie czysty jak łąka. Ta wiadomość zrobiła na Jilly wrażenie.

- Jeśli to kiedyś wejdzie na rynek, to koniec z poczuciem winy po zjedzeniu cheeseburgera. Wiesz co? Zaczyna mi się coś kojarzyć.

- Nic dziwnego.

- Ale czemu ma mi się kojarzyć?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Dylan rzekł:

- Nanomaszyny mogłyby wykrywać i eliminować kolonie komórek nowotworowych, zanim guz osiągnie wielkość główki szpilki.

- Trudno dostrzec w tym jakieś złe strony - odparła Jilly. - Ale wiemy, że na pewno jest jedna. Dlaczego jesteś taki tajemniczy? Czemu uważasz, że to powinno mi się z czymś kojarzyć?

Stojący w kącie Shep powiedział: - Tutam.

- Niech to szlag! - Dylan zerwał się gwałtownie z miejsca, przewracając krzesło.

- Tutam.

Jilly była bliżej Shepherda niż Dylan, znalazła się więc przy nim pierwsza. Podchodząc do niego, nie zauważyła niczego niezwykłego, żadnego czerwonego tunelu prowadzącego do Kalifornii ani gdzie indziej.

Shepherd nie pochylał się już, wciskając czołową część głowy w róg między ścianami. Stał wyprostowany z uniesioną głową, utkwivszy wzrok w czymś, czego Jilly nie widziała, a co najwyraźniej bardzo go zainteresowało.

Znów podniósł prawą rękę jak do przysięgi, lecz nie zaczął machać. Gdy Jilly stanęła obok niego, Shep wyciągnął dłoń przed siebie, sięgając do punktu w przestrzeni, w który patrzył, i

między palec wskazujący a kciuk wziął szczyptę... wyglądało, że szczyptę niczego. Kiedy jednak lekko skręcił tę szczyptę powietrza, róg pokoju zaczął się składać.

- Nie - powiedziała Jilly bez tchu i choć wiedziała, że Shepherd wzdryga się, gdy ktoś go dotyka, położyła dłoń na jego ręce. - Nie rób tego, skarbie.

Kawałki pasków trójkolorowej tapety, które wcześniej były niedopasowane tylko w rogu, teraz załamywały się pod różnymi kątami, a róg sypialni stał się tak zdeformowany, że Jilly nie widziała już linii biegnącej od podłogi do sufitu.

Dylan, który stanął po drugiej stronie Shepa, położył rękę na ramieniu brata.

- Zostań tu, bracie. Zostań, z nami jesteś bezpieczny. Ściany przestały się składać, lecz róg pozostał skrecony jak w surrealistycznej geometrii.

Jilly miała wrażenie, jakby patrzyła na ten fragment świata przez ośmioboczny pryzmat. Jej umysł buntował się przeciw czemuś, co przeczyło rozsądkowi, nawet bardziej niż tamten świetlisty tunel w ścianie.

Jilly nie zdejmowała ręki z dłoni Shepa, ale nie chciała się z nim siłować w obawie, że każdy ruch może dalej składać tu w tam, gdziekolwiek owo „tam” miało się tym razem znajdować.

- Rozprostuj to, kochanie - namawiała go, a głos jej drżał, jak gdyby marszczył się podobnie jak ściany. - Zostaw to, skarbie. Wyprostuj tak, jak ma być.

Shepherd nadal ścisnął kciukiem i palcem wskazującym cienki materiał rzeczywistości.

Wolno odwrócił głowę, aby spojrzeć na Jilly. Popatrzył jej prosto w oczy, tak jak zrobił dotąd tylko jeden jedyny raz, gdy siedział w fordzie przed domem w Alei Eukaliptusowej, tuż po nagłym wyjściu Dylana. Wtedy Shep, zaskoczony kontaktem, zaraz odwrócił wzrok.

Tym razem wytrzymał jej spojrzenie. Jego zielone oczy zdawały się głębokie jak dwa oceany i rozświetlone od wewnątrz. - Czujesz to? - zapytał.

- Co?

- Jak to działa, całą zupełność wszystkiego.

Pewnie spodziewał się, że przez jego dłoń Jilly poczuje to samo co on między kciukiem a palcem wskazującym, lecz ona dotykała tylko ciepłej skóry, twardych kości śródrezcza i kłykci. Spodziewała się wyczuć ogromne napięcie świadczące o wysiłku, jaki Shep musiał włożyć w ten niewiarygodny wyczyn. Wydawał się jednak zupełnie rozluźniony, jakby składanie jednego miejsca w drugie było proste niczym złożenie ręcznika.

- Czujesz całe piękno wszystkiego? - zapytał, zwracając się do niej z otwartością, która nie miała nic wspólnego z obojętnością charakterystyczną dla autyzmu.

Być może tajemna struktura rzeczywistości była piękna, ale bliskie spotkanie z jej tajemnicą nie wprawiło Jilly w taki zachwyt jak Shepa, a raczej przeszło lodowatym dreszczem porażenia. Nie chciała zrozumieć, tylko przekonać go, żeby zamknął tę bramę, zanim otworzy ją na oścież.

- Proszę cię, rozprostuj to, skarbie. Rozprostuj, żeby mogła poczuć, jak się rozkłada.

Jej ojciec został zastrzelony rok temu podczas nieudanej transakcji sprzedaży narkotyków, mimo to Jilly ogarnął dziwny lęk, że jeśli Shepherd nie przestanie składać tu w tam, za chwilę stanie oko w oko ze swoim okropnym starym. Często otwierała drzwi mieszkania i widziała tamten złowrogi uśmiech. Spodziewała się, że Shep umie otworzyć bramy piekieł z równą łatwością jak bramę do Kalifornii, doprowadzając do spotkania ojca z córką. „Przyszedłem po ubezpieczenie za oko, maleńka. Macie dodatek z ubezpieczenia za oko?”. Jak gdyby Shep mógł bezwiednie dać ojcu okazję, by wyciągnął rękę z zaświatów i spełnił tamtą groźbę sprzed lat, pozbawiając ją nie jednego, lecz obojga oczu.

Shep powoli odwrócił od niej wzrok i skupiał się ponownie na swoim kciuku i palcu wskazującym.

Wcześniej skręcił szczytę niczego w prawo. Teraz skręcił ją w lewo.

Przecinające się pod nieprawdopodobnymi kątami paski na tapecie wyprostowały się. Znowu było widać równą linię rogu pokoju, biegnącą od podłogi do sufitu, bez żadnych zygzaków. To, co Jilly przed chwilą oglądała jakby przez pryzmat, odzyskało prawidłowy wygląd.

Patrząc uważnie na punkt przestrzeni, który Shep nadal ścisnął w palcach, dostrzegła coś na kształt zmarszczki w powietrzu, jak na powierzchni błony filmowej albo cienkiej folii.

Potem Shep wyprostował palce, wypuszczając niezwykle materiał.

Nawet obserwując go z boku, Jilly zauważyła, jak jego zielone oczy zasnuwają się mgłą, głębia oceanu zmienia się w mieliznę, a zachwyty ustępuje miejsca... melancholii.

- Bardzo dobrze. - Dylan odetchnął z ulgą. - Dziękuję, Shep. Świetnie się spisałeś. Naprawdę dodsonale.

Jilly zdjęła dłoń z ręki Shepa, który zaraz ją opuścił. Opuścił też głowę, wbijając wzrok w podłogę, i zgarbił się, jak gdyby po krótkiej chwili swobody znowu przyjął na siebie ciężar autyzmu.

2 8 Dylan przystawił do biurka drugie krzesło od stołu pod oknem i wszyscy troje

usiedli przed laptopem w półkołu, z Shepem w środku, aby lepiej go pilnować. Chłopak opierał podbródek o pierś. Ręce trzymał na kolanach zwrócone wewnętrzną stroną w górę. Wyglądał, jakby wróżył sobie z dłoni: linia serca, linia głowy, linia życia - i wiele innych istotnych linii biegnących promieniście od sieci między kciukiem a palcem wskazującym, znanej jako anatomiczna tabakiera.

Matka Jilly potrafiła wróżyć z dłoni - nie dla pieniędzy, ale w poszukiwaniu nadziei. Mamy nie interesowały tylko linie serca, głowy i życia, ale także anatomiczna tabakiera, przestrzenie między palcami, nasada dłoni, kłęb kciuka i kłębik.

Jilly siedziała z ramionami skrzyżowanymi na piersi, trzymając pod pachami dłonie zwinięte w pięści. Nie lubiła wróżenia z ręki.

Wróżenie z ręki, z herbacianych fusów, interpretacja kart Tarota, stawianie horoskopów - Jilly nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Nigdy nie powierzyłaby losowi swojej przyszłości,

ani na minutę. Gdyby los chciał przejąć nad nią władzę, musiałby ją najpierw pozbawić przytomności i siłą zdobyć panowanie.

- Nanomaszyna - powiedziała Jilly, przypominając Dylanowi o przerwany wątku. - Szoruje ściany żył, zwalcza miażdżycę i szuka maleńkich grup komórek rakowych.

Dylan przez chwilę przyglądał się zmartwiony Shepowi, a potem skinął głową i spojrzał Jilly w oczy.

- Czyli wiesz, o co chodzi. W wywiadzie Proctor dużo mówi o nanomaszynach i nanokomputerach wyposażonych w taką pamięć, żeby zaprogramować dość skomplikowane zadania.

Mimo iż wszyscy troje stanowili żywy dowód na to, że Lincoln Proctor nie mówił głupstw, Jilly się zorientowała, że równie trudno uwierzyć jej w ten bełkot o cudach techniki jak w

zdolność Shepa do składania tu w tam. A może po prostu nie chciała wierzyć, ponieważ odkrycia niosły ze sobą koszmarnie konsekwencje.

- To śmieszne - powiedziała. - Jak można wcisnąć taką wielką pamięć do komputera mniejszego od ziarnka piasku?

- Mniejszego od drobiny kurzu. Proctor wyjaśnia to, odwołując się do historii: pierwsze krzemowe układy scalone były wielkości paznokcia i miały milion obwodów. Najmniejszy obwód miał grubość jednej setnej ludzkiego włosa.

- Mnie interesuje tylko, jak rozbawić publiczność, żeby parskała śmiechem - poskarżyła się.

- Potem nastąpił przełom w... zdaje się, że nazwał to litografią rentgenowską.

- Nazwij to sobie bełkotologią albo kołowatografią, jeśli masz ochotę. Mnie to i tak nic nie powie.

- W każdym razie dzięki jakiemuś przełomowi w kołowatografii udało się wydrukować miliard obwodów na jednym chipie, a każdy miał grubość jednej tysięcznej ludzkiego włosa. Potem dwa miliardy. Ale to się działo wiele lat temu.

- Może, ale kiedy ci ważni naukowcy dokonywali przełomowych odkryć, ja nauczyłam się na pamięć stu osiemnastu dowcipów o grubych tyłkach. Ciekawe, kto lepiej rozbawiłby towarzystwo na przyjęciu.

Myśl o krążących w jej krwi nanomaszynach i nanokomputerach przejęła ją takim dreszczem obrzydzenia, jakby co najmniej hodowała w piersi pozaziemskiego robala rodem z „Obcego”.

- Zmniejszając rozmiary układów scalonych - tłumaczył Dylan - projektanci zwiększyli równocześnie szybkość komputerów, działanie i pojemność. Proctor mówił o wieloatomowych

maszynach poruszanych nanokomputerami zrobionymi z jednego atomu.

- Komputery nie większe od atomu? Słuchaj, świat o wiele bardziej potrzebuje przenośnej pralki wielkości rzodkiewki. Jilly zaczęła odnosić wrażenie, że maleńkie, interaktywne biologicznie maszyny to los uwięziony w strzykawce. Los nie musiał się już do niej skradać, aby pozbawić ją przytomności; uwijał się w najlepsze po jej wnętrzu dzięki uprzejmości Lincolna Proctora.

- Proctor twierdzi - ciągnął Dylan - że protony i elektrony w atomie mogą służyć jako dodatnie i ujemne przełączniki, a obwody można wryć w neutronach, więc pojedynczy atom w nanomaszynie stanie się potężnym komputerem, który będzie nią sterował.

- Jeżeli o mnie chodzi - powiedziała Jilly - to pobiegnę do CostCo, kiedy tylko usłyszę, że sprzedają tam niedrogie tycie kuchenki mikrofalowe, które mogą służyć też jako ozdoba pepka.

Wcisnęła dłonie pod pachy, nie potrafiła się zmusić do słuchania Dylana, bo dobrze wiedziała, do czego prowadzą wszystkie te informacje i na myśl o tym ogarniał ją paraliżujący strach. Poczwała pod pachami wilgoć.

- Boisz się - rzekł Dylan.

- Nic mi nie jest.

- Wcale nie.

- Jasne, co mi przyszło do głowy? Przecież to nie ja wiem, czy coś mi jest, czy nie. Ty jesteś ekspertem od moich spraw, nie?

- Kiedy się boisz, twoje uwagi robią się tragicznie mało dowcipne.

- Jeżeli dobrze pogrzebiesz w pamięci - odparła - przypomnisz sobie, że w przeszłości nie miałam zbyt dobrego zdania o twojej amatorskiej psychoanalizie.

- Bo była celna. Słuchaj, boisz się, ja też się boję, Shep się boi, wszyscy się boimy, i nic w tym dziwnego. Wszyscy...

- Shep jest głodny - powiedział Shepherd.

Nie jedli śniadania. Zbliżała się pora lunchu.

- Niedługo pójdziemy na lunch - obiecał bratu Dylan.

- Cheez-ity - rzekł Shep, nie odrywając oczu od swoich dłoni.

- Zjemy coś lepszego niż cheez-ity, bracie. - Shep lubi cheez-ity.

- Wiem, bracie. - Zwracając się do Jilly, Dylan dodał: - To ładne kwadratowe krakersy.

- Co by zrobił, gdybyś mu dał te małe serowe krakersy w kształcie rybek... jak one się nazywają, Goldfish?

- Shep nie cierpi goldfishów - odparł natychmiast chłopak. - Są kształtowe. Okrągłe i kształtowe. Goldfishe są do kitu. Są za bardzo kształtowe. Są wstrętne. Goldfishe są do niczego. Do kitu, do kitu, do kitu.

- Trafiłaś w czuły punkt - zauważył Dylan.

- Nie będzie goldfishów - obiecała Shepowi Jilly. - Goldfishe są do kitu.

- Masz zupełną rację, skarbie. Są absolutnie kształtowe - powiedziała Jilly.

- Wstrętne.

- Tak, skarbie, są absolutnie wstrętne.

- Cheez-ity - powtórzył z uporem Shep.

Jilly chętnie spędziłaby resztę dnia na dyskusji o kształtach krakersów, gdyby mogła dzięki niej uniknąć słuchania szczegółowych opowieści o tym, co nanomaszyny mogą w tej chwili wyprawiać w jej ciele, lecz zanim zdążyła wspomnieć o ciastkach Wheat Thins, Dylan wrócił do strasznego tematu.

- W wywiadzie Proctor twierdzi nawet, że pewnego dnia człowiekowi będzie można wstrzyknąć...

Jilly się skrzywiła.

- Wstrzyknąć, no proszę.

- ...miliony nanomaszyn psychotropowych...

- Psychotropowych.

- ...które z krwią dostaną się do mózgu... Wzdrygnęła się.

- Maszyny w mózgu.

- ...i skolonizują mózg.

- Wstrętne - powiedział Shep, choć prawdopodobnie wciąż mówił o krakersach Goldfish.

- Proctor przewiduje, że nanomaszyny i nanokomputery wymuszą ewolucję mózgu.

- Dlaczego nikt wcześniej nie zabił tego sukinsyna?

- Mówi, że nanomaszyny będzie można tak zaprogramować, by analizowały strukturę mózgu na poziomie komórkowym i same znajdowały sposób jego ulepszenia.

- Chyba nie byłam na głosowaniu, kiedy wybierali Lincolna Proctora na nowego boga.

Jilly wyciągnęła ręce spod pach, otworzyła dłonie i przyjrzała się im. Cieszyła się, że nie umie wróżyć z ręki.

- Kolonie nanomaszyn utworzą nowe połączenia między różnymi płacami mózgu, nowe drogi nerwowe... Powstrzymała się, by nie dotknąć głowy, w obawie, że może poczuć przez czaszkę jakieś dziwne lekkie wibracje - niezbity dowód obecności nanomaszyn pracowicie zmieniających ją od środka.

- ...lepsze synapsy. Synapsy to miejsca styku między neuronami w połączeniu nerwowym wewnątrz mózgu, które ulegają zmęczeniu, kiedy myślimy albo za długo nie śpimy. Gdy się zmęczą, zwalniają nasz proces myślenia.

Ze śmiertelną powagą, nie siląc się na żaden dowcip, Jilly powiedziała:

- Przydałoby mi się teraz drobne zmęczenie synaps. Myśli zdecydowanie za szybko przelatują mi przez głowę.

- Wywiad jest jeszcze dłuższy - rzekł Dylan, znów wskazując na ekran laptopa. - Przejrzałem dalszą część, ale znalazłem żargon, którego po prostu nie rozumiałem, jakaś bełkotologia, zakręt zaśrodkowy i zakręt przedśrodkowy, komórki Purkinjego... i tak dalej, same terminy dla wtajemniczonych. Ale z tego, co zrozumiałem, wiem, że wpakowaliśmy się w poważne tarapaty.

Jilly nie mogła się już dłużej opanować i przycisnęła palce do skroni. Nie wyczuła żadnych wibracji.

- Boże, strach pomyśleć. Miliony maleńkich nanomaszyn i nanokomputerów skaczą ci w głowie, uwijają się niczym rój pszczoł, jak mrówki, wszystko zmieniają... to nie do zniesienia, nie sądzisz?

Poszarzała twarz Dylana była widowym znakiem, że jego optymizm, jeśli zupełnie się nie wypalił, na pewno przygasł jak zasypany żar.

- Nie mamy wyboru, musimy to znosić, musimy o tym myśleć. Chyba że wybierzemy sposób Shepa. Ale kto wtedy pokroi nam jedzenie w kwadraty i prostokąty?

Rzeczywiście, Jilly nie miała pojęcia, czy prędzej podda się panice, gdy będą rozmawiać o tej maszynowej infekcji, czy jeśli w ogóle nie będą o tym mówić. Czowała, jak przyczaił się w niej strach, niczym dziki czarny ptak trzepoczący skrzydłami, i wiedziała, że jeżeli nie uda się jej go uspokoić i zatrzymać, jeżeli pozwoli mu ulecieć z klatki, nigdy nie zdoła go sprowadzić z powrotem; wiedziała też, że gdy ptak zacznie wściekle tłuc skrzydłami o ściany jej umysłu, razem z nim uleci zdrowy rozsądek, wtrącając ją w otchłań obłądu.

- Czuję się, jakby ktoś mi powiedział, że mam chorobę szalonych krów albo pasożyty w mózgu - wyznała.

- Tyle że to miało być dobrodziejstwo dla ludzkości.

- Dobrodziejstwo? Założę się, że gdzieś w wywiadzie ten kretyn użył sformułowania „rasa panów” albo „superrasa”, albo czegoś w tym guście.

- Zaraz ci powiem. Od dnia, w którym Proctor wymyślił, że można wykorzystać nanotechnologię do ewolucji mózgu, wiedział już, jak będą się nazywać ludzie, których podda temu zabiegowi. „Proctorianie”.

Nagły wybuch niepohamowanego gniewu doskonale odwrócił uwagę Jilly od własnego przerażenia i pozwolił utrzymać ptaka w klatce.

- Co za egoistyczny, zakochany w sobie świr! - To bardzo trafny opis - zgodził się Dylan.

Shep, który najwyraźniej wciąż rozmyślał o wyższości kwadratowych krakersów nad wstrętnie kształtowymi goldfishami, powiedział,

- Cheez-ity.

- Wczoraj wieczorem - rzekł Dylan - Proctor mówił, że gdyby nie był tchórzem, sam by to sobie wstrzyknął.

- Gdyby nie dał się łaskawie wysadzić w powietrze - oświadczyła Jilly - sama zrobiłabym kretynowi zastrzyk, o wiele większą strzykawką, wpompowałabym mu wszystkie te nanomaszyny do mózgu przez tyłek.

Dylan uśmiechnął się blado. - Tyle w tobie złości.

- Tak. Dobrze się z tym czuję.

- Cheez-ity.

- Proctor powiedział mi, że nie może być dla nikogo wzorem do naśladowania - rzekł Dylan.

- Że duma nie pozwala mu na skruchę. Gadał o swoich wadach.

- Co? Mam zapłakać ze współczucia?

- Przypominam sobie tylko, co mi mówił,

Drażniąca świadomość, że nanomaszyny buszują w jej szarych komórkach, oraz święte oburzenie sprawiły, że Jilly nie mogła dłużej usiedzieć w miejscu. Z rozgorączkowania rozpierała ją ogromna energia, dzięki której mogłaby pobiec na dłu-gim dystansie albo zafundować sobie porcję dynamicznego aerobiku - albo najlepiej znaleźć kogoś, komu trzeba skopać tyłek i kopać, dopóki nie rozbolełaby jej stopa, dopóki mogła-by unieść nogę.

Jilly poderwała się tak gwałtownie, że Dylan drgnął i też w jednej chwili zerwał się z krzesła. Shep także wstał, i to szybciej niż zwykle.

- Cheez-ity - powiedział, ścisnął w palcach szczyptę niczego, skreślił i złożył wszystkich troje z pokoju motelowego.

29

Jako ujmująca, atrakcyjna kobieta, która bywała zabawna i miała świeży

oddech, Jillian Jackson często zapraszali na lunch młodzi mężczyźni, doceniający jej zalety - ale nigdy przedtem nie została na lunch złożona.

Właściwie nie była świadkiem tego złożenia, nie widziała, jak staje się czymś w rodzaju rozkładówki dziewczyny miesiąca w „Playboyu”, i nie poczuła żadnego dyskomfortu. Tandetny pokój motelowy i meble momentalnie zmięły się w dziwacznie zestawione ze sobą fragmenty, a potem zagięły się, zmarszczyły, skrzyżowały i zniknęły jej z oczu. W jej stronę zaczęły się natomiast rozkładać skośne kawałki jakiegoś innego miejsca, jak gdyby przechodziły przez nikiący pokój. Tam gdzie przed chwilą byli, panował rozjaśniony światłem lampy półmrok, a punkt docelowy był zalany słońcem, więc przez chwilę Jilly miała wrażenie, jakby zamknięto ją w gigantycznym kalejdoskopie, a jej cały świat to tylko mieszanina kolorowych fragmentów mozaiki, które właśnie zmieniają wzór, przechodząc z ciemnego deseni w jasny.

Obiektywnie czas przejścia mógł wynosić zero; być może przemieścili się stąd tam w mgnieniu oka, jednak według subiektywnej oceny Jilly trwało to trzy lub cztery sekundy. Gumowe podeszwy jej sportowych butów ześliznęły się z dywanu, a potem przejechały kilka cali po betonie i stwierdziła, że stoi z Dylanem i Shepherdem przed drzwiami restauracji.

Shepherd złożył ich z powrotem do restauracji w Safford, gdzie zeszłego wieczoru jedli kolację. Jilly pomyślała, że źle się stało, bo to właśnie w Safford Dylan poznał starego kowboja, Bena Tannera, z jego dawno zaginioną wnuczką, a na domiar złego na tutejszym parkingu spuścił solidne lanie Lucasowi Crockerowi, po czym zadzwonił na policję z informacją, że Crocker trzyma swoją matkę, Noreen, skutą łańcuchami w piwnicy. Gdyby nawet w restauracji nie było o tej porze żadnej z osób, które pracowały wczoraj na wieczornej zmianie, ktoś mógłby rozpoznać Dylana na podstawie opisu, a co najmniej jeden gliniarz wróciłby dziś obejrzyć miejsce zdarzenia w dziennym świetle.

Po chwili zorientowała się, że jest w błędzie. Wcale nie byli w Safford. Lokal wyglądał podobnie jak tamten, ponieważ obydwie zbudowano w tym samym pozbawionym polotu, lecz tradycyjnym stylu architektonicznym typowym dla restauracji motelowych na całym Zachodzie: miał szerokie zadaszenie osłaniające duże okna przed pustynnym słońcem i niskie ściany z kamiennych płyt pod oknami, a przed wejściem stały wyłożone takimi samymi płytami klomby, w których rośliny walczyły o przetrwanie w upale.

Był to bar sąsiadujący z motelem, z którego właśnie zniknęli, aby się tu złożyć. Z południowej strony znajdowała się recepcja, a za nią ciągnęło się osłonięte przejście prowadzące przez długie skrzydło pokoi, z których przedostatni należał do nich. Shepherd złożył ich na odległość czterystu czy pięciuset stóp.

- Shep jest głodny.

Jilly obejrzała się prawie pewna, że zobaczy otwartą bramę podobną do tamtej ze wzgórze w Kalifornii, którą знаła z opisu Dylana, tyle że ta nie powinna przedstawiać widoku łazienki motelowej, lecz pustą sypialnię, którą opuścili parę chwil temu. Najwyraźniej jednak tym razem Shepherd natychmiast zamknął bramę, bo za nimi lśnił w ostrym słońcu południa tylko asfalt parkingu.

Dwadzieścia stóp od nich z pikapa wyposażonego w uchwyt na strzelbę wysiadał młody człowiek w ubraniu roboczym i sfatygowanym kowbojskim kapeluszu. Spojrzał na nich ze zdumieniem, ale nie wykrzyknął oskarżycielskim tonem „Teleporterzy” ani „Proctorianie”, ani nic podobnego. Wydawał się jedynie lekko zdziwiony, że nie zauważył ich wcześniej.

Żaden z mknących ulicą samochodów nie wjechał na krawężnik, nie roztrzaskał się o słup ani nie walnął w kufer auta jadącego z przodu. Sądząc po reakcji kierowców, żaden nie widział, jak troje ludzi zmaterializowało się nie wiadomo skąd.

Nikt w barze nie rzucił się do okna, co znaczyło, że nikt zapewne nie patrzył w stronę wejścia, gdy Jilly, Dylan i Shepherd zamienili dywan w pokoju na beton chodnika przed drzwiami restauracji.

Dylan rozejrzał się, niewątpliwie dochodząc do tych samych wniosków co Jilly, a gdy popatrzył jej w oczy, powiedział:

- W sumie wołałbym jednak przyjść tu pieszo.

- Do diabła, ja bym nawet wołała, żeby mnie przywleczono końmi.

- Zdawało mi się, że doszliśmy do porozumienia w tej sprawie, bracie - zwrócił się Dylan do Shepa.

- Cheez-ity.

Mijając ich, młody mężczyzna z pikapa dotknął runda kapelusza.

- Siemacie, ludzie.

- Po czym wszedł do baru.

- Bracie, to nie może wejść ci w nawyk.

- Shep jest głodny.

- Wiem, to moja wina, powinienem zaprowadzić cię na śniadanie, gdy tylko wyszedłeś spod prysznic. Ale nie możesz składać się do restauracji, kiedy tylko będziesz miał ochotę. Tak nie wolno, Shep. Naprawdę nie wolno. To bardzo niegrzeczne.

Zgarbiony, ze spuszczoną głową i nie mówiąc ani słowa, Shep wyglądał żałośniej niż basset. Widać było, że reprimenda brata wzbudziła w nim ogromne poczucie winy.

Jilly zapragnęła go przytulić. Bała się jednak, że Shep złoży ich dwoje do lepszej restauracji, zostawiając tu Dylana, a ona nie wzięła ze sobą torebki.

Współczuła też Dylanowi. Aby wyjaśnić bratu wszystkie zawiłości sytuacji i skutecznie przekonać go, że publiczne dokonywanie cudu składania stąd tam może ich narazić na poważne niebezpieczeństwo, musiał skłonić Shepherda do takiego kontaktu i skupienia uwagi, które zdawały się przerastać jego możliwości.

Dlatego Dylan postanowił niczego nie wyjaśniać. Spróbował otwarcie i stanowczo oznajmić mu, że powinien się wstydzić, gdy ktoś zobaczy go w trakcie składania.

- Shep - zaczął Dylan. - Nie poszedłbyś chyba załatwić się publicznie, prawda?

Shepherd nie odpowiedział.

- Prawda? Nie nasilałbyś na chodnik, gdzie wszyscy mogliby cię widzieć. Prawda? Zaczynam myśleć, że jednak potrafiłbyś to zrobić.

Shepherd skulił się na myśl, że mógłby zrobić sobie toaletę w miejscu publicznym, mimo to nie zaczął się bronić przed tym oskarżeniem. Z nosa skapnęła mu kropelka potu, znacząc ciemną plamkę na chodniku u jego stóp.

- Czy mam uważać to milczenie za potwierdzenie? Naprawdę ulżyłbyś sobie tu, na chodniku? Taki jesteś, Shep? Takie masz zwyczaje?

Zważywszy na patologiczną nieśmiałość Shepherda i jego obsesję czystości, Jilly doszła do wniosku, że chłopak wolałby

raczej zwinąć się w kłębek na jezdni w pałącym słońcu i umrzeć z odwodnienia, niż załatwić publicznie swoje potrzeby.

- Shep - ciągnął nieubłaganie Dylan. - Jeżeli nie możesz mi odpowiedzieć, muszę przyjąć, że wysykałbyś się publicznie, że wysykałbyś się wszędzie tam, gdzie miałbyś ochotę.

Shepherd przestępował z nogi na nogę. Kolejna kropla potu spłynęła mu z nosa. Było wprawdzie gorąco, ale on najwyraźniej pocił się ze zdenerwowania.

- Przechodziłaby tędy jakaś miła staruszka, a ty mógłbyś obsikać jej buty - rzekł Dylan. - Shep, naprawdę muszę się martwić takimi rzeczami? Shep? Shep, powiedz coś.

Po niemal szesnastu godzinach intensywnej znajomości z braćmi O'Connerami Jilly rozumiała, że czasem Dylan musi drążyć sprawę z wytrwałością, a nawet uporem, aby skupić na sobie uwagę Shepherda i osiągnąć pożądany efekt. Jego podziwu godna nieustępliwość mogła jednak czasem sprawiać nieprzyjemne wrażenie, że umyślnie męczy autystycznego brata, a nawet złośliwie się nad nim znęca.

- Przechodziłaby tędy jakaś miła staruszka z księdzem i zanim zorientowałbym się, o co chodzi, ty obsikałbyś im buty. Masz zamiar to zrobić, Shep? Naprawdę, bracie? Chcesz teraz to zrobić?

Obserwując zachowanie Dylana, można było zauważyć, że poddając brata tej torturze, cierpi nie mniej od niego. Jego głos zabrzmiał bardziej ostro i natarczywie, a twarz ściągnęła się nie w grymasie zniecierpliwienia czy gniewu, ale bólu. Jego oczy wyrażały szczery żal i udrękę.

- Naprawdę, Shep? Nagle postanowiłeś robić brzydkie i wstrętne rzeczy? Tak, Shep? Naprawdę, Shep? Shepherd, naprawdę?

- N-nie - odezwał w końcu Shep.

- Co powiedziałeś? Shep, czyżbyś powiedział „nie”?

- Nie. Shep powiedział „nie”.

- Nie zaczniesz sikać staruszkom na buty?

- Nie.

- Nie będziesz robić publicznie wstrętnych rzeczy?

- Nie.

- Cieszę się, Shep. Bo zawsze uważałem cię za dobre dziecko, zawsze byłeś bardzo grzeczny. Cieszę się, że dalej chcesz być grzeczny. Bardzo byś mnie zranił, gdybyś nagle zaczął źle się zachowywać. Wielu ludzi czuje się urażonych, kiedy widzą, jak składasz jedno miejsce w drugie. To ich razi, tak samo jakbyś obsikał im buty.

- Naprawdę? - spytał Shep.

- Tak. Naprawdę. Czują obrzydzenie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Dlaczego?

- A dlaczego ciebie brzydzą małe serowe goldfishe? - zapytał Dylan.

Shep nie odpowiedział. Wpatrując się w chodnik, zmarszczył brwi, jak gdyby nie bardzo rozumiał, z jakiego powodu rozmowa zoczyła nagle na krakersy w kształcie rybek.

Powietrze było za gorące dla ptaków. Słońce odbijało się od szyb i prześlizgiwało po lakierowanych powierzchniach aut, które śmigały jak zmienne kształty ze snu. Po drugiej stronie ulicy przez falujące od żaru powietrze drgał obraz drugiego motelu i stacji benzynowej, niczym półprzezroczystych budowli widzianych w mirażu.

Zaledwie parę chwil temu Jilly magicznym sposobem złożyła się z jednego miejsca w drugie i oto stali w surrealistycznej scenerii, mając przed sobą przyszłość, która z pewnością bardziej przypominała halucynację niż rzeczywistość, mimo to rozmawiali o czymś tak przyziemnym jak krakersy serowe. Być może absurdalność była dowodem na to, że człowiek żyje, że nie śni ani nie umarł, ponieważ w snach dominowały zagadki i strach, a nie absurdalność rodem z Abbotta i Costella, natomiast po śmierci na pewno było mniej absurdów i nedorzecznosci niż w życiu, bo gdyby rzecz miała się inaczej, życie pozagrobowe nie miałyby żadnego sensu.

- Dlaczego brzydzą cię małe serowe goldfishe? - powtórzył Dylan. - Dlatego że są trochę okrągłe?

- Kształtowe - powiedział Shepherd.

- Są okrągłe? i kształtowe, dlatego się ich brzydzisz. - Kształtowe

- Ale wielu ludzi lubi goldfishe, Shep. Wielu ludzi jada je codziennie.

Shep wzdrygnął się na myśl o zdeklarowanych wielbicielach goldfishów.

- Shep, chciałbyś, żeby ktoś cię zmusił do oglądania ludzi, którzy na twoich oczach jedliby goldfishe?

Pochylając nieco głowę, żeby lepiej widzieć jego twarz, Jilly zobaczyła, jak Shep krzywi się ze zgrozą.

Dylan naciskał dalej.

- Nawet gdybyś zamknął oczy, żeby ich nie widzieć, chciałbyś siedzieć między dwiema osobami jedzącymi goldfishe i słuchać głośnego chrupania?

Shepherd zakrztusił się z autentycznym wstrętem.

- Lubię goldfishe, Shep. Ale nie jem ich dlatego, że się nimi brzydzisz. Jem cheez-ity. Chciałbyś, żebym zaczął jeść goldfishe i zostawiał je na widoku? Chciałbyś je ciągle znajdować w najmniej spodziewanych miejscach? Dobrze byś się czuł, Shep? Shepherd energicznie pokręcił głową.

- Dobrze byś się czuł? Powiedz, Shep, dobrze?

- Nie.

- Są rzeczy, które nas nie razią, ale mogą razić innych, musimy więc szanować uczucia innych ludzi, jeżeli chcemy, żeby szanowali nasze.

- Wiem.

- To dobrze. Czyli nie jemy goldfishów w obecności niektórych ludzi...

- Nie jemy goldfishów.

- ...i nie sikamy w publicznych miejscach...

- Nie sikamy.

- ...i nie składamy miejsca w miejsce, jeżeli ktoś nas może zobaczyć.

- Nie składamy.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie składamy - powiedział Dylan.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie składamy - powtórzył Shep.

Choć wyraz udręki nie zniknął z jego twarzy, Dylan przemówił cichym i bardziej czułym tonem:

- Jestem z ciebie bardzo dumny. I kocham cię, Shep. Wiesz? Kocham cię, bracie. - Głos mu się załamał i Dylan odwrócił się od brata. Nie patrzył też na Jilly, bo może gdyby spojrzął, przestałby nad sobą panować. Zaczął uważnie oglądać swoje wielkie dłonie, jak gdyby dokonał nimi czegoś bardzo wstydlwego. Kilka razy głęboko i powoli odetchnął, po czym znów powiedział do zakłopotanego Shepa: - Wiesz, że bardzo cię kocham?

- W porządku - odrzekł cicho Shep.

- W porządku - powtórzył Dylan. - No to w porządku. Shepherd otarł spoconą twarz ręką, którą potem osuszył o nogawkę spodni.

- W porządku.

Gdy Dylan w końcu popatrzył Jilly w oczy, przekonała się, ile kosztowała go rozmowa z Shepem, zwłaszcza jej pierwsza

część, kiedy pastwił się nad bratem. Jej głos też lekko załamywał się ze wzruszenia.

- Co... co teraz?

Dylan sprawdził, czy ma portfel. - Teraz idziemy na lunch.

- Zostawiliśmy w pokoju włączony komputer.

- Nic mu nie będzie. Pokój jest zamknięty. Na drzwiach wisi tabliczka „Nie przeszkadzać”.

Promienie słońca wciąż odbijały się od przejeżdżających samochodów jak strugi płynnego światła. Druga strona ulicy migotała jak fantasmagoria.

Jilly spodziewała się usłyszeć srebrzysty śmiech dzieci, poczuć woń kadzidla i ujrzeć kobietę w mantyli siedzącą w kościelnej ławce na parkingu, poczuć wiatr wywołany łopotem skrzydeł stada białych ptaków, które sfrunęłyby nagle z pustego dotąd nieba.

Potem Shepherd, nie podnosząc głowy, nieoczekiwanie wziął ją za rękę. Chwila stała się zbyt rzeczywista na wizje. Weszli do środka. Jilly prowadziła Shepa, aby nie musiał podnosić oczu i narażać się na kontakt wzrokowy z nieznanymi. Biorąc pod uwagę temperaturę na zewnątrz, można było odnieść wrażenie, że powietrze do restauracji pompuje się prosto z Arktyki. Jilly nie czuła chłodu.

+**

Myśl o setkach tysięcy milionów mikroskopijnych maszyn uwijających się w jego mózgu zupełnie odebrała apetyt Dylanowi, który jadł bez żadnej przyjemności, jak na ironię prawie niczym maszyna pobierająca porcję paliwa.

Kiedy przed Shepem postawiono danie złożone z grzanki z serem zrobionej z chleba bez okrągłej skórki, podzielonej na cztery kwadratowe kawałki, frytek bez ostrych końcówek,

ogórków konserwowych, z których Dylan uformował prostokątne słupki, oraz grubych plastrów pomidorów także pokrojonych w kwadraty, chłopak zaczął jeść z widocznym zadowoleniem.

Mimo że Shep jadł palcami - nie tylko grzanekę, frytki i ogórki, ale także pokrojone pomidory - Dylan nawet nie próbował przypominać mu o konieczności użycia widelca. Na maniery przy stole był odpowiedni czas i miejsce, ale tu i teraz powinni się przede wszystkim cieszyć, że żyją i mogą w spokoju zjeść posiłek.

Zajmowali boks przy oknie, chociaż Shep nie lubił, gdy „patrzyli na niego ludzie w środku i ludzie z zewnątrz”. Szyby

w oknach były jednak mocno przyciemnione, chroniły wnętrze restauracji przed oślepiającym światłem słonecznym, toteż z ulicy niewiele można było zobaczyć.

Poza tym wszystkie boksy w tym lokalu rozmieszczono wzdłuż okien, a zwykłe stoliki ustawiono tak blisko siebie, że w miarę jak gęstniałby tłum gości, Shep szybko zacząłby okazywać niepokój. Fizyczne bariery boksów zapewniały im odpowiedni stopień prywatności, a po niedawnej reprimendzie Shep popadł w zmienny nastrój.

Dylan czuł wibrujący dotyk odcisków psychicznych na menu i sztucach, lecz doszedł do wniosku, że coraz lepiej idzie mu wyciszanie tych impulsów.

Dylan i Jilly prowadzili bezsensowną pogawędkę o zupełnie nieistotnych rzeczach, takich jak ulubione filmy, jak gdyby rozrywka rodem z Hollywood mogła mieć teraz jakiegokolwiek znaczenie dla nich, skoro zostali oddzieleni od reszty ludzkości i najprawdopodobniej godzinami będą przeżywać rzeczy sięgające daleko poza ludzkie doświadczenie.

Wkrótce pogaduszki o filmach zaczęły się wydawać nie tylko błahe, ale zupełnie dziwaczne, jakby były bohaterską próbą ucieczki przed rzeczywistością, więc Jilly powoli skierowała rozmowę na ich sytuację. Nawijając do zawilej logiki, dzięki której Dylan zdołał uświadomić bratu, że składanie w miejscu publicznym jest równie źle widziane jak sikanie na buty staruszkom, powiedziała:

- To było kapitalne.

- Kapitalne? - Pokręcił przecząco głową. - To było podłe. - Nie. Nie rób sobie wyrzutów.

- Ale jednak było podłe. Nie cierpię tego, chociaż kiedy trzeba, umiem to robić całkiem nieźle.

- Trzeba go było przekonać - odparła. - I to szybko.

- Nie szukaj dla mnie usprawiedliwień. Może mi się spodobać i sam ich zacznę szukać.

- Nie do twarzy ci z tym ponuractwem, O'Conner. Bardziej podobałeś mi się jako irracjonalny optymista.

Uśmiechnął się.

- Ja też się sobie bardziej podobałem.

Połknęła ostatni kęs kanapki z wędliną i sałatą, popiła łykiem coorsa, a potem westchnęła i powiedziała:

- Nanomaszyny, nanokomputery... jeżeli to małe cholerstwo poprawia mi teraz inteligencję, dlaczego ciągle nie potrafię ogarnąć rozumem tego wszystkiego?

- Niekoniecznie poprawiają nam inteligencję. Po prostu nas zmieniają. Nie zawsze na lepsze. A właśnie, Proctor uznał, że niezręcznie mówić o nanomaszynach sterowanych przez nanokomputery, więc wymyślił nowe słowo na określenie połączenia tych dwóch rzeczy. Nanoboty. Kombinacja „nano” i „roboty”.

- Śliczna nazwa wcale nie sprawia, że są mniej straszne. - Jilly zmarszczyła brwi i potarła kark, jak gdyby poczuła chłód. - Znowu deja vu. Nanoboty. Coś mi świta. Wtedy w pokoju mówileś, jakbyś się spodziewał, że coś o tym wiem. Dlaczego?

- Ten tekst, który miałeś przeczytać z ekranu, a który ci streściłem... to był zapis godzinowego wywiadu, którego Proctor udzielił w twoim ulubionym programie radiowym.

- U Parisha Lanterna?

- W ciągu pięciu lat Proctor był jego gościem trzy razy, trzeci raz przez dwie godziny. Czyli mogłaś go raz słyszeć.

Jilly zamyśliła się na moment nad nową okolicznością, ale płynące z niej wnioski nie wzbudziły jej entuzjazmu.

- Może już lepiej zacznę się martwić przemieszczaniem bieguna magnetycznego Ziemi i pijawkami mózgowymi z innej rzeczywistości.

Z ulicy zjechał na parking jakiś samochód i przemknął obok restauracji z tak nierozsądną prędkością, że ryk silnika i błysk za oknem zwróciły uwagę Dylana. Czarny chevrolet suburban. Na dachu nad przednią szybą miał zamontowane cztery reflektory, które nie należały do standardowego wyposażenia suburbanów. Jilly też zauważyła samochód.

- Nie. Jak mogli nas znaleźć?

- Może po tym, co zdarzyło się w Safford, powinniśmy jeszcze raz zmienić tablice.

Czarne auto zatrzymało się przed biurem motelu, tuż obok restauracji.

- Może ten szczurek na stacji, Skipper, zaczął coś podejrzewać.

- Jest setka takich „być może”.

Dylan siedział twarzą do motelu, lecz Jilly miała miejsce akcji za plecami. Albo część miejsca akcji. Pokazała, stukając palcem w szybę.

- Dylan. Po drugiej stronie ulicy.

Przez przyciemnione okno i drżące od gorąca powietrze, które unosiło się ze spieczonej jezdni, Dylan ujrzał drugiego czarnego chevroleta przed motelem naprzeciwko.

Przełykając ostatni kęs lunchu, Shep powiedział:

- Ciasto.

Ze swojego miejsca, nawet gdyby przycisnął twarz do szyby, Dylan nie mógł zobaczyć całego chevroleta, który zaparkował koło recepcji. Połowa samochodu znajdowała się jednak w jego polu widzenia i ujrzał dwóch mężczyzn, którzy wysiedli od strony kierowcy. Ubrani w lekkie, jasne stroje, odpowiednie do pogody w miasteczku na pustyni, wyglądali jak golfiści zmierzający na popołudniową partię: niezwykle wysocy golfiści, niezwykle wysocy i groźnie wyglądający golfiści.

- Proszę - przypomniał sobie Shep. - Proszę o ciasto.

3 0 Dylan przyzwyczaił się, że jest jedną z najwyższych osób prawie w każdym gronie, ale dwaj drągale, którzy wysiedli z chevroleta, wyglądali, jakby spędzili ranek na rodeo, wyrzucając w powietrze kowbojów i biorąc ich na rogi. Zniknęli za samochodem, kierując się w stronę biura.

- Chodźmy - rzucił krótko Dylan, wysunął się z boksu i wstał.

Jilly zerwała się natychmiast, ale Shep nawet się nie ruszył. Z pochyloną głową, wpatrując się w pusty talerz, powiedział: - Proszę o ciasto.

Gdyby nawet podano mu trójkątny kawałek zamiast kwadratowego, jeden zaokrąglony koniec ciasta można było łatwo spłaszczyć. Poza tym trójkąt był odpowiednio kanciasty, bez krzywizn, zdecydowanie niekształtowy. Shep uwielbiał ciasto.

- Zjemy ciasto - skłamał Dylan. - Ale najpierw pójdziemy do toalety, bracie.
- Siku? - spytał Shep.
- Siku - potwierdził cicho Dylan, chcąc uniknąć robienia sceny w restauracji.
- Shep nie musi siku.

Ze względu na przepisy przeciwpożarowe i konieczność przyjmowania dostaw restauracja na pewno miała tylne wyjście; aby tam jednak dotrzeć, na pewno musieliby przejść przez kuchnię, co spowodowałoby za dużo zamieszania, nawet gdyby im pozwolono skorzystać z tej drogi. Nie śmieli wyjść frontowymi drzwiami z obawy, że zauważą ich pseudogolfiści. Pozostała im tylko jedna droga.

- Możliwe, że przez pewien czas nie będziesz miał okazji. Lepiej chodźmy teraz - wyjaśnił Dylan.

- Nie chcę siku. Zjawiła się kelnerka. - Podać coś jeszcze?
- Ciasto - powiedział Shep.
- Moglibyśmy zobaczyć listę deserów w menu? - zapytał Dylan.
- Ciasto.

- Myślałam, że już państwo wychodzą.

- Idziemy tylko do toalety - zapewniła ją Jilly. Gdy kelnerka zmarszczyła brwi, Jilly dodała: - Osobno.

Wyciągając bloczek z kieszeni fartucha, kelnerka oznajmiła: - Mamy świetne ciasta. - Z pieczolowicie ułożonej i upiętej rudej fryzury wydobyła ołówek. - Kokosowe, torcik szwarwaldzki, cytrynowe i cytrynowo-orzechowe.

- Nie chcemy zamawiać ciasta dla wszystkich - odrzekł Dylan. - Chcielibyśmy dostać menu.
- Ciasto - powiedział Shepherd.

Gdy kelnerka oddaliła się, żeby przynieść im menu, Dylan powiedział:

- Chodź, Shep.
- Ciasto. Kokosowe... - Najpierw siku, Shep.
- ...torcik szwarwaldzki...

Mężczyźni z czarnego chevroleta byli już pewnie w recepcji. - ...cytrynowe...

Jeżeli mieli przy sobie jakieś dokumenty policyjne, pokazują je już recepcjoniście.

- ...i cytrynowo-orzechowe.

Jeżeli nie mieli dokumentów, postarają się uzyskać żądane informacje metodą zastraszenia.

- Jak nie zrobisz siku - półgłosem poinformował Shepa Dylan - nie będzie ciasta.

Oblizując wargi na myśl o cieście, Shep rozważał ultimatum. - Dylan - powiedziała cicho, lecz z widocznym przejęciem Jilly. - Okno.

Spod motelu naprzeciwko nadjechał drugi czarny chevrolet suburban. Zaparkował za pierwszym, który stał przed recepcją obok restauracji.

Dylan nie chciał chwycić brata za rękę i siłą wyciągać go z boksu, chyba że nie miałyby już absolutnie żadnego wyboru. Gdyby to zrobił, prawdopodobnie chłopak poszedłby za nim, choć niekoniecznie byłby skłonny do współpracy. Nie stawiałby

zaciętego oporu, ale gdy się uparł, potrafił tkwić w miejscu jak zaklinowana ośmiornica.

Kelnerka wzięła menu ze swojego stanowiska i ruszyła w drogę powrotną do ich boksu.

- Bez siku nie będzie ciasta? - zapytał Shepherd. - Bez siku nie będzie ciasta.
- Najpierw siku, potem ciasto? - upewnił się Shep. - Najpierw siku, potem ciasto - przytaknął Dylan. Shepherd wysunął się z boksu.

Kiedy wstał, przyszła kelnerka, położyła menu na stole i spytała:

- Podać kawę?

Dylan zobaczył, jak otwierają się drzwi wejściowe. Od szklanej tafli odbiło się jaskrawe światło słońca, a z miejsca, gdzie stał, z boku, nie mógł zobaczyć, kto wchodzi, dopóki gość nie znalazł się w środku.

- Dwie kawy - poprosiła Jilly.

Próg przekroczyło dwoje starszków. Mieli zapewne ponad osiemdziesiąt lat. Choć nie uginali się pod brzemieniem wieku i wyglądali dość czerstwo, na pewno nie byli mordercami.

- Mleko - wymamrotał Shep.

- Dwie kawy i mleko - powiedział do kelnerki Dylan. Szklanka, z której będzie pił mleko, jest zapewne okrągła; jednak samo mleko nie było okrągłe. Nie było kształtowe, lecz bezkształtne, a Shepherd nigdy nie miał żadnych uprzedzeń wobec jedzenia tylko z powodu formy naczynia, w którym je podawano. - Ciasto - powiedział Shep, gdy ze spuszczoną głową szedł za Dylanem między stolikami, a Jilly zamykała pochód. - Ciasto. Najpierw siku, potem ciasto. Najpierw siku, potem ciasto. Toalety znajdowały się w korytarzu z tyłu restauracji. Przed Dylanem szedł przysadzisty brodaty mężczyzna w bezrękawniku, który na ramionach, karku i łysej czasce miał tyle kolorowych tatuaży, że mógłby występować jako cyrkowa atrakcja. Skierował się do męskiej toalety.

Gdy znaleźli się w korytarzu, ciągle w polu widzenia niektórych gości restauracji, Dylan rzekł do Jilly:

- Sprawdź damską.

Weszła do łazienki i wróciła, zanim drzwi zdążyły się za nią zamknąć.

- Nie ma nikogo.

Dylan ponaglił brata, żeby wszedł do damskiej toalety razem z Jilly, a sam zaraz za nimi wsunął się do środka.

Obie kabiny były otwarte. Zewnętrznych drzwi prowadzących z korytarza nie można było zamknąć na zamek. W każdej chwili mógł ktoś wejść.

Jedynie okno zostało zupełnie zamalowane, poza tym było za małe, by przez nie uciec.

- Słuchaj, bracie - powiedział Dylan. - Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Ciasto.

- Shep, musisz złożyć nas stąd z powrotem do naszego pokoju w motelu.

- Przecież oni na pewno przyjdą do naszego pokoju - zaprotestowała Jilly.

- Jeszcze ich tam nie ma. Zostawiliśmy włączony komputer, na ekranie jest wywiad z Proctorem. Nie powinni tego widzieć. Nie wiem, dokąd mamy teraz jechać, ale gdziekolwiek by to było, jeżeli zorientują się, ile wiemy, łatwiej im będzie deptać nam po piętach, będą mogli przewidywać nasze ruchy.

- Ciasto kokosowe.

- Poza tym - dodał Dylan - w przyborach do golenia mam kopertę z pieniędzmi, prawie pięćset dolców, a tutaj tylko to, co w portfelu. - Ujął podbródek Shepa i uniósł mu głowę. - Shep, musisz to dla mnie zrobić.

Shep zamknął oczy.

- Nie sikamy w miejscach publicznych.

- Nie proszę cię, żebyś sikał. Po prostu złóż nas z powrotem do pokoju. Teraz, Shep. Jak najszybciej.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie składamy. - Shep, to zupełnie co innego.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie składamy.

- Tutaj ta zasada nie obowiązuje, bracie. Nie jesteśmy w miejscu publicznym.

Argument nie trafił Shepherdowi do przekonania. Wiedział przecież, że to jest „toaleta publiczna”.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie składamy.

- Posłuchaj, bracie, widziałeś dużo filmów, wiesz, jacy są źli ludzie.

- Sikać w miejscu publicznym.

- Wyobraź sobie jeszcze gorszych od tych najgorszych. Ludzi z bronią. Morderców takich jak na filmach. Szukają nas bardzo źli ludzie, Shep.

- Hannibal Lecter.

- Nie wiem. Może są tacy źli jak on. Nie wiem. Ale jeżeli mi nie pomożesz, jeżeli nie złożysz nas tam, gdzie powiedziałem, to na pewno dojdzie do krwawych i oślizłych scen.

Oczy chłopaka pod powiekami poruszały się gwałtownie, co świadczyło o jego poruszeniu.

- Oślizłe i krwawe sceny są złe.

- Bardzo złe. I jeśli w tej chwili nie złożymy się z powrotem do pokoju motelowego, zdarzą się bardzo krwawe i oślizłe rzeczy. - Shep się boi.

- Nie bój się. - Shep się boi.

Dylan w duchu nakazał sobie spokój, by nie stracić panowania nad sobą tak jak na wzgórzu w Kalifornii. Nigdy więcej nie wolno mu mówić do Shepa w taki sposób, nawet w najbardziej dramatycznej sytuacji. Nie pozostała mu żadna inna taktyka poza błaganie.

- Na litość boską, proszę cię, bracie. - S-shep się b-boi.

Gdy Dylan zerknął na swojego timeksa, wskazówka sekundnika zdawała się wirować wokół tarczy.

Stając obok Shepa, Jilly powiedziała:

- Skarbie, wczoraj w nocy, kiedy ja leżałam w swoim łóżku, ty w swoim, a Dylan spał i chrapał, pamiętasz naszą krótką rozmowę?

Dylan nie miał pojęcia, o czym mówiła. Nie opowiadała mu o żadnej rozmowie z Shepem. Poza tym był pewien, że nie chrapał. - Skarbie, obudziłam się i usłyszałam, jak szepczesz, pamiętasz? Mówiłeś, że się boisz. I co ci wtedy powiedziałam?

Oczy Shepherda przestały drgać gorączkowo, ale chłopak milczał.

- Pamiętasz, kochanie? - Gdy otoczyła Shepa ramieniem, nie skulił się pod wpływem dotyku, nawet się nie wzdygnął. - Skarbie, pamiętasz, powiedziałaś: „Shep się boi”, a ja odparłam: „Shep jest dzielny”.

Dylan usłyszał jakieś hałasy w korytarzu i zerknął na drzwi. Nikt nie wszedł, ale była pora lunchu i w restauracji tłoczyło się sporo ludzi; ich samotność nie mogła trwać długo.

- Bo jesteś dzielny, Shep - ciągnęła Jilly. - Jesteś jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich znam. Świat to straszne miejsce. Wiem, że dla ciebie jest jeszcze straszniejszy niż dla nas. Tyle hałasu, tyle jasności i kolorów, tylu ludzi, obcych, którzy ciągle do ciebie mówią, i wszędzie zarazki, nic nie jest tak uporządkowane, jak powinno być, nic nie jest tak proste, jak byś chciał,

wszystko jest kształtowe i obrzydliwe. Możesz złożyć układankę tak, żeby wszystkie kawałki były na swoim miejscu, możesz czytać „Wielkie nadzieje” dwadzieścia lub sto razy i za każdym razem książka będzie dokładnie taka, jak się spodziewasz. Ale nie da się złożyć życia tak jak układanki, nie możesz sprawić, aby każdy dzień wyglądał tak samo - mimo to

codziennie rano wstajesz i próbujesz. Dlatego jesteś bardzo dzielny, skarbie. Shepherd, gdybym była taka jak ty, nie sądzę, żeby było mnie stać na taką odwagę. Na pewno nie byłabym taka dzielna. Co dzień tak uparcie próbować - to najodważniejszy czyn, jakiego nie dokonał żaden bohater filmowy.

Słuchając Jilly, Dylan w końcu przestał popatrywać nerwowo na drzwi, przestał zerkać na zegarek i odkrył, że twarz i melodyjny głos tej kobiety bardziej przykuwają jego uwagę niż myśl o osaczających ich zawodowych mordercach.

- Kochanie, musisz być dzielny, wiem, że potrafisz. Nie wolno ci się bać złych ludzi ani oślizłych i krwawych rzeczy, po prostu zrób, co trzeba, tak jak wstajesz co dzień rano i idziesz pod prysznic, zrób, co trzeba, spróbuj sprawić, żeby świat był uporządkowany i prosty. Skarbie, musisz być dzielny i złożyć nas z powrotem do pokoju.

- Shep jest dzielny?

- Tak, Shep jest dzielny.

- Nie jemy goldfishów, nie sikamy, nie składamy - powiedział Shep, ale jego oczy pod zamkniętymi powiekami pozostały nieruchome, co oznaczało, że nawet kwestia niestosowności sikania w miejscu publicznym nie dręczy go tak bardzo jak jeszcze przed minutą.

- Właściwie składanie w miejscu publicznym to nie to samo co sikanie, skarbie - rzekła Jilly.

- Bardziej przypomina płucie. Oczywiście, kulturalni ludzie tego nie robią. Choć nigdy nie sikasz w miejscu publicznym, czasem musisz splunąć, kiedy na przykład robak wpadnie ci do ust, i nic w tym złego. Ci źli ludzie przypominają robaka, który wpadł ci do ust, więc jeżeli się złożymy, żeby przed nimi uciec, to tak jakbyś wypluł tego robaka. Shep, zrób to, skarbie. Jak najszybciej.

Shepherd sięgnął w przestrzeń, chwycił szczyptę niczego i skręcił.

Jilly położyła rękę na grzbiecie jego dłoni.

Shep otworzył oczy i odwrócił się, napotyając spojrzenie Jilly.

- Czujesz, jak to jest?

- Zrób to, skarbie. Pospiesz się.

Dylan podszedł bliżej, obawiając się, że zostanie tu sam. Zobaczył lekką zmarszczkę w powietrzu między palcami Shepherd'a, a potem patrzył w zdumieniu, jak rozchodzą się od niej kręgi.

Shep pociągnął tkaninę rzeczywistości. Toaleta damska złożyła się, a wokół nich zaczęło się rozkładać nowe miejsce.

31 Kiedy Dylan zaczął się składać - a może składała się damska toaleta, wszystko jedno - wpadł w panikę przekonany, że Shep zgniecie ich i rzuci w jakieś zupełnie inne miejsce, że zamiast w swoim pokoju, znajdą się w motelu, gdzie nocowali dwa, trzy albo dziesięć dni wcześniej; możliwe, że kiedy się rozłożą, będą bezradnie wymachiwać rękami i nogami w powietrzu tysiąc stóp nad ziemią, a potem runą na spotkanie śmierci; że wprost z łazienki przeniosą się na dno mrocznej otchłani oceanu, a potworne ciśnienie kilka mil pod powierzchnią morza w jednej chwili rozgniecie ich na miazgę, zanim zdążą wciągnąć do płuc pierwszy zabójczy haust wody. Shepherd, dla którego Dylan od dwudziestu lat był bratem, a od dziesięciu opiekunem, być może zachował pełnię władz umysłowych, ale nie potrafił ich wykorzystać w żaden konsekwentny sposób. Mimo że złożyli się żywi ze wzgórza w Kalifornii i bezpiecznie przebyli drogę z pokoju motelowego przed restaurację, Dylan nie umiał zaufać nowemu Shepherdowi O'Connerowi, który z dnia na dzień stał się geniuszem

fizyki, specem od stosowanej mechaniki kwantowej - czy co tam innego stosował - istnym czarodziejem, który nadal rozumował jak dziecko; potrafił manipulować czasem i przestrzenią, ale za nic w świecie nie zjadłby niczego kształtowego, mówił o sobie w trzeciej osobie i unikał bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Gdyby Dylan w chwili szaleństwa dał Shepherdowi naładowaną broń, mógłby się spodziewać tylko najgorszej tragedii; składanie „tutam” musiało grozić niewspółmiernie poważniejszą katastrofą niż spustoszenia, jakich dokonałyby nawet karabin maszynowy. Choć podróż trwała tylko mgnienie oka, Dylan zdążył sobie wyobrazić tyle krwawo-oślizłych scen, że starczyłoby ich na obdzielenie obrzydliwych i tandetnych filmów dla całego pokolenia ich miłośników. Wreszcie toaleta złożyła się zupełnie, a wokół nich rozłożyło się nowe miejsce.

Metaforyczna naładowana broń nie wypaliła. Znaleźli się z powrotem w swoim pokoju motelowym: okno było zasłonięte, sypialnię oświetlała właściwie tylko lampa, na biurku stał porzucony laptop.

Shep zamknął za nimi bramę do damskiej toalety, gdy tylko przez nią przeszli. Dobrze. Zresztą i tak nie mogliby tam bezpiecznie wrócić. Najmniej potrzebowali spotkania z jakąś osobą, która zechce skorzystać z toalety, wkurzy się i krzykiem zwabi świadków.

Byli bezpieczni. Tak im się w każdym razie przez moment wydawało.

Rzeczywiście, włos nie spadł im z głowy, ale wcale nie byli bezpieczni. W chwili pojawienia się w pokoju, zanim którekolwiek z nich zdążyło odetchnąć, Dylan usłyszał chrobot klucza uniwersalnego w zamku, a potem szcęk zasuwki, jak gdyby ktoś próbował otworzyć drzwi, robiąc przy tym jak najmniej hałasu.

U bram stanęli barbarzyńcy, a na murach nie ustawiono saganów z wrzącym olejem, by poczęstować ich palącym deszczem i odeprzeć.

Pod zasuwką był prostszy zamek, do którego na pewno zaraz wsunie się klucz. Drzwi zabezpieczyli łańcuchem, ale to nie mogło stanowić poważnej przeszkody dla brutalnego osiłka, jeśli będzie wiedział, gdzie dokładnie ma kopnąć.

W chwili gdy zasuwka puściła, Dylan chwycił jedno z trzech krzeseł stojących za biurkiem. Szybko przeciął pokój długimi krokami i podparł wysokim oparciem krzesła klamkę, blokując drzwi, które powinny wytrzymać nawet po otwarciu drugiego zamka.

Czasu miał tyle samo co pieniędzy, nie czekał więc, żeby sprawdzić, czy krzesło mocno dociska drzwi, czy zostało trochę niebezpiecznego luzu. Musiał zaufać prowizorycznej barykadzie, tak jak Shepowi i jego magicznej mocy składania. Wbiegł do łazienki, wyszarpnął kopertę z pieniędzmi z saszetki z przyborami do golenia i wepchnął do kieszeni spodni.

Wracając do sypialni, zauważył, że drzwi są zamknięte naprawdę szczelnie, a krzesło trzyma się mocno, nawet gdy klamka zaczęła się poruszać, a drewno zaskrzypiało pod naciskiem z zewnątrz.

Przez kilka cennych sekund mężczyźni za drzwiami mogą przypuszczać, że opór, jaki napotkali, ma związek z uszkodzeniem któregoś z zamków. Dylan nie mógł jednak liczyć na ich głupotę czy nawet łatwowierność, a sądząc po agresywności,

z jaką prowadzili czarne chevrolety, nie można też było spodziewać się po nich cierpliwości.

Jilly odłączyła i zamknęła laptop. Zarzuciła na ramię torebkę i odwracając się do Dylana, uniosła rękę, wskazując na sufit. Nie wiedzieć czemu skojarzyła mu się z Mary Poppins, ale była to Mary Poppins, której cery nie wybieliła paskudna angielska pogoda, a jej gest przywołał na myśl Supermana wzbijającego się do lotu.

Skrzypienie drewna ustało i znów dal się słyszeć chrobot klucza w zamku, co oznaczało, że napakowani golfiści jeszcze się nie zorientowali.

Shep stał w klasycznej pozycji Shepa, jak obraz krzywdy wyrządzonej przez okrutną Naturę, w niczym nie przypominając czarodzieja.

- Dobra, bracie - szepnął Dylan. - Rób swoje i złóż nas stąd. Shep nie wykonał żadnego gestu, by przenieść ich do bezpiecznego miejsca.

- No, dziecko. Szybko. Znikajmy stąd.

- To tak, jakbyś wypluł robaka - przypomniała mu Jilly. Szczęk klucza ustąpił trzeszczeniu śrub zawiasów wcinających się w futrynę, a krzesło znów zatrzeszczało pod nieustępliwym naporem.

- Jak nas nie złożysz, nie będzie ciasta - szepnął rozgorączkowany Dylan, bo dla Shepa ciasto i kreskówki ze Strusiem Pędziwiatrem stanowiły większą motywację niż sława i fortuna dla większości ludzi.

Na wspomnienie o cieście Jilly syknęła i powiedziała: - Nie zabieraj nas z powrotem do restauracji, Shep! Słyszac ostrzeżenie, Shepherd zadał pytanie, które wyjaśniało powody jego wahania:

- Dokąd?

Mordercy stracili cierpliwość, uciekając się do bardziej radykalnych metod, które zapewne były im bliższe niż dyskretne podchody. Drzwi zadygotały od ciosu barku lub obcasa ciężkiego buciora, a krzesło jęknęło jak kot, któremu przydepnięto ogon. - Dokąd? - zwróciła się do Dylana Jilly. - Dokąd?

Łomot do drzwi rozległ się niczym walenie w kotły i coś w krześle trzasnęło, ale konstrukcja wytrzymała.

Podczas składania z damskiej toalety Dylan wyobrażał sobie mnóstwo niezamierzonych celów podróży, które mogły się okazać dla niego zgubą, lecz teraz nie przychodziło mu do głowy ani jedno miejsce na Ziemi, gdzie mogliby szukać azylu.

Znów dobiegł ich odgłos zderzenia ciała z odpornym drewnem, po którym ciało wydało stęknienie, ale nie bólu ani złości, tylko perwersyjnej przyjemności, jaką czerpało z kary.

Zaraz potem usłyszeli kolejny hałas, lecz tym razem był to ostry brzęk tłuczonego szkła. Zasłony na oknie drgnęły, gdy od tkaniny odbiły się kawałki rozbitej szyby.

- Do domu - powiedział do Shepherd'a Dylan. - Zabierz nas do domu, Shep. Szybko.

- Do domu - powtórzył jak echo Shepherd, ale wyglądał, jakby nie był pewien, do którego miejsca dokładnie odnosi się to słowo.

Ten, który wybił okno, zgarnął jakimś narzędziem ostre odłamki z ramy, oczyszczając sobie drogę.

- Do naszego domu w Kalifornii - rzekł Dylan. - Kalifornia - sto ileś tam tysięcy mil kwadratowych...

Shep uniósł dłoń, jak gdyby składał hołd lenny stanowi Kalifornia.

- ...ludność, trzydzieści ileś milionów ileś tysięcy... Genetyczny kuzyn byka, który atakował drzwi, znowu zaszarżował, a krzesło trzasnęło, i obsunęło się trochę. Marszcząc brwi, jakby wciąż niepewny siebie, Shepherd ścisnął powietrze palcami uniesionej dłoni.

- ...drzewo stanu - powiedział Dylan, lecz nazwa wyleciała mu z głowy

- Sekwoja! - pospieszyła mu z pomocą Jilly.

Zasłony wydeły się jak balon. Jeden z zabójców zaczął się gramolić do środka.

- Kwiat stanu - maczek kalifornijski - ciągnął Dylan. Wytrwałość się opłacała. Po piątym uderzeniu drzwi wpadły z hukiem do środka, wywracając krzesło

Pierwszy mężczyzna, który stanął na progu, kopiąc na bok szczątki krzesła, był ubrany w bladożółte spodnie i różowo-żółtą koszulkę polo, a na twarzy miał wypisaną żądzę mordy. W ręce trzymał pistolet. Ruszył na nich, unosząc broń z niedwuznacznym zamiarem pociągnięcia za spust.

- Eureka - powiedział Shep i skręcił szczyptę niczego. Dylan w duchu podziękował Bogu, że nie usłyszał wystrzału, gdy pokój motelowy się złożył, usłyszał jednak, jak niedoszły zabójca krzyknął:

- O'Conner!

Tym razem podczas kalejdoskopowej podróży obawiał się czegoś zupełnie innego: że zanim uciekli z pokoju, zbir w stroju golfowym podszedł za blisko nich i Shep złożył razem z nimi do Kalifornii uzbrojonego mordercę.

32 Przez niknącą sypialnię motelową Dylan zobaczył zbliżające się

liczne płyty cienia i kilka drobnych odłamków bladego światła, a ułamek sekundy przed tym, jak rozpoznał nowe pomieszczenie, które rozłożyło się wokół niego, poczuł aromat ciasta cynamonowo-pekanowo-rodzynkowego upieczonego według strzeżonego jak oka w głowie przepisu jego matki - cudownej woni nie sposób było z niczym pomylić.

Shep, Jilly i Dylan przybyli tu cali i zdrowi, ale morderca w koszulce polo nie zdołał się z nimi zabrać. Z Arizony nie dobiegło ich nawet echo krzyku „O'Conner!”.

Mimo poprawiającego samopoczucie zapachu i braku zabójcy, który szturmował drzwi pokoju w motelu, Dylan nie odczuwał ulgi. Coś było nie tak. Nie potrafił na razie określić źródła swojego niepokoju, ale uczucie było zbyt wyraźne, by można je złożyć na karb osłabionych nerwów.

Mrok panujący w kuchni ich kalifornijskiego domu rozjaśniało jedynie słabe żółtokarmelowe światło sączące się zza otwartych drzwi, które prowadziły do jadalni, oraz jeszcze słabszy blask podświetlanego zegara - zamontowanego w brzuchu uśmiechniętej ceramicznej świnki zawieszanej na ścianie z prawej strony zlewu. Na blacie pod zegarem w blasku cyferblatu widać było prostokątną formę do pieczenia ze świeżym ciastem cynamonowo-pekanowo-rodzynkowym, które studziło się na drucianej podstawie.

Vonetta Beesley- odwiedzająca ich raz na tydzień gospoia jeżdżąca na harleyu - czasami gotowała według najlepszych przepisów ich nieżyjącej matki. Ale bracia mieli wrócić z objazdu po festiwalach sztuki dopiero pod koniec października, więc musiała przygotować ten smakołyk dla siebie.

Po chwilowej dezorientacji, jaka nastąpiła tuż po złożeniu, Dylan zrozumiał, dlaczego nie może się pozbyć wrażenia, że coś tu jest nie tak. Opuścili wschodnią Arizone, która leżała w górskiej strefie czasowej, w sobotę przed trzynastą. W Kalifornii, w pacyficznej strefie czasowej, powinno być o godzinę wcześniej niż w Holbrook. Prawie pierwsza po południu w Holbrook oznaczała prawie południe na wybrzeżu Pacyfiku, a jednak za oknami kuchni panowała nieprzenikniona noc.

Ciemność w samo południe?

- Gdzie jesteśmy? - zapytała szeptem Jilly. - W domu - odparł Dylan.

Zerknął na fosforyzujące wskazówki swojego zegarka, który ustawił na czas górski przed dwoma dniami, przed festiwalem w Tucson. Zegar pokazywał dwunastą pięćdziesiąt sześć, czyli dokładnie tak, jak się spodziewał Dylan.

Tu, na ziemi maczka kalifornijskiego i sekwoi, powinna być za cztery dwunasta, ale w południe nie o północy.

- Dlaczego jest ciemno? - spytała Jilly.

Podświetlany zegar w brzuchu świnki pokazywał dziewiątą dwadzieścia jeden.

Poprzednio w trakcie składania podróży odbywała się momentalnie lub co najwyżej w ciągu kilku sekund. Tym razem Dylan również nie zauważył, aby upłynęło więcej czasu.

Jeśli rzeczywiście zjawili się tu o dwudziestej pierwszej dwadzieścia jeden, Vonetta powinna wyjść już parę godzin wcześniej. Pracowała od dziewiątej rano do siedemnastej. Gdyby jednak poszła, zabrałaby ze sobą ciasto.

Nie zapomniałaby też zgasić światła, w jadalni. Na Vonecie Beesley zawsze można było polegać jak na zegarze atomowym w Greenwich, według którego wszystkie kraje świata regulują swoje zegary.

Panował nastrój pogrzebowy - dom spowijał całun ciszy i bezruchu.

Wrażenia osobliwości nie wywołała tylko ciemność zaglądająca do okien, ale sam dom i coś, co kryło się wewnątrz niego. Dylan nie słyszał oddechu zaczajonego demona, lecz wyczuwał, że wszystko jest nie tak, jak powinno.

Jilly także musiała ulec podobnemu wrażeniu. Stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie została złożona, jak gdyby bała się ruszyć, a mimo półmroku z mowy jej ciała bez trudu można było wyczytać napięcie.

Z jadalni sączyło się światło inne niż zwykle. Górna lampa nad stołem, której Dylan nie widział ze swojego miejsca, była wyposażona w ściemniacz, ale blask, choć przytłumiony, miał karmelowy odcień i był zbyt nastrojowy jak na światło mosiężno-kryształowego żyrandola. Poza tym blask nie pochodził z góry; sufit w sąsiednim pokoju tonął w cieniu, a światło padało na podłogę z punktu umieszczonego niewiele wyżej niż blat stołu.

- Shep, bracie, co się dzieje? - wyszeptał Dylan.

Skoro obiecano mu ciasto, można się było spodziewać, że Shep od razu ruszy do cynamonowych wspaniałości, które studziły się w blasze pod zegarem, ponieważ zwykle skupiał się bez reszty na jednym celu, zwłaszcza jeśli chodziło o ciasto. On jednak postąpił krok ku drzwiom jadalni, zawahał się i powiedział:

- Shep jest dzielny - ale w jego głosie Dylan usłyszał tyle lęku, jak nigdy dotąd.

Dylan nie chciał ryzykować wyprawy w głąb domu, dopóki lepiej nie rozezna się w sytuacji. Potrzebował też dobrej broni. W szufladzie szafki kuchennej spoczywał cały arsenał ostrych narzędzi; na razie jednak miał dość noży. Zateęsknił za kijem baseballowym.

- Shep jest dzielny - powtórzył Shep jeszcze bardziej drżącym głosem i z mniejszą pewnością siebie niż poprzednio. Nie patrzył jednak na podłogę, lecz prosto na drzwi jadalni i jak gdyby ignorując wewnętrzny głos, który w obliczu niebezpieczeństwa zawsze radził mu wycofać się bez podejmowania walki, ruszył naprzód, powłócząc nogami.

Dylan szybko zbliżył się do brata i chcąc go powstrzymać, położył mu dłoń na ramieniu, ale Shep strącił ją i wolno, lecz zdecydowanie zmierzał w kierunku jadalni.

Jilly spojrzała pytająco na Dylana. Jej ciemne oczy zalśniły w mdłym blasku tarczy zegara.

Kiedy Shep coś postanowił, mógł być przykładem dla wszystkich mułów; tym razem Dylan rozpoznał u niego rzadko widziany, ale znajomy upór, z którym, jak nauczyło go do-

świadczanie, nie sposób sobie poradzić szybko i po cichu. Shep musiał zrobić to, co chciał, a Dylanowi nie pozostawało nic innego, jak ostrożnie ruszyć za nim.

Rozejrzał się po ciemnej kuchni w poszukiwaniu broni, lecz na wierzchu niczego nie zauważył.

Na progu w plamie ciemnożółtego światła Shepherd zawahał się, ale tylko na moment. Potem wyszedł z kuchni i skręcił w lewo, by stanąć przed stołem.

Gdy Dylan i Jilly weszli do jadalni za Shepem, zobaczyli siedzącego przy stole chłopca, który wyglądał na dziesięć lat. Chłopiec nie uniósł głowy, aby na nich spojrzeć, patrzył w skupieniu na leżący przed nim duży koszyk pełen uroczych szczeniaków rasy golden retriever. Kosz był prawie gotowy, lecz wielu szczeniakom brakowało części ciała i fragmentów łebków. Ręce chłopca, śmigały, biorąc z pudełka kolejne elementy układanki i uzupełniając nimi obrazek.

Jilly być może nie rozpoznała młodego miłośnika układanek, ale Dylan znał go doskonale. Był to Shepherd O'Conner.

33 Dylan pamiętał tę układankę, która miała tak szczególne znaczenie, że

mógłby ją w miarę dokładnie namalować z pamięci. Teraz poznał też źródło ciemnożółtego światła: aptekarską lampę, która zwykle stała na biurku w gabinecie. Lampa miała szklany abażur koloru ochry.

Gdy autyzm Shepherd'a objawiał się nadwrażliwością na ostre światło, chłopiec nie mógł pracować nad układanką w przytłumionym dzięki ściemniaczowi blasku górnej lampy. Nikt inny prawie nie słyszał cichego brzęczenia rezystora ograniczającego przepływ prądu, ale dla Shepa odgłos ten brzmiał przeraźliwie jak pisk wysokoobrotowej piły do kości, rozsadzając mu czaszkę. Dlatego korzystał z lampki na biurko z przyciemnionym abażurem, do której wkręcono żarówkę o mniejszej mocy.

Od dziesięciu lat Shepherd nie bawił się układanką w jadalni, ponieważ wolał korzystać ze stołu kuchennego. Łamigłówa przedstawiająca kosz ze szczeniakami była ostatnią, jaką skończył w tym pokoju.

- Shep jest dzielny - powiedział: dwudziestoletni Shep, lecz młodszy Shepherd przy stole nie uniósł wzroku.

Żadne z wydarzeń, jakie rozegrały się dotychczas, nie przejęło Dylana tak potwornym lękiem. W przeciwieństwie do przygód, które do tej pory przeżył, tym razem doskonale wiedział, co się stanie w ciągu najbliższych kilku minut. Czuł, jakby w stronę dobrze znanej grozy pchała go potężna fala, a on był wobec niej zupełnie bezsilny, jak człowiek w małej łódce zbliżający się nieuchronnie do Niagary.

- Dylan!

To był głos Jilly. Kiedy się do niej odwrócił, wskazała na podłogę.

W jadalni leżał perski dywan. Wzory wokół ich stóp przysłaniały migoczące czarne plamy, jak gdyby ich buty stały w kałużach atramentu. Powierzchnia czerni cały czas marszczyła się delikatnie. Kiedy Dylan poruszył jedną stopą, kałuża przesunęła się razem z nią, a część dywanu, która wyglądała na zalaną atramentem, ukazała się ponownie, nieskazitelnie czysta. Niedaleko Dylana stało krzesło i kiedy go dotknął, zobaczył, jak pod jego ręką na obiciu rozlewa się kolejna atramentowa plama, większa od dłoni, ale odpowiadająca jej kształtem.

Przesunął rękę w lewo i prawo, a czarny kleks przesunął się razem z nią, nie pozostawiając żadnych śladów na tkaninie.

Dylan czuł dotyk krzesła, lecz gdy spróbował je chwycić, obicie nawet się nie wgniotło. Usiłował gwałtownym ruchem odsunąć je od stołu - i ręka przeszła przez krzesło, jak gdyby było tylko iluzją.

Albo jakby on był pozbawionym cielesności duchem. Widząc szok i rosnącą dezorientację Jilly, położył jej dłoń na ramieniu, aby pokazać, że atramentowe zjawisko nie zachodzi między nimi, lecz tylko wówczas gdy próbują zmienić coś w otoczeniu.

- Chłopiec przy stole - powiedział do niej - to Shepherd, kiedy miał dziesięć lat.

Chyba sama się tego domyśliła, bo wiadomość wcale jej nie zdziwiła.

- To nie jest... żadna wizja, którą mamy razem z Shepem. - Nie.

Jak gdyby zaczęła kojarzyć wszystkie fakty, zanim Dylan odkrył przed nią tożsamość chłopca z układanką, powiedziała tonem stwierdzenia:

- Złożyliśmy się nie tylko do Kalifornii, ale do jakiejś przeszłości.

- Wcale nie jakiejś. - Serce w nim truchlało, lecz nie z powodu niebezpieczeństwa, był bowiem niemal pewien, że ze strony przeszłości nie grozi im żadna krzywda, tak jak oni nie mieli wpływu na nic wokół siebie; ogarnął go tylko niewypowiedziany żal i pogrzyżył się w znajomej otchłani smutku. - To nie jest jakaś przeszłość, ale jeden konkretny wieczór. Okropny wieczór.

Bardziej z myślą o Jilly niż po to, by się utwierdzić we własnym przekonaniu, Dylan podszedł do stołu i machnął ręką, chcąc strącić układankę na podłogę. Nie drgnął ani jeden kawałek obrazka.

Dziesięcioletni Shepherd, odgradzony od reszty świata izolacją autyzmu i zupełnie pochłonięty układanką, mógłby nie zareagować na ich głosy, nawet gdyby je słyszał. Ale wzdrygnąłby się lub przynajmniej zaskoczony zamrugał na widok czyjejś ręki usiłującej zniszczyć jego pracę. Jednak w ogóle nie zareagował.

- Jesteśmy w zasadzie niewidzialni - rzekł Dylan. - My widzimy, ale nas nikt nie widzi. Słyszymy, ale nikt nas nie słyszy. Czujemy zapach ciasta. Czujemy podmuch ciepłego powietrza

z otworu ogrzewania i możemy nim oddychać, czujemy powierzchnię przedmiotów, ale nie mamy na nic wpływu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Shep tak chce?

Shepherd wciąż patrzył na młodszego siebie, jak dodaje łapki chromym szczeniakom, a ślepym - oczy.

- Zważywszy na to, co się stało tego wieczoru - odparł Dylan - to ostatnia rzecz, jakiej Shep mógłby chcieć. To nie on ustala zasady. Tak chyba chce Natura.

Widocznie Shepherd potrafił złożyć ich do przeszłości, lecz mogli ją tylko oglądać, jak gdyby zwiedzali muzeum.

- Przeszłość to przeszłość. Nie można jej odwrócić - rzekł Dylan, choć gorąco pragnął, by było inaczej.

- Wczoraj wieczorem - przypomniała mu Jilly - Shepherd nagle zaczął recytować synonimy odchodów - ale długo po tym, jak kazałam ci przestać przeklinać, bo mówiłeś jak mój stary.

- Nie powiedziałaś, że mówię jak twój stary.

- Właśnie dlatego przeskadza mi wulgarny język. Stary umiał odzywać się tylko po chamsku. W każdym razie mówiłeś, że Shep ma inne poczucie czasu niż my.

- Shep ma poczucie prawie wszystkiego inne niż my.

- Mówiłeś, że dla niego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie są tak wyraźnie oddzielone jak dla nas.

- I proszę bardzo: dziewiętnasty lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, ponad dziesięć lat temu, zanim wszystko się zawaliło.

Z przyległego salonu przez otwarte drzwi dobiegły ich kłótlive głosy, lecz niezbyt głośne.

Dylan i Jilly spojrzeli na drzwi, za którymi paliło się światło dużo jaśniejsze od blasku aptecznej lampki w jadalni. Młodszy Shep dalej uzupełniał obrazek ze szczeniakami, podczas gdy starszy Shep przyglądał mu się z niepokojem na twarzy.

W wojnie, jaką toczyły między sobą serce i umysł, strach Dylana walczył z przemożną ciekawością. Gdyby porcja koszmaru nie zdołała zaspokoić ciekawości, wówczas ciekawość mogłaby zwyciężyć. Albo gdyby Dylan mógł mieć wpływ na zakończenie tego wieczoru z przeszłości, potrafiłby przełamać to niemal paraliżujące oczekiwanie na zło. Skoro jednak nie mógł niczego zmienić - bo nie mógł - nie chciał być biernym świadkiem tego, czego nie widział dziesięć lat temu.

Głosy w salonie stały się głośniejsze, bardziej nabrzmiałe złością.

- Bracie, złóż nas stąd - zaczął namawiać starszego Shepherda Dylan. - Złóż nas do domu, ale do naszych czasów. Rozumiesz mnie, Shep? Złóż nas z przeszłości, szybko.

Młodszy Shepherd był głuchy na głos Dylana, Jilly i starszego siebie. Mimo że starszy Shep słyszał każde słowo brata, zareagował tak, jakby też należał do minionego czasu i był głuchy jak pień na głosy przybyszów z przyszłości. Sądząc po skupieniu, z jakim obserwował młodszego siebie, nie chciał jeszcze donikąd się składać i żadna siła nie zmusiłaby go do wykorzystania czarodziejkiej mocy.

Gdy prowadzona podniesionymi głosami rozmowa w salonie przybrała na sile, ręce dziesięcioletniego Shepa opadły nagle na stół, a każda trzymała element układanki. Chłopiec spojrział w stronę otwartych drzwi.

- Och, nie - rzekł Dylan, gdy ze zgrozą uświadomił sobie, co się dzieje. - Nie bracie, nie, nie.

- Co? - odezwała się Jilly. - Co jest?

Młodszy Shep odłożył kawałki układanki na stół i podniósł się z krzesła.

- Biedny dzieciak. Widział to - powiedział z rozpaczą Dylan. - Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że widział.

- Co widział?

Dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku dziesięcioletni Shepherd O'Conner wyszedł zza stołu i powłócząc nogami, zbliżył się do drzwi salonu.

Dwudziestoletni Shepherd postąpił naprzód i wyciągnął rękę, próbując zatrzymać młodszego siebie. Dłoń przeszła przez Shepherda z lutego sprzed lat, jakby był duchem, bez najmniejszego efektu.

Wpatrując się w swoje ręce, starszy Shep powiedział drżącym ze strachu głosem:

- Shep jest dzielny. Shep jest dzielny.

Nie mówił chyba jednak z podziwem o dziesięcioletnim Shepherdzie O'Connerze, lecz dodawał sobie siłę, by stawić czoło koszmarowi, który miał nastąpić.

- Złóż nas stąd - nalegał Dylan.

Shepherd spojrział mu prosto w oczy i mimo że stał przed bratem, a nie kimś obcym, taka chwila bliskości zawsze wiele go kosztowała. Dziś, w tych okolicznościach, cena była wyjątkowo wysoka. W jego oczach widniała bezbronność i delikatność, przeciw którym nie miał

zwykłej ludzkiej broni: ego, poczucia własnej wartości, psychologicznego instynktu samozachowawczego.

- Chodźcie. Chodźcie zobaczyć. - Nie.

- Chodźcie zobaczyć. Musicie zobaczyć. Młodszy Shepherd wyszedł z jadalni do salonu. Odwracając wzrok od Dylana, starszy Shepherd powtórzył z uporem:

- Shep jest dzielny, dzielny. - Po czym ruszył za samym sobą-mężczyzna-dziecko śladem dziecka. Gdy kierując się do salonu, zszedł z perskiego dywanu na parkiet z jasnego klonu, każdy krok znaczył atramentowymi kałużami.

Dylan i Jilly poszli za nim do salonu z dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Młodszy Shepherd zatrzymał się dwa kroki za progiem, lecz starszy Shepherd minął go, by spojrzeć z bliska na rozgrywającą się w pokoju doniosłą scenę.

Widok matki, Blair, która jeszcze żyła i wydawała się teraz cudownie zmartwychwstała, wstrząsnął nim bardziej, niż Dylan mógłby przypuszczać. Czuł, jakby serce ścisnął mu drut kolczasty, raniąc je do głębi przy każdym uderzeniu.

Blair O'Conner miała czterdzieści cztery lata. Tak niewiele. Pamiętał jej łagodność, dobroć, cierpliwość i dorównującą urodzie mądrość.

Teraz jednak ukazywała bardziej wybuchową stronę swojej natury: gniew rozjaśniał zielone oczy i nadawał rysom ostrość. Mówiąc, chodziła tam i z powrotem, a każdy ruch i moment zatrzymania przywodziły na myśl panterę broniącą młodych.

Nigdy nie wpadała w gniew bez przyczyny, a Dylan nigdy nie widział jej aż tak rozgniewanej.

Mężczyzna, który podrażnił jej poczucie dobra i zła, doprowadzając ją do gniewu, stał pod oknem, odwrócony tyłem do niej i do wszystkich z tego i tamtego czasu.

Nie widząc duchów z przyszłości ani nawet dziesięcioletniego Shepa, który przyglądał się z drzwi jadalni, Blair powiedziała:

- Mówiłam panu, że one nie istnieją. A nawet gdyby istniały, nigdy bym ich panu nie dała.

- A gdyby jednak istniały, komu by je pani dała? - zapytał mężczyzna pod oknem, odwracając się do niej.

Chociaż w roku 1992 był nieco szczuplejszy niż w 2002 i miał więcej włosów niż dziesięć lat później, poznali go od razu. W salonie stał Lincoln Proctor vel Frankenstein.

34 Jilly określiła kiedyś jego uśmiech jako „okrutno-senny” i Dylan odniósł podobne

wrażenie. Przedtem zdawało mu się, że wyblakłe i matowe bladoniebieskie oczy muszą należeć do istoty łagodnej jak baranek, lecz przy drugim spotkaniu doszedł do wniosku, że przypominają lodowe okna, za którymi kryje się królestwo chłodu.

Jego matka знаła Proctora. Dziesięć lat temu Proctor był w ich domu.

Odkrycie wstrząsnęło Dylanem do tego stopnia, że na chwilę zapomniał o strasznym zakończeniu tego spotkania i stał na wpół sparaliżowany, słuchając jak urzeczony toczącej się rozmowy.

- Niech to diabli, te dyskiety nie istnieją! -oświadczyła stanowczo matka. -Jack nigdy o nich nie wspominał. Ta dyskusja nie ma sensu.

Jack, ojciec Dylana, nie żył od piętnastu lat, a w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, gdy doszło do tej konfrontacji - od pięciu.

- Wszedł w ich posiadanie w dniu, w którym umarł - powiedział Proctor. - Nie musiała pani o tym wiedzieć.

- Jeśli kiedykolwiek istniały - odparła Blair - w co wątpię, Jack zabrał je ze sobą.

- Gdyby istniały - naciskał dalej Proctor - czy oddałaby je pani nieszczęsnym inwestorom, którzy stracili pieniądze...

- Proszę nie upiększać prawdy. Pozbawił ich pan pieniędzy oszustwem. Ludzie, którzy ufali Jackowi, zaufali też panu - a pan ich oskubał. Założył pan firmy na potrzeby własnych projektów, nad którymi w ogóle nie zamierzał pan pracować, pompował pan z nich pieniądze na swoje głupie badania nad robotami...

- Nanobotami. Poza tym moje badania nie są głupie. Nie jestem dumny z oszukiwania ludzi. Wstydzę się tego. Ale badania nad nanomaszynami pochłaniają dużo więcej pieniędzy, niż ktokolwiek chciałby zainwestować. Musiałem znaleźć dodatkowe źródła finansowania. Były...

Matka Dylana przerwała mu lekceważącym tonem:

- Gdybym miała dyskiety, o których pan mówi, oddałbym je policji. Dlatego może być pan pewien, że Jack też ich nie miał. Gdyby miał w ręku dowody tego rodzaju, nigdy by się nie zabił. Miałby przynajmniej cień nadziei. Zwróciłby się do władz, walczył o dobro inwestorów.

Proctor z uśmiechem skinął głową.

- Czyli nie był człowiekiem, który mógłby połknąć fiolkę tabletek i sztachnąć się spalinami z rury wydechowej, co? Przez twarz Blair O'Conner przemknął płomień wściekłości, lecz szybko zdużyły je uczucia silniejsze od gniewu.

- Wpadł w depresję. Nie tylko z powodu własnych strat. Uważał, że zawiódł zaufanie dobrych ludzi, którzy liczyli na niego. Przyjaciół, rodziny. Czul się przygnębiony... - Dopiero po chwili zorientowała się, że w pytaniu Proctora może się kryć inny, przerażający sens. Otworzyła szeroko oczy. - Co pan chce przez to powiedzieć?

Spod skórzanej kurtki Proctor wyciągnął pistolet. Jilly chwyciła Dylana za ramię.

- Co to?

- Myśleliśmy, że zabił ją ktoś obcy, kto wdarł się do domu. Może jakiś psychopata, który zjechał z autostrady. Nigdy tego nie wyjaśniono.

Przez chwilę matka Dylana i Proctor patrzyli na siebie w milczeniu i Blair O'Conner zrozumiała prawdę o śmierci męża.

- Jack był mojego wzrostu - powiedział wreszcie Proctor. - Ale ja jestem myślicielem, nie bokserem. Przyznaję, że mam coś z tchórza. Ale pomyślałem, że mogę go pokonać, wykorzystując zaskoczenie i chloroform. I udało się.

Na wspomnienie o chloroformie Jilly zacisnęła dłoń na ramieniu Dylana.

- Gdy był nieprzytomny, intubacja żołądka nie nastęrczała żadnych trudności. Potrzebowałem tylko laryngoskopu, żeby sprawdzić, czy nie włożyłem sondy do tchawicy zamiast do przełyku. Splukałem kapsułki nembutalu wodą, prosto do żołądka. Wyciągnąłem sondę i podawałem chloroform, dopóki nie zaczęła działać dawka nembutalu.

Szok Dylana ustąpił miejsca złości, lecz nie był to tylko gniew z powodu krzywdy, którą wyrządził jego rodzinie ten potwór. Jego wściekłość była skierowana nie tylko przeciw Lincolnowi Proctorowi, ale przeciw samemu złu, przeciw świadomości, że ono istnieje. Być

może cała ludzkość zeszła na drogę grzechu, ale zbyt wielu jej przedstawicieli rzucało się ochoczo w objęcia ciemności, siejąc okrucieństwo i karmiąc się nieszczęściami innych, krocząc tą drogą coraz pewniej, z coraz większym entuzjazmem.

- Zapewniam panią - powiedział Proctor do Blair O'Conner - że męża nic nie bolało. Mimo że był nieprzytomny, bardzo uważałem przy intubacji.

Dylan czuł to samo, gdy znalazł Trávisa przykutego do łóżka w domu przy Alei Eukaliptusowej: współczucie dla wszystkich ofiar przemocy i zajadłą wściekłość na ich oprawców. Kipiały w nim emocje równie gwałtowne jak u bohaterów opery, co nigdy przedtem mu się nie zdarzyło; było to nie mniej dziwne niż jego nowy szósty zmysł, nie mniej dziwne niż składanie w czasie i przestrzeni.

- Nie można mnie nazwać dobrym człowiekiem - mówił Proctor, z tą samą przymilną samokrytyką, której upust dawał wczorajszego wieczoru, robiąc zastrzyk Dylanowi. - Pod żadnym względem. Znam swoje wady, mam niejedną. Jednak chociaż jestem zły, nie potrafię zadawać nikomu bólu bezmyślnie albo kiedy nie jest to rzeczywiście konieczne.

Jilly, jak gdyby dzieląc z Dylanem tę operową wściekłość i głęboką litość dla bezbronnych ofiar, podeszła do starszego Shepherd'a, na którego jej współczucie mogło mieć jakiś wpływ, w przeciwieństwie do odgradzonego od nich chłopca z przeszłości. Otoczyła Shepa ramieniem i delikatnie odwróciła go od Lincolna Proctora i matki, aby drugi raz nie oglądał tego, czego świadkiem był dziesięć lat temu.

- Zanim podłączyłem wąż do rury wydechowej - ciągnął Proctor - Jack już głęboko spał i nie wiedział, że umiera. Nie czuł, że się dusi, nie bał się. Żałuję tego, co zrobiłem, gryzę się tym, choć nie miałem innego wyboru. W każdym razie cieszę się, że mam sposobność powiadomienia pani, że mąż nie porzucił pani i dzieci. Żałuję że do tej pory wprowadzałem panią w błąd.

Słuchając usprawiedliwień Proctora i stojąc w obliczu rychłej śmierci, Blair O'Conner zareagowała hardością, która poruszyła Dylana.

- Jesteś pasożytem - powiedziała do Proctora. - Ohydny, cuchnący robakiem.

Podchodząc do niej wolno, Proctor pokiwał głową.

- Owszem, nawet kimś jeszcze gorszym. Nie mam żadnych skrupułów, żadnej moralności. Dla mnie liczy się tylko jedno. Moja praca, moja nauka, moja wizja. Jestem chorym, niktymnym człowiekiem, ale mam misję, z której się wywiążę.

Mimo że przeszłości z pewnością nie dało się odmienić, tak jak bezdusznych serc szaleńców, Dylan ruszył naprzód, by stanąć między matką a Proctorem w irracjonalnej nadziei, że bogowie czasu jeden jedyny raz uczynią odstępstwo od swoich okrutnych praw i pozwolą mu zatrzymać pocisk, który dziesięć lat temu zabił Blair O'Conner.

- Kiedy zabrałem dyskietki martwemu Jackowi - powiedział Proctor - nie wiedziałem, że dostał dwa zestawy. Sądziłem, że mam wszystkie. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że jest inaczej. Dyskietki, które mu zabrałem, zamierzał oddać władzom. Drugi zestaw musi być tutaj. Gdyby je znaleziono, siedziałbym już w więzieniu, prawda?

- Ja ich nie mam-powtórzyła uparcie Blair.

Odwrócony tyłem do matki Dylan patrzył na Proctora i wylot lufy jego pistoletu.

Proctor spoglądał przez niego, zupełnie nieświadomy, że stoi przed nim przybysz z przyszłości.

- Pięć lat to dużo czasu. Ale w pracy Jacka sprawy prawno-podatkowe są cholernie ważne.

Drżąc z emocji, Dylan zbliżył się do Proctora. Wyciągnął rękę. Położył dłoń na broni.

- Według przepisów federalnych okres przedawnienia w sprawach podatkowych wynosi siedem lat - rzekł Proctor. Dylan czuł kształt pistoletu. Chłód lufy.

Proctor najwyraźniej w ogóle nie odczuł nacisku ręki Dylana. - Jack miał zapewne zwyczaj przechowywać wszystkie dokumenty przynajmniej tak długo. Gdyby znaleźli dyskietki, byłoby po mnie.

Dylan usiłował chwycić pistolet, aby wyrwać go z ręki mordercy, ale jego palce przeszły przez stal i zacisnęły się na niczym. - Nie jest pani głupia, pani O'Conner. Wie pani o siedmioletnim przedawnieniu. Przechowuje pani jego dokumenty związane z pracą. Jestem pewien, że właśnie tam są dyskietki. Być może nawet pani sobie nie zdawała sprawy z ich istnienia. Ale skoro już pani wie... odszuka je pani i zanieś na policję. Wolałbym uniknąć... tych nieprzyjemności.

W ataku bezsilnego szału Dylan wymierzył Proctorowi cios - i zobaczył, jak jego pięść, ciągnąc za sobą atramentowy ogon jak kometa, wbiła się w twarz tego łajdaka, a on nawet się nie skrzywił.

- Wolałbym skorzystać z pani pomocy-powiedział Proctor - ale sam mogę poszukać. Tak czy inaczej musiałbym panią zabić. To straszne, co robię, podłe i niegodziwe. Gdyby istniało piekło, zasługiwałbym na wieczne cierpienie, wieczne tortury.

- Nie rób krzywdy mojemu synowi. - Blair O'Conner mówiła spokojnie, nie kuląc się ze strachu i nie błagając mordercy o darowanie życia. Wiedziała, że żadne upokorzenie go nie wzruszy, więc prosiła o ocalenie Shepherd'a opanowanym głosem, nie odwołując się do emocji, lecz logicznych argumentów.

- Cierpi na autyzm. Nie wie, kim jesteś. Nie będzie mógł przeciwko tobie świadczyć, nawet gdyby znał twoje nazwisko. Prawie w ogóle nie można się z nim porozumieć.

Zdrętwiały ze strachu Dylan odsunął się od Proctora i cofnął w stronę matki, zrozpaczony usiłował się przekonać, że będzie miał większy wpływ na trajektorię pocisku, jeżeli znajdzie się bliżej niej.

- Wiem, co jest Shepherdowi - odrzekł Proctor. - Musiał być wielkim ciężarem przez te lata.

- Nigdy nie był ciężarem - oświadczyła zdecydowanie Blair O'Conner głosem dźwięcznym jak stal. - Co ty możesz o tym wiedzieć.

- Nie mam skrupułów i jestem brutalny, kiedy trzeba, ale nigdy nie jestem niepotrzebnie okrutny. - Proctor zerknął na dziesięcioletniego Shepherd'a. - Nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia.

- O Boże. - Matka Dylana stała odwrócona plecami do Shepherd'a i dopiero teraz zorientowała się, że porzucił układankę i stoi w drzwiach prowadzących do jadalni. - Nie. Nie rób tego w obecności chłopca. Nie zmuszaj go, żeby... to oglądał.

- Nie przeżyje wstrząsu, pani O'Conner. Spłynie to po nim bez śladu, nie sądzi pani?

- Nie, nie spłynie. Nie jest taki jak ty.

- Poza tym jego emocjonalność jest zbliżona do emocjonalności - czego? - żaby? - zapytał Proctor, zadając kłam wygłoszonemu przed chwilą twierdzeniu, że nigdy nie jest niepotrzebnie okrutny.

- Jest łagodny - odparła Blair. - Kochany. Wyjątkowy. - Te słowa nie były skierowane do Proctora, stanowiły pożegnanie z chorym synem. - Na swój sposób jest błyskotliwy.

- Tyle w nim błyskotliwości, ile w mętnej wodzie - rzekł z żalem Proctor, jak gdyby odczuwał smutek z powodu upośledzenia Shepa. - Mogę jednak pani obiecać, że kiedy osiągnę to, co na pewno uda mi się osiągnąć, kiedy wejść do towarzystwa noblistów i będę

zapraszany przez królów, nie zapomnę o pani biednym synu. Dzięki mojemu dziełu będzie można zmienić go z żaby w tytana intelektu.

- Ty nadęty dupku - rzekła z goryczą Blair O'Conner. - Nie jesteś żadnym naukowcem. Jesteś potworem. Nauka to światło w ciemności. A ty sam jesteś ciemnością. Potworem. Robisz swoje przy blasku księżyca.

Mając wrażenie, że ogląda się a daleka, Dylan zobaczył, że podnosi rękę, jakby chciał zatrzymać nie tylko kulę, ale także nieubłagane biegnący czas.

Huk wystrzału był głośniejszy, niż Dylan się spodziewał, jak gdyby otworzyło się niebo i nastał Dzień Sądu.

3 5 Być może tylko wyobraził sobie, że czuje, jak pocisk przelatuje przez niego, ale gdy przerażony odwrócił się do ukochanej matki, mógłby opisać w najdrobniejszych szczegółach kształt, fakturę, ciężar i temperaturę kuli, która ją zabiła. Czuł, jakby rzeczywiście został trafiony, ale nie w momencie, gdy padł strzał, lecz kiedy zobaczył, jak matka pada na podłogę, gdy zobaczył szok i ból malujące się na jej twarzy.

Dylan ukląkł przy niej, rozpaczliwie pragnąc wziąć ją w ramiona, dać jej ukojenie w ostatnich sekundach życia, ale był bardziej bezcielesny od cienia ducha.

Matka patrzyła przez Dylana prosto na dziesięcioletniego Shepa. Chłopiec stał w odległości piętnastu stóp, zgarbiony, na wpół spuściwszy głowę. Choć nie podszedł do niej, spojrział prosto w oczy matki, co zdarzało się bardzo rzadko.

Młodszy Shep wyglądał, jak gdyby nie pojął do końca tego, co zobaczył, albo zrozumiał to zbyt dobrze i wpadł w szok. Stał bez ruchu. Nic nie mówił ani nie płakał.

Niedaleko ulubionego fotela Blair Jilly tuliła starszego Shepherd, który nie uchylał się przed dotykiem, jak czynił zazwyczaj. Nie pozwalała mu się odwrócić w stronę matki, sama jednak patrzyła na Dylana z bólem i współczuciem, które świadczyły o tym, że nie jest już obcą osobą; w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin stała się członkiem ich rodziny.

Spoglądając przez Dylana na małego Shepa, matka powiedziała:

- Nie martw się, kochanie. Nie jesteś sam, nigdy nie będziesz. Dylan zawsze będzie się tobą opiekował.

Śmierć postawiła kropkę nad „i” w historii jej życia i matka odeszła.

- Kocham cię- powiedział do niej Dylan. Umarła podwójnie, a on wołał do niej, stojąc po drugiej stronie rzeki dziesięciu lat i po drugiej stronie zupełnie innej rzeki, której brzeg leżał o wiele dalej niż granice czasu.

Na własne oczy widział jej śmierć, co wstrząsnęło nim do głębi, lecz nie mniej wstrząsnęły nim ostatnie słowa matki: „Nie jesteś sam, nigdy nie będziesz. Dylan zawsze będzie się tobą opiekował”.

Wzruszył się, słysząc, jak mocno w niego wierzyła - jako brata i jako człowieka.

Zadrzał jednak na wspomnienie bezsennych nocy, gdy leżał wyczerpany psychicznie po trudnym dniu z Shepherdem i użalał się nad własnym losem. Nigdy nie wpadał w rozpacz - najwyżej ogarniało go zniechęcenie, a w najgorszym wypadku przygnębienie-lecz w tych trudnych chwilach dyskutował sam ze sobą, czy Shepherdowi nie byłoby lepiej w miejscu, które mistrzowie eufemizmów nazywają „przyjaznym środowiskiem profesjonalnej opieki”.

Wiedział, że nie musiałby się wstydzić, gdyby znalazł dla Shepa pierwszorzędną zakład, zdawał też sobie sprawę, że poświęca się bratu za cenę własnego szczęścia, co zdaniem psychologów świadczyłoby o zaburzeniach emocjonalnych. W istocie co dzień przychodziła

chwila, gdy Dylan żałował, że życie wypełniają mu obowiązki, i przypuszczał, że kiedyś z goryczą pomyśli o tylu zmarnowanych latach.

A jednak takie życie miało swoje blaski-jednym z nich było odkrycie, że spełnił nadzieje, jakie pokładała w nim matka. Wytrwałość w opiece nad Shepherdem i dziesięć długich lat spędzonych razem nagle nabrały zupełnie niezwykłego znaczenia, jak gdyby Dylan jakimś cudem dowiedział się o przyrzeczeniu, które w jego imieniu złożyła matka, mimo że Shepherd nigdy o tym nie wspominał. Był skłonny uwierzyć, że zjawiała mu się we śnie, którego nie pamiętał i mówiła o swojej miłości do niego i wierze w jego poczucie obowiązku.

Od dziesięciu lat lub jeszcze dłużej Dylan sądził, że rozumie frustrację Shepa oraz jego chroniczne poczucie bezradności w obliczu przytłaczających sił, z którymi osoba dotknięta autyzmem musi się codziennie zmagać. Okazało się jednak, że było to rozumienie żałośnie niepełne. Dopiero gdy musiał się bezradnie przyglądać, jak bandyta strzela do jego matki, próbował ją podtrzymać, kiedy umierała, lecz nie potrafił, pragnął zdążyć z nią porozmawiać, ale nie było go słyhać -- dopiero w tej straszliwej chwili poczuł bezsilność, jaka zawsze towarzyszyła jego bratu. Klęcząc obok matki i czując utkwione w sobie jej szkliste oczy, Dylan trząsł się z upokorzenia, lęku i wściekłości, której nie mógł wyładować, bo nie była skierowana przeciw

konkretnemu obiektowi, wściekłości na własną słabość i na wszystko, że jest, jakie jest, i zawsze takie będzie. Wzbierał w nim gniewny krzyk, ale Dylan nie dał upustu złości, ponieważ prawie nikt tu nie usłyszałby wrzasku z innego czasu - a także dlatego, że gdyby zaczął krzyczeć, trudno byłoby mu przestać.

Krwi nie było dużo. Przynajmniej tyle dobrego. I nie umierała długo. Prawie nie cierpiała.

Potem zdał sobie sprawę, jaki koszmarny spektakl ma nastąpić.

- Nie.

Obejmując Shepherdą i spoglądając ponad jego ramieniem, Jilly patrzyła na Lincolną Proctora z odrazą, jaką dotychczas była zdolna odczuwać tylko wobec ojca, kiedy traktował ją i matkę ze szczególną podłością. Nie miało znaczenia, że dziesięć lat później Proctor zmieni się w dymiące ścierwo w szczątkach jej cadillaca: nienawidziła go nie mniej zawzięcie.

Po oddaniu strzału Proctor schował pistolet do kabury pod skórzaną kurtką. Wydawał się pewny swoich strzeleckich umiejętności.

Z kieszeni wyciągnął parę lateksowych rękawiczek i nałożył je, cały czas przyglądając się dziesięcioletniemu Shepowi. Nawet Jilly, która znała subtelności uczuć, jakie odbijały się na obojętnej twarzy Shepherdą, odniosła wrażenie, że chłopiec w ogóle nie przejął się śmiercią matki. Tak jednak nie mogło być, skoro dziesięć lat później cofnął ich w czasie, by mogli zobaczyć to na własne oczy; w swoim starszym wcieleniu wrócił tu z widocznym lękiem, powtarzając: „Shep jest dzielny”.

Usta mu nie zdrząły, z oczu nie poleciała ani jedna łza. Chłopiec z kamienną twarzą odwrócił się od ciała matki i podszedł do najbliższego rogu pokoju, gdzie stanął, utkwivszy wzrok w łączeniu ścian.

Gdy był przytłoczony traumatycznymi doznaniem, redukował swój świat do wąskiej przestrzeni, w której czuł się bezpieczniej. Podobnie radził sobie z uczuciem żalu.

Wyginając palce w lateksowych rękawiczkach, Proctor zbliżył się do chłopca i stanął za nim, przyglądając mu się uważnie. Kiwając się wolno w przód i w tył, młodszy Shepherd zaczął mruzczyć pod nosem, powtarzał rytmicznie kilka słów, których Jilly nie mogła zrozumieć.

Dylan wciąż klęczał obok matki z pochyloną głową, jak gdyby pogrążony w modlitwie. Jeszcze nie był gotów, by ją zostawić.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, że skupiony na kącie pokoju Shepherd sam będzie strażnikiem własnego więzienia, Proctor wyszedł z salonu, przeciął korytarz i otworzył drzwi innego pokoju.

Jeżeli na razie nie zamierzali się stąd składać, nie od rzeczy było pójść za Proctorem i sprawdzić, co robił.

Uścisnęła czule Shepa i puściła go.

- Chodźmy zobaczyć, co ten łajdak kombinuje. Pójdiesz ze mną, skarbie?

Pozostawienie Shepa samego nie wchodziło w rachubę. Nadal się bał i cierpiał, więc potrzebował towarzystwa. Poza tym, choć Jilly wątpiła, by mógł się stąd złożyć bez niej i Dylana, wolała nie ryzykować.

- Pójdiesz ze mną, Shepherd? - Szczurek, Kret, Ropuch.

- Co to znaczy, Shep? Czego chcesz?

- Szczurek, Kret, Ropuch. Szczurek, Kret, Ropuch.

Gdy wyrecytował tę mantrę po raz trzeci, zsynchronizowała się ze słowami, które powtarzał półgłosem stojący w kącie dziesięcioletni Shepherd, nie przestając się kołysać.

- Szczurek, Kret, Ropuch.

Jilly nie wiedziała, co to może znaczyć i nie miała czasu wdawać się w kolejną długą i zawiłą rozmowę z Shepherdem.

- Szczurek, Kret, Ropuch. Porozmawiamy o tym później, skarbie. A teraz chodź ze mną. Chodź.

Ku jej zdziwieniu, Shep bez wahania wyszedł za nią z salonu. Kiedy znaleźli się w gabinecie, Proctor rozwałił właśnie monitor klawiaturą komputera. Potem zrzucił całą maszynę z biurka na podłogę. Dokonywanie zniszczenia nie wzbudzało w nim żadnej satysfakcji, nawet krzywił się z niesmakiem.

Szybko przetrząsał szufladę po szufladzie, szukając dyskietek. Znalazł kilka i położył z boku. Pozostałą zawartość szuflad wysypał, rozrzucając wszystko po całej podłodze; chciał widocznie stworzyć wrażenie, że osoba lub osoby odpowiedzialne za śmierć matki Dylana były zwykłymi złodziejami i wandalami.

W segregatorach na dole szafy znajdowały się tylko papiery. Proctor nawet do nich nie zajrzał.

Na segregatorach stały trzy podwójne pudełka na dyskietki: mogły mieścić nawet setkę dyskietek.

Proctor zaczął wyciągać dyskietki z pudełek całymi garściami, odrzucał je na bok, nie czytając etykietek. W trzecim pudełku znalazł cztery dyskietki inne od pozostałych, w kanarkowożółtych papierowych kopertach.

- Bingo - powiedział, niosąc wszystkie cztery na biurko. Trzymając Shepa za rękę, Jilly podeszła bliżej Proctora, spodziewała się, że krzyknie, jakby zobaczył ducha. Jego oddech miał zapach fistaszków.

Na żółtej kopercie każdej dyskietki widniał czerwony napis UWAGA! Tekst pod spodem wydrukowano czarną czcionką: była to prawna formułka ostrzegająca, że dyskietki zawierają

prywatne dane chronione przepisami poufności zawodowej i każdemu, kto bezprawnie wejdzie w ich posiadanie, grozi kara przewidziana w prawie cywilnym i karnym, i że każdy, kto nie jest zatrudniony w wymienionej niżej firmie prawniczej, automatycznie staje się ich bezprawnym posiadaczem.

Proctor wysunął z koperty jedną dyskietkę i przeczytał napis na etykiecie. Potem zadowolony schował wszystkie do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Skoro miał już to, po co przyszedł, jeszcze raz zabawił się w wandalę, zrywając ze ścian półki i rzucając na środek pokoju. Dwie książki przefrunęły przez Jilly, łopocząc stronicami, a potem wylądowały na podłodze jak martwe ptaki.

Gdy komputer spadł z hukiem z biurka, Dylan przypomniał sobie bałagan, jaki zastał w części domu tamtego lutowego wieczoru. Dotąd trwał przy boku matki w irracjonalnej nadziei, że choć nie potrafił uchronić jej przed kulą, może zdoła oszczędzić jej upokorzenia, jakie jeszcze miało nastąpić. Słyszając rumor w gabinecie, musiał się jednak pogodzić z faktem, że jest tu równie bezradny jak jego brat.

Matka odeszła dziesięć lat temu i tego, co zdarzyło się zaraz po jej śmierci, nie można było odwrócić. Musiał się teraz troszczyć o żywych.

Nie miał ochoty przyglądać się, jak Proctor przygotowuje scenografię. Dobrze wiedział, jak będzie potem wyglądać dom. Podszedł do kąta, gdzie dziesięcioletni Shep kołysał się w przód i w tył, mruczając:

- Szczurek, Kret, Ropuch.

Dylan spodziewał się usłyszeć coś innego, ale recytowane przez brata słowa wcale go nie zdumiały.

Po wszystkich dziełach Dr. Seussa i innych autorów, pierwszą opowieścią dla starszych dzieci, jaką ich matka przeczytała Shepowi, była książka Kennetha Grahame'a „O czym szumią wierzby”. Shep był tak zachwycony historią Szczurka, Kreta, Ropucha, Borsuka i innych barwnych postaci z Puszczy, że ciągle nalegał, by przez cały czytać mu ją znów od początku. Zanim skończył dziesięć lat, zdążył już sam przeczytać ją co najmniej dwadzieścia razy.

Pragnął towarzystwa Szczurka, Kreta i Ropucha, opowieści o przyjaźni i nadziei, marzenia o życiu w ciepłych i bezpiecznych norach, głębokich labiryntach rozjaśnionych światłem lampy, na ocienionych polankach, pragnął otuchy, że po przerażających przygodach, po chaosie, zawsze można usiąść wśród przyjaciół przed płonącym na kominku ogniem i spędzać spokojne wieczory, podczas których świat kurczy się do rozmiarów rodziny, a wokół biją same znajome serca.

Dylan nie mógł mu tego dać. Jeśli w ogóle takie życie było możliwe, najprawdopodobniej mogli się nim cieszyć tylko bohaterowie książek.

W korytarzu na dole rozbiło się lustro przy drzwiach wejściowych. O ile Dylan pamiętał, Proctor roztrzaskał je wazonem, który stał na małym stoliku.

Od drzwi salonu Jilly zawołała: - Idzie na górę!

- Niech idzie. Wiem, co robi. Splądruje sypialnię i ukradnie biżuterię mamy... chyba po to, żeby upozorować kradzież. Na górze jest torebka mamy. Opróżni ją i zabierze pieniądze z portfela.

Jilly i Shepherd wrócili do salonu i stanęli w kącie za plecami dawnego Shepa.

Tamtego wieczoru dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku znaleziono Shepa w innym miejscu. Dylan chciał zostać w przeszłości, dopóki nie będzie wiedział, czy Shepowi oszczędzono widoku tego, co jeszcze miało nastąpić.

Z góry dobiegał łoskot - to Proctor wyciągał szuflady z komody i ciskał nimi o ściany.

- Szczurek, Kret, Ropuch - powiedział młodszy Shepherd, a starszy Shep rzekł, osłaniając się tymi słowami jak tarczą przed strasznym światem i być może kierując je także do dziesięcioletniego siebie:

- Shep jest dzielny, Shep jest dzielny.

Po minucie hałasy na górze ustały. Prawdopodobnie Proctor znalazł torebkę. A może upychał po kieszeniach biżuterię, która nie miała szczególnie wielkiej wartości.

Ze spuszczoną głową, w pozie wyrażającej wieczną pokorę, młodszy Shep opuścił swój kąć i szurając nogami, wrócił do jadalni, a starszy Shep szedł za nim krok w krok. Wyglądali jak idący w procesji mnisi z bractwa dystygowanych samotników.

Dylan odetchnął z ulgą. I tak by za nimi poszedł, lecz gdy usłyszał kroki Proctora na schodach, ciężkie jak tętent końskich kopyt, czym prędzej ruszył za bratem, pociągając ze sobą Jilly.

Dziesięcioletni Shep okrążył stół i usiadł na swoim krześle, wbijając wzrok w układankę.

Szczeniaki golden retrievery w koszu dawały chwilę spokoju i ciepła, które nie mogły istnieć w pełnym przemocy, zwyrodniałym świetle; kiedy na nie patrzył, musiało mu się wydawać, że przez chwilę zagląda do nory w Puszczy.

Shepherd stał naprzeciwko, mając po bokach Dylana i Jilly, i nie odrywał oczu od młodszego siebie.

W salonie Proctor zaczął przewracać meble, zrywać obrazy ze ścian i roztrzaskiwać bibeloty, kontynuując odgrywanie scenariusza, który miał odwieść policję od hipotezy, że intruzem mógł być ktoś inny niż zwykły bandyta nafaszerowany prochami.

Młodszy Shep wybrał z pudełka kawałek układanki. Przyjrzał się nieskończonemu obrazkowi. Próbował włożyć element w niewłaściwe miejsce, potem znów się pomylił, by za trzecim razem trafić. Następny kawałek od razu znalazł się tam, gdzie powinien. I następny, jeszcze szybciej.

Rozległ się najgłośniejszy ze wszystkich huk, po którym w salonie zapadła cisza.

Dylan starał się skupić na zręczności, z jaką dziesięcioletni Shep zmienia chaos w obraz szczeniaków w koszu. Miał nadzieję, że zdoła nie dopuścić do siebie wspomnień ostatniej fazy inscenizacji, nad którą musiał teraz pracować Proctor.

Jak było do przewidzenia, nie udało mu się.

Chcąc zasugerować, że początkowo poza kradzieżą intruz zamierzał także dokonać gwałtu, Proctor szarpnął bluzkę Blair O'Conner, odrywając guziki od szyi do pasa. Chcąc zasugerować, że ofiara broniła się przed wykorzystaniem seksualnym i została zastrzelona, przypadkiem lub celowo, przez rozwścieczonego oporem napastnika, Proctor zdarł z niej stanik, zrywając jedno ramięczko i obnażając piersi.

Dokonawszy tego poniżającego aktu, wszedł do jadalni zaczerwieniony z wysiłku.

Jeżeli Dylan był kiedykolwiek zdolny dokonać mordu, to właśnie w tej chwili. Miał ochotę, ale brakowało mu możliwości. Jego pięści stanowiły dla Proctora nie większe zagrożenie niż chmura dymu. Gdyby nawet przybył tu uzbrojony w rewolwer, kula przebiłaby Proctora, nie naruszając ani jednego włókna jego ciała.

Przystając na progu, morderca przyjrzał się dziesięcioletniemu Shepowi, który siedział przy stole nieświadomy, że ma publiczność. Otarł czoło chustką.

- Czujesz mój pot, chłopcze?

Palce chwytaly kolejne fragmenty, ręce śmigaly, niedokończone szczeniaki powoli zyskiwały pełną formę, ale Shepherd nie odpowiedział na pytanie.

- Śmierdę czymś gorszym niż pot, co? Zdradą. Śmierdę tak od pięciu lat i zawsze będę tak śmierdział.

Jego dramatyzujący masochizm rozwścieczył Dylana, ponieważ tak samo jak poprzedniego wieczoru w motelu w słowach Proctora nie było ani grama szczerości, a nędznik po prostu użalał się nad sobą, nazywając to odważną autoanalizą.

- Teraz śmierdę jeszcze tym. - Przyglądał się przez chwilę, jak ten, który sam stanowił nie lada łamigłówkę, pracuje nad łamigłówką obrazkową, po czym rzekł: - Co za parszywe życie. Pewnego dnia, chłopcze, stanę się twoim wybawieniem, a ty może staniesz się moim.

Proctor opuścił pokój i dom, wychodząc w ciemność dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku i rozpoczynając swą podróż do tak zwanego wybawienia i śmierci w płomieniach, która nastąpiła dziesięć lat później w Arizonie.

Na pochylonej nad układanką twarzy Shepherda zaślniły łzy, lecz zjawiły się tak cicho jak rosa na trawie.

- Chodźmy stąd - powiedziała Jilly. - Shep? - zwrócił się Dylan do brata.

Starszy Shepherd, który trząsł się z emocji, ale nie płakał, wciąż patrzył na młodszego siebie. Nie odpowiedział od razu, lecz gdy brat jeszcze dwa razy odezwał się do niego, odrzekł:

- Zaraz. Nie oślizło-krwawy film Davida Cronenberga. Zaraz.

Chociaż przypuszczalnie nie wykorzystywali teleportacji jako takiej i choć mechanizm ich przenoszenia w czasie i przestrzeni wciąż nie przestawał go zdumiewać, Dylan potrafił sobie wyobrazić mnóstwo błędów, jakie mogli popełnić podczas podróży, niemal tak nieprzyjemnych jak te z „Muchy”. Gdyby przypadkiem złożyli się na autostradzie przed pędzącym peterbiltem, byłoby to bolesne doświadczenie.

- Zaczekajmy, aż Shep będzie pewny, że zrobi to dobrze. Tu kawałek złotej sierści, tam koniec czarnego pyska, tam znowu ciekawskie oko: choć czas zdawał się dłużyć w nieskończoność, ręce chłopca poruszały się błyskawicznie, zmierzając do ostatecznego rozwiązania.

- W porządku - odezwał się starszy Shepherd po kilku minutach.

- W porządku? Czyli możemy iść? - upewnił się Dylan. - W porządku. Możemy iść, ale nie możemy zostawić. - Nie możemy zostawić? - powtórzył zdumiony Dylan. - Czegoś - dokończył Shep.

Pierwsza, co ciekawe, zrozumiała go Jilly.

- Możemy iść, ale nie możemy czegoś zostawić. Jeżeli nie będziemy mieć wszystkiego, co przynieśliśmy, Shep nie będzie nas mógł złożyć z przeszłości. Zostawiłam w kuchni torebkę i laptop.

Wycofali się z jadalni, opuszczając płaczącego młodszego Shepa z ostatnimi elementami układanki w rękach.

Chociaż Dylan czuł kształt włącznika, dotykając go, wiedział, że nie potrafi zapalić jarzeniówek w kuchni, tak jak nie potrafił zatrzymać kuli. W mroku kuchni nie widział, czy torebka i laptop, które Jilly zostawiła na stole, leżą w takich samych atramentowych plamach, jakie przesuwaly się niczym cienie ich stóp i rozlewały na wszystkich przedmiotach z

przeszłości, których usiłowali dotknąć, ale przypuszczał, że wszystko z ich czasów znaczy swój ślad czarnymi kałużami.

Zarzucając na ramię torebkę i chwytając laptop, Jilly powiedziała:

- Mam. Możemy iść.

Gdy otworzyły się drzwi kuchenne, obróciła się na pięcie, jak gdyby była przekonana, że ujrzy nabuzowanych steroidami osiłków, lubujących się w wyważaniu drzwi i tłuczeniu okien, którzy złożyli się do Kalifornii prosto z Holbrook w stanie Arizona i cofnęli się na dodatek w czasie.

Dylan nie zdziwił się, widząc na progu drzwi młodszego siebie. Dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku miał wieczorne zajęcia na Uniwersytecie Kalifornii w Santa Barbara. Do szkoły i z powrotem podwoził go kolega, który niecałe dwie minuty temu wysadził go na końcu długiego podjazdu.

Dylan zdumiał się jednak, widząc, jak niedługo po morderstwie wrócił do domu. Zerknął na zegarek, a potem spojrzął na cyferblat w brzuchu ceramicznej świnki. Gdyby tamtego lutego wieczoru zjawił się w domu pięć minut wcześniej, spotkał-by wychodzącego Lincolna Proctora. Gdyby zjawił się szesnaście minut wcześniej, być może zostałby zastrzelony - ale niewykluczone, że mógłby zapobiec morderstwu matki. Szesnaście minut.

Nie chciał myśleć o tym, co mogłoby się stać. Nie miał odwagi.

Dziewiętnastoletni Dylan O'Conner zamknął za sobą drzwi i nie zapalając światła, przeszedł przez zaskoczona Jilly Jackson. Położył na stole parę książek i skierował się do jadalni.

- Złóż nas stąd, Shep - powiedział Dylan.

W jadalni młodszy Dylan rzekł do młodszego Shepherd'a: - Cześć, bracie, poznaję po zapachu, że dzisiaj ciasto.

- Złóż nas do domu, Shep. Do naszych czasów. Drugi Dylan w pokoju obok zapytał:

- Płaczesz? Hej, co jest, bracie?

Gdyby usłyszał własny przepelniony bólem krzyk, jaki wydał na widok ciała matki, mogłoby to przepelnąć miarę.

- Shep, zabierz nas stąd, do diabła.

Ciemna kuchnia złożyła się i oddaliła. Wokół nich zaczęło się składać nowe jasno oświetlone miejsce. Zdjęty paranoicznym lękiem, Dylan zastanawiał się, czy fantastyczna sztuczka Shepherd'a ogranicza się tylko do podróżowania w czasie i przestrzeni, czy może obejmuje wymiary nieznane dla żywych. Być może popełnił błąd, mówiąc „do diabła” na chwilę przed opuszczeniem roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

3 6 Kalejdoskop się zakręcił. Ciemność zniknęła, a w jej miejscu wokół Jilly złożyła się zalana słońcem kuchnia i każdy detal wskoczył na swoje miejsce.

Nie pachniało świeżo upieczonym ciastem. Pod nogami nie połyskiwały czarne kałuże energii.

Uśmiechnięta ceramiczna świnka na ścianie podtrzymywała raciczkami tarczę zegara, która pokazywała godzinę 1.20, dwadzieścia cztery minuty po tym, jak złożyli się z obłąkanego pokoju motelowego w Arizonie. W teraźniejszości upłynęło więc dokładnie tyle czasu, ile spędzili w przeszłości.

W powietrzu za nimi nie wisiała żadna brama, przez którą mogliby zajrzeć do ciemnej kuchni sprzed dziesięciu lat, nie widać też było wejścia do świetlistego tunelu. Jilly odnosiła wrażenie, że tunel był po prostu techniką, z której Shepherd nie musiał już korzystać, dość

prymitywną w porównaniu z obecną metodą, dzięki której mógł przemieszczać się z miejsca na miejsce bez potrzeby stosowania uwięzi łączącej go z punktem wyjścia.

Będąc pod wrażeniem własnej pewności siebie, jakby właśnie wysiadła z tak pospolitego środka transportu jak winda, Jilly położyła laptop na kuchennym stole.

- Nie zmieniłeś tu zbyt wiele, prawda? Kuchnia wygląda tak samo.

Dylan uciszył ją i przekrzywił głowę, pilnie nasłuchując. Dom tonął w ciszy, dopóki nie włączył się agregat lodówki. - Co jest? - spytała Jilly.

- Będę musiał wszystko wytłumaczyć Vonetcie. To nasza gospoia. Przed garażem stoi jej harley.

Wyglądając przez okno, Jilly zobaczyła garaż na końcu podwórka, ale nie zauważyła żadnego motocykla.

- Jaki harley?

- Tam. - Dylan odwrócił się, pokazując przez okno miejsce, w którym nie było harleya. - Aha. Musiała pewnie pojechać po coś do sklepu. Może uda się nam stąd zniknąć, zanim wróci.

Shepherd otworzył lodówkę. Być może szukał ciasta na pociechę.

Wciąż rozmyślając nad swoją podróżą w przeszłość, nie przejmując się gospoią, Jilly powiedziała:

- Kiedy wrogowie, kimkolwiek są, osaczali Proctora, on tropił ciebie i Shepa.

- Wczoraj wieczorem, gdy byłem przywiązany do krzesła, mówił mi, że gryzą go wyrzuty sumienia - tak bardzo, że czuje się pusty, ale wtedy wydawało mi się to zupełnie bez sensu.

- Moim zdaniem ta kanalia zawsze była pusta w środku - odparła Jilly. - Od początku, pewnie od kołyski.

- Gówno prawda z tymi wyrzutami sumienia. Facet odstawia swój numer z samokrytyką tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Przepraszam, Jilly.

- Nic się nie stało. Po tym, co przeszliśmy, masz pełne prawo nie używać słowa „kupka”.

Prawie go rozśmieszyła, ale wciąż świeże i bolesne wspomnienia z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego spowodowały, że Dylan ledwie się uśmiechnął.

- Nie o to mi chodzi. Przepraszam, że wplątałaś się w tę kabałę przeze mnie. Przeze mnie i przez Shepa.

- Proctor miał po prostu za dużo o jedną dawkę swojego piekielnego eliksiru i potrzebował kogoś, żeby mu ją wpakować. I wtedy napatoczyłam się ja, bo zachciało mi się piwa korzennego.

Stojąc przed otwartą lodówką, Shepherd powiedział: - Zimno.

- Ale Proctora by tam nie było - zauważył Dylan - gdyby nie było Shepa i mnie.

- Tak, a mnie by tam nie było, gdybym przez całe swoje względnie krótkie, tak zwane dorosłe życie nie próbowała zostać solistką od opowiadania dowcipów i gdybym sobie nie wmówiła, że to nie tylko sensowne życie, ale też jedyne możliwe. Do diabła, nie muszę się już martwić, że mi tyłek urośnie, bo już dałam... ciała. Nie odstawiaj więc własnego numeru z samokrytyką. Stało się, co się stało, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, i chociaż nanoboty budują nam już pewnie w czaszkach Nowe Jeruzalem, chyba lepiej, że - przynajmniej na razie - żyjemy, niż gdybyśmy mieli nie żyć. Co teraz?

- Teraz pakujemy się, i to szybko. Wezmę trochę ubrań dla Shepa i siebie, trochę pieniędzy, które trzymam w kasetce na górze, no i broń.

- Masz broń?

- Kupiłem po tym, co się stało z matką. Mordercy nie złapano. Myślałem, że może wrócić.
- Wiesz, jak się obchodzić z bronią?
- Annie Oakley to ja nie jestem - odparł. - Ale potrafię wycelować i nacisnąć spust, gdyby było trzeba.

Jej mina wyrażała powątpiewanie.

- Może powinniśmy kupić kij baseballowy. - Zimno - powiedział Shepherd.
- No to ubranie, pieniądze, broń, a potem w drogę - rzekł Dylan.
- Sądysz, że ci goście, którzy namierzili nas w motelu w Holbrook, mogą się tu pokazać? Skinął głową.

- Jeżeli mają jakieś powiązania z policją czy innymi służbami o zasięgu ogólnokrajowym - tak, w końcu tu trafią.

- Nie możemy ciągle się składać - powiedziała Jilly. - To zbyt osobliwe, niepewne, nieprzewidywalne. Shep może się zmęczyć i gdzieś w końcu utkniemy - albo jeszcze gorzej.
- W garażu mam chevroleta. - Zimno.

Jilly pokręciła głową.

- Pewnie wiedzą, że masz chevroleta. Przyjdą tu, zobaczą, że auta nie ma i zaczną go szukać.
- Zimno.

- Może zdejmujemy tablice - zaproponował Dylan - i ukradniemy z innego samochodu.
- Jesteś już doświadczonym uciekinierem, co? - Chyba powinienem się nauczyć.

Zaglądając do otwartej lodówki, Shep powiedział: - Zimno.

Dylan podszedł do niego. - Czego szukasz, bracie? - Ciasto.

- Nie mamy tu żadnego ciasta. - Ciasto.
- Skończyło się nam ciasto. - Nie ma ciasta?
- Nie ma ciasta. - Zimno.

Dylan zamknął drzwi lodówki. - Dalej zimno?

- Lepiej - powiedział Shep.
- Mam złe przeczucie - odezwała się Jilly, choć jej niepokój nie miał konkretnego powodu.
- Coś nie tak? - zapytał Dylan.
- Nie wiem. - Uśmiech ceramicznej świnki wydawał się teraz szelmowski. - Mam po prostu... nie najlepsze przeczucie.
- Najpierw kasetka. Nawet z tym, co miałem w kopercie z przyborami do golenia, nie mamy za dużo pieniędzy.
- Lepiej trzymajmy się razem - rzekła Jilly. - Blisko.
- Zimno. - Shepherd znów otworzył lodówkę. - Zimno. - Bracie, tam nie ma ciasta.

Płynąc w zwolnionym tempie jakieś sześć czy osiem cali od twarzy Jilly, bez żadnego huku czy trzasku, pojawił się nagle postrzępiony i ostry odłamek szkła wielkości dłoni, sunął obok niej majestatycznie jak góra lodowa po gładkiej tafli morza.

- Zimno.

- Potem dostaniesz ciasto, bracie.

Później zobaczyła coś jeszcze, co poruszało się kilka cali przed drwiącym z prawa grawitacji kawałkiem szkła - znacznie mniejszy i ciemniejszy przedmiot: pocisk. Przecinając wolno powietrze i lecąc w głąb kuchni, kula obracała się leniwie.

- Zamknij lodówkę, Shep. Nie ma tam ciasta.

Jeżeli pocisk poruszał się w zwolnionym tempie, to szkło płynęło za nim w superzwolnionym tempie.

Za pierwszym odłamkiem pokazały się następne błyszczące odpryski i okruchy, sunęły w powietrzu wolno i swobodnie. - Zimno - powiedział Shep. - Zimno nam.

Jilly zorientowała się, że szkło i kula są równie rzeczywiste, jak czerwone świece wotywna na pustyni i ławice białych ptaków. Nie był to obraz terażniejszej katastrofy, ale wizja zdarzenia, które miało dopiero nadejść.

- Tobie jest zimno, mnie nie - powiedział do Shepherda Dylan.

Jilly wyczuwała, że te prorocze wizje nie mają związku z poprzednimi. Kawałki szkła nie pochodziły z okien kościoła, więc kula miała wybić szybę w jakimś innym miejscu.

- Zimno nam. Wszyscy w zimnie - upierał się Shep. Odwracając się do braci, Jilly zobaczyła po swojej lewej stronie jeszcze więcej kawałków szyb - bo chyba to było szkło - tworzących prawdziwą galaktykę połyskliwych odprysków i większych trójkątnych odłamków, które obracały się wolno w powietrzu.

- Zimno nam, wszyscy w zimnie.

Spoglądając przez rozsypaną układankę ze szkła, Jilly zobaczyła, jak Shepherd odsuwa się od lodówki, pozwalając Dylanowi ponownie zamknąć drzwi. Bracia poruszali się z normalną prędkością.

Szalony łomot jej serca wskazywał, że ona także nie zsynchronizowała się z szybkością poruszających się w zwolnionym tempie kawałków szkła. Sięgnęła po przepływający w pobliżu fragment szyby, ale okazał się niematerialny. Odłamek przepłynął wolno między jej palcami, nie kalecząc jej.

Próba kontaktu z wizją spowodowała, że czar prysnął, a szkło uniknęło jak flotyła statków-widm, rzeczywistych na pierwszy rzut oka, które z podniesionymi żaglami szukają wiatru, a po chwili rozplywają się w oparach mgły.

Jilly odwróciła się do okien wychodzących na podwórko i zobaczyła, że szyby pozostały nietknięte.

Widząc, że Jilly jest rozkojarzona tak samo, jak podczas poprzednich przypadków jasnowidzenia, Dylan rzekł:

- Hej, dobrze się czujesz?

Najprawdopodobniej zobaczyła inne okna. Od ubiegłego wieczoru miała wizje rzezi w kościele, do której jeszcze nie doszło. Nie miała żadnego powodu podejrzewać, że kolejna krwawa scena rozegra się tu, a nie gdzie indziej, i raczej prędzej niż później. Dylan zbliżył się do niej.

- Coś nie tak?

- Nie jestem pewna.

Zerknęła na zegar, na złośliwie wyszczerzoną świnkę. Wiedziała, że uśmiech w ogóle się nie zmienił. Ryjek trwał znieruchomiał w tym samym wyrazie pod ceramicznym szklivem. Uśmiech pozostał tak samo dobroduszny jak wtedy, gdy zobaczyła go pierwszy raz, niecałe pół godziny temu, w kuchni sprzed dziesięciu lat. Jednak świnka i zegar kipiały wręcz zło-wrogą energią.

- Jilly?

Właściwie nie tylko świnka, lecz cała kuchnia zdawała się ożywać od zła, jak gdyby nawiedził ją mroczny duch, który nie potrafił objawić się w tradycyjnej ektoplazmatycznej

postaci i zamieszkał w meblach i powierzchniach w samym pomieszczeniu. Każda krawędź blatu lśniła groźnie jak ostra brzytwa.

Shepherd ponownie otworzył drzwi lodówki i zaglądając do środka, powiedział:

- Zimno. Wszyscy w zimnie.

Czarne szkło drzwiczek piekarnika patrzyło, patrzyło spod przymkniętych powiek jak oczy.

Ciemne butelki w stojaku na wino wyglądały jak napełnione koktajlem Mołotowa.

Czując, jak lodowaty dreszcz przebiega jej po plecach i całe ciało pokrywa się gęsią skórą, wyobraziła sobie stalowe zęby zgrzytające bezgłośnie w gardzieli młynka do rozdrabniania odpadków.

Nie. To absurd. Żaden duch nie zamieszkał w kuchni. Nie potrzebowali egzorcysty.

Jej zaniepokojenie - a właściwie przecucie śmierci - rosło z każdą chwilą i było tak dojmujące, że musiała za wszelką cenę odkryć jego powód. Swoją strach przeniosła zabobonnie na martwe przedmioty - świnkę z zegarem, drzwiczki piekarnika, zęby w zlewie - gdy tymczasem prawdziwe zagrożenie czaiło się gdzie indziej.

- Zimno, wszyscy w zimnie - powtórzył Shep, stojąc przed otwartą lodówką.

Tym razem Jilly zrozumiała jego słowa inaczej niż przedtem. Przypomniała sobie talent Shepherda do wynajdywania synonimów i zdała sobie sprawę, że „wszyscy w zimnie” mogą oznaczać „wszyscy zimni”, czyli „wszyscy martwi”. W zimnie jak zwłoki. Zimni jak w grobie. Zimni i martwi.

- Zabierajmy się stąd, jak najprędzej - powiedziała zdecydowanie.

- Muszę wziąć pieniądze z kasetki - zaprotestował Dylan. - Daj spokój z pieniędzmi. Możemy umrzeć przez te pieniądze. - Zobaczyłaś to?

- Ja to wiem.

- Dobra, w porządku.

- Szybko, składajmy się stąd.

- Zimno, wszyscy w zimnie - powiedział Shep.

37 Tik-tak. Małe oczka spozierające spomiędzy fałdów różowego tłuszczu.

Chytre, znaczące spojrzenie. Zapomnij o tym cholernym zegarze. Świnka nie stanowi zagrożenia. Skup się.

Dylan wrócił do brata, trzeci raz zamknął lodówkę i pociągnął Shepa w stronę Jilly.

- Musimy iść, bracie.

- Gdzie jest lód? - zapytał Shep. Jilly nie widziała, aby wcześniej był tak bardzo owładnięty jakąś obsesją. - Gdzie jest lód? - Jaki lód? - spytał Dylan.

Jasnowidzenie wciąż było dla Jilly czymś nowym, strasznym i niechcianym, poza tym nie potrafiła nim odpowiednio kierować. - Gdzie jest lód? - powtarzał z uporem Shepherd.

- Nie trzeba nam żadnego lodu - rzekł Dylan. - Bracie, zaczynasz mnie powoli przerażać. Nie strasz mnie.

- Gdzie jest lód?

- Shep, skup się. Słuchaj mnie, zrozum, skup się.

Usiłując zidentyfikować źródło niepokoju, przeskakiwała podejrzliwym spojrzeniem z przedmiotu na przedmiot, z miejsca na miejsce, nie pozwalając, by niepokój sam skierował

magnetyczną igłę jej intuicji we właściwą stronę. Musiała się odprężyć, zaufać dziwnemu przecuciu i przekonać się, czego dokładnie ma się bać.

- Gdzie jest lód?

- Daj spokój z tym lodem. Nie potrzeba nam lodu, bracie. Musimy się stąd wydostać, rozumiesz?

- Tylko lód.

W końcu uwagę Jilly przyciągnęły okna i widoczne za nimi podwórko. Zielona trawa, garaż w głębi, złota łąka za garażem. - Tylko lód.

- Dostał manii na punkcie tego lodu - zauważył Dylan. - Więc go z niej wyciągnij.

- Tylko lód - mówił Shep. - Gdzie jest lód?

- Znasz już Shepa. Jeżeli się czegoś uczepli, nie da się odciągnąć, chyba że sam tego chce. Jakby... cały czas odbijało mu się rykoszetem w głowie. Tym razem jest gorzej niż zwykle.

- Skarbie - powiedziała Jilly, nie odrywając oczu od okien. - Musimy się złożyć. Potem dostaniesz lód.

- Gdzie jest lód?

Dylan ujął podbródek brata i uniósł mu głowę.

- Shep, to bardzo ważna sprawa, zasadnicza. Rozumiesz, co to znaczy „zasadnicza”? Wiem, że rozumiesz, bracie. Musimy się stąd złożyć, to teraz najważniejsze.

- Gdzie jest lód?

Zerkając na Shepherdę, Jilly zobaczyła, że nie chce nawiązać kontaktu z bratem. Jego oczy poruszały się bez przerwy pod przymkniętymi powiekami.

Gdy Jilly ponownie popatrzyła na podwórko, obok północno-zachodniego narożnika garażu klęczał na jednym kolanie jakiś mężczyzna. Krył się w cieniu. Mało brakowało, by go nie zauważyła, ale głowę by dała, że jeszcze przed chwilą go tam nie było.

Z wysokich traw łąki wypadł następny i przebiegł skulony do południowo-zachodniego narożnika garażu.

- Już tu są - powiedziała do Dylana.

Żaden z nich nie miał na sobie pastelowego stroju typowego dla turystów na pustyni, ale obaj przypominali pseudogolfistów z Arizony. Byli wysocy, barczyści i zdecydowani, i z pewnością nie chodzili od domu do domu, głosząc zbawienie przez Chrystusa.

- Gdzie jest lód?

Jilly największą zgrozą przejął widok słuchawek, jakie obaj mieli na głowie. Każda para była wyposażona w wysięgnik z mikrofonem wielkości monety jednocentowej. Wysoki stopień koordynacji świadczył o tym, że grupa szturmowa składa się

z większej liczby osób, a także o tym, że nie byli to zwykli brutalni bandyci do wynajęcia, ale bandyci o rozwiniętym zmyśle organizacyjnym.

- Gdzie jest lód?

Drugi mężczyzna osłaniał teren między łąką a garażem. Przyczał się przy południowo-zachodnim narożniku, na wpół schowany za krzewem.

Jilly spodziewała się, że będą dobrze uzbrojeni, więc ich rynsztunek nie przeraził jej aż tak jak słuchawki. Mieli broń ogromnych rozmiarów. O futurystycznym wyglądzie. Pewnie jakieś karabiny szturmowe. Jilly nie znała się za dobrze na broni palnej - w swoim zawodzie nie musiała, nawet gdy trafiła się jej wyjątkowo niesforna publiczność - ale domyślała się, że z tych karabinów można wystrzelić tysiące pocisków, zanim trzeba je będzie przeładować.

- Gdzie jest lód?

Musieli z Dylanem zyskać na czasie, dopóki nie uda się im przekonać Shepherda, że musi złożyć wszystkich troje do jakiegoś miejsca, gdzie można dostać ciasto i lód, i że to jedyny sposób.

- Odsuńcie się od okien - ostrzegła Jilly, cofając się od tych, które wychodziły na podwórko.
- Okna to... okna to śmierć.
- W każdym pokoju są okna. - Dylan się zmartwił. - Mnóstwo okien.
- A piwnica?
- Nie ma piwnicy. To Kalifornia. Konstrukcja jest z płyt.
- Gdzie jest lód? - pytał Shep.
- Wiedzą, że tu jesteśmy - powiedziała Jilly.
- Skąd mogą wiedzieć? Przecież nie weszliśmy od zewnątrz.
- Może wcześniej założyli w domu podsłuch - zasugerowała. - Albo zobaczyli nas przez lornetkę, obserwując okna.
- Wysłali Vonettę do domu - zorientował się Dylan.
- Miejmy nadzieję, że nic jej nie zrobili.
- Gdzie jest lód?

Na myśl o tym, że coś mogło się stać jego gosposi, Dylan zbladł niczym płótno, jak gdyby bardziej się tym przejął niż grożącym mu śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- Ale złożyliśmy się z Holbrook dopiero pół godziny temu. - Co z tego?
- Przypuszczalnie cholernie wystraszyliśmy w motelu tego gościa, który widział, jak znikamy.
- Pewnie musiał zmienić bieliznę - dodała Jilly.
- Jak więc mogli w ciągu pół godziny rozpracować mechanizm składania, nie mówiąc o powiadomieniu ludzi w Kalifornii? - Ci ludzie nie zjawili się tu dlatego, że pół godziny temu zostali zawiadomieni. Obserwowali dom, ale nie wiedzieli, gdzie jesteśmy, aż banda z Arizony potwierdziła, że znajdujemy się w Holbrook, wiele godzin przed ich wejściem do motelu.
- Czyli wczoraj wieczorem dość szybko skojarzyli cię ze spalonym cadillakiem i mnie z tobą - rzekł Dylan. - Cały czas wyprzedzaliśmy ich zaledwie o parę godzin.
- Nie wiedzieli, czy w ogóle się tu zjawimy. Po prostu czekali w nadziei, że a nuż...
- Nikt nie prowadził obserwacji domu rano, kiedy złożyliśmy się z Shepem na wzgórzu.
- Musieli zająć stanowiska wkrótce potem.
- Lód - powiedział Shep. - Lód, lód, lód, lód.

Facet klęczący w cieniu i ten drugi, na wpół schowany za krzewem, mówili do mikrofonów, ale zapewne nie rozmawiali ze sobą, tylko gawędzili z grupką podobnych zabójców otaczających dom ciasnym pierścieniem, wymieniając się wskazówkami na temat konserwacji broni, technik duszenia i przepisami na gazy neurotoksyczne, synchronizując zegarki i koordynując atak.

Jilly była gotowa utoczyć lodu z własnych żył, gdyby Shep sobie tego życzył. Czuła się zupełnie bezbronna. Czuła się naga. Naga w rękach losu.

- Lód, lód, lód, lód, lód.

Oczyrna duszy oglądała płynące wolno odłamki szkła i pocisk sunący w powietrzu.

- Ale teraz ta grupa na pewno porozumiała się z tamtymi z Arizony, założę się o wszystko - powiedziała Jilly. - Rozmawiali z nimi w ciągu ostatnich piętnastu czy dwudziestu minut, wiedzą więc, że umiemy odstawić numer „tutam”.

Myśli Dylana pędziły w równie zawrotnym tempie.

- Może któraś z dawniejszych ofiar eksperymentów Proctora też umiała dokonać tej sztuczki i widzieli już składanie. - I trzęsą portkami na myśl o biegających po świecie spryciarzach, napompowanych nanobotami i obdarzonych niezwykłymi zdolnościami.

- Trudno mieć im to za złe. Sam trzęsę portkami - odrzekł Dylan - mimo że tymi spryciarzami jesteśmy my.

- Lód, lód, lód.

- Czyli zaatakują szybko i wysadzą cały dom w powietrze, żeby nas zabić, zanim się zorientujemy, że tu są i zdążymy się złożyć - zauważyła Jilly.

- Tak sądzisz czy wiesz? Wiedziała, czuła to, widziała.

- Mają pociski przeciwpancerne, które przebijają ściany, kamień, każdy cholerny materiał.

- Lód, lód, lód.

- Mają jeszcze coś gorszego od pocisków przeciwpancernych - ciągnęła. - O wiele gorszego. Coś w rodzaju... pocisków rozpryskowych, które rozrzucają odłamki pokryte cyjankiem.

Nigdy nie czytała ani nie słyszała o tak potwornej broni, ale dzięki nowym stworzonym przez nanoboty połączeniom w mózgu przewidziała jej użycie. Usłyszała w głowie czyjeś głosy, głosy mężczyzn rozmawiających o szczegółach ataku kiedyś w przyszłości - może policjantów, którzy jeszcze dziś lub jutro będą przeszukiwać pozostałe po domu ruiny, może samych morderców wspominających krwawe dzieło zniszczenia, doskonale zaplanowane i dokonane we wspaniałym stylu.

- Odłamki z cyjankiem i Bóg wie co jeszcze - ciągnęła. Wstrząsnął nią dreszcz. - W porównaniu z tym, co z nami zrobią, szturm na sektę Koresha będzie wyglądać jak niewinna chrześcijańska zabawa towarzyska.

- Lód, lód, lód.

Dylan zwrócił się zniecierpliwiony do Shepa.

- Otwórz oczy, bracie, wyłaź z tej jamy, zostaw ten lód, Shep. Shepherd nie otwierał oczu.

- Shep, jeżeli chcesz jeszcze spróbować ciasta, otwórz oczy.

- Lód, lód, lód.

- Na razie nie ma szans, żeby przyszedł do siebie - powiedział Dylan do Jilly. - Zupełnie się zatracił.

- Na górę - odrzekła krótko. - Na pewno nie będzie to piknik, ale na dole może nas porąbać na plasterki.

Jeden z mężczyzn kryjących się pod garażem wyszedł z cienia, drugi wysunął się zza krzewu. Ruszyli w stronę domu. Zaczęli biec.

38 - Na górę! - powiedziała Jilly, a Dylan

dodał:

- Biegiem!

- Lód, lód, lód - powtarzał Shepherd, a Dylan przez jakieś

dziwne połączenie w pamięci skojarzył to sobie ze znanym z dawnych potańcówek przebojem „Hot, Hot, Hot” Bustera Poindextera, co mogłoby się nawet wydawać zabawne w przyjemniejszych okolicznościach, gdyby nie upiorna myśl, że „Hot, Hot, Hot” będzie towarzyszyć ich agonii.

Schody znajdowały się we frontowej części domu, a z kuchni prowadziło dwoje drzwi: jedno do jadalni, drugie do korytarza na dole. Druga droga była bezpieczniejsza, nie biegła w pobliżu okien.

Jilly nie zorientowała się, że istnieje możliwość przejścia przez korytarz, ponieważ drzwi były zamknięte. Prawdopodobnie pomyślała, że to spiżarnia. Nim Dylan zdążył skierować ją w drugą stronę, wypadła z kuchni prosto do jadalni.

Dylan bał się wychodzić na korytarz, bo przypuszczał, że Jilly może się odwrócić, zobaczy, że go nie ma i wróci tu ich poszukać, a w każdym razie na pewno przez chwilę się zawaha. Stracona sekunda mogła oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

Ponaglając, popychając i niemal unosząc brata w powietrze, Dylan popędził go naprzód. Oczywiście Shep powłóczył nogami, ale szybciej niż zwykle, wciąż marudząc o lodzie, powtarzając po trzy razy „lód, lód, lód”, z każdym krokiem coraz bardziej niezadowolony, jakby czuł się dotknięty, że pędzą go niczym niesforną owcę.

Zanim Dylan i Shep wyszli z kuchni, Jilly była już w salonie. Shepherd zatrzymał się na moment w progu, lecz pozwolił się pogonić dalej.

Wchodząc do jadalni, Dylan niemal spodziewał się zobaczyć dziesięcioletniego Shepa układającego obrazek ze szczeniakami. Mimo że chciał się uwolnić od koszmarne go wieczoru z przeszłości, chyba wołał go od terażniejszości, która jeśli w ogóle łączyła się z jakąkolwiek przyszłością, to tylko kruchymi i niepewnymi mostami.

Shep protestował przeciwko uporczywemu poszturchiwaniu przez brata:

- Lód, nie, lód, nie, lód, nie... - a gdy przeszli przez jadalnię, chwycił się obiema rękami futryny następnych drzwi.

Zanim zdołał wzmocnić uchwyt, rozstawić nogi i zaklinować się w drzwiach, Dylan wpełznął go do salonu. Chłopak potknął się i wyładował na czworakach, co okazało się szczęśliwym upadkiem, ponieważ w tej samej chwili uzbrojeni bandyci otworzyli ogień.

Ciszę rozdarł grzechot broni maszynowej, który wstrząsnął oknami w kuchni i jadalni - jeszcze głośniejszy niż w filmach, ciężki i hałaśliwy jak ryk wiertarki udarowej wecinającej się w twarde beton i walącej z szybkością dziecioła. Odezwały się więcej niż dwa karabiny, może trzy, może cztery. Gwałtownej kanonadzie towarzyszył niższy, bardziej dudniący i wolniejszy huk, jakby karabinu większego kalibru, potężniejszej broni, której siła odrzutu mogłaby posadzić strzelca na tyłku.

Gdy rozległy się pierwsze strzały, Dylan rzucił się na podłogę salonu. Podciął Shepherdowi rękę i chłopak rozciągnął się jak długi na klonowym parkiecie.

- Gdzie jest lód? - zapytał Shepherd, jak gdyby zupełnie nieświadomy gradu pocisków nieustannie bombardujących dom.

Brzęknęły tłuczone okna, zadzwoniły kaskady szkła, po czym kule zaczęły odłupywać drzazgi z ram, pruć tynk i dzwonić o rury w ścianach: ping-ping-ping.

Serce Dylana tłukło się jak u zaszczutego zająca; rozumiał, co czują małe zwierzęta, gdy ich sielskie łąki pierwszego dnia sezonu łowieckiego zmieniają się w pola śmierci.

Ogień zdawał się dochodzić tylko z dwóch stron. Ze wschodu, gdzie znajdował się tył domu. I z południa.

Jeśli zabójcy otoczyli budynek ze wszystkich czterech stron - a Dylan był pewien, że tak - ci od zachodu i północy na razie pozostawali w ukryciu. Zbyt profesjonalnie podchodzili do zadania, aby utworzyć krzyżowy ogień, od którego mogliby zginąć oni albo ich kompani.

- Czołgaj się ze mną, Shep. - Dylan podniósł głos, by przekrzyknąć kakofonię. - Czołgaj się ze mną, chodź, zasuwamy! Shepherd przyciskał się do podłogi z głową zwróconą w stronę brata, ale nie otwierał oczu.

- Lód.

W salonie dwa okna wychodziły na południe i cztery na zachód. Szyby w południowej ścianie rozprysły się od razu po rozpoczęciu ognia zaporowego, lecz okna zachodnie pozostały nienaruszone, niedrażnione nawet rykoszetem.

- Rób jak wąż - naglił Dylan. Shep nie drgnął.

- Lód, lód, lód.

Serie jedna po drugiej pręły południową ścianę, wdzierając się do salonu, rąbiąc drewniane meble na szczapy, rozbijając

lampy i wazony. Dziesiątki pocisków przebijały tapicerowane meble z głuchym hałasem, który szczególnie działał Dylanowi na nerwy - zapewne dlatego, że podobny odgłos wydawało trafione kulą ciało.

Choć twarz Shepa była zaledwie kilka cali od niego, Dylan krzychał - po to, żeby brat usłyszał go przez łoskot kanonady, w nadziei, że uda mu się pobudzić go do działania, dlatego że był na niego zły, ale przede wszystkim dlatego, że znów zawrzało w nim święte oburzenie, które pierwszy raz poczuł w domu przy Alei Eukaliptusowej; wściekłość na tych łajdaków, którzy zawsze postawią na swoim i używają siły, którzy zawsze i wszędzie, w każdej sytuacji uciekają się do przemocy.

- Niech to szlag, Shep, chcesz, żeby nas zabili jak mamę? Chcesz, żebyśmy tu padli i zgnili? Chcesz, żeby znowu uszło im to na sucho? Chcesz tego, niech cię szlag, Shep, chcesz?

Ich matkę zabił Lincoln Proctor, a ci bandyci byli przeciwnikami Proctora i jego dzieła, ale dla Dylana wszyscy stali po jednej stronie. W armii ciemności nosili tylko emblematy różnych jednostek.

Poruszony złością Dylana, a może zdając sobie wreszcie sprawę, że są otoczeni, Shep przestał powtarzać mantrę o lodzie. Otworzył oczy. W końcu dopadło go przerażenie.

Serce Dylana zmieniło bieg, przechodząc najpierw w luz i zamierając na chwilę, a potem w wyższe przełożenie na myśl, że Shep natychmiast ich złoży, zostawiając Jilly, która dotarła już do korytarza od frontu.

Shepherd postanowił jednak udawać węża. Froterując brzuchem podłogę, zaczął pełznąć od drzwi jadalni do korytarza na dole, przecinając na ukos północno-wschodni kwadrant salonu. Opierając się na łokciach i palcach stóp, chłopak poruszał się tak szybko, że Dylan z trudem za nim nadążał.

Kiedy się czołgali, spadał na nich deszcz kawałków tynku, obłupanych drzazg, bryłek pianki uszczelniającej okna i innych śmieci. Między nimi a południową ścianą stało mnóstwo mebli pochłaniających lub zmieniających kierunek niżej przelatujących pocisków. Reszta trafiała wyżej.

Nad głowami świstały im kule, jakby los wciągał z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby, ale Dylan nie słyszał jeszcze pisku wirujących odłamków, nie czuł też cyjanku ani innych niepokojących zapachów.

Pokój spowiła chmura tynkowego pyłu jak zasłona ze snu, a w powietrzu fruwało pierze niczym w kurniku, do którego wpadł lis.

Shep wypełził do korytarza i czołgałby się dalej aż do gabinetu, gdyby nie natknął się na Jilly, która leżała na brzuchu u stóp schodów. Cofnęła się, zagradzając mu drogę, chwyciła go za spodnie na siedzeniu i skierowała na schody.

Kule, których meble nie zatrzymały ani toru nie zmieniły, swobodnie wdzierały się do frontowego korytarza przez otwarte drzwi salonu. Siekły też południową ścianę korytarza, która była północną ścianą salonu. Zderzenie z drugą masą drewna i tynku zatrzymywało niektóre pociski, ale inne przebijały się, nie tracąc wiele ze swej śmiercionośnej siły.

Rzęząc bardziej ze strachu niż z wysiłku, krzywiąc się od alkalicznego smaku tynkowego pyłu, Dylan spojrział w górę i zobaczył dziesiątki dziur w tej ścianie. Niektóre były rozmiarów ćwierćdolarówki, ale było kilka większych od jego pięści.

Kule wyrwały z poręczy schodów drobne odłamki i całe kawały. Dylan przyglądał się, jak kontynuują swe niszczycielskie dzieło.

Kilka balasków było wyszczerbionych. Dwa zostały zupełnie roztrzaskane.

Pociski przebijające ścianę i mijające poręcz zatrzymywały się w końcu na północnej ścianie korytarza, która stała się ścianą klatki schodowej. Tu traciły resztki energii, dziurawiąc i kalcząc tynk tak, że wyglądał jak mur, przed którym staje pluton egzekucyjny.

Gdyby nawet Jilly i bracia O'Connerowie niczym rodzina udających węże kuglarzy wspięli się na stopnie, trzymając się tak nisko jak sprężyna slinky sama schodząca po schodach, nie mogliby dotrzeć bez szwanku do pierwszego podestu. Pewnie jednemu z nich udałoby się ta sztuka. Może nawet dwojgu, co byłoby niezbitym dowodem na istnienie aniołów stróżów. Gdyby jednak cuda chadzały trójkami, nie można by ich nazywać cudem, stałyby się pospolitym zjawiskiem. Przy próbie pokonania schodów Jilly, Shep albo Dylan zostaliby zabici albo ciężko ranni. Leżeli więc rozpląszczeni na podłodze, dysząc ciężko i wciągając z każdym oddechem tynkowy pył, bez wyjścia, bez nadziei.

Wtedy ogień osłabł i po trzech czy czterech sekundach ustal zupełnie.

Po zakończeniu pierwszego etapu szturm, który trwał nie dłużej niż dwie minuty, mordercy od wschodniej i południowej

strony domu wycofywali się. Kryli się, by uniknąć zranienia w krzyżowym ogniu.

Równocześnie w kierunku domu ruszyli, zapewne biegiem, bandyci z północy i zachodu. Etap numer dwa.

Główne wejście w zachodniej ścianie domu znajdowało się za plecami Dylana, a po obu stronach drzwi były witrażowe okienka. Leżąc twarzą do pierwszego podestu schodów, mieli gabinet z lewej, tuż za ścianą, a w nim trzy okna.

W drugim etapie szturm korytarz zostanie zasypany takim gradem kul, że wszystko, co zdarzyło się dotychczas, będzie wyglądać jak demonstracja złości w wykonaniu grupki agresywnych dzieci.

Śmierć drwiła z nich, darowując im chwilę na ocalenie, sama tymczasem rozczapierzyła kościste palce i odliczała sekundy. Jilly musiała błyskawicznie dojść do tych samych wniosków, bo gdy jeszcze nie przebrzmiało echo ostatniego strzału, poderwała się na nogi równocześnie z Dylanem. Bez wahania i bez słowa oboje sięgnęli w dół, chwycili Shepa za pasek i pociągnęli, by stanął między nimi.

Z nadludzką siłą, która pozwala napompowanym adrenaliną matkom podnosić przewrócone samochody, by uwolnić zakleszczone niemowlę, unieśli Shepa i pociągnęli go po schodach, które ledwo muskał stopami; ale od czasu do czasu nawet oparł się o stopień w taki sposób, aby uprzejmie wesprzeć ich wysiłek i pomóc im lekkim ruchem w górę.

- Gdzie jest lód? - zapytał Shep.
- Na górze- wydyszała Jilly.
- Gdzie jest lód?
- Niech cię szlag, bracie!
- Już prawie jesteśmy - zachęciła ich Jilly. - Gdzie jest lód?

Ukazał się pierwszy podest.

Shep zahaczył czubkiem buta o stopień. Przesunęli go, podciągnęli i wspinali się dalej. - Gdzie jest lód?

W huku ognia nagle rozprysły się witraże w okienkach, a w drzwi zalomotało mnóstwo kościstych palców, jak gdyby wstępu domagała się dwudziestka zdecydowanych demonów z nakazami śmierci. Pocisk za pociskiem zaczął pruć drewno, wybijać dziury i tłuc w niższe stopnie, powodując wibracje w całych schodach.

39

Gdy tylko dotarli do podestu i zaczęli wchodzić wyżej, Dylan poczuł się bezpieczniej, ale zaraz okazało się, że przedwcześnie. Trzy stopnie przed nimi kula przebiła podnózek stopnia i wbiła się w sufit.

Zorientował się, że od spodu wyższy bieg schodów znajduje się na wprost drzwi wejściowych. Właściwie mieli pod stopami tylną ścianę strzelnicy.

Dalsza droga na górę była niebezpieczna, wycofanie się nie miało żadnego sensu, a zatrzymanie w połowie schodów oznaczało pewną i rychłą śmierć. Pociągnęli więc Shepherda za pasek nieco mocniej, Jilly obiema rękami, Dylan jedną; wlekli go po schodach.

- Gdzie jest lód? - pisał falsetem Shep.

Dylan spodziewał się, że trafią go w podeszwy stóp, w ramię, w dół podbródka albo we wszystko naraz. Kiedy dotarli do górnego korytarza cali i żadne z nich nie przypominało denata z ilustracji z podręcznika medycyny sądowej, puścił brata i oparł się ręką o słupek poręczy, by złapać oddech.

Najwyraźniej tego dnia spoczęła tu także dłoń Vonetty Beesley, ich gosposi, ponieważ gdy tylko Dylan dotknął jej śladu psychicznego, przez głowę przebiegły mu jak błyskawica obrazy jej twarzy. Poczuł silny impuls, który kazał mu natychmiast biec jej szukać.

Gdyby zdarzyło się to poprzedniego wieczoru, gdyby nie nauczył się panować na takimi odruchami, mógłby popędzić w dół schodów wprost w środek zawieruchy, tak jak nie zważając na nic, mknął do domu Marjorie przy Alei Eukaliptusowej. Tym razem oderwał dłoń od słupka i stłumił swoją wrażliwość na odcisk Vonetty.

Jilly pociągnęła już Shepherda w głąb korytarza, dalej od początku schodów. Podnosząc głos, aby wygrać z rumorem na dole, błagała go, żeby ich stąd złożył.

Dylan zauważył, że brat wciąż tkwi w okowach wyimaginowanego lodu. Myśl o lodzie ciągle tłukła się w głowie Shepa, czyniąc go obojętnym na niemal wszystko wokół.

Nie istniał żaden wzór, który pozwalałby określić, kiedy Shepherd wydobędzie się ze studni swojej najnowszej obsesji, lecz z dużym prawdopodobieństwem można było obstawić dłuższy okres nieświadomości. Dylan przypuszczał, że brat ocknie się raczej za godzinę niż za dwie minuty.

Skupienie uwagi na jednej rzeczy czy obszarze zainteresowania było dla Shepa formą odizolowania się od przytłaczającego mnóstwa wrażeń zmysłowych. Pod gradem kul nie

mógł wybrać sobie bezpiecznego kąta i odwrócić się plecami do chaosu, ale mógł uciec do symbolicznego kąta w ciemnym pokoju w twierdzy własnego umysłu, gdzie nie istniało nic innego poza lodem, lodem, lodem.

- Gdzie jest lód?

- Kiedy skończą na dole, co potem? - zapytała Jilly.

- Rozwałą piętro. Może wejdą na dach werandy, żeby było łatwiej.

- Albo wedrą się do środka - dodała. - Lód, lód, lód.

- Musimy coś zrobić, żeby przestał mówić o tym lodzie - zirytowała się Jilly.

- Do tego trzeba czasu i ciszy. - Jesteśmy udupieni.

- Nie jesteśmy udupieni. - Jesteśmy.

- Wcale nie.

- Masz jakiś plan? - spytała ostro.

Jedyny plan Dylana, który zresztą zasugerowała sama Jilly, polegał na tym, żeby dostać się ponad linię ognia. Ale stało się jasne, że ostrzał dosięgnie ich wszędzie, nie mówiąc o bandytach.

Wściekły grzechot i huk na dole, strach, że zabłąkana kula może trafić w górę schodów lub nawet przebić sufit korytarza na parterze i sufit korytarza na piętrze - wszystko to powodowało, że skupienie się na taktyce i strategii było równie trudne, jak łapanie węży na łące. W takich okolicznościach Dylan znów sobie uzmysłowił, jak musi się czuć jego brat, gdy życie go przytłacza, czyli prawie zawsze.

W porządku, trzeba zapomnieć o pieniądzach w kasetce. Beatlesi mieli rację: za pieniądze nie kupisz miłości. Ani nie zatrzymasz kuli.

Trzeba zapomnieć o pistolecie kalibru dziewięć milimetrów, który kupił po śmierci matki. Wobec artylerii napastników równie dobrze mógłby być uzbrojony w kij.

- Lód, lód, lód.

Jilly namawiała Shepherda, żeby ześliznął się ze swojego lodowego zamku i wrócił do nich, żeby mogli się złożyć do jakiegoś bezpiecznego miejsca, ale on nie reagował na słodkie słówka, dopóki miał zamknięte oczy i sparaliżowany proces myślowy.

Trzeba czasu i ciszy. Choć nie mogli zyskać zbyt dużo czasu, każda minuta mogła się okazać tą, w której Shep odzyska świadomość. W zgiełku toczącego się na dole dzihadu nie mogło być mowy o zupełnej ciszy, lecz gdyby huk i jazgot choć trochę przycichły, może chłopak odnalazłby wyjście z lodowego kąta.

Dylan przeciął korytarz i otworzył drzwi do pokoju gościnnego.

- Tutaj.

Jilly holowała Shepherda, który w miarę szybko powłóczył nogami.

Od potężnej kanonady trzęsły się ściany domu. Szyby w oknach na piętrze dygotały z brzękiem w ramach.

Dylan wbiegł do sypialni przed Jilly i Shepem. Przypadł do drzwi garderoby i zapalił światło. Z sufitu w garderobie zwisał sznurek opuszczanej klapy. Dylan szarpnął sznurek, otwierając wejście na strych. Ogluszająca strzelanina, przypominająca chwile najbardziej zażartej walki podczas oblężenia Leningradu przez hitlerowców, o którym Dylan oglądał kiedyś program na kanale historycznym, nagle przybrała na sile.

Zastanawiał się, ile druzgocących strzałów wytrzymają jeszcze słupy ścian, zanim zostanie naruszona konstrukcja i runie któryś z rogów domu.

- Lód, lód, lód.

Stając przed drzwiami garderoby z Shepem, Jilly powiedziała, mając na myśli niehumanoidalne pandemonium na dole:

- Dostaliśmy podwójną porcję apokalipsy.

- Z posypką. - Do klapy była zamontowana drabina składająca się z trzech segmentów. Dylan ją opuścił.

- Niektóre z ofiar eksperymentów Proctora musiały osiąść o wiele straszniejsze zdolności od naszych.

- O czym mówisz?

- Ci tam na dole nie wiedzą, co potrafimy robić, ale moczą spodnie ze strachu na myśl o tym, co to może być. Dlatego za wszelką cenę chcą nas zabić.

Dylan nie pomyślał o tym. Nie miał ochoty o tym myśleć. Widocznie wcześniej nanoboty Proctora stworzyły potwory. Dlatego wszyscy spodziewali się, że on, Jilly i Shep również stali się potworami.

- Co? - spytała z niedowierzaniem Jilly. - Chcesz, żebyśmy weszli po tej pieprzonej drabinie?

- Tak.

- To pewna śmierć.

- To strych.

- Strych to pewna śmierć. Ślepy zaułek.

- Wszędzie, gdzie teraz pójdziemy, trafimy na ślepy zaułek. Tylko tutaj możemy dać Shepowi trochę czasu.

- Będą nas szukać na strychu.

- Nie od razu.

- Nie chcę - oświadczyła.

- Jak widzisz, ja też nie skaczę z radości.

- Łód, łód, łód.

- Wchodź pierwsza - powiedział Dylan.

- Dlaczego ja?

- Będziesz mogła namawiać Shepa z góry, kiedy będę go popychał od dołu.

Ogień urwał się, ale echo salw wciąż dzwoniło Dylanowi w uszach.

- Już tu idą.

- Gównno - powiedziała Jilly.

- Na górę.

- Gównno.

- Wchodź.

- Gównno.

- No już, Jilly.

40

Strych dawał im niewiele możliwości, skazywał na sytuację złapanych w pułapkę szczurów i oferował jedynie ciemność, kurz i pająki, mimo to Jilly wspięła się po pochyłej drabinie, ponieważ strych był jedynym miejscem, w którym mogli się schronić.

Gdy wchodziła na górę, objęła sobie biodra zawieszoną na ramieniu torebką, a ta na moment zahaczyła o długie zawiasy, na których była umocowana drabina. Jilly straciła swego cadillaca coupe deville, cały bagaż, laptop, karierę komika, nawet swego bardzo ważnego partnera

- kochanego, uroczego Freda - ale za żadne skarby nie porzuciłaby torebki, bez względu na okoliczności. Miała w niej tylko parę dolarów, cukierki miętowe, chusteczki, szminke, puder, szczotkę do włosów - nic, co zmieniłoby jej życie, gdyby ją zatrzymała, albo zniszczyło, gdyby ją zgubiła - ale jeśli w cudowny sposób przeżyła wizytę w domu O'Connerów, skorzystałaby z pierwszej sposobności,

aby poprawić makijaż i uczesać się, ponieważ w tej tragicznej sytuacji perspektywa wolnej chwili, którą można poświęcić wyłącznie swojej urodzie, wydawała się jej nieosiągalnym luksusem, porównywalnym z limuzynami, apartamentem prezydenckim w pięciogwiazdkowym hotelu i kawiozem białego.

Poza tym, skoro musiała umrzeć tak młodo z mózgiem pełnym nanomaszyn, właśnie dlatego, że w mózgu miała pełno nanomaszyn, chciała zostawić po sobie jak najpiękniejsze zwłoki - zakładając, że celny strzał w głowę nie upodobni jej twarzy do portretu pędzla Picassa.

Wspiąwszy się po drabinie, Negatywnie Nastawiona Jackson, krynica pesymizmu, stwierdziła, że strych jest na tyle wysoki, że można się swobodnie wyprostować. Przez kilka osłoniętych otworów pod okapem do wnętrza ich wysokiej reduty przenikało światło słoneczne, lecz zbyt skąpe, by wygnać zalegające w kątach cienie. W przestrzeni zamkniętej pomiędzy krokiewiami z surowego drewna, ścianami z desek i podłogą z dykty znajdowało się ze czterdzieści kartonowych pudeł, trzy stare kufry, przeróżne rupiecie i sporo wolnego miejsca.

W gorącym i suchym powietrzu wyczuwało się ulotną woń staroświeckiej smoły, którą pokrywano dach, oraz silny zapach niezliczonych odmian kurzu. Tu i ówdzie z pochyłych płaszczyzn dachu zwieszało się kilka kokonów; woreczki owadziej produkcji nieznacznie fosforyzowały w mroku. Bliżej Jilly, tuż nad jej głową, między krokiewiami rozpiniała się kunsztowna pajęczyna; choć jej budowniczy albo zginął, albo wyruszył w podróż, jego sieć zdobiły cztery ćmy - szare skrzydła miały rozpostarte jak wspomnienie ostatniego lotu, a po ciałach wyspanych przez pająka pozostały tylko puste skorupki.

- Koniec z nami - mruknęła, odwracając się do otwartej klapy. Przyklękła i spojrzała w dół drabiny.

Shep wszedł na dolny szczebel, trzymając się oburącz jednego z górnych. Miał opuszczoną głowę, jak gdyby była to jakaś drabina modlitewna, i sprawiał wrażenie, że nie ma ochoty wspinać się wyżej.

Dylan zerkał przez otwarte drzwi garderoby do pokoju, niewątpliwie spodziewając się ujrzeć ludzi na dachu werandy za oknami.

- Lód - powiedział Shep.

- Namów go, żeby wszedł na górę - zwrócił się Dylan do Jilly.

- A jak wybuchnie pożar?

- To cholernie słaba namowa.

- Lód.

- Cały strych to beczka prochu. A jak wybuchnie pożar?

- A jak biegun magnetyczny Ziemi zmieni położenie? - spytał drwiąco.

- Na tę okoliczność akurat mam plan działania. Nie możesz go wepchnąć?

- Mogę go trochę zachęcić, ale nie da się człowieka wepchnąć na górę po drabinie.

- Przecież to nie jest wbrew prawom fizyki.

- Inżynier się znalazł.

- Lód.

- Mam tu masę lodu, skarbie - skfiamała Jilly. - Popchnij go, Dylan.

- Staram się.

- Lód.

- Mnóstwo lodu, Shep. Wejdz tu do mnie.

Shep nawet nie ruszył ręką. Tkwił w miejscu uparcie uczepony drabiny.

Jilly nie widziała twarzy Shepherd, tylko czubek jego pochylonej głowy.

Dylan uniósł prawą stopę brata i postawił na następnym szczeblu.

- Lód.

Wciąż mając przed oczyma martwe ćmy i czując ogarniającą ją desperację, Jilly porzuciła próby nakłonienia Shepa do wejścia na strych i postanowiła przemówić do niego, zamieniając jego monolog o lodzie w dialog.

- Lód - powiedział.

- Zamarznięta woda - odrzekła.

Dylan postawił lewą stopę Shepherd na szczeblu, na który przed chwilą przesunął prawą, lecz ręce Shepa pozostały w tym samym miejscu.

- Lód.

- Deszcz ze śniegiem - powiedziała Jilly.

W głębi domu, na parterze, ktoś kopnął drzwi. Zważywszy na fakt, że po salwach z broni maszynowej drzwi wejściowe musiały zmienić się w pyfi lub ażurowe zasłonki z drzazg, jedyne drzwi, które trzeba było otwierać kopniakiem, znajdowały się prawdopodobnie wewnątrz domu. Zaczęło się przeszukiwanie.

- Lód.

- Grad.

- Lód.

- Kra - odparła Jilly.

Na dole rozległ się kolejny łomot: ten wstrząsnął całym domem, aż podłoga pod kolanami Jilly zadygotała.

Dylan zamknął drzwi garderoby i nowa sytuacja mogła ich zdecydowanie szybciej przyprawić o klaustrofobię.

- Lód.

- Lodowiec.

Kiedy Jilly już się wydawało, że Shepherd za moment odpowie, skończyły się jej synonimy i określenia form lodu. Postanowiła zmienić zasady gry, odpowiadając słowami oznaczającymi rzeczy, które mają związek z lodem, jak gdyby usiłowała naprowadzić Shepherd na właściwą myśl.

- Lód - powiedział Shep.

- Góra lodowa - odrzekła.

- Lód.

- Kostka lodu.

Od rozmowy o lodzie na strychu robiło się coraz bardziej gorąco. Zdawało się, że kurz na krokwiach, podłodze i unoszący się powietrzu zaraz buchnie płomieniem.

- Lód.

- Lodowisko.

- Lód.

- Łyżwiarz.

- Lód.

- Hokej. Powinieneś się wstydzić, skarbie. Przydzieliłeś sobie łatwiejszą rolę w zabawie i ciągle powtarzasz to samo słowo. Shepherd uniósł głowę. Patrzył teraz na szczebel, na którym zaciskał dłonie.

Z dołu dochodziły następne huki i łomoty, szczerknęła nerwowa seria z karabinu.

- Lód.

- Lody na patyku. Shep, bawiłoby cię układanie łamigłówki z jednego kawałka?

- Lód.

- Szpikulec do lodu.

- Lód.

- Szczypce do lodu.

Kiedy podsuwała mu nowe słowa, „lód” przestał już odbijać się rykoszetem w jego głowie. W twarzy Shepa zaszła subtelna zmiana, jakby złagodniała, co świadczyło, że obsesja powoli ustępuje. Jilly była prawie pewna, że tak jest naprawdę.

- Lód.

- Kubełek na lód.

- Lód.

- Epoka lodowcowa. Wiesz co, skarbie? Chociaż mam trudniejszą rolę w tej zabawie, to o wiele fajniejsze niż słuchanie synonimów „odchodów”.

Na jego ustach zadrgał słaby uśmiech, ale niemal w tej samej chwili zniknął jak zdmuchnięty nerwowym oddechem.

- Lód.

- Zamrażalnik.

Shepherd przesunął w górę prawą rękę i chwycił następny szczebel. Potem wyciągnął lewą dłoń. Złapał się jeszcze wyższego szczebła.

- Lód.

- Worek z lodem.

Shepherd bez pomocy brata wprowadził w ruch stopy.

Na dole zadzwonił dzwonek do drzwi. Nawet w oddziale zawodowych morderców musiał się trafić jakiś przygłupi dowcipniś.

- Lód.

- Lodówka.

Shepherd wspinał się coraz wyżej.

- Lód.

- Rewia na lodzie.

- Lód.

- Gołoledź.

- Lód.

- Mrożona herbata, czekan, lodołamacz, dostawca lodu, chłodnia, woda z lodem-powiedziała Jilly i z ostatnimi słowami Shep pokonał najwyższe szczebła i znalazł się na strychu.

Pomogła mu zejść z drabiny i odsunęła go od wejścia w podłódze. Przytuliła go, mówiąc mu, że był wspaniały, a Shep nie opierał się, choć zapytał:

- Gdzie jest lód?

Dylan zgasił światło w garderobie i w ciemności szybko wszedł po drabinie.

- Dobra robota, Jackson.

- *De nada*, O'Conner.

Kłęcząc w mroku, Dylan złożył harmonijkową drabinę i po cichu zamocował ją z powrotem do klapy, którą zaraz potem zamknął.

- Jeżeli jeszcze ich nie ma na górze, to zaraz będą- szepnął.

- Zabierz Shepa do południowo-zachodniego rogu, za tamte kartony.

- Gdzie jest lód? - zapytał trochę za głośno Shepherd.

Jilly uciszyła go i poprowadziła przez zasnuty cieniem strych. Shep nie był aż tak wysoki, by trącać czołem najniższe krokwie, lecz jego starszy brat będzie musiał uważać.

Na dole banda wandalów wpadła z hałasem do następnego pokoju.

Jeden z nich wrzasnął coś niezrozumiale. Drugi odpowiedział mu wrzaskiem, dodając przekleństwo, a ktoś ryknął śmiechem. W ich głosach pobrzmiewała arogancja, pewność siebie i bezczelność, dlatego Jilly odniosła wrażenie, że to nie ludzie, ale nieokreślone kształty, które ścigają człowieka w sennych koszmarach, biegając czasem na dwóch, czasem na czterech nogach, to wyjąc ludzkim głosem, to znów ujadając jak dzikie bestie.

Zastanawiała się, kiedy przyjadą gliny. Jeżeli w ogóle przyjadą. Dylan mówił, że do najbliższego miasta jest wiele mil. Najbliższy sąsiad mieszkał pół mili na południe stąd. Ktoś jednak musiał słyszeć strzały.

Jasne, że szturm rozpoczął się najwyżej pięć, może sześć minut temu, i żadna wiejska policja nie zareaguje na sygnał z tak daleka w czasie krótszym niż pięć minut, choć prawdopodobnie potrwa to co najmniej dziesięć minut.

- Gdzie jest lód? - spytał Shepherd tak samo głośno jak poprzednio.

Zamiast znów go uciszyć, Jilly odpowiedziała półgłosem w nadziei, że chłopak pójdzie za jej przykładem:

- W lodówce, kochanie. Tam jest lód.

Jilly zachęciła Shepa, aby usiadł na zakurzonej podłodze za stertą kartonów w południowo-zachodnim rogu.

W smudze dziennego światła wpadającego przez przysłonięte otwory wentylacyjne widać było zwłoki dawno padłego ptaka - prawdopodobnie wróbla - z którego zostały tylko cieniutkie kości. Pod szkieletem spoczywało kilka piórek, których przeciągi nie poniosły do innych kątów strychu.

Ptak musiał się tu zakraść pewnego chłodnego dnia przez jakąś szczelinę w okapie, a potem nie mógł się wydostać. Pewnie złamał skrzydło, tłukąc o krokwie, i głodny, i wyczerpany czekał na śmierć, siedząc przy otworze, przez który widział niebo.

- Gdzie jest lód? - zapytał Shepherd, tym razem ścisząc głos do szeptu.

Jilly zaniepokoiła się, że Shep wchodząc po drabinie, wcale nie opuścił do końca swego lodowego kąta albo właśnie do niego wraca, toteż zaczęła nową grę, usiłując wciągnąć go w dialog.

- Lód jest w margaricie, prawda, skarbie? Pływa i powoli się rozpuszcza. Rany, ale bym się napiła margarity.

- Gdzie jest lód?

- Lód może być w lodówce turystycznej.

- Gdzie jest lód?

- Lód może być w Nowej Anglii na Boże Narodzenie. Lód i śnieg.

Poruszając się nadzwyczaj zręcznie i cicho jak na swój wzrost, Dylan wyłonił się z głębszych ciemności spowijających środkową część strychu i wyszedł w smugę światła

padającego na martwego ptaka i rozjaśniającego odrobinę ich kryjówkę, po czym usiadł obok brata.

- Ciagle lód? - spytał ze zmartwioną miną.

- Chyba nareszcie zaczyna sensownie odpowiadać - odparła Jilly nie do końca o tym przekonana.

- Gdzie jest lód? - wyszeptał Shep.

- Mnóstwo lodu jest na lodowisku.

- Gdzie jest lód?

- W lodówce nie ma nic innego.

W drzwi na piętrze załomotały kopnięcia. Ciszę w pokojach wypełniły brzęk i łoskot.

Szepecząc jeszcze ciszej, Shepherd zapytał:

- Gdzie jest lód?

- Widzę szampana w srebrnym kubelku - odrzekła Jilly, dostosowując się do tonu jego głosu.

- Butelka tkwi w pokruszonym lodzie.

- Gdzie jest lód?

- Na biegunie północnym jest dużo lodu.

- Ach - rzekł Shepherd i przez chwilę nie powiedział nic więcej.

Jilly nasłuchiwała w napięciu głosów na dole, które odezwały się, gdy tylko ucichły hałasy zaciekłych poszukiwań. Równie wyraźnie mogli rozmawiać zmumifikowani konspiratorzy w sarkofagu ukrytym w głębi piramidy, mówiąc przez spowijające ich bandaż. Jilly nie rozumiała ani słowa.

- Ach. - Shep westchnął.

- Musimy się stąd ruszyć, bracie - rzekł Dylan. - Już dawno powinniśmy się złożyć.

W domu nagle zapadła cisza, a po upływie pół minuty niepokojąca martwota stała się bardziej złowieszczą niż wszystko, co zdarzyło się dotąd.

- Bracie - powiedział Dylan, lecz przestał go prosić, jak gdyby wyczuł, że Shep lepiej zareaguje na ciszę i bezruch niż na dalsze naciski.

Oczyrna duszy Jilly zobaczyła kuchenny zegar, uśmiechniętą świnkę, na której brzuchu wskazówka sekundnika przesuwiała się po kolejnych cyfrach.

Nawet wspomnienie tego uśmiechu wydawało się nieprzyjemne, więc odsunęła od siebie obraz świnki, ale w tej samej chwili ujrzała mimo woli minutnik, za pomocą którego Shep odmierzał czas kąpieli pod prysznicem. Obraz ten wstrząsnął nią bardziej niż widok świnki, ponieważ minutnik do złudzenia przypominał licznik bomby zegarowej.

Bandydzi na dole otworzyli ogień, celując w sufit, a z podłogi strychu trysnęły gejzery kul.

41 Bandydzi zaczęli zbliżać się do siebie od przeciwległych końców domu, strzelali

w górę pociskami dużego kalibru, które wbijały się w sufit korytarza na piętrze. Kule prędy dyktę podłogi strychu, wyrzucając w górę odłamki drewna, ustanowiły strefę śmierci szerokości sześciu stóp i długości całego piętra i wpuścili z dołu wąskie smugi bladego światła. Niektóre pociski bombardowały krokwie, inne przebijały dach, wycinając z błękitu nieba gwiazdy w ciemnym sklepieniu sufitu strychu.

Jilly zrozumiała, dlaczego Dylan chciał, żeby usiedli w rogu, przywierając plecami do zewnętrznej ściany. Wzdłuż obrzeża konstrukcja między nimi a piętrzem była zapewne gęstsza i mogła zatrzymać przynajmniej niektóre z pocisków wnikających w podłogę strychu. Siedziała z wyprostowanymi nogami, więc szybko podciągnęła je pod brodę, aby stanowić jak najmniejszy cel, choć i tak za duży.

Dranie na dole cały czas zmieniali magazynki, przeladowując na zmianę, mogli więc prowadzić szturm nieprzerwanie. Grzechot i huk ostrzału paraliżowały umysł, powstrzymując wszystkie uczucia z wyjątkiem przerażenia i blokując wszystkie myśli z wyjątkiem myśli o śmierci.

Napastnikom nie brakowało amunicji. Nie było miejsca na chwilę wahania i zastanowienia się nad lekkomyślnością i niemoralnością morderstwa popełnianego z zimną krwią. Operację prowadzono systematycznie i bezwzględnie.

W słabym świetle wpadającym przez osłonięty otwór pod okapem Jilly zobaczyła, że twarz Shepherda ożyła w następujących po sobie tikach i skurczach, ale oczy ukryte pod powiekami nie drgały jak zwykle. Grzmot wystrzałów niepokoił go, lecz silniejsza od strachu, który znów mógłby kazać mu szukać schronienia w głębi własnego umysłu, była jakaś frapująca myśl i na niej zdawał się skupiać całą uwagę.

Ogień umilkł.

W domu słychać było stukot i skrzypienie świadczące o dokonanych zniszczeniach.

Wykorzystując chwilę ciszy, która na pewno miała się okazać krótką przerwą, Dylan odważył się zmobilizować Shepherda groźbą:

- Krwawo-oślizle rzeczy, Shep. Niedługo będą krwawo-oślizle rzeczy.

Bandyty przeszli z korytarza do pokoi po obu stronach domu i ponownie otworzyli ogień.

Mordercy nie dotarli jeszcze do pokoju znajdującego się bezpośrednio pod rogami strychu, w którym przycupnęli Jilly, Dylan i Shep. Ale zawitają tam za minutę. Może wcześniej.

Choć wściekła kanonada koncentrowała się w dwóch oddalonych od siebie miejscach, cała podłoga strychu wibrowała od uderzeń dziesiątek wielkich pocisków.

Drewno skrzypiało i jęczało, metal kul dzwonił o gwoździe i rury w ścianach.

Z krokwi wzbijały się obłoki kurzu.

Kości ptaka leżące na podłodze drżały, jak gdyby wrócił w nie duch zdolny ożywić stworzenie.

Jedno z piórek, uwolnione, wzbilo się spiralnie w opadającym kurzu.

Jilly chciała wrzasnąć, ale nie miała odwagi, nie potrafiła: gardło ścisnęło się jak pięść, tamując oddech.

Szybkostrzelne karabiny grzechotały tuż pod nimi, a przed ich oczami przez stertę pudel przedzierała się chmara kul, mnać, wykrzywając i drąc karton na strzępy.

Shepherd otworzył szeroko oczy, zerwał się z podłogi, stanął wyprostowany i przyłgął plecami do ściany.

Wypuszczając raptownie powietrze, Jilly skoczyła na równe nogi, Dylan również. Zdawało się, że dom rozpadnie się wokół nich, zostanie rozerwany na kawałki przez cyklon hałasu, jeśli wcześniej nie zmieni go w kupę gruzu huraganowy napór ołowiu i pocisków w stalowych płaszczach.

Dwie stopy przed nimi kule wściekle rozrywały od dołu dyktę podłogi.

Coś ukuło Jilly w czoło i gdy uniosła prawą rękę, zanim zdążyła przycisnąć dłoń do rany, poczuła na niej takie samo parzące dotknięcie. Krzyknęła z bólu i zaskoczenia.

Mimo mroku i przysłaniającej wszystko chmury kurzu, zobaczyła pierwsze kropelki krwi, które strząsnęła z palców. Rozprysły się ciemną plamą na kartonach, tworząc wzór, który niewątpliwie przepowiadał jej przyszłość.

Ze zranionego czofia po skroni spłynęła fiukiem gruba kropla krwi, trafiając do kącika oka. Jeden, trzy, pięć i jeszcze więcej pocisków przeszyfio z trzaskiem podłogę bliżej niż pierwsza seria.

Shepherd chwycił Jilly za rękę.

Nie widziała, żeby zacisnął palce i przekręcił, ale strych wokół nich złożył się i zniknął, a w jego miejsce pojawiła się jasność.

Niskie krokwie rozciągnęły się w wysokie jasne niebo. Podłoga strychu wysunęła się spod ich stóp, które spoczęły wśród wysokiej do kolan złotej trawy.

Zaskoczone koniki polne rozpiezchły się na boki, wydając suche i trzeszczące cykanie przywodzące na myśl coś od dawna martwego.

Jilly stała z Shepem i Dylanem na zalanym słońcem wzgórzu. Daleko na zachodzie rozciągało się morze, połyskując jak zielona, roziskrzona złotymi plamkami smocza fiska.

Wciąż słyszała nieustanny terkot strzałów, ale przytłumiony odległością i ścianami domu O'Connerów, który po raz pierwszy zobaczyła z zewnątrz. Stąd budynek nie wydawał się jakoś szczególnie zniszczony.

- Shep, to nie najlepszy pomysł, jesteśmy za blisko - zaniepokoił się Dylan.

Shepherd puścił dłoń Jilly i stał jak porażony, wpatrując się w krew kapiącą z kciuka i dwóch palców jej prawej ręki.

W miękką część dłoni wbiła się drzazga długości dwóch cali i szerokości mniej więcej ćwierci cala.

Zwykle na widok krwi Jilly nie miękły kolana, więc być może nogi drżały jej nie z powodu krwi, ale na myśl, że rana mogła - i powinna - wyglądać o wiele gorzej.

Podtrzymując ją pod ramię, Dylan obejrzał jej czoło.

- To tylko draśnięcie. Prawdopodobnie trafiła cię druga drzazga, ale się nie wbiła. Więcej krwi niż szkody.

U stóp wzgórza, za fiaką, na podwórku otaczającym dom, stało na warcie trzech uzbrojonych mężczyzn, pilnowali, aby ich zdobycz jakimś cudem nie wymknęła się mordercom przeszkującym podziurawione kulami pokoje. Zaden z nich nie patrzył w stronę wzgórza, ale szczęście mogło za chwilę opuścić troje ludzi, który stali na jego szczycie.

Korzystając z tego, że uwagę Jilly zaprzętał inny widok, Dylan chwycił drzazgę tkwiącą w jej dłoni i mocnym szarpnięciem wyciągnął. Jilly syknęła z bólu.

- Oczyszczymy to później - rzekl.

- Kiedy później? - spytała. - Jeśli nie powiesz Shepowi, dokąd ma nas złożyć, pewnie zabierze nas na wycieczkę do miejsca, którego nie mielibyśmy odwagi odwiedzić, na przykład do motelu w Holbrook, gdzie założę się, że na nas czekają - albo z powrotem do domu.

- No to gdzie jest bezpiecznie? - zastanawiała się Dylan, przez chwilę czując pustkę w głowie.

Może krew na dłoni i twarzy przypomniała jej wizję na pustyni, gdy natarła na nią fala białych skrzydeł i doświadczyła jeszcze gorszych rzeczy. W okrutną rzeczywistość dramatycznego dnia nagle wdarły się majaki - zapowiedź nieuchronnego zła, jakie miało nastąpić.

Przez pszeniczny zapach suchej trawy przebiła słodka i ostra woń kadzidla.

Przytlumione odgłosy strzałów z domu raptownie przycichły, potem zupełnie ustaly, a na wzgórzu rozległ się srebrzysty śmiech dzieci.

Dylan poznał po jakimś znaku, co się z nią dzieje, i domyślił się, że porwała ją fala jasnowidzenia.

- Co jest, co widzisz? - zapytał.

Odwracając się w stronę radosnych i melodyjnych glosików, nie zobaczyła jednak żadnych dzieci, lecz marmurową chrzcielnicę, taką, w której trzyma się wodę święconą w kościołach katolickich - porzuconą tu, na szczycie porośniętego trawą wzgórza, przekrzywioną jak płyta nagrobna na starym cmentarzu.

Uwagę Jilly przykuł jakiś ruch za plecami Shepa i gdy oderwała wzrok od chrzcielnicy, ujrzała małą, jasnowłosą i niebieskooką dziewczynkę w wieku pięciu, sześciu lat, ubraną w białą koronkową sukienkę, z białymi wstążkami we włosach, która z poważną i zdecydowaną miną trzymała w rękach bukiet kwiatów. Niewidzialne dzieci śmiały się, a dziewczynka odwróciła się, jakby ich szukała, i gdy była obrócona plecami do Jilly, przestała istnieć...

- Jilly?

...lecz zamiast niej zaistniała, stojąc dokładnie w tym samym miejscu co dziewczynka, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta ubrana w bladożółtą suknię, żółte rękawiczki i kapelusz ozdobiony kwiatami. Oczy uciekły jej w głąb czaszki i widać było tylko białka, a w ciele miała trzy paskudne rany postrzałowe, jedną między piersiami. Choć kobieta nie żyła, szła w stronę Jilly, w blasku słońca wydawała się prawdziwsza od wszystkich zjaw, jakie ukazywały się w księżycowej poświacie, i wyciągała do niej rękę, jak gdyby prosząc o pomoc.

Jilly stała jak wmurowana, jakby trzymały ją sięgające głęboko korzenie, uchyliła się od dotyku widma, osłaniając się krwawiącą ręką, ale gdy palce martwej kobiety dotknęły jej dłoni - i poczuła chłodny nacisk - zjawa zniknęła.

- To się stanie dzisiaj - powiedziała żałośnie Jilly. - Niedługo.

- Stanie się? Co? - zapytał Dylan.

W oddali krzyknął jeden z mężczyzn, drugi odpowiedział mu wrzaskiem.

- Zobaczyli nas - powiedział Dylan.

W wielkiej ptaszarni nieba fruwał tylko jeden okaz - jastrząb, który wysoko w górze zataczał koła - a z trawy wokół nich nie poderwały się żadne ptaki, choć Jilly wyraźnie słyszała skrzydła, najpierw cichy trzepot, potem narastający szum.

- Idą na nas - ostrzegł Dylan, nie mówiąc o ptakach, lecz o mordercach.

- Skrzydła - powiedziała Jilly, gdy furkot niewidzialnych gołębi z każdą sekundą przybierał na sile. - Skrzydła.

- Skrzydła - powtórzył Shepherd, dotykając jej zakrwawionej dłoni, którą usiłowała odtrącić martwą kobietę i wciąż trzymała wyciągniętą przed siebie.

Głuchemu łup-łup-łup broni maszynowej, które w tym momencie było rzeczywistością, odpowiedział bardziej metodyczny huk karabinów o dużym zasięgu, który usłyszała tylko Jilly -

strzały padły w innym miejscu i czasie, który miał dopiero nadejść, lecz zbliżał się bardzo szybko.

- Jilly - rzekł Shepherd, a ona wzdrygnęła się, słysząc swoje imię.

Popatrzyła w jego zielone oczy, w których nie było cienia sennego roztargnienia, które nie unikały jej spojrzenia jak dotychczas, ale spoglądały bystro i z głęboką obawą.

- Kościół - powiedział Shepherd. - Kościół - przytaknęła.

- Shep! - popędzał go Dylan, gdy kule zaczęły wyrwać grudki ziemi i młócić trawę na zboczu wzgórza niecałe dwadzieścia stóp pod nimi.

Shepherd O'Conner przeniósł „tu” „tam”, złożył słońce, złotą trawę, świszczące kule i rozłożył chłodną przestrzeń o wysokim sklepieniu z oknami, których witraże wyglądały jak ukończone gigantyczne układanki.

42 Nawa główna hiszpańskiego barokowego kościoła, starej, przestronnej i

pięknej budowli - w której odbywały się właśnie jakieś prace remontowe - była pośrodku zwieńczona długim sklepieniem beczkowym, po bokach sklepieniami krzyżowymi, a przez środek biegła długa kolumnada złożona z masywnych trzydziestostopowych filarów spoczywających na rzeźbionych cokołach.

Tłum zgromadzony w kościele, liczący około trzystu osób, wydawał się bardzo maty w porównaniu z ogromną przestrzenią i rozmiarami elementów architektonicznych. Mimo że wszyscy

mieli na sobie odświętne stroje, nie mogli konkurować z kaskadami wielobarwnego światła padającego na nich przez zachodnie okna.

Rurowa konstrukcja rusztowania - wzniesionego w celu odnowienia gipsowego fryzu zdobiącego trzy ściany - nie zdołała przysłonić wspaniałego blasku okien jaśniejących jak klejnoty. Wpadające do wnętrza promienie słoneczne przebijały szafirowe, rubinowe, szmaragdowe, ametystowe i żółto-brylantowe szklane kształty, rozrzucając skry światła w połowie nawy głównej i znacząc barwnymi cętkami część przejścia między ławkami.

W czasie odmierzonego dziesięcioma uderzeniami serca Dylan zdążył ogarnąć spojrzeniem cały kościół i poznać tysiące szczegółów jego ornamentów, formy i funkcji. O złożoności architektury baroku świadczył jednak fakt, że mimo wiadomości na temat tysięcy szczegółów Dylan wiedział o tej budowli mniej więcej tyle, ile egiptolog wiedziałby o nowo odkrytej piramidzie, gdyby zbadał tylko jej wierzchołek wysokości sześciu stóp, którego nie przysypały piaski Sahary.

Dokonawszy pobieżnych oględzin kościoła, Dylan opuścił wzrok i dostrzegł małą, może dziewięcioletnią dziewczynkę z warkoczami, zwiedzającą ciemny kąt olbrzymiej nawy głównej, do którego złożył ich Shepherd. Dziecko wstrzymało oddech, wlepiło w nich zaskoczone spojrzenie, zamrugało oczami, a potem odwróciło się i pobiegło do rodziców siedzących w ławce, chcąc ich z pewnością poinformować o przybyciu świętych albo złych czarodziejów.

Choć powietrze pachniało kadzidłem, tak jak w wizjach Jilly, nie słychać było ani muzyki, ani łopotu skrzydeł. Trzystu ludzi rozmawiało przyciszonymi głosami, których szum unosił się pośród kolumn tak lekko jak woń kadzidła.

Większość zgromadzonych siedziała w ławkach w przedniej części kościoła, zwrócona twarzą do prezbiterium. Jeżeli nikt nie był odwrócony i nie rozmawiał z sąsiadem z następnego rzędu, nie mogli zauważyć magicznego złożenia trojga ludzi, ponieważ nikt nie zerwał się z miejsca, by lepiej im się przyjrzeć, ani nie wydał okrzyku zdumienia.

Bliżej nich młodzi ludzie w smokingach prowadzili na miejsca spóźnialskich. Eskortą była zbyt zajęta, a goście zbyt zaaferowani zbliżającą się uroczystością, by zwrócić uwagę na cudowną materializację w odległym zacienionym kącie.

- Ślub - szepnęła Jilly.

- To tutaj?
- To Los Angeles. Mój kościół - powiedziała w oszołomieniu.
- Twój?
- Tu śpiewałam w chórze, kiedy byłam mała.
- Kiedy to się stanie?
- Niedługo - odrzekła.
- A jak?
- Będą strzelać.
- Znowu cholerne karabiny.
- Sześćdziesiąt siedem osób postrzelonych... czterdzieści śmiertelnie.
- Sześćdziesiąt siedem? - powtórzył, wstrząśnięty liczbą ofiar. - Czyli to nie będzie jeden bandyta.
- Więcej niż jeden - szepnęła. - Więcej niż jeden.
- Ilu?

Jej spojrzenie szukało odpowiedzi w kluczach zwartych sklepień biegnących łukiem w stronę nieba, lecz po chwili ześliznęło się po kolumnach z lśniącego marmuru na naturalnej wielkości rzeźby świętych zdobiące ich cokoły.

- Co najmniej dwóch - powiedziała. - Może trzech.
- Shep się boi.
- Wszyscy się boimy, bracie - odparł Dylan, bo w tej chwili nie było go stać na lepsze pocieszenie.

Jilly przyglądała się rodzinie i przyjaciołom państwa młodych, jak gdyby patrząc z tyłu na ich głowy, chciała swoim szóstym zmysłem wydedukować, czy ktoś spośród nich przyszedł tu z zamiarem dokonania mordu.

- Bandyci na pewno nie zostali zaproszeni na ślub - rzekł Dylan.
- Nie... chyba... nie...

Podeszła do wolnych ławek w ostatnim rzędzie, odrywając wzrok od zgromadzonych gości i spoglądając na prezbiterium za odległą balustradą.

Kolumnada oddzielała nawę główną od prezbiterium, podpierając poprzeczne łuki sklepienia. Za kolumnami znajdowało się miejsce dla chóru i ołtarz główny z cyborium i tabernakulum, za którym górował monumentalny, podświetlony od dołu krucyfiks.

Stając obok Jilly, Dylan rzekł:

- Może wejdą dopiero wtedy, kiedy zacznie się uroczystość. Wpadną i otworzą ogień.
- Nie. Już tu są.

Słyszając jej słowa, Dylan poczuł lodowaty chłód na karku. Jilly odwróciła się wolno, lustrując badawczo kościół, szukając.

Organista w prezbiterium uderzył w klawisze i rozległy się pierwsze nuty hymnu powitalnego.

Najwyraźniej robotnicy pracujący przy renowacji gipsowego fryzu zostawili otwarte okna lub drzwi, przez które do wnętrza dostali się dzicy lokatorzy, zajmując górne piętra. Spłoszone gołębie poderwały się ze swojej kryjówki w żebrach sklepień i na rzeźbionych w marmurze głowicach kolumn i sfrunęły w dół nawy głównej. Nie była to ogromna fala, jak przewidywała Jilly, ale zaledwie osiem czy dziesięć, najwyżej tuzin ptaków, które wzbily się z różnych miejsc kościoła, lecz natychmiast połączyły się w stado i fruwały po tej stronie balustrady.

Na widok białoskrzydłego spektaklu goście wykrzyknęli, jak gdyby był to zaplanowany występ przed ceremonią zaślubin, a ponad ich głosami dał się słyszeć srebrzysty śmiech kilkorga uradowanych dzieci.

- Zaczyna się - oznajmiła Jilly, a na jej przybrudzonej krwią twarzy odmalowało się przerażenie.

Stado zataczało koła pod sklepieniem kościoła, polatując od rodziny panny młodej do rodziny pana młodego i z powrotem, przesuając się równocześnie w głąb nawy głównej.

Jeden z młodzieńców wprowadzających gości wykazał się refleksem i ruszył na koniec nawy głównej, przebiegł pod rusztowaniem, przez otwarte drzwi do ogrodzonego przejścia, przypuszczalnie zamierzał otworzyć podwójne drzwi wejściowe, aby skrzydlaci intruzi mieli którądy uciec.

Jak gdyby synchronizując lot z dźwiękami hymnu i błogosławiąc zebranych, ptaki wzbily się do lotu, potem zanurkowały i zatoczyły łuk od prezbiterium do przeciwległej ściany nawy głównej. Przyciągane powiewem świeżego powietrza i blaskiem słonecznym nieprzesączonym przez witraże, gołębie skierowały się w stronę otwartych drzwi i wyleciały z kościoła, zostawiając po sobie tylko kilka świetlicie białych piórek, które polatywały w powietrzu.

Jilly z początku wpatrywała się jak urzeczona w piórka unoszone ciepłym prądem, lecz po chwili nagle skierowała wzrok na szczyt rusztowania stojącego pod wschodnią ścianą nawy głównej.

- Tam, na górze.

Wierzchołki wszystkich łukowatych okien znajdowały się około dwudziestu stóp nad posadzką kościoła. Szczyt rusztowania sięgał dwie stopy wyżej, aby robotnicy mieli swobodny dostęp do pasa rzeźbionego i malowanego gipsu szerokości trzech stóp, który zaczynał się około dwudziestu czterech stóp nad podłogą.

Górna platforma robocza, na której w ciągu tygodnia prowadzili prace remontowe rzemieślnicy i robotnicy, miała mniej więcej pięć stóp szerokości, czyli prawie tyle, co środkowe przejście między ławkami, i była zbudowana z kawałków sklejki zamocowanych do poziomych rur, które stanowiły zwieńczenie rusztowania. Nie widzieli, kto może się czaić na tym odizolowanym od reszty kościoła wzniesieniu, ponieważ rusztowanie było za wysokie, a pod sklepieniem nie paliły się lampy używane przez robotników i panował mrok.

W ścianie nawy głównej naprzeciw ołtarza nie było okien, jednak ciągnął się wzdłuż niej fryz, a także rusztowanie. Dziesięć stóp dalej, tuż po lewej ręce Shepherd, znajdowała się wbudowana w rusztowanie drabina: rurkowe szczeble pokrywała gęsto rowkowana guma.

Dylan podszedł do drabiny, dotknął szczebla nad swoją głową i natychmiast poczuł dotyk śladu psychicznego złych ludzi, jak nagłe ukłucie skorpiona.

Jilly, która razem z nim pospieszyła do drabiny, musiała dostrzec okropną zmianę w wyrazie jego twarzy i oczu.

- O Boże, co?

- Trzech - powiedział, odrywając dłoń od szczebla, kilkakrotnie wyginając i zaciskając palce, jak gdyby chciał się pozbyć mrocznej energii, która wczepiła się w jego rękę jak pijawki. - Fanatycy. Chorzy z nienawiści. Chcą zabić cały orszak, księdza i tylu gości, ilu się da.

Jilly odwróciła się w stronę ołtarza. - Dylan!

Podążając za jej wzrokiem, ujrzał księdza i dwóch ministrantów, którzy zjawili się już w prezbiterium i schodzili ambitem od ołtarza w stronę balustrady.

Do nawy głównej weszli bocznymi drzwiami dwaj młodzi mężczyźni w smokingach i ruszyli w stronę środkowego przejścia. Pan młody i pierwszy druhna.

- Musimy ich ostrzec - powiedziała Jilly.

- Nie. Jeżeli zaczniemy krzyczeć, nie będą wiedzieli, kim jesteśmy i mogą nie zrozumieć, o co nam chodzi. Nie zareagują od razu - a bandyci zareagują. Otworzą ogień. Nie zabiją panny młodej, ale trafią pana młodego i mnóstwo gości.

- W takim razie musimy wejść na górę - odparła, chwytając się drabiny, jakby zamierzała wspiąć się na rusztowanie. Zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Nie. Pamiętaj o wibracjach. Całe rusztowanie zacznie się trząść. Poczują, że wchodzimy. Będą wiedzieli, że idziemy. Shepherd stał w zupełnie niezwykłej dla siebie pozycji: nie pochylał głowy, nie garbił się i nie gapił w podłogę, ale z zadartą głową przyglądał się polatującemu piórku.

Stając między bratem a piórkiem, Dylan spojrział mu prosto w oczy.

- Shep, kocham cię. Kocham cię... i chcę, żebyś się skupił. Odrywając wzrok od piórka i zatrzymując go na Dylanie, Shep powiedział:

- Biegun północny.

Przez chwilę Dylan stał skonsternowany, dopóki nie zorientował się, że Shep powtarza jedną z odpowiedzi Jilly na jego monotonicznie powtarzane pytanie „Gdzie jest lód?”.

- Nie, bracie, daj spokój z biegunem północnym. Skup się, tu i teraz.

Shep mrugał oczami jak gdyby zdziwiony.

Obawiając się, że brat zamknie oczy i wycofa się do bezpiecznego kąta w swoim umyśle, Dylan powiedział:

- Szybko, musisz nas natychmiast zabrać stąd tam. - Wskazał posadzkę pod ich stopami. - Stąd. - Potem wskazał na szczyt rusztowania stojącego z tyłu nawy głównej, a drugą ręką odwrócił głowę Shepa w tym kierunku. - Na tę platformę, tam. Stąd tam, Shep. Stąd tam.

Skończył się hymn powitalny. Ostatnie dźwięki organowe odbijały się głuchym echem od sklepień i kolumnad.

- Stąd? - spytał Shep, pokazując posadzkę między nimi. - Tak.

- Tam? - spytał Shep, pokazując platformę roboczą nad ich głowami.

- Tak, stąd tam.

- Stąd tam? - powtórzył Shep, marszcząc w zdumieniu czoło. - Stąd tam, bracie.

- Niedaleko - rzekł Shep.

- Rzeczywiście, skarbie - zgodziła się Jilly. - Niedaleko i wiemy, że potrafisz dokonać o wiele większych rzeczy, składać o wiele dalej, ale w tej chwili wystarczy, żebyś złożył nas stąd tam.

Gdy wybrzmiały ostatnie tony hymnu, na parę sekund zapadła cisza sięgająca najdalszych zakątków kościoła i nagle organista zaczął grać „Oto panna młoda”.

Dylan spojrział na środkowe przejście między ławkami i w odległości mniej więcej osiemdziesięciu stóp ujrzał piękną młodą kobietę wychodzącą z ogrodzonego przejścia przed drzwiami, której towarzyszył przystojny młodzieniec w smokingu. Przeszli pod rusztowaniem, minęli chrzcielnicę ze święconą wodą i znaleźli się w nawie głównej. Kobieta była ubrana w błękitną suknię i błękitne rękawiczki i trzymała mały bukiet kwiatów. Druhna wsparta na ramieniu druhny. Poważni i skupieni na tempie kroków, szli w klasycznym przerywanym rytmie orszaku panny młodej.

- Tutam? - zapytał Shep.

- Tutam - przytaknął zniecierpliwiony Dylan. - Tutam! Goście podnieśli się z miejsc i odwrócili, by obserwować wejście panny młodej. Orszak z pewnością zupełnie przykuje ich uwagę i prawdopodobnie nikt, może z wyjątkiem jednej dziewczynki z warkoczami, nie zauważy zniknięcia trzech postaci z odległego zacienionego kąta.

Palcami jeszcze wilgotnymi od krwi Jilly, Shepherd znów sięgnął po jej rękę.

- Poczuj, jak to działa, cała zupełność wszystkiego.

- Stąd tam - przypomniała mu Jilly.

Gdy weszła druga drużyna z towarzyszem, wszystko, co Dylan widział, złożyło się i uleciało.

43 Pod ich stopami rozłożyła się górna platforma rusztowania, która zaskrzypiała i

lekko zadrżała, przyjmując na siebie ich ciężar i Dylan zobaczył po prawej stronie rzeźbiony fryz, a po lewej karkołomną przepaść.

Pierwszy z trzech bandytów - brodaty, z rozczochranymi włosami, o wielkiej głowie na chudej szyi - siedział w odległości zaledwie kilku stóp od nich, opierając się o ścianę nawy. Obok niego leżał karabin szturmowy i sześć zapasowych magazynków.

Choć rozpoczęła się już muzyka na wejście orszaku, fanatyk nie zajął jeszcze pozycji strzeleckiej. Leżał obok niego „Entertainment Weekly”, którego lekturą skracał sobie widocznie czas oczekiwania. Dosłownie przed chwilą wyciągnął z opakowania czekoladkę w kształcie grubego kólecčka.

Zdziwiony wstrząsem, który zakołysał rusztowaniem, bandyta odwrócił się w lewo. Spojrzał zdumiony na górującego nad nim Dylana, który stał nie dalej niż cztery stopy od niego.

Facet działał zupełnie mechanicznie. Mimo że szeroko otworzył oczy ze zdumienia, pstryknął kciukiem, wrzucając czekoladowe kólecčko prosto do ust.

Dylan mocno go kopnął, wbijając mu w gardło chyba nie tylko czekoladkę, ale też parę zębów.

Głowa miłośnika czekoladek odskoczyła do tyłu i uderzyła w gipsowy fryz. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, głowa zwisała bezwładnie na szyi i osunął się nieprzytomny na bok.

Wymierzając mu kopniaka, Dylan stracił równowagę. Zakołysał się, chwycił jedną ręką fryzu i uniknął upadku w czeluść.

Dylan stanął na rusztowaniu pierwszy, najbliżej bandyty, mając Shepa za plecami.

Jilly rozłożyła się ostatnia i puściła rękę Shepa, wciąż czując, jak to działa, czując całą zupełność wszystkiego.

- Ach! - wyrzuciła z siebie, bo wiedziała, że nie znajdzie właściwych słów, by opisać to, czego się dowiedziała - bardziej intuicyjnie niż intelektualnie - o architekturze rzeczywistości. - Ach!

W bardziej sprzyjających okolicznościach być może usiadłaby i spędziła na rozmyślaniach godzinę albo rok, ssąc własny kciuk i od czasu do czasu wołając mamusię. Jednak wzniesli się nie tylko z posadzki kościoła na szczyt rusztowania, ale także w pobliże śmierci, czuli jej lodowaty oddech i Jilly nie miała czasu na przyjemność czerpaną z ssania kciuka.

Gdyby Dylan nie poradził sobie z tym ludzkim szcurem, nie mogłaby mu w żaden sposób pomóc i ostatecznie zostaliby skazani na śmierć od kul. Dlatego też kiedy Dylan kopał bandytę w szczękę, Jilly natychmiast zaczęła się rozglądać, szukając dwóch pozostałych.

Dwadzieścia dwie stopy niżej goście przyglądali się, jak za orszakiem zmierza pierwsza drużyna. Orszak pokonał już połowę drogi do ołtarza. Wysokość i cień osłaniały całą ich trójkę i zebrani nie widzieli, jak Dylan kopie, Jilly rozgląda się, a Shep shepie.

Panny młodej nie było jeszcze widać.

Za pierwszą drużyną szedł, celebrując z namaszczeniem każdy krok, mały chłopiec, który niósł obrączki. Za nimi podążała śliczna jasnowłosa dziewczynka w wieku pięciu czy sześciu lat, ubrana w białą koronkową sukienkę i białe rękawiczki, z białymi wstążkami we włosach; trzymała mały pojemnik z płatkami róż, które sypała przed panną młodą.

Akordy marsza wybuchające spod palców organisty niosły pod sklepienia obietnice małżeńskiego szczęścia i zdawało się, że w szale radości z powodu zbliżających się zaślubin zaraz zburzą podtrzymujące dach kolumny.

Jilly dostrzegła drugiego bandytę na rusztowaniu pod zachodnią ścianą, nad kolorowymi oknami, wysuniętego daleko z przodu nawy głównej, skąd mógł bez kłopotu wziąć na cel prezbiterium i strzelać przez kolumnadę, pod poprzecznymi łukami sklepienia. Leżał na platformie wychylony w stronę czekającego pana młodego i pierwszego drużby.

Mimo słabego światła na górze zdołała zobaczyć, że morderca nie odwrócił się, żeby spojrzeć na orszak, ale spokojnie przygotowywał się do rzezi, namierzając cel i obliczając trajektorię pocisków.

Dylan dołączył do Jilly i Shepa, trzymając karabin za lufę. - Widzisz ich?

Wskazała na zachodnie rusztowanie.

- Tam jest drugi, ale nie wiem, gdzie trzeci.

Nie widzieli stąd za dobrze rusztowania na wschodniej ścianie. Część górnej platformy przysłaniało wiele kolumn. Dylan poprosił Sheperda, żeby złożył ich z południowego rusztowania, ale bardzo precyzyjnie, tak aby znaleźli się dokładnie obok leżącego na zachodniej platformie bandyty. Dylan chciał być przy nim pierwszy, żeby kolbą karabinu odebranego pierwszemu mordercy wymierzyć sprawiedliwość drugiemu. - Znowu niedaleko - zauważył Shep.

- Rzeczywiście. Krótka podróż - przytaknął Dylan. - Shep umie daleko.

- Tak, bracie, wiem, ale musimy niedaleko. - Shep umie bardzo daleko.

- Wystarczy stąd tam, bracie.

W nawie pod nimi ukazała się panna młoda prowadzona pod ramię przez ojca.

- Szybko, skarbie - dodała niecierpliwie Jilly. - Musimy się tam złożyć jak najszybciej. Dobrze?

- Dobrze - odparł Shep.

Nadal stali na szczycie południowego rusztowania. - Skarbie? - ponagliła Jilly.

- Dobrze.

„Oto panna młoda” - huczały organy, ale ona już ich minęła. Zbliżała się do balustrady prezbiterium, przed którą czekał pan młody.

- Bracie, co jest, dlaczego jeszcze się nie składamy? - Dobrze.

- Bracie, słuchasz mnie, naprawdę słuchasz? - Myślę - odrzekł Shep.

- Nie myśl, na litość boską, składaj. - Myślę.

- Złóż nas stąd! - Dobrze.

Pan młody, pierwszy drużba, drużby i drużbowie, pierwsza drużyna, chłopiec z obrączkami, dziewczynka z kwiatami, ojciec

panny młodej i panna młoda - cały orszak znalazł się w polu rażenia mordercy zajmującego pozycję na zachodnim rusztowaniu i najprawdopodobniej weszli także pod łufę trzeciemu bandycie, który jeszcze nie został zlokalizowany.

- Dobrze.

Shep sięgnął poza świat, który widzimy, za to, co wyczuwamy pięcioma zmysłami, i ścisnął w palcach głęboką strukturę rzeczywistości, która przypominała najcieńszą błonę, najprostszą pod słońcem, a jednak składała się z jedenastu wymiarów. Przekręcił ją lekko, czyniąc czas i przestrzeń posłusznymi swojej woli, i złożył ich troje z południowego rusztowania na rusztowanie zachodnie lub - ściśle rzecz biorąc - złożył i oddalił od nich południe, a potem złożył i przybliżył do nich zachód, choć to rozróżnienie wyłącznie techniczne, bo efekt był identyczny.

Kiedy ich rzeczywistością stało się rusztowanie pod zachodnią ścianą, Jilly zobaczyła, jak Dylan unosi nad głowę karabin, zamierzając użyć kolby jak maczugi.

Drugi bandyta leżał na brzuchu, podpierając się lekko na lewym przedramieniu i spoglądając przez kościół na wschodnią ścianę. Do paska miał przytroczonej uwięź, którą niczym alpinista przewlókł przez karabińczyk zamocowany w ścianie, najprawdopodobniej po to, żeby przeciwdziałać skutkom odrzutu i zapewnić sobie stabilność, gdyby postanowił strzelać na stojąco.

Nie nosił brody jak jego kompan, lecz kilkudniowy zarost, i był ubrany w spodnie robocze oraz koszulkę ozdobioną na plecach uniwersalnym symbolem patriotyzmu amerykańskiego - logo Budweisera - mimo to nie przeszedłby przez kontrolę celną na wschód od Akela w Nowym Meksyku, gdzie nawet na biednego Freda w podejrzanym doniczce patrzyli bardzo nieufnie. Bandyta uniósł się na lewej ręce, żeby dać komuś sygnał prawą. Tym kimś okazał się trzeci morderca.

Dokładnie naprzeciw wielbiciela budweisera podniósł się ostatni z bandytów - ostro zarysowany cień wśród innych bezkształtnych cieni. Zapewne również był zabezpieczony uwięziami i uzbrojony w karabin szturmowy - w nikłym świetle widać było, że to krótki karabinek, jeden z tych morderczych automatów ze składanym łożem.

- Shep chce ciasta - powiedział Shepherd, jak gdyby właśnie zdał sobie sprawę, że to ślub. Dylan rąbnął drugiego bandytę kolbą karabinu w głowę, a Jilly zorientowała się, że są w po-trzasku i bez wątpienia zostaną zastrzeleni, podobnie jak orszak i wielu gości.

Trzeci morderca, który był świadkiem ich cudownej materializacji i widział, jak jego kompan dostaje cios w głowę i traci przytomność, mógł w jednej sekundzie otworzyć ogień, zanim Shepherd udałoby się przekonać, że muszą odbyć jeszcze jedną krótką podróż.

Istotnie, gdy kolba wyładowała z odpowiednią siłą na czaszce drugiego bandyty, trzeci zaczął unosić karabin w kierunku zachodniego rusztowania.

- Tu, tam - powiedziała Jilly. - Tu, tam.

W nadziei, że pamięta mechanizm jedenastowymiarowej macierzy i całej zupełności wszystkiego tak samo dobrze jak sto osiemnaście dowcipów o grubych tyłkach, Jilly zsunęła z ramienia torebkę, która wyładowała na platformie u jej stóp. Ujęła w palce szczyptę niczego, przekręciła i złożyła się z zachodniej ściany na wschodnie rusztowanie, mając nadzieję, że zaskoczenie da jej przewagę i uda się jej wyrwać broń z rąk mordercy, zanim ten naciśnie spust. Złożyła sama siebie i tylko siebie, ponieważ w ostatniej chwili, gdy przekręcała palce, pomyślała o filmie „Mucha” i nie chciała nadstawiać głowy, gdyby nos Dylana miał zostać na zawsze umieszczony pod lewą pachą Shepherd.

Prawie udało się jej przenieść z rusztowania na rusztowanie. Od celu dzieliło ją zaledwie osiem czy dziesięć stóp.

Stała obok Shepa na szczycie zachodniego rusztowania, a pół chwili później rozłożyła się w powietrzu, dwadzieścia dwie stopy na posadzką kościoła.

Choć jej dokonanie, mimo że dalekie od doskonałości, należało uznać za osiągnięcie pod każdym względem fantastyczne i choć horda pracowitych nanomaszyn i nanokomputerów w czasie krótszym niż jeden dzień obdarzyła ją zdumiewającymi zdolnościami, Jillian Jackson nie potrafiła latać. Zmaterializowała się tak blisko trzeciego bandyty, że zobaczyła jego wybałuszone oczy i minę wyrażającą absolutne i bezbrzeżne zdumienie, przez sekundę zdawała się wisieć w powietrzu, lecz potem runęła w dół jak studziesięciofuntowy kamień.

Terrorysta ubrany w koszulkę z logo Budweisera musiał mieć niezwykle twardą głowę, zważywszy na fakt, że wspólną cechą wszystkich, którzy poświęcają swoje życie bezsensownej przemocy, jest nieczułość na nowe idee i prawdę. Okazało się jednak, że kolba karabinu była twardsza.

Jak na człowieka o wrażliwej duszy artysty Dylan poczuł dziwnie wielką przyjemność na dźwięk zetknięcia kolby z czaszką i chętnie powtórzyłby cios, gdyby nie usłyszał Jilly, która powiedziała: „Tu, tam”. Wyraźna obawa w jej głosie zaniepokoiła go.

Kiedy na nią spojrział, złożyła się w gwiazdkę o konturach cienkich jak linie narysowane ołówkiem, które natychmiast złożyły się w maleńką kropkę i zniknęły. Serce Dylana zdążyło uderzyć raz, potem drugi - czyli upłynęła sekunda, może mniej - gdy Jilly pojawiła się zawieszona w powietrzu wysoko nad gośćmi zgromadzonymi w kościele.

Wisiała tam wbrew prawu ciężenia przez chwilę trwającą dwa głośne uderzenia serca Dylana, jak gdyby podtrzymywała ją fala muzyki organowej, a potem kilku gości krzyknęło w szoku, widząc ją zawieszoną nad swoimi głowami. Jego serce na moment zamarło, po czym znów rozległ się mocny łomot świadczący o wznowieniu krążenia i Dylan zobaczył, jak Jilly spada prosto we wrzeszczący ze zgrozą chór.

Lecąc w dół, zniknęła.

~ ~Trudna publiczność czasem przyjmowała jej materiał w milczeniu, niekiedy nawet ją wygwizdywała, ale nigdy dotąd żadna publiczność na nią nie wrzeszczała. Być może Jilly odpowiedziałyby im wrzaskiem, spadając prosto między przerażonych widzów, lecz za bardzo pochłaniało ją ściskanie w palcach struktury rzeczywistości i składanie się z rozdziawionej paszczy śmierci na szczyt wschodniego rusztowania, gdzie zamierzała się dostać, kiedy opuściła Dylana, który walił drugiego bandytę kolbą w głowę.

Rubinowe i szafirowe promienie światła wpadające przez witraże, rzeźbiony marmur kolumn, rzędy drewnianych ławek, przerażone twarze odwrócone do góry nogami - wszystko nagle się złożyło. Jednak sądząc po błękitnobiałej jasności przeważającej w kalejdoskopowym wzorze, jaki szybko składał się wokół niej, miejsce, do którego trafiła, było zbyt mocno oświetlone jak na platformę na szczycie wschodniego rusztowania.

Oczywiście, okazało się, że stoi na dachu kościoła i znów chybiła, składając się o dobre dziesięć stóp powyżej celu. Lazurowy błękit nieba, białe, pierzaste chmury, złoty blask słońca. Czerń płytki łupkowej dachu.

Dach z czarnych łupków o niebezpiecznie stromym spadku.

Patrząc na ulicę w dole, poczuła, że dostaje zawrotów głowy. Kiedy spojrzała na wieżę dzwonnicy górującą trzy piętra nad dachem, zawroty jeszcze się nasiliły.

Chciała się złożyć z dachu kościoła natychmiast - lecz na moment zastygła w bezruchu, straciła zimną krew i opadł ją lęk, że popelni jeszcze większy błąd. Może tym razem rozłoży się

wbita połową ciała w marmurową kolumnę w nawie głównej, z drugą połową ciała na zewnątrz, wstrząsaną przedśmiertnymi drgawkami, a większość jej narządów wewnętrznych na zawsze połączy się z kamieniem.

Skoro już pomyślała o tak makabrycznym rozwoju wypadków, była prawie pewna, że tak się właśnie stanie. Nie potrafi wyrzucić z pamięci widoku siebie samej w połowie złączonej z kamieniem i kiedy złoży się „stądam”, „tam” okaże się środkiem kolumny, a ona pozostanie bardziej związana z kościołem niż w czasach, gdy śpiewała w chórze.

Mogła zostać jeszcze kilka minut na dachu, aż się uspokoi i odzyska pewność siebie; okazało się jednak, że taka możliwość nie wchodzi w grę. Po trzech, najwyżej czterech sekundach zaczęła się zsuwać.

Może łupkowe płytki były czarne, kiedy kładziono dach, ale równie dobrze mogły być szare, zielone czy różowe. Teraz, w połowie bezdeszczowego lata, dachówki były czarne i gładkie, ponieważ gęste od smogu powietrze pokryło je drobnym pyłem sadzy.

Sadza okazała się drobna jak sproszkowany grafit. Sproszkowany grafit to doskonały smar. Sadza także.

Na szczęście Jilly stała blisko szczytu dachu; dlatego nie zsunęła się od razu na jego skraj i nie runęła na beton, łamiąc wszystkie kości, ani nie nadziała się na sterczący groźnie żelazny płot, ani nie wpadła w paszcze czyhającej sfory pitbulterierów. Zjechała mniej więcej dziesięć stóp i nagle odzyskała przyczepność, tak gwałtownie, że omal nie poleciała do przodu. Zdolała się jednak utrzymać na nogach.

Potem znów zaczęła się ześlizgiwać. Zjeżdżała po czarnych płytkach do progu skoczni. Szykowała się do skoku. Nabierała prędkości, żeby uzyskać odległość kwalifikacyjną do olimpiady.

Jilly miała na nogach buty sportowe i sama była dość wysportowana, nie umiała się jednak zatrzymać. Choć wymachiwała rękami jak drwal w konkursie obracania nogami bala, z trudem utrzymywała równowagę i nagle jej jedna stopa straciła kontakt z podłożem. Spadała, zdając sobie sprawę, że

grzmotnie w dach kością ogonową. Żałowała, że zamiast chudego tyłka nie ma grubego pupska, ale wszystkie lata odmawiania sobie pączków w końcu się na niej zemściły. Za chwilę otworzy się pod nią przepaść.

Akurat. Nie chciała umierać śmiercią Negatywnie Nastawionej Jackson. Miała dość siły woli, aby samej decydować o swoim przeznaczeniu, zamiast być bierną ofiarą losu.

Cała zupełność wszystkiego, piękna w swej jedenastowymiarowej prostocie, złożyła się na jej rozkaz i Jilly opuściła pokryty sadzą dach, nie kończąc zjazdu w otchłań śmierci.

Kiedy spadając na posadzkę kościoła, Jilly uniknęła, goście wrzasnęli jeszcze głośniejsze, a organista oderwał palce od klawiatury. Potem wrzaski równocześnie ucichły i wszyscy jak jeden mąż wstrzymali w zdumieniu oddech.

Oglądając spektakl z góry, Shepherd powiedział: - No, no.

Dylan błyskawicznie spojrział na platformę wschodniego rusztowania, gdzie stał trzeci bandyta z karabinem. Chyba zbyt oszołomiony, żeby wykonać swój pierwotny plan, morderca nie otworzył jeszcze ognia. Wahanie nie mogło trwać długo; w ciągu paru sekund

jego nienawiść okaże się potężniejsza od zaskoczenia, jakie wywołał w nim widok niezaprzecznego cudu.

- Bracie, stąd tam. - No, no.

- Zabierz nas tam, bracie. Do złego człowieka. - Myślę.

- Nie myśl, bracie. Po prostu składaj. Stąd tam. Tymczasem na dole większość gości, którzy nie patrzyli w górę, gdy Jilly najpierw pojawiła się w powietrzu, a potem, spadając, zniknęła, odwrócili się skonsternowani do tych, którzy wszystko widzieli. Jakaś kobieta zaczęła płakać, a piskliwy dziecięcy głosik - należący bez wątpienia do pewnej dziewczynki z warkoczami - powiedział:

- Mówiłam ci, mówiłam! - Bracie...

- Myślę.

- Na litość boską... - No, no.

Jak było do przewidzenia, jeden z gości-kobieta w różowym kostiumie i różowym kapeluszu z piórami - zauważył trzeciego

mordercę, który stał wychylony na skraju platformy na szczycie wschodniego rusztowania i spoglądał w dół, zabezpieczony liną przymocowaną do ściany. Kobieta w różowym kostiumie musiała też zobaczyć karabin, bo pokazała na niego i wrzasnęła.

Nic nie mogło lepiej wyrwać bandyty ze zbawiennego wahania niż ten alarmujący krzyk.

Jilly złożyła się z brudnego od sadzy dachu na platformę rusztowania, spodziewała się ujrzeć trzeciego bandytę i kopnąć go w głowę, brzuch, jądra czy jakiegokolwiek inne nadające się do kopania miejsce, które akurat nadstawi. Zobaczyła jednak przed sobą długą i pustą platformę, po lewej malowany gipsowy fryz, a po prawej masywne marmurowe kolumny wznoszące się do sufitu kościoła.

Zamiast zwielokrotnionego wrzasku, jaki towarzyszył jej złożeniu się w powietrzu, usłyszała krzyk tylko jednej osoby. Spojrzała w dół i zobaczyła kobietę w różowym kostiumie usiłującą przestrzec pozostałych gości przed niebezpieczeństwem.

- Tam, tam na górze! - zawołała kobieta, wskazując nie na Jilly, lecz obok niej.

Zorientowawszy się, że stoi przodem do tylnej ściany nawy, a nie do ołtarza, Jilly odwróciła się i ujrzała trzeciego mordercę, który znajdował się dwadzieścia stóp od niej i patrzył na tłum w dole. Trzymał karabin lufą w górę, wycelowany w sklepienie sufitu - ale zaczął właśnie reagować na krzyk kobiety w różowym stroju.

Jilly ruszyła na niego. Dwadzieścia cztery godziny temu uciekałaby przed uzbrojonym człowiekiem, a teraz biegła prosto na niego.

Choć serce podchodziło jej do gardła i tłukło głośno jak bęben w cyrku, a strach jak wąż ścisnął jej trzewia, zachowała na tyle przytomności umysłu, by zastanowić się przez chwilę, czy odkryła w sobie nowe pokłady odwagi, czy raczej postradała zmysły. Może jedno i drugie.

Wyczuwała też, że impuls, który kazał jej zaatakować bandytę, mógł mieć związek z faktem, że nanogadzęty, pracowicie przebudowujące jej mózg, dokonują w niej głębokich zmian, fundamentalnych i daleko ważniejszych od nadnaturalnych zdolności, jakie posiadała. Nie była to miła myśl.

Dwadzieścia stóp dzielące ją od niedoszłego mordercy panny młodej dłużyły się jak maraton. Dykta zdawała się pod nią

poruszać, utrudniając jej bieg, jakby była ruchomą bieżnią. Mimo to wolała puścić się biegiem, niż jeszcze raz zaufać swej jeszcze niezbyt dopracowanej umiejętności składania.

Ciężkie bum-bum-bum stóp na platformie i wstrząsające rusztowaniem wibracje oderwały uwagę bandyty od zgromadzonych w kościele. Kiedy odwracał głowę w stronę Jilly, wpadła na niego z takim impetem, że aż zakołysał się na boki, i chwyciła karabin.

Natychmiast po zderzeniu próbowała wyrwać mordercy broń. Jego ręce zdawały się przyklejone do karabinu, jednak Jilly też trzymała mocno, choć straciła równowagę i spadła z rusztowania.

Silny uchwyt broni ocalił ją przed kolejnym upadkiem. Dzięki linie nie pociągnęła za sobą bandyty, który został na platformie, przymocowany do ściany.

Dyndając w powietrzu, czując cuchnący czosnkiem oddech fanatyka i patrząc w jego oczy - czarne studnie emanujące nienawiścią-Jilly poczuła w sobie gniew, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Gniew zmienił się we wściekłość podsycaną myślą o wszystkich synach Kaina, podobnych do tego człowieka, od których roły się wzgórza i miasta tego świata, którymi powodowały niezliczone utopijne wizje naprawy społeczeństwa, ale także własne szaleństwo - łaknących przemocy i krwi, chorych od marzeń o władzy.

Jilly uwiesiła się karabinu całym ciężarem ciała i morderca nie miał tyle siły, by wyrwać jej broń z rąk. Zaczął więc kręcić karabinem w lewo i prawo, tam i z powrotem, nadając jej moment obrotowy i obciążając nadgarstki. Każdy skręt zgodnie z prawami fizyki wymagał rotacji, która w końcu miała wyrwać jej z rąk karabin, jeśli ciało Jilly było posłuszne prawom fizyki.

Ból w torturowanych stawach i ścięgnach nadgarstków wkrótce stał się nie do zniesienia, znacznie gorszy niż pieczenie po wbitej drzazdze. Gdyby Jilly puściła karabin, mogłaby złożyć się, spadając, ale zostawiłaby broń w rękach bandyty. A zanim zdążyłaby wrócić, posłałby setki pocisków w tłum, który stał jak sparalizowany, oglądając toczącą się pod sklepieniem walkę, i nikomu nie przyszło jeszcze na myśl, żeby uciec z kościoła.

Jej wściekłość przerodziła się w furię podsycaną głębokim poczuciem niesprawiedliwości i współczuciem dla niewinnych, którzy zawsze padają ofiarą morderców takich jak ten; dla matek i dzieci rozrywanych na kawałki przez zamachowców samobójców, dla zwykłych obywateli, którzy często trafiają w środek strzelaniny między rywalizującymi ze sobą gangami ulicznymi, dla kupców mordowanych dla paru dolarów z kas sklepowych - dla pewnej panny młodej i jej oblubieńca oraz dziewczynki z kwiatami, których kule mogły roznieść na strzępy w dniu, kiedy miała panować radość.

Furia dodała jej sił i Jilly spróbowała kontrolować ruchy bandyty, wymachując nogami w przód i w tył, w przód i w tył, jak akrobata na trapezie. Im skuteczniej udawało się jej wykonywać wymachy, tym trudniej było mu kręcić karabinem.

Przeguby bolały, jakby palił je żywy ogień; bandycie musiało się wydawać, że za chwilę ramiona wyskoczą mu z panewek. Im więcej wisiała na karabinie, tym większe było prawdopodobieństwo, że on pierwszy puści broń. Wówczas nie będzie już potencjalnym mordercą, ale po prostu szaleńcem na rusztowaniu z zapasowymi magazynkami amunicji, której nie może wykorzystać.

- Jillian? -- Ktoś na dole wykrzyknął w zdumieniu jej imię. - Jillian? - Była prawie pewna, że to ojciec Francorelli, ksiądz, któremu się spowiadała i który przez większą część życia Jilly udzielał jej sakramentów - ale nie odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Najbardziej dawał się jej we znaki pot. Słone krople z czoła bandyty kapały prosto na nią, co wzbudzało w niej wstęt, ale bardziej przeszkadzał jej własny pot. Miała śliskie ręce. Jej uchwyt słabł z każdą sekundą.

Wkrótce przyszło wybawienie z trudnego położenia: albo pękła lina, albo puścił wbity w ścianę karabińczyk i uwięź przestała utrzymywać ciężar ich obojga.

Spadając, bandyta wypuścił broń. - Jillian!

Spadając, Jilly się złożyła.

Słowa „zdziwienie” i „zdumienie” określają chwilowe obezwładnienie umysłu spowodowane czymś nieoczekiwanym, choć „zdziwienie” może bardziej dotyczyć emocji, a „zdumienie” reakcji intelektu. „Osłupienie” oznacza doznanie głębsze i bardziej intensywne, stan oszołomienia, jaki wywołuje w nas coś niesłychanie zaskakującego.

Dylan w osłupieniu przyglądał się z zachodniego rusztowania, jak Jilly pędzi sprintem po platformie, zderza się z bandytą, spada z rusztowania i wisząc na karabinie, wykonuje z zapalem ćwiczenia, jak gdyby brała udział w przesłuchaniu dla kandydatów na cyrkowców urządzonym przez słynną rodzinę Wallenda.

- No, no - powiedział Shepherd, gdy lina zerwała się, wydając trzask niczym gigantyczny biczą, a Jilly i morderca runęli w dół. Uwięzieni w ławkach goście z przeraźliwym piskiem próbowali się odsunąć albo uchylić.

Cztery stopy nad podłogą Jilly i karabin zniknęli, lecz nieszczęsny złoczyńca spadł tam, gdzie miał spaść. Rąbnął szyją w oparcie ławki, złamał kark, zrobił salto, przelatując do następnego rzędu, i spuentował śmiercią swój widowiskowy występ, zastygając w płataninie kończyn między dystygowanym siwowłosym panem w granatowym garniturze w prążki a dostojną matroną w drogim beżowym kostiumie oraz ładnym kapeluszu z piórami i szerokim rondem.

Gdy Jilly zjawiała się obok Shepa, bandyta był już martwy, ale przewalał się jeszcze przez ławki, przybierając ostateczną pozę, w której będzie go chciał unieśmiertelnić policyjny fotograf. Odłożyła karabin.

- Wkurzyłam się.

- Widzę - odparł Dylan.

- No, no - powiedział Shepherd. - No, no.

Goście krzyczeli, gdy bandyta odbił się od oparcia ławki, spadł do tylnego rzędu i znieruchomiał z przekrzywioną głową i dziwnie wykręconą ręką, jakby wziął się pod bok. Potem jakiś mężczyzna w szarym garniturze dostrzegł Jilly, która stała z Dylanem i Shepem na szczycie zachodniego rusztowania, i pokazał ją reszcie zgromadzonych. W jednej chwili gromada wiernych stanęła z zadartymi głowami i wpatrywała się w nią. Wszyscy zamilkli, zapewne w szoku, więc w kościele zapadła głęboka, prawdziwie grobowa cisza.

Gdy cisza przedłużała się, nabrzmiewając grozą, Dylan wyjaśnił Jilly:

- Osłupieli.

W tłumie na dole Jilly ujrzała młodą kobietę w mantyli. Być może tę samą, którą widziała na pustyni.

Zanim tłum zdążył ochłonąć i wpaść w panikę, Dylan przemówił głośno, chcąc uspokoić gości:

- Sytuacja opanowana. Już po wszystkim. Jesteście bezpieczni. - Wskazał na wbite między ławki zwłoki. - Na górze

są dwaj współnicy tego człowieka, zostali rozbrojeni, ale potrzebują pomocy lekarza. Niech ktoś zadzwoni po pogotowie. Ruszyło się tylko dwoje ludzi: kobieta w mantyli, która podeszła do świecznika, zapaliła świecę wotywną i zmówiła modlitwę, oraz fotograf, który zaczął robić zdjęcia Dylanowi, Jilly i Shepowi.

Spoglądając w dół na trzy setki osób, z których sześćdziesiąt siedem miało odnieść rany w strzelaninie, z czego czterdzieści śmiertelnych, gdyby ona, Dylan i Shep nie dotarli tu na czas, Jilly doznała tak intensywnych emocji, uskrzydających i upokarzających zarazem, że wiedziała, iż przez resztę życia nigdy nie zapomni swoich uczuć w tym niewiarygodnym momencie ani nie będzie umiała właściwie opisać ich natężenia.

Z platformy rusztowania podniosła torebkę, w której była resztką rzeczy, jakie pozostały jej własnością na tym świecie: portfel, puder, szminka... Nie sprzedałaby tego żalostnego dobytku za żadną cenę, ponieważ stanowił jedyny namacalny dowód na to, że kiedyś wiodła żywot zwykłego człowieka. Zdawało się jej, że te przedmioty to talizmany, dzięki których może odzyskać utracone życie.

- Shep - wyszeptala drżącym z emocji głosem. - Nie ufam sobie na tyle, żeby złożyć stąd nas wszystkich. Ty musisz to zrobić. - Do jakiegoś spokojnego miejsca - ostrzegł Dylan. - I odludnego.

Gdy nadal wszyscy stali jak wryci, panna młoda ruszyła naprzód, omijając gości, i zatrzymała się dopiero przed Jilly. Była piękna, olśniewająca i urocza w zachwycającej sukni, która na pewno stanowiłaby jeden z głównych tematów rozmów na weselu, gdyby myśli gości nie zaprzętały teraz takie sprawy jak mord, gwałt i czyny bohaterów na rusztowaniach.

Spoglądając z dołu na Jilly, Dylana i Shepa, olśniewająca młoda dama w bajecznej białej sukni uniosła prawą rękę, trzymając w niej bukiet, jak gdyby składała im wyrazy uznania i wdzięczności. Kwiaty jaśniały jak płomień rozpalonej do białości pochodni.

Być może panna młoda chciała coś powiedzieć, ale Jilly odezwała się pierwsza, a w jej głosie dało się słyszeć szczere współczucie:

- Kochanie, bardzo mi przykro, że twój ślub musiał tak wyglądać.
- Chodźmy - powiedział Dylan.
- Dobrze - odrzekł Shep i złożył ich.

45 Wokół nich rozciągała się prawdziwa pustynia, tak rzadko zraszana deszczem, że nawet nieliczne kaktusy skarłowaciały z długotrwałego pragnienia. Rosnące z rzadka wątłe kępy traw zimą usychały, przybierając zapewne czarno-zieloną barwę; teraz w lecie były srebrno-brązowe i spalone na wiór. Jak okiem sięgnąć, było tu więcej piasku niż roślinności i więcej skal niż piasku.

Stali na zachodnim zboczu wzgórza, które wznosiło się łagodnymi terasami złożonymi ze zbitych warstw smolisto-brązowych i rdzawoczerwonych skal. Niedaleko przed nimi, a w każdym razie mniej więcej pośrodku rozległej równiny, wznosiły się dziwne naturalne formy skalne, przypominające pozostałości wielkiej starożytnej fortecy: tu jakby kolumny o średnicy trzydziestu stóp i wysokości stu, być może część portyku przed nieistniejącym wejściem; tam długie na sto stóp i wysokie na osiemdziesiąt rozpadające się ruiny zwieńczonego blankami muru obronnego, z którego zręczni łucznicy mogli bronić zamku

deszczem strzał; tu wieże strzelnicze; tam znowu wały obronne, bastiony, na wpół zawalony barbakan.

Oczywiście, ludzie nigdy nie zamieszkiwali tej niegościnniej krainy, ale natura stworzyła krajobraz, który pobudzał wyobraźnię. - Nowy Meksyk - powiedział do Jilly Dylan. - Byłem tu z Shepem, malowałem ten pejzaż. W październiku, prawie cztery lata temu, przy znośniejszej pogodzie. Za tym wzgórzem jest droga gruntowa, a cztery mile w drugą stronę betonowa autostrada. Chociaż nie będziemy jej potrzebować.

W tej chwili krajobraz był rozżarzoną kuźnią, gdzie rozpalone do białości słońce formowało ogniste podkowy dla podniebnych jeźdźców, którzy ponoć nawiedzali pustynię nocą.

- Jeżeli siądziemy w cieniu - rzekł Dylan - może uda się nam wytrzymać w tym upale tak długo, żeby zebrać myśli i wykombinować, co mamy, cholera, dalej robić.

O tej godzinie zwieńczone blankami skały, mieniające się jaskrawymi odcieniami czerwieni, oranżu, fioleto i różu, znalazły się na wschód od słońca, które dawno minęło już zenit. Ożywczy cień sięgający w stronę zbocza, na którym stali, miał barwę dojrzałych śliwek.

Dylan poprowadził Jilly i Shepa w dół wzniesienia, potem dwieście stóp przez równinę do podstawy czegoś, co mogłoby być wieżą strzelniczą z legend o królu Arturze. Usiedli obok siebie na wygładzonym przez pogodę kamieniu jak na niskiej ławce i oparli się plecami o wieżę.

Cień, bezwietrzna cisza, bezruch pozbawionej życia równiny i niebo bez jednego ptaka przyniosły im tak ogromną ulgę, że przez kilka minut żadne z nich się nie odzywało.

Wreszcie Dylan poruszył sprawę, która jeśli nie był najpilniejsza, to z pewnością najważniejsza.

- W kościele, kiedy tamten spadł na ławki i powiedziałaś, że się wkurzyłaś, miałaś na myśli taką złość, jakiej nigdy w życiu nie czułaś, prawda?

Przez chwilę oddychała spokojnie, stopniowo opanowując wewnętrzny tumult.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Wiesz.

- Niezupełnie.

- Wiesz - upierał się.

Pod ciężarem cienia zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę wieży, starając się ze wszystkich sił nie ulec fali przeczenia i utrzymać się na suchym lądzie. W końcu powiedziała:

- To była wściekłość, piekielna furia, ale nie taka nieokiełznana ani ogłupiająca jak zwykły gniew, nie negatywna. To było... to było...

- Oczyszczający i ożywczy święty gniew - podsunął.

Otworzyła oczy. Spojrzała na niego. Zakrwawiona półbogini wypoczywająca w cieniu palacu Zeusa.

Widać było, że nie chce o tym rozmawiać. Może nawet bała się o tym rozmawiać.

Nie mogła jednak dłużej unikać tego tematu, tak jak nie mogła wrócić do życia w klubach komediowych, jakie prowadziła jeszcze wczoraj.

- Nie byłam wściekła tylko na tych trzech łajdaków... Byłam... Gdy szukała odpowiednich słów i nie mogła znaleźć, Dylan dokończył jej myśl, ponieważ on pierwszy doświadczył tego świętego gniewu jeszcze w Alei Eukaliptusowej, gdzie Travis siedział przykuty do łóżka, a Kenny miał nadzieję zrobić krwawy użytek ze swojej kolekcji noży; dlatego miał więcej czasu na analizę swoich emocji.

- Nie byłaś wściekła tylko na tych trzech łajdaków... ale na samo zło, byłaś wściekła dlatego, że zło istnieje, na samą myśl, że zło nie daje się opanować i zwalczyć.

- Boże drogi, mówisz, jakbyś siedział w mojej głowie albo ja w twojej. - Ani jedno, ani drugie - odparł Dylan. - Ale powiedz mi... wtedy w kościele, zdawałaś sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

- Och, tak.

- Wiedziałaś, że może do ciebie strzelić, że możesz zginąć albo zostać kaleką na całe życie, ale zrobiłaś to, co było trzeba.

- Nie można było zrobić niczego innego.

- Zawsze można zrobić coś innego - zaprotestował. - Po pierwsze, uciec. Dać sobie spokój i po prostu wiać. Pomyślałaś o tym?

- Oczywiście.

- Ale czy tam w kościele była choć jedna chwila, króciutka, w której mogłabyś uciec?

- O rany - powiedziała i wzdrygnęła się, zaczynając powoli rozumieć, jaki ciężar będą musieli na siebie przyjąć, ciężar, który będą mogli zdjąć z ramion dopiero po śmierci. - Tak, mogłabym uciec. Do diabła, pewnie, że mogłabym. Mało brakowało, żebym to zrobiła.

- Dobra, niewykluczone, że mogłabyś uciec. Może wszyscy potrafimy jeszcze uciekać. Ale chodzi o to... czy była choć jedna chwila, króciutka chwila, w której mogłabyś uchylić się od obowiązku uratowania tych ludzi - i mimo to żyć w zgodzie z własnym sumieniem?

Patrzyła na niego w milczeniu. Spojrzał jej w oczy.

Wreszcie odrzekła: - Do kitu z tym.

- Do kitu, ale i nie do kitu.

Po chwili namysłu uśmiechnęła się drżącymi wargami i przytaknęła:

- Do kitu, ale i nie do kitu.

- Nowe połączenia, nowe drogi nerwowe zbudowane przez nanomaszyny dały nam pewną zdolność jasnowidzenia, niedoskonały talent przeczuwania i składania. Ale to nie jedyne zmiany, jakie w nas zaszły.

- Wolałabym, żeby to były jedyne zmiany.

- Ja też. Ale ten święty gniew zawsze prowadzi do nieodpartego przymusu działania.

- Nieodpartego - zgodziła się. - To jest przymus, obsesja albo coś, czego nie potrafimy nazwać.

- Ale to nie jest zwykły przymus działania, tylko... Zawahał się przed wypowiedzeniem ostatnich słów, które miały zdecydować o kształcie ich dalszego życia.

- W porządku - powiedział Shep. - W porządku, bracie?

Spoglądając spod wieży w stronę rozżarzonej równiny, chłopak rzekł:

- W porządku, Shep się nie boi.

- No to w porządku. Dylan też się nie boi. - Nabrał powietrza i dokończył to, co musiał dokończyć. - Święty gniew zawsze prowadzi do nieodpartego przymusu działania, bez względu na ryzyko. Nie chodzi tylko o to, żeby działać, ale żeby zrobić to, co trzeba. Możemy skorzystać z wolnej woli i odwrócić się - ale kosztem utraty szacunku do samych siebie, czyli za cenę nie do przyjęcia.

- Niemożliwe, żeby o to chodziło Lincolnowi Proctorowi - zauważyła Jilly.

- Ostatnią rzeczą, jakiej chciałby człowiek taki jak on, było stworzenie pokolenia bohaterów uszczęśliwiających za wszelką cenę innych.

- Racja. Był gnidą. Miał wizje amoralnej rasy panów, którzy być może trochę naprawiliby świat, ale gnębiąc resztę ludzkości.

- No to dlaczego staliśmy się... tym, czym się staliśmy?

- Może kiedy się rodzimy, wszyscy mamy takie połączenia w mózgu, że wiemy, co należy robić, zawsze wiemy, jak powinniśmy się zachować.

- Tak mnie uczyła mama, słowo w słowo - powiedziała Jilly.

- Może więc nanomaszyny tylko trochę poprawiły istniejące obwody, zmniejszyły opór i zostaliśmy tak ustawieni, żeby zawsze robić to, co należy, wszystko jedno, co sami wolelibyśmy robić, wszystko jedno, czego chcemy, bez względu na konsekwencje, jakie mielibyśmy ponieść, za wszelką cenę.

Układając to wszystko w myślach jak kodeks, według którego wyrokiem losu przyjdzie jej odtąd żyć, Jilly powiedziała:

- Czyli teraz, za każdym razem, gdy będę miała wizję jakiejś katastrofy albo aktu przemocy...

- I za każdym razem, gdy odczytam z odcisku psychicznego, że ktoś jest w opałach albo knuje coś złego...

- ...będziemy zmuszeni...

- ...naprawić sytuację - dokończył, używając tych słów w nadziei, że może znów uda mu się wywołać u niej uśmiech, choćby nikły.

Musiał zobaczyć jej uśmiech.

Na jej twarzy zjawił się grymas, który mógł przypominać uśmiech odbity w zwierciadle w gabinecie krzywych lusterek, ale jego widok wcale nie podniósł na duchu Dylana.

- Nie potrafię powstrzymać wizji - powiedziała. - Ale ty możesz nosić rękawiczki.

Pokręcił głową.

- Och, wydaje mi się, że mógłbym je najwyżej kupić. Ale wkładać je po to, żeby nie poznać planów złych ludzi albo kłopotów dobrych? To na pewno nie jest rzecz, jaką trzeba zrobić, prawda? Przypuszczam, że mógłbym kupić rękawiczki, ale nie sądzę, żebym mógł je nosić.

- No, no - powiedział Shepherd, być może komentując ich rozmowę albo żar pustyni, a może reagując na jakieś wydarzenie, które nastąpiło w Świecie Shepa, na planecie autystów o wysokiej sprawności, gdzie spędzał część życia większą niż na ich wspólnej ziemi. - No, no.

Mieli jeszcze mnóstwo rzeczy do omówienia, planów do ustalenia, ale na razie żadne z nich nie potrafiło wykrzesać z siebie energii ani odwagi, by kontynuować rozmowę. Shep nie był nawet w stanie wydobyć z siebie kolejnego „No, no”.

Cień. Upał. Rozgrzane do białości skały i piasek, wydzielające zapach żelaza, popiołu i krzemionki.

Dylan wyobraził sobie, że wszyscy troje będą siedzieć dokładnie w tym miejscu, śniąc z zadowoleniem o dobrych uczynkach, jakich nie zważając na cenę, już dokonali, ale nigdy więcej nie podejmą już ryzyka, by stawić czoło nowym dramatom, i będą siedzieć i marzyć, dopóki nie skamienieją na tej skalnej ławeczce jak drzewa w Parku Narodowym Skamieniałego Lasu w sąsiedniej Arizonie, i spędzą w cieniu całe wieki jako trzy spokojne kamienne figury, dopóki w następnym milenium nie odkryją ich archeolodzy.

Wreszcie Jilly zapytała: - Jak ja wyglądam?

- Uroczo - zapewnił ją zupełnie szczerze.

- Tak, jasne. Twarz mam sztywną od zaschłej krwi.

- Rana na czole już przyschła. Trochę paskudnych strupków i zaschłej krwi, ale poza tym uroczo. Jak ręka?

- Boli. Ale będę żyła, co - jak sądzę - należy uważać za pomyślną wiadomość. - Otworzyła torebkę, wyciągnęła puderniczkę i obejrzała twarz w małym okrągłym lusterku. - Znajdź mi czarną lagunę, muszę wracać do domu.

- Bzdura. Wystarczy, jeśli się trochę umyjesz i możesz iść na bal wydany przez króla.

- Chyba że polejesz mnie wężem albo zaprowadzisz do myjni samochodowej.

Poszperała w torebce i wydobyła foliowe opakowanie z chusteczką odświeżającą. Wyciągnęła pachnący cytryną wilgotny papierek i starannie oczyściła twarz, patrząc w lusterko.

Dylan wrócił do swojej fantazji o powolnym kamienieniu. Sądząc po zastygłej sylwetce, milczeniu i nieruchomym spojrzeniu, Shep zaczął się już całkiem skutecznie obracać w kamień. Chusteczki odświeżające były przeznaczone głównie do otarcia rąk po zjedzeniu hamburgera w samochodzie. Okazało się, że jedna nie wystarczy, by usunąć taką ilość zaschłej krwi. - Powinnaś kupić chusteczki w rozmiarze XL dla seryjnych morderców - poradził Dylan.

Jilly zaczęła przetrząsać torebkę.

- Na pewno miałam jeszcze jedną. - Rozpięła wewnętrzną przegródkę torebki, pogrzebała w niej, potem otworzyła drugą przegródkę. - Och, zapomniałam o tym.

Wydobyła torebkę orzeszków ziemnych, które można kupić w automacie.

- Shep pewnie wolałby cheez-ity, jeśli masz - powiedział Dylan. - A ja jestem raczej entuzjastą czekoladowych pączków. - To należało do Proctora.

Dylan skrzywił się.

- Pewnie zaprawione cyjankiem.

- Upuścił orzeszki na parkingu pod moim pokojem. Podniosłam je tuż przed naszym spotkaniem.

Przerywając swoje próby petryfikacji, ale wciąż wpatrując się w rozpalone do czerwoności skały i piasek, Shepherd spytał:

- Ciasto?

- Nie ciasto - odrzekł Dylan. - Fistaszki.

- Ciasto?

- Fistaszki, bracie.

- Ciasto?

- Niedługo dostaniesz ciasto.

- Ciasto?

- Fistaszki, Shep. Dobrze wiesz, jak wyglądają fistaszki - okrągłe, kształtowe i wstrętne. Zobacz. - Wziął od Jilly torebkę, chcąc pokazać ją Shepherdowi, ale ślad psychiczny na celofanowym opakowaniu, mimo że towarzyszył mu miły odcisk pozostawiony przez Jilly, był wciąż na tyle świeży, że Dylan natychmiast ujrzał w myślach senny i zły uśmiezek Proctora. Zobaczył jednak nie tylko uśmiech, ale znacznie więcej: wirujący z elektrycznym trzaskiem chaotyczny pokaz cieni i obrazów.

Nie zorientował się, że wstaje z kamiennej ławki, dopóki nie zaczął się oddalać od Jilly i Shepa. Przystanął, odwrócił się do nich i rzekł:

- Jezioro Tahoe.

- W Nevadzie? - spytała Jilly.

- Tak. Nie. To znaczy tak. Jezioro Tahoe, ale północny brzeg, po stronie Kalifornii.

- No i co z tym jeziorem?

Wydawało mu się, że drga każdy nerw w jego ciele. Ogarnął go nieodparty przymus, by gnać tam jak najprędzej.

- Musimy się tam dostać. - Po co?

- Natychmiast. - Po co?

- Nie wiem. Ale tak trzeba.

- Niech to szlag, zaczynam się denerwować.

Wrócił do Jilly, zmusił, żeby wstała i położył jej zdrową dłoń na swojej ręce, w której trzymał torebkę orzeszków.

- Czujesz to, co ja, czujesz, gdzie to jest? - Gdzie co jest?

- Dom. Widzę dom. W stylu projektów Franka Lloyda Wrighta, wychodzący na jezioro. Wielki dach, mury z kamienia, dużo ogromnych okien. Wtulony między stare wysokie sosny. Czujesz, gdzie to jest?

- Ja tego nie potrafię, tylko ty - przypomniała mu. - Ale nauczyłaś się składać.

- Tak, zaczęłam się uczyć, ale tego się nie nauczyłam - odrzekła, cofając rękę.

Shepherd podniósł się z kamienia. Położył dłoń na torebce fistaszków, na ręce Dylana.

- Dom.

- Tak, dom - powiedział niecierpliwie Dylan, czując, jak z każdą sekundą przymus działania narasta. Przestępował z nogi na nogę jak dziecko, które musi iść do ubikacji. - Widzę dom.

- Widzę dom - odezwał się Shep.

- Widzę duży dom wychodzący na jezioro.

- Widzę duży dom wychodzący na jezioro - powiedział Shep.

- Co robisz, bracie?

Zamiast powtórzyć „Co robisz, bracie”, jak się spodziewał Dylan, chłopak rzekł:

- Widzę duży dom wychodzący na jezioro.

- Tak? Widzisz dom? Też go widzisz?

- Ciasto?

- Fistaszki, Shep, fistaszki.

- Ciasto?

- Trzymasz na tym rękę, patrzysz na to, Shep. Widzisz, że to torebka fistaszków.

- Ciasto Tahoe'?

- Och, tak, być może. Pewnie w tym domu w Tahoe mają ciasto. Mnóstwo ciasta. Wszystkie rodzaje. Ciasto czekoladowe, cytrynowe, korzenne, marchewkowe...

- Shep nie lubi marchewkowego ciasta.

- Nie, nie chciałem tego powiedzieć, pomyliłem się, nie mają ciasta marchewkowego, Shep, ale mają każdy cholerny rodzaj ciasta.

- Ciasto - powiedział Shep i pustynia Nowego Meksyku złożyła się, a wokół nich zaczęła się rozkładać chłodna zielona przestrzeń.

46 Na stokach wokół jeziora wznosiły się wielkie sosny, stożkowate i rozłożyste, tworząc rozległe pałace o zielonych, przesyconych wysublimowanym aromatem komnatach, w których panowało wieczne Boże Narodzenie. Niektóre drzewa miały ponad dwieście stóp wysokości i zdobiły je przeróżnej wielkości szyszki - od drobnych jak morele po ogromne jak ananasy.

Słynne jezioro, widziane przez wyjątkowo szczęśliwie dobrane ramy z rzeźbionych przez czas gałęzi, potwierdzało swą reputację najbardziej kolorowego akwenu na świecie. Cała po

wierzchnia, od środkowej głębi mającej ponad tysiąc pięćset stóp po przybrzeżne mielizny, mieniła się, opalizując niezliczonymi odcieniami zieleni, błękitu i fioletu.

Złożywszy się z jałowej pustyni wprost nad wspaniałe jezioro Tahoe, Jilly wypuściła z płuc żar, żegnając się ze skorpionami i ćmami, i wciągnęła ożywczy haust powietrza, w którym wirowały motyle i śmigały brązowe ptaki.

Shepherd przeniósł ich na wyłożoną płytami kamiennymi ścieżkę, która wiała się przez las między cieniem rzucanym przez

gęste sosny i leśnymi paprociami. Na końcu ścieżki stał dom: w stylu Wrighta, z kamienia i srebrnego cedru, o wysokich oknach i szerokim dachu na wspornikach, ogromny, lecz pozostający w niezwyklej harmonii z naturalnym otoczeniem.

- Znam ten dom - powiedziała Jilly. - Byłaś tu?

- Nie. Nigdy. Ale widziałam go gdzieś na zdjęciach. Pewnie w jakimś piśmie.

- Fakt, że jest jak żywcem wyjęty z „Architectural Digest”. Szerokie kamienne schody prowadziły na taras przed wejściem, osłonięty dachem na wspornikach z podsufitką z drewna cedrowego.

Idąc po schodach między Dylanem i Shepherdem, Jilly spytała:

- Ten dom ma związek z Lincolnem Proctorem?

- Tak. Nie wiem jaki, ale wyczułem ze śladu, że był tu przynajmniej raz, może więcej niż raz, i że to miejsce jest dla niego ważne.

- Czyli to może być jego dom?

Dylan pokręcił głową. - Nie sędzę.

Drzwi - geometryczne dzieło art deco z brązu i szkła witrażowego - mogło wraz bocznymi oknami stanowić rzeźbę.

- A jeżeli to pułapka - zaniepokoiła się.

- Nikt nie wie o naszym przybyciu. Niemożliwe, żeby to była pułapka. Poza tym... nie czułem tego.

- Może najpierw powinniśmy trochę poobserwować tę norę, popatrzeć z lasu, aż zobaczymy, kto wchodzi i wychodzi.

- Instynkt mi mówi, żeby wpaść od razu. Do diabła, nie mam wyboru. Muszę tam iść, to tak... jakby pchało mnie tysiąc rąk. Muszę zadzwonić.

Zadzwoił do drzwi.

Jilly została przy Dylanie, choć zastanawiała się, czy nie uciec biegiem między drzewa. Przy swojej obecnej zmienności nie miała już żadnego schronienia na tym świecie, które mogłaby nazwać bezpieczną oazą. Jedyne miejsce, jakie jej pozostało, było przy braciach O'Connerach, a ich jedyne miejsce było przy niej.

Drzwi otworzył im wysoki, przystojny mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych włosach i wyjątkowo szarych oczach barwy zaśniedziałego srebra. Te przenikliwe oczy na pewno potrafiły stać się surowe i zimne jak stal, lecz teraz spoglądały na nich ciepło i przyjaźnie, wydając się zupełnie niegroźne jak szare krople wiosennego deszczu.

Jego głos, który Jilly zawsze podejrzewała o to, że podczas audycji jest elektronicznie poprawiany, miał ten sam głęboki tembr i lekko przydymioną barwę jak w radiu. Rozpoznała go natychmiast.

- Jillian, Dylan, Shepherd - powiedział Parish Lantern. - Czekałem na was. Wejdźcie, proszę. Mój dom jest waszym domem.

Dylan, którego mina świadczyła, że jest tak samo oszołomiony jak Jilly, wybąkał:

- Pan? To znaczy... naprawdę? Pan?

- Owszem, ja to na pewno ja, tak przynajmniej było, gdy: ostatni raz patrzyłem w lustro. Wejdźcie. Mamy sobie tyle d~ powiedzenia, tyle do zrobienia.

Obszerny hall był wyłożony podłogą z wapiennych płyt i boazerią z drewna koloru miodu. Pośrodku stały dwa chińskie krzesła z palisandru obite szmaragdowozieloną tapicerką ora; duży stół z dużą czerwono-brązową żardynierą, którą wypełniało kilkadziesiąt świeżych tulipanów - żółtych, czerwonych i pomarańczowych.

Zaskoczona Jilly poczuła się tu mile widzianym gościem, jak gdyby odnalazła drogę do właściwego miejsca, niemal jak pies który zgubi się podczas przeprowadzki z jednego miasta do drugiego i potrafi instynktownie pokonać wielkie odległości do nowego, nieznanego mu domu.

Zamykając drzwi, Parish Lantern powiedział:

- Później będziecie się mogli przebrać i odświeżyć. Kiedy się dowiedziałem, że przyjdziecie, bez bagażu i w takim stanie, poleciłem mojemu służącemu, Lingowi, by kupił wam wszystkim nowe ubrania, odpowiadające - jak mniemam - waszym gustom. Nie lada sztuka było zdobycie w tak krótkim czasie T -shirtów z kojotem. Ling musiał w środę lecieć do Los Angeles gdzie w sklepie pamiątkowym Warner Brothers udało mu się kupić tuzin takich koszulek w rozmiarze Shepherd.

- W środę? - powtórzył Dylan, którego minę można było określić jako zbaraniała.

- Poznałam Dylana i Shepherdę dopiero wczoraj - powie Jilly. - W piątek wieczorem. Niecałe osiemnaście godzin temu.

Kiwając z uśmiechem głową, Lantern rzekł:

- I pewnie było to bardzo ekscytujące osiemnaście godzin prawda? Będziecie mi musieli opowiedzieć. Ale wszystko po kolei - Ciasto - powiedział Shep.

- Tak - zapewnił go Lantern - mam dla ciebie ciasto, Shepherd. Ale wszystko po kolei.

- Ciasto.

- Jesteś bardzo zdecydowanym młodym człowiekiem, prawda? - zauważył Lantern. - To dobrze, podoba mi się zdecydowanie.

- Ciasto.

- Wielkie nieba, chłopcze, można by podejrzewać, że twój mózg opanowała uwielbiająca ciasto pijawka mózgowa z rzeczywistości alternatywnej. Gdyby oczywiście istniało coś takiego jak pijawki mózgowe z rzeczywistości alternatywnej.

- Nigdy w to nie wierzyłam - zapewniła go Jilly.

- Ale miliony wierzą, moja droga - odrzekł Lantern.

- Ciasto.

- Dostaniesz wielki kwadratowy kawałek ciasta - obiecał Shepowi Lantern. - Za jakiś czas. Ale wszystko po kolei. Chodźcie ze mną, proszę.

Gdy wszyscy troje opuścili hall, podążając za autorem radiowego talk-show przez bibliotekę, w której było więcej książek niż w niejednej bibliotece małego miasta, Dylan zapytał Jilly: - Wiedziałaś o tym`?

Zdumiona pytaniem, odparła: - Skąd miałabym wiedzieć?

- No, jesteś przecież fanką Parisha Lanterna. Wielka Stopa, teorie o spisku istot pozaziemskich i tak dalej.

- Wątpię, żeby Wielka Stopa miał z tym cokolwiek wspólnego. Nie jestem też spiskowcem z kosmosu.

- Tak właśnie powiedziałby spiskowiec z kosmosu.
 - Na litość boską, nie jestem spiskowcem z kosmosu. Jestem komikiem występującym solo.
 - Jedno nie wyklucza drugiego - odrzekł. - Ciasto - powtórzył z uporem Shep.
- Na końcu biblioteki Lantern zatrzymał się i odwrócił do nich.
- U mnie nie macie cię czego bać.
 - Nie, nie - wyjaśnił Dylan. - Wygłupiamy się tylko. To taki nasz prywatny żart z czegoś, co zdarzyło się dawno temu.
 - Prawie osiemnaście godzin - dodała Jilly.
 - Cały czas pamiętajcie - powiedział Lantern tajemniczo, lecz z dobroćliwością kochającego wujka - że bez względu na to, co się stanie, nie macie się czego bać.
 - Ciasto.
 - W swoim czasie, chłopcze.

Lantern zaprowadził ich z biblioteki do ogromnego salonu, który był umeblowany współczesnymi kanapami i fotelami obitymi bladzielonym jedwabiem oraz ozdobiony eklektyczną, lecz całkiem ładną mieszanką przedmiotów w stylu art deco i chińskich antyków.

Przez południową ścianę, składającą się niemal w całości z sześciu ogromnych okien, roztaczała się wspaniała panorama na kolorowe jezioro widoczne między gałęzmi dwóch gigantycznych sosen cukrowych.

Pejzaż był tak malowniczy, że Jilly wykrzyknęła spontanicznie: - Cudowne!

Dopiero po chwili zorientowała się, że w pokoju stoi Lincoln Proctor, czekając na nich z pistoletem w dłoni.

47 Lincoln Proctor, jakiego ujrzeli, nie był zwęglonym kawałem mięsa i kości, choć

Dylan z ochotą doprowadziłby go takiego stanu, gdyby miał okazję. Nie przypalił mu się ani jeden włos i nie pozostała na nim najmniejsza drobina popiołu, które mogłyby świadczyć o tym, że spalił się w cadillacu Jilly. Nie zmienił się nawet senny uśmiezek na jego twarzy. - Usiądźcie - rzekł Proctor. - Porozmawiamy o tym.

Jilly odpowiedziała mu bardzo brzydko, a Dylan dorzucił do jej sugestii jeszcze brzydsze słowa.

- Tak, macie powody mnie nienawidzić - powiedział ze skrucą Proctor. - Wyrządziłem wam okropne, niewybaczalne krzywdy. Nie będę próbował się usprawiedliwiać. Ale ta sprawa łączy nas wszystkich.

- Nic nas z tobą nie łączy - wybuchnął Dylan. - Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi ani współnikami, ani nawet królikami doświadczalnymi. Jesteśmy twoimi ofiarami i wrogami. Przy najbliższej okazji wyprujemy ci flaki.

- Napijecie się czegoś? - spytał Parish Lantern.

- Jestem wam winien przynajmniej wyjaśnienie - rzekł Proctor. - I jestem pewien, że kiedy mnie wysłuchacie, zrozumiecie, że ze względu na wspólny interes musimy zostać sojusznikami, nawet jeśli to miałyby być trudne.

- Koktajl, brandy, piwo, wino, może coś bez alkoholu?

- Kto spalił się w moim samochodzie? - spytała ostro Jilly. - Pewien pechowy gość motelu, który wszedł mi w drogę - powiedział Proctor. - Był mniej więcej mojego wzrostu. Zabiłem

go, podrzuciłem moje dokumenty, zegarek, parę innych rzeczy. Od tygodnia, kiedy zacząłem uciekać, nosiłem ze sobą bombę walizkową - mały ładunek wybuchowy i napalm - właśnie w tym celu. Zdetonowałem ją pilotem.

- Skoro nikt nie ma ochoty na drinka - odezwał się Lantern - usiądę i dokończę swój.

Podszedł do fotela, z którego widział ich wszystkich, usiadł i z niskiego stolika podniósł kieliszek białego wina.

Reszta wciąż stała.

- Sekcja wykaże, że ten biedny sukinsyn to nie ty - powiedziała do Proctora Jilly.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Ale gdy otoczyli mnie dżentelmeni w czarnych chevroletach, wielki wybuch odwrócił ich uwagę, prawda? Dzięki temu zyskałem kilka godzin, mogłem się wymknąć. Och, wiem, to podle, poświęcić życie niewinnego człowieka, żeby kupić sobie kilka godzin czy dni, ale robiłem już w życiu gorsze rzeczy. Zdarzało się...

Przerywając mu tę nużącą litanie samooskarżenia, Jilly zapytała:

- A kim w ogóle są ci faceci w chevroletach?

- To najemnicy. Część z rosyjskiego Specnazu, część to członkowie amerykańskiej Delta Force, którzy zeszli na złą drogę, wszyscy byli kiedyś w oddziałach specjalnych w tym czy innym kraju. Wynajmują się tam, gdzie lepiej płacą.

- Dla kogo teraz pracują?

- Dla moich wspólników - odparł Proctor. Parish Lantern odezwał się ze swojego fotela:

- Kiedy im tak zależy na człowieku, że tworzą całą armię, by go zabić, to spore osiągnięcie.

- Moi wspólnicy to wyjątkowo majątne osoby, miliarderzy, którzy kontrolują kilka największych banków i korporacji. Kiedy zacząłem odnosić pewne sukcesy w eksperymentach, moi wspólnicy nagle zorientowali się, że ich fortuny i majątek ich firm mogą być zagrożone w obliczu niekończących się pozwów o odszkodowania, że będą musieli przeznaczyć miliardy na ugody, gdyby... coś poszło nie tak. Przy takich odszkodowaniach miliardy wyciskane z przemysłu tytoniowego będą śmiesznie małą sumą. Chcieli wszystko pozamykać, zniszczyć owoce moich badań.

- Gdyby coś poszło nie tak? - spytał Dylan.

- Daruj sobie listę tych okropności, którą mi wyliczałeś. Powiedz im tylko o Manuelu - poradził Lantern.

- To był gruby wściekły socjopata - powiedział Proctor. - W ogóle nie powinienem go przyjmować jako kandydata do eksperymentu. W ciągu kilku godzin od zastrzyku rozwinął w sobie umiejętność wzniesienia ognia siłą woli. Niestety za bardzo mu się spodobało palenie różnych rzeczy. Rzeczy i ludzi. Zanim go unieszkodliwiono, zdążył narobić mnóstwo szkód. Dylanowi zrobiło się słabo. Zrobił krok w kierunku fotela, ale przypomniał sobie matkę i nie usiadł.

- Skąd na litość boską brałeś kandydatów do takich eksperymentów? - spytała Jilly.

Kącik jego ust uniósł się w sennym uśmiechu. - Ochotnicy.

- Co za idiota zgłosiłby się na ochotnika, żeby mu naszprycować mózg nanomaszynami?

- Widzę, że udało wam się zebrać nieco informacji. Nie wiecie jednak, że rozpoczęliśmy badania na ludziach w pewnym ośrodku w Meksyku. Nadal bardzo łatwo przekupić tam urzędników.

- Wychodzi taniej niż naszych najlepszych senatorów - dorzucił cierpko Lantern.

Proctor usiadł na brzegu fotela, ale wciąż trzymał wycelowany w nich pistolet. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego. Musiał przyjechać tu wczoraj prosto z Arizony i miał niewiele czasu na odpoczynek lub wcale go nie miał. Jego zwykle różowa twarz była szara i zmięta.

- Zgłaszali się skazańcy z dożywociem. Najgorsi z najgorszych. Gdybyście mieli spędzić resztę życia w śmierdzącym meksykańskim więzieniu, ale dostalibyście szansę zarobienia na luksusy albo nawet skrócenia wyroku, zgłosilibyście się do wszystkiego. To byli zatwardziali przestępcy, ale to, co im zrobiłem, było nieludzkie...

- Bardzo, bardzo podle - powiedział Lantern tonem matki strofującej niegrzeczne dziecko.

- Owszem. Przyznaję. To było podle. Byłem...

- Czyli -przerwał mu zniecierpliwiony Dylan-kiedy iloraz inteligencji niektórych więźniów spadł o sześćdziesiąt punktów, twoich współników zaczęły dręczyć koszmary o hordach adwokatów jak stada karaluchów.

- Nie. Nie przejmowaliśmy się tymi, którzy stracili sprawność intelektualną albo w jakiś inny sposób dokonali autodestrukcji. Urzędnicy więzienni wpisywali im nieprawdziwe informacje do aktów zgonu i nikt nie mógł ich skojarzyć z nami.

- Jeszcze jedna bardzo podła rzecz - rzekł Lantern, cmokając z dezaprobatą. - Podłym rzeczom nie ma końca.

- Gdyby jednak ktoś taki jak Manuel, nasz podpalacz, znalazł się na wolności, ogniem utorował sobie drogę przez kontrolę graniczną, dostał się do San Diego i zaczął tam szaleć, paląc w mieście dom za domem, zabijając setki ludzi... wtedy być może nie moglibyśmy się od niego zdystansować. Może powiedziałby komuś o nas. Wtedy... czekałyby nas pozwy o odszkodowania do końca wieku.

- Wyśmienite chardonnay - oświadczył Lantern - jeśli ktoś chciałby zmienić zdanie. Nie? Wobec tego zostanie więcej dla mnie. A teraz zbliżamy się do smutnej części tej opowieści. Smutnej i frustrującej. Rewelacji niemal tragicznej. Powiedz im o tym, Lincoln.

Irytujący uśmiezek Proctora pojawiał się i bladł. Teraz zniknął.

- Zanim zamknęli moje laboratoria i zaczęli próbować się mnie pozbyć, opracowałem nową generację nanobotów.

- Nową i udoskonaloną - dodał Lantern. -- Jak nowy rodzaj coca-coli albo nowy kolor w palecie czekoladek M&M. - Owszem, znacznie udoskonaloną - przytaknął Proctor, albo nie wyczuwając sarkazmu gospodarza, albo postanawiając go zignorować. - Usunąłem defekty. Dowodem na to jesteś ty, Dylan i panna Jackson. Ty także, Shepherd, prawda? Shep stał ze spuszczoną głową i milczał.

- Musicie mi opowiedzieć wszystko o skutkach, jakie wywołał u was mój wynalazek - rzekł Lincoln Proctor, znów przywołując na twarz swój uśmiezek. - Tym razem jakoś osób poddanych eksperymentowi jest taka, jaka powinna być zawsze. Jesteście z o wiele lepszej gliny. Praca z osobowością kryminalistów była skazana na katastrofę. Powiniennem o tym wiedzieć od początku. Moja wina. I moja głupota. Ale jak to było z wami, jakiego rodzaju udoskonalenia nastąpiły? Nie mogę się doczekać, aby o tym posłuchać. Jaki był efekt?

Zamiast odpowiedzieć Proctorowi, Jilly zwróciła się do Parisha Lanterna:

- A jaka jest twoja rola? Byłeś jednym z inwestorów?

- Nie jestem ani miliarderem, ani idiotą-zapewnił ją Lantern. - Kilka razy wystąpił w moim programie, bo uważałem go za zabawnego stukniętego egocentryka.

Uśmiech Proctora stężał. Gdyby spojrzenia mogły ciskać

plómiem, Proctor zmieniłby Parisha Lanterna w garść popiołu, tak jak Manuel czynił podobno z innymi.

- Nigdy nie byłem dla niego nieuprzejmy - ciągnął Lantern. - Nie dawałem mu do zrozumienia, co naprawdę myślę o szalonym pomysle wymuszonej ewolucji ludzkiego mózgu. To nie w moim stylu. Jeśli gość jest geniuszem, pozwalam, aby sam zdobywał przyjaciół i wywierał wpływ na ludzi, a jeżeli jest szaleńcem, cieszę się, że może robić z siebie durnia bez mojego udziału.

Słyszając tę zniewagę, Proctor zarumienił się, jednak mimo to nie wyglądał wcale zdrowiej. Podniósł się z fotela i zamiast w Dylana, wymierzył pistolet w Lanterna.

- Zawsze uważałem cię za człowieka, który ma wizję. Dlatego z moją nową generacją przyszedłem najpierw do ciebie. I tak mi odpłacasz?

Parish Lantern wychylił z kieliszka resztkę wina, posmakował i przełknął. Nie zwracając uwagi na Proctora, zwrócił się do Dylana i Jilly:

- Nigdy przedtem nie spotkałem naszego poczciwego doktora osobiście. Zawsze rozmawiałem z nim na żywo przez telefon. Pięć dni temu stanął na moim progu, a ja byłem zbyt uprzejmy, żeby kopniakiem wyrzucić go na ulicę. Powiedział, że chce ze mną porozmawiać o czymś bardzo ważnym, co będę mógł wykorzystać w programie. Uprzejmie zaprosiłem go do gabinetu, a on odpłacił mi za grzeczność chloroformem i potworną... końską strzykawką.

- Też to znamy - powiedział Dylan.

Odstawiając pusty kieliszek, Lantern wstał z fotela.

- Potem wyszedł, zostawiając mi na pożegnanie ostrzeżenie, że jego współpracownicy, przerażeni perspektywą procesów, są zdecydowani go zabić, a także każdego, komu zrobi zastrzyk, więc lepiej będzie, jeśli nie zgłoszę tego na policji. W ciągu paru godzin przeszedłem przerażające zmiany. Pierwszym przekleństwem była prekognicja.

- My też nazywamy to przekleństwem -- rzekła Jilly.

- Już w środę zacząłem przewidywać niektóre z dzisiejszych wydarzeń. Dowiedziałem się, że nasz Frankenstein wróci, żeby zobaczyć, jak się czuję, i będzie oczekiwał pochwał i podziękowań. Ten skończony dureń spodziewał się, że będę mu wdzięczny, przyjmę go jak bohatera i udzielię schronienia.

Bładniebieskie oczy Proctora spoglądały twardo i zimno jak tamtego wieczoru w 1992 roku, gdy zabił matkę Dylana.

- Mam mnóstwo wad, bardzo poważnych wad. Ale nigdy bez potrzeby nie obrażam ludzi, którzy mają wobec mnie dobre zamiary. Nie rozumiem twojej postawy.

- Kiedy mu powiedziałem, że przewiduję waszą wizytę jeszcze tego samego dnia - ciągnął Lantern - strasznie się podniecił. Spodziewał się, że wszyscy będziemy przed nim klęczeć i całować go w pierścionki.

- Wiedziałaś, że tu przyjdziemy, zanim dopadł nas w Arizonie i zrobił nam zastrzyk - zdumiała się Jilly.

- Tak, mimo że z początku nie wiedziałem, kim jesteście. Nie potrafię wam za dobrze wyjaśnić, jak to możliwe - przyznał Lantern. - Ale we wszystkim istnieje pewna harmonia...

- Cała zupełność wszystkiego - powiedziała Jilly. Parish Lantern uniósł brwi.

- Tak. Można to tak nazwać. Są rzeczy, które mogą się wydarzyć, rzeczy, które muszą się wydarzyć, i czując całą zupełność wszystkiego, można poznać przynajmniej małą część tego, co się stanie. Oczywiście, jeżeli jest się dotkniętym przekleństwem takiej wizji.

- Ciasto - powiedział Shepherd.

- Już niedługo, chłopcze. Po pierwsze, musimy postanowić, co zrobimy z tym cuchnącym workiem gówna.

- Kupka, kaka, łajno.

- Tak, chłopcze - potwierdził ekspert od zmian położenia biegunów planetarnych i spisków kosmitów. - Tego również. - Ruszył w kierunku Lincolna Proctora.

Naukowiec nagle dźgnął lufą powietrze, podnosząc broń. - Nie zbliżaj się do mnie.

- Powiedziałem ci, że moje nowe umiejętności to tylko zdolność prekognicji - rzekł Lantern, idąc przez salon w stronę Proctora. - Ale skłamałem.

Być może przypominając sobie Manuela podpalacza, Proctor strzelił z bliska do swego przeciwnika, ale Lantern nawet się nie skrzywił na dźwięk wystrzału ani nie drgnął, gdy trafiła w niego kula. Pocisk jak gdyby odbił się od piersi gospodarza i utkwiał z głośnym trzaskiem w suficie salonu.

Proctor desperacko strzelił jeszcze dwa razy do podchodzącego coraz bliżej Lanterna, lecz obydwie pociski również odbiły się, trafiając w sufit i z pierwszą kulą tworząc idealny trójkąt. Dylan przyzwyczaił się do widoku cudów, więc obserwował to fascynujące przedstawienie w stanie, któremu bardziej odpowiadało określenie „zdumienie” niż „osłupienie”.

Parish Lantern nie musiał używać siły, by wyjąć broń z ręki oszołomionego naukowca. Oczy Proctora wypełniły się łzami, jak gdyby dostał obuchem w głowę, ale szalony doktor nie upadł.

Dylan, Jilly i powłóczący nogami Shep podeszli do Lanterna i przystanęli jak sędziowie zbierający się na naradę przed wydaniem wyroku.

- Ma jeszcze jedną pełną strzykawkę - powiedział Lantern. - Jeżeli podoba mu się to, co nowa generacja nanopaskudztwa z nami zrobiła, na pewno zdobędzie się na odwagę i zrobi sobie zastrzyk. Dylan, sądzisz, że to dobry pomysł?

- Nie.

- A ty, Jilly? Sądzisz, że to dobry pomysł?

- Do diabła, nie - odrzekła. - Na pewno nie jest z lepszej gliny. Będzie tak samo jak z Manuelem.

- Niewdzięczna dziwka - powiedział Proctor.

Dylan zrobił krok w jego stronę, szykując się do zadania mu ciosu, lecz Jilly chwyciła go za koszulę na piersi.

- Mnie nazwał gorzej.

- Macie jakiś pomysł, co z nim zrobić? - zapytał Lantern. - Lepiej nie oddawać go w ręce policji - rzekła Jilly.

- Ani współników - dodał Dylan. - Ciasto.

- Twój upór jest godny podziwu, chłopcze. Ale najpierw musimy się zająć nim, a potem zjemy ciasto.

- Lód - powiedział Shep i złożył tu w tam.

48 Być może wtedy w kuchni domu na samotnym wybrzeżu, na północ od Santa Barbara, zaglądając do lodówki, Shep wcale nie wyrażał ochoty na zimny napój, ale

przewidział okoliczności ich ostatniego spotkania z Lincolnem Proctorem. Istotnie, Jilly przypomniała sobie, że Shep nie lubi lodu w napojach.

„Gdzie jest lód?” - pytał, próbując zidentyfikować krajobraz, który ujrzał w swej proroczej wizji.

„Na biegunie północnym jest dużo lodu” - odpowiedziała mu Jilly.

I rzeczywiście.

Pod niskim niebem przypominającym pokrywkę żelaznego czajnika, od horyzontu po horyzont rozciągały się posępne białe równiny, niknąc w półmierzchu i szarej mgle. Jedyne wzniesienia stanowiły poszarpane grzbiety zwałów lodu oraz lodowe płyty - niektóre wielkości trumien, inne większe od całych domów pogrzebowych - które odłamały się od czapy lodowej i stały pionowo niczym cmentarne nagrobki na innej planecie. „Zimno” - mówił Shepherd. i miał rację.

Nie byli odpowiednio ubrani na wycieczkę na czubek świata i mimo że słynne polarne wiatry poszły spać, przenikliwie powietrze kąsało ich, jakby dostało wilczych zębów. Szok spowodowany nagłą zmianą temperatury wprawił serce Jilly w bolesne, nierytmiczne kołatanie, a ona omal nie osunęła się na kolana.

Parish Lantern wyglądał na oszołomionego magiczną podróżą znad jeziora Tahoe wprost do nieprzyjaznej krainy nieszczęśliwych przygód i bożonarodzeniowych legend, ale przystosował się do sytuacji z wyjątkową pewnością siebie.

- Robi wrażenie.

Tylko Proctor rzucał się w panice, kręcąc się w kółko i wymachując ramionami, jakby lodowa panorama była iluzją, którą można zerwać i odsłonić ukryty pod spodem zielony krajobraz jeziora Tahoe. Może próbował nawet krzyczeć, lecz przeraźliwe zimno odebrało mu głos, zmieniając go w piskliwe rżenie.

- Shepherd - powiedziała Jilly, stwierdzając, że od zimnego powietrza pali ją w gardle i boli w płucach.

- Dlaczego tu?

- Ciasto - odparł Shepherd.

Paraliżujący ziąb wolno zmieniał panikę Proctora w stan odrętwiałej dezorientacji, a Parish Lantern przyciągnął do siebie Dylana, Jilly i Shepa i wszyscy przytulili się do siebie, ogrzewając się nawzajem ciepłem ciał i parujących oddechów.

- Zabójczy mróz. Długo tu nie wytrzymamy. - Dlaczego tutaj? - spytał Shepa Dylan.

- Ciasto.

- Chyba chłopiec chce zostawić tu tego łajdaka, a potem wrócić na ciasto.

- Nie możemy - rzekł Dylan. - Możemy - powiedział Shep. - Nie - odezwała się Jilly. - Tego nie należy robić.

Lantern nie wyraził zdziwienia, słysząc jej słowa i Jilly domyśliła się, że on też zna ten wywołany przez nanomaszyny przymus, aby zawsze robić tylko to, co należy. Jego autorytatywny zwykle głos drżał teraz z zimna.

- Ale gdybyśmy to zrobili, rozwiązalibyśmy wiele spraw. Policja nie znalazłaby ciała.

- Nie byłoby ryzyka, że przyprowadzi do nas swoich współników - powiedziała Jilly.

- Nie miałby okazji zaaplikować sobie zastrzyku - dodał Dylan.

- I nie cierpiałby długo - argumentował Lantern. - W ciągu dziesięciu minut zdrętwiałby z zimna i przestał odczuwać ból. To niemal akt miłosierdzia.

Zaniepokojona Jilly wyczula językiem, że jej zęby pokryły się warstewką lodu.

- Ale gdybyśmy to zrobili - powiedziała - dręczylibyśmy się tym przez długi czas, bo to nie jest rzecz, którą należy zrobić. - Jest - odezwał się Shep.

- Nie. - Jest.

- Bracie - rzekł Dylan. - Naprawdę nie. - Zimno.

- Zabierz nas z powrotem nad Tahoe. - Ciasto.

Proctor chwycił Jilly za włosy, szarpnął, odciągnął od towarzyszy i zacisnął ramię wokół jej szyi.

Wczepiła się palcami w jego rękę, drapiąc ją, i zdała sobie sprawę, że drań będzie zaciskał morderczy uchwyt, dopóki ona nie straci tchu i nie zemdleje. Musiała się uwolnić od Proctora i to jak najprędzej, co oznaczało konieczność złożenia.

Miała świeżo w pamięci swoje niedawne wpadki w kościele. Gdyby rząd wydawał tymczasowe zezwolenia dla adeptów składania, Jilly musiałaby się o takie wystarać. Nie chciała składać się z chwytu Proctora, by potem stwierdzić, że zapomniała głowy, ale gdy zamglili się jej wzrok i w oczy zaczęły zasnuwać się ciemnością, przeniosła się „stądam”, a „tam” oznaczało miejsce kilka stóp za plecami Proctora.

Stając za nim z głową na swoim miejscu, Jilly znalazła się w idealnej pozycji, by kopnąć Proctora w tyłek, na co miała ochotę od chwili, gdy poprzedniego wieczoru w motelu zamroził ją chloroformem.

Zanim jednak Jilly zdążyła wymierzyć mu sążnistego kopniaka, Dylan zaatakował naukowca ciałem. Proctor pośliznął się i upadł, waląc głową w lód. Zwijając się w kłębek i dygocząc z zimna, rżącym głosem błagał ich o litość, jak zwykle bełkocząc, że jest słabym, złym i podłym człowiekiem.

Choć odzyskała już ostrość wzroku, arktyczny ziąb szczypał ją w oczy, wyciskając z nich łzy, które zamarzały na rzęsach.

- Skarbie - powiedziała do Shepherd. - Musimy się stąd wydostać. Zabierz nas z powrotem nad Tahoe.

Powłóczęc nogami, Shep podszedł do Proctora, przycupnął przy nim - i obaj się złożyli.

- Bracie! - krzyknął Dylan, jak gdyby w ten sposób mógł sprowadzić go z powrotem.

Okrzyk nie odbił się echem od lodowego krajobrazu, ale utonął w bieli jak w miękkiej poduszce.

- Teraz zaczynam się naprawdę niepokoić - powiedział Parish Lantern, tupiąc energicznie, aby pobudzić krążenie, zabijając ręce i rozglądając się po czapie lodowej, jak gdyby kryło się tu więcej niebezpieczeństw niż w rzeczywistości alternatywnej zamieszkiwanej przez pijawki mózgowce.

Niska temperatura podrażniła zatoki Dylana i u wylotu lewego nozdrza uformował mu się miniaturowy sopel.

W ciągu paru sekund po zniknięciu Shepherd złożył się z powrotem, już bez naukowca.

- Ciasto.

- Gdzie go zostawiłeś, skarbie? - Ciasto.

- Gdzieś tu na lodzie? - Ciasto.

- Zamarznie na śmierć, bracie - odezwał się Dylan. - Ciasto.

- Musimy zrobić to, co należy, skarbie - powiedziała Jilly.

- Shep, nie - odrzekł Shepherd.

- Ty też, skarbie. To, co należy. Shepherd pokręcił głową i powiedział:

- Shep może być trochę zły.

- Nie sędę, bracie. Później przeżywałbyś prawdziwe męczarnie.
 - Nie będzie ciasta?
 - Tu nie chodzi o ciasto, skarbie.
 - Shep może być tylko trochę zły. Jilly wymieniła spojrzenia z Dylanem i powiedziała do Shepa:
 - Możesz być zły, skarbie?
 - Tylko trochę.
 - Tylko trochę?
 - Tylko trochę.
- Na rzęsach Lanterna srebrzyła się skorupa zamrożonych łez. Oczu łzawiły mu nieprzerwanie, mimo to jednak Jilly wyczytała w nich ogromne poczucie winy, kiedy powiedział:
- Jeśli ktoś potrafi być trochę zły, to się może przydać. Czasem, kiedy mamy do czynienia z bardzo dużym złem, należy zdecydowanie położyć mu kres.
 - W porządku - powiedział Shep. Zapadło milczenie.
 - W porządku? - spytał Shep.
 - Myślę - odrzekł Dylan.
- Z bezwietrznego nieba sypnął śnieg. Śnieg, jakiego Jilly nigdy w życiu nie widziała. Nie były to puszyste białe płatki, ale ostre jak igły drobiny, granulki lodu.
- Za dużo - powiedział Shep.
 - Czego za dużo, skarbie?
 - Za dużo.
 - Czego za dużo?
 - Myślenia - odparł Shep, po czym oświadczył:
 - Zimno - i złożył ich z powrotem nad jezioro Tahoe, już bez Proctora.

49 Stojąc wokół wyspy pośrodku kuchni w domu Parisha Lanterna, jedli ciasto

czekoladowo-wiśniowe z ciemną czekoladową polewą, w nagrodę i na pocieszenie, ale Jilly odniosła wrażenie, jakby to był chleb dzielony w dziwnej komunii. Jedli w milczeniu, patrząc w talerze, dostosowując się do etykiety Shepherda O'Connera.

Odniosła wrażenie, że wszystko jest tak, jak ma być.

Dom okazał się jeszcze większy, niż wydawał się z zewnątrz. Kiedy Parish zaprowadził ich do rozległego skrzydła gościnnego, do dwóch przygotowanych na ich przyjęcie sypialni, pomyślała, że mogłoby się tu zmieścić co najmniej dwudziestu niezapowiedzianych gości.

Mimo że po powrocie z bieguna północnego Jilly była wykończona i spodziewała się, że prześpi resztę popołudnia i wczesny wieczór, po porcji ciasta czuła się rześka i wypoczęta. Zastanawiała się, czy jednym ze skutków zmian, jakie w niej następowały, będzie mniejsza potrzeba snu.

Obydwie sypialnie miały oddzielne, wielkie i urządzone z przepychem łazienki z marmurowymi podłogami i blatami oraz złoconą armaturą, wyposażone w prysznic i wannę przeznaczoną do błęgiego wylegiwania się w kąpieli, a także ogrzewane wieszaki, dzięki którym można się było otulić w ciepłutkie ręczniki. Jilly wzięła prysznic, długo rozkoszowała się ciepłą

wodą, a potem, z lubością i leniwym, kocim narcyzmem, zajęła się własną urodą.

Parish starał się przewidzieć jej gust w najdrobniejszych szczegółach, od szamponu po kosmetyki do makijażu i kredkę do oczu. Czasem jego wybór okazywał się udany, czasem nie, ale na ogół był trafny. Jilly oczarowała jego troskliwość.

Odświeżona, umalowana i przebrana, odnalazła drogę do salonu. Podczas wędrowki ze oskrzydła gościnnego przekonywała się coraz bardziej, że ciepło i przytulność domu odwracały uwagę gości od jego prawdziwego ogromu. Pod miękkością i romantyzmem stylu Wrighta, mimo wielu okien i podwórzy wywołujących wrażenie ścisłego kontaktu z naturą, budowla wydawała się niezwykle tajemnicza i odizolowana od reszty świata, skrywając sekrety tam, gdzie na pozór całkowicie się odsłaniała.

Tu także wszystko było tak, jak miało być.

Z salonu Jilly wyszła na taras ustawiony na wspornikach, który architekt w magiczny sposób zawiesił nad pachnącymi sosnami, skąd rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na bajkowe jezioro.

Po chwili przy balustradzie obok niej zjawił się Dylan. Stali w milczeniu, zauroczeni panoramą, która w blasku późnego popołudnia zdawała się mienić żywymi barwami jak na obrazie Maxfielda Parisha. Pora na rozmowę minęła i jeszcze nie nadeszła.

Parish przeproszał ich z góry, że nie może zapewnić takiej opieki, jaką zwykle mieli jego goście. Od razu, gdy się zorientował, że nanomaszyny dokonają w nim bardzo głębokich zmian, dał całej służbie tydzień wakacji, aby przeżyć metamorfozę samotnie.

Pozostał tylko Ling, majordomus. Zjawił się dwie minuty po tym, jak Dylan i Jilly wyszli na taras. Przyniósł drinki na małej, czarno lakierowanej tacy ozdobionej inkrustacją z macicy perłowej, która przedstawiała lilię wodną. W kieliszkach było idealnie przyrządzone wytrawne martini-zamieszane, nie wstrząśnięte. Ling był szczupły, lecz w dobrej kondycji, poruszał się z gracją baletmistrza i spokojną pewnością, jaka musiała cechować posiadacza czarnego pasa w taekwondo. Mógł mieć trzydzieści pięć lat, ale z jego hebanowych oczu wзираła kwintesencja mądrości starożytnych. Gdy Jilly, a potem Dylan brali martini z ozdobionej lilią wodną tacy, Ling lekko skłaniał głowę i z miłym uśmiechem wypowiadał do każdego z nich to samo chińskie słowo, które, jak Jilly się domyśliła, oznaczało „proszę” i równocześnie było życzeniem pomyślności. Następnie Ling wyszedł

prawie tak dyskretnie jak ulatniający się duch; gdyby była zima, a taras pokrywałaby warstewka śniegu, być może w ogóle nie pozostawiłby po sobie śladów.

Znów wszystko było tak, jak miało być.

Podczas gdy Jilly i Dylan delektowali się martini i cudownym widokiem, Shepherd został w salonie. Znalazł sobie kąć, w którym mógł stać godzinę lub dwie, ograniczając wrażenia zmysłowe do kontemplacji linii łączenia ścian.

Francuzi powiadają: Plus ça change, plus c'est le meme chose, - Im bardziej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo. Stojąc w kącie, Shepherd był ucieleśnieniem komizmu i tragizmu tej prawdy. Uosabiał rozczarowanie i taktowną akceptację, które kryły się w tych słowach, ale także ich melancholijne piękno.

Program radiowy Parisha kupowali nadawcy w całym kraju i sześć razy w tygodniu, od poniedziałku do soboty, nadawało go ponad pięćset stacji, dlatego zwykle Lantern zaczynał pracę, gdy tylko zmierzch zarzucał fioletową zasłonę w poprzek jeziora. Siedząc w ultranowoczesnym studiu w piwnicy, odbierał telefony od słuchaczy, których miał dziesięć milionów, i również przez telefon przeprowadzał wywiady ze swoimi gośćmi. W

prowadzeniu programu pomagał mu Ling i inżynier. Właściwe centrum produkcyjne znajdowało się w San Francisco, gdzie wybierano telefony od słuchaczy i łączono z domem Lanterna, a także filtrowano i wzmacniano sygnał, który niemal natychmiast retransmitowano.

W ten sobotni wieczór, podobnie jak w dniu, gdy Proctor zaaplikował mu swoją szprycę, Parish zrezygnował z programu na żywo i nadawał najlepsze fragmenty audycji archiwalnych.

Krótko przed kolacją, na którą zaprosił ich gospodarz, Jilly powiedziała do Dylana:

- Zadzwoń do mamy. Zaraz wracam.

Odstawiła pusty kieliszek po martini na balustradę tarasu i złożyła się do cieniściego zakątka ogrodu z tyłu Hotelu Peninsula w Beverly Hills. Nikt nie zauważył jej przybycia.

Mogła się złożyć dokądkolwiek, aby zadzwonić, ale podobało się jej w Peninsula. Był to pięciogwiazdkowy hotel i miała nadzieję, że pewnego dnia będzie ją na niego stać, gdy zrobi zawrotną karierę komika.

W hallu znalazła automat, wrzuciła kilka monet i wystukała dobrze znany numer.

Matka odebrała po trzecim dzwonku. Poznając Jilly po głosie, wybuchnęła:

- Dziecko, dobrze się czujesz, nic ci się nie stało, co się z tobą działo, skarbie - niech cię Bóg strzeże - gdzie jesteś?

- Uspokój się, mamó. U mnie wszystko w porządku. Chciałam ci powiedzieć, że przez tydzień czy dwa nie będę się mogła z tobą zobaczyć, ale coś wykombinuję, żebyśmy się spotkały.

- Jilly, dziecko, od tych wydarzeń w kościele byli tu ludzie z telewizji, z gazet, wszyscy niegrzeczni jak ci biurokraci z opieki społecznej na suchej diecie. Są teraz na ulicy z tymi wozami satelitarnymi, hałasują, śmieją tymi paskudnymi papierosami i opakowaniami po batonach. Niegrzeczni, bardzo niegrzeczni.

- Nie rozmawiaj z żadnym z nich, mamó. Gdyby ktoś cię pytał, nie żyję.

- Nie mów takich okropnych rzeczy!

- Po prostu nikomu nie mów, że dzwoniłam. Później ci wszystko wyjaśnię. Posłuchaj, mamó, niedługo zjawia się u ciebie ponure draby o wyglądzie twardzieli. Będą mówili, że są z FBI czy coś w tym rodzaju, ale to kłamstwo. Udawaj przed nimi głupią. Bądź słodka jak miód, udawaj, że umierasz ze strachu o mnie, ale nie puszczaj pary z ust.

- Przecież jestem tylko jednooką, kulawą, biedną i niedouczoną prostytutką o wielkim tyłku. Kto by w ogóle pomyślał, że mogę coś wiedzieć`?

- Strasznie cię kocham, mamó. Jeszcze jedno. Jestem pewna, że nie założyli ci jeszcze podsłuchu w telefonie, ale w końcu znajdą na to sposób. Tak więc kiedy wpadnę zobaczyć się z tobą, nie będę wcześniej dzwoniła.

- Dziecko, boję się jak jeszcze nigdy od dnia, w którym twój przeokropny ojciec był tak dobry, że dał się zastrzelić.

- Nie bój się, mamó. Nic mi się nie stanie. Szykuję ci parę niespodzianek.

- Jest u mnie ojciec Francorelli. Chce z tobą rozmawiać. Ciągłe jest bardzo przejęty tym, co się zdarzyło na ślubie. Jilly, dziecko, co tam się właściwie zdarzyło? To znaczy, wiem, opowiadali mi, ale nic z tego nie rozumiem.

- Nie chcę rozmawiać z ojcem Francorellim, mamó. Powiedz mu tylko, że bardzo mi przykro, że zepsułam uroczystość. - Zepsułaś? Uratowałaś ich. Uratowałaś ich wszystkich.

-- Mogłam to zrobić o wiele dyskretniej. Słuchaj, mamó, kiedy za parę tygodni się spotkamy, może miałabyś ochotę na kolację w Paryżu?

- W Paryżu, we Francji? A co u licha miałabym jeść w Paryżu?

- To może w Rzymie? Albo w Wenecji? Albo w Hongkongu?

- Dziecko, wiem, że przenigdy nie zaczęłabyś brać narkotyków, ale zaczynasz mnie martwić. Jilly zaśmiała się.

- Więc może Wenecja? W jakiejś pięciogwiazdkowej restauracji. Wiem, że lubisz włoską kuchnię.

- Uwielbiam lasagne. Jakim cudem będzie cię stać na pięciogwiazdkowy lokal, i to jeszcze w Wenecji?

- Zobaczysz. Mamó...

- Co takiego, dziecko?

- Nigdy nie potrafiłabym uratować własnego tyłka, że nie wspomnę o tych wszystkich ludziach, gdybyś mnie nie wychowała i nie pokazała mi, jak nie dać się zjeść żywcem strachowi. - Niech cię Bóg błogosławi, dziecko. Bardzo cię kocham.

Jilly odłożyła słuchawkę, dłuższą chwilę dochodziła do siebie. Potem, wrzuciwszy do aparatu garść ćwierćdolarówek, zadzwoniła pod zamiejscowy numer, który dostała od Dylana. Gdy po pierwszym dzwonku odezwała się kobieta, Jilly powiedziała:

- Chciałabym rozmawiać z Vonettą Beesley.

- Właśnie z nią pani rozmawia. Czym mogę służyć?

- Dylan O'Conner prosił, żebyś zadzwoniła i spytała, czy u pani wszystko w porządku.

- Kto mógłby mi zrobić coś złego, czego natura w końcu i tak w końcu nie pogorszy? Proszę powiedzieć Dylanowi, że nic mi nie jest. Miło słyszeć, że żyje. Zdrów i cały?

- Włos mu nie spadł z głowy.

- A mały Shep?

- Stoi teraz w kącie, ale wcześniej dostał wielki kawał ciasta i do kolacji wszystko będzie w porządku.

- Jest kochany.

- To prawda - odparła Jilly. - Dylan prosił mnie, żebyś pani powiedziała, że nie będą już potrzebowali gosposi.

- Słyszałam, co się stało, w ich domu, i przypuszczam, że i tak nie da się tam posprzątać bez buldożera. Powiedz mi coś, złotko. Sądzisz, że potrafisz się nimi zaopiekować?

- Chyba tak - odrzekła Jilly.

- Zaslugują na dobrą opiekę.

- Zaslugują - zgodziła się.

Zakończywszy drugą rozmowę, miała ochotę wypaść z kabiny telefonicznej w pelerynie i trykocie i efektownie wzbic się w powietrze. Oczywiście, nie miała ani peleryny, ani trykotu, poza tym nie umiała latać. Rozejrzała się więc, sprawdzając, czy

korytarz jest pusty i bez akompaniamentu trąbek, bez teatralnych gestów, złożyła się na taras, który wychodził na jezioro, gdzie w ostatnich promieniach zmierzchu czekał na nią Dylan.

Na długo przed późnym o tej porze roku zachodem słońca wzeszedł księżyc. Na zachodzie noc scałowywała resztki rózu z policzka dnia, a na wschodzie wisiał już wysoko księżyc w pełni, jak romantyczna latarnia.

Dokładnie o zmierzchu zjawił się Ling, aby poprowadzić ich dwoje i Shepa przez korytarze i komnaty, których jeszcze nie widzieli, a potem wszyscy wyszli z domu i ruszyli na przystań.

Zwykle światła oświetlające przystań były zgaszone. Drogę rozjaśniały im urocze rzędy cieniotkich świec unoszących się w powietrzu osiem stóp nad deskami.

Widocznie Parishowi spodobało się wynajdywanie innych zastosowań mocy, dzięki której odbijał wystrzelone w siebie pociski. Wielki dom stał wśród dziesięciu akrów lasu, odgradzony od nieproszonych gości, a drzewa zapewniały ciszę i spokój. Nawet z oddalonego przeciwległego brzegu jeziora, obserwując świece przez lornetkę, żaden ciekawski nie wiedziałby, co właściwie widzi. Zabawa wydawała się warta ryzyka.

Ling, jak gdyby sam unosił się ułamek cala nad deskami przystani, prowadził ich między pełgającymi płomykami, pod lewitującymi świecami, aż do trapu. Dźwięk, z jakim woda omywała pale, brzmiał niemal jak muzyka.

Ling nie dał po sobie poznać, czy zdumiał go widok lewitujących świec. Wszystko wskazywało na to, że nic nie mogło naruszyć jego spokoju umysłu ani opanowania tancerza. Nie ulegało wątpliwości, że jest wyjątkowo dyskretny i lojalny wobec pracodawcy w stopniu, jaki wydawał się niemal nadprzyrodzony.

Było tak, jak miało być.

Na końcu trapu przy nabrzeżu stała czterdziestopięciostopowa łódź motorowa z kabiną z czasów, gdy statków wycieczkowych nie robiło się z plastiku, aluminium i włókna szklanego. Malowane na biało drewno, wykończenie pokładu i listwa wzdłuż burt z polerowanego mahoniu oraz błyszczące jak klejnoty mosiężne elementy sprawiały, że nie była to zwykła łódź motorowa, ale okręt, który przyplłynął tu prosto ze snu.

Gdy wszyscy znaleźli się na pokładzie, świece na przystani jedna po drugiej pogasły i spadły na deski.

Parish wyprowadził łódź z przystani i wypłynął na jezioro. Woda wszędzie byłaby czarna jak farba anilinowa, gdyby szczodry księżyc nie sypał na fale srebrnych monet. Parish rzucił kotwicę daleko od brzegu, zapalone bursztynowe latarnie miały ostrzec innych nocnych żeglarzy o ich obecności.

Na przestronnym pokładzie rufowym było dość miejsca na stół dla czterech osób oraz dla Linga, który urządzał im kolację przy świecach.

Ravioli z grzybami podane na przystawkę miały ładny kwadratowy kształt. Potem zjawilo się danie główne: cukinia, która przed usmażeniem pokrojono w kostkę; porcja ziemniaków duszonych z cebulą również miała kanciasty kształt; z medalionów cielecych również troskliwie uformowano kwadraty, nie tylko dla Shepherd, ale dla wszystkich, aby młody pan O'Conner nie odczuł, że różni się od reszty towarzystwa.

Mimo to Ling czuwał w kambuzie, gotów w każdej chwili przyrządzić grzanek z serem.

Wszystko okazało się przepyszne. Podany do potraw cabernet sauvignon również okazał się pod każdym względem wyjątkowy. Szklanka zimnej coli bez kostek lodu była jedną z najlepszych na świecie szklanek zimnej coli. Kolacji towarzyszył oczywiście fascynująca rozmowa, mimo że Shepherd ogranicza w niej swój udział do jednego lub dwóch słów, nadużywając przymiotnika „smaczne”.

- Będziecie mieli skrzydło domu do dyspozycji - mówił Parish. - A później, jeśli zechcecie, zbudujemy obok drugi dom.

- Jesteś niezwykle szczodry - powiedziała Jilly.

- Nonsens. Mój program w radiu to kura znosząca złote jajka. Nie jestem żonaty, nie mam dzieci. Naturalnie zamieszkacie tu w tajemnicy. Nikt nie może poznać waszego miejsca pobytu Media, władze i cała ludzkość będą was bez przerwy prześladować, z upływem lat

coraz bezwzględniej. Być może będę musiał zmienić kilka osób ze służby, żeby mieć pewność, że wszyscy dochowają tajemnicy, ale Ling ma braci i siostry.

- Zabawne - powiedział Dylan - że siedzimy tu i zgodnie snujemy plany, wiedząc od początku, co i jak należy zrobić. - Jesteśmy z różnych pokoleń - rzekła Jilly - ale wszyscy jesteśmy dziećmi tej samej kultury. Prześląkliśmy tą samą mitologią.

- Otóż to - przytaknął Parish. - W przyszłym tygodniu zmienię testament, czyniąc was moimi spadkobiercami, chociaż; będę musiał do tego celu wykorzystać szwajcarskich adwokatów i sieć zagranicznych kont. Trzeba też będzie zamiast nazwisk używać numerów identyfikacyjnych. Wasze nazwiska stały się już zbyt dobrze znane w całym kraju, a w przyszłość

będziecie jeszcze sławniejsi. Gdyby coś mi się przytrafiło albo któremuś z was, pozostali nie powinni mieć z tego powodu żadnych kłopotów finansowych ani podatkowych.

Odkładając nóż i widelec, wyraźnie wzruszony hojnością i gestem gospodarza, Dylan powiedział:

- Nie ma takich słów, którymi mógłbym ci za wszystko podziękować. Jesteś... wyjątkowym człowiekiem.

- Dość tych wyrazów wdzięczności - odrzekł stanowczo Parish. - Nie chcę tego więcej słuchać. Ty też jesteś wyjątkowym człowiekiem, Dylan. Ty także, Jilly. I ty, Shepherd.

- Smaczne.

- Wszyscy staliśmy się inni niż reszta mężczyzn i kobiet i nigdy już nie będziemy tacy jak oni. Nie jesteśmy od nich lepsi, ale żadne z nas nie ma już swojego miejsca na świecie poza tym, gdzie jesteśmy wszyscy razem. Od dziś mamy zadanie, którego nie wolno nam nie wypełnić, musimy zrobić absolutnie wszystko, by wykorzystać naszą odmienność do dokonywania zmian.

- Musimy iść wszędzie tam, gdzie nas potrzebują - zgodził się Dylan. - Bez rękawiczek, bez wahania, bez strachu.

- Z potwornym strachem - zaprotestowała Jilly. - Któremu nie możemy się nigdy poddać.

- Rzeczywiście, to ładniej powiedziane - pochwalił ją Dylan. Gdy Ling dolewał caberneta, nad Tahoe przeleciał na dużej wysokości samolot pasażerski, zmierzający prawdopodobnie na lotnisko w Reno. Gdyby jezioro nie było takie ciche, jeśli nie liczyć stukotu księżycowych srebrnych monet o kadłub łodzi, być może nie usłyszeliby słabego odgłosu silników odrzutowych. Spoglądając w górę, Jilly dostrzegła małą skrzydlatą sylwetkę, która przecięła tarczę księżyca.

- Cieszę się tylko z jednej rzeczy - rzekł Parish. - Nie będziemy sobie musieli zawracać głowy projektowaniem, konstruowaniem i utrzymaniem żadnego cholernego Batmobilu. Śmiech dobrze im zrobił.

- Może wcale nie będzie tak źle w roli tragicznych postaci dźwigających na barkach cały świat - uznał Dylan. - Jeżeli potrafimy się przy tym bawić.

- Będziemy się świetnie bawić - podchwycił Parish. - Och, tak, bardzo mi na tym zależy. Wolałbym jednak, żebyśmy nie nadawali sobie żadnych głupich, dźwięcznie bohaterkich imion, bo sam wyrzuciłem już sobie tę krzywdę, ale chętnie przystanę na inne pomysły.

Jilly zawahała się z kieliszkiem przy ustach.

- Parish Lantern to nie jest twoje prawdziwe imię i nazwisko? - A kto mógłby się tak nazywać? Teraz to moje oficjalne imię i nazwisko, ale urodziłem się jako Horace Bloogernud.

- Dobry Boże - rzekł Dylan. - Więc od dziecka byłeś w pewnym sensie postacią tragiczną.
- Już jako nastolatek pragnąłem pracować w radiu i dokładnie wiedziałem, jaki program chciałem stworzyć. Wieczorną audycję o dziwnych i niesamowitych zjawiskach. Uznałem, że pseudonim „Parish Lantern” będzie świetnie pasował, ponieważ to stare angielskie określenie księżycy, blasku księżycy.

- Robisz swoje przy blasku księżycy - rzekł Shepherd, lecz tym razem głos nie drżał mu z udreki jak poprzednio, gdy wypowiadał te słowa, jakby zyskały dla niego nowe znaczenie.

- Owszem, masz rację - odrzekł Parish. - W pewnym sensie wszyscy będziemy robić swoje przy blasku księżycy, to znaczy, że będziemy się starali działać w jak największej dyskrecji i tajemnicy. Co wiąże się ze sprawą kamuflażu.

- Kamuflażu? - spytała Jilly.

- Na szczęście nikt poza nami nie wie, że ja też zostałem dotknięty tym przekleństwem - powiedział Parish. - Dopóki mogę robić, co trzeba, i brać udział w bohaterskich akcjach, utrzymując to w sekrecie, mogę być łącznikiem między naszą małą grupą a światem. Ale wy troje... wasze twarze są znane i bez względu na to, jak dyskretnie będziemy działać, z biegiem czasu coraz więcej ludzi będzie was rozpoznawało. Dlatego musicie zostać...

- Mistrzami kamuflażu! - rzekł z zachwytem Dylan. Jilly uznała, że to też jest tak, jak ma być.

- Koniec końców - ciągnął Parish - będzie nam brakować tylko głupich imion, niepraktycznych pojazdów naszpikowanych bezsensownymi gadżetami, kostiumów ze spandeksu i superprzeciwnika, którym musielibyśmy się przejmować pomiędzy zwykłymi akcjami ratunkowymi i dobrymi uczynkami.

- Lód - powiedział Shepherd.

Ling natychmiast zbliżył się do stołu, ale Parish kilkoma chińskimi słowami zapewnił go, że nie trzeba podawać lodu. - Shepherd ma rację. Mieliśmy przez krótką chwilę superprzeciwnika, ale już jest blokiem lodu.

- Lód.

Później, przy kawie i cieście cytrynowym Jilly powiedziała:

- Jeżeli jakoś się nie nazwiemy, media zrobią to za nas i na pewno wymyślą jakieś głupie określenie.

- Słusznie - rzekł Dylan. - Dziennikarzom brak wyobraźni. A potem będziemy musieli znosić jakąś denerwującą etykietkę. Może wybierzemy zbiorową nazwę dla wszystkich jako grupy?

- Aha - przytaknęła Jilly. - Bądźmy przebiegli jak kiedyś Horace Bloogernud. Wykorzystajmy w nazwie księżyc.

- Księżycowy Gang - podsunął Dylan.

- Będzie dobrze wyglądać w brukowcach, nie?

- Nie podoba mi się słowo „gang” - powiedział Parish. - Ma za dużo negatywnych konotacji.

- Księżycowy... coś tam. - Jilly się zamyśliła.

Mimo że Shepherd miał na talerzu jeszcze pół porcji ciasta, odłożył widelec. Wpatrując się w swój niedojedzony deser, powiedział:

- Oddział, załoga, zespół, koło, towarzystwo...

- Proszę bardzo - rzekł Dylan.

... stowarzyszenie, sojusz, związek, drużyna, koalicja, klan, ekipa, liga, klub...

- Księżycowy Klub - wymówiła na próbę Jilly, wsłuchując się we współbrzmienie słów. - Klub Księżycowy. Niezłe.

- ...bractwo, gromada, paczka, kompania, rodzina...
- To chyba chwilę potrwa - powiedział Parish, dając znak Lingowi, aby zabrał trzy z czterech talerzy deserowych i otworzył następną butelkę wina.
- ...podróżnicy, odkrywcy, poszukiwacze...

Słuchając jednym uchem kaskady słów pocziwego Shepherda, Jilly zaczęła myśleć o czekającej ich przyszłości, o przeznaczeniu i wolnej woli, o mitologii i prawdzie, o zależności i odpowiedzialności, o nieuchronności śmierci i rozpaczliwej potrzebie celu życia, o miłości, obowiązku i nadziei.

Niebo jest głębokie. Gwiazdy leżą daleko. Księżyc, choć bliżej niż Mars, i tak jest odległy. Jezioro połyskuje czernią ożywianą rtęciowym blaskiem - latarni parafialnej. Statek lekko kołysze się na kotwicy. Klub Księżycowy, czy jaką w końcu przybierze nazwę, odbywa swoje pierwsze poważne spotkanie przy cieście, wśród wybuchów śmiechu rozpoczynając podróż, która, jak mieli nadzieję, będzie długą wyprawą w poszukiwaniu całej zupełności wszystkiego.